

ZDANIE

„Trzech na jednego”
z GRZEGORZEM KOŁODKĄ

Andrzej Mencwel	Adam Bodnar
PYTANIE O „KLASĘ DLA SIEBIE”	MOGĘ MNIEJ NIŻ MOI POPRZEDNICY
Jarosław Dobrzański	Lech M. Nijakowski
FILOZOFIA EKONOMII ANTYSPOŁECZNEJ	LUDOBÓJSTWO KLIMATYCZNE
Marek Zagajewski	Nina Kraško
KŁAMSTWO ZAŁOŻYCIELSKIE	JAK POWSTAWAŁ KULT „BUREGO”

Maciej Gdula: LEWICOWE „TAK”

3-4 (182-183) 2019



DZIĘKUJEMY!

01.
.09
19

wspólnie
uwolniliśmy miasto
od 45 000
pieców



Przypominamy: od 1 września
nie palimy węglem i drewnem

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

3–4 (182–183) 2019

OD REDAKTORA

W „ZDANIU” zawsze było, jest i będzie miejsce dla literatury. Tym razem reprezentuje ją symbolicznie tegoroczna laureatka Nagrody Nobla – Olga Tokarczuk, którą dwukrotnie gościliśmy na naszych łamach. Mamy nadzieję, że również w przyszłości wielkość Jej pisarstwa będą mogli podziwiać czytelnicy „ZDANIA”. A w rekomendowanym numerze znajdą oni wnikliwe analizy i rozważania na temat „klasy dla siebie”, „ekonomii antyspołecznej”, „państwa w ruinie”, żywotności marksizmu w XXI wieku, rewizji historii najnowszej („kłamstwo założycielskie”, kult „Burego”), czy szans odradzającej się lewicy. Nie ze wszystkimi tezami i interpretacjami Autorów trzeba się zgodzić, ale na pewno warto je poznać. Zachęcam więc do lektury.

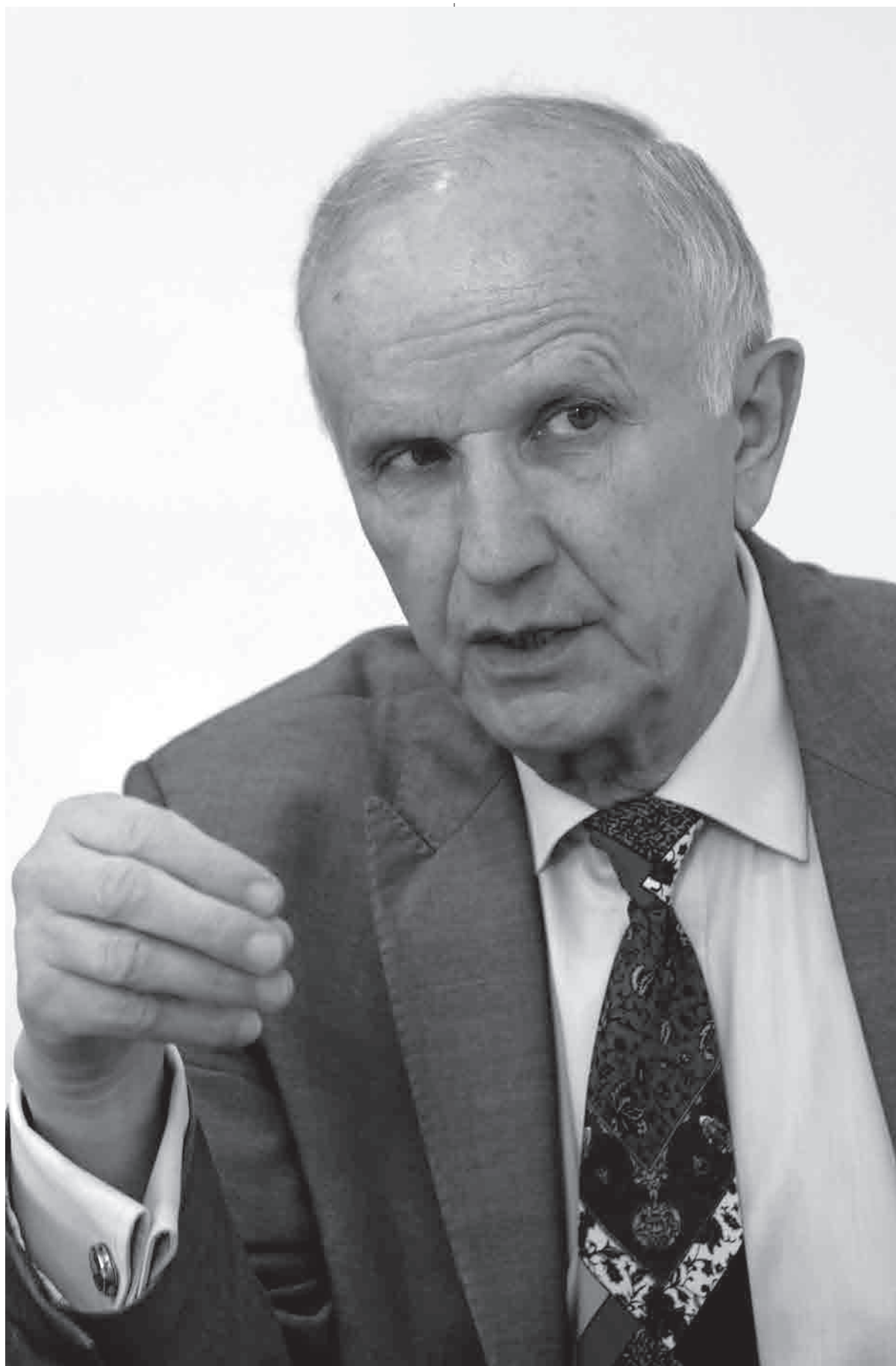
Z okazji 70-lecia Nowej Huty prezentujemy materiały z sesji zorganizowanej przez Miasto Kraków i „Kuźnicę”. W dziale recenzji polecam omówienie książki Profesora Walickiego o Rosji oraz najnowszej powieści Wiesława Myśliwskiego *Ucho igielne*.

Na deser, jak zawsze, „Trzech na jednego”, tym razem z Grzegorzem Kołodką. „Zagadał” nas Profesor, co było do przewidzenia, w tej rozmowie – jednej z najdłuższych w cyklu – ale jej lektura na pewno dostarczy satysfakcji.

EDWARD CHUDZIŃSKI

GRZEGORZ W. KOŁODKO TRZEBA SIĘGNAĆ DO NOWEGO PRAGMATYZMU (<i>Trzech na jednego</i>)	3
KOWADŁO DLA GRZEGORZA W. KOŁODKI	21
Andrzej Mencwel PYTANIE O „KLASĘ DLA SIEBIE”	22
Jarosław Dobrzański FILOZOFIA EKONOMII ANTYSPOŁECZNEJ	26
Marek Zagajewski KŁAMSTWO ZAŁOŻYCIELSKIE	32
Marek Tabin ZŁOTY KLUCZ	37
Adam Jaśków ROZWAŻANIA O PAŃSTWIE W RUINIE	42
Adam Bodnar MOGĘ MNIEJ NIŻ MOI POPRZEDNICY	45
Maciej Gdula LEWICOWE „TAK”	50
NOBEL DLA OLGII TOKARCZUK	54
Edward Karolczuk MARKSIZM W XXI WIEKU	55
Krzysztof Kwaśniewski KOMPROMISY A RÓWNOWAGA SPOŁECZNA	69
Lech M. Nijakowski LUDOBÓJSTWO KLIMATYCZNE	73
Nina Kraško JAK POWSTAWAŁ KULT „BUREGO”	77
Andrzej de Lazari ROSJA ANDRZEJA WALICKIEGO	84
Paweł Kozłowski NATURA NIE JEST TOWAREM	87

88	Jacek Wojciechowski LEKCJE UKRAIŃSKIE
94	Andrzej Wilk BERTRAND RUSSEL CIĄGŁE AKTUALNY
98	Adam Komorowski ESPRIT D'ESCALIER. O UCHU IGIELNYM WIEŚŁAWA MYŚLIWSKIEGO
101	Stanisław Gębała ZZOMBIFIKOWANI
103	Marcin Kula BLIŻNA CZY WCIAŻ RANA?
70-LECIE NOWEJ HUTY	
105	Marian Stępień O POEMACIE DLA DOROSŁYCH
110	Bernadeta Stano PLASTYCY NOWEJ HUTY
113	Jerzy Fedorowicz MOJE DYREKTOROWANIE W TEATRZE LUDOWYM
114	Sławomir Pietrzyk NOWOHUCIANIE
117	Andrzej Kurz JESTEM NIEPOPRAWNYM DZIECKIEM SZCZĘŚCIA
120	KOWADŁO DLA LECHA M. ROŚCISZEWSKIEGO
123	Krzysztof Dąbrowa W SPRAWIE „PISMA”
126	Tomasz Goban-Kłas LANCZYK W WIEŻY GŁODOWEJ
127	Józef Rozzdowski WITAJ ŚCIANO
128	Krzysztof Komornicki RATING NEGATYWNY, CZYLI KOGO SIĘ UDAŁO Z POLSKI WYGONIĆ
129	Sceptyk CZEGO SIĘ NIE ROBI DLA SUWERENA?



trzech na jednego

JEDEN:

GRZEGORZ W. KOŁODKO

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

FILIP RATKOWSKI

PAWEŁ SĘKOWSKI

TRZEBA SIĘGNAĆ DO NOWEGO PRAGMATYZMU

EDWARD CHUDZIŃSKI: Jak zwykle, rozmowę z cyklu „Trzech na jednego” zaczynamy od pytania o szeroko rozumiany rodowód. Pan pochodzi z Tczewa, a zatem z regionu zwanego Kociewiem...

GRZEGORZ W. KOŁODKO: Tak, to moje rodzinne strony. W Tczewie się urodziłem, natomiast zawsze byłem emocjonalnie i kulturowo związany z Gdańskiem, dla którego Tczew jest miastem satelitarnym. Tam mój ojciec, jako inżynier-projektant w Gdańskim Biurze Projektów Budownictwa Komunalnego, pracował do emerytury. Tam mój brat chodził do technikum i potem przez wiele lat pracował w tym mieście, a ja po maturze przez rok byłem robotnikiem na budowie. Stało się tak, ponieważ zdawałem na handel zagraniczny, na najbardziej oblegany wtedy kierunek studiów w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, SGPiS, obecnie SGH. Nie przyjęto mnie, co wtedy ciężko przeżywałem... Zostałem więc niewykwalifikowanym pracownikiem fizycznym i drążyłem z kolegami tunel pod Dworcem Głównym

w Gdańsku. Dojeżdżałem codziennie do pracy z Tczewa, także w soboty, bo wtedy i w soboty się pracowało, parową ciuchcią, zajmowało to blisko godzinę! Marzyliśmy wówczas, żeby kolejka elektryczna kursująca po Trójmieście, dowoziła nas do Tczewa.

Innym miejscem, które zachowałem we wdzięcznej pamięci, jest dom rodzinny mojej babci w miejscowości Gródek, poczta Drzycim, powiat Świecie. Jeździliśmy tam z mamą na letnie wakacje. Na skraju wsi była chata mojego wuja – Ignaca, brata babci, w której nie było elektryczności ani bieżącej wody. Gdy brakło wody w studni, a tak niekiedy bywało w suche lata, trzeba było po nią chodzić do strumyka przepływającego przez pobliski parów. Byłem mały i dlatego musiałem łańcuchy od wiader nawijać na nosidła, żeby je skrócić. Pasałem, a jakże, gęsi, szukałem w sianie w stodole jajek zniesionych przez kury. Te widoki wracają do mnie wraz z nostalgią, gdy teraz, włączając się ciągle po Świecie, oglądam podobne obrazki w Mali albo w Boliwii... A przecież to

było raptem 60 lat temu! Odwiedziłem Gródek tego lata. Wciąż pięknie tam! Ale nie ma już chaty wuja Ignaca, parów gęsto zarośnięty, ale las i pola pachną tak samo...

Mam jeszcze siostrę, która opuściła Tczew trzy lata przede mną, podejmując studia na psychologii na Uniwersytecie Warszawskim, oraz starszego o sześć lat brata, który dotychczas mieszka w Tczewie; praktycznie całe życie, wyłączając trzy lata służby na okręcie podwodnym w Wojskach Ochrony Pogranicza w Gdańsku. Ja ostatecznie Tczew porzuciłem, bo za następnym razem na SGPiS się dostałem. Na ekonomikę produkcji, bo na ów handel zagraniczny w 1969 roku rekrutacji nie było. Prawdę mówiąc, bardzo chciałem być z dala od mego małego miasta, gdzie wszyscy wszystkich znali, i jak każdy młody człowiek żyć z dala od czujnych oczu rodziny.

Brak przyjęć na handel zagraniczny to był oczywisty skutek Marca'68, gdyż ten kierunek był mocno obsadzony przez dzieci dobrze ustawionych ludzi z „warszawki”, zaliczanych wtedy do tzw. czerwonej burżuazji. Po tych studiach szło się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych lub Handlu Zagranicznego, a w trzeciej kolejności do central handlu zagranicznego, skrajnie scentralizowanych organizacji gospodarczych.

Tak więc wydarzenia marcowe przeżywałem w Gdańsku jako robotnik w kufajce. Żeby zrozumieć, co się dzieje, kręciłem się między klubem studenckim „Żak”, Domem Prasy przy Targu Węglowym, gdzie się mieściły redakcje trzech regionalnych gazet i budynkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Czasami nadarzyła się okazja, żeby razem z kolegami pokrzyzczeć: „telewizja kłamie”. Dziś zresztą też kłamie, acz inaczej; taka jest, widać, jej natura!

CHUDZIŃSKI: Dwa lata później w Gdańsku znowu się działo...

KOŁODKO: W grudniu 1970 roku sytuacja była zgoła odmienna. Co do nas, studentów, to skrócili nam wtedy zajęcia na uczelni, więc natychmiast wsiadłem do pociągu i pojechałem najpierw do Tczewa, a potem do Gdańska. Tam czuć było jeszcze proch w powietrzu. To były ciężkie chwile...

PAWEŁ SĘKOWSKI: Cofnijmy się jednak o rok. Już na pierwszym roku studiów wybierają Pana do władz Zrzeszenia Studentów Polskich.

KOŁODKO: Rzeczywiście, lubiłem przewodzić. Już w szkole podstawowej i średniej bywałem gospodarzem klasy – albo „prowodyrem” lub „hershtem”, zależy o jaką sytuację chodziło – i zawsze słyszałem, że jestem „trudny”. Może dlatego, że korci mnie, by zadawać trudne pytania, za to nie wszyscy cenią człowieka. Podczas nauki szkolnej miałem przez 11 lat lekcje religii. Zadawałem trudne pytania i, co może wyglądać nieco paradoksalnie, akurat ksiądz sobie takiego kontestującego ucznia cenił. Niektórzy nauczyciele – przeciwnie. Dwukrotnie, w ósmej i dziesiątej klasie, miałem nawet tróję z zachowania, no ale to nie za zadawanie pytań...

FILIP RATKOWSKI: To było duże osiągnięcie! Niełatwo dostać tróję z zachowania! A nie próbował Pan jakoś zużywać nadmiaru swojej energii w harcerstwie albo w innej organizacji?

KOŁODKO: Od małego mam awersję do munduru i jedyna dwójka, jaką otrzymałem na okres w szkole, to dwójka właśnie z przysposobienia wojskowego, bo przez pięć kolejnych tygodni dostawałem dwóję

za zbyt długie włosy i to zdołowało średni do pały! Moje złe przeżycia z okresu studiów to marnotrawione na niczym przerażająco nudne zajęcia na Studium Wojskowym, gdzie normalnych studentów próbowano przerobić na żołnierzy. W dodatku w sąsiedztwie mieliśmy budynki sztabu generalnego i idąc na zajęcia lub z nich wracając, co rusz trzeba było podnosić rękę do czapki. Po ośmiu godzinach wracał człowiek do akademika, zrzucał ciuchy, brał prysznic i znów czuł się normalnie.

A w szkole żadnej działającej organizacji, poza samorządem, nie było, zatem właśnie trafiał mi się gospodarz klasy. Tymi funkcjami niejako wymieniałyśmy się z kolegą i gdy wychowawca miał już dość jednego, po roku zastępował go drugi. I tak przez kilka lat na zmianę. Na świadectwie maturalnym mam jednak z zachowania bardzo dobry, bo ciało pedagogiczne doszło do wniosku, że nie można mi zamykać drogi na studia.

SĘKOWSKI: A tam nie tylko odnalazł się Pan w ZSP, ale i w PZPR. Skąd taka decyzja?

KOŁODKO: Nie był to na pewno przypadkowy impuls. Wkrótce po Marcu'68 próbowałem zrozumieć, co tak naprawdę i dlaczego się dzieje, i chciałem na te zmiany jakoś wpływać. Tak myślałem wtedy, a i przez wiele lat potem, nie rozumiejąc jeszcze głębiej istoty systemu. Chciałem wrzucać swój kamyczek do ogródka, będąc „w” a nie „poza”. Gdybym do PZPR wstąpił jeszcze w Gdańsku, to pewnie ktoś by mi wypomniał, że zrobiłem to, by dostać się na studia...

I tak jak lubiłem sobie kiedyś podyskutować z księdzem, tak lubiłem „pyskować” na zebraniach partyjnych. Do tego zresztą moje członkostwo w PZPR się sprowadzało; był to swoisty klub dyskusyjny, a dyskusje w SGPiS bywały pasjonujące i inspirujące. Nawet stypendium Fulbrighta w 1984 roku dostałem wbrew stanowisku Uczelnianego Komitetu PZPR, który wtedy mógł wiele. Na uczelni moja kandydatura przepadła, ale zgłosił mnie bezpośrednio do Ministerstwa Nauki Stanisław Majewski, prezes Narodowego Banku Polskiego, którego wówczas, już jako doktor habilitowany, byłem doradcą. System był wtedy taki, że ministerstwo wysyłało do ambasady USA dwakroć więcej kandydatów niż było miejsc i po rozmowie kwalifikacyjnej znalazłem się w gronie tych, których Amerykanie wybrali.

Na studiach bardzo mocno aktywizowałem się w ZSP. Najpierw na wydziale, potem kierując pracami Komisji Kultury Rady Uczelnianej, wreszcie jako szef Rady Uczelnianej, skądinąd najmłodszy w jej dziejach, bo już na początku trzeciego roku studiów. Do tych funkcji wystartowałem w demokratycznych wyborach, bo ZSP było organizacją, która demokratycznych zasad trzymała się skutecznie przez długie lata! *Nota bene*, jedyne odznaczenie, jakie otrzymałem w całym okresie PRL, to Srebrny Krzyż Zasługi przyznany mi na wniosek organizacji studenckiej.

Nie pełniłem nigdy funkcji partyjnych, ale jako przewodniczący RU ZSP zostałem w 1971 roku wybrany na konferencję dzielnicową, a potem i wojewódzką PZPR. Mało brakowało, a byłbym delegatem na zjazd, przewidzianym przez kogoś z władz jako jedynego delegat-student. I wtedy ni w pięć ni w dziewięć oblałem egzamin z języka angielskiego, a raczej „mnie obłano”, bo z rozmaitych powodów nie podszedłem do dwóch kolejnych terminów. Wtedy partia zmusiła mnie do rezygnacji



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

z funkcji prezesa Rady Uczelnianej. Też to wtedy ciężko przeżywałem.

RATKOWSKI: Nieźle jak na człowieka, który dziś chyba częściej wykłada po angielsku niż po polsku!

KOŁODKO: Przez ten angielski musiałem formalnie powtarzać rok. Zrobiłem wszak kolejne dwa semestry awansem, przygotowałem pracę magisterską pod kierunkiem profesora Maksymiliana Pohorillego i pani prodziekan, z którą zresztą miałem od dawna na pieńku, nie miała wyjścia. Musiała dopuścić mnie do obrony. Studia przeto skończyłem w terminie, ale w życiorysie mam odnotowane, że byłem „robolem”, jak i to, iż byłem „repentem”. Mogę jeszcze pochwalić się i tym, że z przedszkola usunięto mnie za złe sprawowanie i ostatni rok przedszkolny spędziłem u boku mamy, w domu...

Dodam jeszcze, że – paradoksalnie – następstwa wydarzenia Marca'68 miały dla mnie wielce pozytywny skutek. Oto prof. Pohorille, którego wykładów z ekonomii już na pierwszym roku z autentyczną fascynacją słuchałem, był wcześniej rektorem Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR, a na SGPiS prowadził wykłady z ekonomii politycznej socjalizmu. Jako człowiek pochodzenia żydowskiego został z tej funkcji usunięty, zaś na SGPiS zamieniono mu wykłady z ekonomii politycznej socjalizmu na kapitalizmu, czyli ekonomii gospodarki rynkowej. Żartował później, że to tak jak w chińskim teatrze, gdzie „gorszy” aktor dostaje „gorszą” rolę. Do niego właśnie trafiłem na seminarium magisterskie – już z pełną świadomością, dzięki wysłuchaniu wykładu, którym go obarczono „za karę”, co to jest ekonomia – i wymyśliłem sobie sam pracę na temat nierównowagi rynkowej w Polsce.

Rzecz była podejrzana, bo w socjalizmie nierównowagi być nie powinno. A mnie właśnie to zafascynowało; w podręcznikach nie, a w rzeczywistości jest! Dla „bezpieczeństwa procesowego” w tytule pominięte zostało słowo „nie” i obroniłem pracę *Równowaga rynkowa w Polsce w latach 1965-1970*, w której dowodziłem, jaka jest i dlaczego – skala rynkowej – nierównowagi. Pracę obroniłem w 1972 roku i, ni stąd ni zowąd, dostałem za nią nagrodę Ministra Finansów! Nawet nie wiedziałem, że do niej kandyduję, a to na wniosek dziekana, ale już nie tego, który nieco wcześniej kierował mnie na repetę...

Nieco później, latem 1973 roku po raz pierwszy w życiu wyjechałem za granicę. Już jako „pan magister”. Uczelnia wysyłała grupę studentów do Czechosłowacji na tzw. praktykę, choć w istocie była to bardzo fajna trzytygodniowa wycieczka i potrzebny był tzw. opiekun. Chętnych nie było, więc trafiło na mnie. Nie krzywdzę sobie zresztą, bo bawiliśmy się dobrze w Bratysławie, Brnie i w Pradze; tam zwłaszcza „U Fleku”, pijąc w kłębach dymu tytoniowego czarne piwo. Dziś zastanawiam się, jak to możliwe, że wtedy człowiek wytrzymał jakoś ten dym?

CHUDZIŃSKI: W latach 70. był Pan młodym pracownikiem nauki. W tym środowisku ujawniły się poglądy rewizjonistyczne i postawy opozycyjne. Czy można jakoś Pana z nimi łączyć?

KOŁODKO: Rozumiem, że to nie jest jakaś supozycja, lecz normalne pytanie. Nie, nigdy bym siebie nie zaliczył ani do rewizjonistów, ani do tzw. opozycji demokratycznej. Natomiast do swoistej intelektualnej opozycji – jak najbardziej. Rewizjonizm w partii ujawnił się już po Październiku'56, ale o opozycji demo-

kratycznej nikt wtedy nie słyszał. Mówiło się najwyżej o „siłach antysocjalistycznych”, do których ani ja sam się nie zaliczałem, ani nikt chyba mnie nie zaliczał. Najbliższe wydaje mi się funkcjonujące wówczas określenie „reformator”.

Wpływ na mnie miały niewątpliwie przemiany po roku 1970, to co później nazwano „dekadą Gierka”, bo wówczas wiele się działo. Mnie do tej pory brakuje czegoś takiego, jak trzy ówczesne tygodniki, każdy o własnym profilu i każdy na wysokim poziomie. Mam na myśli „Politykę”, „Kulturę” i „Życie Gospodarcze”. Może moja opinia niejednego zirytuje, ale doprawdy wtedy było co czytać.

CHUDZIŃSKI: Jak dalek rozwijała się Pańska kariera naukowa?

KOŁODKO: Kilka miesięcy po studiach, w grudniu 1972 r. dostałem się na studia doktoranckie w SGPiS. To była dla mnie wielka sprawa! Nie tylko wstąpiłem już nieodwracalnie na tory ekonomii, ale też zakorzeniłem się na stałe w stołecznej Warszawie. Prof. Pohorille był także promotorem mojej pracy doktorskiej. Nieobciążony żadnymi funkcjami miał dla nas, młodych pracowników, doktorantów, sporo czasu. Przegadaliśmy dosłownie całe dni nie tylko o gospodarce i ekonomii. Na trzecim roku studiów doktoranckich zostałem zatrudniony jako starszy asystent, mając już złożoną i przyjętą, choć jeszcze nieobronioną pracę doktorską. I tym razem sam obrałem jej temat: *Cykliczność wzrostu w socjalizmie*. Znowu „mocno podejrzany”.

RATKOWSKI: Od wstrząsu do wstrząsu?

KOŁODKO: Nie. Chodziło raczej o wskazanie okresów wyższego i niższego tempa wzrostu w sytuacji, gdy mamy do czynienia z wbudowanymi endogenicznie mechanizmami, które nieuchronnie powodowały okresowe zwolnienia i przyspieszenia tempa tegoż wzrostu. W rezultacie nie był on ani równomierny, ani zrównoważony. Brało się to z przeinwestowania gospodarki, co wiązało się z państwową własnością środków produkcji i towarzyszącego jej braku twardej ograniczeniami budżetowymi z powodu ograniczonej roli pieniądza. Podczas kulminacji czasu „szybkiego i harmonijnego rozwoju”, na posiedzeniu Rady Wydziału otwierający mój przewód doktorski profesor Stanisław Maciej Zawadzki, kierownik Katedry Planowania i Polityki Gospodarczej, a zarazem dyrektor jednego z departamentów Komisji Planowania, powiedział: niech się Kołodko spieszy, bo może nie zdążyć!

Jednak zdążyłem, obroniłem pracę, wiosną 1976 roku zostałem adiunktem i pracowałem w Katedrze Ekonomii Politycznej na Wydziale Ekonomiki Produkcji do roku 1983. Tam jednak coraz mniej mi się podobało, bo mieliśmy zająć się „rozwinętym społeczeństwem socjalistycznym” jako problemem węzłowym. Jako niezależny ekonomista i badacz nie mogłem wszak tolerować przeideologizowanego i upolitycznionego dyskursu, tym bardziej że nieustannie ciągnęły mnie kwestie styku teorii z praktyką, polityki z gospodarką i społeczeństwem, niespójności dominujących interpretacji z trzeszczącą rzeczywistością, prawdy z nieprawdą. Postanowiłem napisać książkę o inflacji, mając już prawie gotową pracę habilitacyjną z zupełnie innego zakresu. Podejmując temat inflacji w socjalizmie, musiałem wypowiedzieć lojalność i opuścić tamtą katedrę.

Dokąd trafiłem? Otóż pewnego razu spotkałem redaktora naczelnego kwartalnika „Gospodarka Planowa”, noszącego wcześniej i dziś tytuł „Gospodarka Narodowa”, profesora Zygmunta Knyziaka, gdzie kilka lat wcześniej złożyłem artykuł zatytułowany *Cykle wzrostu w Polsce Ludowej* (ukazał się pt. *Fazy wzrostu...*, bo „cykle” źle się cenzurze kojarzyły...). Profesor Knyziak zaproponował mi pracę w swoim zespole, w którym był także profesor Krzysztof Porwit, zauważając, że mnie bardziej interesuje teoria polityki gospodarczej niż ekonomii. Coś w tym było na rzeczy, bo zawsze gdy badam jakieś zjawiska czy procesy gospodarcze, to się zastanawiam, co z nich wynika dla polityki, która powinna służyć zrównoważonemu rozwojowi i spójności społeczeństwa. I tak przenieśliem się z Katedry Ekonomii Politycznej do Katedry Planowania i Polityki Gospodarczej, przychodząc przy okazji na Wydział Finansów i Statystyki, choć z finansami ani statystyką miałem niewiele wspólnego. Już tam sfinalizowałem przewód habilitacyjny w oparciu o monografię *Cele rozwoju a makroproporcje gospodarcze*, którą najpierw wydała SGPiS, a potem dość szybko PWN.

Pisałem, nie tracąc czasu, książkę *Polska w świecie inflacji*. Tytuł nawiązywał do *Alicja w krainie czarów*, ale chyba tylko mnie tak się kojarzył. Nikt tych badań nie blokował, po dwóch latach praca ukazała się w wydawnictwie Książka i Wiedza i stała się podstawą do przyznania mi profesury – Senat SGPiS wysłał wniosek w 1988 r.

RATKOWSKI: Był Pan wciąż jeszcze przed czterdziestką. Najmłodszy profesor w Polsce.

KOŁODKO: Wtedy tak; teraz już nie... Równocześnie pisywałem do „Życia Gospodarczego” i do „Polityki”, gdzie w jakimś momencie zaproponowano mi stały esej. Zauważono mnie w NBP; profesor Władysław Jaworski, który tworzył zespół doradców prezesa, zaproponował mi tam pół etatu. Miałem już żonę i córkę, która się urodziła na 5 tygodni przed wprowadzeniem stanu wojennego, więc zostałem doradcą i przetrwałem w tym charakterze do końca 1987 roku. Towarów wówczas brakowało, inflacja się rozkręcała, mało skutecznie blokowano wzrost cen, więc rosły „oszczędności przymusowe”. Sporo o tym pisałem, także po angielsku. Namawiałem prezesa do ostrego postawienia w sejmie kwestii równowagi rynkowej, ale okazało się, że pewne rzeczy, które wydają się ekonomicznie racjonalne albo nawet oczywiste, są z powodów politycznych nie do zrealizowania. Prezes Majewski, który też zdawał sobie sprawę z sytuacji, gdy sugerowałem mu opowiedzenie się za bardziej radykalnymi prorynkowymi reformami, odrzekł: „Teraz tego nie da się przeprowadzić, bo nad Sejmem wciąż krąży duch Popiełuszki”.

CHUDZIŃSKI: Pan się nieco zachnął, kiedy pytałem o sytuację polityczną lat 70-80., a przecież to wtedy był Grudzień, Radom, Solidarność i stan wojenny – bo byłem ciekaw, jak Pan na te wydarzenia reagował?

KOŁODKO: Zasadniczo jestem ekonomistą. Moja misja to zrozumieć, co i dlaczego w szeroko rozumianej sferze gospodarki się dzieje, i co i jak robić, aby działo się lepiej. Dla ludzi. Oczywiście, mocno przeżywałem tamte wydarzenia, ale zawsze orientowałem się do przodu, ku przyszłości. To, co działo się później – albo, może lepiej, co *pro publico bono* dziać się powinno –

było dla mnie ważniejsze. Coraz więcej rozumiałem i wiedziałem, stałem więc wobec wyzwania, jak to wykorzystać dla dobra sprawy. I dziś, gdy patrzę na świat współczesny, widzę, że dzieją się rzeczy paskudne, a my spokojnie o tym rozmawiamy. Nie przeciwstawiamy się dostatecznie zdecydowanie niszczeniu środowiska naturalnego, przegrzewaniu klimatu, tolerowaniu nędzy i ubóstwa w sytuacji, gdy są ludzie, którzy nie wiedzą, co robić ze swoimi miliardami, niewiele robimy, by odwrócić tendencje do narastania nierówności dochodowych i majątkowych, a to beczki prochu, na których siedzi ludzkość. Polacy też. Bez dobrej, użytecznej społecznie teorii ekonomii nie damy rady sprostać piętrzącym się wyzwaniom. Wrzucaniu swego własnego kamyczka do tego ogródka warto poświęcić życie. I to właśnie robię.

Długo „robiłem swoje”, zajmując się realnym socjalizmem. Tym istniejącym, a nie tym opisywanym w apologetycznej literaturze pseudonaukowej. Jego analizy doprowadziły mnie do zajęcia się międzynarodowymi stosunkami gospodarczymi, krajami rozwijającymi się albo cyklami wzrostu w wysoko rozwiniętym kapitalizmie. Ta szeroka konfrontacja pogłębianej nieustannie wiedzy teoretycznej z coraz bogatszym postrzeganiem tego, co się dzieło w realu, uzmysławianie sobie, jak te dwa byty się rozjeżdżały, stawało się inspirujące. Bardziej mnie to zawsze zaciekało jako przedmiot naukowych dociekań niż jako powód politycznych irytacji. Dodam, że jest to coraz bardziej frapujące, bo od czasu pamiętnego pierwszego przekroczenia polskiej granicy w roku 1973 wędruję po tym świecie nieustannie. Właśnie zwiedziłem już 168. kraj, a na początku roku jeszcze kawałek Antarktydy. Toprowokuję dorównań, a komparatystykato jeden z tronów mego podejścia do ekonomii.

RATKOWSKI: Oto klerk!

KOŁODKO: Jeśli ktokolwiek twierdzi, a słyszałem o wypowiedziach kołosiów z czasów studiów, że przy wódce widziałem siebie w składzie Biura Politycznego, najwyższej władzy PZPR, to miało to taką samą wagę, jakbym Panom teraz na trzeźwo powiedział, że po Franciszku chcę zostać papieżem. Moje polityczne ambicje nigdy nie sięgały ministra, a na uczelni nawet dziekana, choć przez pewien czas byłem prodziekanem, bo wskazali mnie studenci na tę funkcję jako swego ulubionego wykładowcę. Bronilem się rękami i nogami, ale zostałem skutecznie wrobiony. Zawsze za to – i zostało mi to na zawsze – miałem ambicję, aby rozumieć i wiedzieć coraz więcej.

CHUDZIŃSKI: Czy był Pan członkiem Solidarności?

KOŁODKO: Do Solidarności nie wstąpiłem i nigdy tego nie żałowałem. Dla mnie to był przede wszystkim ruch populistyczny, a ja populistą nigdy nie byłem. Jestem wręcz wrogiem populizmu i dlatego populiści odplacają mi się tym samym. O tym można by mówić wiele...

W 1985 roku wyjechałem na roczne stypendium Fulbrighta do USA, a kiedy wróciłem, prezesem NBP był już profesor Władysław Baka. Na uczelni byłem już docentem, co dziś jest równoznaczne z uczelnianym profesorem, i zastanawiałem się, czy kontynuować współpracę z NBP, a przecież poważnie traktowałem rolę doradcy, choćby na półtatu, ale za to na pełen

gwizdek. Napisałem dla prezesa kilka materiałów, ten je zauważył i tak znalazłem się w elitarnej grupie nazywanej „bakowcami”, w odróżnieniu od reszty „bankowców”. Prof. Baka zainicjował wtedy *Program umacniania pieniądza*, ja zaś sugerowałem, by pójść zdecydowanie dalej, by był to *Program umacniania roli pieniądza*, a więc w istocie urynkwienia gospodarki. Usłyszałem wtedy, podczas jednej z polemik *tête-à-tête*, że za wcześnie, bo „atrament na planie pięcioletnim jeszcze nie wysechł”. Znowu okazywało się, że wiele z tego, co moim (i nie tylko) zdaniem było konieczne, nie było możliwe.

Na bariery polityczne nakładały się wątpliwości i kontrowersje ekonomiczne. Pamiętam – to chyba była jesień 1987 r., tuż po referendum na temat drugiego etapu reformy gospodarczej – zebranie w sali świetlikowej Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Na to spotkanie generał Jaruzelski zaprosił paru wybitnych ekonomistów. Był tam oczywiście wicepremier i szef Komisji Planowania, prof. Zdzisław Sadowski, był Mieczysław Rakowski. Do żadnych sensownych rozstrzygnięć nie doszło, bo – jak stwierdził Jaruzelski – naszymi, czyli ekonomistów radami piekło jest wybrukowane. Miał rację. Teraz też.

RATKOWSKI: Był też potworny opór materii. Odbywałem wtedy obowiązkowe trzy miesiące służby wojskowej i referowałem grupie oficerów w jednostce założenia reformy Rakowskiego. Mówiłem wprost, że to ostatnia szansa i jeśli się nie uda, to źle się to skończy. Reakcją był zgodny rechot.

KOŁODKO: Pod koniec 1987 roku profesor Baka poprosił mnie, abym w NBP założył Instytut Bankowości i Pieniądza. Przejąłem się tym bardzo, podjąłem różne próby i rozmowy, ale wielu ekonomistów, mocno związanych z Solidarnością, odmówiło. Udało się jednak zgromadzić grono świetnych młodych ekonomistów i powstał nie instytut, lecz Zakład Naukowo-Badawczy Bankowości i Pieniądza. Wkrótce znów nastąpiła zmiana po drugiej stronie Świętokrzyskiej i ministrem finansów w rządzie Rakowskiego został mój kolega ze studiów, Andrzej Wróblewski. Zapropnował mi objęcie Instytutu Finansów, więc po rocznym dyrektorowaniu w banku centralnym zostałem dyrektorem IF. Pięć tygodni później zaczyna się Okrągły Stół, przy którym znów mnie było widać i słyhać. Zostałem tam zaproszony przez profesora Bakę – współprzewodniczącego wraz z profesorem Witoldem Trzeciakowskim sekcji ekonomicznej obrad – ale pytany przez dziennikarzy, po której stronie siedzę, zawsze mówiłem, że stół jest okrągły. Byłem formalnie po stronie rządowej, co nie wykluczało w niektórych sprawach doskonałej współpracy, niekiedy wręcz współdziałania z pragmatycznymi ludźmi ze strony solidarnościowej, na przykład z profesorem Jerzym Mujzelem.

SĘKOWSKI: I stąd już tylko krok do dziś tak szeroko opisywanych wydarzeń, jakby je nazwać... „pookrągłostołowych”?

KOŁODKO: Kiedy analizowałem nasze problemy, to wskazywałem, że często mają one przyczyny subiektywne i wynikają z konkretnych błędów polityki gospodarczej. Musiał więc nastąpić taki moment, że powiedzieli: skoro Kołodko jesteś taki mądry, to rób! Dwukrotnie odmówiłem zostania ministrem. Po wyborach 4 czerwca misję utworzenia rządu powierzo-

no generałowi Czesławowi Kiszczakowi i w sierpniu 1989 roku zaproponował mi funkcję ministra finansów. W jego imieniu rozmawiał ze mną wicepremier Ireneusz Sekuła. Minutę trwała odmowa, a 59 minut rozmawialiśmy jak wicepremier do spraw gospodarczych z profesorem ekonomii. Wiedziałem, że w tamtych realiach politycznych moje pomysły co do programu gospodarczego nie miały najmniejszych szans realizacji.

Trzy dni później wsiadłem do samolotu i jako dyrektor Instytutu Finansów, członek oficjalnej delegacji Ministerstwa Finansów, poleciałem do Chin. Po raz pierwszy w życiu. To było wkrótce po wydarzeniach na placu Tiananmen; zupełnie inny kraj niż teraz. Szefem czteroosobowej delegacji był Wincenty Lewandowski, sekretarz stanu, przewodniczący Państwowej Komisji Cen, polityk PAX-u, a naszym gospodarzem był chiński minister do spraw cen. Z jednym z jego zastępców część delegacji poszła w Pekinie do jakiejś podłej knajpy. Pijemy ciepłą wódkę, a tam w podwieszonym pod sufitem telewizorze Tadeusz Mazowiecki, z marynarką na palcu, ociera pot z twarzy. Powierzono mu misję utworzenia rządu. To wtedy padł tzw. komunizm. Tzw., bo przecież żadnego komunizmu w Polsce nie było. Ja nadal miałem co robić. W nauce, bo tam było moje miejsce, choć wciąż dość blisko polityki. W przenośni i dosłownie, bo gabinet dyrektora Instytutu Finansów był na I piętrze ministerstwa, tuż obok gabinetu ministra.

RATKOWSKI: I przychodzi pora na plan Balcerowicza. Może nie był to plan, tylko po prostu zwykły biologiczny odruch wobec grozy inflacji?

KOŁODKO: To był plan. W planie wszakże zawsze bardzo dużo zależy od tego, jak sformułowane są cele i jakie środki mają prowadzić do ich osiągnięcia. W tym przypadku doszło do mylenia środków polityki z jej celami. To była nie tylko zła koncepcja, lecz w dodatku została ona źle zrealizowana, a więc podwójny błąd. Jej zwolennicy powiadają, że chodziło o nieodwołalne pchnięcie gospodarki w stronę rynku, a to przecież wymagało radykalnego wyeliminowania syndromu, który nazwałem w literaturze anglosaskiej *shortageflation*, czyli inflacją zasobowo-cenową – schorzeniem, które przejawiało się i we wzroście cen, i w niedoborach, czyli brakach podaży, czego nie można było tolerować. Bez mała wszystko było coraz droższe wskutek inflacji cenowej (otwartej) i zarazem wielu towarów nie sposób było kupić w wyniku inflacji zasobowej (tłumionej). Otóż bezsprzecznie należało wyrwać inflację zasobowo-cenową, *shortageflation*, z jej systemowymi korzeniami, ale przecież można było to zrobić dużo lepiej, z mniejszymi kosztami społecznymi i większymi efektami gospodarczymi, co przecież proponowałem. I nie tylko ja, bo też chociażby profesorowie Tadeusz Kowalik, Zdzisław Sadowski czy Leon Podkaminer.

To fakt, że stopa inflacji zaczęła spadać, choć zdecydowanie wolniej niż to zapowiadano. Nie przybyło towarów w sklepach, bo tych było zdecydowanie mniej wskutek towarzyszącej „szokowej terapii” recesji, ale na jeszcze większą skalę ubyło pieniędzy w kieszeniach. Koszty tej operacji były nadmierne wysokie, a fakt, że w Rosji i na Ukrainie były jeszcze wyższe nie wynika z tego, iż mieliśmy taki znakomity „plan”, lecz z tego, że z jednej strony w innych krajach popełniono jeszcze więcej błędów, z drugiej zaś Pol-

ska (wraz z Węgrami) była lepiej niż ktokolwiek inny przygotowana do tak radykalnych zmian ustrojowych – w rezultacie rynkowych reform podejmowanych w latach 80. Ten aspekt wielkiej zmiany wciąż dzisiaj jest niedoceniany.

CHUDZIŃSKI: Najwięcej determinacji na tym polu wykazał rząd Rakowskiego i minister Wilczek?

KOŁODKO: Tak, ale nie tylko oni. Wypadałoby wskazać jeszcze kilku innych, choćby wspomnianych już profesorów Bakę i Sadowskiego czy też ostatniego ministra finansów w Polsce Ludowej, Andrzeja Wróblewskiego. Zostawił on i jego ekipa w swoich szufladach sporo, z czego korzystali następcy w zgoła odmiennych już warunkach politycznych, kiedy to niemożliwe stało się możliwe. Program pierwszego rządu Solidarności był przy tym wszystkim w dużej mierze motywowany ideologicznie i politycznie, a nie pragmatycznie i ekonomicznie, bo chodziło o wyrugowanie wszystkiego, co się łączyło z socjalizmem, który oni z uporem nazywają komunizmem. Tymczasem, jak dowodzi profesor Andrzej Walicki, a ja się z nim w pełni zgadzam, realny socjalizm nie miał nic wspólnego z komunizmem, bo ten, jeśli w ogóle, to co najwyżej był realizowany u nas w wersji stalinowskiej i skończył się w październiku 1956 roku. Wtedy poszedłem do pierwszej klasy szkoły podstawowej w Tczewie, gdzie na korytarzu zdjęto plansze obrazujące mały schodzący z drzew i powieszono krzyż oraz wprowadzono lekcje religii. Później wracano do niektórych starych praktyk, ale to nie był żaden komunizm. Dodam, że już po dwu latach w mojej szkole krzyże zniknęły, a plansze z naszymi poprzednikami zajęły swoje wcześniejsze miejsce.

CHUDZIŃSKI: Wracając do planu Balcerowicza. Zastosowano terapię szokową!

KOŁODKO: „Terapia szokowa” to kolejne oszustwo polegające na połączeniu dwóch słów – szoku z terapią. To przypomina taką parę słów jak „szczęśliwe małżeństwo”. Wypowiadając te dwa słowa razem – bo to definicja – imputuje się, że jak „małżeństwo”, to od razu „szczęśliwe”. Bynajmniej; znam niejedno, któremu daleko do tego. „Szokowa terapia”, a więc gdy „szok”, to i „terapia”. Bynajmniej. Termin „terapia” ze swej istoty sugeruje skuteczność, tak więc „szokowa terapia” miała niby gwarantować osiągnięcie założonego celu. Tymczasem zbyt wiele było niepotrzebnych, możliwych do uniknięcia i kosztownych szoków, za mało natomiast możliwej do osiągnięcia terapii. Program liberalizacji był zbyt radykalny, a program stabilizacji został przestrelony. Mówiąc popularnym językiem – zdecydowanie przedobrzone. W 1991 roku na organizowanym przez Amerykanów seminarium w Salzburgu mówiłem o polityce stabilizacyjnej. Był tam również Duszan Trziszka, autor późniejszej czeskiej „kuponowki”, tamtejszego modelu prywatyzacji i rozdawnictwa. Słuchał mojego wykładu i powiada w pewnym momencie: Profesor Kołodko mówi o stabilizacji, efektywności i konkurencyjności, a to wszystko są sprawy drugorzędne. Najważniejsze to zniszczyć własność państwową! Wyrwać ją z korzeniami, bo to fundament komunizmu, który trzeba zetrzeć z powierzchni ziemi!

Jeśli tak jest sformułowany cel, to jesteśmy w zupełnie innej rzeczywistości. Przypomniał te czasy Marek Pol na niedawnej konferencji w Akademii Leona

Koźmińskiego, której jestem wykładowcą. Na samym początku lat 90. posunięto się do tego, że zlikwidowano cła importowe, co położyło masę polskich przedsiębiorstw. Kiedy Pol spytał jednego z ówczesnych ministrów, skąd taki ruch, usłyszał w odpowiedzi, że przedsiębiorstwa nie padały i trzeba było ten proces przyspieszyć... Oto przykład motywacji ideologicznej w gospodarce.

Możemy i powinniśmy spokojnie dyskutować, jak ekonomista z ekonomistą, które posunięcia były nietrafione albo źle pomyślane, nadmiernie radykalne albo za wcześnie lub za późno wprowadzone. Na tym polega profesjonalna dyskusja, która w pewnym sensie ciągle trwa. Wcześniej wszak, w czasach forsowanego szoku bez terapii, jak to określam, takiej rzetelnej debaty brakowało. Wybitny brytyjski, ale zamerykanizowany ekonomista John Williamson jest autorem pojęcia *Washington Consensus*, które usiłowało trzy dekady temu odpowiedzieć na pytanie, jak przeprowadzić tzw. dostosowanie makroekonomiczne, czyli jak liberalizować i równocześnie stabilizować gospodarkę. Ta koncepcja została wszakże sformułowana w końcu lat 80. W odpowiedzi na kryzys strukturalny w zadłużonych ponad miarę, niesterowalnych i oligarchicznych gospodarkach Ameryki Południowej. I wtedy pojawiliśmy się my, ze swoją posocjalistyczną czy – jak teraz niektórzy ją nazywają – pokomunistyczną transformacją. Zachodni eksperci byli totalnie zaskoczeni upadkiem najpierw realnego socjalizmu w Polsce i innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej, a potem także rozkładem ZSRR i wszystko, co mieli do powiedzenia w tej sprawie, to był właśnie *Washington Consensus*, który kompletnie nie pasował do naszej sytuacji. Ale w Polsce mieli swoich zwolenników, tych naszych nadwiślańskich neoliberalistów. I to ich trzeba winić za błąd w myśleniu i działaniu, a nie ich zachodnich doradców i sponsorów.

SĘKOWSKI: Mieli też Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy i Departament Stanu USA.

KOŁODKO: Tym wszystkim rządził Departament Stanu, wiem coś o tym, bo byłem kilkakrotnie w MFW, dwakroć na początku dekady lat 90. i tyleż w jej końcu, i widziałem to od środka. Po jednym z moich wystąpień w Waszyngtonie, profesor Williamson napisał do mnie ciekawy list, którego fragmenty warto zacytować. Oto pisze on m. in.: »Byłem szczególnie zadowolony, że podjął Pan próbę alternatywnego podejścia wobec tak zwanego Big Bangu (czyli „terapii szokowej”) w postaci bardziej ostrożnej realizacji poszczególnych elementów polityki, a nie generalnego spowolnienia „gradualizmu”«. Williamson dostrzega, że my nie hamowaliśmy reform, co zarzucano SLD, tylko lepiej je zaprogramowaliśmy i na tym polegała zasadnicza różnica. Strategia dla Polski opierała się na ekonomicznej teorii społecznej gospodarki rynkowej, a tzw. plan Balcerowicza na doktrynie neoliberalnej. To zasadnicze różnice.

SĘKOWSKI: Pan był od początku przeciwnikiem tego planu i implementacji neoliberalnych wzorów sprawdzanych w Ameryce Łacińskiej oraz próby ich topornego przeniesienia na grunt polski.

KOŁODKO: Jak pisałem wtedy w „Życiu Gospodarczym”, rządy Solidarności robiły to z topornością drwała, a nie precyzją chirurga. Klasycznym przykładem

było przestrzelenie programu stabilizacyjnego czy sposób potraktowania państwowych gospodarstw rolnych. Przecież zamiast niszczyć, można było PGR-y przekształcać w spółki pracownicze czy prywatyzować jako wielkotowarowe, kapitalistyczne przedsiębiorstwa rolne, przy okazji niektóre z nich wynajmując na 99 lat Arabii Saudyjskiej czy Katarowi, co uczyniły niektóre inne kraje transformacji. Tymczasem dewastując, zlikwidowano je z powodów ideologicznych, bo stanowiły oparcie dla „komunizmu”.

RATKOWSKI: Cóż, teraz też przedsiębiorstwa państwowe stają się oparciem dla PiS, partii, która ma monopolistyczne ambicje?

KOŁODKO: Skądże znowu! Wiele o tym niektórzy mówią, ale więcej w tym polityki czy, znowu, ideologicznego zacietrzewienia niż prawdy. Renacjonalizacja bynajmniej nam nie grozi. Wróćmy jednak do listu Williamsona. Dalej zauważa on: „Co do wątków dotyczących protekcjonizmu i prywatyzacji, zgadzam się z panem po fakcie, i zaiste mógłbym się również zgodzić naoczas. Ale z całą szczerością muszę wyznać, że nadal sądzę, iż gdybym był na miejscu Balcerowicza, być może nie mógłbym skonstruować pakietu przesądającego kierunek reform. Z perspektywy czasu myślę, że był on wtedy Polsce potrzebny i położył fundament pod pański, zwieńczony sukcesem okres pracy z rządu. Być może trzeba było nieco przestrzelić, aby pańskim partnerom politycznym ułatwić emocjonalne pogodzenie się z faktem, że właśnie świat się zmienia, a może nawet umożliwić im skorygowanie oczekiwań i w rezultacie pozyskać dla nowego modelu? Przypomina mi to sytuację mojego kraju. Czuje się dużo lepiej z Tony Blairem niż z panią Thatcher na stanowisku premiera, jednak nie jestem pewien, że dziś moglibyśmy mieć jego, gdyby jej wcześniej nie było”.

SĘKOWSKI: Czy Pan też tak uważa?

KOŁODKO: Oczywiście nie byłoby mojej polityki, nie byłoby Strategii dla Polski w takim kształcie, w jakim została ona przygotowana i wdrożona, gdyby nie Balcerowicz i jego linia polityczna. Gdyby – naprawiając sporo, bo niewątpliwą zasługą jest wyprowadzenie gospodarki z syndromu *shortageflation* i skierowanie jej nieodwracalnie na tory rynkowe – zarazem nie zepsuł tak wiele w polskiej gospodarce, to zapewne bym do polityki nie trafił, podobnie jak Blair nie miałby czego naprawiać, gdyby wcześniej tak wiele nie naknociła Margaret Thatcher swoją neoliberalną polityką, wobec której ponoć nie było alternatywy; to jej słynne TINA, *There is no alternative*. Otóż była wtedy i teraz też jest.

Krytykowałem plan Balcerowicza od początku i byłem z tego powodu sekowany. Jako dyrektor Instytutu Finansów miałem „gorącą linię” telefoniczną z ministrem finansów. Gdy został nim Leszek Balcerowicz wciąż jeszcze zapraszano mnie na posiedzenia kolegium ministerstwa. To oczywiste że i na tamtym forum nie ukrywałem swoich poglądów. Wkrótce więc odcięto mi „gorącą linię”, przestano mnie zapraszać i próbowano nawet zlikwidować instytut, odcinając go od elementarnego finansowania! Metodą na to była rządowa „kategoryzacja” państwowych instytutów naukowych i musiałem ostro walczyć o przetrwanie naszej placówki, którą – choć bezsprzecznie była jedną z najlepszych w kraju – próbowano spacyfikować. To była oczywiście



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

szykana za naszą krytykę – przecież twórczą i konstruktywną.

Raz jeszcze – nie przeceniam roli zagranicy winiąc za błędy i niedociągnięcia polskiej transformacji, zwłaszcza początkowego „szoku bez terapii”, rodzimych polityków gospodarczych i ich doradców. Ale roli tejsze zagranicy jednak nie należy bagatelizować. Swoje znaczyli i zrobili. Oto jeszcze przed powołaniem rządu Tadeusza Mazowieckiego przyjechała do Polski ekipa gospodarcza, którą inspirował i finansował George Soros. Znaleźli się w jej składzie m.in. Jeffrey Sachs, do dziś przegłaśniany, David Lipton, ostatnio wiceszef MFV oraz kilku zachodnich ekonomistów polskiego pochodzenia. To był sprytny pomysł Sorosa, który również stosowano w innych krajach, choćby w Słowenii. W tym gronie byli Stanisław Wellisz z Columbia University, Roman Frydman z New York University, Stanisław Gomułka z London School of Economics, oni znali polskie realia. Soros wcześniej zakreślił swój „plan” transformacji. Jego pierwsza część to była właśnie ta „szokowa terapia”, a druga – forsowana już po tej niby udanej liberalizacji i stabilizacji – to szybka prywatyzacja, zakładano bowiem, że przy względnie zrównoważonym rynku wystarczy przesunąć własność środków produkcji z rąk państwowych do prywatnych, aby na trwałe podnieść efektywność gospodarowania. Otóż nie wystarczy, bo dobra gospodarka rynkowa wymaga demonopolizacji i rozwiniętej konkurencyjności oraz stosownej obudowy instytucjonalnej, tę zaś tworzy się długo i mozolnie, a nie krótko i wstrząsowo.

Jest książka na temat polskiej transformacji, zwłaszcza przełomowych lat 1988-1990 – bardzo obszerna, dwutomowa, opublikowana przez Wydawnictwo Scholar – którą przygotowali do druku Stanisław Gomułka z Tadeuszem Kowalikiem. Wydrukowano w niej m.in. listy i raporty, jakie przesyłał do Sorosa Gomułka, raportując mu, jak realizowany jest jego *Plan dla Polski*. Krótko mówiąc, to nie była od początku do końca oryginalna, nadwiślańska koncepcja i nie była to też koncepcja w pełni akceptowana przez Międzynarodo-

woy Fundusz Walutowy, o czym mogłem się przekonać, uczestnicząc w kilku dyskusjach, w których MFV usiłował powstrzymać ówczesnego wicepremiera-ministra finansów przed zbyt radykalnymi działaniami. Uważano, że Balcerowicz ze swoją ekipą przesadzają, że reformy można było przeprowadzić mniej brutalnie. I słusznie. Nie posłuchano tych przestróg, więc nic dziwnego, że potem zaczęły się liczne protesty i strajki, ale wszechpotężna wówczas Solidarność taki kierunek reform ostaniała i dziś próbuje się nadal ludziom wmawiać, że „nie było alternatywy”.

RATKOWSKI: Jak dziś przy okazji strajku nauczycieli!

KOŁODKO: Wtedy na dużo większą skalę. Oczywiście, Mazowiecki popełnił błąd, startując w wyborach prezydenckich w 1990 roku przeciw Lechowi Wałęsie. To był początek „wojny na górze”, która toczy się do tej pory z dewastującymi dla polskiej tkanki politycznej konsekwencjami. Nagle ni stąd, ni zowąd pojawił się Stan Tymiński, z czego nie wyciągnięto właściwych wniosków. Przecież uzyskanie przez Tymińskiego większej liczby głosów niż dostał Mazowiecki oznaczało odrzucenie w demokratycznym procesie owego planu Balcerowicza. Mimo to kontynuował go przez następny rok rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego. Niedługo potem, dzięki funkcjonującej u nas demokracji, czego nie było na Ukrainie czy w Rosji, wygrała formacja lewicowo-centrowa, która skorygowała politykę gospodarczą.

CHUDZIŃSKI: Na dwa lata przed śmiercią Kuroń powiedział nam, w podobnej rozmowie, że niczego bardziej nie żałuje jak tego, że swoim nazwiskiem podżyrował plan Balcerowicza, a zwłaszcza „złodziejską prywatyzację”. Kilka lat później prezydent Kwaśniewski, też w rozmowie *Trzech na Jednego* usprawiedliwiał błędy Balcerowicza, a także lewicy, argumentując, że to w końcu był wyjątkowy eksperyment. Nikt wcześniej nie szedł od „realnego socjalizmu” do „kapitalizmu”.

KOŁODKO: Niejeden kiedyś lewicowy polityk przesunął się później do środka, a niektórzy wręcz przeszli na pozycje neoliberalne. Tak było im łatwiej, to się im opłaca... A co mówili wtedy, gdy Sojusz Lewicy Demokratycznej, SLD, dochodził do władzy? Kongres Liberalno-Demokratyczny, skąd wywodzili się premier Bielecki i dziś ulubiony przez niektórych Donald Tusk, nazywano „Kongresem Lewych Dochodów”. Włodzimierz Cimoszewicz wtedy wraz z innymi pokazywał czyste ręce, sugerując, że przeciwnicy polityczni mieli brudne. Nie mówili wprawdzie „wystarczy nie kraść”, ale sens był podobny. SLD doszedł do władzy w roku 1993 na totalnej krytyce polityki początku lat 90., ale nie miał dobrego programu społeczno-gospodarczego. Lewica wygrała wybory, bo naród miał dość bezholowia Solidarności, która go okłamała i nie wywiązała się z obietnic składanych przy Okrągłym Stole i przed wyborami.

We wrześniu 1993 roku byłem w USA, w Charleston w stanie Georgia, nad Atlantykiem. W tej samej miejscinie, w której zrodził się znany taniec w latach 20. Byliśmy właśnie po konferencji i słuchaliśmy radia, które Marek Dąbrowski tam kupił. Gospodarzem był Kazik Poznański, który wyjechał w latach 80. na stypendium do USA, pozostał tam do tej pory – mieszka

w Seattle. Poszliśmy nad morze się wykąpać, fale nas kołysały, a tu nagle dociera wiadomość, że SLD wygrał wybory. Poznański mówi: – Będziesz ministrem finansów! Wychodzimy z wody, idziemy do jakiejś restauracji, ja – wówczas jeszcze mięsożerca – wziąłem jakiegoś homara... Posadzili mnie na honorowym miejscu i widzę, że wszyscy, łącznie z profesorem Mujzelem, który też tam był, nie mają wątpliwości, że będę ministrem finansów. Wsiadamy do samolotu i lecąc przez Nowy Jork, lądujemy w Warszawie. Następnego dnia o dziewiątej rano przychodzi Marek Borowski i „w imieniu premiera Kwaśniewskiego” zaproponował mi stanowisko wicepremiera i ministra finansów. – Masz przecież wszystko w swoim komputerze!, dodał.

Tymczasem okazało się, że Waldemar Pawlak uwarunkował wejście PSL do koalicji z SLD tym, iż to on będzie premierem. Od tego czasu Kwaśniewski i Borowski nie znoszą Pawlaka; czasami nie potrafią nawet tych uczuć maskować, a powinni. Oglądałem wówczas jeszcze to coś, co się nazywa telewizją i zobaczyłem Pawlaka wchodzącego do Urzędu Rady Ministrów z moją książką *Kwadratura pięciokąta* pod pachą. Przeczytał ją, dyskutował ze mną merytorycznie na temat przedstawionych w niej koncepcji. Upraszczając, chodziło o zintegrowane podejście do ścieżki celów w polityce społeczno-gospodarczej, co ilustrował rzeczony pięciokąt. Jego istota polegała na połączeniu pięciu wierzchołków: stopy wzrostu PKB, stopy bezrobocia, stopy inflacji, salda budżetu państwa i salda obrotów zagranicznych. W książce pokazywałem związki między wszystkim tymi kwestiami, nie tak jak ci, którzy nie oglądając się na koszty w sferze realnej i społeczne skutki walczyli wyłącznie z inflacją, ale i nie tak jak ci, którzy wojują o najwyższe tempo wzrostu gospodarczego, a reszta się nie liczy.

Desygnowanemu już wtedy na premiera Pawlakowi to się podobało – zaproponował mi stanowisko wicepremiera i ministra finansów. Przyjęcie funkcji uzależniłem jednak do tego, czy moje pomysły będą realizowane. Na prośbę premiera napisałem 44 tezy. Są *in extenso* wydrukowane w książce *Strategia dla Polski*. Doradcą Pawlaka był wówczas profesor Franciszek Mleczek, socjolog mający do polityki i gospodarki oryginalne podejście typu gry wojenne, a ja podchodziłem do tego merytorycznie, uważając, że są problemy gospodarcze, które trzeba rozwiązywać.

RATKOWSKI: Takie podejście ma dziś PiS!

KOŁODKO: Jeśli tak, to z czasem przegra tę „wojnę”, bo już inflacja rośnie coraz bardziej, a produkcja coraz wolniej i ludzie coraz częściej wychodzą wpierw z siebie, a potem na ulicę. Cofając się zaś raz jeszcze o ćwierć wieku, ostatecznie stanęło na tym, że mam być ministrem finansów, a wicepremierem bez teki będzie Marek Borowski. SLD zorientował się, że nie będę realizował ich linii politycznej, ani żadnej innej partii, bo nie jestem chłopcem na posyłki. W tej sytuacji powiedziałem premierowi Pawlakowi, że dziękuję. Szlag trafił Cimoszewicza, który polecał do Kwaśniewskiego z oświadczeniem, że „w ogóle tej koalicji nie podpiszemy”, a ja po prostu wyszedłem z Sejmu, bo w jego salach rozgrywał się ten dramat...

RATKOWSKI: A właściwie dlaczego?

KOŁODKO: Bo oni chcieli mnie traktować tak jak premier Morawiecki traktował minister Czerwińską. Ona miała pilnować, żeby się słupki zgadzały, a oni będą robić politykę. Chwileczkę! To ja będę robił politykę i to tak, jak ja ją rozumiem – jako akt twórczy zmiany rzeczywistości społeczno-gospodarczej na lepszą, a nie tak jak wy to rozumiecie – kto, kogo i za ile!

Miałem już wtedy zaplanowany wyjazd na ciekawe badania do Instytutu Polityki Fiskalnej i Monetarnej w Tokio. Szybko więc zrezygnowałem i Marek Borowski dymisję ze stanowiska dyrektora Instytutu Finansów podpisał mi z lubością, bo to on dostał obok funkcji wicepremiera tekę ministra finansów. Nieco wcześniej zupełnie inaczej zachował się profesor Jerzy Osiatyński, minister finansów w rządzie Hanny Suchockiej, kiedy chciałem ustąpić z kierownictwa Instytutu Finansów. Powiedział: – O nie, Grzesiu, ja tego nie podpiszę, bo będą mówić, że cię wyłałem! A to był przecież solidarnościowy minister, a ja byłem kojarzony z lewicą, choć niekoniecznie z SLD.

No i polecałem do Japonii, ale oto pewnego wieczoru dzwoni premier Pawlak, że jednak będę wicepremierem i ministrem finansów. A co się stało? Zwolniliśmy Borowskiego! Powiedziałem, że prowadzę poważne badania i nie zamierzam ich przerywać, więc zaproponowałem, by zwrócili się do kogoś innego, może profesora Dariusza Rosatiego. Wkrótce z Tokio polecałem na wykłady do Los Angeles i tam, telefoniczne od kolegi z Banku Światowego, dowiedziałem się, że prezydent Wałęsa utracił Rosatiego. – Powiedział: – Nam ten Włoch nie jest potrzebny! Cóż, robiłem swoje, polecałem do Waszyngtonu, potem do Londynu, gdzie miałem wykład w London School of Economics, i wreszcie dotarłem do Warszawy. Premier Pawlak znowu dzwoni, ale właśnie wyjeżdżałem do Rzymu, gdzie otrzymałem na pół roku stypendium na uniwersytecie La Sapienza. Jednak tak na mnie naciskano – SLD nie mniej – że ostatecznie się zgodziłem, wróciłem z Rzymu po kilku dniach i prezydent Wałęsa wręczał mi nominację na wicepremiera i ministra finansów – z wyraźną radością, bo jemu z kolei powiedziano, „że ten Kołodko da Pawlakowi popalić”! I tak w kwietniu, dwadzieścia pięć lat temu, zostałem wicepremierem-ministrem finansów, mając już coś do powiedzenia, mając przemyślenia i będąc do tej funkcji poniekąd przygotowany...

Zaakceptowano moje warunki programowe i kadrowe. Przyprowadziłem do rządu swoją ekipę – kilkunastu ludzi, którzy dzisiaj są profesorami i doktorami habilitowanym. Właśnie opublikowana przez PWN książka pt. *Strategia dla Polski. Ćwierć wieku później*, 18 autorów, 17 z nich to doktorzy habilitowani i profesorowie, którzy sprawowali ważne stanowiska, głównie ministerialne i wiceministerialne, w moich ekipach gospodarczych w latach 1994-97 i później – 2002-03. Autorem jednego rozdziału jest ponadto Marek Pol, znakomity praktyk polityki gospodarczej, ze świetnym zrozumieniem aspektów mikroekonomicznych. Choć to nie ja ścigałem go do polityki, to wtedy szybko weszliśmy na podobne częstotliwości i dlatego też napisał rozdział. Profesora Marka Belki wśród współautorów nie ma, ale i jego do polityki ścigałem.

CHUDZIŃSKI: Jego też?

KOŁODKO: Kiedyś prezydent Kwaśniewski poprosił, abym znalazł kogoś nadającego się na dobrego doradcę ekonomicznego. Zaproponowałem Belkę. Człowiek spokojny, poważny ekonomista, wydawało się bez żadnych ambicji politycznych, a to u doradców ważna cecha. Boże, jak się sprawy mogą inaczej potoczyć! Mało kto wykazał się tak wielkimi ambicjami politycznymi jak Belka. No i zrealizował je, doszedł do najważniejszych funkcji oraz stanowisk i ma ich więcej niż niektórzy razem wzięci. Profesorowie Jerzy Hausner i Danuta Hübner to są też ludzie, z którymi robiliśmy *Strategię dla Polski*. Nasz polityczny impet – ktoś nawet nazwał to puczem, przewrotem pałacowym w gmachu Rady Ministrów, a w „Rzeczpospolitej” pojawił się artykuł pt. *Wicerząd wicepremiera*. I dlatego następnym razem, gdy Leszek Miller chciał, żebyśmy zostali u niego wicepremierem i ministrem finansów (jesteśmy w roku 2001) i poszedł z tym do prezydenta Kwaśniewskiego, to usłyszał: – A po co wam Kołodko? Koalicja dwóch (czyli SLD i PSL) wystarczy, a trzecia siła jest zbędna.

CHUDZIŃSKI: **Kołodko jako „trzecia siła”?**

KOŁODKO: No, na pewno nie spolegliwy polityk partyjny. Premier Miller sięgnął więc ponownie po Marka Belkę, ale rzeczy szybko się potoczyły, bo po siedmiu miesiącach on z kolei podał się do dymisji i Miller wrócił ze swoją propozycją.

CHUDZIŃSKI: **No i funkcjonuje Pan w realnej polityce na stanowiskach o których mowa, ale na czym po planie Balcerowicza polegała odmienność nowej polityki gospodarczej, którą Pan uosobiał?**

KOŁODKO: Zmierzałyśmy konsekwentnie w kierunku urynkwienia gospodarki, podkreślając imperatyw nadania jej charakteru społecznego. Bardzo mocno jako ekonomista- teoretyk, ale wówczas już praktyk, podkreślałem aspekt instytucjonalny, przedtem lekceważony. Z jednej strony chcieliśmy inaczej rozłożyć koszty transformacji, zrazem je minimalizując, z drugiej natomiast też inaczej, bo sprawiedliwiej dzielić jej coraz obficiejsze pojawiające się owoce. I to nie była tylko retoryka, skoro rzecznicy grup interesów związanych z neoliberalnym nurtem, z „Gazetą Wyborczą” na czele, napadali na nas bez przerwy. Naruszyliśmy bowiem ich interesy. Neoliberalizm, najkrócej ujmując, to system i polityka gospodarcza, która poprzez określoną deregulację i manipulacje fiskalne sprzyja wzbogacaniu nielicznych kosztem większości. Linia *Strategii dla Polski* natomiast tworzyła przyczółki społecznej gospodarki rynkowej. Temu służyły nasze reformy dochodowe i fiskalne, komercjalizacja przedsiębiorstw państwowych, konsolidacja sektora bankowego, sterowane otwieranie się na zewnętrzne kontakty finansowe i handlowe. A więc robiliśmy to zasadniczo inaczej niż nasi neoliberalni koledzy.

Po paru latach spotkałem w Budapeszcie na jakiejś konferencji Jeffreya Sachsa, ten klepie mnie po ramieniu i powiada: – Greg, nie różniłyśmy się tak bardzo w poglądach. O, nie!, różniłyśmy się zasadniczo. Teraz też często słyszę z obu stron, że nie różniłyśmy się wiele. Na dowód pokazuje się ludzi niegdyś lewicy, którzy weszli do parlamentu europejskiego z tej samej listy, co zatwardziali neoliberalci. Cóż, różniłyśmy się i – jak powiadałem w obliczu niekończących się

ataków – „raz z prawej, raz z lewej, rzadko z pozycji zdrowego rozsądku”. A ja lubię zdroworozsądkową krytykę.

SĘKOWSKI: **Ale sam Pan powiedział, że być może „trzeba było przestrzelić”? Trzeba było?**

KOŁODKO: Sytuacja była bardzo dynamiczna w latach 80.-90., a pole niepewności olbrzymie. Wielu rzeczy zapewne nie można było przewidzieć, nie mówiąc już o idealnie precyzyjnym zaplanowaniu. Mój wymóg, żeby to robić z chirurgiczną precyzją, był literacką utopią, lecz można było wprowadzać reformy zdecydowanie mniejszym kosztem społecznym. Po angielsku mówimy *overshooting*, czyli „przestrzelić”, ale i *overkilling*, a więc „zarznąć”. Szok bez terapii miał wiele cech tego drugiego ujęcia. Gdy słyszeliśmy argument, że psu nie obcina się ogona na raty, to odpowiadaliśmy – tak, ale dlaczego od razu za szyją?...

Wielu problemów już nie musieliśmy rozwiązywać jako rządy lewicowo-centrowe, kierowane po kolei przez premierów Pawlaka, Oleksego i Cimoszewicza oraz później Millera, ale inne musieliśmy podjąć, bo wcześniej nie zostały nawet zauważone. Nie odeszliśmy od pluralizmu i rynku, ale odeszliśmy od neoliberalnej doktryny. Od poprzedników i następców różniłyśmy się na wielu polach ideologii i polityki, teorii i praktyki, sposobów myślenia i działania. I – w konsekwencji – rezultatów, które uzyskiwaliśmy. W wielkim procesie wielkiej transformacji ustrojowej mamy do czynienia z dialektyką ciągłości i zmiany. Na pewno w czasie rewolucji francuskiej czy październikowej, a u nas w przełomowym roku 1989 – Okrągły Stół, wybory czerwcowe, nieudana próba powołania rządu Kiszczaka, koalicyjny rząd Mazowieckiego, plan Balcerowicza – działo się ogromnie wiele. Epokowe wydarzenia rozegrały się w ciągu 12 miesięcy! To była rewolucja, wprawdzie bezkrwawa, ale rewolucja. Po jakimś czasie władzę przejmuje inna formacja, SLD i PSL, co dowodzi zmienności, ale przecież i ciągłości, choć nikt nie potrafi dokładnie powiedzieć, czego było więcej: zmian czy ciągłości?

Kiedy na przedwiośniu '97 roku odchodziłem w wybrany przez siebie momencie z rządu, bo zrealizowałem już najważniejsze założenia *Strategii dla Polski*, a nie chciałem tkwić w polityce w okresie kampanii wyborczej, to pytano, czy wrócę do polityki? Odpowiadałem tak, jak wtedy myślałem, że „głupi byłbym!” A jednak wróciłem... Telefon – już wtedy były komórki – od premiera Millera zaskoczył mnie też z dala od ojczyzny, bo na Maderze. Tym razem to on zaczął od tego, że mogę postawić warunki brzegowe: programowe i kadrowe. Niepodjęcie się kreowania polityki gospodarczej najważniejszego kraju Europy Środkowej w historycznym okresie przystępowania do Unii Europejskiej – to byłaby głupota! Nie mogłem takiego wyzwania nie podjąć.

CHUDZIŃSKI: **I pojawiły się dwa nowe dokumenty: „Pakiet 2000” i „Program naprawy finansów Rzeczpospolitej”.**

KOŁODKO: *Pakiet 2000* powstał wcześniej, jeszcze jako kolejny segment *Strategii dla Polski*, pokazywał kierunki reform fiskalnych i pro wzrostowego obniżania podatków przy równoczesnej konsolidacji sektora finansów publicznych. Sama zaś *Strategia dla Polski* zawierała 14 programów węzłowych i wszystkie

zostały zawiązane zrealizowane. Ciekawostką jest to, że sam się wystawiłem na ostrzał krytyki profesjonalnej i nieprofesjonalnej, medialnej i politycznej. Każdy z programów węzłowych zawierał na końcu tzw. kryterium wykonawcze, skwantyfikowane, czyli określone ilościowo, aby można było oceniać postęp albo jego brak. Można sprawdzić, że w większości przypadków zrealizowaliśmy więcej niż ambitnie na początku zakładaliśmy. Zarzucano nam, że mieliśmy przerost ambicji, szczególnie w dziedzinie wzrostu produkcji i zmniejszania skali bezrobocia. Jednak okazało się, że szło nam niezłe, że udało się realizować wiele z tego wielowątkowego programu.

Euro 2006 z kolei to pierwsza taka próba wydłużenia perspektywy polityki ekonomicznej daleko poza horyzont kadencji rządowo-parlamentarnej. Ta wiązka programowa pokazywała nowe możliwości, ale też i nowe wyzwania. Już w 1996 roku – niedługo po traktacie z Maastricht z roku 1993, w którym sformułowano wizję wspólnego pieniądza mającego wejść do obiegu do obiegu dopiero w 1999 roku – mówimy o uwarunkowaniach i perspektywach przystępowania do obszaru wspólnej waluty euro. *Euro-2006* pokazywało, jak reformować i rozwijać gospodarkę, aby być gotowym do korzystnej konwergencji walutowej po przystąpieniu do Unii Europejskiej. Wówczas zakładałem, że nastąpi to już w 2002 roku. Jako zadanie wykraczające o dziewięć lat poza ówczesną kadencję parlamentu, która kończyła się w 1997 roku, chciałem pokazać, że są pewne cele wykraczające poza ramy cyklu politycznego i powinny być realizowane w warunkach ponadpartyjnego konsensusu.

Tu jednak przejawiała się moja polityczna naiwność, bo wtedy jeszcze sądziłem, że polityka to nieco bardziej uczciwe przedsięwzięcie i jest tam trochę mniej brudu i smrodu. Naiwność przejawiałem także wtedy, gdy w czerwcu 1994 roku prezentując *Strategię dla Polski*, apelowałem do Wysokiej Izby i partii politycznych działających w trudnej sztuce demokracji, aby trzy wielkie sprawy wyjąć przed nawias walki politycznej: przebudowę wsi i rolnictwa, proces integracji europejskiej i reformę systemu zabezpieczeń społecznych. Takie kwestie można sobie, chociaż też trudno, odpolitycznić w artykule naukowym czy na konferencji akademickiej, ale nie w politycznym młynie. To były główne, bardzo kosztowne dla gospodarki pola starć politycznych przez minione 25 lat. Dzisiaj chciałbym, żeby przed nawias sporu politycznego wyjąć przynajmniej problem euroizacji i podejść do niego pragmatycznie. Tymczasem PiS to upartyjnił, uznając przy okazji siebie za obrońcę narodowej suwerenności, a wprowadzenie euro sprowadza do jej utraty i dodatkowego wzrostu cen, co jest nonsensem. Ceny mogą rosnąć wtedy, gdy zezwala na to nadmierny w stosunku do podaży strumień popytu oraz brak konkurencji rynkowej. A tak nie jest i tym bardziej nie stanie się po wprowadzeniu euro.

Co ciekawe, tak wtedy jak i teraz żadna z brylujących w polityce partii nie ma w swej nazwie słowa „partia”, tak się wszystkie brzydzą partyjniactwa, które z taką lubością uprawiają...

SĘKOWSKI: Dziś nawet bardzo wielu członków koalicji europejskiej boi się dotykać tego problemu.

KOŁODKO: Jeśli faktycznie się boją, to jest to tchórzostwo, a przecież merytoryczna debata niejednokrotnie wymaga odwagi. Nie wystarczy mieć rację, trzeba mieć jeszcze odwagę opowiadać się głośno po jej stronie zwłaszcza wtedy, gdy jest to prawda niepopularna. Tak jest nie tylko w sprawie konwergencji walutowej. Podobnie tchórzostwo – chyba że głupota albo interesowność? – jest widoczne, gdy chodzi o pieniądze na zbrojenia. Wielkie marnotrawstwo, z jakim mamy do czynienia, zwiększanie wydatków na tzw. obronność. Do tego jest potrzebne m.in. nakręcanie rusofobii i straszenie społeczeństwa urojonym widmem wojny. Potem już tylko krok do politycznej akceptacji i, niestety, społecznego przyzwolenia, na zwiększanie wydatków wojskowych. Skądinąd ich *gros* idzie na zakupy amerykańskiej broni ku nieklamanej satysfakcji naszego nowego „wielkiego brata”... Rosną te wydatki zatem szybciej niż nakłady na oświatę i kulturę, ochronę zdrowia i naukę, zwiększa się ich udział wydatków wojskowych w budżecie państwa i w dochodzie narodowym. Nikt nie ma odwagi zaproponować zamrożenia wydatków na zbrojenia na obecnym i tak już bardzo wysokim poziomie prawie 50 miliardów złotych, czyli 2,1 proc. PKB, i przekazać planowany przyrost wydatków militarnych na inwestycje w kapitał ludzki, ochronę środowiska naturalnego i budownictwo infrastrukturalne.

RATKOWSKI: To powinien być podstawowy element programu wyborczego lewicy. Przecież ludzie o innych przekonaniach i tak na nią nie zagłosują!

KOŁODKO: Powinien, ale niestety nie jest.

SĘKOWSKI: Chciałbym jeszcze wrócić do kwestii euro. Oczywiście plusy, o których niedawno w Kuźnicy mówił np. profesor Marek Belka, to likwidacja ryzyka kursowego, zmniejszenie kosztów transakcyjnych czy obniżenie kosztu obsługi długu publicznego. A jakby Pan przekonał nas i czytelników, że nie będzie obniżenia płacy realnej w Polsce? – bo tym głównie szermują przeciwnicy euroizacji.

KOŁODKO: Cóż, dobrze, że Marek Belka posypał sobie głowę popiołem, bo jako prezes NBP był przeciwnik, a mógł wiele w tej sprawie zdziałać już wtedy, gdy prezentowaliśmy argumenty, które teraz też i on przytacza. Ja od kilku lat przedstawiam głównie argumenty ekonomiczne – nie tylko tu wymienione, bo są też inne, jak przede wszystkim to, że w długim okresie, po wprowadzeniu euro, płace realne będą rosły szybciej niż w wariantcie pozostawiania przy złotym, czy chociażby możliwość inwestycyjnego wykorzystania części podlegających rozwiązaniu rezerw walutowych banku centralnego albo zwiększony po uzyskaniu wyższego ratingu napływ bezpośrednich inwestycji zagranicznych – ale również ze sfery politycznej. Gdyby Polska podjęła przygotowania do wejścia do Eurolandu, to skończyłaby się dyskusja o Europie dwóch prędkości. To bardzo ważne. Taki podział *de facto* już istnieje, bo 19 państw strefy euro nie będzie w nieskończoność czekało na pozostałych dziewięć, czy też, uwzględniając Brexit, osiem. Dodajmy, że spośród krajów członkowskich Unii poza Wielką Brytanią tylko Dania ma traktatowe prawo pozostawania poza obszarem wspólnej waluty. Pozostała siódem-

ka, w tym Polska, ma prawo i obowiązek wprowadzić euro u siebie. My też opowiedzieliśmy się za tym w referendum akcesyjnym w czerwcu 2003 roku. Niedługo potem, w 2008 roku, za przyjęciem euro było 70 procent obywateli, a dziś tyleż jest przeciw. Trzeba ich z powrotem pozyskać, bo tak wielkiej reformy jak przejście z systemu narodowego pieniądza do wspólnej waluty europejskiej nie dokonuje się bez poparcia większości społeczeństwa. Sporo osób dało się zwieść dezinformacjom o podwyżkach cen na Słowacji czy w krajach bałtyckich po wprowadzeniu tamże euro.

RATKOWSKI: A kraje bałtyckie właśnie z powodów politycznych przyjęły euro, bo to oznacza pogłębienie przynależności do Unii! Uważają, że obecnie w systemie walutowym chroni te kraje przed ewentualną inwazją. I chyba jest coś na rzeczy?

KOŁODKO: Jeśli chodzi o „ewentualną inwazję”, to nic. Gadanie o tym to narzędzie czysto polityczne, choć brudna to polityka. O tym, co głosi się w mediach, decydują ich sponsorzy i wpływowi politycy, w znikomym zaś stopniu ludzie nauki, którzy spierają się na argumenty i dążą do obiektywnej prawdy. Nie będziemy chodzić na wiece i krzyżać pod pomnikiem Mickiewicza, dlatego warto wejść do strefy euro, bo nikt tego nie zechce słuchać, ale trzeba dyskutować. Dlatego właśnie trzy lata temu wywiadem w „The Times Polska” i artykułami w „Rzeczpospolitej” rozkręciłem profesjonalną dyskusję na ten temat.

Kluczową sprawą jest pytanie, przy jakim kursie przyjmujemy euro. Nie należy przystępować doń ze zbyt silnym złotym, a tego wielu nie chce zrozumieć, bo wydaje im się, że silny złoty oznacza silną, czyli w ich interpretacji dobrą gospodarkę. Otóż niekoniecznie, bo jeżeli jest to korzystne, gdy wyjeżdżamy na zagraniczne wakacje albo kupujemy importowane towary, to źle się dzieje, gdy chcemy rozkręcić turystykę przyjazdową albo opłacalnie eksportować towary wytworzone w kraju. To ważne, gdyż utrzymanie wysokiej dynamiki rozwojowej wymaga strategii wzrostu ciągniętego przez eksport. Polski eksport musi rosnąć szybciej niż import, a obie te kategorie mają zwiększać się szybciej niż PKB, będąc kołem zamachowym wzrostu gospodarczego. To natomiast wymaga wysokiej konkurencyjności polskiej gospodarki, która z kolei zależy m.in. teraz od kształtowania się kursu walutowego, a strategicznie od kursu, po jakim wymienimy złotego na euro.

RATKOWSKI: Dobrą ilustracją tego problemu jest np. fakt, że Litwini przyjeżdżają do Polski po żywność. I to nie oznacza, że tam panuje skrajna drożyzna, tylko że wartość euro ustawiona została zbyt wysoko. Zarabiają tyle, że im się opłaca przyjeżdżać do Polski na zakupy.

KOŁODKO: Na argument, że na Litwie czy we Włoszech coś podróżowało, odpowiadam – owszem tak, zdarzy się, że ktoś zaokrągli cenę w górę, ale będą też zaokrąglania cen w dół. Te drugie przypadki nie są wszak czymś atrakcyjnym dla dziennikarzy poszukujących potwierdzenia uprzedzeń swoich czytelników, których wcześniej wychowywało się przez lata w nieufności. Raz jeszcze: aby ceny poszły w górę, musi to akceptować siła nabywcza ludności,

musi zaistnieć nadwyżkowy popyt na określone dobra nad podażą. Sam fakt wprowadzanie euro nic tu nie zmienia.

RATKOWSKI: I tak się stało ostatnio w Polsce z cenami żywności, szczególnie w niższym i średnim segmencie, z chwilą gdy pojawiło się 500+. Rodziny wielodzietne stać już na masło!

KOŁODKO: Jeżeli nie pojawi się dodatkowy popyt, to ceny bezkarnie nie pójdą w górę. Jeśli sprzedawca spróbuje je podnieść, napotka barierę popytu. Może sprzedać drożej, ale mniej i najczęściej mu się to nie opłaci.

RATKOWSKI: A dwuwalutowość? Przed wojną przy większych zobowiązaniach w grę wchodziły dolary, a i dziś tu i ówdzie w Polsce można płacić euro, na przykład w ośrodkach wypoczynkowych.

KOŁODKO: Owszem, faktyczna dwuwalutowość istnieje, tyle że w krajach przeżywających głęboki kryzys, na przykład w Wenezueli czy w Zimbabwie. Tam akurat oznacza to, że państwo utraciło zdolność do sterowania gospodarką. Są też kraje z pozytywnym doświadczeniem, które uciekły do przodu, przechodząc całkowicie na dolary, jak Ekwador w końcu lat 90. (bez apriorycznej zgody USA i współpracy z MFW) czy Wschodni Timor z chwilą uzyskania niepodległości w 2002 roku (z taką zgodą i przy takiej współpracy). Także w Panamie amerykańskie dolary są od dawna w obiegu.

RATKOWSKI: A kiedyś w „Polityce” Rostowski z Andrzejem Bratkowskim proponowali jednostronną euroizację...

KOŁODKO: Są tylko dwa kraje, które posługują się walutą euro bez członkostwa w Europejskim Banku Centralnym, a nawet bez przynależności do Unii Europejskiej. To małe Kosowo (niespełna dwa miliony mieszkańców) i Czarnogóra (nieco ponad 600 tysięcy). I to, że mają euro, im pomaga. Nikt tam też nie bajdurzy, że w pierw muszą dogonić Niemcy... A pomysły Rostowskiego i Bratkowskiego są nieodpowiedzialne, na co zechcieli sobie pozwolić, skoro byli tylko doradcami i nie ponosili odpowiedzialności. Gdy zaś Rostowski miał już coś do powiedzenia jako minister finansów, to temat przestał istnieć.

SĘKOWSKI: Na przywołanym tutaj spotkaniu premier Belka stwierdził, że jest za przyjęciem euro pod warunkiem, że Polska zostanie wyłączona z mechanizmu „korytarza walutowego”. I żeby Polska przekonała do tego Unię, bo w mechanizmie tzw. węża w tunelu widzi pewne zagrożenie dla całego procesu euroizacji.

KOŁODKO: Znam ten pogląd i go nie podzielam. To ważne kwestie techniczne, jednakże ich zmiana wymagałaby zmian europejskich reguł gry. Oznaczałoby to, że UE i architekci strefy euro musieliby dla jednego kraju zmienić zasady obowiązujące wszystkich uczestników tego przedsięwzięcia. Byłby to czynnik, który mógłby uruchomić polonosceptycyzm po tamtej stronie, a w Polsce nasilił dodatkowo eurosceptycyzm w pewnych kręgach polityki i społeczeństwa, „bo oni się nie zgadzają na mądre polskie propozycje”. Przy okazji ktoś inny, na przykład Włochy, mógłby zażądać jakiegoś innego rodzaju ulg czy specjalnego statusu odnośnie do dopuszczalnej wielkości długu publicznego albo deficytu budżetowego. Przy kryteriach



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

konwergencji walutowej z Maastricht – acz są one niedoskonałe – nie należy majstrować; trzeba je przestrzegać. Polski to też dotyczy i akurat pod tym względem w ostatnich latach jest niezłe.

Opowiadam się więc za wejściem do Eurolandu wedle wszelkich reguł, ale – podkreślam – po kursie korzystnym dla naszych eksporterów. Zbyt wysoki, przewartościowany kurs złotego mógłby oznaczać początkowo wyższe, już liczone w euro, zarobki Polaków, ale odpowiednio wyższe też byłyby ceny nabywanych towarów, bo wszystko – płace i ceny, emerytury i czynsze, stypendia i opłaty, premie i marże, bonusy i podatki, etc. – będzie podzielone przez tę samą kwotę, na przykład przez 4,00, z dokładnością do drugiego miejsca po przecinku.

RATKOWSKI: Tyle że kurs wejścia zależy nie tylko od nas, to musi być właśnie efekt „korytarza”, o którym była mowa. No i trzeba by wygrać wybory.

KOŁODKO: W ramach korytarza ma się przecież określoną swobodę ruchu. Naturalnie, strach jest potężnym narzędziem w polityce, stąd tak wielu polityków kłamie, i to bez najmniejszej żenady. Inni niewiele z tego wszystkiego rozumieją i w rezultacie zamiast spokojnego, profesjonalnego i odpowiedzialnego dialogu oraz elementarnej edukacji ekonomicznej mamy otumaniania i szkodliwą dla polskiej sprawy propagandę.

Ludzi trzeba traktować poważnie, a nie jak maszynkę do głosowania. To społeczeństwo, a nie elektorat. Pytaliście panowie o *Strategię dla Polski*, o *Program naprawy finansów Rzeczypospolitej*.

tej. Podczas realizacji tych wielkich przedsięwzięć podchodziliśmy do dialogu społecznego poważnie i odpowiedzialnie. Spotykałem się z wieloma środowiskami – od licealistów do emerytów, od wojska po uczonych, od rolników po górników, od nauczycieli po artystów, w ośrodkach wielkomiejskich i wiejskich. Prawie wszędzie, bez mała z wszystkimi. Tłumaczyłem istotę naszego programu społeczno-gospodarczego, pokazując dlaczego na dłuższą metę jest to dla nich korzystne, bo efekty przewyższają koszty. Przytłaczającą większość kwestii ekonomicznych da się wyjaśnić, choć wymaga to dobrych kanałów komunikacji, cierpliwości i właściwego języka. Inaczej się mówi w kręgu menedżerów, a innym językiem, gdy się ma do czynienia z osobami niepełnosprawnymi, inaczej w otoczeniu siedemnastolatków, inaczej pośród siedemdziesięciolatków. I da się ludzi pozyskać dla mądrych reform bez szantażowania ich brakiem alternatywy czy widem inwazji, bez obiecywania gruszek na wierzbie czy kupowanie nastę emeryturą.

CHUDZIŃSKI: Ale fakty są nieubłagane. Mamy *Strategię dla Polski* i inne programy, Pan jest przekonany, że w większości udało się je zrealizować, a lewica przegrywa wybory w 2005 roku z wynikiem poniżej 10 procent. Czy wszystko na komunikację zwalimy?

KOŁODKO: Nie wszystko, ale i też niemało. Gdy byłem w pierwszych trzech rządach, podczas realizacji *Strategii dla Polski* regularnie, co tydzień, przez z górą trzy lata pisałem eseje do „Polityki” pod nagłówkiem *Odpowiedzi i pytania*. Otóż właśnie tak, nie *Pytania*

i odpowiedzi, bo odpowiedź ekonomisty staje się od razu pytaniem dla polityka. Skądinąd to fascynujące, jak się samemu występuje w obu tych rolach naraz. Wtedy – już po odejściu z rządu na własne życzenie, patrząc jak rządzący uprawiają politykę, a także z agresją opozycji – w maju 1997, będąc chwilowo w Londynie, napisałem artykuł pt. *Jak przegrać wybory*. Było to o ówczesnej przegranej labourzystów, ale odniesienia do nadchodzącej przegranej SLD były oczywiste. I tam, i tu sytuacja gospodarcza była bardzo dobra – a przegrali. Gdy w USA wygrał Donald Trump, też sytuacja gospodarcza była bardzo dobra po drugiej kadencji Baracka Obamy. Nie będę tak okrutny przypominając narrację premiera, jak wyjątkowo nieopatrznie Cimoszewicz wypomniał powodziałom, że się zawczasu nie ubezpieczyli, co ówczesna totalna opozycja wykorzystała bezlitośnie. Ale zdecydowały też inne czynniki pozaekonomiczne: pewne zmęczenie materiału, wygrane wybory prezydenckie przez Kwaśniewskiego, których bez osiągnięć już początkowej fazy *Strategii dla Polski* i w konsekwencji poprawy sytuacji gospodarczej pewnie by nie wygrał. No i przecież już po kilku latach lewica z ludowcami wróciła do władzy. Takie są prawa demokracji.

Co zaś do rządu Leszka Millera, to przecież przegrał przez aferę Rywina, a nie przez gospodarkę. Ponadto gdy minister Hausner wystąpił otwarcie przeciwko mnie, atakując bez pardonu *Program naprawy finansów Rzeczypospolitej*, to premier Miller nie potrafił nad tym zapanować. I nie pomogła też interwencja Kwaśniewskiego. Ja natomiast już wcześniej podjąłem decyzję – nazwałem to „operacją awans” – że podam się do dymisji nazajutrz po pierwszym posiedzeniu rządu po zwycięskim referendum w sprawie wejścia do Unii Europejskiej. Wcześniej odejść nie mogłem, gdyż sprawa referendum miała fundamentalne znaczenie i ze swej strony czyniłem wszystko co możliwe, aby je wygrać. Wygraliśmy, więc natychmiast awansowałem. Znowu do pełnej wolności politycznej, bo intelektualną zachowywałem bez przerwy. A to trudna sztuka.

RATKOWSKI: Tak jak minister Czerwińska nie mogła odejść z rządu PiS przed wyborami do parlamentu europejskiego.

KOŁODKO: Nie wiem, być może, choć nie widzę tu żadnej analogii. Ja odchodziłem z polityki w ogóle i na zawsze, a nie na drugą stronę ulicy, na własne życzenie, ale nie wskutek czyjegokolwiek żądania, choć pragnął tego zapewne niejeden. Cóż, polityka kieruje się wielorakimi przesłankami.

RATKOWSKI: Churchill wygrał wojnę i przegrał wybory!

CHUDZIŃSKI: Każdy z naszych rozmówców na prawo bronić swych przekonań i dorobku, ale czy nie nachodzi niekiedy Pana refleksja, że „po mojej stronie też jakieś błędy były, że gdzieś się pomyliłem”?

KOŁODKO: Po trzech godzinach rozmowy wraca Pan do początku i każe mi się rozliczać z różnych błędów technicznych, które gdzieś tam oczywiście były?

CHUDZIŃSKI: Chodzi mi raczej o kwestie kluczowe. Na przykład, czy zamiast przekonywać różne środowiska do rozumienia mechanizmów gospodarki i tym samym do zaciskania pasa, nie

należało zwiększać popytu wewnętrznego dając ludziom więcej pieniędzy „do ręki”, co robi – z dobrym dla siebie skutkiem – PiS, lub stwarzać możliwości ich zarobienia. A Miller z uporem powtarzał: podzielić możemy tylko to, co wypracujemy.

KOŁODKO: I w tej sprawie akurat miał rację. Jeśli chodzi o wyjaśnianie praw wolnego rynku, komunikowanie się ze społeczeństwem, to był także proces uczenia się. Wchodząc do polityki zrozumiałem, że liczy się zdobycie poparcia większości, a nie tylko racja. Przy tym stole jest nas czterech i możecie mnie Panowie przegłosować. W nauce inaczej to działa. W polityce mogę albo „rzucić papierami”, albo „wiosłować pod górkę” i czekać, aż naród, w tym większość klasy politycznej, będzie „za”.

Z tego punktu widzenia mogę powiedzieć, że to moje wejście do polityki to był najlepszy staż, jaki mógł spotkać człowieka nauki, profesora-teoretyka zderzającego się z praktyką. W tym przypadku chodzi o strategię rozwoju zderzającą się z tętniącym różnorodnością i bogactwem form życiem społeczno-gospodarczym. To był swego rodzaju eksperyment, bo robiliśmy pewne rzeczy po raz pierwszy. Wręcz po raz pierwszy na świecie i w historii. Cudem byłoby się przy tym raz i drugi nie pomylić, a cudów – jak wiadomo – nie ma. A już na pewno nie w gospodarce.

Mówiąc o innowacyjnej gospodarce w *Strategii dla Polski*, miałem na myśli innowacje technologiczne, ale też i organizatorskie. Tzw. szokowa terapia była czymś innowacyjnym, ale konsekwentnie uważam, że w wielu punktach błędnie pomyślana, w innych źle zrealizowana. *Strategia dla Polski* to była też innowacja organizacyjna. Nikt nigdzie wcześniej nie próbował wprowadzić w miejsce upadłego realnego socjalizmu po niepowodzeniach narzucenia w jego miejsce neoliberalnego kapitalizmu – społecznej gospodarki rynkowej. I to w dodatku na ścieżce przyspieszania zrównoważonego wzrostu i szerokiego otwierania się na integrację z globalizującą się gospodarką zewnętrzną. To na pewno nie był błąd. Wszakże pędząc i robiąc taki ogrom reform naraz, oczywiście musieliśmy jakieś błędy popełniać. Miały one jednak znaczenie drugorzędne, jak na przykład wpadka z darowiznami, za co został zdymisjonowany wiceminister finansów Witold Modzelewski czy z góry skazana na polityczne niepowodzenie próba wprowadzenia przy okazji amnestii podatkowej deklaracji majątkowych.

Polityka to sztuka kompromisu, a uczeni nie znoszą kompromisu. Nie mogę pójść na kompromis w kwestii, ile jest dwa razy dwa?, choć szybko polityka mnie nauczyła, że zaiste bywa to tak, jak w starym żydowskim dowcipie: to zależy, sprzedajesz czy kupujesz... Te różnego rodzaju kompromisy najczęściej mnie kosztowały intelektualnie i emocjonalnie. I jak długo kompromisy mieściły się w dopuszczalnej skali, tak długo jak nie stawały w sprzeczności z principiami, to je akceptowałem. Tak, są rzeczy ważne i ważniejsze. Gdy ich akceptować nie mogłem, dwa razy nie wszedłem do rządu, choć mogłem, i dwa razy zeń wyszedłem na warunkach przez siebie wyznaczonych. Bywało tak, że przeprowadzałem po swojemu pewne sprawy, wbrew prawie całemu rządowi, jak w przypadku obniżenia podatków, korzystając z poparcia prezydenta Kwaśniewskiego. Jak Marek Bo-

rowski został ministrem finansów jesienią 1993 roku, podniesiono podatki od dochodów osobistych – z 20, 30 i 40 na 21, 33 i 45 procent – głosząc, że to tylko na jeden rok. Szybko okazało się, że ani SLD, a jeszcze bardziej PSL bynajmniej nie zamierzają tej obietnicy dotrzymać. Na mnie żadne polityczne zobowiązanie nie ciążyło, acz wpisałem zamysł obniżenia PIT już w 44 tezach *Strategii dla Polski*, kierowałem się natomiast głębokim przekonaniem, że akurat w tamtej fazie rynkowych reform i przy ówczesnej dynamice gospodarczej warto to zrobić, bo będzie to sprzyjać zarówno spójności społecznej, jak i formowaniu kapitału. Udało się to dopiero z początkiem roku 1997, kiedy podatki od dochodów osobistych wróciły w górnych przedziałach odpowiednio do 40 i 30 procent, a dolna stawka spadła nawet poniżej poziomu *ex ante*, bo do 19 proc.

RATKOWSKI: Śledzi Pan z wielką uwagą proces odchodzenia od realnego socjalizmu w Chinach. Czy przypadkiem nie mamy tam do czynienia nie z „powrotem do kapitalizmu”, tylko z nową formacją społeczno-ekonomiczną?

KOŁODKO: Napisałem na ten temat książkę pod prowokującym tytułem *Czy Chiny zbawią świat?* Właśnie ukazuje się także po angielsku i chińsku. Otóż jeśli trzymać się trochę sztampowej dychotomii socjalizm-kapitalizm, to Chiny odchodzą od socjalizmu, natomiast nie przechodzą do kapitalizmu. Na ten temat nie ma nic w podręcznikach ekonomii czy filozofii lub nauk politycznych, bo coś takiego wedle dotychczasowego stanu wiedzy nie powinno zaistnieć.

Tamtejszą rzeczywistość ekonomiczno-społeczno-polityczną nazywam „chinizmem”. Od trzech dekad, od wspomnianej pierwszej wizyty w 1989 roku, skwapliwie śledzę chińskie przemiany gospodarcze i polityczne. Chiny wyciągnęły także wnioski z polskich doświadczeń, z polskiego stanu wojennego i zrobiły to, czego nasze władze nie zrobiły po 13 grudnia 1981 roku. Otóż Pekin także postawił nie na demokratyzację ustroju, lecz na urynkowanie gospodarki, tyle że zrobił to konsekwentnie i skutecznie. Nie próbują łączyć limitowanego pluralizmu politycznego z częściowym urynkowaniem, co my robiliśmy w latach 80., już po stanie wojennym. Chiny na to nie poszły, bo już wiedzą, także z polskiego doświadczenia, że to z czasem oznacza koniec systemu monopartyjnego.

Chiny to kategoria sama w sobie, to wielka sprawa, która wymyka się z tradycyjnych schematów analiz ekonomicznych, socjologicznych i politologicznych. Przypadek chiński nie mieści się w ich paradygmatach. To za sprawą Chin znowu aktualne stały się pytania: co to jest socjalizm?, co rozumie się przez kapitalizm?, jest jeszcze coś innego? Co to jest system monopartyjny, a co oznacza autorytaryzm? Gdzie kończy się pluralizm, a zaczyna demokracja? Przy okazji wrota do tej debaty jeszcze szerzej otwieramy my – od Europy Wschodniej po Stany Zjednoczone, gdzie w niektórych krajach tej pierwszej pod znakiem zapytania staje istota liberalnej demokracji, a w tych drugich tyleż samo młodych ludzi, w przedziale wieku od 18 do 29 lat, bo aż około 45 procent opowiada się i za kapitalizmem, i za socjalizmem. Ani chybi, przez jedno i drugie rozumieją oni zupełnie coś innego nie

tylko niż Chińczycy, lecz także zgoła coś odmiennego niż Pan Redaktor, pytając o to, czy w Chinach odchodzi się od socjalizmu i idzie ku kapitalizmowi.

Abstrahując od warstwy politycznej, a patrząc wyłącznie przez pryzmat ustrojowych kryteriów ekonomicznych, to z pewnością Chiny współcześnie są zdecydowanie bardziej gospodarką rynkową niż planową, w większym stopniu opiera się ona na prywatnej niż państwowej własności środków produkcji, więc jest bardziej nasycona kapitalizmem niż socjalizmem. Ale w sensie politycznym to jest system autorytarny, tyle że oparty na merytokracji. I to zasadniczo go różni od innych autorytaryzmów, na przykład od Arabii Saudyjskiej czy Egiptu.

RATKOWSKI: A może mamy do czynienia z nowym podziałem klasowym? Może „klasą dla siebie” stała się formacja, która wyłoniła się z Komunistycznej Partii Chin? U nas Kaczyński próbuje zbudować podobną strukturę, obsadzając wszystkie stanowiska kierownicze w polityce i gospodarce ludźmi PiS.

KOŁODKO: Sprawa jest bardziej złożona. Chiny to jednak 5 tysięcy lat historii z wciąż dającą się zauważyć spuścizną konfucjanizmu, to miliard 400 milionów ludzi, to już, licząc paritetem siły nabywczej, największa gospodarka świata. Co ciekawe, już Marks pisał o „azjatyckim sposobie produkcji”, gdzie społeczności związane są chociażby determinującym kształt władzy wspólnym systemem nawadniania pól. To nie mieściło mu się w koncepcji następujących po sobie formacji: niewolnictwa, feudalizmu, kapitalizmu. Trzeba było wymyślić jakąś nową kategorię ustrojową, ale dziś nie da się już zasłonić pojęciem „azjatyckiego sposobu produkcji” – ani w odniesieniu do samych Chin, ani tym bardziej wobec innych, jakże zróżnicowanych gospodarek tego wielkiego kontynentu. Ale o ile wszystkie pozostałe – poza Chinami i innymi krajami posocjalistycznej transformacji, zwłaszcza Wietnamem, bo w mniejszym stopniu Kambodżą, Laosem i Mongolią – da się włożyć do pojemnego worka z napisem KAPITALIZM, to Chin wcisnąć się tam się już nie uda.

Uważam, że choć Chiny świata nie zbawią, to w tej fazie nieodwracalnej globalizacji więcej mogą wnieść do przyszłości świata niż jakikolwiek inny pojedynczy kraj. Rozpętanej przez prezydenta Trumpa wojny handlowej i nakręcaniej przez niego drugiej zimnej wojny Chiny nie przegrają, ale też i jej nie wygrają, *per saldo* na długą metę, wbrew intencjom Zachodu, wyjdą z tego starcia relatywnie mocniejsze. Innymi słowy, za kilkanaście i więcej lat pozycja ekonomiczna i polityczna Chin w skali tego już nieodwołalnie wielobiegunowego świata będzie relatywnie silniejsza. Jakież to wielki paradoks, że więcej w sprawie pożądanej reinstytucjonalizacji globalizacji i nadania jej inkluzyjnego charakteru może mieć do powiedzenia chiński „komunistyczny przywódca” niż amerykański prezydent, przywódca „liberalnego Zachodu”...

Co zatem chiński eksperyment historyczny wnosi do funkcjonowania gospodarki i rozwoju świata? Proponowany model nie nadaje się dla nas, ale dla niektórych państw południowej Azji, Bliskiego Wschodu i Afryki naśladowanie modelu chińskiego może okazać się atrakcyjne. Tej formule towarzyszy brak demo-

kracji, więc trudno się za nią opowiadać, bo byłoby to niepoprawne politycznie, a przecież niby wszyscy w ramach tej poprawności jesteśmy demokracją. Otóż bynajmniej nie wszyscy. Demokracja jest wartością samą w sobie, ale to nie znaczy, że zawsze i wszędzie sprzyja wzrostowi i rozwojowi; tak się dzieje pod pewnymi dodatkowymi warunkami, które mogą być spełnione albo nie. To jest zagadnienie kontekstowe. Akurat reżim chiński bardziej sprzyja wzrostowi niż demokracja pakistańska. Mamy demokrację w Wielkiej Brytanii, która zaowocowała *brexitem*, czyli anarchizacją życia politycznego, z negatywnymi skutkami także dla gospodarki.

CHUDZIŃSKI: Stare demokracje nie zawsze potrafią obronić... demokrację, czego przykładem Republika Weimarska.

KOŁODKO: Nie ma więc prostego przełożenia między demokracją a rozwojem gospodarczym, ale też nie ma odwrotnej zależności – między autorytaryzmem a wzrostem gospodarczym. I jeśli jakiś przywódca afrykański, bliskowschodni (a może nawet europejski, kto wie?) mówi, że trzeba wziąć to wszystko za twarz, tak jak Chińczycy, a próby takie podejmowano w Kongo czy Sudanie, to i tak nie będzie tam wieloletniego szybkiego wzrostu gospodarczego. Chinizm jest uwarunkowany politycznie i kulturowo, i dlatego nie jest tak łatwo eksportowalny, jak być może wydaje się to niektórym po stronie potencjalnego eksportera i niejednemu chętnemu importerowi.

Nie należy oczekiwać w Chinach jakieś „antykomunistycznej” rewolty ani anarchizacji, czy wymykającej się spod kontroli destabilizacji politycznej, choć eskalacja problemu Hongkongu i ciężący problem reintegracji z macierzą Tajwanu to poważne wyzwania. System chinizmu, reformując się stopniowo, bez szoków, za to z dużą dawką terapii, przetrwa, o ile uda się utrzymać w miarę wysoką dynamikę rozwoju gospodarczego i zmniejszone zostaną nierówności dochodowe. Jest tam bowiem tak, jak w latach 70. rzekł człowiek narysowany kreską Szymona Kobylińskiego w prawym górnym rogu tytułowej strony „Polityki”: „Powiedzieli mi »morda w kubeł«, ale na szczęście kubeł był pełen żarcia”. My w Polsce też wtedy nie robiliśmy rewolucji, nie żądaliśmy kapitalizmu w początku lat 70., bo się przejściowo kubeł napełniał. Z czasem sytuacja się istotnie zmieniła. W Chinach czas taki na razie nie nadchodzi.

CHUDZIŃSKI: A więc mamy tam socjalizm bez niedoborów albo kapitalizm bez demokracji?

KOŁODKO: Tak, jeśli uprzeć się, że do opisu sytuacji musimy używać terminów „socjalizm” i „kapitalizm”. Uważam, że nie musimy. Chińczycy zrobili to, czego my nie potrafiliśmy. Skutecznie wyeliminowano niedobory, i to bez popadnięcia w fazę niszczycielskiej galopującej inflacji. W Chinach można dziś kupić wszystko; i miskę ryżu, więc nikt nie jest głodny, i ferrari, więc jest czym stać w korkach. Wystarczy mieć pieniądze, a są sposoby, żeby je zarobić. Dla wszystkich na miskę ryżu z wkładką, a dla bardzo nielicznych na ferrari.

Dziwić się trzeba rozmaitym ekonomistom i politologom, rozlicznym publicystom i obchodzącym z lubością kolejne rocznice mędrcom, którzy walczyli o „wolność”, że nie widzą, iż głównym powodem upadku real-

nego socjalizmu był właśnie syndrom *shortageflation*, czyli kolejki i drożyzna. To było jeszcze bardziej nie do wytrzymania, bo dotyczyło wszystkich, niż brak demokracji czy politycznego luzu, który przede wszystkim nam, intelektualistom był tak potrzebny. Chińczycy to zrozumieli, wyciągnęli z tego wnioski i znaleźli sposób, by bez zmiany reżimu politycznego wyeliminować i inflację cenową, i niedobory. Gdyby tego konsekwentnie nie uczynili – głównie polityką reform realizowanych w latach 90. – nie byłoby ich ogromnego sukcesu gospodarczego i, kto to wie, może nie byłoby tam także „komunizmu”. Alternatywą wszak nie byłaby druga, dziesięciokrotnie bardziej ludna Japonia, lecz raczej drugi Pakistan albo Bangladesz.

SĘKOWSKI: Mówimy o eksperymencie chińskim. A jakby Pan ocenił obecny eksperyment polski, bez wątplenia wyjątkowy w sferze polityki społecznej? Na 500+ nikt wcześniej u nas nie wpadł.

KOŁODKO: 500+ ładnie się nazywa, ale przecież znacznie wcześniej pojawiały się postulaty, żeby wsparcie dla rodzin zwiększać, choć nikt tego nie „zakręglął” do 500 i nie dodawał żadnego plusa. Natomiast dawanie wszystkim, bez względu na sytuację materialną jest błędne, więc dobrze, że na taki pomysł „nikt wcześniej u nas nie wpadł”. Trzeba wydłużać, nie skracać perspektywę analiz finansowych. W dłuższym horyzoncie czasowym okaże się, jak znaczna część wydatków socjalnych państwa będzie musiała być finansowana z deficytu budżetowego, a więc przyrostem długu publicznego. Część środków wydatkowanych na politycznie, bo przecież nie tylko społecznie motywowany program 500+ należało przeznaczyć na szeroki rozwój profesjonalnej opieki nad dziećmi w wieku przedszkolnym, aby ich matki mogły pracować i, decydując się na kolejne dziecko – zasadniczo chodzi o drugie albo trzecie – nie obawiały się, że wypadną z rynku pracy.

Pytacie Panowie, dlaczego SLD nie dało 500+? Bo ani nie mogło, ani nie powinno. Przypominam, że kiedy pierwszy raz przejęto władzę, po okresie szoku bez terapii, inflacja wynosiła 37 proc. a nie 1,5 proc., trzeba było walczyć z bezrobociem, które wciąż rosło i przekraczało aż 20 proc., a nie 5 jak teraz, że trzeba było liberalizować gospodarkę, by się dostosować do wymogów OECD, co nam otwierało bramy na świat, i przygotowywać struktury oraz instytucje społecznej gospodarki rynkowej. Trzeba było wprowadzać pełną wymienialność złotego i ubezpieczyć depozyty oszczędnościowe ludności. Za drugim razem, kiedy to po przechłodzeniu bez sensu rząd AWS-UW doprowadził do stagnacji – w czwartym kwartale 2001 roku PKB rósł o śladowe 0,2 procent – trzeba było przywrócić gospodarce zdolności rozwojowe i spełniać warunki przystąpienia do Unii Europejskiej. To zrobiliśmy i dlatego w niej jesteśmy. Dodam, że gdy pomysły nie aż takich szaleństw jak 500+ na każde dziecko, ale coś w rodzaju emerytalnej trzynastki się pojawiały, utracąłem je w zarodku. Tak, należy walczyć z biedą, a tej najwięcej zdarza się w rodzinach wielodzietnych, dlatego też potrzebny jest odpowiedni system zasiłków rodzinnych oraz wysoki poziom publicznych nakładów na wychowanie i kształcenie dzieci. Tak, należy poprawiać materialne warunki życia emerytów i rencistów, ale nie przez wypłacanie politycznie motywowanych

„13.” i „14.”, lecz poprzez idące w ślad za wzrostem płac podpartym wzrostem wydajności pracy stosowne podwyżki świadczeń w ramach powszechnego systemu emerytalnego oraz wysoki poziom służby zdrowia, z której to usług pokolenie weteranów pracy korzysta w największym stopniu. Taka lekka ręka w sferze socjalnej dobroczynności i rozdawanie bez głębszej ekonomicznej refleksji publicznych pieniędzy to populizm, a ten na długą metę, wbrew deklarowanym intencjom i naiwnej wierze mas, nie służy społeczeństwu.

A skoro już jesteśmy przy „plusach”, to gdyby przyjrzeć się temu, co nazwać by można 30+, czyli epoce transformacji ustrojowej, to zrobiliśmy w tym czasie znacznie więcej w dziedzinie budowania gospodarki rynkowej niż w dziedzinie tworzenia dojrzałej demokracji. W Polsce rynek sprawdza się zdecydowanie lepiej niż demokracja. Rynek się nie kompromituje, a liberalna demokracja i owszem. Tym bardziej trzeba jej bronić. Z tego punktu widzenia miniony już okres jawi się jako bardzo ciekawy i warto było go aktywnie przeżyć. Wymaga on spokojnej oceny, obserwacji i odwagi w głoszeniu niepopularnych poglądów.

RATKOWSKI: A może PiS nie robi nic innego niż to, co postulowano jeszcze w początkach transformacji, a mianowicie nakręcanie popytu przez poluzowanie polityki monetarnej?

KOŁODKO: Owszem, były takie koncepcje, ale to, co dzieje się dziś, jest mocno przesadzone i chociaż nadspodziewanie dobrze układa się sytuacja makroekonomiczna, także od strony budżetowej, to nie mamy do czynienia z żadnym „cudem gospodarczym” autorstwa PiS-u. Co zaś do polityki monetarnej NBP, to od wielu lat jest ona, zasadniczo biorąc, poprawna. PiS, niezależnie od osiągnięć własnej polityki społeczno-gospodarczej, korzysta z dorobku poprzednich okresów, z dobrej koniunktury, do której dokładają swoje posunięcia. Nakręcanie koniunktury poprzez zwiększane wydatki budżetowe i zwiększany popyt to typowe keynesowskie posunięcie. Ale nie należy przesadzać. To ma sens ekonomiczny, kiedy rząd transferami podwyższa dochody gospodarstw domowych i nakręca ich wydatki w sytuacji istnienia niewykorzystanych mocy wytwórczych, a tak właśnie było wskutek powściągliwej w tej materii polityki okresu „zielonej wyspy”. Gdy nie ma ograniczeń podaźowych, bo jest od tej strony patrząc wszystko: surowce, energia, maszyny, siła robocza – inżynier, majster i robotnik – tylko popytu nie ma. Łatwo wytworzyć, trudno sprzedać. Dajemy więc ludziom pieniądze z kasy publicznej, choć ta – przypomnijmy – wciąż jest niezrównoważona, cechuje ją deficyt. Pieniądze płyną szerszym strumieniem, towary się sprzedają, spożycie rośnie; zadowoleni są producenci i, co jeszcze ważniejsze, konsumenci. Ale taka sytuacja rynkowa także nakręca import i pogłębia nierównowagę, skądinąd umiarkowaną, bilansu handlowego. Jeśli dodatkowy strumień popytu jest zbyt duży, skłaniać to może producentów i sprzedawców do podnoszenia cen, co już w jakiejś skali się dzieje. Trzeba uważać.

RATKOWSKI: Na przykładzie Krakowskiej Izby Przemysłowo-Handlowej nie widać, żeby zanosiło się na boom inwestycyjny. Natomiast wszystko, co mam w tej chwili na sobie, wyprodukowano

w Chinach – od butów, gatek, džinsów i skarpetek po smartfon Huawei.

KOŁODKO: Większość ekonomistów pospieszyła się z prognozowaniem załamania budżetu, ale nie są to ostrzeżenia bezpodstawne. Niebezpieczeństwo PiS-owskiej polityki polega na tym, że podejmowane są polityczne decyzje co do wydatków, które niezmiernie trudno będzie odwrócić. Wiele z tych dodatkowych wydatków obwarowane jest ustawowo, są sztywne, muszą być zgodnie z prawem dokonane, nawet gdy przeciwko temu przemawiać będą realia gospodarcze. Wszystkie partie opozycyjne, z neoliberalami włącznie, deklarują, że wydatków socjalnych, przede wszystkim 500+, nie ruszą. To zdumiewające, ale rozpętała się licytacja na populistyczne programy, na obietnice bez pokrycia, PO ściąga się z PiS-em, PSL nie chce zostać z tyłu. Dobrze, by lewica zachowała się pragmatycznie i odpowiedzialnie.

RATKOWSKI: Mówi się, że opozycja nie ma programu, ale przecież sformułowanie wspólnego programu dla tak różnych opcji, jak lewica i liberalowie jest praktycznie niemożliwe!

KOŁODKO: Antypisowość to nie jest program polityczny. Prawda, głosowaliśmy do parlamentu europejskiego na swoich wybrańców: w Warszawie oddalibyście zapewne głos na Cimoszewicza, ja głosowałem na Hübner, ale dalej nie widzę żadnego spójnego programu Koalicji Europejskiej, a ja jeszcze chciałbym, żeby to był program porywający. Sądzę, że takim czymś mógłby być „nowy pragmatyzm”, taki z polską charakterystyką. Nowy pragmatyzm to zarówno nieortodoksyjny, interdyscyplinarny zarys teorii ekonomii, a więc ujęcie opisowo-interpretacyjne (jak i dlaczego jest), jak i wynikające z niego oraz ze współczesnych wyzwań rozwojowych sposoby i kierunki polityki gospodarczej, a więc ujęcie normatywno-postulatywne (co i jak robić).

W sferze polityko-gospodarczej jest to program potrójnie zrównoważonego rozwoju, nie tylko gospodarczego, a więc dynamiczna równowaga: produkcja-sprzedaż, oszczędności-inwestycje, eksport-import, przychody-wydatki budżetowe. Chodzi też o równowagę społeczną, a więc o troskę o spójność społeczną, o nieprzekraczanie określonego poziomu nierówności dochodowych, o publiczne oraz prywatne inwestycje w kapitał ludzki. I trzecia sfera to równowaga ekologiczna, a więc stopniowa dekarbonizacja gospodarki i dbałość o czystość naturalnego środowiska człowieka. Pomiędzy tymi sferami, gdzie stykają się ludzie, zasoby naturalne, technologia, gospodarka, kultura i polityka występują określone sprzężenia zwrotne, które trzeba intelektualnie ogarnąć i, w ślad za tym, odpowiednio sterować gospodarką i jej rozwojem. Jesteśmy już w poPKBowskiej gospodarce, co wymaga poPKBowskiej teorii ekonomii i opierających się na niej poPKBowskich polityce gospodarczej i strategii rozwoju.

Niezbywalną częścią nowego pragmatyzmu jest ekonomia umiaru. Z jednej strony opisuje ona istotę gospodarki umiaru, z drugiej natomiast pokazuje, jak w praktyce produkcji i konsumpcji nie ulegać pokusie nadużycia ekologicznego i konsumpcjonizmu. Wielu z nas rozumie, że nie należy się obżerać, bo to zagraża zdrowiu, tak samo powinniśmy pojąć, że nie należy

przesadzać z nieokietnaniem w gospodarce, bo to szkodzi rozwojowi w dłuższej perspektywie. Wiemy już, że neoliberalizm to przecież nie tylko ideologia, lecz przede wszystkim ekonomiczna teoria, lansowana agresywnie, przy ogromnym zaangażowaniu niektórych mediów, także w Polsce, i przeforsowana przez pewien czas tam i tu polityka gospodarcza, która przez świadome i celowe osłabianie państwa pod hasłem zmniejszania jego roli, przez walkę z regulacjami i państwowym interwencjonizmem sprzyja bogaceniu nielicznych kosztem większości. Niezbicie dowodzą tego dane statystyczne ilustrujące przebieg procesów gospodarczych w krajach, którego uległy złudnemu urokowi neoliberalizmu. Doprowadził on do światowego kryzysu gospodarczego, który różne kraje dotknął w różnym stopniu. Dziś szukamy odpowiedzi na neoliberalizm, bo on nie zniknął, nie został wykończony ani z głów, ani z regulacji, ani z praktyk, on ciągle wierzga kopytami i chce wrócić, za czym stoją potężne elity z najpotężniejszymi pieniędzmi i znakomitymi ekonomistami, bo ekonomiści też lubią być dobrze opłacani.

Odpowiedzią na ułomności neoliberalizmu w wielu krajach stał się nowy nacjonalizm. To wartości, system i polityka, którą lansują m.in. Donald Trump czy Viktor Orban, a w jakiejś mierze też PiS i wielu innych „zbawców”, także w krajach Unii Europejskiej. Nie walczy się złem ze złem, nie przeciwstawia się jednej głupocie – drugiej. Teraz mamy dwu wrogów, co stawia rozsądnych pragmatyków, zwolenników godzenia efektywności gospodarczej ze sprawiedliwością społeczną w niezmiernie trudnej sytuacji, bo mam dwóch wrogów: neoliberalizm i jego populistyczne zaprzeczenie. Ale wróg mojego wroga nie jest moim przyjacielem! Tymczasem niejeden słusznie przeciwstawiając się populizmowi i nacjonalizmowi, przeszedł na pozycje neoliberalne. Lewica w tym wszystkim się gubi, choć walczy, co widać po obu stronach Atlantyku i nie tylko. Największe dla niej niebezpieczeństwo tkwi w tym, że podczas gdy jedni dają się uwieść populizmowi, inni mają skłonność zapominać o przywarach neoliberalizmu.

Teraz więc trzeba zaproponować coś więcej, coś odmiennego, alternatywnego wobec tych obu tendencji. Nowy nacjonalizm jest wymierzony przeciw globalizacji, natomiast nacjonalizm rosyjski, chiński, turecki czy indyjski to są „stare nacjonalizmy”. One nie są przeciw globalizacji, przeciwnie, zamierzają globalizację wykorzystać do własnych celów. Nikt nie robił tego lepiej niż Chiny. Szukając odpowiedzi na polityczne, ekologiczne, handlowe i kulturowe wyzwania globalizacji, trzeba sięgnąć do nowego pragmatyzmu. Cechuje go kontekstowość, a zrazem długofalowość i eklektycznym. Choć koncepcja to nowa, zawiera ona elementy, które czerpią z wielowiekowych dokonań nauk ekonomicznych, z jej różnych nurtów, z ekonomii neoinstytucjonalnej i monetaryzmu, z marksizmu i keynesizmu, z ekonomii neoklasycznej i marksizmu. Ponadto sięga do filozofii, z której przecież kiedyś wyodrębniła się ekonomia.

RATKOWSKI: Globalizacja jest nie do odwrócenia! My w niej tkwimy i musimy z tym żyć. Pan wykłada bodaj na trzech chińskich uniwersytetach. Między innymi! Prowadzi Pan światowe życie.

KOŁODKO: Bardzo dużo podróżuję. Tylko w tym roku odwiedziłem po trzykroć USA i tyleż Chiny, a także Buenos Aires, Davos, Budapeszt, Jerozolimę, Moskwę, Uniwersytet Warwick, Barcelonę i Kijów. Turystycznie zawiąłem też na Antarktydę i odwiedziłem ponownie Indonezję, łącznie z Papuą, oraz Singapur i po raz pierwszy w życiu Wschodni Timor. To już 168. kraj, który spenetrowałem, spędzając przy okazji wiele czasu z laureatem Pokojowej Nagrody Nobla w 1996 roku, Jose Ramos-Hortą. Dziś zdecydowanie więcej publikuję poza Polską, a to dlatego, że moje prace ukazują się w różnych językach. Wszystko, co jest istotne, musi pojawić się po polsku i po angielsku, bo to jest *lingua franca* współczesności, ale także po rosyjsku i po chińsku. Dużo publikuję też po japońsku i ukraińsku. Mam tylko jeden jedyny etat, od 2000 roku wykładam w Akademii Leona Koźmińskiego, inne afiliacje są tylko tytularne. Właśnie zostałem członkiem Academia Europaea, skądinąd jako jedyny polski ekonomista w tym gronie.

SĘKOWSKI: Uzyskał Pan 11 tytułów *honoris causa* i, co ciekawe, ani jednego w Polsce. Zdecydował się Pan na sportowy, ekologiczny tryb życia. Kiedy to się stało?

KOŁODKO: Tak, właśnie w tym roku przebiegłem 50. maraton, tym razem w Ziemi Świętej. Nurkowałem też w Morzu Suwa, pływałem po spienionych wodach na Bali, wędrowałem po górach i dolinach Papui. Do dziś, jak spotykam przyjaciela sprzed lat, pada hasło: może pół litra i golonka?, ale na hasło się kończy... Złe nawyki rzuciłem wcześniej, a sport zacząłem uprawiać dopiero, gdy znalazłem się w rządzie. Chodziłem na Torwar, gdzie zrzucąłem z siebie kilogramy i złość. Jak między czternastą a szesnastą wracałem do Urzędu Rady Ministrów. koledzy już sięgali po whisky i koniak, a ja czułem się jak młody bóg i harowałem do północy. Potem wyjechałem do Finlandii, tam jeszcze nie biegałem, tylko dzień w dzień siłowania i dwa razy w tygodniu pływanie. Później byłem w Waszyngtonie, w Banku Światowym wraz z profesorem Josephem Stiglitzem, z którym nadal się spotykam, pracowaliśmy nad koncepcją *Post-Washington Consensus*. Nawet BŚ opublikował mój artykuł na ten temat. No i tam, w tej ortodoksyjnej jaskini lwa, w MFW i BŚ, trafiłem na pełny socjalizm: siłownia zamknięta w sobotę i w niedzielę! Nie było wyjścia, energia mnie rozpieęła, zacząłem więc regularnie biegać. Później już tylko biegałem, na Yale i wszędzie indziej, bo to przecież najbardziej przystępny sposób uprawiania sportu. Dużo też pływam. Teraz biegam prawie codziennie, żeby odreagować stres i 16–18 godzin codziennej pracy. Gazet nie czytam, telewizji nie oglądam i dzięki temu dużo wiem.

CHUDZIŃSKI: Dziękujemy za rozmowę i wspólnie spędzony czas w nowej siedzibie Kuźnicy.

Rozmawiali:

**Edward Chudziński
Filip Ratkowski
Paweł Sękowski**

Kraków, 4 czerwca 2019 r.

KOWADŁO DLA PROFESORA KOŁODKI

4 czerwca 2019 w lokalu „Kuźnicy” przy al. Słowackiego 44 odbyła się uroczystość wręczenia Kowadła „Kuźnicy” profesorowi Grzegorzowi Kołodce, wybitnemu ekonomiście, reprezentantowi tzw. nowego pragmatyzmu, opierającego się na imperatywie harmonijnego rozwoju społeczno-gospodarczego. W niezmiernie trudnych warunkach jako zdecydowany przeciwnik dominującego wówczas neoliberalizmu pełnił kluczowe dla polskiej gospodarki funkcje wicepremiera i ministra finansów w rządach Waldemara Pawlaka, Józefa Oleksego, Włodzimierza Cimoszewicza i Leszka Millera (w latach 1994–1997 oraz 2002–2003). Był autorem *Strategii dla Polski*, *Pakietu 2000* i *Programu naprawy finansów Rzeczypospolitej*.

Autor i redaktor 50 książek oraz ponad 400 naukowych artykułów i referatów opublikowanych w 26 językach, od 2001 roku jest członkiem Komitetu Nauk Ekonomicznych PAN. Profesor prowadził wykłady i seminaria w dziedzinie ekonomii politycznej, porównawczej, polityki rozwoju i finansów publicznych w SGH i macierzystej Akademii Leona Koźmińskiego oraz m.in. w Yale i Rochester, na uniwersytetach Kalifornijskim w Los Angeles, w Illinois oraz na Uniwersytecie Wesleyańskim. Kierował pracami naukowymi i wykładał na wszystkich kontynentach. Członek rad programowych periodyków naukowych i instytutów badawczych. Columbia University Press nominowała amerykańskie wydanie książki prof. Grzegorza Kołodki *Wędrujący świat* do Michael Harrington Book. Nagroda jest przyznawana książkom, których przekaz może być wykorzystany w walce o lepszy świat. I nic dziwnego, że *Wędrujący świat* został przetłumaczony na 10 języków.

Do tej pory Grzegorz Kołodko otrzymał 11 doktoratów honorowych – wszystkie od uczelni zagranicznych. Od niedawna jest także członkiem prestiżowej Academia Europea. Znany jest również ze zdrowego i aktywnego trybu życia – startował do tej pory w 50 maratonach i wszystkie ukończył.

Uroczystość otworzył prezes „Kuźnicy”, dr Paweł Sękowski, który przedstawił krótko sylwetkę Laureata i odczytał okolicznościowy list gratulacyjny od prezydenta Krakowa, prof. Jacka Majchrowskiego (nie mógł być obecny z powodu uczestnictwa w obchodach 30. rocznicy wyborów do Sejmu 1989 roku w Gdańsku).

Po trzykrotnym uderzeniu młotem w kowadło, prezes odczytał uzasadnienie decyzji Rady „Kuźnicy” i wręczył Laureatowi Kowadło oraz pamiątkowy dyplom.

Obszerną i pełną uznania laudację wygłosił prof. Bronisław Łagowski – opublikujemy ją w następnym numerze „Zdania”. Następnie głos zabrał sam Laureat. Jego wystąpienie było erudycyjnym wykładem wybitnego intelektualisty, traktującym nie tylko o współczesnej Polsce, ale ogarniającym refleksją całokształt zglobalizowanej gospodarki.

Gorąca dyskusja w siedzibie „Kuźnicy” z udziałem prof. Kołodki, trwała jeszcze przez godzinę. (F.R.)



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

Rada Stowarzyszenia
„Kuźnica”

przyznaje

GRZEGORZOWI KOŁODCE

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu:

- ▶ Jego dorobku naukowego w dziedzinie ekonomii;
- ▶ roli w reformowaniu polskiej gospodarki;
- ▶ światowego autorytetu w zakresie ekonomii rozwoju i polityki gospodarczej.

Kraków, 4 czerwca 2019 r.

ANDRZEJ MENCWEL

PYTANIE

O „KLASĘ DLA SIEBIE”*

Rewolucje są momentami, w których społeczeństwa zapoznają się ze swoją istotną strukturą – napisał Stanisław Brzozowski w inspirowanej rewolucją 1904-1906 roku rozprawie o literaturze Młodej Polski. Brzozowski miał wtedy słuszość – bowiem podczas tamtej rewolucji społeczeństwo polskie *zapoznało się ze swoją istotną strukturą*, ponieważ ujrzano i uznano istnienie klasy robotniczej, jako realnej, nawet dominującej klasy społecznej. Miary tego uznania zależały od uprzedniego położenia klasowego, idei społecznych i praktyk politycznych, jeden wszelako rezultat był bezsporny i musiał być przez wszystkich przyjęty. Ten mianowicie, iż przemysłowa klasa robotnicza stanowi tak podstawowy składnik społeczny, że bez jej czynnej obecności nie da się społeczeństwa pojąć, narodu scalić, państwa odzyskać i urządzić. Jeśli inteligencja polska osiąga wówczas swoje historyczne apogeum, gdyż jej przedstawiciele widzimy na czele ówczesnych prac i walk, dzieje się to ze sprawą masowej obecności i aktywności robotników.¹ Zjawiają się oni wcześniej, nawet ich organizacje społeczne i polityczne są wcześniejsze, a wejście do industrialnej „ziemi obiecanej” wiąże się z protestami, strajkami i buntami.

Można jednak przyjąć, że przedrewolucyjne organizacje mają charakter głównie „kółkowy”, zaś protesty i buntury przebiegają żywiołowo. W rewolucji 1904-1906 roku zmienia się to gruntownie – organizacje stają się masowe, wystąpienia świadome i celowe. Kiedy w roku 1918, w odzyskującej niepodległość Polsce powstają pierwsze własne rządy, tworzą je socjaliści, a ich założenia programowe spełniają podstawowe oczekiwania i postulaty *ludu pracującego*, jak wówczas pisano.²

Czy wydarzenia lat 1980-81 były w nowoczesnych naszych dziejach wzmożonym odpowiednikiem rewolucyjnych lat 1904-1906? W perspektywie historycznej

wskazywanej przez sentencję Brzozowskiego – niewątpliwie tak! Społeczeństwo polskie bowiem, *zapoznało się wtedy ze swoją istotną strukturą*, w tym sensie, że dominacja klasy robotniczej stała się społecznie i politycznie, nawet wizualnie, nieodparta, aby w swoich następstwach doprowadzić do pokojowego przewrotu roku 1989, nierzadko uznawanego za odpowiednik roku 1918, czyli odzyskania niepodległości. Rzecz jasna to sierpniowe unaocznienie dominacji robotniczej, będące przecież wydarzeniem zmieniającym oblicza kraju i świata, nie było cudem odosobnionym, lecz końcowym, masywnym ogniwem długotrwałego procesu, poprzedzanym przez wydarzenia lat 1956, 1970, 1976. Wszystkie one, włącznie z marcem 1968 roku, nie byłyby z kolei możliwe bez tego wielkiego przekształcenia industrialnego, urbanizacyjnego i edukacyjnego, jakiego dokonano w powojennej Polsce. Przemiany te ponadto, chociaż częściowo narzucone, były również oczekiwane, co wyrażano jasno w powstających podczas wojny i okupacji programach politycznych, których wspólnym przeważnie punktem wyjścia była społeczna przede wszystkim krytyka Polski międzywojennej. Krytyka ta z kolei odsyłała do wspomnianych już postępowych podwalin ustrojowych II Rzeczypospolitej, założonych przez rządy socjalistyczne, a potwierdzonych przez pierwszy sejm Niepodległej, w którym przeważała prawica. Będąc w zgodzie z elementarną prawdą historyczną, trzeba znowu wskazać rewolucję 1904-1906 roku, podczas której społeczeństwo polskie, jak to słusznie orzekł Brzozowski, *zapoznało się ze swoją istotną strukturą* i u progu niepodległości samowiedzy tej nie mogło już porzucić.

Dalej w przeszłość cofać się nie mogę, choć jestem przekonany, że w każdej terażniejszości obecne jest wiele złóż przeszłości, które jeśli nie są czynne, to co najmniej odporne. I tak dla całego polskiego wieku XIX decydująca społecznie i narodowo jest kwestia chłopska, a jej rozwiązanie nie następuje bynajmniej wraz z tak zwanym uwłaszczeniem w kolejnych trzech

* Rozdział z książki *Przedwiośnie czy potop*, która ukaże się w Wydawnictwie Krytyki Politycznej.

zaborach, gdyż realizacja reformy rolnej dokona się w następnym stuleciu. Tutaj jednak zajmuje mnie szczególnie relacja zachodząca pomiędzy rzeczywistością ludzi i rzeczy (*strukturą istotną*), a zbiorowymi o niej wyobrażeniami (*zapoznaniem się*), czyli samowiedzą. W dekadzie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, klasie robotniczej u nas, choć nieustannie „rosła ona w siłę”, żeby użyć ówczesnego liczmanu, władze nadawały głównie byt ideologiczny i frazeologiczny, zakłamując tym samym rzeczywistość społeczną, razem z własnym w niej istnieniem. Sierpień 1980 zakłamanie to zdruzgotało, społeczeństwo odsoniło swoją *istotną strukturę* i się z *nią zapoznało*, uzyskało zatem odpowiednią samowiedzę swego istnienia, co odebrało władzom dotąd panującym rację bytu, choć ich ostateczne odejście trwało jeszcze prawie dekadę.

Historia nie jest wiedzą ani łatwą, ani małą, ale przeszłość ponadstuletnia (od 1904-1906) czy prawie półwieczna (od lat 1970-1980), pozostając przedmiotem wszechstronnych sporów jest jednak bardziej przejrzysta od współczesności, którą zrozumieć się staram. Pierwszym jej zaćmieniem, które rzuca nam się na oczy, jest doszczętne nieomal zniknięcie z publicznego wokabularza „klasy robotniczej”, a wraz z nim klasowej wizji, czy też koncepcji społeczeństwa. Czy klasa robotnicza, zasadniczo dominująca w dwudziestowiecznych dziejach Polski, zniknęła z teraźniejszej struktury społecznej realnie, czy też unieważniono ją pojęciowo, aby pozbyć się jej jako problemu politycznego?

Robotnicy rzeczywiście zmienili swoje miejsce społeczne wraz z postindustrialnymi, jak się je nazywa, zmianami gospodarczymi, ale przecież się nie ulotnili, bo mamy nadal górników, hutników, mechaników i murarzy. O wiele bardziej niż ze społeczeństwa znikali oni z języka publicznego, a ich narastająca pojęciowa nieobecność ułatwiała najpierw ideologizację liberalnego „społeczeństwa obywatelskiego”, później zaś konserwatywnej „wspólnoty narodowej”. Obie te ideologizacje, każda na swój sposób odwoływały się do tradycji „Solidarności”, coraz bardziej mityzowanej i coraz mocniej pozbawianej konkretnego oblicza społecznego. W budowę sieci związków, stowarzyszeń i ogniw tworzących społeczeństwo obywatelskie byłem osobiście zaangażowany, więc jest mi ono bliższe, ale to nie znaczy, że pozwalałam utożsamiać naród z beztreściwą społecznie „wspólnotą narodową”.

Co do klasowej wizji lub koncepcji społeczeństwa, to miały one w nowoczesnej myśli socjologicznej różne konkretyzacje (konserwatywne, liberalne i socjalistyczne), ale zawsze związane były z narodzinami i rozwojem społeczeństw przemysłowych i kapitalistycznych. Najprościej mówiąc społeczeństwa feudalne były stanowe, społeczeństwa kapitalistyczne – klasowe. Polska rewolucja lat 1904-1906 dlatego tak wiele znaczy, że po raz pierwszy w naszych dziejach nowoczesna struktura klasowa przełamywała w niej anachroniczną strukturę stanową.

Transformacja zachodząca w Polsce po roku 1989, choć nazywano ją często rewolucyjną, w swojej istocie gospodarczo-społecznej była jednak restauracyjna. Restaurowano bowiem kapitalizm oraz właściwe mu społeczeństwo klasowe, choć na gruncie cywilizacyjnym zasadniczo zmienionym przez przeobraże-

nia powojenne. Społeczeństwo Polski Ludowej było uprzemysłowione, zurbanizowane, zdemokratyzowane, a także niezrównanie bardziej wykształcone, gdy II Rzeczpospolita pozostawała przeważnie wiejska, pełna stanowych przeżytków i niepiśmienna na znacznych obszarach. Restauracja ta nie tłumaczy bynajmniej tego, że jedynym zwrotem odnoszącym się do struktury społecznej, rozpowszechnionym w III Rzeczypospolitej stała się „klasa średnia”, zaś inne byty społeczne przesłoniły tumany niewiedzy. Próby wznowienia sporu o inteligencję miały regresywny charakter, ponieważ ignorowały przetworzenie całej *struktury istotnej*.³ Wyglądało na to, że nowa, dominująca klasa średnia, będąc zagadnieniem rzeczywistym, istnieje jednak głównie frazeologicznie oraz ideologicznie, w każdym razie nie *zapoznała się* sama ze sobą, nie jest więc siebie świadoma. Podobnie jak całe współczesne społeczeństwo polskie, co dodatkowo potwierdza zanikanie historiografii społecznej i osłabienie krytycznych studiów socjologicznych. Z tym większą więc oskromą rzucam się na dziełko, w którego tytule wybito *Klasy w Polsce* i chętnie wchodzę w rzecz samą.⁴

Czy, na przykład, sposoby postępowania się rowerami rozpowszechnionymi w ostatnich dekadach uwiadcniają nam podziały klasowe odrzucone w naukowych rzekomo teoriach i wykluczone z podniosłych, narodowych idealizacji? Maciej Gdula nie tylko odpowiada twierdząco na to pytanie, ale odpowiedzią tą wspiera również swoją koncepcją obecnych podziałów klasowych.⁵ I tak, jego zdaniem, członkowie *klasy ludowej*, postępują się rowerami w sposób zwyczajowy, to znaczy używają ich do robienia zakupów i podobnych posług; w *klasie średniej* przeważa spacerowe i komunikacyjne wykorzystywanie bicykli, dlatego jej reprezentanci domagają się rozbudowy ścieżek rowerowych; elity zaś, czyli *klasa wyższa*, nabywają sprzęt najwyższej jakości wraz z towarzyszącym mu ekwipunkiem, a jeżdżą gdzie chcą i jak chcą. Przyznaję, że moje własne obserwacje (z Łomianek i okolic) potwierdzają trójpodział Gduli i to tak naocznie, że dla zachowania rezerwy umysłowej, jestem gotów poddać go w wątpliwość.

W tej samej książce Henryk Domański, znany dobrze ze swoich analiz socjologicznych,⁶ twierdzi, że współczesne społeczeństwo nasze dzieli się na klasę szesć (właściciele, specjaliści czyli menadżerowie, urzędnicy niżsi, robotnicy wykwalifikowani, rolnicy, robotnicy niewykwalifikowani), przy czym jego studium obejmuje lata 1982-2015, czyli przekracza ramy periodyzacji politycznej pośród historyków wszechwładne. Nie jest to chronologiczny przypadek, Domański bowiem dowodzi, że we współczesnej Polsce, podobnie jak w ostatnich dekadach PRL, bariery klasowe były i są dość trwałe, zaś ruchliwość międzyklasowa zasadniczo słaba; elity reprodukują się we własnych kręgach, potomstwo klas niższych (robotnicy, urzędnicy, rolnicy) pozostaje na pozycjach wyjściowych. Mogę i to potwierdzić własnym doświadczeniem, o którym już pisałem,⁷ ale z przekonujących studiów autorów tej pracy zbiorowej wydobywam taki wniosek: społeczeństwo, którego przytłaczająca większość członków przywiązana jest do swoich pozycji wyjściowych, nie jest naprawdę otwartym. Aby się rzeczywiście otworzyć, musi się przynajmniej adekwatnie rozpoznać.

Książeczka ta szczupła objętością, wiedzą jest obfita; powstrzymuję się przed dyskusją socjologiczną (klasy podług Domańskiego czy Gduli?), aby wejść w spór kulturowy. Przekonuje ona o owocności języka analizy społecznej w poznawaniu współczesności, jeśli tylko język ten podda się krytycznemu namysłowi i refleksyjnie odnowi. Odkładając na biblioteczną półkę dwubiegunowy podział społeczny Marksa i marksistów (wyzyskiwacze i wyzyskiwani), przyjmujemy przeto podziały społeczne bardziej złożone i wielocłonowe, a musimy je badać rzetelnie, aby lepiej rozumieć świat, w którym żyjemy.

Wielocłonowych zróżnicowań społecznych nie określają tylko kryteria ekonomiczne (bogaci i biedni), lecz także socjologiczne i kulturowe, czyli, żeby użyć języka wprowadzonego przez Pierre'a Bourdieu, za którym nie przepadam: „kapitał społeczny” oraz „kapitał kulturowy”. Nie przepadam dlatego, że niewątpliwą dominację kapitału w naszym świecie nie musi koniecznie wzmacniać „kapitałowy” język jego opisu, ale przynaję, że dostępność „sieci społecznych” (czyli „stosunków” lub „układów”) oraz zasobów edukacyjno-kulturalnych (elitarnie pepiniery, biblioteki domowe itp.), jest wyraźnie różna w różnych grupach społecznych. Oczywiście, na przykład, jest ona wyższa dla rodowitych warszawiaków z klasy średniej niż dla przybyszów z prowincji, mianowanych „słóikami”, aby odebrać im „szacowność” również hierarchizującą społecznie.⁸

Autorki i autorzy tego tomu są konkretni i subtelni w swoich analizach, niekiedy wyciągają z nich wnioski, które wydają się radykalne, ale to, że otwierają zamkniętą zbyt długo przestrzeń dyskusji społecznej, przyjmują z ochotą. Aby tę przestrzeń dopełnić, podejmują właśnie spór o zagadnienie tożsamości, przez nich oddalone.

Magda Szcześniak⁹ spostrzega, że „klasa średnia” w pierwszych latach transformacji była „budowana” ideologicznie, jak „klasa robotnicza” za dawnego reżimu, a co więcej, że występowała jako swego rodzaju metonimia całej struktury społecznej, aby właśnie ją przesłonić, przez co inne grupy postawione w dramatycznej nierzadko sytuacji stawały się zbiorowo „niewidzialne”. Inteligentnie też analizuje towarzyszące tej ideologizacji przemiany kultury wizualnej, głównie wtedy telewizyjnej (internet dopiero raczkował), narzucającej różne imitacje elitarnych stylów życia jako pożądaną „kultury wyższej”.

Dobrze pamiętam magiczną siłę *Dynastii*, podczas nadawania której pustoszały uliczki Targówka, oraz niezliczone w polskich miasteczkach lumpeksy, nazwane imieniem Alexis. Kiedy jednak dzisiaj, a będzie już niedługo trzydzieści lat od tamtych siermiężnych początków nowej kultury wizualnej, zaglądam sporadycznie w seriale dowolnej rodzimej sieci telewizyjnej, widzę, że wszystkie one dzieją się w tym samym prawie, wymyślonym środowisku klasy średnio-średniej, zarówno w metropoliach, jak na prowincji. W tę schematyczną scenerię, wrzuca się epizodycznie jakiegoś „wykluczonego”, który rzecz jasna okazuje się nieudacznikiem, alkoholikiem lub przestępcą. Wszystkie te postacie razem wzięte zięją pustką, ponieważ pozbawiono je naprawdę ludzkiej substancji. Ale nie ma tej substancji bez kulturowej specyfiki, społecznej genealogii i histo-

rycznej tradycji. Podobnie jak nie istnieją pozbawione tych właściwości klasy i grupy społeczne.

Sylvia Urbańska, która owe „normy szacowności” uznaje za ważny wyznacznik pozycji społecznej, w swoim studium poświęconym *przekształceniom klasowym w procesach migracji*,¹⁰ pisze, że polscy emigranci ulegają łatwo gettoizacji, a związana z tym izolacja od wieloetnicznego i wielokulturowego otoczenia sprzyja przeniesieniu różnic społecznych (w tym klasowych) na swoistą „politykę tożsamości”, opartą na przeciwstawieniu „swoich” i „obcych”.

Nie mam wątpliwości, że we wszelkich diasporach przeniesienie takie się dokonuje, ponieważ sama gettoizacja na nim się opiera – wewnątrz żyją „swoi”, na zewnątrz – „obcy”. Pytam jednak, czy podobny proces nie dokonuje się wewnątrz kraju i czy „polityka tożsamości” mityzująca swojską „wspólnotę narodową” nie przykrywa różnic społecznych, zwłaszcza klasowych, w całym współczesnym polskim społeczeństwie? Jeśli tak, to trzeba różnice te odstaniać i analizować w odpowiednim dla nich, odnowionym języku socjologicznym, co czynią autorzy tej książki.

Społeczeństwa nowoczesne są złożonymi systemami wielocłonowymi, a nie homogenicznymi społecznościami pierwotnymi, które byłyby etnologicznym czarem, lecz przeniesione do współczesności są zwykłą ideologizacją. Składniki społeczeństw rozwiniętych nie spadły jednak z nieba, są ziemskimi tworamii dziejowymi, niekiedy wielowiekowymi, jak klasa chłopska, która podlega zanikowi w naszej przytomności.¹¹ Tworamii dziejowymi są również właściwe tym klasom style życia, wyobrażenia zbiorowe, pojęcia świadomości, konstrukcje tradycji. Dlatego nie da się zrozumieć współczesnego społeczeństwa polskiego bez odniesienia do ukształtowanych w nim kulturowych wzorów tożsamości.¹²

Na początku zeszłego stulecia wraz ze zmianą tradycyjnych odniesień społecznych artykułują się także nowe idee – nacjonalizm, agraryzm, liberalizm, socjalizm – powstają też i rozwijają się nowoczesne ruchy polityczne. Alternatywy współczesne odpowiadają w pewnej mierze zeszłowiecznym, a choć ciągłość postaw i organizacji została zerwana przez wojny i przewroty, korespondencje pomiędzy nimi są słyszalne. Nie sądzę wszelako, że żyjemy ciągle w cieniu dwóch wielkich trumien, Piłsudskiego i Dmowskiego, przed czym przestrzegał Jerzy Giedroyc. Wygląda raczej na to, że obecnie rządzi w Polsce widomo Dmowskiego, przybrane w pośmiertną maskę Piłsudskiego. Tym ważniejsze jest więc otwarcie nowego horyzontu przez nowe siły społeczne.

Maciej Gdula nie jest obojętnym naukowcem akademickim, lecz badaczem ideowo zaangażowanym, co jawnie wypowiadając zyskuje na wiarygodności. Jego autorska książka *Nowy autorytaryzm* spowodowała tak rozległą dyskusję społeczną, jakiej dawno nie mieliśmy. Ponieważ ta rzecz o „Miastku” rymuje się z moim esejem o „Wiosce” (też bez nazwy), pozostawiam ją w tle, aby nie wdawać się w egotyczne niechybnie porównania. Skupiam się natomiast na *Klasach w Polsce*, szczególnie na pytaniu wystawionym wprost przez autora: *Czy możliwa jest zmiana układu sił?* Zarówno samo to pytanie, jak i proponowana odpowiedź dalekie są od pospolitej, spaczony polityzacji wszelkich za-

gadnień życia publicznego w Polsce. Gduli nie chodzi o tworzenie koalicji partyjnej, a zmiana, którą ma na uwadze, nie polega na doraźnym odparciu rządzącej prawicy. *Zmiana układu sił* oznacza zmianę stosunków społecznych, podstawę wszelkich trwałych konstelacji politycznych. Ma się u nas utworzyć wielki blok dwóch klas, ludowej i średniej, obejmujący swą wielopostaciową hegemonią cały naród. Uwięźliśmy bowiem w relacjach właściwie odwróconych – hegemonię sprawuje zarówno politycznie, jak ekonomicznie i kulturowo elitarna klasa wyższa, odpowiednio manipulując demokracją. Natomiast klasy najliczniejsze i podstawowe poddane są jej wszechstronnej dominacji i pozostają w ideowym uśpieniu. Maciej Gdula mógłby napisać, jak Emanuel-Joseph Sieyès w sławnej broszurze, zapowiadającej Wielką Rewolucję Francuską, *Czym jest stan trzeci?*, że ten blok społeczny, który wskazuje, jest *zupełnym narodem*, a jeśli teraz politycznie jest *niczym*, to powinien stać się *wszystkim*.

Podzielam dążenia Gduli i podobnie jak on chciałbym przyczynić się do powstania wielkiego, społecznego, prawdziwie demokratycznego bloku, zmieniającego całą współczesną rzeczywistość, więc także kulturę symboliczną, w której krytyczną przebudowę zaangażowany jestem od lat. Obawiam się jednak, że jego *klasa średnia*, podobnie jak i *klasa ludowa*, nie są pokąźnymi monolitami społecznymi, lecz pozostając wewnątrznie rozwarstwione, rozsadzone też są sprzecznymi interesami oraz identyfikacjami.

Wielostopniowe podziały społeczne, jak w badaniach i koncepcjach Henryka Domańskiego, są bliższe moim doświadczeniom, choć utrudniają ideowe wizje „wielkich bloków”. Pozostawiam jednak tę dyskusję socjologom, z wiarą w to, że sprowadzi ona na społeczną ziemię wszelkie polityzacje naszej rzeczywistości. Moje pytania krytyczne wynikają natomiast z napięć i sprzeczności w kwestii tożsamości, a trzeba je koniecznie uświadamiać, jeśli *szanse zmiany społecznej* mają stać się realnością przeważających ludzkich postaw, a nie pozostać tylko abstrakcyjną konstrukcją intelektualną. Zapoznać się ze swoją *strukturą istotną*, to znaczy uzyskać jej czynną, sprawczą samowiedzę, bez której żadne poważne zmiany nie są możliwe.

I tak: czy w tym wyczekiwany „wielkim bloku” widzimy reprezentatywne grupy tych, którzy twardo stoją na gruncie politycznej i obywatelskiej koncepcji narodu, i potrafią ją nie tylko teoretycznie uzasadniać, ale i upowszechniać tak, abyśmy wszyscy czuli się powszednio odpowiedzialni za kulturę, religijną i etniczną otwartość naszego społeczeństwa i państwa? Dalej: gdzie znajdują się ci, którzy identyfikują się z nowoczesną tradycją demokratyczną, a jej socjalistyczne składniki uważają za niezbywalne zarówno w sferze obyczajowej, jak i symbolicznej? Czyli ci, dla których *ludzie wolni są braćmi*, zwłaszcza wtedy, gdy pozostają „pracobiorcami”; hasło *za wolność naszą i waszą* odnoszą do uchodźców całego świata, a socjalizmu nie myślą ze stalinizmem?

Polska Ludowa w formie politycznej była tworem narzuconym, ale w swojej treści społecznej oczekiwanym przez większość Polaków, którzy też brali udział w jej budowaniu, i to nie tylko wtedy, kiedy szło o pożądaną i jednoczącą ludzi odgruzowanie. Pokojowa, długotrwała praca przetwarzania struktur zastanych

i wymuszanych, gdzie ma teraz swoich słyszalnych, publicznych rzeczników? Której uznanie winno również wiązać się nie tylko z biernym przyjęciem powojennych zmian terytorialnych, ale i uszanowaniem „pionierów Ziem Zachodnich” oraz akceptującym zrozumieniem nowoczesnych przemian cywilizacyjnych, dokonywanych w różnych rytmach i z nierównym skutkami, podczas powojennych dekad.

Wreszcie – czy mamy taką siłę społeczną, wyrażającą się w oficjalnej reprezentacji politycznej, która bez żadnej incydentalnej agresji, ale za to pryncypialnie i stanowczo broni świeckości państwa we wszystkich jego instytucjonalizacjach, a jasnością i otwartością swego stanowiska działa także na panujący model polskiej, katolickiej religijności? Jest dość oczywiste, że na wszystkie te pytania można odpowiedzieć pozytywnie, jeśli wskazuje się wyodrębnione na ogół dość elitarne środowiska. Ale gdy mamy na uwadze „wielki blok społeczny” odpowiedź, niestety, musi być negatywna. I nie zostanie zmieniona dopóty, dopóki nie zmieni się przeważający wzór polskiej tożsamości.

ANDRZEJ MENCWEL

Przypisy

- 1 Por. Wiktor Marzec, *Rebelia i reakcja. Rewolucja 1905 roku i plebejskie doświadczenie polityczne*, Łódź-Kraków 2016, zwłaszcza rozdział pt. *Proletariacka sfera publiczna*, s. 49-126.
- 2 Zob. Adam Próchnik, *Pierwsze piętnastolecie Polski niepodległej (1918-1933). Zarys dziejów politycznych*, Warszawa 1083, zwłaszcza rozdział drugi, *Rządy ludowe*, s. 31-40. Także Paweł Zaremba, *Historia Dwudziestolecia (1918-1939)*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1991, szczególnie *Demokratyczne podstawy państwa*, s. 33-38.
- 3 Opinia ta nie dotyczy książki Piotra Kulasa, *Inteligencność zaprzeczona. Etos i tożsamość młodych inteligentnych elit*, Warszawa 2017. To rzetelne i wszechstronne badanie współczesnego stanu tej problematyki.
- 4 *Klasy w Polsce. Teorie, dyskusje, badania, konteksty*. Redakcja Maciej Gdula, Michał Sutowski. Autorzy: Henryk Domański, Klaus Dorre, Adrianna Drozdowska, Maciej Gdula, Mikołaj Lewicki, Adam Mrozowicki, Magda Szczesniak, Sylwia Urbańska, Warszawa 2017.
- 5 Maciej Gdula, *Pożytki z klasowości. Klasy w Polsce i szanse zmiany społecznej*, tamże s. 136-162.
- 6 Henryk Domański, *Stratifikacja klasowa w Polsce*, tamże s. 16-45. Oraz książka tegoż autora pt. *Czy są w Polsce klasy społeczne?*, Warszawa 2015.
- 7 Zob. Andrzej Mencwel, *Toast na progu*, Kraków 2017. Ostatnio ukazała się też bardzo ważna dla tej problematyki książka Przemysława Sadury, *Państwo, szkoła, klasy*, Warszawa 2017.
- 8 Zob. pouczające studium Mikołaja Lewickiego i Adrian Drozdowskiej, „*Słoiiki*” i warszawiacy: *klasowe wojny o Warszawę*, w: *Klasy w Polsce*, wyd. cyt. s. 93-135.
- 9 Magda Szczesniak, *Obrazy klasy. Wyobrażenia o strukturze klasowej w czasach transformacji ustrojowej*, tamże, s. 61-76..
- 10 Sylwia Urbańska, *Normy szacowności i płeć jako oś przekształceń klasowych w procesach migracji*, tamże s. 77-92.
- 11 Zob. *Kultura chłopska: kres, koniec, próg?* w: Andrzej Mencwel, *Toast na progu*, wyd. cyt. 273-299.
- 12 Bliżej o dylematach tożsamości w podrozdziale *Tożsamość - napięcia i sprzeczności*, w tym tomie.

JAROSŁAW DOBRZAŃSKI

FILOZOFIA EKONOMII ANTYSPÓŁECZNEJ

Coraz częściej można usłyszeć opinię, że gospodarka kapitalistyczna wchodzi w kolejny kryzys lub w drugą fazę kryzysu, jaki wybuchł na gruncie krachu amerykańskiego rynku nieruchomości w latach 2007-2009. Niektórzy wręcz przepowiadają koniec świata gospodarczego, jaki znamy – krach zglobalizowanego kapitalizmu. Niezależnie od tego, czy sytuacja obecna jest kolejną odsłoną, dalszym ciągiem kryzysu czy początkiem generalnego krachu, jedno jest pewne: kręgi odpowiadające za zarządzanie światową gospodarką – biznesowe i polityczne – nie nauczyły się niczego i nie wyciągnęły wniosków z poprzednich doświadczeń kryzysowych.

Po każdym z coraz liczniejszych w świecie epizodów popadnięcia gospodarki w recesję, pęknięcia kolejnej bańki spekulacyjnej czy uwolnienia tsunami dewastującego rynki kapitałowe, pod adresem elit gospodarczych kierowano postulaty – niektóre wychodzące z ich własnych szeregów – zmierzające do zreorganizowania fundamentów działalności gospodarczej w skali krajowej i globalnej, zwłaszcza finansowej, i oparcia jej na solidnych i przejrzystych zasadach.

O wprowadzeniu mechanizmów, które przeciwdziałałyby niestabilności rynków finansowych i powstawaniu baniek spekulacyjnych za sprawą niekontrolowanej produkcji przez finansistów instrumentów pochodnych mówi się w świecie gospodarki kapitalistycznej co najmniej od momentu odejścia w międzynarodowej wymianie finansowej od systemu z Breton Woods. Wprowadzony po II wojnie światowej wspólną decyzją grupy państw zachodnich system ten ograniczał zakres wahań kursów wymiany walut. Odbierając indywidualnym państwom możliwość samodzielnego sterowania zagranicznym popytem na ich produkty (przez celowe dewaluacje waluty krajowej) system, poprzez sztywne kursy, umożliwił stabilizację międzynarodowej wymiany handlowej i przeciwdziałał konfliktom. Przyjęcie negocjowanych zbiorowo kursów wymiany oznaczało dobrowolne przesunięcie suwerenności ekonomicznej z państw narodowych na ich organizację międzynarodową. Impulsem do zbudowania wspólnotowej polityki w handlu zagranicznym były traumatyczne doświadczenia Wielkiego Kryzysu i wojny.

System z Breton Woods utrzymał się do roku 1971. Jego załamanie się zbiegło się w czasie z zakończeniem wymiennalności dolara amerykańskiego na złoto. W zaistniałej sytuacji instrumentem pobudzania gospo-

darek z konieczności stała się rosnąca podaż kredytów. Dalsza liberalizacja i deregulacja rynków w duchu neoliberalnej mantry reaganomiki przygotowały grunt dla nieobliczalnej polityki generowania zadłużenia i pompowania baniek spekulacyjnych, powodując przy tym dewastację tkanki społecznej na dotkniętych tą strategią obszarach. Cztery dekady polityki gospodarczej polegającej na błędnym kole liberalizacji i deregulacji – cięcia kosztów i generowania zadłużenia – produkcji dobrobytu na kredyt i tworzenia baniek spekulacyjnych doprowadziły świat na krawędź obecnego kryzysu, ale zjawiska kryzysowe dawały znać o sobie już od lat 80. XX w., ujawniając kolejne symptomy terminalnej choroby systemowej, na jaką cierpi niestawna *trickle-down economics* (ekonomia skapywania).

Gdy upadał system z Breton Woods, pojawiła się w dyskusjach specjalistów i polityków koncepcja podatku od operacji wymiany walut (tzw. podatek Tobina). Wpływała z inspiracji podobnej do porozumienia z Breton Woods, tzn. z chęci zabezpieczenia systemów finansowych przed rujnąjącą dla gospodarek niestabilnością i nieprzewidywalnymi gwałtownymi zmianami wartości pieniądza i akcji.

Problem podatku od operacji finansowych powracał, podnoszony przy okazji kolejnych kryzysów na światowych rynkach: kryzys *savings and loans* dekady Reagana-Busha, Meksyk i Ameryka Płd. w roku 1994, Azja w 1997, Rosja w 1998, tzw. *dotcom bubble* – kulminująca w roku 2000 bańka na rynku notowań firm sektora informatycznego i internetowych, nowojorski krach giełdowy z lat 2000-2002 i, na koniec, w trakcie ogólnego kryzysu z lat 2007-9. Do pierwotnej formuły tej koncepcji zgłoszono kilka udoskonalających ją modyfikacji oraz rozszerzono pomysł tak, by opodatkowaniem przeciwdziałającym spekulacji i niestabilności rynków objąć inne operacje finansowe, w szczególności giełdowe.

Jednak przedłużająca się dominacja w dyskursie ekonomicznym neoliberalnej ortodoksji blokowała przyjęcie rozwiązań stabilizujących. Noblista Joseph Stiglitz, zwolennik zniechęcania do spekulacji za pośrednictwem podatku od operacji finansowych, zapłacił za głoszenie tego niepopularnego poglądu utratą stanowiska głównego ekonomisty Banku Światowego.

Śród licznych propozycji zmian i reform systemu bankowo-finansowego warto wskazać następujące:

rozbić gigantycznych organizacji („zbyt dużych, by upaść”) w celu ograniczenia ryzyka systemowego, przywrócić obalony w 1999 r. prawa z 1933 r., separującego bankowość inwestycyjną od depozytowej, poddanie instytucji parabankowych regulacjom obowiązującym instytucje bankowe, ograniczenie lewarowania, powiązanie wynagrodzeń kadry menedżerskiej z długoterminowymi wynikami, ustanowienie górnej granicy kompensacji menedżerów w firmach, które otrzymały finansową pomoc rządową, wprowadzenie wymogu posiadania rezerw kapitałowych i ubezpieczeń od dekonstrukcji, zaostrzenie polityki przyznawania kredytów, skonstruowanie systemu wczesnego ostrzegania przed ryzykiem systemowym, obligatoryjna wymiana papierów dłużnych na akcje w przypadku upadłości spółki giełdowej przed zastosowaniem wykupu przez rządowy program pomocowy, dająca pierwszeństwo wierzycielom przed udziałowcami (*debt for equity swap*), wprowadzenie podatku od transakcji finansowych w wymiarze globalnym (lokalny nie będzie skuteczny), ograniczenie inwestycji spekulacyjnych, obciążenie banków kosztami kryzysu, specjalne rodzaje opodatkowania banków, aż po nacjonalizację upadłych banków.

Większości z tych propozycji nie zrealizowano, a te, które wdrożono zostały mocno rozwodnione lub zmodyfikowane tak, by osłabić ich oddziaływanie. Trzonem reakcji na kryzys była masowna interwencja pieniężna ze strony rządu, przerzucająca bieżącą odpowiedzialność finansową za jego skutki na barki społeczeństwa, bez stawiania żadnych wymogów ratowanym finansowym gigantom, które dzięki transferowi publicznych funduszy, umożliwiającym kolejne przejścia i konsolidacje, stawały jeszcze większe.

Nie trzeba dodawać, że podatnicy, których nierówno obciążono finansowaniem tej wielkodusznej dla banków inwestycyjnych polityki, nie byli pytani ani prośzeni o zgodę. Niesprawiedliwa polityka podatkowa, która współgrała z neoliberalną ideologią, zabierała bowiem proporcjonalnie najwięcej najstańszym z nich. Dopóki dolar amerykański pozostaje światową walutą rezerwową, tego rodzaju polityka jest niczym więcej niż dodrukiem pieniądza, popartego jedynie emisją skarbowych papierów dłużnych, czyli wiarygodnością przyszłych rządów USA. Świat godzi się na nią nie za sprawą jej ekonomicznej sensowności, lecz pod swoistym szantażem przemocy ekonomicznej, która uzależniła go od amerykańskiego banku centralnego, będącego skądinąd instytucją prywatną. Za nią stoi jedynie brutalna siła polityczna i militarna.

Nie tylko więc nie dokonano prawie żadnych istotnych zmian postulowanych przez krytyków nadmiernej liberalizacji biznesu bankowo-finansowego, ale usuwano fundamentalne zabezpieczenia, które wprowadzane były kiedyś pod wpływem doświadczeń płynących z poprzednich kryzysów. Jednym z kluczowych błędów było wspomniane zniesienie, za prezydentury demokracji Clintona, bariery oddzielającej bankowość inwestycyjną od tradycyjnej, depozytowo-kredytowej. Obostrzenie to było wprowadzone (tylko w USA) w następstwie Wielkiego Kryzysu z 1929 r. Okoliczność ta jest dowodem na to, że neoliberalny fundamentalizm stał się ponadpartyjnym konsensem i zbiorem aksjomatów polityki gospodarczej w USA w epoce postzimnowojennej.

Nie tylko w USA zapanował ideologiczny monopol. W Europie Zachodniej polityka deregulacji trwała także po czasowym odsunięciu konserwatywnej prawicy od władzy – tzw. „nowa lewica” Blaira nie tylko nie odważyła się, ale nie miała wcale zamiaru dokonać odwrótu od polityki thatcheryzmu. Dostrzegła to sama „Żelazna Dama”, wychwalając za to premiera Blaira. Nic więc dziwnego, że i pod rządami Clintona kontynuowano politykę deregulacji jego konserwatywnych poprzedników. Przez 30 lat ukształtowała się na Wall Street silna i jednomyślna grupa wpływu, a administracja rządowa, niezależnie od barw partyjnych, była uzależniona od jej kompetencji i doradztwa. Ci sami ludzie z ośrodka finansjery pojawiali się na kluczowych stanowiskach gospodarczych w gabinetach prezydentów z partii demokratycznej i republikańskiej. Władza nad gospodarką przeszła w ręce nieobieralnych gremiów odpowiedzialnych jedynie przed wielkimi właścicielami korporacyjnej oligarchii.

W efekcie przyjętego konsensu transfery bogactwa odbywały się w tym samym kierunku. Pauperyzująca się i znikająca klasa średnia, która powstała po drugiej wojnie światowej dzięki polityce *New Dealu*, oraz postępujące skrajne rozwarstwienie społeczne stawały się rzeczywistością. Aktywa finansowe jednego procenta najbogatszych Amerykanów przed wybuchem kryzysu z 2008 r. wynosiły 16,8 biliona USD. To o 3 biliony dolarów więcej niż produkt krajowy brutto (GDP) całych Stanów Zjednoczonych w roku poprzedzającym (13,8 bln) i 6 razy więcej niż wyniosły całkowite wydatki budżetowe rządu (2,7 bln), z których część trafiła przecież także do tego jednego procenta.

Ten jeden procent najbogatszych dysponował 38,1 procenta całego majątku kraju, kolejne 4 proc. dysponowało 21,3 proc., a następne 5 proc. – 11,5 proc. Jak widać, 10-procentowa ekonomiczna elita społeczeństwa amerykańskiego zawłaszczała 71 procent wszystkich jego aktywów. Wynika z tego, że dla 90 proc. – przytłaczającej większości społeczeństwa – pozostawała mniej niż jedna trzecia krajowego majątku.

Ale to nie cała prawda. Sposób dystrybucji tych zasobów ujawnia dalsze nierówności: dolne 40 proc. społeczeństwa pod względem uzyskiwanych dochodów – a więc prawie połowa – miało do swej łącznej dyspozycji zaledwie 0,2 proc. z ogólnej sumy krajowego bogactwa. Jeszcze bardziej porażają dane ukazujące dynamikę dystrybucji majątku pomiędzy klasami społecznymi. Przeglądając dane historyczne zobaczymy, że udział górnych centyli i decyli najbogatszych w ogólnej sumie zasobów kraju stabilnie i znacząco się zwiększał (na koniec XX wieku górne 10 proc. skali dochodowej posiadało dwie trzecie łącznej sumy dochodów, dziesięć lat później już trzy czwarte; dolne 40 procent posiadało 1 proc., a więc ich i tak mizerny udział w ciągu 10 lat zmniejszył się pięciokrotnie). Towarzystwo mu – na przeciwnym biegunie dochodów – stałe pomniejszanie udziałów najmniej zarabiających. Wyśmiewane jako przejaw populizmu powiedzenie „bogaci stają się jeszcze bogatsi, a biedni biednieją” nie jest bynajmniej żadnym sloganem propagandowym, lecz bezsprzeczną prawdą dowiedzioną empirycznie.

Oficjalna ideologia amerykańska, wywodząca się z uproszczonej wersji myśli Locka i „ojców założycieli”, utożsamia wolność z własnością. Wedle tej wiary tylko system dający możliwość uzyskania własności prywatnej

i chroniący ją prawem zapewnia jednostce i społeczeństwu prawdziwą wolność. W praktyce oznacza to, że wolność 100 milionów nieposiadających żadnych aktywów Amerykanów wynosi 0, jest nicością, mitem. A co mogą o swojej wolności powiedzieć najbiedniejsi? Na przełomie XX i XXI w. 20 proc. najuboższych Amerykanów miało ujemną wartość majątku, średnio na poziomie 7000 dolarów, tzn., że o taką sumę ich długi przewyższały posiadane aktywa. W tym samym czasie osoby należące do warstwy najbogatszych 10 proc. posiadało majątek o średniej wartości 1,5 mln, ale jednostki z samego szczytu drabiny finansowej dysponowały majątkami miliardowymi.

Spośród obu wskaźników – uzyskiwanych dochodów i posiadanego majątku – ten drugi ma większe znaczenie dla określenia stopnia egalitaryzmu społeczeństwa. Wszystkie dane – w tym także badania Banku Rezerw Federalnych – wskazują jednoznacznie, że oba wskaźniki pogarszają się od początku lat 80. ubiegłego wieku. Jednak wskaźnik rozkładu majątku w społeczeństwie pogarsza się bardziej, co oznacza, że stopa obniżania się stanu posiadania najuboższych warstw wyprzedza tempo spadku ich dochodów i odwrotnie w przypadku najzamożniejszych, tempo przyrostu ich majątków wyprzedza tempo przyrostu dochodów. Wynika stąd niezbicie, że nierówności dramatycznie pogłębiają się, przy czym jest to rozkład niernaturalny, wywołany przyjętą polityką.

Wraz z wejściem na giełdę wielkich banków inwestycyjnych w erze rewolucji reaganowsko-thatcherowskiej powstały konglomeraty finansowe o nieprzejrzystej strukturze powiązań kapitałowych, w skład których wchodziły banki inwestycyjne, organizacje parbankowe, agencje oceny ryzyka, emitenci strukturyzowanych papierów dłużnych, które miały być zabezpieczone na klastrach pożyczek hipotecznych, konsolidatorzy kredytów hipotecznych, agencje ubezpieczeń finansowych, fundusze gwarancyjne, celowe spółki finansowe (SPE), fundusze hedgingowe, fundusze rynku pieniężnego, narzędzia strukturyzowanych inwestycji (SIV) i inne nieprzejrzyste podmioty.

Misternie utkana z nich pajęczyna uformowała coś, co określa się jako *shadow banking* lub *shadow financial system* (równoległy system bankowy/finansowy). Była to swego rodzaju szara strefa bankowości, operująca w cieniu i w powiązaniu z tradycyjnym systemem bankowym. Jednocześnie na mocy prawa bankowego – ponieważ wchodzące w jej skład instytucje nie gromadziły depozytów – nie podlegała ona tym samym obostrzeniom i kontroli ze strony nadzoru finansowego, co tradycyjny system bankowy oparty na depozytach. Tymczasem jej mierzone obrotami rozmiary zrównywały ją z bankowością tradycyjną, komercyjną i detaliczną.

Oznacza to, że połowa przepływów finansowych kraju odbywała się w obiegu alternatywnym, niepodlegającym żadnej realnej i efektywnej kontroli. Olbrzymich rozmiarów nabrały różne nowatorskie, niesprawdzone i, jak się okazało, wysoce ryzykowne formy działalności finansowej, wśród których najbardziej szkodliwymi były skomplikowane wynalazki z obszaru sekurytyzacji. Sekurytyzacja – wprowadzona na masową skalę dopiero w latach 90. XX w. – zrównywała pod względem płynności słabo zabezpieczone wątpliwe aktywa, jak wiarygodności lub należności, z majątkiem realnym i pozwalała na emisję obligacji nimi zabezpieczonych.

W ten sposób, poprzez niwelujące ryzyko finansowe aranżera sekurytyzacji spółki celowe (które umożliwiały zdjęcie ryzykownych aktywów z bilansów firm, uwalniając rezerwy na dalsze ryzykowne inwestycje), uruchamiano obrót papierami inwestycyjnymi o wątpliwych i wątpliwych fundamentach. Powiązane z emitentem agencje oceny ryzyka dodawały im jednak wiarygodności wysokimi ratingami. Podstawą całej tej piramidy była jednak zdolność spłaty długów (albo możliwość ich egzekucji), będących odpowiednikiem sekurytyzowanych wiarygodności, a także utrzymanie zdrowych relacji między wartością udzielonych kredytów a realną wartością nieruchomości. Tymczasem kredyty hipoteczne przewyższały zwykle wartość inwestycji.

Częste były też praktyki wielokrotnego finansowania tej samej nieruchomości. Ponadto w amerykańskim prawie hipotecznym odpowiedzialność pożyczkobiorcy jest rzeczowa, nie finansowa. W momencie spadku wartości domu poniżej wysokości przyznanego kredytu klient po prostu zwracał dom i nie był nic winien. Stratę ponosił bank.

Niespełnienie powyższych warunków spowodowało zawalenie się finansowego domku z kart. Nagromadzenie tego typu papierów, tzw. *CDO (collateralized debt obligations)* wywołało załamanie na rynku nieruchomości w USA i kryzys. Przez lata do obrotu nowoczesnymi instrumentami finansowymi nie stosowały się do nich regulacje i wymogi rejestracyjne, którym podlegała wymiana tradycyjnych papierów wartościowych. Dopiero w roku 2010, za pomocą reformującej Wall Street tzw. ustawy Dodd-Franka, Kongres USA wprowadził pewne ograniczenia w tym obszarze.

Neograniczony rynek wymiany walutowej oraz rozwój obrotu derywatami do pewnego momentu znakomicie służyły interesom banków inwestycyjnych, zwiększając wykładniczo ich zyski. Jednak z punktu widzenia poszczególnych gospodarzy i zwykłych obywateli były to zjawiska szkodliwe. O rozmiarach spekulacji świadczą dane dotyczące charakteru większości tego typu transakcji, zwłaszcza tzw. swapów. Gros obrotów (około 90 proc.) odbywało się między bankami, a w 2/3 transakcji międzywalutowych okres przetrzymywania zainwestowanych środków pieniężnych w innej walucie wynosił mniej niż siedem dni i tylko w 1 proc. transakcji wynosił rok. Oznacza to, że znakomitą większość stanowiły transakcje krótkoterminowe obliczone na zysk spekulacyjny. Co więcej, tylko 10 proc. wszystkich transakcji było powiązanych z realną gospodarką.

Gdy pod naporem balastu toksycznych aktywów, owej bańki spekulacyjnej, załamały się wielkie marki bankowości inwestycyjnej, w sukurs przyszły im rządy, parlamenty i pieniądze podatników. Zgodnie z niepisaną dziwną regułą „za duży, by upaść”, spekulujące wirtualnymi walorami i marnotrawiące realne pieniądze inwestorów banki zostały uratowane przed wyrokiem, jaki w teorii liberalnej czeka każdego, kto łamie racjonalne, sprawiedliwe i surowe reguły wolnego rynku – bankructwem.

Nie po raz pierwszy okazało się, że kapitalizm wolnorynkowy i jego rzekome prawa to ideologiczna mistyfikacja. W realnym kapitalizmie upadają tylko osoby fizyczne, drobni przedsiębiorcy i (to jego ulubiona opcja) firmy państwowe. Natomiast prywatne giganty mają państwowe gwarancje sukcesu i są niezatapialne.

Kapitalizm i jego „dobrodziejstwa” zarezerwowano dla maluczkich; dla gigantów oligarchii i klasy politycznej funkcjonuje swoisty socjalizm. Wedle ukutego w USA po kryzysie z lat 2007-9 powiedzenia, „za błędy Wall Street zapłaciła Main Street”. Rachunek opiewał na astronomiczną sumę 13 bln USD.

Banki nie omieszczały przeznaczyć części tej kwoty na hojne wynagrodzenia i milionowe nagrody dla menedżerów, członków zarządów i rad nadzorczych. Tylko dwa z nich, wcale nie największe – Goldman Sachs i Morgan Stanley – otrzymały z kasy rządowej tytułem programu TARP (*Troubled Asset Relief Program* – Program Pomocowy [na rzecz wykupu] Problematycznych Aktywów) po 10 mld dolarów każdy, z czego prawie połowę (!) skonsumowały milionowe bonusy dla setek ich pracowników (odpowiednio 4,8 i 4,5 mld). Nie były to wszystkie środki wyasygnowane na te banki z pieniędzy podatników: np. Goldman dostał dodatkowe 13 mld pomocy rządowej.

Gdy jedni obywatele tracili pracę, dom, bezpieczeństwo i lądowali w miasteczkach namiotowych, wyrastających na przedmieściach niczym grzyby po deszczu, wtedy inni – uprzywilejowani – odbierali szczęśliwe losy na loterii, które rozdawała hojna ręka rządu. Liczby te pokazują skalę oderwania liderów Wall Street od rzeczywistości oraz ogrom zjawiska określanego mianem socjalu korporacyjnego (*corporate welfare*), czyli kanalizowania środków publicznych w stronę bogatego sektora prywatnego (a przecież jest to tylko jeden z przykładów tego zjawiska, które występuje w wielu formach). Demagogia doszukująca się winy za ospałość gospodarki w rzekomo rozdętej polityce pomocy społecznej, pozwalającej jakoby żyć milionom bezrobotnych nierobów w dobrobycie na koszt ciężko pracujących podatników i firm – mityczny „socjal” – była odwracaniem uwagi od prawdziwych transferów o gigantycznych rozmiarach. Trzeba przyznać, że okazała się bardzo skuteczna, zwłaszcza w Polsce, której obywatele mogą tylko pomarzyć o poziomie zabezpieczeń społecznych dostępnych w cywilizowanych krajach. To jeszcze jeden dowód na to, że tzw. opinia społeczna może być skutecznie odizolowana od realiów i że ludzie w swoich ocenach kierują się bardziej ideologią, fałszywą świadomością, niż rozpoznaniem sytuacji.

Brak właściwych regulacji i – przy istniejących przepisach – słabość kontroli zewnętrznej wobec tej działalności ze strony federalnych agencji nadzoru finansowego oraz niewystarczająca kontrola instytucji samorządowych świata finansów złożyły się na powstanie obszaru patologicznych zachowań biznesowych. Szczególną rolę odegrał nieefektywny nadzór (a właściwie jego brak) ze strony amerykańskiej komisji papierów wartościowych, *Securities and Exchange Commission* (SEC – Komisja Papierów Wartościowych i Obrotu), która, przykładowo, pomimo powtarzających się przez 10 lat ostrzeżeń kierowanych do niej przez niektórych kontrolerów i obserwatorów rynku, pomimo wdrożenia dziesięciu śledztw celowych, nie potrafiła wychwycić zszustwa Madoffa, trwającego co najmniej 30 lat i kosztującego astronomiczną sumę 65 mld USD.

Wspomniana SEC znalazła się ostatnio w ogniu krytyki z powodu powtarzających się doniesień o niszczeniu dokumentów (mówi się o tysiącach) zebranych w trakcie badania operacji finansowych takich podmiotów, jak

m. in. Bank of America, Citigroup, Deutsche Bank, Goldman Sachs, Lehman Brothers, Morgan Stanley, Wells Fargo, a nawet sam Bernard Madoff. Choć było to niezgodne z przepisami prawa i regulaminem SEC, to polityka niszczenia dowodów była działaniem zalecanym w wewnętrznej korespondencji między kierownictwem a pracownikami. SEC przyznała, że praktyki te miały miejsce; odstąpiła od nich pod naciskiem federalnej agencji archiwów, którą zaalarmowali pracownicy SEC. Ukrywanie faktów i blokowanie opinii dostępu do informacji to skuteczna broń w rękach oligarchii – dowiedzieli się o tym także nasi rodzimi jej adiutanci.

Jak już dziś wiadomo, wszystkie z wymienionych podmiotów, które SEC tak nieskutecznie kontrolowała, walnie przyczyniły się do załamania na rynku nieruchomości i miały swój udział w kryzysie finansowym, który był jego następstwem. Niektóre z nich (wyjątki) po ujawnieniu skali posiadanych toksycznych aktywów zbankrutowały (Bear Stearns, Lehman Brothers), niektóre (np. AIG, Citigroup) uratował program pomocowy, czyli wykup długów przez rząd federalny (tzn. że faktycznie je znacjonalizowano, choć w sensie prawnym pozostały prywatnymi spółkami giełdowymi), inne (Goldman Sachs, Morgan Stanley) „technicznie” przekształciły się z banków inwestycyjnych w tradycyjne holdingi bankowe (dzięki czemu – jako podległe regulatorom – uzyskały możliwość skorzystania z rządowego programu pomocy), a jeszcze inni (Madoff) znaleźli się na dobre w więzieniu, co warte jest odnotowania z tego powodu, że stanowi swego rodzaju precedens w karaniu tzw. przestępstw białych kołnierzyków (*white collar crimes*) i przestępczości korporacyjnej (*corporate crimes*) w USA. Wcześniej, zwłaszcza w czasach Reagana, choć istniały w kodeksach przepisy zabraniające praktyk *insider trading*, nie były one egzekwowane. Kiedy zaczęto je stosować, kary były raczej symboliczne, o czym świadczą przykłady pionierów tego typu przestępczości na wielką skalę – Ivana Boesky’ego czy Michaela Milkena.

Boesky jest znakomitym przykładem z jednej strony wynaturzeń, do jakich prowadzi chciwość przykrywana ideologią, a z drugiej możliwości kariery, jakie otwierają się w świecie rządzonej przez tę ideologię. Jego historia nie mogłaby się wydarzyć w bardziej sprawiedliwej i równej Ameryce Franklina D. Roosevelta czy Johna Kennedy’ego. Tak jak Madoff, Boesky to symbol i wzór osobowy Ameryki czasów Reagana.

Był kryminalistą odrażającym w swoim niepohamowanym parciu do zysków oderwanych od realnej pracy, wiedzy i umiejętności. Potrafił znakomicie budować intratne koneksje towarzyskie (także poprzez odpowiednie małżeństwo) i dbać o autopromocję tak ważną w świecie, w którym media wyznaczały wszelkie standardy. Nim odkryto jego przestępstwa, zdobył sławę wybitnego biznesmena i stał się guru inwestorów. Mimo iż nie posiadał nawet koledzowego wykształcenia, prestiżowy Uniwersytet Columbia oraz solidny Uniwersytet Nowojorski – obydwa znajdują się na Manhattanie – umożliwiły mu wykłady dla swoich studentów na umowie profesora tymczasowego.

Mądrość, czy raczej wolny od skrupułów spryt Wall Street trafił do akademii. Choć wcześniej był podziwiany przez media, po wybuchu skandalu Boesky znalazł się, w grudniu 1986 r. na okładce wysokonakładowego tygodnika „Time” z drwiącym podpisem *Inwestor, Ivan*

the Terrible' (aluzja do cara Iwana Groźnego). Z dnia na dzień z bohatera epoki prehistoczył się w żywy symbol jej wynaturzeń. Postać Gordona Gekko, brawurowo ukazana w filmie *Wall Street* przez Michaela Douglasa, wzorowana była na historii Boesky'ego, a kultowa scena z sentencją *greed is good* wyjęta została z autentycznego wystąpienia Boesky'ego przed studentami słynnego Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, szczytującego się wielką liczbą Noblistów wśród swojej kadry naukowej.

Pod pewnym względem Boesky ma wielu naśladowców po dzień dzisiejszy – wszędzie tam, gdzie rządzi neoliberalna ideologia ekonomiczna, znajdziemy podobnych do niego „profesorów”, głoszących w prostych słowach wolnorynkową ewangelię, wzmacniających swój autorytet biznesowy rzekomymi dokonaniem na polu nauki, choć może pozbawionych talentów kryminalnych czy zuchwałości Boesky'ego.

W świecie nieograniczonej inwencji i swobody finansowej konflikt interesów stał się zjawiskiem powszechnym i objawiał się na różne sposoby. Oto np. formalnie zewnętrzna firma ratingowa mniej lub bardziej niejasno powiązana kapitałowo z instytucją finansową wystawiała wysoki rating bezwartościowym papierom dłużnym emitowanym przez tę instytucję. W innym przypadku, jeden dział tej samej firmy konsultingowo-obrachunkowej sprzedawał klientowi usługę doradztwa biznesowego a inny dokonywał, również odpłatnie, audytu tego klienta (firmy, korporacji).

Sz szczególnie odpychające było zachowanie banków inwestycyjnych wobec rządów państw zadłużających swoich obywateli. Rynek derywatów i w tym przypadku okazał się przydatny – pozwalał rządowi przesuwając długi w odległą przyszłość. Dzięki tego typu operacjom olbrzymie sumy cudownie zniknęły z bilansów – wystarczyło zdefiniować pożyczki jako transakcje, by w chwili, w której dzięki temu sztucznemu zabiegowi przestawały być długiem wygodnie usunąć je poza bilans. Długi można było ukrywać przebiegając np. kredyty za „*swapy*”, *lege artis* omijając przy tym ograniczenia wynikające z tzw. kryteriów Maastricht. Obie strony czerpały z tego typu procedur korzyści. Przy czym banki wykazały się wyjątkową perfidią. Znakomicie zdając sobie sprawę z rzeczywistej sytuacji, banki zabezpieczały swoje interesy na tych transakcjach poprzez wykup ubezpieczeń na niewypłacalność rządów. Niczym szuler zaglądający partnerowi w karty, bank, znając uczestników transakcji, z jednej strony angażował się w długoterminowe umowy finansowe, zwiększając przyszłe zarobki na tych długach, a z drugiej obstawiał na rynku krótkoterminowe pozycje przeciw tym samym długom, które pomagał generować, a potem ukrywać i na których zarabiał krocie, i to dwukrotnie.

W ten sposób niektóre banki, m. in. Goldman Sachs, operowały w Grecji. Podobnie postępowały banki na amerykańskim rynku kredytów hipotecznych (co obecnie jest przedmiotem szeroko zakrojonego śledztwa) – najpierw przyczyniły się do powstania bańki spekulacyjnej, a następnie obstawiały pozycje przeciwko rynkowi mieszkaniowemu, na bankructwa, spychając rynek w dół i potęgując kryzys poprzez mechanizm samospełniającego się proroctwa. Podobnie wyglądał mechanizm spekulacji za pomocą instrumentów pochodnych, tzw. opcji *put*, na spadkach cen akcji, walut, surowców, towarów spożywczych i innych aktywów.

Ujawnione zostały przypadki manipulowania kursami akcji spółek giełdowych (posługujące się rozsiewaniem fałszywych informacji i plotek nielegalne taktyki określane jako *short and distort* albo *pump and dump*, obliczone na krótkoterminowe sztuczne zaniżenie – np. w celu przejścia – lub zawyżenie kursów w celach spekulacyjnych), w które zaangażowane były respektowane firmy (np. J. P. Morgan Chase w próbie przejścia Bear Stearns).

Giełdy nie uchroniły się też przed przypadkami *inside trading* (wewnętrznego handlu w oparciu o niedozwolone informacje). Jeden w większych skandalach tego typu ujawniła SEC w związku ze sprzedażą korporacji Dow Jones firmie magnata prasowego Ruperta Murdocha, News Corp. (chodzi o tego samego guru pracowniczych *trash* mediów, który niedawno znalazł się w opałach po ujawnieniu skandalu prasowego w Wielkiej Brytanii). Można sobie tylko wyobrazić jaki zasięg mogły mieć manipulacje kursami i defraudacje oparte na powiązaniach towarzyskich, jeśli wziąć pod uwagę, że największy defraudator w historii rynków finansowych, Bernard Madoff, był jednocześnie szefem rady nadzorczej drugiej pod względem kapitalizacji i najbardziej prestiżowej giełdy na świecie – amerykańskiej NASDAQ.

Konflikt interesów przejawiał się także na innych płaszczyznach. Występowały przepływy kadrowe pomiędzy komisjami nadzoru instytucji finansowych a nadzorowanymi instytucjami – ludzie zatrudnieni w pierwszych liczyli na intratne pozycje w drugich, co mogło ograniczyć możliwości ich działania i negatywnie wpłynąć na rzetelność wykonywanych obowiązków. Ci spośród byłych kontrolerów SEC, którzy znaleźli zatrudnienie w prywatnym sektorze finansowym, utrzymując kontakty z byłymi współpracownikami i szefami mogli wywierać wpływ na ich decyzje lub co najmniej mieć dostęp do zastrzeżonych informacji – z tych m. in. powodów chętnie byli rekrutowani przez te firmy. W dodatku jednych i drugich łączyło podobne ogólne spojrzenie na biznes i zwykle wspólnota przekonań ideologicznych, które również utrudniały rzetelny i bezstronny osąd obserwowanych zjawisk. Brak obiektywizmu, ideologiczne uprzedzenia przeciw regulacjom i nadzorowi państwa oraz jawnie probiznesowe nastawienie były być może przyczyną tego, że komisja nadzoru posunęła się do niszczenia dokumentacji w licznych przypadkach rzekomo niekonkluzywnych śledztw prowadzonych przez nią wobec kilku korporacji.

Wreszcie, nawet wtedy gdy nie zachodzi przypadek powiązań kapitałowych pomiędzy kooperującymi podmiotami, już sama organizacja współpracy (oparta na umowach handlowych) może być przyczyną problemów. Mamy bowiem do czynienia z co najmniej wątpliwą sytuacją, jeśli nie konfliktem interesów, gdy firma konsultingowa dokonuje audytu, który jest usługą odpłatną. Podobnie gdy agencja ratingowa sprzedaje rating. Istnieją nazbyt liczne dowody fabrykowania nierzetelnych audytów i przykłady wystawiania mylnych ocen, by uznać, że nie ma tu niczego na rzeczy. Korporacje żywotnie zainteresowane są uzyskaniem pozytywnego audytu – ma to wpływ na ich notowania oraz na pozycję i wynagrodzenia zarządów; natomiast firmy audytorskie żywotnie zainteresowane są pozyskaniem stałego klienta – leży to przecież w ich interesie finansowym. Nie będą więc zniechęcać czy odstraszać raz zdobyte-

go klienta złymi wynikami audytu, bo podcinałyby gałąź, na której siedzą i pomniejszały swoje przychody.

Jak pokazują liczne przykłady z historii kiedyś szanowanej korporacji audytorskiej Arthur Andersen tego rodzaju symbioza łatwo może ulec degeneracji – zaczynając od drobnych podrasowań i retuszy raportów kończy się na kreatywnej księgowości, przesuwaniu pozycji w bilansie czy poza bilans, ukrywaniu gigantycznych strat i fałszowaniu obrazu kondycji finansowej firmy. Ponadto, również pomiędzy firmami audytorskimi a ich klientami odbywają się przypiływy kadrowe – nie jeden konsultant, który „sprawdził się” podczas kolejnych audytów trafił potem do zarządu firmy, która była ich zleceniodawcą. To przecież jedna ze ścieżek awansu i kariery zawodowej w tej grupie: od konsultanta w firmie doradczej do kadry menedżerskiej w korporacji, zwłaszcza w obszarze zarządzania finansowego.

Banki i niespełniające swej roli instytucje nadzoru nie były jedynymi winowajcami. Spory udział w wygenerowaniu kryzysu miały elity polityczne i rządy państw. W USA dominowała od lat 90. XX w. doktryna, zgodnie z którą celem gospodarczym było umożliwienie ludności nabywania domów, przy jednoczesnym zaniechaniu rozwoju budownictwa komunalnego. Motywacja była ideologiczna, nie ekonomiczna. Chciano niejako udowodnić, że neoliberalny kapitalizm dąży do poszerzenia warstwy posiadaczy własności i umacniania klasy średniej posiadaczy prywatnych domów, gdy w istocie polega on na koncentracji własności i wywłaszczaniu drobnych właścicieli.

Problem z tym, że owo obejmowanie nieruchomości na własność było pozorne i wymagało uruchomienia specjalnych mechanizmów finansowania. Rząd stworzył w tym celu dwie organizacje (w naiwnej wierze, że zapewni w ten sposób konkurencję rynkową), umożliwiające finansową stronę tego przedsięwzięcia, Fannie Mae i Freddie Mac. Miały one szczególne zadanie: umożliwiać zakup domów ludziom niezamożnym, do tej pory odrzucanym przez banki. W rzeczywistości chodziło o osoby nieposiadające zdolności kredytowej lub należące do grupy podwyższonego ryzyka niewypłacalności. Prawie połowa pożyczek miała być obligatoryjnie adresowana do tych właśnie grup. Utrzymywanie przez Bank Rezerwy Federalnej celowo zaniżonych stóp procentowych zachęcało do tej nieekonomicznej polityki. Za tą sztucznie zwiększoną płynnością nie stało nic prócz papieru i farby drukarskiej. Odpowiedzią komercyjnych banków była ucieczka w nadprodukcję instrumentów pochodnych i wzrost obrotów na rynku *swapów* ryzyka kredytowego.

Ta iluzoryczna doktryna kapitalizmu ludowego jest drugą stroną ideologii neoliberalnej: w odróżnieniu od swojego mitu, neoliberalizm w praktycznych skutkach tworzy społeczeństwo dwubiegunowe, powiększając bogactwo najzamożniejszych tworzy obszary nędzy i prowadzi do pauperyzacji i zanikania klasy średniej. Wbrew ekonomii skapywania, realne bogactwo nigdzie nie skapuje, lecz koncentruje się na samej górze. By na przekór faktom udowodnić prawdziwość doktryny, transferuje się w dół bogactwo fikcyjne – plastikowy pieniądz i kredyt oparty na wymuszonej, sztucznej płynności, zabezpieczony na instrumentach pochodnych. Ten ersatz edenu szybko – w ciągu życia jednego pokolenia – ujawnia swoją naturę: fikcyjne bogactwo

ekspłoduje kryzysem, który ogołaca miliony ludzi z realnych aktywów, bezpośrednio – w drodze niewypłacalności, bankructw i upadłości i pośrednio – poprzez spadek kursów papierów wartościowych na giełdach. Zdeformowany neokeynesizm jest drugą twarzą, janusowym obliczem, agresywnym neoliberalizmu. Takie podwójne oblicze ma kapitalizm realny. Kapitalizm idealnie wolnorynkowy jest zaś mitem, produktem myślenia życzeniowego według reguł ideologii, analogicznie jak idealny socjalizm bez wypaczeń.

Na skutek uzależnienia od fałszywej ideologii i doktryny ekonomicznej, wewnętrznych wad konstrukcyjnych w organizacji świata finansów oraz braku nadzoru zewnętrznego w obiegu informacyjnym i rynkowym zaczęły pojawiać się ogromne zasoby nierzetelnych i fałszywych danych i aktywów dystrybuowanych coraz dalej. Nim ostatecznie podważyły zaufanie do całego systemu finansowego, zjawiska te musiały najpierw wywołać wiele negatywnych perturbacji w sferze realnej gospodarki. Pomimo oznak słabości porządku rozregulowanego pod dyktando ideologii ekonomicznej, nie zastosowano żadnych mechanizmów naprawczych, a symptomy nadchodzącej katastrofy – regularnie pojawiające się bańki spekulacyjne, narastające dysproporcje między przychodami i wydatkami państwowych budżetów, pogłębiające się nierówności w partycypacji w dochodzie narodowym i uogólnioną społeczną niewydolność systemu ekonomicznego – zupełnie zlekceważono.

* * *

W pisanim na zamówienie hr. Wielhorskiego memoriale o stanie państwa polskiego i drogach jego naprawy filozof społeczny Jean-Jacques Rousseau namawiał Polaków, by zadali sobie pytanie, czy zależy im bardziej na ustroju ekonomicznym, który da im bogactwo, czy raczej na takim, którego skutkiem będzie dobrobyt. Inne bowiem środki prowadzą do pierwszego, a inne do drugiego celu i nie da się obu połączyć, wyrokował filozof.

Wskazówek, jak buduje się bogactwo obywatel Genewy nie zamierzał dawać. Uprzedził tylko, że obierając za cel bogactwo, Polacy stworzą *naród intrygantów, gorący, chciwy, ambitny, służalczy i łajdaki; tak jak inne narody, nie mogący nigdy znaleźć środka między dwoma krańcami: nędzy albo bogactwa, swawoli albo niewoli*. Trzeba było mądrości geniusza, by rozróżnić te dwie rzeczy – bogactwo i dobrobyt – na dwieście lat przed socjologami i nagrodzonymi Noblem ekonomistami, którzy dopiero po doświadczeniach rozwiniętych krajów zaczęli kwestionować ideał gospodarki opartej na wzroście oraz ekonomię zysku premiującą tylko jednego uczestnika życia gospodarczego – akcjonariusza, z trwałym i systemowym upośledzeniem wszystkich pozostałych interesariuszy.

Kto nie chce dostrzegać rzeczywistości i zadowala się tylko pozorami, ten może zakrzyczeć albo wyśmiać rozumowanie Jana Jakuba jako utopijne czy anachroniczne. Nie można jednak odmówić mu realizmu i przenikliwości. Mimo swojego ogromu, widmowe bogactwo stworzone w dobie nowoczesnych instrumentów finansowych i giełd nie tylko nie przybliżyło mas społecznym do bogactwa realnego, ale poszerzyło obszary nędzy i niepewności.

JAROSŁAW DOBRZAŃSKI

MAREK ZAGAJEWSKI

KŁAMSTWO ZAŁOŻYCIELSKIE

Prolegomena. Upadek komunizmu

W redakcyjnej ankiecie *Pytanie tygodnia* w „Przeglądzie” (13-19.08.2018) zapytano czytelników „W jakie przesady wierzą Polacy?”. Aleksy Wójtowicz odpowiedział lapidarnie: „Że w PRL był komunizm, który obalił Karol Wojtyła”. Zawarte w tej formule sugestie mają naturalnie wieloznaczny charakter. Po pierwsze, pan Wójtowicz może uważać, że „w PRL nie było komunizmu”, a zatem i nie było czego „obalać”. Po drugie, można rozważać w jakim stopniu Karol Wojtyła brał udział w obalaniu „komunizmu”, który jednak miał w Polsce miejsce.

Nawiasem trzeba dodać, że aktywność Watykanu, kurii, probostw i zakonów w dziele zwalczania władz PRL jest nieźle udokumentowana i opisana, zwłaszcza w kontekście zagranicznej pomocy, na przykład ze strony CIA czy izraelskiego wywiadu (por. Peter Schweizer, *Victory czyli zwycięstwo. Tajna historia świata lat osiemdziesiątych. CIA i „Solidarność”*, przeł. Igor Łapiński, Warszawa 1994.). Oczywiście, że wpływ kleru na toczące się wydarzenia był nader ograniczony, także ze względu na jego kontrolę przez rozbudowaną agenturę polskich służb.

W każdym razie Czytelnik „Przeglądu” niestusznie uznał, że pogląd głoszący obalenie w Polsce przez Wojtyłę komunizmu jest jawnie fałszywy, a zwolennicy tej opinii oczywiście, jak normalnie szanujący się kłamcy i mitomani, znają prawdę i doskonale wiedzą, że w naszym kraju, a może i na świecie, jak dotąd, nie było komunizmu.

W dokumentacji nie sposób pominąć spektakularnej wypowiedzi aktorki Joanny Szczepkowskiej, która 28 października 1989 roku w „Dzienniku Telewizyjnym” ogłosiła, że „4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm”, co dla wielu widzów stanowiło swoistą rewelację, jeśli zważyć, że dopiero wówczas dowiedzieli się, iż przez minione dziesięciolecie żyli w komunizmie. Wiarygodność wyznania Szczepkowskiej była o tyle niepodważalna, że jej ojciec Andrzej Szczepkowski był nie tylko jednym z najwybitniejszych aktorów czasów PRL, ale także czołowym działaczem opozycji, co nie musiało być znane szerszej publiczności.

Pojawiła się tu zatem pewna dwuznaczność losu, który tak osobliwie zrządził, że dla sporej części naszych obywateli w Polsce „komunizm” zaczął się w 1989 roku wraz z ogłoszeniem jego metaforycznego upadku; i tak już im pozostało. W tym kontekście warto sobie uświadomić, że termin „komunizm” ma w polskim świecie mediów, nauki i polityki dosyć świeżą metrykę, sięgającą zaledwie początków lat dziewięćdziesiątych i związany jest między innymi ze sprytną podmianą, używanego w opozycji lat osiemdziesiątych, słowa „czerwony” (przed wojną „bolszewik”) na „komunista”, a w dalszej kolejności „postkomunista”. Powstaje wrażenie, że intensyfikacja hasła „komunizm” i jego pochodnych w politycznym dyskursie, jaki współcześnie obowiązuje w publicznym narzeczu przebiega zgodnie z rytmem upływu czasu, czyli im dalej od PRL, tym więcej w nim komunizmu i jego negacji.

Trzeba też przypomnieć, że kiedy w 2009 roku w związku z siedemdziesiątą rocznicą rozpoczęcia II wojny światowej w naturalny sposób nasilił się antykomunistyczny zapał wśród polityków, kapłanów i żurnalistów, Lech Kaczyński nie dołączył do grona pogromców komunizmu. Należy także przypomnieć, że w doniosłym przemówieniu na Westerplatte w rocznicę września, odpowiadając na postawione sobie kluczowe pytanie o źródła zbrodni katyńskiej, ówczesny prezydent RP stwierdził: „Można powiedzieć, to komunizm. Nie, w tym przypadku, to nie komunizm, to szowinizm”. A jako przyczynę II wojny światowej wskazał totalitaryzmy i szowinizm oraz politykę imperialną, przestrzegając zarazem przed neoimperializmem, w domyśle rosyjskim, ponieważ amerykański cieszył się wówczas jego solidnym poparciem.

Warto porównać, w jakiej mierze zgoda inaczej wypowiedzieli się przewodniczący Episkopatu Polski i Niemiec, stwierdzając w swoim Oświadczeniu (25 sierpnia 2009 roku), że mieszkańcy NRD musieli pogodzić się z „sowieckim zwierzchnictwem i komunistycznym systemem społecznym”, a z kolei Polacy „w wyniku załamania się komunistycznego systemu ekonomicznego w roku 1980 znaleźli się na skraju humanitarnej katastrofy”. Nie wyjaśnili jednak przywódcy kościołów po obu stronach Odry, na czym polegał „ko-

munistyczny” charakter systemu ekonomicznego PRL, skoro opierał się na rozległej prywatnej gospodarce chłopskiej i na stosunkowo rozwiniętym prywatnym rzemiośle, co jak wiadomo jest całkowicie niekompatybilne z komunizmem.

Jeszcze ostrzej zabrzmiało oświadczenie prawie 140 niemieckich intelektualistów w związku z układem Ribbentrop-Mołotow (opublikowane 21 sierpnia 2009 roku). Odnosząc się do „komunizmu” w jego politycznej warstwie znaczeniowej zbudowali swój dokument na formułach o „zmierzchu komunistycznych dyktatur w Europie Środkowo-Wschodniej”, czterech dziesięcioleciach „komunistycznego zniewolenia” oraz „komunistycznych reżimach” i „komunistycznych dyktatorach”, a na koniec o „komunistycznym systemie”. Inicjatorami oświadczenia okazali się Marianne Birthler, szefowa Urzędu ds. Stasi i Fundacji Badań nad Dyktaturą w NRD oraz filozof Wolfgang Templin, były enerdowski dysydent. Powstaje wrażenie, że niekwestionowana zasadność używania takich terminów, jak „dyktatura” czy despotyczny reżim, chociaż „totalitaryzm” nie ma już takiej oczywistości, znacząco ułatwiło wprowadzenie do publicznego obiegu nadzwyczaj użytecznego wyrażenia „komunistyczny rząd”.

Jest rzeczą oczywistą, że w spójnej wizji bezklasowego społeczeństwa komunistycznego, bez prywatnej własności środków produkcji, nie ma bazy ekonomicznej dla jakichkolwiek rządów, a już na pewno o despotycznym czy nawet demokratycznym charakterze, ponieważ nie występuje w niej państwo jako organ zorganizowanej przemocy instytucjonalnej. Słowem, w klasycznej tradycji Marksa i Engelsa nie da się sensownie rozmawiać o „rządzie komunistycznym”, ale bełkotać można, co „widać, słuchać i czuć”, jak na wolnych ludzi w wolnym kraju przystało. Natomiast na froncie ideologicznym i w propagandzie „komunizm” jako narzędzie walącego na oślep agitacyjnego „cepa” do mechanicznej młócki ludzkich mózgowic miał okazać się wielce przydatnym instrumentem. Jak wszystko, co dobre, w ostatnim czasie także ten wytrych zawdzięczamy naszym niezawodnym amerykańskim sojusznikom, którzy przez dziesięciolecia z dużą wprawą posługują się antykomunistyczną retoryką na swój, nie tylko wewnętrzny użytek. Łatwo rozpoznać, że wraz kontyngentem amerykańskich wojsk, uzbrojeniem, gazem skroplonym oraz wieloma innymi bezcennymi darami, chociaż bez wiz, otrzymaliśmy przed kilkudziesięciu laty w pakiecie wzmocnioną dawkę antykomunistycznej ideologii i bezcenną ekipę fachowych budowniczych kapitalizmu. Aż dziw bierze, jak nasz mały kraj to wytrzymuje.

W każdym razie, osiągnięcia rzekomo solidarnościowej ekipy po sukcesach Okrągłego Stołu i wyborach parlamentarnych pozwoliły zasłużenie ogłosić totalne zwycięstwo polityczne zdobywcom państwowej władzy przez rząd Tadeusza Mazowieckiego. W końcu dokonano się „utworzenie pierwszego od końca II wojny niekomunistycznego rządu”, jak tryumfalnie ogłosił uczestnik wydarzeń Andrzej Wielowiejski (*Losowi na przekór*, Warszawa 2015, s. 423) i jego akolici, a ich opinia nie była w tej mierze wyjątkowa.

Mimo niewątpliwej urody formuła ta ma jedną zasadniczą wadę – jest fałszywa, i to podwójnie. Należy przypomnieć, że po pierwsze, po drugiej wojnie światowej Polska miała rząd premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego z PPS z udziałem wicepremiera Stanisława Mikołajczyka, przedstawiciela Polskiego Stronnictwa

Ludowego, uprzednio premiera emigracyjnego rządu londyńskiego, których podejrzewanie o jakiegokolwiek według obowiązującego ipeenowskiego narzeczka sympatie komunistyczne równałoby się obrazie pamięci zmarłych. Dla porządku dodajmy, że rząd Osóbki-Morawskiego miał typowo koalicyjny charakter i składał się z siedmiu przedstawicieli Polskiej Partii Robotniczej, sześciu z Polskiej Partii Socjalistycznej, po trzech ze Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Ludowego „Roch”, dwóch ze Stronnictwa Demokratycznego, a ciesząc się także poparciem Stronnictwa Pracy po zaprzysiężeniu 28 czerwca 1945 roku sprawował władzę, z grubsza rzecz biorąc, do 6 lutego 1947 roku. Dodajmy, że ten rząd w krótkim czasie doczekał się uznania przez liczne mocarstwa światowe i wiele innych państw.

Po drugie, zaprzysiężony w zasadzie 12 września 1989 roku rząd Tadeusza Mazowieckiego także miał koalicyjny charakter i składał się z czterech członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, trzech członków Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, dwóch członków Stronnictwa Demokratycznego, jednego ministra niezależnego (Skubiszewski) i dwunastu przedstawicieli Solidarności, w tym tak egzotycznych jak Leszek Balcerowicz, Jacek Kuroń, (o którym mówiono, że nie mógł być członkiem żadnych związków zawodowych, bo nigdy nie pracował etatowo) czy Jacek Ambroziak – radca prawny Episkopatu, że pominiemy w otoczeniu plejady wiceministrów wielu innych nader osobliwych na liście członków rządu postaci.

Sumując, rząd Tadeusza Mazowieckiego nie mógł być ze względu na swój skład i historyczne zaszczyty nazywany „niekomunistycznym rządem”, ani tym bardziej jego pierwszym wariantem po drugiej wojnie światowej. Można się zadumać, w jaki sposób w naszym kraju elita polityków z przeróżnych obozów – premier, prezydent, marszałkowie Sejmu i Senatu, ministrowie, posłowie i senatorowie, wiele innych wpływowych osób często dobrze wykształconych profesjonalnych historyków bezkarnie okłamuje bezwolne społeczeństwo, rzekomo reprezentując jego opinie.

Co gorsza, mamy wręcz lawinę masowych publikacji prasowych, programów telewizyjnych i radiowych, szkolnych podręczników, literatury pozornie wspomnieniowej polityków i tak zwanych specjalistów o politycznym zacięciu, którzy uprawiają faktycznie historyczną propagandę kreując wygodny obraz wydarzeń i bez skrupowania karmią ludzi oczywistymi i łatwymi do sprawdzenia kłamstwami. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że wielu z nich ma moralny obowiązek głoszenia prawdy i tylko prawdy, jak w przypadku cytowanego Andrzeja Wielowiejskiego, czołowego przedstawiciela sfer katolicko-ziemiańskich.

Generalnie, władze zmuszają nas do życia w duchowym klimacie oparów podwójnego kłamstwa założycielskiego, które legło u podstaw ideologii nowego ładu społecznego, co jak się wydaje pozornie zostało zaakceptowane przez społeczeństwo, chociaż nie bezkarnie, jak na to wskazują jego niepokojąco traumatyczne zachowania. Niezależnie od powyższego nie powinien umknąć uwadze Czytelnika rażący brak logiki w formule „niekomunistycznego rządu”, jeśli zważyć, że tego rodzaju definiowanie przez negację jest równie bezsensowne jak rozpisywanie się o nie-stole, gdy rzecz nie wiadomo czego dotyczy, gdy na przykład faktycznie chodzi o krzesło i tak dalej. Zazwyczaj za takim kamuflażem pojęciowym w odniesieniu do konkretnej

charakterystyki ustrojowej kryją się nieczyste intencje, chociaż uczciwiej byłoby ogłosić wprost, na jakiego rodzaju ustrój czy rząd faktycznie liczymy.

Słowem, jeśli „rząd niekomunistyczny”, to znaczący jaki?; zatem trzeba go porządnie za pomocą pozytywnych terminów opisać. No i jak wiadomo, wkrótce się wydało, że nasi dzielni obrońcy „godności człowieka pracy” wkrótce po zdobyciu władzy pod szyldem rynkowości, czyli „normalności” wprowadzili w trybie „nakazowo-rozdzielczym” mechanizmy gospodarcze żywcem przejęte z XIX-wiecznego kapitalizmu z nieodłącznym wyzyskiem, bezrobociem, nędzą i bezdomnością. W ten sposób oszukano nawet znanego lewicowca Karola Modzelewskiego, popularnego i wieloletniego bojownika robotniczej sprawy, który jednak nie cieszył się sympatią Mazowieckiego. Okazało się zatem, że wymarzona wolność pod „niekomunistycznymi rządami” w praktyce oznacza rządy burżuazyjne, których bez stosownego „prania mózgow społeczeństwa” nie udoby się wprowadzić w życie.

Należy dodać, że tak jak formuła „niekomunistyczne rządu” nie wytrzymała konfrontacji z praktyką, podobnego losu doczekała się pozornie przeciwstawna gra słów „rząd komunistyczny”. Na przykład nabrzmiały problem mieszkaniowy, który stał się przedmiotem obrad V Plenum KC PZPR (10-11 maj 1972 roku), zaczęto pod dowództwem gierkowskiej ekipy rozwiązywać likwidując państwowe budownictwo przy równoczesnym wprowadzeniu na masową skalę wyprzedzały państwowych i spółdzielczych zasobów mieszkaniowych na własność prywatną, w tym także za waluty wymienialne, zarazem usilnie wspierając prywatne budownictwo jednorodzinne. Te jak widać typowo „komunistyczne metody” rozwiązywania problemów gospodarczych, w tym przypadku mieszkaniowych, ułatwiły przebicie się na plenum absurdalnej opinii, wedle której w komunizmie każdy będzie prywatnym właścicielem mieszkania. Co ciekawe, aktywiści rzekomo komunistycznej partii, kierującej się statutowo marksizmem-leninizmem nie byli uprzejmi zauważyć, że dokładnie sto lat wcześniej niejaki Fryderyk Engels w interesującej publikacji *W kwestii mieszkaniowej* wykpił w druzgocącej krytyce tego typu pomysły, które w jego czasach kwalifikowano jako „socjalizm drobnomieszczański”, jak najdalszy od komunizmu.

Marek Bryx, gierkowski herold polityki totalnego utowarowienia mieszkalnictwa, między innymi na łamach partyjnego organu teoretycznego „Nowe Drogi”, dopiero po upływie kilkadziesiąt lat niepowodzeń partyjnej polityki mieszkaniowej na początku tego wieku wycofał się z błędnego stanowiska w tej kwestii. W efekcie stał się rzecznikiem hasła obywatelskiego prawa do „dachu nad głową” o zdecydowaniu socjalistycznej proweniencji w miejsce prywatnej własności mieszkania. W trybie aneksu do tej kwestii należy uzupełnić, że w rozwiniętym kapitalizmie europejskiego chowu, zgodnie z obowiązującym od lat trendem, mieszkania i domy na wynajem zajmują dominującą pozycję w polityce gospodarowania zasobami mieszkaniowymi. Zbędne dodawać, że nasz bohater zrobił na fali transformacji ustrojowej błyskotliwą karierę.

Cenzurowanie cenzury

Problem funkcjonowania cenzury, jednego z filarów władzy, należał do jej bolących miejsc w kontaktach ze światem mediów, a z pojawieniem się wydawnictw drugiego obiegu i prasy podziemnej nabrał szczególnej

ostrości. Znamienne, że pułkownik Władysław Kuca, naczelnik Wydziału III KW MO w Gdańsku (nadzorujący między innymi redakcje prasowe i Solidarność) interesując się, w trakcie pierwszego ogólnopolskiego zjazdu legalnej Solidarności we wrześniu 1981 roku w hali Olivii, głównie *Postaniem do ludzi pracy Europy Wschodniej*, tuż za nim na swojej liście priorytetów umieścił „wystąpienia delegatów domagających się zniesienia cenzury” (Bożena Aksamić, Piotr Głuchowski, *Uzurpator. Podwójne życie prąta Jankowskiego*, Warszawa 2019, s. 108), które pozostały jednak bez wyraźnego odzewu ze strony naszych opozycyjnych „wolnościowców”.

Dopiero po ośmiu latach, przy Okrągłym Stole, w najmniej oczekiwany sposób kwestia zniesienia cenzury powróciła do publicznego obiegu, ale to już całkiem odrębna zaskakująca historia, którą barwnie i wiernie relacjonuje Julian Bartosz, w latach osiemdziesiątych naczelnym redaktorem zniszczonego przez miejscowe władze wrocławskiego tygodnika „Sprawy i Ludzie”, aktywny uczestnik opisanych przezeń niżej wydarzeń.

Przypominając niemało epizodów ze swej wieloletniej walki przeciw cenzurze zarówno jako szeregowy, wielokrotnie wyrzucany z różnych redakcji, dziennikarz jak i niejednokrotnie redaktor naczelny, Julian Bartosz już jako zasłużony emeryt na prasowej niwie tak wspomina po wielu latach ten okrągłostołowy epizod: „Ujmę to w tym miejscu bardzo skrótowo. Należąc do grona nieformalnych, społecznych doradców Alfreda Miodowicza pisałem nieraz teksty publikowane potem pod jego nazwiskiem lub przez niego wygłaszane. Tak też było z tekstem, który Miodowicz miał wygłosić na otwarciu obrad Okrągłego Stołu. Wprawdzie oficjalnie mieli się tym zajmować ludzie delegowani do tych spraw i uczestniczący w Magdalence w przygotowaniach do obrad, jednakże ich pisanie było tylko dla zmyłki. Miodowicz napisanie tego przemówienia powierzył grupie ludzi, do której należeli autorzy z kręgu »Spraw i Ludzi« – Wacław Martyniuk, Marek Zagajewski, Leon Podkaminer i ja. Pisaliśmy w prywatnym mieszkaniu na mieście. Brudnopis mowy przechowuję do dziś w swym archiwum. Było charakterystyczne, że Miodowicz chciał, żebym odczytał mu swój nabazgrany tekst w kąciu za jego gabinetem. Czytałem dwa razy, gdyż rzekomo robiłem to za szybko. Prawda zaś zdaje się polegała na tym, że w tym kąciu był podsłuch bezpośrednio do generała. Miodowicz swą decyzję na »tak« zakomunikował nam dopiero nazajutrz. Chciał odczekać na *placet* samego »szefa szefów«. W tekście tym zawarłem żądanie zniesienia cenzury, pisząc, że demokracją najbardziej zainteresowana jest klasa robotnicza, w związku z czym w jej interesie leży wolność prasy, a więc zniknięcie cenzury. Miodowicz bardzo się ucieszył, że może z czymś wyjść przy Okrągłym Stole. Wygłaszając swe przemówienie na inauguracyjnym posiedzeniu, zaskoczył wszystkich, także tzw. stronę społeczną, czyli solidarnościową. Zasiadając przy podstoliku prasowym, powtórzyłem to żądanie, co jest udokumentowane protokołem, który posiadam. Choć była to swoista powtórka, uczestnicy podstolika również nie kryli zdziwienia, sami bowiem takiego postulatu wówczas nie wysuwali, opowiadali się jedynie za ograniczeniem tej szkaradnej instytucji.

No i potem przyszła wolność, a ja, jako się rzekło *homo sovieticus*, pisząc tekst we własnej gazecie pytałem zalękniony: »A czy mi to puszcza?«. Godna zaś odnotowania w całym tym kontekście jest podana już

po 1989 roku przez Iwonę Zielińską we wrocławskiej »Gazecie Robotniczej« informacja, że wedle danych cenzury liczba ingerencji w teksty »Spraw i Ludzi« była w latach 1982-1990 dwukrotnie wyższa od ingerencji we wszystkich wrocławskich i dolnośląskich tytułach łącznie. Przekraczała 3000». (Julian Bartosz, *Ostatnie zapiski zgryźliwego dogmatyka*, Wrocław 2009, s. 38-39).

Bezspornie, autorem całości wystąpienia Miodowicza był Julian Bartosz, natomiast uprzejmie wspomniane przez niego osoby uczestniczące w pracy nad tekstem dla szefa OPZZ pełniły co najwyżej rolę lojalnych konsultantów, nie wyłączając autora niniejszego artykułu; zresztą w ten sposób chętnie pracowali niezwykle przez nas ceniony i ukochany Redaktor.

Zaskakuje jednak pasywna postawa uczestników prasowego podstolika w kwestii zniesienia cenzury, przy którym zasiadły takie tuzy niezależnego dziennikarstwa jak: Kazimierz Dziewanowski, Janina Janowska, Zygmunt Kałużyński, Marcin Król, Tadeusz Mazowiecki, Krzysztof T. Toeplitz, Jerzy Urban, Maciej Szumowski czy sam Adam Michnik. W efekcie rodzi się zapewne mocno dyskusyjne przekonanie, że naszym medialnym „wolnościowcom” w gruncie rzeczy cenzura nie przeszkadzała, natomiast mogli się obawiać, że po jej zdjęciu będzie im znacznie trudniej ideowo konkurować na medialnym rynku. W każdym razie, od tamtych czasów żaden z uczestników Okrągłego Stołu nie objaśnił publicznie swojego zachowania, kiedy faktycznie były wystarczające warunki do tego, aby jedną decyzją doprowadzić do zniesienia cenzury. Zresztą takie rozwiązanie wkrótce zapewnił sejm kontraktowy ustawą z 11 kwietnia 1990 roku.

W tym kontekście godzi się odnotować jednoznacznie krytyczną reakcję Bronisława Geremka na wyrażone przez Miodowicza w trakcie inauguracji Okrągłego Stołu żądanie zniesienia cenzury. Wieczorem, tego samego dnia Geremek po obradach spotkał się z dziennikarzami, głównie zagranicznymi, w celu przeprowadzenia zaimprovizowanej konferencji prasowej na pięterku Hotelu Europejskiego, który znajduje się niemal naprzeciwko będącego w centrum wydarzeń Pałacu Namiestnikowskiego. Geremek ostro zaatakował Miodowicza traktując żądanie zniesienia cenzury wręcz jako swoistą prowokację wymierzoną przeciwko porozumieniu władzy z opozycją.

W reakcji na tę wypowiedź Geremka obecny na konferencji współpracownik agencji „Prensa Latina” Carlos Gonzalez Tejera zapytał, dlaczego demokraci mają cokolwiek przeciwko zniesieniu cenzury? Geremek odparł, że w naszej prasie zniesienie cenzury przewencyjnie stworzyłoby sytuację dającą sposobność zakwestionowania opublikowanych już materiałów i nawet w przypadku popełnienia drobnego błędu ryzyko narażenia na procesy, konfiskatę nakładu i dotkliwe kary finansowe. W efekcie groziłoby duże straty i powstałoby poważne ryzyko znaczącego ekonomicznego osłabienia opozycji.

W replice Carlos wyraził zdziwienie i zaskoczenie obroną cenzury, jako że sam był wychowany w kulcie postulatów Wielkiej Rewolucji Francuskiej i wywodzącego się z niej *lewicowo-demokratycznego etosu*, w którym cenzurę uważano za twór przeciwny naturze.

Miodowicz (OPZZ) szczegółowo wspomina okoliczności swojego wystąpienia w kolejności jako trzeci mówca po Czesławie Kiszczaku (rząd) i Lechu Wałęsie (NSZZ Solidarność) na inauguracyjnym posiedze-

niu Okrągłego Stołu: „Moje przemówienie na otwarciu »okrągłego stołu« wywołało zaskoczenie. Z nikim nie było konsultowane, powstawało w małym zespole, w pełnej tajemnicy. W postulatach poszedłem bardzo daleko – nawet jak na marzenia opozycjonistów. Nasze żądania jednak były konsekwentne – najpierw pluralizm polityczny, potem związkowy. Domagałem się: całkowicie wolnych, niekontraktowych najbliższych wyborów do parlamentu, natychmiastowego zniesienia wszelkiej cenzury słowa i publikacji oraz izby samorządowej parlamentu, zamiast Senatu.

Czytając tekst – widziałem reakcję siedzącego naprzeciw Adama Michnika, który nie umiał opanować spontaniczności. Aż nogi podniósł z uciesznej aprobaty. Wałęsa natomiast podszedł do mnie w przerwie, uściśnął dłoń i powiedział: »No, panie Miodowicz, jak nam tu nie wyjdzie to ja będę panu paczki do kryminału posyłać. Może pan na mnie liczyć!«.

Odparłem: »Bardzo się cieszę, bo panowie macie wprawę i doświadczenie w sprawach kryminalnych«.

Krótko po inauguracji »stołu« gen. Jaruzelski zaprosił kierownictwo OPZZ i naszą delegację na spotkanie do KC dla – jak to określił »zasypania rowów, które między nami wykopano«. W wystąpieniu stwierdził, że może poszliśmy za bardzo do przodu, bo nawet Michnik nie żądał wolnych wyborów – oni wszyscy wstępnie zgodzili się na wybory kontraktowe. Nawet Kuroń nie żądał zniesienia cenzury. »Skąd u was taki radykalizm?«. Izba samorządowa wzbudzała mniej emocji – dogadali się wcześniej co do senatu.

Wówczas zaatakował nas Mieczysław Rakowski. Stwierdził, że związki muszą mieć więcej wyobraźni, że tu nie chodzi o spektakularny interes partii, a o rzeczywistość i przyszłość Polski. Nawet ZSRR się zmienia – pierestrojka, głasnost. Nie wolno spychać »Solidarności« do roli podrzędnej, bo może niebawem nawet tow. Gorbaczow będzie chciał z nią rozmawiać. »A wy, tow. Alfredzie, patrzcie tylko na własne podwórko – idzie wam tylko o to, byście trwali i nadal istnieli. A partia ma inne zdanie – ja stoję na czele rządu i nie dopuszczę do likwidacji cenzury. Już raz wprowadziliście bez zgody rządu Wałęsę do telewizji, co zbyt ponagliło sprawę«⁷. (Alfred Miodowicz, *Zadymiarz*, spisał Ryszard Naleszkiewicz, Warszawa 1993, s. 132-133).

Kolejna akcja naszych „demokratów” wiązała się z zakończeniem obrad Okrągłego Stołu poprzedzonego sporem o indeksację, ponieważ OPZZ nie podpisało protokołu stolika ekonomicznego, uważając, że „wynegocjowana forma indeksacji stanowi stryczek dla rządu, likwidację możliwości jakichkolwiek reform, a ponadto pogłębia różnice między najmniej i najwięcej zarabiającymi, krzywdząc najbardziej potrzebujących. [...] Żądaliśmy nie indeksacji równej dla wszystkich, ale dającej najwięcej najbardziej potrzebującym.[...] Twierdziliśmy, że indeksacja gwarantowana przez budżet jest bombą położoną pod rząd, bo najgorsze firmy będą dostawać pieniądze od państwa.

[...] Obie strony zaczęły nas jawnie lekceważyć, gdy nie podpisaliśmy protokołu stolika ekonomicznego. Nastąpił niebywały sojusz: strona rządowo-koalicyjna i solidarnościowo-opozycyjna z równą niechęcią wyrażały się o OPZZ.

Kulminacja nastąpiła po nie uzgodnionej z nami zmianie ustaleń o kolejności wystąpień na zakończeniu »okrągłego stołu«. Dowiadujemy się nagle, że moje wystąpienie zamiast trzeciego, przed przerwą, w czasie

najlepszej oglądalności telewizji – ma być przesunięte na piąte czy szóste miejsce po przerwie. [...]

Postanowiliśmy stanąć okoniem. Albo zostanie zachowana ustalona od początku kolejność – mój głos jako trzeci, przed przerwą – albo nie podpisujemy kontraktu »okrągłostołowego« w ogóle i cała delegacja nie przyjeżdża na zakończenie. A Polska to widzi. [...]

Wybuchła awantura.

Na ul. Kopernika czeka w napięciu pełny skład Komitetu Wykonawczego OPZZ.

Nasza delegacja przyjeżdża do Pałacu Namiestnikowskiego z pięciominutowym opóźnieniem [...], by dać możliwość Kiszczakowi – przewodniczącemu obradom – do przekazania naszych obiekcji jako ostatecznego warunku – stronie opozycyjno-solidarnościowej.

Podchodzi do mnie Kiszczak i przedstawia nowy porządek wystąpień. Na to nie wyrażam zgody. Proponuję kolejność taką, jaka na inauguracji »stołu« – czyli trzeci głos.

– Na to nie ma zgody.

Sugeruję więc przerwę na negocjacje. Nasze stanowisko – mamy decyzję Komitetu Wykonawczego – nie może ulec zmianie. I tak zaczęła się rozróbka.

W kularach spotkała się ze mną ekipa »Solidarności« z Imietkiem Gilem, proponując podpisanie protokołu »stolika ekonomicznego«. Pod tym warunkiem zostaną dopuszczeni do głosu jako trzeci.

Łapówka była smakowita, ale gorzka. Goryczy nie lubię, więc odmówiłem będącą swoistym szantażem wobec nas.

Miałem rację. »Solidarność« wróciła. Geremek wyraził publiczne ubolewanie z powodu »obstrukcji« OPZZ, ale kierując się »racjami dla Polski« – opozycja ustępuje. Odzyskaliśmy więc należną nam kolejność wystąpień, a »stolika ekonomicznego« i tak nie podpisaliśmy.

Kontrakt został przyklepany. Także przez nas. W pałacu, w którym przyklepano III rozbiór Polski”. (op. cit., s. 134-136).

Nieco odmiennie przedstawia przebieg Okrągłego Stołu małżeństwo historyków Daria i Tomasz Nałęczowie o specyficznym lewicowym poglądom. Pierwsze posiedzenie plenarne w ogóle nie zostało przez nich zrelacjonowane, co automatycznie usuwa z pola widzenia kwestię likwidacji cenzury w ujęciu Miodowicza. Natomiast opis drugiego i zarazem ostatniego posiedzenia rozpoczyna się od przedstawienia „incydentu sprowokowanego przez Miodowicza. Zażądał on zabrania głosu po Wałęsie, chociaż uzgodniony wcześniej scenariusz lokował go w dalszej kolejności. W razie odmowy zagroził zerwaniem obrad. Wybuchł skandal, bo awanturę relacjonowała na żywo telewizja i jej widzowie taką sensacją widzieli po raz pierwszy. Zwrócono się do Jaruzelskiego. Namawiał on Miodowicza do opamiętania, ale bezskutecznie. Zaparli się też liderzy »Solidarności«, nie reagując po raz pierwszy na perswazje towarzyszących obradom duchownych. A ponieważ Jaruzelski nie chciał kończyć obrad bez udziału Miodowicza i OPZZ, wydawało się, że po Okrągłym Stole pozostaną tylko drzazgi.

[...] Trwającą już blisko trzy godziny przerwę zakończono i po wznowieniu obrad Geremek oświadczył, że »Solidarność« została poddana niedopuszczalnemu szantażowi, ale w interesie państwa ustępuje. Obrady Okrągłego Stołu szczęśliwie dobiegły końca”. (Daria i Tomasz Nałęcz, *Czas przełomu. 1989-1990*, Warszawa 2019, s. 52).

Spółka autorska Nałęczów, jak widać, bez skrupowania przyjęła punkt widzenia Geremka w opisie przebiegu okrągłostołowych wydarzeń. OPZZ wraz ze swoim liderem zostali otoczeni przez zgodny front partyjnych i solidarnościowych „demokratów” pod kościelnym parasolem. Okazało się, że na inauguracji Okrągłego Stołu Miodowicz mógł występować jako reprezentant „trzeciej siły”, po Kiszczaku i Wałęsie, ale na zakończenie obrad już nie; ten porządek obrad miał być samowolnie zdecydowanie odrzucony. Na tę okoliczność organizatorzy finałowego posiedzenia przygotowali szefowi OPZZ pod fałszywym rzutem „prowokacji” elegancki szafot. Tymczasem rzuca się w oczy, że rolę „prowokatorów” wzięła na siebie Geremkowa ekipa przywódcza wyznaczając dla OPZZ termin zbiorowej egzekucji na zakończenie okrągłostołowych negocjacji, zarazem domagając się głów „reżimowych” związkowców, którzy na dodatek mieli sami je położyć pod topór. Uważni obserwatorzy toczących się wydarzeń nie bez trudu jednak zauważyli zamiar ról na związkowym polu, gdzie Solidarność truchcikiem przeszła, kosztem OPZZ, z opozycyjnych plebanii i zakrystii na reżimowe salony władzy. Ten nowy ład ustrojowy należało tylko z czasem usankcjonować i w efekcie dobić się statusu kierowniczej roli dla szeroko pojętej Solidarności pod patronatem w jeszcze większym zakresie władczego niż dotychczas Kościoła.

Jest ważne, że OPZZ doprowadziło do obalenia rządu Messnera 19 września 1988 roku, któremu nie udało się wdrożyć rok wcześniej drugiego etapu reformy gospodarczej, na co z kolei związki odpowiedziały własnym programem gospodarczym pod nazwą Alternatywa. Po pięciu latach Miodowicz tak skrótowo ocenił ten program: „Nie odrzucaliśmy socjalizmu jako istoty pomysłu na gospodarkę i nie sądzę, by trzeba było ten pomysł stale odrzucać. Miała go przecież Szwecja i nieźle na tym wyszła”. (op.cit., s. 101). Niestety, to też był wyrok na związkowców, czego dowodzi wstrzymanie przez cenzurę druku Alternatywy we własnym wydawnictwie OPZZ. Trzeba przypomnieć, że od początku „transformacji”, jak się dziś powiada, „leżał na stole” model szwedzki i był on konsekwentnie odrzucony przez kolejne ekipy rządzące. Jednak gospodarcza wolnoamerykanka pod szyldem „gospodarki rzekomo rynkowej” w efekcie bez trudu pokonała Polskę częściowo Ludową, po drodze skutecznie likwidując ruch związkowy. Doskonałym przykładem tej sytuacji jest polityka mieszkaniowa, która wymownie utoczyła *lobby deweloperskie* i bankowe. Jak stąd zdaje się wynikać „kłamstwo założycielskie” w krótkim czasie zaczęło być masowo kserowane i objęto swym zasięgiem praktycznie wszystkie obszary naszego życia, nie wyłączając ochrony zdrowia czy edukacji, a zwłaszcza środków masowego przekazu.

Trzeba kolejny raz przypomnieć, że realny kapitalizm państwowy, występujący w naszym kraju od lat czterdziestych pod szyldem socjalizmu, został poddany pod osłonę państwa stanu wyjątkowego przymusowej prywatyzacji w procesie własnościowej transformacji. Rzecz jasna, jak się wkrótce okazało, taka charakterystyka epoki Polski rzekomo Ludowej nie leży jednak w zrozumieliem interesie wielbicieli ideologii „kłamstwa założycielskiego”.

MAREK TABIN

ZŁOTY KLUCZ

Trwają poszukiwania złotego klucza, czyli tego jednego, jedyne go sposobu działania publicznego, który zapewni krajowi i ludziom rozwój i ogólne szczęście. Niestety, dotychczasowe poszukiwania w nielicznych przypadkach dały rezultat bardzo skromny i nietrwały, a w pozostałych – poniosły całkowitą klęskę.

Żeby się nie pogubić, żeby w przyszłości błędów nie powtarzać, a także młodzieży dla nauki postanowiłem sporządzić krótki spis poszukiwań z ostatnich prawie stu lat. Być może jest on niekompletny – zachęcam do dalszych poszukiwań.

Zaczynam od pomysłów, które są aktualne stale. Są przejmowane przez kolejne pokolenia, partie, ustroje i cieszą się sympatią znacznej części, a czasem wręcz całego społeczeństwa. Tkwią w tej części kultury, która jeśli ulega zmianom, to bardzo powoli. Zdarza się nawet, że zostają – jako cel – zrealizowane. Tyle, że szybko okazuje się, że nie spełniają oczekiwań, więc są porzucane – taki los spotka chyba w bliskim czasie naszą niepodległość. A nie spełniają oczekiwań właśnie dlatego, że są traktowane jako złoty klucz – jako automat, który załatwia wszystko, a nie jako okazja do sensownego działania i do znacznego poszerzenia zestawu osiąganego celu. Nasz obszar geograficzny (na zachód – do Odry, na wschód – do Azji Środkowej) charakteryzuje się zadziwiającym zamiłowaniem do automatyzmów w każdej dziedzinie. Dla mnie to zamiłowanie jest przerażające, bo neguje aktywność ludzką i zmierza do uczynienia człowieka niepotrzebnym. Swoją drogą dziwne, że akurat w tym obszarze powstało bardzo niewiele wynalazków.

Motorem historii, w każdym razie naszej, polskiej, jest to, że ideały uniwersalistyczne traktujemy jako cel grupowy – patrz niżej. Niepodległość – to pełna moż-

ność działania NASZEJ partii, wolność – to wolność działania dla NAS, równość – jest wtedy, gdy to MY jesteśmy równi, a inni – mniej. Przykład z ostatniego tygodnia: portal Wirtualna Polska podjął akcję przeciwko tym użytkownikom, którzy zainstalowali sobie blokady reklam. Redaktorzy portalu przekonują ich mianowicie, że takie blokady są cenzurą i działaniem przeciwko demokracji. Innymi słowy: ich zdaniem demokracja polega na tym, że portal ma prawo żądać ode mnie oglądania reklam, a ja muszę się temu żądaniu podporządkować.

Tak więc, na kandydatów do tytułu „ZŁOTEGO KLUCZA” proponuję:

1. **Samo poszukiwanie złotego klucza.** Nie opuszczające Polaków przekonanie, że on istnieje, tylko trzeba go znaleźć. Pewność, że istnieje ten jeden sposób, który należy zastosować i już nie będzie żadnych tych trudności, przykrości, braków, nieprawidłowości, błędów, wypaczeń, przestępstw i głupot, które nas nieustannie trapią. Może ten Złoty Klucz jest ustrojem, może myślą, religią albo postawą – nie wiemy. Ale gdy go znajdziemy, wszystko się natychmiast stanie dobre, przyjazne, właściwe, kochane. Może się zdarzyć, że część ludności będzie miała wątpliwości, co do konkretnego, świeżo znalezione go Złotego Klucza, ale przecież techniki „wykuwania nowego człowieka” zostały już opracowane i na pewno zostaną zastosowane. Chyba że w pewnym momencie służby realizujące to zadanie same nabiorą wątpliwości w sprawie aktualnych wytycznych. Taki rozwój wydarzeń też już przerabialiśmy w latach 80. ub. wieku.

2. **Właściwy ustrój.** Idea mocno popularyzowana w PRL. W końcu jednak zwolennicy ówczesnego ustroju odnieśli ideowe zwycięstwo, gdyż obecnie idea właściwego ustroju jest chyba jeszcze ważniejsza niż w PRL, a na pewno jest dużo szerzej akceptowana. Te-

raz, oczywiście, chodzi o neoliberalizm, potocznie zwany kapitalizmem. Twórcy liberalizmu nigdy nie przepadali za ideą właściwego ustroju. Na przykład jeden z ojców-założycieli Stanów Zjednoczonych, James Madison pisał wprost, że dominacja w państwie jakiejś jednej idei państwowej jest bardzo szkodliwa. W kategorii właściwych ustrojów najpopularniejsza była zawsze demokracja – tak bardzo, że ustroje ewidentnie niedemokratyczne określały siebie jako demokrację (socjalistyczną, prawdziwą, sterowaną, ludową, radziecką). Ten klucz jest szczególnie odporny na uczenie się i na doświadczenia. Jak dotąd, żaden ustrój uważany za właściwy nie dał oczekiwanych rezultatów, ale to nie zniechęca zwolenników poszukiwać.

Idea właściwego ustroju dotyczy struktur państwowych i jest szczególnym przypadkiem idei dostosowania świata do emocjonalnego i umysłowego lenistwa niektórych ludzi. Innym przypadkiem tej ostatniej jest idea **właściwego umysłu**. Zgodnie z nią każdy umysł trzeba odpowiednio ukształtować (z akcentem na „odpowiednio”), a już ukształtowanego – pilnować. W tym zakresie zgodni są wszyscy aspirujący do miana wychowawcy narodu, także Kościół, który stworzył koncepcję właściwie ukształtowanego sumienia. Temat ten ma niezwykle bogatą literaturę; tu chciałbym jedynie podkreślić, że politycy i działacze społeczni bardzo wiele się po tej idei spodziewają, ale wcale nie przeszkadza im to w werbalnej akceptacji pluralizmu.

3. Ofiarności i zaangażowanie na rzecz wielkiej idei. Po roku 1989, gdy taką ideą stał się kapitalizm, te wymagania nieco osłabły, a odpowiednie służby (na pewien czas - ?) zrezygnowały z egzekwowania zaangażowania. Mimo to zdarzały się wezwania do ofiarności w imię szczęśliwej, kapitalistycznej przyszłości. Zaangażowanie na rzecz wielkiej idei przybiera przede wszystkim formę propagandową i polega na mówieniu (osobiście, w prasie, na słupach ogłoszeniowych, transparentach, itd), że dana idea jest ważna. To wystarczy, bo właściwie nie wiadomo, co jeszcze można by robić w ramach tego klucza, jako że te wielkie idee albo nigdy nie miały konkretnego przełożenia na codzienność, albo – jak obecnie – mają przełożenie nieco odstręcające.

4. Niepodległość. Ten klucz rozpoczął swą karierę bardzo dawno temu. Rozumiano go wówczas nieco prymitywnie – jako niezależność od obcych mocarstw. Dziś dzięki naszej prawicy wiemy, że niepodległość jest tylko wtedy, gdy właśnie prawica rządzi i że jej istnienie można zaobserwować przede wszystkim na stadionach sportowych oraz podczas kontrmanifestacji przeciwko dowolnym innym manifestantom. Zwolennik niepodległości koniecznie powinien być tysi, mieć czarny ubiór i kominiarkę. Ten klucz przeżywa swój renesans, niestety, nadal nie działa.

5. Obcy. Aktualnie permanentnie. Przyjmuje się powszechnie, że dobro jest stanem naturalnym. W sposób naturalny wszystko: gospodarka, polityka, religia i tak dalej toczą się pomyślnie i bez zaburzeń. Zło zaczyna się, gdy wkracza obcy, lub może raczej Obcy. Nigdy żadne zaburzenia czy zjawiska negatywne nie są wynikiem naszej działalności, zawsze chodzi tu o obcych. Tym samym gdy coś idzie źle, należy przede wszystkim znaleźć i unieszkodliwić Obcego. Jeśli go nie widać, to tym gorzej, bo to znaczy, że się dobrze

ukrywa. W latach 90. ub. wieku, gdy już było jasne, że nadzieje transformacji raczej się nie ziszczą, w pewnych kręgach dokonano śmiałego zabiegu statystycznego rozmnożenia Obcych, czyli ksenokracji – uważam, że określenie to powinno zostać przyswojone przez wszystkich badaczy kryzysu. W pewnej publikacji wyczytałem wówczas, że w Polsce jest 10 milionów Obcych, wszyscy na czołowych stanowiskach państwowych. Co jakiś czas naród ponawia proponowanie Obcym wyjazdu, co oni częściowo przyjmują, ale i tak jest ich coraz więcej, mimo że mają mało dzieci (kto by w takich warunkach chciał mieć wiele dzieci?). To wyolbrzymianie i mistyfikowanie obcych ma jednak swoje granice. Niektórzy (nie ci sami!!!) są nam potrzebni do tego, by nami rządzili (już od czasów wolnej elekcji), by się nami opiekowali (patrz punkt 27), by uczciwie zrobili jakąś ekspertyzę, by nas wyposażali w myśl techniczną i organizacyjną. Zresztą, możliwość obciążenia Obcego naszymi błędami to też przecież pożytek. W sumie więc – jest z nich bardzo wiele korzyści.

6. Zawsze do tyłu. Najważniejszym elementem każdego programu na przyszłość jest program na przeszłość. Konkretnie, zapowiedzi ukarania winnych. Te zapowiedzi mogą dotyczyć win wymyślonych (na przykład kampanie przeciwko Aleksandrowi Kwaśniewskiemu i Leszkowi Millerowi) lub rzeczywistych (prawie wszystko, co robi Prawo i Sprawiedliwość, ale w czasach wcześniejszych też by się wiele znalazło). Efekty tych zapowiedzi są trzy. Po pierwsze – wzmoczenie działań bezprawnych („bo skoro i tak mnie posadzą, to już mi nie zależy”). Po drugie – wzrost determinacji rządzących, by za wszelką cenę utrzymać władzę. Po trzecie – dewaluacja tego rodzaju zapowiedzi, bo nie są realizowane, chyba że w stosunku do osób marginalnych i politycznie izolowanych. Wrogość w stosunku do konkurentów i pomiatanie nimi w każdy możliwy sposób to żelazne zasady funkcjonowania opozycji w Polsce; co więcej, są to jedyne zasady, bo alternatywne programy czy współpraca przy działaniach wspólnie akceptowanych nie wchodzi w grę; nie te kwalifikacje. Zresztą, nie jest możliwe tworzenie alternatywy do czegoś, czego nie ma.

7. Druga Japonia, itd. Tych „drugich” było już wiele. Generalnie chodziło o to, że Polska ma się upodobnić do jakiegoś innego kraju. Formułowali tę ideę ludzie, którzy wyjechali gdzieś za granicę (np. na stypendium) i coś im się tam spodobało. Albo i nie wyjechali, ale coś słyszeli. Haśło było rzucane całkowicie bez zastanowienia, skąd się wzięły różnice i co zrobić, żeby się upodobnić, jeśli już zaakceptujemy, że celem cywilizacyjnym dumnych potomków husarzy jest upodobnienie się do jakiejś innej nacji. Żądania by Polska stała się drugą XXXXX, to były zawsze działania magiczne, choć bez elementów rytualnych, które zwykle towarzyszą magii, takich jak tańce, maski, picie rytualnego napoju, itp. Może dlatego były nieskuteczne. Nawiasem mówiąc, działania magiczne bardzo się w ostatnim trzdziestoleciu spopularyzowały. Coraz powszechniejsze jest przekonanie, że rzucenie słowa zmienia rzeczywistość. Na przykład: „dobra zmiana”. Powstał ten styl w PRL, ale wówczas raczej go wyśmiewano: „Ja wam rzucam myśl, a wy go łapcie”.

8. Długie sprawowanie władzy przez tę samą formację. W okresie PRL klucz ten trochę się spraw-

dził. Wybudowano wiele zakładów przemysłowych, których późniejsza (po 1989 roku) sprzedaż pozwoliła sfinansować ich prywatyzację. Rzeczywiście, czteroletnia kadencja to niewiele – można w tym czasie co najwyżej usunąć ze stanowisk poprzedników i ewentualnie powsadzać ich do więzień. Na rozwinięcie skrzydeł trzeba więcej czasu. Wydaje się, że obecnie ten klucz odzyskuje wigor, ale to jeszcze, na szczęście, niepewne (piszę to w sierpniu 2019). Wydarzenia zmierzające do tego celu toczą się niezbyt szybko oraz zgodnie z opinią Marksa: „Hegel powiada gdzieś, że wszystkie wielkie historyczne fakty i postacie powtarzają się, rzecz można, dwukrotnie. Zapomniał dodać: za pierwszym razem jako tragedia, za drugim jako farsa”.

9. **TU JEST ZACHÓD.** Postanowienie w formie uchwały podjętej przez prawie cały naród (beze mnie!) bez głosowania, spontanicznie i zgodnie. Wszyscy, którzy chcą coś w życiu zrobić i mają dosyć POPIŚÓW, wyjeżdżają, a reszta, żeby jednak jakoś wytrzymać. uchwalila sobie, że „tu jest Zachód”. Polega to na bardzo szybkim przejmowaniu wszelkich nowinek życia codziennego (np. takiego oświetlenia w łazienkach, które się włącza automatycznie, szybko gaśnie i potem żeby się znowu zapaliło trzeba czymś machać). Najbardziej widać to w języku, z którego polskie słowa są wypierane (ostatnio odkryłem „rollercoaster” – jako „zmienna pogoda”, dosłownie – kolejka górską). Rdzennie polski pozostaje słownik polityków, na przykład „wypier...!”. Za to ich cenię.

10. **Małpizm** – zamiłowanie do małpowania, czyli naśladowania bezmyślnego. Okres po 1989 roku był jednym wielkim festiwalem małpizmu. Samo pojęcie nowoczesności oznacza z definicji wtórność i naśladownictwo – za nowoczesne uznajemy to, co powstało w krajach uznawanych za nowoczesne, niezależnie od potrzeby. Tworząc państwo demokratyczne skopiowaliśmy z Zachodu siatkę partii politycznych, mimo zupełnie innych warunków kulturowych: innych potrzeb, innych rzeczywistych konfliktów, innych możliwości realizacyjnych. Skopiowaliśmy siatkę instytucji państwowych mimo słabości elit i słabości pozytywistycznego rozumienia wspólnoty narodowej – co dało nam między innymi takie sejmy jak w Trzecim Świecie. Bezmyślnie powtarzamy różne hasła polityczne typu „społeczna gospodarka rynkowa”. Tworzymy takie ruchy społeczne, jak feminizm czy obrona LGBT, które – mimo że mają słuszne cele – działają w warunkach Polski podzielonej i skonfliktowanej, przez co raczej szkodzą, niż pomagają mniejszościom seksualnym, czy pracującym kobietom. Chruszczowowskie „dostigniom i pieriestigniom” weszło na stałe do głów wszystkich polskich polityków i ciągle tam siedzi. We wszelkich analizach gospodarki czy warunków życia podstawowym i właściwie jedynym ważnym punktem są rankingi i miejsce Polski w tych rankingach. Możliwość jakościowej odrębności Polski nie jest w ogóle brana pod uwagę. Nie te kwalifikacje.

11. Przekonanie, że najważniejszym sposobem popularyzowania aktualnie obowiązującego złotego klucza **jest propaganda**: telewizja, prasa, transparenty, wielkie ogłoszenia. To przekonanie jest aktualne w sposób ciągły od końca wojny. Ma ono cechy fiksacji, czyli usztywnienia postawy bez uwzględniania, że przynosi ona negatywne skutki. W latach 90. ubiegłego wieku, gdy społeczeństwo było jeszcze

trochę myślące, zauważono, że kto ma telewizję, ten przegrywa wybory. Mimo to o panowanie nad telewizją walczyły i walczą dzielnie wszystkie partie polityczne. Wiele jest przykładów fałszywości tego klucza. Weźmy cztery z ostatniego okresu. Hasło „społeczeństwo oparte na wiedzy” zakończyło się tragicznym obniżeniem poziomu szkół wyższych i masową emigracją kadr kwalifikowanych zachęcanych do tego przez parlamentarzystów. Hasło „innovacje” towarzyszy coraz bardziej sztampowe nauczanie przez wykładowców nienawykłych do innowacji i własnych badań z powodu braku czasu. Hasło „ochrona dobrego imienia Polski” towarzyszy chamstwo w stosunkach dyplomatycznych oraz ustawa przewidująca więzienie za pisanie o niepochlebnych dla Polaków faktach historycznych, a także propozycja odebrania emerytury jednemu Polakowi znanemu szeroko za granicą. W dodatku hasłu temu towarzyszy założenie, że dobre imię państwa polskiego jeszcze w ogóle istnieje i że jest co chronić. Hasło „społeczeństwo obywatelskie” towarzyszy wyrabianie w ludziach przekonania (samospełniającego się!!!), że polityka to tylko brud i nieprawości. Zachowania polityków przekonują o tym na co dzień. „To nie jest sprawa merytoryczna, a jedynie polityczna” słyszymy często z ust polityków. Czyli: jacyś ludzie się kłócą, ktoś zwycięży, a argumenty tak czy inaczej nie mają żadnego znaczenia. W tej sytuacji każdy uczciwy człowiek wycofa się z polityki natychmiast, chyba że nic nie umie. W PRL propaganda osiągnęła to, że cała młoda inteligencja (prócz niektórych historyków) uważała, że przedwojenna Polska była oazą dobrobytu, równości, mądrej gospodarki i dobrej polityki. Jak propagować brak propagandy?

12. **Wykluczanie.** Jest to zjawisko istniejące we wszelkich grupach ludzkich i próby jego całkowitego wyeliminowania są nonsensem. Gdy jednak osiągnie ono zbyt wielkie rozmiary lub gdy nie jest sensownie uzasadnione, staje się szkodliwe i wredne. Już przed wojną mniejszości narodowe chętniej były traktowane jako obce narody niż jako obywatele tego samego państwa. Po wojnie doktryna dyktatury proletariatu odnowiła tradycję wykluczania, choć niezbyt mocno, gdyż wszyscy widzieli, że proletariatu raczej nie rządzi. Prawdziwy rozkwit przeżywa wykluczanie po 1989 roku. Istnieje wykluczanie grupowe i indywidualne. To pierwsze polega na tym, że jedna, zwykle wielka grupa wyklucza drugą, na przykład tak zwani zwykli ludzie wykluczają inteligencję albo odwrotnie (wciąż mówimy o wykluczeniu werbalnym). Wykluczanie indywidualne, czyli osoby przez osobę, ma w sobie interesujący pierwiastek tradycji Oświecenia: jest mianowicie zawsze uzasadnione, na przykład: „eeee, to jakiś Żyd”. Powszechność i naturalność wykluczania tworzy kulturę wykluczania, czyli przekonanie, że każdą sprawę można załatwić przez przeprowadzenie odpowiednich wykluczeń. Przypadkiem szczególnym kultury wykluczania (niekoniecznie już tylko werbalnego) jest kultura wymierania gdzie przyjmuje się, że pozytywne zmiany będą możliwe, gdy tylko wymrą ludzie starego ustroju. Ta kultura doczekała się wielu form wymierania wspomaganego.

13. **Biegunka legislacyjna.** Żelazna zasada lat po 1989 roku. Nie ja wymyśliłem to określenie lecz pewien poseł i to sprzed czasów PiS-u. Gdy tylko pojawi się jakiś problem, należy wydać odpowiednią ustawę. Nie-

ważne, czy przypadkiem wystarczająca ustawa już istnieje oraz jak się ma ta nowa do innych ustaw bo każdy problem traktujemy oddzielnie. Nie jest też interesujące, skąd się wzięły nieprawidłowości. Nie szukamy przyczyn zła, ale wydajemy ustawę, że ma być dobrze. Pełni ona przede wszystkim funkcję uspokojenia nastrojów i przekonania (już przekonanych), że państwo czuwa. Swoją drogą, biegunka jako złoty klucz – to brzmi chyba zbyt finezyjnie.

14. **Wspólnota religii.** Klucz popularyzowany przez środowiska aktywne publicznie dopiero po 1989 roku. Niewłaściwość pobytu na ziemiach polskich osób wyznania innego niż katolicyzm jest tym silniejsza, im innowierców jest mniej. Zbliży się ten piękny dzień, gdy wszyscy Polacy jak jeden mąż powstaną przeciwko wyznawcom innych religii, którzy właśnie w Polsce znikną. W zamysśle wspólnota religii ma być ujednoliceniem kraju pod pewnym ważnym względem. W PRL walczono o zrównanie wsi z miastem, obecnie aktualne jest hasło zrównania kobiet z mężczyznami. Innymi słowy, pomylenie równości z jednakowością jest kontynuowane. W pewnym momencie może dojść do tego, że wszyscy Polacy będą dokładnie jednakowi pod każdym względem, nawet pod względem umiejętności kombinowania. Wtedy nasi sąsiedzi mogą zapytać: „po co ich jest 38 milionów? Przecież wystarczy jeden taki...”. Wracając do religii: jest również taka koncepcja, że ponieważ w krajach o wyznaniach protestanckich rozwój gospodarczy jest szybszy, więc należy w miarę skutecznie skłonić wszystkich Polaków do zmiany wyznania na protestanckie. Jak zauważono już dawno temu, ideologia również może być – i gdy panuje, to jest – traktowana jak religia. Ma jednak tę wadę, że – zwykle niezdarnie – udaje sprawdzalną (naukową), podczas gdy religia z założenia operuje tajemnicą.

15. **Wspólnota symboli narodowych.** Wspólnota, jak wiadomo, polega na tym, że się symbol zmienia tak, by pasował aktualnie rządzącym, a następnie uznaje się, że będzie obowiązywał zawsze. To jest po prostu taka koncepcja, że wspólnota dotyczy chwili obecnej i tylko obecnej, nie ma nic wspólnego z historią ani z trwaniem. A więc we fladze zmieniamy kolory, a orłowi zdejmujemy lub wkładamy koronę. Taka koncepcja wspólnoty dotyczy wszystkiego, a nie tylko godła i flagi. Funkcję symbolu narodowego może pełnić wszystko, co daje ludziom poczucie zakorzenienia i swojskości. Jeśli bezustannie zmieniamy różne nazwy funkcjonujące publicznie, likwidujemy „relikty przeszłości” (na przykład komunizmu, którego zresztą nawet w Związku Radzieckim jeszcze nie było, a tym bardziej u nas), jeśli Mazury przecinamy autostradą, Pałac Kultury i Nauki w Warszawie rozbieramy, warszawski plac Piłsudskiego (dawniej plac Zwycięstwa) czynimy symbolem zwycięstwa PiS (nad prawem?), to nie możemy się dziwić sformułowaniu „w Polsce, czyli nigdzie”.

Były to „twarde” złote klucze – panujące nad świadomością społeczną, mające ustalone miejsce w historii społecznej kraju. Oprócz nich są klucze „miękkie”, „kluczyki” rzec można, mające czasem krótszy żywot, kiedy indziej mniejszy zasięg lub słabsze obciążenie nadziejami. Oto one:

16. **Gospodarka centralistyczna i planowanie** – po II wojnie aż do 1989 roku. Centralizm był tym

surowszy, im niższego szczebla dotyczył. Opanowanie bab z pietruszką było bowiem łatwiejsze niż uwzględnienie wszystkich grup nacisku działających w centrali. Planem nazywano zbilansowanie wszystkich produktów – pamiętam, że w ramach obowiązków służbowych natrafiłem na prognozowanie zużycia spinaczy biurowych na 20 lat – w przyszłości. Czegoś, co można nazwać planem (pomijając niezobowiązujące hasła ideologiczne) nie było; określany był „w biegu”.

17. **Gospodarka neoliberalna.** Druga ściana w stosunku do punktu wyżej. (Nie ma się co dziwić, że pacjent traktowany metodą od ściany do ściany jest mocno poobijany). Ten klucz był wśród inteligencji po cichu popularny przez cały okres PRL, choć nie precyzowano szczegółów, a jedynie opierano się na kilku sloganach („przyływ podnosi wszystkie łodzie”, „niewidzialna ręka rynku”, i in.). Ale nie była to wielka popularność. W 1989 roku neoliberalizm jako fakt pojawił się nie wiadomo skąd, bo nikt o niego nie walczył. Polski neoliberalizm zakłada brak planów na każdym etapie każdego działania oraz czerpanie dumy z tego faktu. Hasłem liberalizmu było „państwo jak najdalej od gospodarki” hasłem neoliberalizmu jest: „państwo – wróg publiczny numer 1, niszczy je zawsze i wszędzie”. Warto tu może dodać, że obowiązek niszczenia państwa na wszystkich polach spoczywa szczególnie mocno na czołowych politykach i że z tego akurat zadania wywiązują się oni bardzo dobrze. W Polsce neoliberalizm zaprowadził się na dobre i teraz jest tak, że nawet jego wrogowie na niego głosują. Chodzi o to, że na przemianach 1989 roku spora część społeczeństwa straciła, bardzo neoliberalizmu nie lubiła i głosowała w 2015 roku na partię zwaną Prawo i Sprawiedliwość, która obiecała likwidację patologii neoliberalnych. Od 4 lat te patologie zwiększają się jeszcze szybciej niż przedtem, sektor publiczny kurczy się coraz bardziej, a liczba ludzi, którzy chcą na PiS głosować, nawet się zwiększa. Ot, co potrafi zręczny polityk-cwaniaczek i zręczna propaganda.

18. **Konfliktowość, wielopartyjność** – podobnie jak bezrobocie, jako klucz do doskonałości były aktualne głównie przed 1989 rokiem. Chodziło o to, żeby się trafne i mądre poglądy rodziły się w gąszczu ostrych sporów. Nasz wariant demokracji zakłada, że skoro w dyskusjach Piłsudskiego z Dmowskim rodziły się mądre pomysły, to podobnie będzie z dyskusjami posłanki Pawłowicz z posłem Karskim. Idea rozwoju przez konflikt w niektórych krajach funkcjonuje znakomicie, ale u nas wyszła z tego taka „dyskusja”, że obie strony monotonicznie powtarzają swoje argumenty, nie ma żadnej rozmowy, a zwycięża i tak siła polityczna. Przy okazji – rośnie przeciętny poziom bezmyślności i ordynarności.

19. **Zawierzenie kraju Matce Boskiej lub Chrystusowi Królowi.** Najważniejszą różnicą między chrześcijaństwem a władzą świecką jest to, że doktrynalnie chrześcijaninem jest się przede wszystkim autonomicznie, we własnym sumieniu. Państwo natomiast stosuje zewnętrzne formy kontroli. Zwolennicy tego hasła chcą, by Polacy byli uczciwi we własnym sumieniu, a nie wskutek zewnętrznego przymusu. Ten cel nawet mi się podoba, ale większości Polaków się nie spodobał, gdy zobaczyli, że twarz Kościoła prze-

niosta się z Golgoty do Torunia. W rezultacie to działa tak, że jest król, ale nie ma aparatu, więc nic nie działa tak, jak król kazał. Ściślej mówiąc, aparat jest, ale ma ważniejsze sprawy na głowie. Pomysł Polski jako królestwa przejęli monarchiści, którzy prawdopodobnie uważają, że monarchia to jest taki ustrój, gdzie jest wszechwładny król, a oprócz tego istnieje normalna kapitalistyczna gospodarka i wszystko działa bezbłędnie, jak w Szwajcarii.

20. **Walka ze spekulantami** – krótki okres po II wojnie. Spekulacja była wówczas domeną drobnych handlarzy, często ludzi z półświatka, którzy wykupywali deficytowe towary (czyli prawie wszystkie) i sprzedawali nielegalnie po wyższej cenie. W marksistowskim państwie byli oni jedynymi, którzy zachowywali się zgodnie z regułami ekonomii. Ale władze nie doceniły tej formy przywiązania do marksizmu.

21. **Informatyka**. Aktualne we wczesnych latach 70. Miała być lekarstwem na to, że centralny planista nie jest w stanie ogarnąć całej krajowej gospodarki i w rezultacie błędnie planuje, to znaczy bilansuje. Podobno jeszcze teraz nie istnieje tak wielki komputer, który by to potrafił. No ale kiedyś zostanie on w końcu zbudowany. Co wtedy?

22. **Bodźce materialne**. Aktualne w późnym okresie PRL. Odważna decyzja: jak pracownik zrobi więcej albo lepiej, to dostanie większą wypłatę. Idea ta została zaprezentowana jako słuszne odstępstwo władz od doktryny socjalistycznej na rzecz mentalności burżuazyjnej. Była spóźniona, bo rzucono ją w czasie, gdy już było bardzo trudno uczciwie określić, kto wyprodukował lepiej albo więcej. Zresztą, to jest w ogóle niemożliwe, gdy odbiorcą produktu jest urzędnik, a nie rynek.

23. **Bezrobocie**. Ten klucz był aktualny względnie krótko wśród opozycji demokratycznej przed 1989 rokiem. Wszędzie gdzie było to możliwe, ludzie pracowali niezbyt wydajnie i perspektywa bezrobocia była inteligencką nadzieją, że „wreszcie się robole pracy nauczą”. Po 1989 roku okazało się, że zwolennicy tego poglądu odnieśli niebываły sukces ilościowy, niestety, bez oczekiwanych rezultatów jakościowych. Czyli ilość nie przeszła w jakość.

24. **Socjologia**. Aktualne w latach 70. Władze uznały, że gdy socjologowie powiedzą, co jest złe, wtedy można to będzie naprawić. W zasadzie był to kierunek trafny, gdyż polegał na uznaniu, że – prócz jedynie słusznej ideologii socjalistycznej – również nauka może się przyczynić do rozwoju kraju. Całość jednak trochę wymknęła się spod kontroli, gdyż pewien socjolog uznał, że za pomocą socjologii można władzę przechytryć. Przegrał, ale został prekursorem nowego rozumienia zawodu socjologa. Niegdyś socjologowie badali ludzi i tworzone przez nich zbiorowości. Obecnie zajmuje się tym tylko niewielka grupa publikujących słupki popularności, które są sensem życia każdego ambitnego polityka. Reszta socjologów nie bada innych ludzi, lecz przekonuje ich do swoich własnych poglądów, zresztą za państwowe pieniądze. A entuzjazm władz wobec socjologii w latach 70. mocno przygasł. Po 1989 roku odrodził się jako entuzjazm socjologów wobec władzy.

25. **Powrót do źródeł**. Idea pojawiająca się zawsze, gdy ważna idea trzeszczy. W PRL powrotu do

młodego Marksa żądali tak zwani rewizjoniści, obecnie aktualni są działacze nowej ewangelizacji oraz znacznie bardziej radykalni neopoganie. Dziwne, ale brakuje osób żądających wycofania się z neoliberalizmu i powrotu do autentycznego liberalizmu. Może różnica między tymi dwoma kierunkami jeszcze nie została zauważona? Postuluje się zwykle powrót do takich źródeł, o których nikt nic nie wie, bo przekaz jest legendarny i baśniowy, albo które w ogóle nigdy nie istniały (jak np. państwo oparte na ideach młodego Marksa). Ta idea charakteryzuje się pewną uroczą cechą: doktrynalnie przekreśla wszystko, co zostało zrobione dotychczas.

26. **Właściwy opiekun**. Zmiana opiekuna w opisywanym tu okresie była tylko jedna, to akurat mniejszy problem. Ważniejsze jest istnienie w Polsce stałego parcie na opiekuna, zastępujące mądrą politykę międzynarodową, czyli: 1) bycie szanowanym i poważanym na arenie międzynarodowej, 2) sojusze i umowy międzynarodowe z wieloma państwami, nawet gdyby ich skutki miały być takie, jak sojuszy z Anglią i Francją w 1939, 3) niechęć, czy nawet wrogość w stosunku do innych państw oparta na istotnej rozbieżności celów czy wartości, a nie na fumach czy na unikaniu okazji do mówienia po angielsku. Technika szukania właściwego opiekuna jest manifestacyjne obrażanie wszystkich, którzy nie zostali wytypowani do tej roli oraz usłużność (postanowiłem uniknąć trafniejszych określeń) w stosunku do wytypowanego opiekuna połączone z poinformowaniem go o tej nowej roli, nie zawsze zresztą skuteczne. W okresie PRL opiekun był wymuszony, natomiast obecny został przyjęty chętnie, z wieloma nadziejami. Był nawet kiedyś, za PRL, taki dowcip: „Jaki jest najlepszy sposób na zapewnienie Polsce demokracji i rozwoju? Odpowiedź: wypowiedzieć wojnę Stanom Zjednoczonym i natychmiast się poddać”. Lewica tylko dlatego trochę się na tę przyjaźń dąsa, że prawica jest wobec niej entuzjastyczna.

A tak przy okazji i trochę nie na temat: wiele osób uważa pakt NATO za wystarczające zabezpieczenie militarne Polski. Artykuł 5 Traktatu Waszyngtońskiego rzeczywiście przewiduje, iż napaść na jedno państwo członkowskie będzie uznana za napaść na wszystkie i spotka się z ich reakcją militarną. Jednocześnie jednak ten sam artykuł przewiduje, że o zaistniałej sytuacji napadu ma być powiadomiona Rada Bezpieczeństwa i w tym momencie zobowiązania innych państw do solidarności z napadniętym się kończą. Innymi słowy art.5 przewiduje, że solidarność z napadniętym trwać będzie tyle czasu, ile wymaga wykonanie jednej krótkiej rozmowy telefonicznej. Może, oczywiście, trwać dłużej, ale w tym celu trzeba być państwem poważnym i szanowanym.

27. Ja również zastanawiałem się nad złotym kluczem. Wymyśliłem dwie rzeczy: żeby nie niszczyć tego, co poprzednicy wybudowali i żeby działać zgodnie z potrzebami, a nie jakąkolwiek ideologią. Może warto spróbować? Tylko – czy są jeszcze w Polsce ludzie zdolni wymyślić coś więcej niż ideologię do skopiowania?

ADAM JAŚKÓW

ROZWAŻANIA O PAŃSTWIE W RUINIE

Państwo PiS nie troszczy się o spójność prawną czy ustrojową, uchwalane nocami przepisy mają stanowić jedynie formalne alibi dla realizacji pomysłów wymyślanych w jeden dzień, doraźnych i często kulawych koncepcji. Forsowane rozwiązania prawne w bardziej lub mniej oczywisty sposób łamią ducha i literę konstytucji.

Jednak skoro z konstytucją nikt od dawna się nie liczy, a formalnie jej dni są policzone, to co szkodzi poddywagować sobie o nowych rozwiązaniach. Rządy PiS kiedyś się skończą i okaże się wtedy jasno, że niemal wszystkie instytucje państwowe są w ruinie i reguły ich działania oraz wzajemnych relacji trzeba będzie pisać na nowo.

Zebrane dotąd doświadczenia pozwalają, przynajmniej mnie, na wysnucie wniosków, że dotychczasowy system polityczny raczej się nie sprawdził.

Ale po kolei.

Prezydent

Aktualnie pełniący obowiązki prezydenta dowiódł chyba, że funkcja ta jest zupełnie zbędna. Kompetencje prezydenta zapisane w konstytucji z 1995 roku dawały mu rolę arbitra i rozjemcy. Arbitrem był tylko czasem Aleksander Kwaśniewski, rozjemcą chyba nikt. A skoro wyraźnie widać obniżenie się poziomu pozytywnych cech u kolejnych prezydentów, to może trzeba dać sobie spokój z tym urzędem?

W ramach kompromisu można by pozostawić prezydenta wybieranego przez parlament na jedną pięcioletnią kadencję bez możliwości ponownego wyboru. Na wzór niemiecki, ale bez ukrytej opcji. Taki prezydent pełniłby funkcje reprezentatywne. Mając do dyspozycji wyłącznie jedną kadencję nie byłby związany wybo-

rami politycznymi. Mógłby, gdyby chciał i potrafił, naprawdę stać na straży prawa i swobód obywatelskich. Gdyby jednak nie zechciał, to wiele by nie mógł nikomu zaszkodzić.

Parlament

Polski parlament ulega degeneracji tak samo jak nasze polityka i system partyjny.

Do zwolenników jednomandatowych okręgów nie dociera, że senat, którzy zawsze był mało przydatny, teraz służy wyłącznie za przedmiot kpin. Likwidacja tej izby „refleksji” jest niezbędna, jak zburzenie Kartaginy. Jedyny pożytek z senatu jest taki, że na jego przykładzie można pokazać, do czego prowadzi większościowy system wyborczy oparty o jednomandatowe okręgi wyborcze.

Jednym z problemów polskiej polityki jest stałe zmniejszanie proporcjonalności systemu wyborczego, poprzez stosowanie metody d'Honta i manipulowanie wielkością okręgów wyborczych. Najlepsze efekty dała chyba jednak ordynacja obowiązująca w 2001 roku. Mandaty dzielono według zmodyfikowanej metody Sainte-Laguë. Najmniejszy okręg wyborczy miał 7 mandatów (Chrzanów), a największy 19 (Warszawa). Wszystkich 460 posłów wybierano w okręgach wyborczych. Po likwidacji senatu można by zwiększyć liczbę posłów np. o 30 przywracając listę krajową, co dałoby premię ugrupowaniom, które przekroczyły 10 procent. Równocześnie należałoby obniżyć próg wyborczy do 4 procent. Otrzymalibyśmy sejm bardziej proporcjonalny, bardziej związany z wyborcami i trochę skazany wypracowywanie kompromisów. A kompromis jest istotą demokracji.

Ostatnim elementem takiej układanki pozostaje Trybunał Konstytucyjny. Niestety wśród jego dokonań

sprzed roku 2017 jest więcej porażek niż korzyści, że wspomnę tylko takie ideologicznie i nie posiadające podstaw prawnych werdykty jak obalenie 50-procentowej stawki podatku PIT, unieważnienie liberalizacji ustawy antyaborcyjnej czy koncepcja ochrony życia od poczęcia.

Ze stawką 50-procentową jest w ogóle ciekawa sprawa ponieważ trybunał zakwestionował tryb jej wprowadzenia, za co odpowiedzialny był rząd Marka Belki przeciwny jej wprowadzeniu. Nie wprowadził jej również rząd PiS i Samoobrony choć mógł to zrobić jesienią 2005 roku, a za jej wprowadzeniem PiS wcześniej głosował. Wtedy nie zrobił tego i sprawa ostatecznie upadła. Bo PiS przecież zawsze był za sprawiedliwością. PO przynajmniej szczerze zawsze była przeciw.

Należałoby więc skończyć z prawotwórczą rolą trybunału i wprowadzić możliwość uchylania przez sejm jego postanowień konstytucyjną większością. Skoro parlament uchwała konstytucję, parlament powinien mieć prawo do jej ostatecznej interpretacji. Możliwość uchylania decyzji trybunału nie jest taka rzadka w Europie, obowiązuje w Grecji, Belgii czy Finlandii. Praworządność tych krajów raczej nie jest kwestionowana. A biorąc pod uwagę poziom kompetencji prawnych, jaki reprezentują aktywni w mediach absolwenci wydziałów prawa, wolę wypracowany w proporcjonalnym parlamencie kompromis niż wiarę w nieomyślność trybunałów.

Do pełnego szczęścia brakowałoby jeszcze tylko wykreślenia z konstytucji zapisów o konkordacie, relikcie religijnego zniewolenia. Wpisać zaś można by Unię Europejską. Zapis ten niczego nie gwarantuje, ale byłby deklaracją na przyszłość. Jeśli Polska ma przyszłość.

Samorząd czy sam rząd

Wszelkie raporty na temat funkcjonowania samorządów zostały odsunięte. Nikt ich nie czyta. Pomijam fakt, że wszystkie miały tę skazę, że bieżącą sprawność zarządzania ceniły sobie najbardziej. Stąd nierównowagę pomiędzy organami jednoosobowymi gminy a kolegiatną radą, którą wprowadził bezpośredni wybór tych pierwszych, proponowały umocnić poprzez zwiększenie kompetencji organów jednoosobowych. To nic dziwnego, skoro po części pisali je samorządowcy, czyli burmistrzowie, prezydenci wójtowie lub ich doradcy.

Dzisiejsza troska PiS o samorządy to ronienie łez przez krokodyla nad przygotowywaną do spożycia przekąską. Centralizacja władzy postępuje za rządów PiS jeszcze szybciej niż za PO. Jeśli już ktoś naprawdę troszczyłby się o samorządy (p.s.: samorząd to wszyscy mieszkańcy terytorium, stąd samorząd terytorialny), to działałby na rzecz zwiększania kontroli mieszkańców nad organami samorządów.

Ordynacja większościowa – okręgi jednomandatowe powinny dotyczyć tylko najmniejszych gmin do 5000 (maksymalnie 10 tys.) mieszkańców. Należałoby się zastanowić nad wielkością okręgów wyborczych tak, by nie mogłyby być mniejsze niż 7-8-mandatowe, co, przy wprowadzeniu bardziej proporcjonalnego sposobu dzielenia mandatów niż metoda dHonta, dałoby

lepszą reprezentatywność wyborów. Mniejsze okręgi w zasadzie utrwalają układ, w którym w radach jednostek samorządowych nie może pojawić się więcej niż 3 ugrupowania, co praktycznie przekreśla możliwość zaistnienia w radach podmiotów innych niż ściśle polityczne.

No i oczywiście znieść bezpośredni wybór wójtów, burmistrzów i prezydentów.

Ciekawe, że na poziomie powiatów i województw to radni wybierają zarządy. Nie słychać o paraliżu tych jednostek. Funkcjonują, realizują swoje zadania. Tak, czasem zmieniają się koalicje i zarządy. Skoro im się udaje, na pewno udałoby się to i gminom, małym i dużym.

W dłuższej perspektywie, którą w Polsce niemal nikt się nie interesuje, bezpośrednie wybory prezydentów, wójtów i burmistrzów szkodzą demokracji i samorządności. Sprzyjają rozwojowi klientyzmu i likwidują nieomal w całości możliwości kontrolowania najważniejszych organów gminny przez obywateli. Jedynym efektywnym narzędziem kontroli staje się referendum gminne, które przecież jest ostatecznym rozstrzygnięciem.

Nasze gminy w większości nie radzą sobie z realizacją powierzonych im zadań ani prowadzeniem polityk sektorowych. Z kolei ich łączenie wydaje się mało prawdopodobne. W tej sytuacji wydaje się celowe przeniesienie większości zadań planistycznych i zarządczych do powiatów, a gminom zostawienie kompetencji na poziomie jednostek pomocniczych większych miast z obowiązkiem zarządzania partycypacyjnego pozostałymi zadaniami.

Powiaty powinny przejąć realizację zarządzania całością usług publicznych, jedynie z wyłączeniem opieki zdrowotnej choć i też nie bez wyjątków. Powiaty miałyby szansę prowadzić ograniczoną politykę gospodarczą wspierając lokalne przedsiębiorstwa.

Władze zarówno centralne jak i wojewódzkie musiałyby zrezygnować z bezpośredniego ingerowania w realizację zadań własnych powiatu, jak również z ustalania wysokości danin zastrzeżonych do kompetencji samorządów, czyli podatków lokalnych i opłat lokalnych. Minister finansów przestałby ustalać wysokości podatków od nieruchomości czy opłat za parkowanie. Władze centralne musiałyby też realnie wyceniać wartość zadań powierzonych (np. edukacji) i waloryzować ich koszt, nie tylko skupiając się na kosztach płacowych.

Samorządy musiałyby otrzymać wzmocnione i wyłączone kompetencje planistyczne. Należy skończyć wydawaniem *Decyzji o Warunkach Zabudowy i Zagospodarowania Terenu*. Samorządy uchwalając (bądź nie) plany miejscowe, decydowałyby o warunkach nowych inwestycji. Nie ma planu, to znaczy, że nie ma inwestycji. Uchwalone plany, do tej pory miejscowe, umożliwiają budowę ponad 80 mln mieszkań, a następne plany są uchwalane. Może wystarczy?

Problemy samorządów narastają również dlatego, że państwo, tj. władze centralne nie realizują swoich konstytucyjnych zadań. Ochrona środowiska, polityka mieszkaniowa, ochrona zdrowia to nie zadania samorządu. Są one jednak zmuszone podejmować działania w tych zakresach, bo to zadania niezmiernie istotne. W ten sposób obywatele mają ogarek, a rząd dalej trzyma świecę w twardym uścisku.

Wszelkie inne majstrowanie przy samorządach służy wyłącznie przejściu pełni władzy, a one same traktowane są jako łup polityczny. Tak stało się właśnie w 2018 roku. Absurdalne wydłużenie kadencji organów samorządów do 5 lat ma jedynie na celu przedłużenie o rok hegemonii politycznej PiS, tam gdzie się jej udało ją zdobyć. Jeśli jeszcze PiS wygra wybory parlamentarne w 2019 r., co jest bardzo prawdopodobne, to wykorzysta wszystkie możliwości prawne, łącznie z „ziobryzacją” egzekwowania prawa – odbierania władzy nieposłusznym wójtom, burmistrzom i prezydentom.

Tak na marginesie dyskusji to wszystkie decyzje dotyczące kształtu samorządu w Polsce (i nie tylko te) zdawały się pomijać analizę funkcjonalną. Takie analizy robione przed reformą, a w zasadzie kompletną reorganizacją samorządów lokalnych, wskazywały, że województw nie powinno być w Polsce więcej niż 8-10.

Ciekawa była też analiza wskazująca na możliwości zachowania podziału kraju na 49 województw i utworzenia ponad nimi 6-8 regionów zdolnych do realizacji celów polityki regionalnej. Ta analiza trafiła też do śmietnika, albowiem jednym z celów reorganizacji struktur samorządowych było... tak, oczywiście, dokończenie dekomunizacji.

Ekonomia

Duży fragment naszej konstytucji poświęcony jest prawom ekonomicznym, ustrojowi ekonomicznemu od określenia w art. 20 Konstytucji, że podstawą ustroju Rzeczypospolitej „jest społeczna gospodarka rynkowa oparta na wolności działalności gospodarczej, własności prywatnej oraz solidarności, dialogu i współpracy partnerów społecznych”. To ta część konstytucja która zawiera fundamentalne zasady działania Rzeczypospolitej. Cóż, projekt fundamentów wygląda nieźle, tyle że w rzeczywistości chyba nie został w ogóle zrealizowany.

W części poświęconej prawom ekonomicznym są z kolei zapisy o tym, że „Władze publiczne prowadzą politykę zmierzającą do pełnego, produktywnego zatrudnienia poprzez realizowanie programów zwalczania bezrobocia, w tym organizowanie i wspieranie poradnictwa i szkolenia zawodowego oraz robót publicznych i prac interwencyjnych”.

Dalej mamy gwarancje zabezpieczenia socjalnego, praw do ochrony zdrowia, edukacji. „Władze publiczne są obowiązane do zwalczania chorób epidemicznych i zapobiegania negatywnym dla zdrowia skutkom degradacji środowiska”(art. 68, ust 4). Osobom niepełnosprawnym należy się pomoc w zabezpieczeniu egzystencji, przysposobieniu do pracy oraz komunikacji społecznej (art. 69). Te zapisy są traktowane zdawkowo, albo pomijane, albo nierespektowane. Tak przy okazji: zniesienie obowiązku szczepień może być uznane za niezgodne z konstytucją. A przynajmniej powinno.

Gwarancje socjalne oraz zapisy o społecznej gospodarce rynkowej nie były chyba przez żaden rząd traktowane poważnie. Dialogiem społecznym zainteresowane były tylko rządy wspierane przez SLD, w latach 2001–2005. Trudno powiedzieć czemu, wspierając przemysł, polskie rządy wspierały realnie głównie duże przedsiębiorstwa, z oczywistych względów należące do kapitału zagranicznego.

Nikomiu nie wpadło do głowy np. wspieranie, czy choćby tylko nie przeszkadzanie sektorowi spółdzielczemu. W zasadzie spółdzielnie, nie licząc słynnej Muszynianki przetrwały niemal wyłącznie w sektorze przetwórstwa mleka oraz jako lokalne niedobitki po Społem. Działa jeszcze bankowość spółdzielcza, ale z klasyczną spółdzielczością, podobnie jak w sektorze mlecznym, coraz mniej ma wspólnego. Jednak to czysto polski kapitał, ludzie i lokalne inicjatywy. Jeśli coś wspierać, to na pewno spółdzielnie, nawet bardziej niż spółki komandytowe.

Jeśli zaś czyta się konstytucję ze zrozumieniem, to jest oczywiste, że nasz system podatkowy różni się całkowicie z konstytucyjnymi zapisami. To system regresywny, w którym obciążenia podatkowe maleją wraz ze wzrostem dochodów. Klin podatkowy jest największy i najbardziej uciążliwy dla osób o niskich dochodach. Podatki majątkowe niemal zlikwidowano, a podatek od nieruchomości jest na istotnym poziomie tylko w przypadku nieruchomości wykorzystywanych na cele komercyjne. Konieczne jest wprowadzenie progresji podatkowej przy jednolitej kwocie wolnej od podatku i przy co najmniej pięciu progach podatkowych oraz wprowadzenie 10-procentowej stawki dla przychodów nie przekraczających 20 000 złotych. Do tego oczywiście trzeba objąć ogólnymi zasadami opodatkowania jednoosobową działalność gospodarczą. Stracą na tym uciekający na kontrakty cywilne członkowie zarządów spółek, ale oni i tak mają się zbyt dobrze.

Kolejne kroki wymagają zwiększenia integracji europejskiej w zakresie wspólnej polityki podatkowej. Należy wdrożyć jednolite zasady opodatkowania w zakresie CIT oraz ujednoczyć stawki podatkowe. Wielkie koncerny zaczną wreszcie płacić podatki, a Unia będzie mogła obejść się bez składek krajów członkowskich. Będzie też miała fundusze na badania naukowe oraz fundusz spójności i wspieranie krajów sąsiednich.

Silna Unia Europejska jest w interesie Polski i mniejszych krajów, które nie są w stanie egzekwować przepisów prawa ani przestrzegania norm wobec międzynarodowych koncernów. Lewica musi przedstawić kompleksową wizję rozwoju UE jako organizmu politycznego ze zintegrowaną polityką gospodarczą, monetarną i fiskalną. Nasza gospodarka jest częścią unijnej, a więc pośrednio światowej gospodarki. Przebąkiwania o niezależności, samodzielności, to groźne bzdury. Prawdziwe wybory dotyczą przyszłości.

Monumentalne plany rządu PiS są nierealistyczne i szkodliwe. Budowa przekopu przez Mierzęję Wiślaną zakończy się wtedy, gdy przybierające wody Bałtyku dotrą w okolice Torunia, który stanie się niechcący portem morskim. To gdzieś za 50 lat.

Konserwatyzm i tradycjonalizm, zwłaszcza w połączeniu z neoliberalizmem gospodarczym nie rozwiążą żadnego z problemów. To powrót do przeszłości. W dodatku przeszłość wyobrażonej. Przeszłość ma nie ma przyszłości.

Jeśli jakaś przyszłość jest dla Polski, to ojczyzna musi być zorganizowana zupełnie inaczej niż dotychczas, bo nie będzie dla nas żadnej przyszłości.

ADAM JAŚKÓW

ADAM BODNAR

MOGĘ MNIEJ NIŻ MOI POPRZEDNICY*

Na funkcję Rzecznika Praw Obywatelskich wybrany zostałem w poprzedniej kadencji parlamentu, we wrześniu 2015 r. większością 2/3 głosów PO, SLD, Twojego Ruchu i kilku posłów PSL, jako kandydat organizacji pozarządowych. Wcześniej pracowałem na Uniwersytecie Warszawskim i w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Potem mieliśmy ważny dla nas wszystkich moment wyborów, które zmieniły wiele w funkcjonowaniu państwa. Wcześniej wydawało się nam oczywiste, że nasze państwo będzie się rozwijało w określonym kierunku, a spierać się będziemy co do szczegółów: czy ma to być kierunek bardziej konserwatywny czy bardziej liberalny, albo socjaldemokratyczny. A tu nagle się okazało, że zmiana rozpoczęta jesienią 2015 roku zmierza w zupełnie inną stronę, łamie ten ustrojowy porządek, a my z roku na rok znajdujemy się jakby w nowej rzeczywistości. Owa zmiana zaczyna też budzić troskę o naszą przyszłość. Także tę w Unii Europejskiej.

Odbieram to jako wielkie zobowiązanie, ale i zaszczyt, że w tych trudnych czasach mogę pełnić funkcję Rzecznika Praw Obywatelskich. Nie tylko strażnika wartości konstytucyjnych, ale i osoby, która w debacie publicznej podejmuje kwestie o zasadniczym znaczeniu dla państwa i jego obywateli, zastanawia, się, gdzie są zagrożenia i jak należy im zapobiegać, wskazuje też na te instytucje państwa, które są niewydolne, dysfunkcyjne dla obywateli bądź ich działania są niezgodne z prawem.

Tamte wybory rozpoczęło, jak to dość zgrabnie nazwał Jarosław Kaczyński jeszcze w 2012 roku po zwycięstwie Wiktora Orbana, „budowanie Budapesztu w Warszawie”. I rzeczywiście cała strategia polityczna nowej władzy często się do tego sprowadza. Chodzi o wprowadzenie wielu zmian ustrojowych, które stopniowo będą ograniczać niezależność kolejnych instytucji demokratycznych i w gruncie rzeczy wyznaczają nową rolę parlamentowi. Aby ta zmiana mogła się udać, wprowadza się mechanizmy zarządzania społeczeństwem za pomocą emocji, strachu, także wsparcia socjalnego i propagandowego.

Pierwszym ruchem było podporządkowanie Trybunału Konstytucyjnego, co zostało w pełni zrealizowane. Oczywiście Trybunał formalnie funkcjonuje, ale znacząco zmniejszyła się liczba spraw, jakimi się zajmuje, a na jego rozstrzygnięcia można liczyć jedynie w sprawach, które są mało znaczące. Zdarzył się jednak pewien wyrok, który był zaskoczeniem dla rządzących – sprawozdawcą był sędzia Kieres, a chodziło o wiek uprawniający kobiety do przejścia na emeryturę. Ale w sprawach zasadniczych można odnieść wrażenie, że „Nowogrodzka” w pełni kontroluje działalność TK. Kierownictwo Trybunału wydaje się postępować tak, aby nie zapadały nieprzewidziane orzeczenia w sprawach budzących zainteresowanie polityczne, albo żeby opóźniać ich bieg i umiejętnie sterować emocjami. Taką sprawą długo rozgrywaną propagandowo jest np. dostępność do legalnej aborcji, mimo że jest ona już praktycznie niemożliwa w kilku rejonach kraju. Władza może więc pokazać swemu sojusznikowi – Kościołowi katolickiemu, jak wiele robi dla zablokowania realizacji ustawy.

Jednak, co jest jeszcze bardziej niebezpieczne, Trybunał może służyć do legalizowania niekonstytu-

* Autoryzowany zapis ze spotkania z Rzecznikiem Praw Obywatelskich w Kuźnicy (15.05.2019 r.).

cyjnych ustaw, które zostały przyjęte przez parlament. Dobrym przykładem jest wyrok w sprawie konstytucyjności trybu powołania Krajowej Rady Sądownictwa. Przedstawiciel rządu może więc pojechać do Luksemburga i przed Trybunałem Sprawiedliwości UE stwierdzić, że nasz Trybunał Konstytucyjny sprawę rozstrzygnął, więc jakim prawem ktoś chce się w to wtrącać? Oczywiście rządzący nie informują, że tę decyzję podjął TK w składzie nieuprawnionym, bo głosowali tzw. „sędziowie dublerzy”, których obecność w Trybunale jest kwestionowana przez ogromną większość prawników.

Momentem granicznym był tu koniec kadencji prezesa TK – prof. Andrzeja Rzeplińskiego. Potem zaczęło się manipulowanie nie tylko składami orzekającymi w poszczególnych sprawach, ale też kierowanie spraw do rozstrzygnięcia wedle politycznych kryteriów. Konsekwencją tego stanu rzeczy są dwojaki. Parlament zdążył przyjąć wiele ustaw, które nigdy nie zostały poddane kontroli ze względu na ich konstytucyjność, a nawet jeśli przez taką procedurę przeszły, to niekorzystny wyrok został koncertowo zignorowany. Chodzi tu m.in. o nowelizację kodeksu karnego w kwestii tzw. „owoców zatrutego drzewa”, czyli dowodów uzyskanych w sposób nielegalny, w tym np. nieuzasadnionej prowokacji (z tym mieliśmy do czynienia w sprawie Andrzeja Leppera), o ustawy antyterrorystyczne, inwigilacyjne, ustawę o służbie cywilnej i dwie ustawy o prokuraturze, przekazujące kontrolę nad nią ministrowi – politykowi.

Już samo wyliczenie tych spraw wskazuje, jak fundamentalnych, ustrojowych spraw zmiany te dotyczą. Także ustawa, która oddała powoływanie władz państwowych spółek radiofonicznych i telewizyjnych w ręce tzw. Rady Mediów Narodowych, została skontrolowana przez Trybunał w grudniu 2016 roku (sędzią sprawozdawcą był prof. Marek Zubik), lecz wyrok nie został nigdy wykonany. Piszę kolejne pisma do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które jest za to odpowiedzialne, ale nikt się tym nie przejmuje. Obsada kierownictw mediów publicznych przez osoby związane z władzą jest dla rządu wygodna i dlatego MKiDN nie widzi potrzeby ingerowania w to. To oczywisty przykład braku respektowania prawa.

W innych przypadkach, dotyczących np. władzy sądowniczej, sprawy zaszły tak daleko, że instytucje, które mają prawo występowania przed Trybunałem Konstytucyjnym uznawały, iż nie ma to większego sensu, skoro sam Trybunał jest, powiedzmy otwarcie, zależny w dużej mierze od władzy politycznej i bez względu na przedstawioną argumentację z góry wiadomo, jakie zapadną w nim wyroki. W takiej sytuacji trzeba szukać innych form nacisku.

Dlaczego jednak mimo wszystko Trybunał jest tak ważny? Nie chodzi tu tylko o bezpieczeństwo obywateli czy o prawa obywatelskie, albo o weryfikowanie różnych ustaw, które mają wpływ na przestrzeganie prawa. Chodzi o rzecz głębszą. Zdaniem dziś rządzących Trybunał Konstytucyjny powinien zajmować się wyjaśnianiem spraw mniejszej wagi, indywidualnych. Trzeba w tym kontekście przypomnieć, jakimi sprawami i z jakim skutkiem TK zajmował się przed „dobrą zmianą”. Sytuacja nie była idealna. Trybunał ma wiele dobrych wyroków dotyczących np. Europejskiego Nakazu Aresztowania, przeludnienia w więzieniach, była nawet sprawa dyskryminacji policjanta – nosiciela AIDS. Ale

zdarzały się wyroki absurdalne, jak ten dotyczący wliczania ocen z nieobowiązkowych lekcji religii/etyki do średniej ocen, wobec którego prof. Łętowska złożyła zdanie odrębne. Dziwny był też peten historycznych i ideologicznych dywagacji wyrok w sprawie przepisów artykułu 135 par. 2 kk dotyczącego „znieważenia prezydenta”, przewidującego drastyczną karę do 3 lat pozbawienia wolności. Trybunał uznał też, że prawidłowy jest artykuł 196 kk. o „obrazie uczuć religijnych”, choć doprawdy zbyt łatwo nim manipulować, jak np. w sprawie Doroty Rabczewskiej. Dziwne, że Trybunał nie zauważył tu zagrożeń dla wolności słowa. Jest to, generalnie, przepis potrzebny, ale zdecydowanie należy go ograniczyć do sytuacji, jakie zdarzają się w świątyniach czy w przestrzeni sakralnej.

Trybunał, generalnie konserwatywny, nie nadążał też za zmianami społecznymi choćby w sferze tzw. umów śmieciowych czy nadinterpretacji „prawa do życia”. Jednak do czasów rządów PiS nie występowały nigdy wątpliwości co do sposobu powoływania sędziów, a jeśli były, to Trybunał sam doskonale sobie z nimi radził. Istotną słabość stanowiło jednak pojawianie się w składzie Trybunału byłych polityków, jak pan Marek Kotlinowski, który traktował tę funkcję politycznie (choć on sam podejmował przynajmniej starania, aby stać się prawdziwym sędzią).

Dziewięcioletnia kadencja i zmieniające się parlamenty sprawiły, że Trybunał Konstytucyjny tworzyła grupa przyzwoitych, choć różniących się między sobą osób, którym nie można było odmówić kompetencji. Nawet zaprzyjaźniony z braćmi Kaczyńskimi od dzieciństwa sędzia Hermeliński, postrzegany jako zwolennik PiS, stał się znakomitym sędzią TK i wybitnym szefem Państwowej Komisji Wyborczej.

Gdy w latach 2011-2013 były w parlamencie procedowane różne ustawy mogące zagrozić prawom czy wolnościom obywatelskim i w trakcie procesu legislacyjnego opozycja, różni eksperci czy organizacje pozarządowe, wreszcie biura legislacyjne i biura analiz sejmowych przedstawiały opinie, że „coś może być niezgodne z konstytucją” i Trybunał może je podważyć, to naprawdę powodowało refleksję, dyskusję, czasami zamawiano dodatkowe ekspertyzy. W każdym razie konstytucja była traktowana poważnie. Oczywiście zdarzało się, że przymykano oko i choć zarzut niekonstytucyjności wydawał się prawdopodobny, rząd robił krok naprzód ze względów politycznych. Tak było np. z ustawą o restrukturyzacji funduszy emerytalnych, jednak co do zasady proces kontroli był oczywisty, a to także powstrzymywało społeczne emocje wokół spraw wątpliwych i oznaczało większą dbałość o jakość prawa. Dziś tej roli Trybunału praktycznie nie ma – hulaj dusza!

Jednakże nie tylko instytucje kontrolne są zmarginalizowane, ale i sam parlament. Tak na poziomie debaty, czego symbolem jest zarządzane przez marszałka Kuchcińskiego ograniczenie wypowiedzi posłów do 30 sekund, jak również na poziomie społecznej dyskusji o tym co w parlamencie będzie się działo i co się dziać powinno – wysłuchiwanie różnych opinii, ważenie argumentów, poszukiwanie kompromisu...

Co gorsza, ważne projekty ustaw o charakterze ustrojowym przedstawia się jako projekty poselskie, gdy powinny być oczywiście projektami rządowymi.

Skutkuje to drastycznym ograniczeniem sejmowej debaty i społecznych konsultacji. Doszliśmy do sytuacji, że od momentu przedstawienia projektu posłom i opinii publicznej do ostatecznego przyjęcia jej przez Senat i uzyskania podpisu prezydenta mijają zaledwie 23 godziny. Tyle zajęła nowelizacja ustawy o IPN, co się zakończyło żenującą rejteradą pod zagranicznymi naciskami i niesławną konferencją prasową premiera Morawieckiego z premierem Netanjahu. Kuriozalnym skutkiem takiego sposobu procedowania są też kilkakrotne nowelizacje z powodu oczywistych błędów uchwalanych w ten sposób ustaw w ciągu kilkunastu tygodni.

Do tego trzeba dodać niespektowanie procedur, regulaminu obrad plenarnych i komisji sejmowych, wymianę ekspertów w Biurze Analiz Sejmowych i wiele innych spraw, które nie wystąpiłyby, gdyby Trybunał Konstytucyjny pełnił swoją funkcję niezależnego strażnika i przynajmniej raz na jakiś czas podjął decyzję o uznaniu jakiejś ustawy za niekonstytucyjną.

Symbolem łamania prawa i regulaminu mogą być sławetne obrady w Sali Kolumnowej. To w niej uchwalono 16 grudnia 2016 roku ustawę budżetową, ustawę represyjną demolującą zaufanie do państwa, a także głośną ustawę o wycince drzew, która spowodowała interwencję Unii Europejskiej – w absurdalnej sytuacji, nie dopuszczając do głosowania opozycji, bez poprawnego liczenia głosów. Całe instrumentarium umożliwiające takie zabiegi zostało jak widać stworzone w 2016 roku, a późniejsze wydarzenia, w tym kryzys dotyczący sądownictwa, były już tylko tego następstwem.

Krajowa Rada Sądownictwa, która składa się z ludzi powołanych nie przez innych sędziów, ale przez parlament, a więc gremium polityczne o wyraźnie określonej przewadze głosów, jest zawieszona w prawach członkostwa Europejskiej Rady Rad Sądownictwa. Dziś prezesi większości sądów zostali wymienieni na ludzi ministra sprawiedliwości, mamy też stworzony cały system pociągania sędziów do odpowiedzialności dyscyplinarnej, w tym rzeczników dyscyplinarnych, którzy powoływani są przez ministra sprawiedliwości. Ostatni skandal z grupą hejterską w Ministerstwie Sprawiedliwości doskonale obrazuje poziom etyczny i polityczne powiązania jej członków.

Szczególną superstrukturą nadzoru i nacisku jest stworzona świeżo Izba Dyscyplinarna w Sądzie Najwyższym. Mamy też powołaną w tym samym co najmniej wątpliwym trybie Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, która może ostatecznie decydować o ważności wyborów. Ocalono trzy dotychczas funkcjonujące Izby SN – Karną, Cywilną i Izbę Pracy oraz I Prezes SN, która odważnie stawia czoła tym zmianom. Taki jest krajobraz po burzy, ale burza trwa, bo toczą się różne postępowania dyscyplinarne wobec niepokornych sędziów; są one na różnym etapie procedowania.

Obecną sytuację nazwałbym „wojną podjazdową”. Obie strony – tak rządowa, jak i ta, którą nazwałbym „konstytucyjną”, mają swoje figury na szachownicy. „Hetmanami” strony konstytucyjnej są Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej i Komisja UE, natomiast „hetmanem” PiS-u jest parlament, bo przez przyjęcie ustaw można wykonywać różne ruchy i szachować przeciwnika. Prezydent jest tu „gońcem”, a minister

sprawiedliwości, powiedzmy, „wieżą” albo dwiema wieżami. Ta wojna będzie trwała do wyborów parlamentarnych, i albo po nich reforma sądownictwa w autorytarnym duchu zostanie dokończona, albo powrócimy do państwa prawa, w którym będzie możliwe odrzucenie już wprowadzonych zmian.

Na czym może polegać „dokończenie” reformy? Na kolejnych postępowaniach dyscyplinarnych mających spacyfikować środowisko sądownicze. Wyobrażam sobie, że będą to działania bardziej niż dziś wysublimowane. W niektórych wypowiedziach przedstawicieli Ministerstwa Sprawiedliwości widać pomysł na zmianę struktury sądów z trójstopniowej na dwustopniową przez przekształcenie sądów rejonowych w powiatowe, a sądów okręgowych i apelacyjnych w wojewódzkie. To oznacza, że każdy z sędziów będzie musiał być ponownie powołany. Co do zasady zadziała automatyzm, bo nikt nie będzie chciał ponownie powoływać wszystkich sędziów na nowo i pojawi się zarzut, że taka „renominacja” budzi wątpliwości, ale jakimś dziwnym trafem pojawi się przepis, że w stosunku do sędziów, wobec których toczą się postępowania dyscyplinarne, decyzje o renominacji podejmuje np. minister albo Krajowa Rada Sądownictwa. Nic łatwiejszego, jak wytoczyć postępowanie sędziemu za jedno czy drugie opóźnienie w wydaniu wyroku, albo o takie czy inne uchybienia formalne, by nie wnikając w słuszność takiego zarzutu zablokować jego nominację i pozbyć się z sądownictwa osób niepokornych – np. Żurka, Tulei, Przymusińskiego, Markiewicza, sędzi Frackowiak, Zabłudowskiej, Barańskiej-Matuszak i wielu innych. To są sędziowie pryncypialni, którzy, podobnie jak w PRL-u prof. Strzembosz, nie poddają się naciskowi władzy. Ich postawa staje się przykładem dla całego środowiska sędziowskiego i niweluje – jeszcze nie wiemy w jakim stopniu – tak zwany efekt mrozący „dobrej zmiany”.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu – „ustawę represyjną” z 16 grudnia 2016 roku, która wiele osób pozbawiła uprawnień emerytalnych. Toczą się w tej sprawie postępowania przed Sądem Okręgowym w Warszawie. Jeden ze składów orzekających sądu zamiast przystąpić do orzekania bezpośrednio na podstawie konstytucji – jak doradzali eksperci, zadał pytanie prawne Trybunałowi Konstytucyjnemu. Zostało ono dobrze napisane i akcentuje wszystkie ważne wątpliwości, tyle że w Trybunale nikt sprawy nie podejmuje. Tymczasem inne składy orzekające też zawiesiły postępowania, czekając na stanowisko TK.

Czy jest to ów „mrozący skutek”, o którym wspominałem? Zapewne, a to, że jeden z byłych funkcjonariuszy SB wygrał sprawę, jeszcze wiosny nie czyni, bo osób, które zostały przez ustawę dotknięte, jest kilkadziesiąt tysięcy. Przypomnijmy, że chodzi o konstytucyjną zasadę ochrony praw nabytych. Ten mrozący skutek to także sytuacje, gdzie sędziowie będą uciekać w formalizm orzeczniczy i stosować różne sztuczki, by daną sprawą się nie zająć, albo maksymalnie opóźnić orzekanie. To ma niewiele wspólnego ze sprawiedliwością.

Jednak jeśli przyjrzymy się orzecznictwu w sprawach, które są oczywistym łamaniem praw człowieka w takich kwestiach jak wolność osobista czy wolność zgromadzeń, sądy orzekają przywoicie i w większości przypadków względy politycznie nie odgrywają roli.

Mam tu na myśli jednoznaczne decyzje dotyczące zakazu marszów równości. Byłem na przykład w sądzie w Lublinie na odczytaniu wyroku w tej sprawie i jestem pod wrażeniem sposobu i kultury prawnej, z jaką tamtejszy sąd rozstrzygał tę kwestię.

Gdy popatrzymy na europejski kontekst kłopotów z sądownictwem, to okaże się, że Unia Europejska ma jednak zęby – nie jest to tylko wspólnota oparta na miłych dla naszej kieszeni transferach budżetowych, ale że „wartości europejskie”, w tym zasada praworządności, mogą mieć konkretne znaczenie prawne. Niedawno ukazała się książka mojego zastępcy Macieja Taborowskiego, wybitnego specjalisty z zakresu prawa europejskiego, na temat wszystkich procedur kontroli samorządności. Analizował procedurę zawartą w siódmym traktacie, czyli procedurę polityczną, procedurę z artykułu 258 TFUE, czyli tzw. procedurę „przeciw-naruszeniową”, kiedy w razie naruszenia traktatu Komisja Europejska wszczyna postępowania, przeanalizował pytania prejudycjalne zadane przez nasz sąd i wreszcie postępowania związane z Europejskim Nakazem Aresztowania. W tej pracy sformułował tezę, że obserwujemy swego rodzaju „przebudzenie się ochrony praworządności”, przy czym słowo „przebudzenie” jest bardzo istotne, bo Komisja Europejska już wcześniej prowadziła procedury z artykułu 258 TFUE, ale ich nie stosowała, jak w przypadku reformy sądownictwa na Węgrzech.

Jednak w 2018 roku Komisja zareagowała inaczej. Kiedy do Trybunału trafiła sprawa z powództwa Stowarzyszenia Sędziów Portugalskich, skarżących się na naruszenie ich niezawisłości poprzez obniżenie im wynagrodzenia zagwarantowanego zapisem konstytucyjnym jako „godne”, Trybunał odpowiedział, że tym razem „naruszenia niezawisłości nie ma”, bo w Portugalii we wszystkich instytucjach zależnych od budżetu pensje obniżono, ale instytucjom wspólnotowym wolno badać przepisy krajowe dotyczące sądownictwa „co do jego niezawisłości”, ponieważ od funkcjonowania sądownictwa zależy tzw. „efektywność ochrony prawnej”, a to jest istotnym obowiązkiem także Unii Europejskiej. Artykuł 19 Traktatu daje więc instytucjom Unii prawo kontrolowania prawodawstwa krajowego.

To orzeczenie stworzyło przestrzeń dla ingerencji w polskie sprawy i gdy trzeba się było zająć skróceniem wieku emerytalnego Pierwszej Prezes i innych sędziów Sądu Najwyższego, Trybunał Sprawiedliwości wydał jedno z najważniejszych postanowień od czasu wejścia Polski do UE – o przywróceniu na stanowisko I Prezes SN i sędziów wysłanych na wcześniejszą emeryturę. Obecnie toczy się wiele innych postępowań, m.in. dotyczących regulacji dyscyplinarnych, będzie też dokonana ocena Krajowej Rady Sądownictwa i całego procesu legislacyjnego, w jakim została ukształtowana. Jest więc szansa, że nawet przy niekorzystnym obrocie spraw politycznych zostaną zachowane w Polsce przynajmniej szczytki niezależnego wymiaru sprawiedliwości, które w połączeniu z siłą charakteru poszczególnych sędziów spowodują, że „trzecia władza” się obroni. Tu poruszam się jednak bardziej w sferze nadziei niż gwarancji.

Gdy w świetle przepisów spojrzymy np. na prowadzone wobec sędziów postępowania dyscyplinarne, wszystko wygląda przyzwoicie. Jest rzecznik dyscy-

plinary powoływany przez Ministra Sprawiedliwości, jest Sąd Dyscyplinarny składający się z sędziów i Izba Dyscyplinarna SN, do której jednak powołano najróżniejsze postacie z „czynnikiem społecznym” – ławnikami włącznie. Niezmiernie ważna dla praworządności w Polsce jest pozycja prokuratora, dziś połączonej w jedno z Ministerstwem Sprawiedliwości przez fakt, że minister jest jednocześnie prokuratorem generalnym i ma dziś mnóstwo środków, za pomocą których może wpływać na bieg poszczególnych postępowań. Dokołało się ścisłe, hierarchiczne podporządkowanie prokuratorów. Można to osiągnąć poprzez zdegradowanie prokuratora, jego delegowanie „ze względu na potrzeby służby” lub postępowanie dyscyplinarne. Mamy więc do czynienia z czymś, co profesor Sadurski określił mianem „legalizmu dyskryminacyjnego”. To oznacza, że w pewnych sytuacjach organy państwa, w tym także media publiczne, mają być niezwykle aktywne, gdy chodzi o obronę „swoich” i atakowanie tych, którzy są „wrogami” rządzących lub w innych sytuacjach mają wykazywać zadziwiająco bierność. Z taką sytuacją mamy do czynienia w przypadku „dwóch wież”, gdy prokuratura nie próbuje nawet przesłuchać pośła Jarosława Kaczyńskiego i nie może się od miesięcy zdecydować na rozpoczęcie albo odmowę podjęcia postępowania z doniesienia austriackiego architekta. Innym przykładem jest przeciąganie o kolejne miesiące sprawy wieszania wizerunków opozycyjnych europosłów na szubienicach. Można wskazać kilkanaście podobnych przykładów, które w naszym biurze staramy się dokumentować. Alarmujemy, dopingujemy prokuraturę w takich sprawach – najczęściej z zerowym efektem.

A przecież podejmujemy większość spraw całkowicie „apolitycznych”; niektóre z nich dopiero w wyniku zachowań rządzących stają się „polityczne”. W każdej z nich, jak śmierć Igora Stachowiaka na komisariacie policji czy sprawa Władysława Frasyniuka z błałego powodu wyprowadzonego z domu w kajdankach zapiętych z tyłu, czy kobiet skopanych na Marszu Niepodległości – interweniowałem, po części skutecznie.

Polityka władzy wobec sądów i całej sądowej procedury to jednak nie tylko efekt zmian instytucjonalnych, ale także rezultat zachodzących głębiej procesów. W skali kraju mamy do czynienia z bardzo dużymi transferami w sferę socjalną, powrotem do starych zasad dotyczących wieku emerytalnego, działa też swista magia wielkich liczb. Te ukłony nie są adresowane do poszczególnych osób, ale do wielkich grup społecznych po to, żeby uzyskać efekty w szerokiej skali. Póki mamy ciągły wzrost gospodarczy i nikt bezrobocie, jest niezmiernie trudno – przy niskim poziomie świadomości prawnej obywateli – przekonać ich, że te zmiany w istocie zagrażają każdej jednostce.

Grupą najbardziej zagrożoną ustawą represyjną z 16 grudnia 2016 r. są kobiety, wdowy po funkcjonariuszach, którzy mimo pozytywnej weryfikacji zostali objęci represjami, albo te, które pracowały w różnych instytucjach formalnie podlegających MSW, jak np. biuro zajmujące się systemem PESEL. Dziś boleśnie odczuwają niesprawiedliwość, która je spotkała. Podobnie wygląda sytuacja osób z niepełnosprawnością, które mimo wydanego przed laty korzystnego wyroku Trybunału Konstytucyjnego żyją w fatalnej sytuacji. Moglibyśmy wymieniać tu liczne grupy, jednak one nie

stanowią znaczącego procentu wyborców, ani nie są w stanie wywołać skutecznego społecznie sprzeciwu. Tu mamy przykład nauczycieli, bardzo licznej i teoretycznie wpływowej grupy zawodowej, której protest został zignorowany także z powodu stanowiska części nauczycieli zrzeszonych w raczej popierającej rząd Solidarności.

Ważną umiejętnością PiS jest też „zarządzanie strachem” – wskazywanie, kto jest zły lub zasługuje na napiętnowanie w danym momencie. Najczęściej okazuje się, że albo to są byty nieistniejące realnie w Polsce – uchodźcy, albo grupy nieliczne i tak narażone na krytyczne oceny – lekarze czy geje. Tu można przywołać też wrogów wskazanych z nazwiska, będących obiektem ataku, a przy tym dających poczucie siły i bezkarności atakującym. To „zarządzanie strachem” jest istotne, bo może odstraszać wiele osób od angażowania się w życie społeczne i skłonić je do zamknięcia się w kręgu rodziny czy w sferze politycznie neutralnej. Niekiedy ludzie boją się nawet zaangażowania w sieci, nie mówiąc o obecności na demonstracjach.

Często jeżdżę na spotkania regionalne. Jako rzecznik odwiedziłem już 186 miast i gdy w niektórych województwach, np. na Ścianie Wschodniej, chcę się spotkać z młodzieżą szkolną, coraz częściej spotykam się z odmową albo wykrętnymi tłumaczeniami. Jeszcze w 2016 roku problemów z tym nie było i nie wynika to z jakiejś instrukcji, ale ze strachu przed komplikowaniem sobie życia.

Zresztą wiele antysądowych akcji PiS-u trafia na podatny grunt, bo nasze sądownictwo rzeczywiście nie działało najlepiej. I w sprawach karnych, i w cywilnych postępowania toczyły się latami, a w sprawach cywilnych zadowolona z wyroku może być tylko jedna ze stron. W dodatku związek sądów ze społeczeństwem od lat ulegał osłabieniu. Z jednej strony sprzyjał temu fakt, że prawo, jak wiele innych dziedzin, stało się, zresztą także z winy legislatorów, wiedzą coraz bardziej ekskluzywną i wymagającą wieloletniego doświadczenia, a także dlatego, że coraz wyraźniej eliminowany był udział ławników w procesach sądowych. Nie było też rzeczowej dyskusji na temat pomysłu powołania sędziów pokoju. To wszystko, wraz ze wspomnianym niskim poziomem świadomości prawnej, stworzyło podatny grunt dla działań politycznych ograniczających niezależność sądownictwa i wzmacniających jego polityczne podporządkowanie.

Jest taka globalna organizacja – World Justice Project, która monitoruje poziom rządów prawa praktycznie we wszystkich państwach na świecie i co roku przygotowuje raport w tej sprawie. Ranking składa się z trzydziestu kilku czynników, które zdaniem tej instytucji mają kluczowe znaczenie i w jego przygotowaniu uczestniczy kilkudziesięciu korespondentów z każdego kraju. Dziś na pierwszym miejscu jest Dania, drugim – Norwegia, trzecim – Szwecja, potem Finlandia, a dalej są stabilne demokracje, jak Holandia i Niemcy. Polska znalazła się na 28. miejscu na świecie, a więc teoretycznie wynik nie jest zły, choć w istocie to jeden z najgorszych wyników w Unii Europejskiej, znacznie poniżej naszych oczekiwań. Nie to jest jednak najbardziej niepokojące, a fakt, że Węgry są na miejscu 57 i spadek dotyczy właśnie ostatnich lat, gdy pogłębiający się kryzys państwa prawnego i dominująca coraz

bardziej władza polityczna powodują, że kolejne zabezpieczenia demokracji są rozmontowywane. A my szybko zmierzamy właśnie w stronę wzorców węgierskich.

Ograniczeniu ulega przestrzeń wolnej debaty, media rzekomo publiczne dawno taką platformą już nie są i nikt z nas nie nadąża ze śledzeniem wydarzeń takich, jak na przykład kiedyś premie dla ministrów pani premier Szydło, które były przedmiotem skandalu, a dziś mijają bez echa. Co gorsza – gdy nawet mój urząd zwróci na coś uwagę, gdy podejmie kroki wyjaśniające, i po jakimś czasie sprawdzamy, czy te kroki wywołały efekt, okazuje się często, że znajdujemy się już w innym miejscu społecznej debaty, że podjęte kwestie nikogo nie interesują, bo są nowe skandale, albo zacierają je inne problemy. Tak dzieje się na przykład ze skandalem „dwóch wież”, który swoimi rozmiarami wykracza daleko poza nagrania o „ośmiorniczkach” przypominanych ciągle przez rządową propagandę, a to one w jakiejś mierze przyczyniły się do wyborczej klęski PO.

Na razie instytucja Rzecznika Praw Obywatelskich jest bezpiecznikiem nienaruszonym, ale moja rola, jak widać, ciągle jest redukowana. Mogę mniej niż moi poprzednicy. Także z powodu degradacji Trybunału Konstytucyjnego. Tym niemniej wciąż wiele mogę. Warto jednak zwrócić uwagę, że moja kadencja powoli się kończy, tak jak się skończyła kadencja prezesa Najwyższej Izby Kontroli.

Od grupy niemieckich przedsiębiorców otrzymałem niedawno książkę pod tytułem *Tak umierają demokracje*. Autorzy: Steven Levitsky i Daniel Ziblatt sformułowali w niej teorię „konkurencyjnego”, czy „plebiscytarnego” autorytaryzmu. Twierdzą, że jest coraz więcej państw, które wyglądają jak demokracje, mają wszystkie mechanizmy i instytucje dla demokracji właściwe, sądy, opozycję, rzeczników od tego i owego, media, natomiast istnieje tam „nierówne pole gry politycznej” przypominające grę w piłkę nożną na boisku ustawionym pod górkę, przy czym o kierunku gry decyduje strona rządowa.

Jednym z mechanizmów jest np. wykorzystywanie środków publicznych do realizowania celów politycznych w sposób dyskryminujący konkurentów. Gdy spoglądamy na wiele działań mediów publicznych, Polskiej Fundacji Narodowej, czy na pieniądze wykładane na różne propagandowe imprezy przez przedsiębiorstwa państwowe, widać znakomicie, jak taka ocena pasuje do naszej sytuacji. Zresztą już w II Rzeczypospolitej za wydatkowanie budżetowych pieniędzy na kampanię wyborczą postawiono zarzuty ministrowi skarbu Czechowiczowi i skończyło się tak, jakby skończyło się dziś – niczym! Tamte wzorce objawiają się też jako mechanizmy szykanowania opozycji. Nie muszą to być aresztowania ani procesy brzeskie – wystarczy utrudnianie codziennego życia, obcinanie wynagrodzeń, postępowania dyscyplinarne, internetowy hejt. I nie musi to dotyczyć tylko aktywnej opozycji, wystarczy, że ktoś ma inny pogląd na rzeczywistość niż rządca.

Misja OBWE, która nadzorowała ostatnie wybory na Węgrzech, stwierdziła, że same wybory odbywały się prawidłowo, natomiast zupełnie nieakceptowalna była sytuacja wyborcy poprzedzająca. Czy już w tym miejscu jesteśmy?

ADAM BODNAR

MACIEJ GDULA

LEWICOWE „TAK”*

Dlaczego startuję w Krakowie?

Jeszcze stosunkowo niedawno byłem bardzo aktywnym członkiem zespołu „Krytyki Politycznej”. Mieliśmy oddział w Krakowie i przyjeżdżałem tu często z racji organizacji różnych przedsięwzięć. Obecnie w związku z kampanią wyborczą też często goszczę w Małopolsce. M.in. dzięki kontaktom z „Kuźnicą” łączę mnie z Krakowem coraz więcej, mam ponadto przyjaciół na krakowskich uczelniach. Poza wszystkim Kraków to miasto akademickie i zaproponowanie na lidera kogoś z akademickim zapleczem to uwzględnienie lokalnej specyfiki.

Zacząłem się w Miastku

W 2017 roku zainicjowałem badania w małym mieście w centralnej Polsce, gdzie partia Kaczyńskiego osiągała dobre wyniki. Analizując dane z badań poszukiwałem interpretacji, która pozwoliłaby lepiej zrozumieć źródła popularności Prawa i Sprawiedliwości. Raport *Dobra zmiana w Miastku* (napisany przy współpracy Katarzyny Dębskiej i Kamila Trepki) przynosił socjologiczną analizę więzi między wyborcami PiS a ich partią. W książce *Nowy autorytaryzm* przedstawiałem polityczną diagnozę dzisiejszej sytuacji i formułowałem propozycję lewicowej odpowiedzi na dzisiejsze wyzwania.

Dotąd sięgano głównie do teorii populizmu. Na tej podstawie sądzono, że istnieją konkretne interesy, które nie są reprezentowane przez istniejące elity. PiS miał skutecznie je reprezentować i dlatego udało mu się zdobyć władzę i utrzymywać poparcie po wyborach. W tej sytuacji lewicowa odpowiedź na rządzącego Kaczyńskiego zakładała, że trzeba trafić do tych ludzi i reprezentować lepiej ich interesy – w domyśle głównie interesy ekonomiczne. W Miastku zobaczyliśmy (wynikało to z analiz wywiadów jakościowych dotyczących bieżącej polityki, jak i z doświadczenia biograficznego badanych), że nie tylko ludzie, którym źle się wiedzie, głosują na PiS. Są i tacy, którym powodzi się całkiem przyzwoicie, ale ich przywiązanie do PiS ma jakieś inne źródła. Okazało się, że elektorat PiS bynajmniej nie jest homogeniczny i osoby niezadowolone nie stanowią tu dominanty. Trzeba było to uwzględnić w analizach, a także pokazać, w jaki sposób PiS organizuje ludzi. Tu najważniejsze ustalenie jest takie, że partia ta ludziom, którzy ją popierają, daje poczucie siły, poczucie sprawstwa! Wreszcie ktoś rządzi tak, że inni nas słuchają.



Fot. Andrzej Głuc

Wreszcie ktoś rządzi tak, że to my mamy poczucie, iż się z nami władza liczy i dba o nasze interesy.

Gdy popatrzymy na bieg wydarzeń uruchamianych przez Kaczyńskiego, zobaczymy pewną prawidłowość. Kolejne grupy i środowiska wskazywane są jako „obce”, stanowiące zagrożenie dla wspólnoty narodowej, dla naszej tożsamości. Kaczyński to robi bardzo konsekwentnie, a 500+ jest tylko jednym z elementów jego rządów. Nie możemy widzieć jedynie konkretnej oferty PiS, a pomijając całą filozofii władzy realizowanej przez tę partię.

Hegemonia konkretów

Tracimy jednak ten pełny obraz, dając się zdominować przez „hegemonię konkretów”. Polityka koncentruje się wokół kolejnych „piątek”, „szóstek” czy „hat tricków”. Istnieje też nacisk, aby prezentować te konkrety równoległe. Jeśli Kaczyński zaproponował podniesienie płacy minimalnej, to my też powinniśmy to zrobić, choć pomysł był już zgłaszany przez Wiosnę podczas kampanii do Parlamentu Europejskiego. Ciągłe więc myślimy o czymś, co by nam pozwoliło przelicytować Kaczyńskiego, a ja jestem coraz mniej przekonany do takiego sposobu uprawiania polityki. Być może wyjściem dla lewicy byłby powrót do wizji całościowego projektu. Jeśli chcemy budować inną Polskę, to musimy wskazywać, że odbudowanie edukacji wymaga współpracy wszystkich stron tego procesu, a nie tylko deklaracji, że zlikwidujemy w szkołach drugą zmianę w podstawówkach w ciągu dwóch miesięcy po wygranych wyborach. Oczywiście, trzeba do tego dążyć, ale znacznie ważniejszą sprawą jest zmiana podstawy programowej, metod uczenia dzieci, żeby nie musiały wiedzy wkuwać, tylko umieć dostrze-

* Dr hab. Maciej Gdula – socjolog i polityk związany z Wiosną. W wyborach do Sejmu lider listy lewicowej w Krakowie. Otrzymał 35 279 głosów i mandat poselski. Tekst jest autoryzowanym zapisem wypowiedzi na spotkaniu w „Kuźnicy”, w dniu 13 września 2019 r.

gać i rozwiązywać problemy. Musimy dążyć do reformy szkolnictwa, wykorzystując energię i wiedzę nauczycieli.

Opozycyjność lewicy powinna polegać na tym, żeby nie godzić się na „hegemonię konkretną”. Obietnice są potrzebne, ale trzeba czegoś więcej i ja bym właśnie na to stawiał. Polityka to zresztą nie tylko umiejętność mobilizacji zwolenników, ale też demobilizacji przeciwnika. Po to podjąłem badania i pisałem tę książkę, aby pokazać, na czym polega system rządów PiS i co należy robić, aby stało się możliwe odsunięcie Kaczyńskiego od władzy w ramach demokratycznych procedur. Możliwe będzie pozyskanie i zorganizowanie zwolenników, jeśli zaproponujemy inną wizję sposobu rządzenia, inną filozofię władzy. Gdy pracowaliśmy nad strategią lewicy, mieliśmy świadomość, że Kaczyńskiego nie można pokonać mówiąc tylko, że jest on zagrożeniem. Musimy przeciwstawić mu coś pozytywnego. Nazwałem to w książce „lewicowym TAK”. Musimy wskazać, co nas czeka po Kaczyńskim i że winien to być inny świat, lepszy, czyli zmieniona Polska.

W moim przekonaniu obecny program lewicy jest ważną propozycją, lepszą niż programy innych opozycyjnych formacji. Powrót do świata poprzedzającego doświadczenie Polski z PiS byłby powrotem do świata konkurencji, gdzie każdy sam dba o siebie. Program PiS to wizja karnych szeregów z Jarosławem Kaczyńskim jako naczelnikiem wyznaczającym cel, a program lewicy mówi, że musimy wspólnie zadbać o Polskę. Jednym z najważniejszych motywów przewodnich programu jest to, że stawiamy na współpracę, dzięki której porozumieliśmy się i przyjęliśmy wspólną listę – SLD, Wiosny i Razem. To jest naprawdę duże osiągnięcie. Wierzyłem, że to się uda i jestem z tego niezmiernie zadowolony. A jeśli udało się zbudować współpracę między trzema partiami, to się uda także zbudować w Polsce współpracę na możliwie najszerszych polach.

Dziel i rządź

Kaczyński rządzi, dzieląc ludzi na moralnych i niemoralnych, na normalnych i nienormalnych, na lepszy i gorszy sort. Jest rzeczywiście osobą, która wyznacza kierunek partii i sama ostatecznie podejmuje decyzje, choć nie zawsze z najlepszym skutkiem. Obrazuje to jedna z plotek. Jakies gremium zwołane przez Kaczyńskiego rozmawiało o problemach budownictwa. W pewnym momencie prezes wyszedł, zamknął się na godzinę, wrócił i przyniósł naszkicowany na kartce program mieszkaniowy. W PiS wiara w jego zdolności i intuicję jest bardzo duża. Dziś wierzą, że Kaczyński ma rację idąc na konfrontację z różnymi grupami społecznymi. Tak było na przykład z nauczycielami. Kaczyńskiemu zależało, by przełamując strajk pokazać swoją siłę i że to od niego zależy, czy protest będzie trwał czy nie.

Utrzymanie władzy w atmosferze nienawiści jest możliwe, ale nie da się pewnych spraw załatwić dzieląc społeczeństwo. Nie da się zbudować dobrej szkoły, dzieląc nauczycieli i rodziców. Protest nauczycieli złamano, a środowisko podzieliło się wobec strajku. To musi wpływać na atmosferę w szkole. Wszędzie tam, gdzie potrzeba współpracy, uwzględnienia autonomii pewnych grup, PiS zawodzi. W ochronie zdrowia cztery lata zostały zmarnowane, a system jest bardziej niewydolny niż był. Nie podjęto we właściwy sposób kwestii ekologii, a nawet w pewnych dziedzinach widać wyraź-

ny regres – choćby w sprawie energetyki wiatrowej. PiS zaważył sprawę dotacji z Unii Europejskiej na wymianę pieców i straciliśmy 35 mld. złotych na program czystego powietrza. Stało się tak, ponieważ Kaczyński nie chciał oddać do realizacji wspomnianego programu samorządom! To najlepiej obrazuje patologię tego systemu.

Jaka jest alternatywa?

Zatem rodzi się pytanie, czy mamy jakąś alternatywę wobec sposobu organizowania życia społecznego przez PiS? W moim przekonaniu mamy. Po pierwsze dlatego, że kolejne posunięcia obozu władzy wywoływały wyraźne protesty społeczne, co świadczy o tym, że nie działa on w imieniu przeważającej większości. Pierwszy był Trybunał Konstytucyjny, potem Czarny Protest, były sądy, były protesty przeciw zawłaszczaniu mediów publicznych. Ludzie spostrzegli, że nie są sami wobec dezaprobaty dla „dobrej zmiany” i to zbudowało znaczący kapitał dla opozycji. Bez tego, być może, znaleźlibyśmy się już w sytuacji podobnej do tej jaką mamy na Węgrzech.

Piszę w książce, że współczesna mobilizacja społeczeństw ma w sobie bardzo silne negatywne odniesienia do działań liderów. Źródłem protestów jest więc sprzeciw wobec czegoś, a najlepiej wobec kogoś. Ludzie się organizują szybko, masowo, jednak te odruchy protestów nie instytucjonalizują się w ruch społeczny dawnego typu, jak np. ruch robotniczy czy kontrkultura lat 70. Czy mamy zatem alternatywę dla mobilizowania swoich zwolenników i budowania, jak to robi Kaczyński, poczucia dumy na siłę? Rodzi się pytanie czy my, w Polsce, w ogóle umiemy się organizować inaczej? W moim przekonaniu drogą wyjścia jest mówienie o nadziei na zmianę, że wspólnie można pewne problemy rozwiązać, na przykład uporać się z kryzysem klimatycznym. Musimy więc mówić nie o strachu, a o nadziei, bo lewica nie może budować na strachu, bo wówczas jest nieautentyczna, rozproszona, łatwa do zmarginalizowania!

Polska oparta na współpracy to również będzie inna Polska niż ta, jaką nam zafundowała Platforma Obywatelska. Nie ma współpracy, gdy mówi się, że problemy ekologiczne są wymyślone albo wyolbrzymione, a stosunek do mniejszości nie jest kwestią palącą. Rządy PO odwoływały się do cierpliwości obywateli. Do tego już nie ma powrotu także dlatego, że wizja Polski zbudowanej na obraz i podobieństwo Zachodu nie jest Arkadią. Mamy te same co ów Zachód problemy z jakością usług publicznych, z dostępnością mieszkań, z katastrofą klimatyczną. I nawet jeśli u nas występują w innej skali, to są wspólne.

Jednym z nich jest płaca minimalna, która, zgodnie z bardzo optymistycznymi zapowiedziami PiS-u, ma osiągnąć w ciągu kilku lat poziom 4 tysięcy złotych. Budzi to niepokój nie tylko ekspertów, bo taka „szybka ścieżka” jest niebezpieczna. My postulowaliśmy wzrost płacy minimalnej w skali do zaakceptowania przez przedsiębiorców. Jednak budowanie strachu przed pomysłami Kaczyńskiego nie zapewni opozycji poparcia wyborców. Pamiętamy, że gdy PiS wprowadzał program 500+, powszechne było przewidywanie, że program ów zniszczy budżet i Kaczyński puści nas z torbami. Nic takiego się nie stało. Jestem zdania, że straszenie przyszłymi konsekwencjami nie jest rozsądne, bo sugeruje, że po ewentualnym zwycięstwie dzisiejsza opozycja z tego programu się wycofa.

Po lewej stronie sceny politycznej nie tylko ja nie jestem krytykiem 500+. Przeciwnie, ja jestem nawet jego zdecydowanym zwolennikiem i bronię też jego uniwersalnego, socjaldemokratycznego charakteru. Akceptując transfery społeczne nie możemy jako lewica dać się zakrzyczyć PiS-owi, że to oni zrealizowali lewicowe postulaty i nie ma dla nas miejsca! Jest na odwrót, bo wszystko co wiąże się z jakością życia, z usługami publicznymi, co dotyka podstawowych potrzeb człowieka, leży odłogiem. To właśnie zadanie dla nas, dla lewicy. Kaczyński tego nie zafatwi, bo to nie mieści się w jego sposobie sprawowania władzy.

PiS stawiając na transfery społeczne zaniedbał bardzo poważnie kwestię usług publicznych. Brakuje nam nauczycieli, w samej Małopolsce jest 400 ofert pracy, a w skali Polski 11 tysięcy. To realne braki, które przekładają się na to, że dzieci nie mają informatyki, angielskiego... Tak samo sytuacja wygląda w systemie ochrony zdrowia, zatem pokazywanie tych zagrożeń może przynieść lewicy lepsze skutki niż eksponowanie zagrożeń związanych z niebezpieczeństwem podnoszenia płacy minimalnej. Usługi publiczne są ważne, bo dzięki nim nawet osoby, które mało zarabiają, mają zapewniony dostęp do ochrony zdrowia, w tym do wysoko wyspecjalizowanych, drogich procedur medycznych. O taką socjaldemokratyczną wizję świata warto walczyć.

Stare i nowe elity

To że PiS na wroga wybiera często elity, rodzi pytanie o ich miejsce w życiu społecznym. Na elity PiS-owskie ludzie patrzą jak na „naszych”, którzy są lepsi od poprzednich elit, bo tamci też kradli, ale się nie dzielili. Trudno zresztą nie przyznać temu rozumowaniu pewnej racji, choć oczywiście po jakimś czasie elity PiS-owskie, ze względu choćby na swój nepotyzm, staną się dla ludzi nieakceptowane. Pytanie tylko, czy chcemy tak długo czekać. Ja raczej sądzę, że trzeba redefiniować myślenie o elitach. Dotąd istniało przekonanie, że samo pojęcie elity oznacza wywyższanie się, separowanie się od tych gorszych – niedokształconych, leniwych, nieudaczników...

Tymczasem obecność w elicie to także pewien rodzaj zobowiązania, które wprawdzie wynika z faktu zajmowania wyższych stanowisk, ale jest zobowiązaniem wobec całej wspólnoty. To dotyczy elit kulturalnych, artystycznych czy naukowych, a także przedsiębiorców. Elity akademickie muszą myśleć o wspólnocie, która ich działalność wspiera. Tego typu więź była systematycznie kruszona przez kolejne reformy wyższej edukacji. I Platforma Obywatelska, i PiS (Jarosław Gowin był w PO i jest praktycznie w PiS) wprowadzając zmiany w systemie podważają te zobowiązania wobec wspólnoty. Naukowcy mają pisać artykuły po angielsku dla zamkniętych kręgów międzynarodowych adresatów. Dla mnie to jest nie do zaakceptowania. Tego typu elity wydają mi się zbędne, a ponadto mogą być łatwym i poręcznym celem ataku. W ten sposób ludzie mogą wyładować frustrację.

Odpowiedzialność ciąży też na elitach politycznych. Politycy muszą łączyć techniczną sprawność z wymiarem moralnym. Polityka jest niezwykle wymagająca w przypadku komunikacji, bo trzeba bardzo szybko dotrzeć do wielkiej liczby ludzi i powiedzieć im często coś bardzo trudnego bardzo prostym językiem. Politycy jednocześnie wzmacniają, osłabiają, a także

tworzą określone sposoby odnoszenia się ludzi do siebie, definiując etyczny charakter naszej wspólnoty. To zdecydowanie wykracza poza proste administrowanie i technokratyczną sprawność. PiS i PO zdecydowanie za bardzo bazują na strachu, a poczucie własnej wartości wyborców kształtują na pogardzie i poniżeniu przeciwników. Lewicowi politycy i polityczki powinny wzmacniać szacunek dla różnorodności, łączyć ludzi, mobilizować ich do wspólnego zmierzania się z wyzwaniem współczesności.

Geneza i skutki „dobrej zmiany”

Rzeczą karygodną jest zdemolowanie mediów publicznych. Kiedyś to one wyznaczały standardy, określały, co uchodzi, co jest akceptowalne. Dziś trudno mówić o czymś, co nazywano mainstreamem. Media są podzielone na rządowe i opozycyjne, przy czym te drugie mają raczej charakter liberalny niż lewicowy. W tej sytuacji trudno mówić o jednolitej opinii publicznej, która by przez media była reprezentowana. Dało się to zauważyć w ciągu kilku ostatnich lat, choć z chwilą przejęcia mediów publicznych przez PiS liderem komunikacji społecznej powoli staje się internet.

Mówi się, że PO przygotowała grunt pod rządy PiS, ponieważ sama promowała pewne rozwiązania, które nie miały charakteru demokratycznego. I rzeczywiście, reforma nauki minister Kudryckiej kładła podwaliny pod reformę Gowina, ograniczając samorządność uczelni, z czym mamy de facto dziś do czynienia.

Nie można zapominać, jak wyglądała kampania wyborcza PiS-u w 2015 roku i pod jakimi hasłami przejmowano władzę. To nie było rozliczanie Platformy, ani dociskanie śruby czy szarpanie cugłami. „Dobra zmiana” to miało być lepsze PO. Sukces Dudy to był sukces kogoś, kto pokazuje Polskę silną, dumną i nowoczesną, kto jeździ lepiej na nartach niż Komorowski. Natomiast nie zapominano likwidacji Trybunału Konstytucyjnego. Kampania wyborcza przebiegała pod wpływem kryzysu uchodźczego wykorzystanego do cna i to zapowiadało rządy PiS, które polegają na mobilizowaniu się, budowaniu siły przeciwko słabym. Jednak duża część tamtej kampanii była kontynuacją kampanii prezydenckiej, zniknęła obietnica budowania IV RP, a Szydło została kolejnym Dudą. Nowy ład zaczęto tworzyć dopiero po wyborach i wielu zwolenników PiS było zdziwionych tym faktem, stąd mamy całą grupę PiS-owskich dysydentów, którzy bardzo krytykują nowy porządek wprowadzany przez Kaczyńskiego, bo na innego Kaczyńskiego stawali w 2015 roku.

Często słyszy się, że ludzie są zmanipulowani i właśnie taki zabieg stał się użytecznym narzędziem polityki. Moim zdaniem rzecz ma się inaczej – do ludzi trzeba dotrzeć, jakoś ich pozyskać, coś w nich uruchościć. Nigdy nie obrażałbym się na ludzi, że mało wiedzą. Wolę spojrzeć na siebie – czy jestem w stanie wyjaśnić im, na czym polega problem z rządami Kaczyńskiego, dlaczego nie podjęto ważnych kwestii społecznych i jak inaczej można Polskę urządzić. To jest moja rola i zadanie niezwykle wymagające, z którego zostaną rozliczeni.

Jakie podatki?

W programie, z którym lewica zmierza do wyborów, nie ma radykalnych zmian systemu podatkowego,

bo dziś jest to podatek progresywny, choć zapewne w sposób niedostateczny egzekwowany. Jestem zwolennikiem takiego podatku, gdyż służy on także wyrównaniu różnicowań społecznych, co jest oczywistym zadaniem lewicy. To nasz prezydent Aleksander Kwaśniewski powstrzymał podatek liniowy, popierany przez niektórych innych liderów lewicy.

Tu rodzi się pytanie o partie i sposoby gromadzenia przez nie wiedzy potrzebnej do prowadzenia polityki. Bardzo ubolewam nad tym, że partie polityczne w Polsce nie stworzyły think tanków z prawdziwego zdarzenia. W wyniku reformy Gowina uniwersytety przestaną być zapleczem intelektualnym dla polityki. Tymczasem bardzo potrzebne, także lewicy, są instytucje, które łączą umiejętności badawcze z wyobraźnią społeczną, a takich brakuje na uniwersytetach. One powinny badać zjawiska społeczne pod kątem politycznych programów, których realizacja będzie miała realne skutki dla życia społecznego. Bardzo chciałbym takie instytucje budować i oczekiwałbym, żeby znaczna część pieniędzy, jakie partie otrzymują z budżetu, były kierowane na takie cele. To nie powinno się sprowadzać do bieżącego doradztwa, lecz sprzyjać gromadzeniu wiedzy potrzebnej do wprowadzania zmian w różnych dziedzinach życia, z korzyścią dla społeczeństwa.

O lokalności wyborów

Na listach wyborczych lewicy znalazło się wiele osób silnie osadzonych w lokalnych stowarzyszeniach i ruchach miejskich. W Krakowie była to lista stworzona niejako od dołu. Każdy kandydat powinien prowadzić swoją kampanię, żeby potencjalni wyborcy w jego okręgu dowiedzieli się, że startuje, z jakim programem i co ma im do zaproponowania.

Umowy śmieciowe

Mamy w programie ograniczanie umów śmieciowych, ale nie likwidację. Chodzi o wyeliminowanie ich najbardziej negatywnych skutków, np. brak możliwości uzyskania urlopu, który jest przecież gwarantowany konstytucyjnie! Inna sprawa, że mam ambiwalentny stosunek do takich umów, bo ograniczają one prawa pracownicze i są źródłem poczucia braku bezpieczeństwa osoby zatrudnianej.

Są jednak osoby, którym taka forma zatrudnienia odpowiada. Mam na myśli najlepiej wykształconą kategorię pracowników, którzy na takich umowach zyskują, bo mogą wynegocjować najlepsze warunki zatrudnienia. W moim przekonaniu instytucje publiczne, takie jak uczelnie czy urzędy, absolutnie nie powinny z takich form zatrudnienia korzystać. Szkodzi to pracownikom, wprowadza też złą atmosferę w zespołach pracowniczych, bo na przykład szkoła, zapewniająca równowagę nauczanych i nauczających, nagle staje się polem walki konkurencyjnej, co odbije się zdecydowanie niekorzystnie na jej działalności. Zresztą gdyby obecnie obowiązujące przepisy były egzekwowane, to zjawisko to miałooby zdecydowanie mniejsze rozmiary. To także dotyczy sprawności działania Inspekcji Pracy, czyli niedorozwoju administracji publicznej.

Jakie mamy szanse?

Ja nie jestem takim pesymistą jak profesor Stępień, który przedstawił swój punkt widzenia w tej sprawie.

Już kilka razy udało się zahamować poczynania Kaczyńskiego przez mobilizację społeczną; tu najbardziej spektakularny był Czarny Protest ... Także po wydarzeniach w Białymstoku państwo zaczęło inaczej podchodzić do marszów równości i skuteczniej je ochraniać. PiS zaczyna zmieniać swoje działania pod presją opinii publicznej, nie jest więc beznadziejnie, choć na pewno nie jest dobrze. W związku z tym rodzi się pytanie, czy zaangażowanie polityczne wyborcy buduje się przez program pozytywny czy przez konflikt. Liczy się na pewno i jedno i drugie, ale naszym zadaniem jest pokazanie, na czym polegać powinna opozycja wobec rządów PiS i jaką inną Polskę chcemy budować. Oczywiście liczyła się też obecność na protestach społecznych, znajomość lokalnych konfliktów i umieszczanie ich w agendzie podczas kampanii wyborczej. Gdy trwała kampania do europarlamentu, byliśmy na przykład bardzo aktywni, kiedy protestowali pracownicy sądów, którzy są jedną z grup poszkodowanych przez rządy PiS-u. Jak cała budżetówka – nie dostali oni podwyżek, a pracują w fatalnych warunkach. To z jednej strony była prezentacja naszych poglądów, a z drugiej umożliwiła nam dotarcie do grup szczególnie poszkodowanych.

Co dalej?

Otwartym pozostaje pytanie, czy udział w wyborach trzech największych podmiotów lewicy pod wspólnym szyldem jest projektem tylko na wybory, czy przynajmniej na wspólny klub poselski w Sejmie na lat kilka? Język polityki to nie tylko formuła retoryczna, ale też prezentacja pewnej postawy. Jasne mówienie o rozdziale Kościoła od państwa, o prawach kobiet to szansa, że powiemy coś, czego inni nie powiedzą. I z tym idziemy do wyborów. Mówimy też o tym, czego PiS nie załatwi, bo jest do tego organicznie niezdolny. Chodzi nam o redefinicję wielu pojęć, musimy wyjść poza oplotki i zauważyć np. ekologię jako problem ogólnoludzki, a nie tylko problem Polek i Polaków.

Gdyby miał to być tylko projekt na wybory, to byłaby to rzecz z góry przegrana. Jestem przekonany, że jest to początek budowania szerszej formacji, długotrwały, przez wszystkie strony, które do tej budowy przystąpiły. Jest to możliwe, choć ta nadzieja nie jest „równo dystrybuowana”. Jeżeli Wiosna jest przekonana, że powinniśmy po wyborach budować wspólny klub parlamentarny, to Razem ma wątpliwości. Nie ma potrzeby tych procesów przyspieszać, nie ma co robić gwałtownych ruchów i stawiać partnerów pod ścianą.

Na razie jest nieźle jeśli chodzi o współpracę. Mam nadzieję, że uda się zbudować formację polityczną, która będzie w stanie rządzić Polską, a nie tylko uzyskać dwucyfrowy wynik. To daje mi też jakiś napęd i sprawia, że chcę działać. Gdyby to miało tylko zapewnić działaczom wejście do Sejmu, to nie byłoby warte włożonego wysiłku.

Tak się złożyło, że ja wymyśliłem hasło „Łączmy nas przyszłość”, w którym zawiera się partyjna historia trzech podmiotów lewicy uczestniczących w wyborach. Ale też traktuję to hasło jako metaforę tego, co może stać się w Polsce. Możemy przewyciężyć różnice, możemy wspólnie działać, a podziały ostatecznie zakończyć. To jest moje przesłanie.

MACIEJ GDULA

LITERACKI NOBEL

2018

dla

OLGI TOKARCZUK

WIELKI SUKCES PISARKI

I LITERATURY POLSKIEJ

Serdeczne gratulacje Laureatce

składa

STOWARZYSZENIE „KUŹNICA”

oraz REDAKCJA „ZDANIA”,

które miało zaszczyt gościć Noblistkę

na swoich łamach.

Kraków, październik 2019

EDWARD KAROLCZUK

MARKSIZM W XXI WIEKU

W 2019 roku ukazała się niewielka książka¹ Larsa Ulrika Thomsena², w której ustosunkowuje się on do najważniejszych problemów ruchu robotniczego na początku XXI wieku. Jest to książka niespotykana na naszym krajowym rynku wydawniczym zarówno ze względu na treść jak i formę. Autor przechodzi od tematów związanych z epistemologią, metodą badawczą stosowaną przez takich fizyków jak Niels Bohr, do problemów związanych ze strategią i taktyką partii komunistycznej. Jest to zatem książka o związkach epistemologii z programem i działalnością partii, o roli nauki i sporów metodologicznych w życiu ideowo-politycznym. Poszczególne rozdziały książki Thomsena stanowią artykuły opublikowane na łamach angielskiego magazynu „Communist Review” od 2010 do 2019 roku.

Filozofia i polityka

Książka Thomsena pokazuje związek filozofii i polityki, w którym filozofia jest właściwie teorią polityki wyrażoną w specyficznym, abstrakcyjnym języku. Dlatego filozofia może pełnić rolę konserwatywną i reakcyjną, ale także rewolucyjną. Thomsen opowiada się za tą ostatnią. Występuje on głównie przeciwko neokantyzmowi i neopozytywizmowi. Jego zdaniem na płaszczyźnie naukowej kierunki te dążą do deontologizacji bytu społecznego, główną uwagę przywiązują do kwestii epistemologicznych. Eliminują one poza obszar zainteresowań naukowych teorię własności i klas społecznych; historyczną misję proletariatu i klasy robotniczej; kapitalistyczny wyzysk; teorię imperializmu; teorię rewolucji, socjalizmu i komunizmu. W sprawach teologicznych deontologizacja polega na tym, że nie dyskutuje się kwestii boga, aniołów, piekła czy raju, a sprowadza się je do jakiegoś nic nie mówiącej abstrakcyjnej idei. Bóg przybiera postać jakiegoś nieosobowej siły, miłości, dobroci, energii itp. György Lukács analizując problem deontologizacji pisał, że chodzi w niej o „zastąpienie poznania rzeczywistości manipulacją niezbędnymi w bezpośredniej praktyce przedmiotami [...]”. Można więc śmiało tu mówić [...] o generalnej tendencji tych czasów, zmierzającej koniec końców do ostatecznego wyeliminowania wszelkich obiektywnych kryteriów prawdy i zastąpienia ich takimi procedurami, które umożliwiają niczym nie zakłóconą, gładko funkcjonującą manipulację praktycznie ważnymi faktami³. W procesie badawczym preczenia się rolę matema-

tyki, czyniąc z niej jedyny klucz do rozszyfrowywania zjawisk i procesów społecznych, ekonomicznych i politycznych. Stosowanie deontologizacji przez różne dyscypliny naukowe sprawia wrażenie „jakoby z całokształtu nauk z ich wzajemnych powiązań, ze wzajemnego uzupełniania się ich rezultatów, z filozoficznego uogólnienia naukowych metod i zdobyczy mogło wytworzyć się jakieś zwarte odzwierciedlenie rzeczywistości istniejącej sama w sobie, jakiś obraz świata⁴”.

Lukács, w przeciwieństwie do Thomsena, do pozytywizmu i kantyzmu stosujących deontologizację zaliczał jeszcze egzystencjalizm i pragmatyzm.

Apel Thomsena o używanie pojęć materializmu historycznego i dialektyki materialistycznej jako niezbędnej metody badawczej, jest bardzo istotny. Marksizm bowiem, jak każda nauka, posiada swoją terminologię i metodę poznania. Tak jak naziści, również neoliberalni ekonomiści i menagerowie kapitału mają swoją *regulę językową*, używają słów, które mają za zadanie zmystyfikować istniejące stosunki kapitalistycznego wyzysku i nadać ich działalności charakter ważnej misji społecznej. W wypadku nazizmu i neoliberalizmu język okazuje się organiczną częścią systemu panowania, pozwala niepostrzeżenie przekroczyć granicę pomiędzy obojętnością a przyzwoleniem na zagładę lub „społeczne wyzerowanie”. Thomsen walczy o przywrócenie do obiegu naukowego i politycznego podstawowych kategorii marksizmu oraz ukazanie sprzeczności, które ideolodzy kapitału starają się zamaskować.

Brak określonych słów w obiegu publicznym z pozoru nie ma nic wspólnego z dawną cenzurą państwową. W rzeczywistości każda redakcja i wydawnictwo dominującego nurtu prowadzą swoją politykę i cenzurę redakcyjną w imię ochrony panujących stosunków kapitalistycznych. A współczesny system państwowego kapitalizmu monopolistycznego jest w stanie elektronicznie kontrolować używane w sieci słowa i śledzić posługujących się nimi ludzi. Zdemaskowanie tych praktyk ma ogromne znaczenie i dotyczy właściwie lansowanych przez neoliberalizm „praw człowieka”, albowiem propaganda polityczna – zdaniem Étienne Bali-bara – stwarza sztuczny język, „w którym nawet same słowa anulują wolność myśli⁵”.

Thomsen wyraża nadzieję, że jego książka przyczyni się do rozjaśnienia niektórych problemów ekonomicznych i politycznych związanych z szybkim tempem

rozwoju sił wytwórczych, a w efekcie pozwoli odtworzyć zaufanie do klasy robotniczej i przywrócić należne jej miejsce w rozwoju społeczeństw. Chciałby odbudować jedność ruchu komunistycznego i jego działań na bazie marksizmu. Punkt wyjścia i warunki – są trudne. Monopolistyczny kapitalizm ma jeszcze ogromne rezerwy, które pozwalają mu kształtować rzeczywistość społeczną w pożądanym dla siebie sposób. Ruch robotniczy zdominowany jest, niestety, przez ideologię i tendencje socjaldemokratyczne.

Książka Thomsena składa się z czterech głównych rozdziałów, wprowadzenia i epilogu.

We *Wprowadzeniu* autor analizuje doświadczenia ruchu robotniczego w Danii. Zauważa, że podziały w jego łonie na rewolucjonistów i reformistów nie są niczym nowym, ale po 1989 r. przyniosły wiele dodatkowych negatywnych konsekwencji.

Jedną z zasadniczych jego tez o metodologicznym znaczeniu jest stwierdzenie, że filozofia XX i XXI wieku jest zdominowana przez dwie sprzeczne szkoły – materializm związany z ruchem robotniczym, i idealizm związany z burżuazją.

Thomsen nie spogląda na znaczenie XX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w duchu dominującej jednostronnej apoteozy – pisze, że w jego wyniku pojawiła się nowa fala reformizmu z konsekwencjami dla całego świata. W nieco innych formach pojawił się on również w *Głasnosti* i *Pieriestrojce* Michaiła Gorbaczowa, którym głośno przyklaskiwał Zachód. Czyniono to zapewne z premedytacją, gdyż ich teoretyczna podstawa oparta była na mieszanke neokantyzmu i pozytywizmu (s. 137-138).

Te wydarzenia i procesy miały swoje odzwierciedlenie w Komunistycznej Partii Danii (KPD), która kiedy powstała w 1919 roku, przyjęła materialistyczne i marksistowskie poglądy. Natomiast po 1989 roku istnieją już poważne wątpliwości co do jej marksistowskiego charakteru. Odpowiadając na pytanie o przyczyny zaistnienia tego stanu, Thomsen pisze, że przyczyniła się do tego tzw. *lewica kulturowa*, która ma swoje ideowe wzorce w postawach i poglądach drobnomieszczaństwa i intelektualistów. Warstwy te silnie wzrosły w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku w wyniku rozwoju monopolistycznej kontroli państwa i rozwoju rewolucji naukowo-technicznej i informatycznej. Powstało wiele nowych zawodów, których przedstawiciele zaczęli dostrzegać sprzeczności kapitalizmu, ale nie chcieli wymuszać zmian na drodze wstrząsów społecznych. Monopole zaś mają wiele możliwości oddziaływania na te warstwy i utrwalania ich w tych poglądach i postawach. Upadek socjalizmu w wielu krajach ułatwił rozpasanie się antykomunizmu, ten zaś przyczynił się do sukcesu *lewicy kulturowej* na 29. i 30. Zjeździe KPD, chociaż została ona pokonana na zjeździe partii w 1958 roku.

Ole Shon, który stanął na czele partii, nie ukrywał nawet swoich likwidatorskich zamiarów wobec partii komunistycznej – sam kontynuował późnej swoją karierę w partii socjalistycznej, a następnie w socjaldemokratycznej. Jest to jeden z wielu przykładów zastąpienia marksizmu przez reformizm.

Thomsen dostrzega, że *Nowa Lewica* reprezentuje dwa cele: pierwszym jest „pogodzenie *materializmu* i *idealizmu*, co w kategoriach filozoficznych jest nie-

możliwe”; a drugim „jest zastąpienie *historycznej misji* mas pracujących wsparciem dla ustalonego porządku – wsparciem dla kapitalizmu”. „Są to główne cele *Nowej Lewicy* i rdzeń jej ideologii, cele, dla których mogą liczyć na pełne wsparcie monopoli” (s. 19-20).

Thomsen przypomina, że marksizm, jako teoria i metodologia, jest wolny od wszelkiego mistycyzmu, zajmuje się badaniem obiektywnych zjawisk i odkrywa prawa w rozwoju procesów społecznych. Różni to go od neokantyzmu i pozytywizmu. Znajomość praw pozwala przewidywać przyszłość i dokonywać niezbędnych interwencji. „Ale ważne jest również, aby pamiętać, że marksizm jako *teoria i metodologia* ciągle się zmienia, jeśli ma zapewnić prawdziwy obraz rzeczywistości. Nigdy nie należy traktować go jako prawdy ostatecznej i dogmatycznej, niezależnej od czasu i miejsca, w którym odbywa się analiza” (s. 21).

Metodą mającą zapewnić poznanie obiektywnych praw rozwoju społecznego jest materialistyczna dialektyka. Materializm dialektyczny mówi, że materia jest w ciągłym ruchu i ewoluuje zgodnie z własnymi prawami. Aby zbudować poprawny obraz rzeczywistości, teoria, metoda badawcza i praktyka „muszą być w stanie współzależności – nie jako bezpośrednie odbicie materii, ale za pomocą metody abstrakcji” (s. 21).

Wpływ filozofii Bohra

W *pierwszym rozdziale* Thomsen wskazuje na istnienie związku pomiędzy ideologią i polityką partii a filozofią i odkryciami w naukach szczegółowych. Pokazuje epistemologiczne konsekwencje mechaniki kwantowej związane z odkryciami naukowymi Nielsa Bohra, co było szczególnie widoczne w Danii ze względu na osobę Bohra, który był Duńczykiem i cieszył się wielkim autorytetem na arenie międzynarodowej.

Niels Bohr wniósł wkład w rozwój fizyki kwantowej, ale interesował się również zagadnieniami epistemologii. Thomsen ubolewa nad tym, że główną podstawą do wyjaśniania zjawisk w fizyce kwantowej była dla niego logika formalna, a nie dialektyka. Podczas pobytu w 1962 roku w Związku Radzieckim, gdzie koncepcje Bohra cieszyły się dużą popularnością, miał sformułować słynną tezę, że „Przeciwieństwa nie są sprzeczne, lecz uzupełniające się”. Thomsen dostrzega podobieństwa między epistemologiami Bohra i Kanta, porównuje poglądy Bohra i Kanta z *Krytyki czystego rozumu*. „Kant nie wierzył, że możemy osiągnąć pełną jasność o przedmiotach lub zjawiskach, które badamy, ponieważ zawierają »rzecz samą w sobie« – co jest nieznane. Hegel skrytykował ten pogląd w swojej *Nauce logiki*, gdzie opisuje, w jaki sposób obiektywna wiedza jest możliwa, w jeszcze bliższym podejściu do prawdy. Zasugerował, że zamiast ograniczać nasze odkrycia, rozwiązujemy powstające sprzeczności za pomocą metody dialektycznej⁶. Logika dialektyczna otwiera nowe możliwości wyjaśniania praw ruchu w materii, które mogą uzupełniać znane ramy logiki formalnej. Zostało to wykazane w przykładowy sposób przez E. Iljenkova jego *Logice dialektycznej*” (s. 33-34).

Na początku XX wieku dużym wpływem wśród naukowców cieszył się pozytywizm. Zapewne dlatego „Bohr odmówił zdefiniowania siebie w relacji do materialistycznego lub idealistycznego kierunku filozofii. Ale w rzeczywistości jego praca naukowa jest potwierdze-

niem żywotności materializmu jako filozofii, ponieważ jego odkrycia przekształciły hipotezy Demokryta i Epikura w fakty naukowe około 2300 lat po ich powstaniu” (s. 35).

Dialektyka towarzyszyła odkryciom naukowym Bohra wbrew temu co on sam deklarował w kwestiach epistemologicznych. „Jednym z paradoksów Bohra jest to, że on, który szukał harmonii w życiu, nie mógł obejść się bez ostrych wymian poglądów z Einsteinem. Potwierdza to jedną z podstawowych prawidłowości dialektyki: że nową wiedzę zdobywa się poprzez wzajemne spory i tożsamość” (s. 37).

Thomsen dostrzega więc istniejący obecnie kryzys w stosowaniu metody dialektycznej w badaniach procesów społeczno-ekonomicznych i politycznych. Podobny kryzys wystąpił po epoce odrodzenia, kiedy, zdaniem Asmusa, zaczęła dominować metoda metafizyczna, co wynikało po części ze specjalizacji i uszczegółowienia wiedzy o poszczególnych przedmiotach. Rozumiejąc proces dialektycznego rozwoju samych metod badawczych pisał: „Być może największym paradoksem dialektycznym tego rozwoju jest niezwykle fakt, że wstępnym warunkiem powodzenia nowej nauki nie było opracowanie dialektyki, a ale wręcz przeciwnie – metafizycznej metody myślenia. Choć może się to wydawać dziwne, nowa nauka europejska może przejść do dialektyki dopiero po długim okresie dominacji metafizyki”⁷⁷. Proces przejścia od metafizyki do dialektyki miał obiektywny charakter i nie można przeszkakiwać jego etapów – „w określonych warunkach i z pewnymi ograniczeniami – można myśleć dialektycznie nie wiedząc czym jest dialektyka”⁷⁸.

Według Thomsena, sposób pracy i umiejętność dyskusji oraz wysiłki Bohra na rzecz pokoju i rozbrojenia mogą być inspiracją dla rozwiązywania wielu problemów współczesności. Dotyczy to zwalczania głodu, ubóstwa i analfabetyzmu, które odczuwane są przez jedną piątą ludzkości. Musimy walczyć o bardziej sprawiedliwe społeczeństwa, w których będzie istniał równy dostęp do materialnych i duchowych osiągnięć ludzkości. Walcząc z grożącą nam globalną katastrofą klimatyczną musimy znaleźć nowe źródła energii, zdolne do zastąpienia paliw kopalnych. Jeśli chcemy odnieść sukces, musimy posługiwać się materialistyczną epistemologią. Musimy zastąpić ślepą wiarę w postęp bardziej trzeźwą analizą rzeczywistych procesów i zjawisk. „Decyzje o wprowadzeniu nowych technologii muszą opierać się na szeroko zakrojonej debacie demokratycznej z wykorzystaniem najnowszych osiągnięć w jej realizacji. Potrzebujemy nowego podejścia do sposobu, w jaki rządymy naszym społeczeństwem, gdzie anarchiczny system kapitalizmu zostaje zastąpiony socjalistycznym planowaniem” (s. 38-39).

To jest wielkie zadanie, nad którym ruch robotniczy musi podjąć dyskusję, aby zmobilizować ludzi pracy do walki przeciwko neoliberalizmowi w skali międzynarodowej, do walki o socjalizm. Problem ten nie może być wyłączną domeną organizacji ekologicznych i charytatywnych, które w najlepszym razie łagodzą jedynie skutki sprzeczności kapitalizmu. Rozwiązanie współczesnych sprzeczności społeczno-ekonomicznych możliwe jest tylko poprzez obalenie kapitalizmu. „Ostatecznie stawką jest nasze przetrwanie jako ludzkości i być może istnienie naszej planety. Stoimy przed wy-

jątkowymi możliwościami, jakie otworzył model atomowy Bohra z 1913 roku. Albo stworzymy odpowiednie warunki dla nowego wykorzystania energii jądrowej – albo staniemy przed wspólną zagładą” (s. 39).

Komentując poglądy Iljenkova zawarte w jego książce *Logika dialektyczna*, Thomsen pisał, że logika formalna jest poprzedniczką logiki dialektycznej i może rozwiązać tylko ograniczone problemy, zaś wszystkie istotne kwestie mogą być rozwiązane tylko za pomocą logiki dialektycznej. Zdaniem Thomsena Bohr akceptował jedynie pierwsze prawo dialektyki o zmianach ilościowych i jakościowych, ale dwa inne prawa – jedności i walki przeciwieństw oraz negacji negacji – już nie. Dlatego metodę Bohra określił mianem „zamrożonej dialektyki” i uważał, że otworzyła ona drogę dla metafizyki w nauce w ogóle. Najbardziej znani duńscy naukowcy konsekwentnie bronili agnostycznych poglądów w książkach, artykułach i innych mediach. Najgorsi ze wszystkich – nie akceptowali żadnej krytyki swoich spostrzeżeń. Doprowadziło to do idealistycznych i utopijnych poglądów w duńskim ruchu robotniczym, ponieważ autorytet Bohra we wszystkich sferach życia był i jest nadal widoczny. Dlatego w czasach niekwestionowanego panowania imperializmu i reakcji ruch komunistyczny musi walczyć z wszelkimi poglądami i fałszywymi wyobrażeniami, i zastępować je dokładnymi rozwiązaniami naukowymi. Musi czynić ciągłe postępy w posługiwaniu się dialektyką, rozpoznając nowe formy materializmu dialektycznego.

Po rewolucji październikowej z mniej i bardziej złożonych przyczyn odrzucono w praktyce życia politycznego prawo jedności i walki przeciwieństw – rozwinęło się dogmatyczne rozumienie marksizmu, odmawiające w teoretycznej debacie prawa do istnienia dla różnych stanowisk, w sposób dogmatyczny podchodzono do wypowiedzi klasyków marksizmu, domagano się pełnego konsensusu. Nowe odkrycia naukowe w mechanice kwantowej i mikrofizyce na początku XX wieku rzuciły wyzwanie dla całego ruchu komunistycznego. Thomsen postuluje, aby uporać się z nowymi odkryciami naukowymi w ramach materialistycznej dialektyki. Nie trzeba zaczynać od początku. Dokonano już wielu uczciwych i przemyślanych prób interpretacji nowych odkryć, ale ogólnie trzeba przyznać, że teoria marksistowska nie nadążała za tymi nowymi osiągnięciami nauki. Dostrzegano to powszechnie w ruchu komunistycznym już w latach sześćdziesiątych. Zapowiadająca się jako żywa i owocna dyskusja w latach następnym, utknęła z nielicznymi wyjątkami po zwycięstwie kontrrewolucji w 1989 roku (49-50).

Zdefiniowanie naszej epoki

W *drugim rozdziale* Thomsen wskazuje na znaczenie właściwej definicji epoki dla strategii i taktyki partii komunistycznych. Wielokrotnie odwołuje się on do pracy Lenina *Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu*, w której zdefiniował imperializm jako monopolistyczny etap rozwoju kapitalizmu. Stoi na stanowisku, że leninowska teoria imperializmu jest aktualna i nadal charakteryzuje go pięć wyodrębnionych w niej cech.

Zmiany w kapitalizmie po upadku systemu socjalistycznego w latach 1989-1991, triumf reakcji i załamanie się ruchu robotniczego i sił demokratycznych nie dają podstaw do stwierdzenia o „końcu historii” i mnie-

mania o zakończeniu możliwości wielkich pozytywnych zmian społeczno-politycznych i ekonomicznych. Zastosowanie materializmu dialektycznego do analizy współczesnych społeczeństw pokazuje, że podstawowe przyczyny sprzeczności kapitalizmu nie uległy likwidacji. „Kapitalizm i imperializm tworzą fundament dla nadchodzących społeczeństw socjalistycznych, nie w sposób stały i ewolucyjny, ale w katastrofalnych skokach i rewolucjach” (s. 57).

Pod koniec lat 90. i na początku XXI wieku ukazało się wiele prac poświęconych imperializmowi. Zdaniem Thomsena mają one, z nielicznymi wyjątkami, charakter pozytywistyczny, i w przeciwieństwie do Lenina, autorzy ich nie rozumieją metody materializmu dialektycznego. Problem imperializmu praktycznie nie występuje w debacie publicznej. W ten sposób antykomunizm osiągnął swój cel – podważył teoretyczne podstawy ruchu robotniczego. W związku tym, zadaniem osób piszących z pozycji interesów ruchu robotniczego, jest wykorzystanie tych publikacji i spojrzenie na nie przez pryzmat metody Lenina⁹. „Zanim rozpoczął swoją analizę kapitalizmu, Lenin studiował rozwój filozofii od starożytności po swój czas. W szczególności studiował dialektykę Hegla, co pozwoliło mu rozwinąć materialistyczne stanowisko. Bez tych badań nie byłby w stanie dokonać analizy imperializmu” (s. 60).

Obecny kryzys państwowo-monopolistycznego kapitalizmu „Symbolizuje [...] legendarny król grecki Tantalos, który był przykuty w wodzie aż po szyję. Za każdym razem, gdy chciał pić, poziom wody opadał. Dziś kapitalizm wytworzył niewiarygodne moce produkcyjne, które zatapiają rynki towarami. Ale jeśli nie ma siły nabywczej, aby utrzymać koła w ruchu, miliony pracowników stają się zbędne.

Głębokość obecnego kryzysu jest zakorzeniona w deregulacji i liberalizacji gospodarki. Ta deregulacja została uznana za dowód, że państwo nie ma już takiej samej roli jak poprzednio. W rzeczywistości polityka ta była środkiem, dzięki któremu imperialne mocarstwa zdominowały mniejsze kraje.

[...] Obiecana wolną konkurencją i liberalizacją rynków obalają fakty ekonomiczne. W Unii Europejskiej 40 banków kontroluje 60 proc. rynku kapitałowego. Biorąc pod uwagę bliskie powiązania między dużymi bankami, w rzeczywistości istnieje około 10 banków, które kontrolują 60 proc. rynku.

Ten rodzaj monopolizacji można zaobserwować we wszystkich ważnych sektorach gospodarki. Postępuje skokowo, zakazując skutecznej konkurencji i kontroli cen ze szkodą dla konsumentów. Monopolizacja została również wykorzystana do redystrybucji bogactwa w społeczeństwie, co również prowadzi do eskalacji kryzysów gospodarczych” (s. 63-64).

Thomsen pisze krytycznie o zrozumieniu przez współczesne partie robotnicze rzeczywistych procesów społeczno-ekonomicznych i politycznych w skali globalnej. Zdominowane one są przez socjaldemokrację, nie rozumieją rzeczywistej istoty obecnego etapu rozwoju kapitalizmu. W związku z tym proponują wzorem Johna Maynarda Keynesa interwencję państwa i dotacje dla banków i przedsiębiorstw prywatnych. To też zdaniem Thomsena „Alternatywnym podejściem mogłaby być strategia antymonopolowa, która została wprowadzona w latach siedemdziesiątych. Chodziło

o połączenie wszystkich demokratycznych żądań z kontrolą wielkich monopolii, nadanie ludziom nowych praw i wzmocnienie demokratycznego wpływu na wszystkie decyzje w społeczeństwie. Ten rodzaj polityki ma nadal zastosowanie, ale musi być połączony z nową analizą sprzeczności w kapitalizmie państwowo-monopolistycznym i imperializmie” (s. 65). Trzeba odrzucić mniemanie różnej maści oportunistów, że nie można kontrolować korporacji transnarodowych zarówno przez ich pracowników, jak i państwa, na terytoriach których działają.

Problem interwencji państwa i dotacji dla banków i przedsiębiorstw prywatnych musi być przeanalizowany przez pryzmat praktycznych zadań ruchu robotniczego. Pewną wskazówką może tu być wypowiedź Marksa i Engelsa z *Apelu Komitetu do Związku Komunistów* z marca 1850 roku. Sformułowali wówczas ogólne założenia strategii i taktyki rewolucyjnego ruchu robotniczego wobec podatków i długu publicznego w warunkach rewolucji burżuazyjno-demokratycznej. Według nich świadomi robotnicy zawsze powinni być o jeden krok do przodu w stosunku do żądań liberalnych burżuazyjnych demokratów. „Jeżeli demokraci proponują podatek proporcjonalny, to robotnicy żądają progresywnego; jeżeli demokraci sami proponują umiarkowanie progresywny podatek, robotnicy powinni domagać się takiego podatku, którego progresja musiałaby zabić wielki kapitał; jeżeli demokraci żądają uregulowania długów państwowych, robotnicy powinni zażądać bankructwa państwa”¹⁰.

Dla Thomsena praca Lenina o imperializmie jest inspiracją do współczesnych analiz. Zauważa on, że od jego czasów nastąpiły trzy ważne wydarzenia: *pierwszym* jest powstanie obozu państw socjalistycznych, które objęły jedną trzecią część świata i przyniosły ze sobą wiele doświadczeń związanych z rozwiązywaniem problemów w sferze socjalno-ekonomicznej, politycznej i kultury; *drugim* jest dokonująca się rewolucja naukowo-techniczna i *trzecim* zmiana układu sił pomiędzy państwami imperialistycznymi po drugiej wojnie światowej.

Thomsen zauważa, że ruch robotniczy nie ma swego określonego stosunku do relacji między interesami klasowymi i ogólnoludzkimi wartościami. Poprzez dialektyczną analizę relacji między nimi powinien określić priorytety wynikające z obecnej sytuacji. Zadanie to, stojące przed ruchem robotniczym, jest tym większe, że sprzeczności w kapitalistycznym systemie państwowo-monopolistycznym narastają w przyspieszonym tempie.

Lenin walczył z kautskizmem, który odpowiadał za upadek II Międzynarodówki. Komuniści muszą walczyć z utopijnym socjalizmem naszego stulecia – *Nową Lewicą*. „Nowa analiza imperializmu może oznaczać, że metoda dialektyczna doświadczy odrodzenia. Tylko poprzez rozwijanie nowych form materializmu dialektycznego możliwe będzie prawdziwe zrozumienie praw ruchu w naszym społeczeństwie” (s. 67).

Zmiany imperializmu

W rozdziale *trzecim* Thomsen odsłania istotę rozwoju kapitalizmu i imperializmu w XX i XXI wieku. Upadek systemu państw socjalistycznych nie wpłynął na zmianę istoty państwowo-monopolistycznego sys-

temu kapitalizmu. Thomsen zachęca do spojrzenia na obecną epokę z dłuższej perspektywy historycznej. Rewolucja socjalistyczna poniosła porażkę, ale porażki poniosło też wiele rewolucji burżuazyjnych, a mimo to kapitalizm bezpowrotnie pokonał feudalizm. W związku z tym Thomsen przytacza opinię Marksa z *Osiemnastego brumaire'a Ludwika Bonaparte*, który w następujący sposób opisywał różnice między rewolucjami burżuazyjnymi i proletariackimi: „Rewolucje proletariackie natomiast – rewolucje dziewiętnastego stulecia – ustawnie same siebie krytykują, wciąż przerywają swój własny bieg, wracają do tego, co już na pozór zostało dokonane, by to samo rozpocząć od nowa, z okrutną dokładnością szydzą z połowiczności, słabości i nieodłączności swych pierwszych poczynań, zdają się obalać przeciwnika po to tylko, by zaczerpnąć świeżych sił z ziemi i urósłszy w potęgę znów powstał przeciw nim, wciąż się cofają przerażone bezgranicznym ogromem własnych swych celów, póki nie wytworzy się sytuacja uniemożliwiająca wszelki odwrót i same okoliczności zawołają: *Hic Rhodus, hic salta!* Tu jest róża, tutaj tańcz!”¹¹

Thomsen stosunkowo dużo miejsca poświęca *Nowej Lewicy*. Jej klasowe korzenie znajduje w przemianach kapitalizmu państwowo-monopolistycznego w latach 60. i 70. XX wieku. „Rewolucja naukowa-techniczna oznaczała zmianę w składzie klasy robotniczej, zwłaszcza w warstwie techników, menedżerów, nauczycieli, pracowników socjalnych i innych grup, które znacznie wzrosły w tych latach. Ludzie w tych grupach nie mieli takiego samego poczucia organizacji, jak ci w robotniczych związkach zawodowych i myśleli o sobie bardziej jako o osobach niż jako kolektywie. W konsekwencji wzrost tych warstw i świadome kulturowanie określonych spostrzeżeń i poglądów przez wielkie monopole stały się kluczowe dla wyniku politycznych bitew tamtych lat” (s. 76).

Poglądy tych warstw negujące konieczność rewolucyjnego obalenia kapitalizmu i rewolucyjną rolę klasy robotniczej, „akademickiego marksizmu”, szkoły frankfurckiej były szeroko lansowane w burżuazyjnych środowiskach masowego przekazu. Promowały one grupy sekciarskie i uznawały „nowy” marksizm za poprawny. Kiedy w latach 70. Unia Europejska (UE) tworzyła nowe instytucje i inne organy mające na celu udoskonalenie maszyny państwowej, przedstawiano je jako odejście od istoty kapitalizmu. „Monopolistyczne klasy rządzące doskonale wiedziały, kim są prawdziwi przeciwnicy tych zmian – mianowicie klasy robotnicze i partie komunistyczne. Dlatego ważne było dla nich osłabienie wpływu komunistów i zapobieżenie przekształceniu się tej opozycji w UE w siłę zmieniającą społeczeństwo. W ramach swojej strategii świadomie wykorzystywały pseudo-rewolucjonistów. Z wielką umiejętnością i finezją wspierały anarchistów, sekciarzy i innych buntowników przeciwko kapitałowi. Mówiono, że klasa robotnicza stała się »burżuazją« i straciła swój rewolucyjny potencjał, podczas gdy nowe siły przyjęły tę rolę” (s. 78). Z jednej strony wstrząśnięto starymi instytucjami społecznymi, a z drugiej »przedstawiciele kapitału monopolistycznego sprzyjają również sojuszowi z elementami radykalnej lewicy, oferując dobrze płatne stanowiska w wielu instytucjach publicznych lub prywatnych. Monopolistyczne klasy rządzące mają nieograniczone

zasoby, aby kupić tę wiedzę, która w najbardziej subtelny i wyrafinowany sposób może wpłynąć na nastroje społeczne. Politykę tę można ogólnie określić jako udaną do czasu kryzysu gospodarczego w 2008 roku, który zmienił zasadniczo warunki gospodarcze, społeczne i polityczne w świecie kapitalistycznym” (s. 79).

Obecnie dominuje w środowiskach masowego przekazu podział pomiędzy liberałami – zwolennikami Unii Europejskiej, a jej przeciwnikami – prawicowymi nacjonalistami. W sporze tym nie ujawniają oni klasowej istoty Unii Europejskiej. Thomsen pisze, że powstanie jej było przejawem głębokich zmian w imperializmie w XX wieku. „Celem UE było rozwiązanie, na korzyść wielkich monopolii, podstawowych sprzeczności, które nagromadziły się w poszczególnych państwach narodowych, między interesami ludzi i monopolii oraz na arenie międzynarodowej, w zakresie konkurencji o rynki i zasoby z innymi imperialistycznymi centrami. Na początku lat siedemdziesiątych sprzeczności te stały się szczególnie wyraźne. Jednak zamiast je rozwiązywać, UE, wraz z całym procesem globalizacji opartym na kapitale finansowym, wielokrotnie uwydatniała sprzeczności” (s. 79-80).

Bańka informatyczna, która pękła w 2000 roku oznaczała klęskę tych apologetów kapitalizmu, którzy w nowej technologii widzieli środek do przezwyciężenia sprzeczności i kryzysu. Natomiast najpoważniejszy kryzys kapitalizmu z 2008 roku związany był z nadprodukcją i masową ekspansją kredytów i innych instrumentów finansowych. Nie został on częściowo przezwyciężony przez „siły wolnorynkowe”, ale przez ogromne zakupy i dotacje rządowe, które zapobiegły rozpadowi światowego systemu finansowego. „Nowy kryzys nie jest jednym z regularnie powtarzających się kryzysów cyklicznych, które charakteryzują kapitalizm, ale o wiele głębszym i poważniejszym. Jest to manifestacja tego, co marksiści opisują jako ogólny kryzys kapitalizmu, kryzys, który jest nie tylko ekonomiczny, ale rozciąga się także na dziedziny polityczne, społeczne, kulturowe i środowiskowe. To właśnie ten rozwój Marks przewidział w swoich pracach. Uważał kryzys nadprodukcji za nieodłączny dla kapitalizmu i ostrzegał przed wzrostem kapitału monopolistycznego i finansowego. Ale wielu widziało jego teorie jako przestarzałe i nie pasujące do rzeczywistości. Dotyczy to również »Nowej Lewicy«, która w praktyce odrzuciła wiodącą rolę klasy robotniczej, a zatem marksizmu, w praktyce, choć nie w teorii” (s. 80).

Charakterystyka współczesnych zmian w kapitalizmie państwowo-monopolistycznym jest dla Thomseny podstawą do określenia zadań komunistów, ich strategii i taktyki. Ponieważ klasy panujące rozwiązanie sprzeczności kapitalizmu widzą w ostateczności w wywoływaniu nowych wojen, ruch robotniczy i komunistyczny muszą szukać nowych sposobów wzmocnienia internacjonalizmu i ruchów pokojowych jako przeciwwagi dla rosnącego imperializmu. Korzystając z doświadczeń Lenina w walce z kautskizmem, konieczne jest obecnie powstrzymanie reformizmu w ruchu robotniczym i przeciwstawienie się *Nowej Lewicy*, która odwołuje się do warstw pośrednich i nie widzi już w klasie robotniczej siły zdolnej do kształtowania zmian społecznych. Ruch komunistyczny musi przeanalizować doświadczenia i wyciągnąć wnioski

z polityki *Jednolitego Frontu* i *Frontu Ludowego*. Tylko dzięki właściwemu określeniu stosunków klasowych w poszczególnych krajach możliwe jest ustanowienie odpowiedniej strategii i taktyki, i w efekcie zapewnienie komunistom powrotu do ofensywy. „Chociaż historia na pierwszy rzut oka wydaje się przypadkowa i niespójna, w rzeczywistości jest odwrotnie. Historia nie wypełnia swojego zadania w sposób stały i ewolucyjny, ale poprzez skoki, które często są katastrofalne, i na zmianę między rewolucją a kontrrewolucją. Zaletą teorii marksistowskiej jest umiejętność naukowego badania wydarzeń w celu przewidywania nadchodzących zmian w społeczeństwie i opracowania odpowiedniej strategii przejścia do wyższej, socjalistycznej formy” (s. 85).

W całej książce dokumentowane jest jasne stanowisko Thomsena w sprawach ideologicznych: „Analiza klas i teoria klas jest niezbędna dla każdej partii komunistycznej. Bez teorii i analizy warunków społecznych niemożliwe jest określenie kierunku politycznego, który prowadzi do postępu” (s. 86). Thomsen przywołuje pracę Lenina *Co robić?*, w której Lenin wyjaśniał znaczenie teorii i potrzebę przewyższenia woluntaryzmu w ruchu robotniczym. Praca ta jest o tyle ważna, że zapoczątkowany wówczas proces zapewnił bolszewikom po 15 latach zdobycie władzy. Te doświadczenia, zdaniem Thomsena, nie mają charakteru wyłącznie rosyjskiego, ale są wytyczną dla wszystkich rewolucjonistów.

Kwestia analizy klasowej, według Thomsena, miała do lat 80. XX wieku niemal religijny charakter. Ale rewolucja naukowo-techniczna i informatyczna spowodowały zmiany w procesie produkcji i społeczeństwie, które stały się podstawą ożywionych dyskusji. Niektórzy uważali, że świat odchodzi od starego społeczeństwa produkcji przemysłowej, że powstało społeczeństwo wiedzy, społeczeństwo postindustrialne. Jak pisze Thomsen, doszło wówczas do odrodzenia socjalizmu utopijnego w nowych formach i warunkach społecznych. Te poglądy utopijne są wyrazem idealizmu, mającego nadzieję na przekonanie klas rządzących do bardziej rozsądnej polityki. Thomsen uważa, że dla pokonania tego utopijnego socjalizmu trzy problemy wymagają teoretycznego wyjaśnienia:

- 1) jaki wpływ na walkę klas ma umiędzynarodowienie produkcji;
- 2) w jaki sposób zwiększyć współpracę ponad granicami państwowymi, aby ograniczyć monopole i dominację kapitału finansowego;
- 3) jak umocnić internacjonalizm w ruchu komunistycznym.

Chwilowo umiędzynarodowienie produkcji nie jest podyktowane interesami pracującej większości ludzkości, lecz ma na celu promowanie akumulacji kapitału i jego koncentracji. Kształtuje się społeczeństwo z niewielką niezwykle bogatą klasą wyższą i coraz bardziej zubożałą klasą niższą. „Ten rozwój nie jest prawem natury. Może zostać przerwany, jeśli ruch robotniczy i partie komunistyczne będą w stanie rozwinąć bliższą współpracę niż ma to miejsce obecnie. Jest to cel poważnej debaty na temat analizy klas” (s. 88).

Thomsen wylicza główne sprzeczności kapitalizmu. Podstawową sprzecznością w kapitalizmie jest sprzeczność między pracą a kapitałem, między osiągniętym poziomem rozwoju sił wytwórczych a zasadami podziału wytworzonych dóbr, które pozbawiają dostępu do nich

wiele grup społecznych i narodów. Do innych głównych sprzeczności w ciągu ostatnich 70 lat zalicza:

- sprzeczność między państwowo-monopolistycznym systemem kapitalistycznym a interesami ludu;
- sprzeczność między imperialistycznymi interesami w różnych krajach;
- sprzeczność pomiędzy integracją imperialistyczną a demokratycznymi interesami narodowymi;
- sprzeczność między kapitalizmem i socjalizmem;
- sprzeczność między interesami imperializmu i interesami ludzkości jako całości.

Thomsen dostrzega dynamikę stosunków klasowych. Po 2008 roku zmieniły się stosunki klasowe, żyjemy w okresie reakcji z nasiloną konkurencją między monopolami. Do opozycji między imperialistycznymi potęgami dołączyła Rosja. W XXI wieku zaostrzył się kryzys klimatyczny, trwają wojny imperialistyczne, występują wielkie problemy z uchodźcami i głodem. W wyniku kryzysu względna jedność imperialistycznych potęg została zastąpiona oczywistymi i poważnymi sprzecznościami. Ten obraz imperializmu przypomina wojnę handlową i protekcyjizm z lat 30. minionego wieku. Coraz bardziej nerwowo reagują politycy USA. Wprowadzają cła zaporowe dla wszystkich słabszych partnerów. Mobilizują swoich sojuszników do udziału w wojnach prewencyjnych, zmuszają państwa członkowskie NATO do zwiększenia budżetów zbrojeniowych kosztem budżetów socjalnych i edukacyjnych oraz do zakupu swego uzbrojenia, wznoszą mury, aby powstrzymać napływ migrantów z południa. Stany Zjednoczone wpływają na wyniki wyborów demokratycznych w wielu krajach.

Dlatego szczególnego znaczenia nabrała sprzeczność między imperialistyczną integracją a interesami narodowymi. Nasilają się tendencje odśrodkowe o różnej motywacji, rosną wpływy prawicowego nacjonalizmu. Zdaniem Thomsena w tej sytuacji „Klasa robotnicza ma obiektywny interes we wspieraniu tego rozwoju w kierunku samostanowienia narodowego” (s. 90). Aby postulat ten nie został wypaczony w praktyce i nie oznaczał taktycznego sojuszu z prawicowymi nacjonalistami, konieczne jest propagowanie prawa do samostanowienia w parze z demaskowaniem prawicowego separatyzmu i nacjonalizmu, imperializmu oraz propagowaniem internacjonalizmu.

Przemiany społeczne

Thomsen wskazuje na aktualność teorii klas społecznych Marksa, zawartej w trzecim tomie *Kapitału* i Lenina w *Wielkiej inicjatywie*. Wbrew różnym prognozom o zniknięciu klasy robotniczej i przejściu do społeczeństwa postindustrialnego, liczebność klas robotniczych rośnie. „Zamieszanie wynika z upadku starych przemysłowych miejsc pracy oraz braku uznania, że pracownicy zatrudnieni w zawodach związanych z zaawansowanymi technologiami należą do klasy robotniczej. Daje to fałszywy obraz ogólnego rozwoju społeczeństwa i promuje iluzje dotyczące dokonującej się transformacji.

Drugą kwestią, na którą wielu z góry zwraca uwagę jest to, że funkcjonowanie państwowego monopolistycznego kapitalizmu (SMC – *state monopoly capitalism* E.K.) wymaga wielu nowych cech w społeczeństwie. Dotyczy to np. zadań społecznych, opieki zdrowotnej

i edukacji. To właśnie ta analiza była warunkiem wstępnym strategii antymonopolowej partii komunistycznych w latach 70. Strategia ta powinna zostać rozszerzona, tak aby obejmowała międzynarodowe sojusze klasowe, które mogą przeciwdziałać dominacji monopolii” (s. 94).

Thomsen analizuje przemiany klasy robotniczej, jakie zaszły od lat 70. XX wieku. „Internacjonalizacja produkcji oznacza, że część przemysłu – stocznie, silniki, fundamenty pod platformy wiertnicze, tekstylia, elektronika itp. przeniosły się do krajów o niskich płacach, w których związków zawodowych jest niewiele lub nie ma ich wcale.

Te tradycyjne sektory należały do najlepiej zorganizowanych przez związki zawodowe, o wysokim stopniu świadomości klasowej. Nowe branże zastąpiły starsze, ale bez takiego samego stopnia organizacji” (s. 94).

Internacjonalizacja produkcji prowadzi do wzrostu roli transportu towarów drogą lądową, morską i lotniczą. Thomsen widzi w tym nowe możliwości antymonopolistycznych działań związków zawodowych. Aby je wykorzystać, związki zawodowe powinny ustosunkować się do problemu migrantów z krajów niżej rozwiniętych, chcących zarobić na życie. Chociaż w wyżej rozwiniętych krajach przyjmujących migrantów napływ ich rodzi niepewność klasy robotniczej, ze względu na wpływ dumpingu socjalnego na płace i warunki pracy, związki zawodowe powinny objąć swą organizacją nowych kolegów z zagranicy, aby prowadzić walkę we wspólnej sprawie. Walka w obronie socjalnych interesów klasy robotniczej, bez względu na jej narodowość, wyznawane wartości kulturowe, jest podstawowym zadaniem związków zawodowych. Związki zawodowe działające w różnych branżach i krajach powinny koordynować swoją działalność w walce z kapitałem.

Thomsen nie sformułował postulatu, aby płace robotników w danym koncernie były jednakowe bez względu na kraj prowadzenia działalności produkcyjnej i handlowej. Zapobiegłoby to ucieczce kapitałów z krajów wysoko rozwiniętych, uaktywniłoby związki zawodowe w krajach, do których kapitał ucieka ze względu na niskie koszty zatrudnienia, ograniczyłoby wyzysk siły roboczej i zyski kapitału. Byłaby materialna podstawa do współpracy związków zawodowych na płaszczyźnie międzynarodowej i kształtowania internacjonalistycznych postaw robotników.

Thomsen przypomina, że odpowiedzialnością klas posiadających na wzrost sprzeczności kapitalizmu i protestów klasy robotniczej stało się państwo korporacyjne. Już w latach 30. minionego wieku z powodzeniem stosowali je faszyci. „Korporacjonizm pokazuje dziś inne treści, ponieważ zamiast faszystów, główną tendencją jest zastępowanie burżuazyjnej demokracji przez autokrację i podejmowanie decyzji przez małą elitę, podczas gdy nominalnie demokracja nadal istnieje. Klasy rządzące mają nowe możliwości kontrolowania mas ludności [...], a następnie wykluczenie ich z regularnego życia z pracą i wypoczynkiem” (s. 98).

Strategia i taktyka walki z kapitalizmem państwowo-monopolistycznym

Autor podejmuje problemy polityki sojuszy, strategii i taktyki. Zwrot na prawo w wyniku kryzysu lat 2007-2008 narzucił konieczność przyjrzenia się i wykorzy-

stania doświadczeń polityki jednolitego i ludowego frontu w latach 30. XX wieku. Nie była ona zabiegiem taktycznym, ale długofalową strategią, podyktowaną ówczesnymi zmianami w kapitalizmie. Realizacja tej strategii w okresie powojennym przyniosła Włoskiej Partii Komunistycznej ogromny sukces – stała się ona najsilniejszą partią we Włoszech. Ale w jej realizacji popełniono błędy, które obejmowały historyczny kompromis we Włoszech w latach 70., czy niedocenioną przez chilijski rząd Jedności Ludowej, lojalność armii wobec imperializmu amerykańskiego. Zdaniem Thomsena słuszną strategię ówczesną ukierunkowano na rzecz „demokracji antymonopolowej”, gdyż głównymi przeciwnikami były monopole i kapitał finansowy. Była to odnowiona strategia jednolitego i ludowego frontu z lat 30. (s. 100).

Kontrewolucja w latach 1989-1991, jak zauważył Thomsen, zmieniła klasowy układ sił w skali światowej, co ułatwiło zwiększenie akumulacji kapitału w wyniku wzmocnienia eksploatacji i zadłużenia najemnych pracowników. Dokonało się to poprzez finansjeryzację poszczególnych dziedzin życia społecznego i usług publicznych. Uruchamiając ten proces Ronald Reagan i Margaret Thatcher zawarli umowy w sprawie deregulacji finansowej i rozwoju londyńskiego City jako światowego centrum deregulacji handlu. W interesie wielkich monopolii wprowadzono w 1986 roku *Jednolity Akt Europejski*.

W porównaniu z początkiem XX wieku, kiedy Lenin pisał *Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu*, zaszły istotne zmiany w kapitalizmie. Najważniejszą zmianą, według Thomsena, było powstanie i upadek systemu państw socjalistycznych. Socjalizm panował na jednej trzeciej globu ziemskiego, a to zmieniło na kilkadziesiąt lat stosunki między klasami i warunki walki mas pracujących o swoje interesy na całym świecie. Był to okres walki na śmierć i życie między dwoma systemami. W tym czasie w kapitalizmie pojawiło się kilka zmian o znaczeniu historycznym:

– *po pierwsze* – wystąpił bardzo szybki rozwój sił wytwórczych ze szczególnym uwzględnieniem nauk przyrodniczych, zwłaszcza w fizyce i biologii. Poziom produkcji pozwalała na zaspokojenie podstawowych potrzeb społecznych w krajach rozwiniętych, ale ze względów ustrojowych napotyka ona barierę konsumpcji, której przełamywanie wymaga coraz bardziej wszechobecnej i agresywnej reklamy. Konsumpcyjny charakter burżuazyjnego społeczeństwa napotyka również barierę surowcową, co pociąga za sobą walkę o wyczerpujące się zasoby. Neoliberalna praktyka coraz bardziej przybliża groźbę globalnej katastrofy klimatycznej;

– *po drugie* – zmienił się układ sił między imperialistycznymi potęgami, a USA stały się najpotężniejszym imperium, muszą jednak tolerować względnie niezależną politykę kilku państw;

– *po trzecie* – odpowiedzialnością na socjalizm, począwszy od lat 20. XX wieku we Włoszech, była ideologia faszystowska, którą w latach 30. XX wieku imperializm rozprzestrzenił na całym świecie. Istnieje groźba, że gdy podstawy kapitalizmu zostaną ponownie zagrożone, zechce do tych metod odwołać się ponownie;

– *po czwarte* – po klęsce faszystów w 1945 roku imperializm zmienił cel z natychmiastowego zniszcze-

nia światowego systemu socjalizmu na dłuższą i mniej kosztowną wojnę ideologiczną i wojny lokalne;

– *po piąte* – w produkcji i sektorze bankowym szybko postępuje monopolizacja. Pogłębia się ona przy każdym kolejnym kryzysie, po kryzysie 2008 roku sektor finansowy jest dominującym elementem gospodarki;

– *po szóste* – wraz z rozpadem ZSRR rozpoczął się nowy podział świata między imperialistycznymi potęgami, między innymi poprzez wojny w byłej Jugosławii, Iraku, Afganistanie, Libii i Syrii. Można dodać, że dokonano się to również poprzez „pomarańczową rewolucję” na Ukrainie, czy „arabską wiosnę”;

– *po siódme* – po kryzysie w 2008 roku doszło do ostrego wzrostu działalności przestępczej w bankach. Łączy się ona pod wieloma względami z podziemiem i praniem pieniędzy tego ostatniego, uzyskanych dzięki sprzedaży broni, prostytucji, narkotyków i działalności terrorystycznej. Nie jest to nowością w kapitalizmie. Innowacją jest natomiast zakres tego zjawiska oraz masowość oszustw podatkowych popełnianych przez korporacje i osoby fizyczne. Na szeroką skalę rozwijają się tzw. raje podatkowe;

– *po ósme* – wybór prezydenta Donalda Trumpa w 2016 roku uczynił skutki kryzysu finansowego z 2008 roku bardziej widocznymi. Rozpoczęły się nowe wojny handlowe i protekcyjizm naruszający międzynarodowe umowy handlowe. Wyjątkowo widoczne są w tym względzie konflikty między USA a Unią Europejską, Chinami i Rosją;

– *po dziewiąte* – ze względu na to, że dolar amerykański pełni nadal rolę pieniądza światowego, skutki polityki pieniężnej USA odczuwane są w wielu krajach. Pozycja ich waluty zależy od polityki stóp procentowych, sterowania inflacją i kursem dolara przez USA. Skutki tej polityki odczuła już Argentyna, Brazylia, Turcja, Republika Południowej Afryki i inne kraje, gdzie wartość miejscowej waluty spadła o 30-40 proc.

Upadek ZSRR i socjalistycznego systemu

W *wczwartym rozdziale* Thomsen analizuje doświadczenia budowy socjalizmu i działalności ruchu robotniczego. Jego zdaniem, rozpad ZSRR i upadek systemu państw socjalistycznych nie oznacza „końca historii” i niepodzielnego panowania neoliberalnego kapitalizmu. Wydarzenia te są „początkiem okresu reakcyjnego, w którym siły klasowe są przegrupowywane, a ruch robotniczy musi dokonywać nowych analiz, zanim będzie mógł dokonać nowych postępów” (s. 140).

Thomsen z optymizmem patrzy w przyszłość. W końcowych fragmentach książki pisze, że skutkiem pogłębiających się kryzysów w kapitalizmie będzie rosnące niezadowolenie klasy robotniczej i innych sił postępowych. Dlatego należy na nowo przemyśleć strategię jednolitego frontu ludowego, która by była znalezioną odpowiednią drogą do socjalizmu. Rewolucja naukowo-techniczna i informacyjna wymagają od ruchu robotniczego znalezienia sojuszników w innych klasach i warstwach i pozyskania ich do walki o alternatywę do polityki monopolistycznej. Była to jedna z lekcji z rewolucji październikowej, w której doszło do zjednoczenia robotników i chłopów. „W tym procesie ruch robotniczy musi uzyskać przywództwo, jako naj-

lepiej zorganizowana i wyszkolona politycznie część. To jest stała lekcja rewolucji październikowej. [...] Musi być ciągła debata nad teorią i praktyką w ruchu robotniczym, ale w dialektyczny sposób, w którym przetwarzane są nowe odkrycia i utrzymywane są zasadnicze punkty” (s. 142).

Dla ruchu robotniczego i komunistycznego równie ważne jak przeanalizowanie zmian we współczesnym kapitalizmie państwowo-monopolistycznym jest zrozumienie przyczyn upadku ZSRR. Nie upadł on bowiem w wyniku interwencji zbrojnej kilkunastu państw po wybuchu rewolucji październikowej ani najazdu nazistowskich Niemiec ze swoimi sojusznikami, ani mrozu czy klęski głodu. Z tym wszystkim ZSRR sobie poradził dzięki ogromnej ofiarności ludzi pracy zamieszkujących go narodów i narodowości oraz wspierających go pod hasłem międzynarodowego mas pracujących na całym świecie.

Stwierdzenie Thomsena o socjalizmie jako celu komunistów jest prawdziwe, ale tylko częściowo. Jeśli uwzględnimy sprzeczności, jakie się kryją za tym pojęciem, to możemy powiedzieć, że *jest i nie jest* tym celem. Otóż celem komunistów nie jest socjalizm – tylko komunizm! A Thomson sprawia wrażenie, jakby bał się tego pojęcia, chociaż należy do Komunistycznej Partii Danii. Dlaczego celem jest komunizm? Wynika to z sprzeczności samej istoty kapitalizmu i socjalizmu. Socjalizm nie stanowi całkowitej negacji kapitalizmu, nie jest odrębną formacją społeczno-ekonomiczną, lecz pewną ich hybrydą rozwijającą się *w kierunku* komunizmu, jeśli spełnione są określone warunki.

Lenin w artykule *Ekonomika i polityka w epoce dyktatury proletariatu* pisał: „Teoretycznie nie ulega wątpliwości, że pomiędzy kapitalizmem i komunizmem rozciąga się pewien okres przejściowy. Okres ten nie może nie łączyć w sobie cech lub właściwości obu tych ustrojów gospodarki społecznej. Ten okres przejściowy nie może być okresem walki między umierającym kapitalizmem a rodzącym się komunizmem – albo innymi słowami: między pokonanym, lecz nie unicestwionym kapitalizmem a komunizmem już narodzonym, ale jeszcze zupełnie słabym”¹².

Tak więc „socjalizm” jest i nie jest tym, czym się wydaje. Socjalizm jest pierwszą fazą formacji komunistycznej, w której trwa jeszcze walka tego, co burżuazyjne z tym, co komunistyczne. Nie przypadkiem Lenin w przededniu rewolucji w 1917 roku pisał w książce *Państwo a rewolucja*: „To, co zwykle nazywa się socjalizmem, Marks nazwał »pierwszą«, czyli niższą fazą społeczeństwa komunistycznego. Wobec tego, że środki produkcji stają się własnością *wspólną*, wyraz »komunizm« daje się i tu zastosować, jeśli się nie zapomina, że *nie jest* to pełny komunizm. Wielkie znaczenie wyjaśnień Marksa polega na tym, że i tu stosuje on konsekwentnie dialektykę materialistyczną, naukę

o rozwoju, rozpatrując komunizm jako coś, co się rozwija z kapitalizmem. Zamiast scholastycznie wymyślonych, »wyspekulowanych« definicji i bezowocnych sporów o słowa (co to jest socjalizm, co to jest komunizm) Marks daje analizę tego, co można by nazwać stopniami ekonomicznej dojrzałości komunizmu.

W pierwszej swej fazie, na swym pierwszym stopniu, komunizm *nie może jeszcze* być w pełni dojrzały pod względem ekonomicznym, całkowicie wolny od tradycji lub śladów kapitalizmu. Stąd takie ciekawe zjawisko, jak zachowanie w pierwszej fazie »ciasnego horyzontu prawa burżuazyjnego«. Prawo burżuazyjne (płaca według pracy – E.K.), jeśli idzie o podział produktów *spożycia*, zakłada oczywiście również nieuniknione istnienie *państwa burżuazyjnego*, ponieważ prawo jest niczym bez aparatu mogącego *zmuszać* do przestrzegania norm prawa.

Okazuje się, że w warunkach komunizmu [czyli właśnie socjalizmu – E.K.] utrzymuje się w ciągu pewnego czasu nie tylko prawo burżuazyjne, ale nawet państwo burżuazyjne – bez burżuazji!¹³

Stwierdzenie Lenina z wiosny 1917 roku, że po rewolucji pozostaną elementy *państwa burżuazyjnego bez burżuazji*, miało swój dalszy ciąg po wybuchu rewolucji październikowej. W grudniu 1920 roku, a więc trzy lata po zdobyciu władzy przez bolszewików, podczas dyskusji o roli związków zawodowych mówił on, że »państwo nasze jest robotnicze z *biurokratycznym wypaczeniem*«. Były tego daleko idące konsekwencje praktyczne. Dlatego Lenin mówił »Nasze obecne państwo jest takie, że powszechnie zorganizowany proletariatus musi bronić się, my zaś musimy te organizacje robotnicze wykorzystać do obrony robotników przed ich własnym państwem i do obrony naszego państwa przez robotników. Jedna i druga obrona realizowana jest poprzez swoisty spłot naszych posunięć państwowych i naszego porozumienia, »zrastania się« z naszymi związkami zawodowymi!¹⁴

Ten brak dostatecznej obrony robotników przed polityką ich »własnego« państwa, był z pewnością przyczyną rozerwania więzi pomiędzy partiami deklarującymi się jako komunistyczne a klasami robotniczymi w »bloku wschodnim«. To, że było to państwo »burżuazyjne bez burżuazji« i że świadomość burżuazyjna była powszechną wśród mas pracujących, jak i przewodzących im elit, z pewnością ułatwiły pokojowy przebieg kapitalistycznej transformacji, czyli kontrrewolucji lat 1989-1991.

Ale nie ograniczamy się tylko do powyższych wypowiedzi Lenina. Doświadczenia tzw. realnego socjalizmu wykazały, że sama nacjonalizacja ziemi, zakładów przemysłowych, handlu i usług nie oznaczała jeszcze, wbrew temu co głoszą neoliberalowie, *komunistycznego* uspołecznienia. Nacjonalizacja, jako akt prawno-państwowy stwarzała bowiem jedynie *punkt wyjścia do realnego* uspołecznienia w wyniku długiego i złożonego procesu.

Uspołecznienie własności (nacjonalizacja) w okresie socjalizmu miało zatem *formalny* charakter, ponieważ nakładało się na odziedziczony po kapitalizmie społeczny podział pracy, a zatem zawierało potencjalną możliwość reprivatyzacji wszelkiej własności społecznej w sprzyjających warunkach politycznych. Przewyciężenie tego podziału pracy na pewno nie jest

sprawą jednego czy dwóch pokoleń, a w podziale pracy konkretyzuje się klasowy podział społeczeństwa. Louis Althusser pisał, że celem klasy panującej jest reprodukcja stosunków produkcji, będących stosunkami wyzysku. Podział pracy w produkcji, represji, ideologicznej manipulacji, działalności naukowej i wyzysku – musi ten wyzysk zapewniać. Stąd też »techniczny podział« pracy istnieje tylko w ramach ideologii klasy panującej: cały »techniczny« podział, cała »techniczna« organizacja pracy jest maską i formą społecznego (to znaczy klasowego) podziału i organizacji pracy. Reprodukcja stosunków produkcji może zatem być tylko przedsięwzięciem klasowym. Realizuje się ona poprzez walkę klas, która przeciwstawia klasę panującą klasie wyzyskiwanej¹⁵.

Ponieważ reprodukcja stosunków produkcji ukierunkowanych na realizację wyzysku odbywa się poprzez walkę klas, zmiana stosunków produkcji na pozabawione wyzysku, dokonana może być również na drodze walki klas. Likwidacja starego podziału pracy nie może ograniczać się do stosunkowo szybkich i powierzchniowych zmian na mocy dekretów czy ustaw. Zmiany muszą być bardzo głębokie i objąć powstanie całkowicie nowej struktury zawodowej, znaczne skrócenie czasu pracy i likwidację wszelkich przywilejów z tytułu wykonywanej pracy oraz poczucia krzywdy czy marginalizacji.

Rewolucje naukowo-techniczna i informatyczna doprowadziły do likwidacji niektórych sprzeczności społecznych pomiędzy pracą fizyczną i umysłową, czy między miastem i wsią, ale jednocześnie doprowadziły do powstania nowych sprzeczności i ich zaostrzenia w tonie samej pracy umysłowej. Zaostrzyła się sprzeczność pomiędzy starymi i nowymi rodzajami pracy umysłowej, pomiędzy mniej i bardziej skomplikowaną pracą umysłową. Zmonopolizowanie wysoko złożonej i skomplikowanej pracy umysłowej (np. związanej z produkcją komputerów i specjalistycznego oprogramowania, czy inżynierią genetyczną) nadaje nawet tej sprzeczności wymiar międzynarodowy. Korporacje Stanów Zjednoczonych mogą ściągać haracz z firm i osób prywatnych na całym świecie, posługujących się komputerami i roślinami genetycznie modyfikowanymi.

W USA rejestruje się najwięcej patentów nowych rozwiązań technicznych, ale połowa tych wniosków pochodzi od osób, które zostały sprowadzone do USA z całego świata w wyniku »drenażu mózgów«. To dodatkowo zaostrza sprzeczności pomiędzy starymi i nowymi rodzajami pracy umysłowej oraz wszystkie inne sprzeczności kapitalizmu w wymiarze międzynarodowym. Stany Zjednoczone są najbardziej zagorzałymi rzecznikiem ochrony tzw. własności intelektualnej, co jest właśnie wyrazem zaostrzającej się sprzeczności między pracą fizyczną i umysłową oraz pomiędzy mniej i bardziej złożoną pracą umysłową.

Aby uniknąć restauracji panowania burżuazyjnego wyzysku i kapitalizmu po rewolucji proletariackiej, z uwagi na reakcyjno-konserwatywne znaczenie podziału pracy ukształtowanego w poprzedniej epoce, musiała być prowadzona państwowymi środkami świadoma walka klas, występować aktywna rola tzw. czynnika subiektywnego, czyli zachowana jedność i hegemonia klasy robotniczej, a partia komunistyczna musiała prowadzić pracę polityczną i agitację. Ale w latach

80. XX wieku partie w krajach realnego socjalizmu były komunistycznymi tylko z nazwy. Dlatego nie chciały i nie były już w stanie tego zrobić – stopień wewnętrznego rozkładu był daleko posunięty, widoczny szczególnie już po roku 1956.

Po upadku realnego socjalizmu atak na własność uspołecznioną (znacjonalizowaną) przypuściło również państwo, podważając znaczenie planu centralnego, który był m.in. wyrazem pewnego faktycznego uspołecznienia własności, a także wzywając do tworzenia „klasy średniej” i powszechnej prywatyzacji oraz paraliżując walkę wymiaru sprawiedliwości z przestępczością gospodarczą, aby dodatkowo wesprzeć procesy prywatyzacji własności społecznej i akumulacji pierwotnej kapitału.

Występowanie w realnym socjalizmie sprzeczności pomiędzy formalnym i realnym uspołecznieniem było nieuchronne. Zaostrzenie sytuacji politycznej i brak właściwego przywództwa politycznego otworzyły w tych warunkach drogę do przekształcania własności społecznej najpierw w grupową własność załóg poszczególnych fabryk, a następnie poszczególnych osób prywatnych. Istniejąca wówczas własność grupowa nie podlegała planowi centralnemu, ogólnospołecznemu zarządzaniu, regułom gospodarowania w sensie zatrudnienia, podatków, kredytów, handlu, eksportu. Takie podmioty gospodarcze, będące formalnie własnością ogólnospołeczną, stawały się prywatną własnością grupową, często poprzez więzi kooperacyjne pasożytowały na własności ogólnospołecznej, dążyły do maksymalizacji korzyści jedynie dla załóg poszczególnych przedsiębiorstw. „To grupowe uprzywilejowanie własności społecznej jest przejawem różnych form sprzeczności w łonie własności społecznej, źródłem konfliktów, walki, a czasem i katastrofy”¹⁶.

Formalny charakter uspołecznienia własności w wyniku nacjonalizacji w realnym socjalizmie sprawił, że powstały ustrój bardziej przypominał kapitalizm państwowy niż komunizm. O klęsce realnego socjalizmu nie przesądziło więc powstanie *Solidarności* (jak chcieliby jej kombatanci i historycy z Instytutu Pamięci Narodowej) czy imperialistyczny spisek i dywersja (jak chcieliby różnego rodzaju sowietolodzy i marksołodzy oraz kierownicy ośrodków dywersyjnych), lecz sprzeczności w ramach własności społecznej (tej znacjonalizowanej), konflikty interesów, prywatyzowanie własności ogólnospołecznej przez poszczególne kolektywy pracownicze i osoby zainteresowane obaleniem centralnego planowania. „Formalna własność społeczna została zniszczona przez realne procesy prywatyzacyjne w jej własnych ramach”¹⁷. Wszyscy ci, którzy świadomie lub nieświadomie dążyli do prywatyzacji i reprivatyzacji gospodarki w ramach tzw. kapitalistycznej transformacji ustrojowej, mitologizowali swoje cele i podnosili niczym zastonę dymną kwestie „wolności”, „demokracji”, walki z „biurokracją”. Skoro kapitalistyczna transformacja ustrojowa oznacza regres praw socjalnych i politycznych kilku następnych pokoleń pracującej większości społeczeństwa, to jej realizatorzy muszą głośno trąbić o apolityczności konstytucji (z jej trójpodziałem władzy, niezależnym sądownictwem, prezydenckim wyrazicielem woli narodu), ponieważ ma ona ten porządek uświęcać i uwieczniać.

Do klęski realnego socjalizmu przyczyniło się także nie panowanie nad funkcjonowaniem gospodarki towarowo-pięiężnej, a zatem i prawa wartości, co miało konsekwencje ustrojowe. Zdaniem Stanisława Kozyr-Kowalskiego (1936-2004) własność środków produkcji nie musi opierać się na bezpośrednim kontakcie właściciela z obiektem swej własności. Może ona bowiem być zapośredniczona poprzez własność pieniądza¹⁸. Doświadczenie realnego socjalizmu wskazało, że konieczne ukształtowanie dużych różnic płac i dochodów, pozwoliło na swoistą akumulację pierwotną i przekształcenie ich w kapitał, co było jednym z czynników, który ułatwił podważenie efektów formalno-prawnej nacjonalizacji i przekreślił możliwość budowy socjalizmu (komunizmu). Ulgi podatkowe dla zamożnych warstw społeczeństwa, wprowadzane przez rządy neoliberalne, przyczyniły się do wzrostu długu publicznego i dalszej rzeczywistej prywatyzacji gospodarki.

Polska była specyficznym krajem, w którym proces nawet formalnie rozumianego socjalizmu był najmniej zaawansowany, w porównaniu z innymi państwami bloku wschodniego, co dodatkowo zaostrzało wszystkie sprzeczności społeczne i nie przypadkiem Polska stała się najsłabszym ogniwem wspólnoty socjalistycznej i pierwszym państwem, w którym otwarcie proklamowano kapitalistyczną transformację.

W Polsce, podobnie, jak i w innych państwach realnego socjalizmu, jeśli uwzględnimy realne procesy, panował w rzeczywistości ustrój bliższy kapitalizmowi państwowemu, w którym dominującą pozycję zajmowała uprzywilejowana warstwa zarządzająca wszystkimi dziedzinami życia społecznego, która w istocie stanowiła wrogą pracującej większości społeczeństwa odrębną, wyzyskującą klasę społeczną. Uprzywilejowanie tej warstwy polegało nie tylko na wyższych płacach i łatwiejszym dostępie do funduszy spożycia zbiorowego, ale na zmonopolizowaniu procesu podejmowania decyzji i decydowaniu o kierunku realizowanej polityki i jej skutkach. Nie można warstwy tej utożsamiać z biurokracją, czyli ogółem pracowników biurowych (umysłowych), stanowi ona bowiem co najwyżej jej górną część, świadomą swych interesów i swej odrębności od innych grup społecznych. Uprzywilejowana warstwa zarządzająca mogła odegrać swoją przywódczą rolę w procesie kapitalistycznej transformacji, ponieważ miała szerokie oparcie w klasie robotniczej i innych grupach społecznych, które podzielały jej burżuazyjne wyobrażenia o przebiegu procesów społeczno-ekonomicznych i politycznych.

Przy takim ukształtowaniu stosunków produkcji, stanu wojennego wprowadzonego w Polsce w grudniu 1981 roku nie można rozpatrywać jako działania mającego na celu obronę socjalizmu i komunizmu, bo ich budowa została praktycznie poniekana już w 1956 roku, a to oznaczało w praktyce rozwój i umacnianie stosunków burżuazyjnych w każdej sferze życia społecznego. Budowa socjalizmu i komunizmu mogły zatem dopiero być zadaniem przyszłości, a nie przedmiotem obrony w 1981 roku. Przedmiotem obrony mógł więc być co najwyżej ówczesny kapitalizm państwowy, który niebezpiecznie szybko i żywiołowo zaczął przekształcać się w kapitalizm wolnokonkurencyjny z dominującymi interesami niejednolitej politycznie jeszcze wówczas uprzywilejowanej warstwy zarządzającej. Warstwa ta, której patronował Wojciech Jaruzelski, w 1980 roku,

przy ówczesnym stanie antykapitalistycznych nastrojów społecznych nie mogła jeszcze otwarcie przekształcić się w zwartą klasę prywatnych właścicieli przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych. Do tego zadania intensywnie przygotowywała się przez całe lata 80., po wprowadzeniu stanu wojennego, by dopiero w 1989 roku wystąpić wspólnym frontem z elitami skupionymi wokół NSZZ Solidarność, stanowiącymi wcześniej formalnie antyustrojową opozycję – w rzeczywistości były opozycją nie wobec socjalizmu i komunizmu, ale wobec kapitalizmu państwowego, kierującymi się ideologią neoliberalizmu. Elity te dla swoich zamiarów uzyskały poparcie kapitału międzynarodowego. Wojciech Jaruzelski uważany przez wielu partii członków za komunistę i obrońcę socjalizmu, obiektywnie rzecz biorąc patronował procesom kapitalistycznej transformacji i liberalizacji gospodarki. Jednak początkowa ich żywiołowość i szybkość wywołała przerażenie całej jego ekipy i dlatego zmusiła ją do wprowadzenia stanu wojennego. Stan wojenny wprowadzono ze względów pragmatycznych, a nie ideologicznych.

Tak to wyglądało w Polsce i ma to zapewne znacznie szerszy wymiar. Jeśli więc Thomsen pisze, że „W połowie lat 80. Związek Radziecki zainicjował politykę reform, która powinna zmodernizować gospodarkę i doprowadzić do ponownego postępu. Reformy, znane jako Pieriestrojka i Głasnost', nie były dobrze przemyślane. Ideologiczne fundamenty zbudowano z pozytywizmu i neokantyzmu – nie z marksizmu!” – to właściwie nie wiadomo z punktu widzenia klasowego o co chodzi. Co znaczy „polityka reform”, „ponowny postęp” i jakiego „marksizmu”, skoro w ówczesnym okresie przekształcił się on w swoisty rytuał, w rodzaj ideologii burżuazyjnej wspomnianej uprzywilejowanej warstwy zarządzającej? Jeśli przyjmujemy za prawdziwe stwierdzenie, że ideologicznym fundamentem były neokantyzm i pozytywizm, to skąd się one wzięły i czyje interesy wyrażały reformy oparte na ich teoretycznych podstawach? Thomsen pisał, że idealizm wyrażał interesy klas posiadających, a czyje interesy wyrażał neokantyzm i pozytywizm doby *Pieriestrojki* i *Głasnosti* w ZSRR i innych państwach byłego tzw. obozu socjalistycznego?

Czy rzeczywiście jedną z przyczyn upadku ZSRR był – jak sugeruje Thomsen – „brak konsekwencji w reformach z 1956 roku”, „brak ogólnego zarządzania i konkretnych planów realizacji odnowy”? Wydaje się, że było przeciwnie, bowiem ci, którzy te burżuazyjne w istocie reformy realizowali, byli bardzo konsekwentni i świadomi celów, do których dążyli, skoro potrafili nawet zdelegalizować KPZR i ostrzelać parlament rosyjski z dział czołgowych. Rozpad ZSRR i jego negatywne skutki dla klasy robotniczej i ruchu robotniczego widoczne są na całym świecie. Gorbaczow ponosi za to osobistą odpowiedzialność. Lansował „nowe myślenie”, które sankcjonowało postępujący ideologiczny rozkład KPZR. Wspierał takich ludzi jak Jaruzelski... W Rumunii służby specjalne (wsparte przez służby specjalne byłego ZSRR, gdy na jego czele stał Gorbaczow), w brutalny sposób, na oczach milionów ludzi zamordowały Nicolae Ceaușescu wraz z małżonką, bez dania im możliwości obrony i prawa osądzenia...

Kontynuację jakich reform po 1956 roku ma na myśli Thomsen, skoro nawet antykomuniści przyznają, że w 1956 roku budowa komunizmu została praktycznie

zablokowana? Konieczna jest klasowa analiza tych *reform*, które realizowano po 1956 roku i tych, które Thomsen ma na myśli. Rok 1956 nie stanowi „złotego okresu” w rozwoju komunizmu...

Jest oczywistym, że prawie każdy kraj obozu socjalistycznego miał swoich Gorbaczowów, Jelcynów czy Jaruzelskich, którzy okazali się likwidatorami partii komunistycznych i patronami burżuazyjnych reform, które zahamowały możliwość rozwoju socjalizmu i doprowadziły do restauracji kapitalizmu w różnych formach.

Thomsen słusznie wskazuje na konieczność uwzględnienia w określaniu strategii i taktyki ruchu komunistycznego, aktualnego etapu państwowego kapitalizmu monopolistycznego i doświadczeń ruchu robotniczego. Są one istotne w walce o zdobycie władzy politycznej. Ale nie mniej ważne są doświadczenia realnego socjalizmu, bez przeanalizowania których można tę władzę szybko utracić...

Ponieważ książka Thomsena składa się z różnych artykułów, nie dało się uniknąć pewnych niekonsekwencji i powtórzeń. Ale nie przeszkadzają one w tym, by stała się ona znaczącym zaczynem do dyskusji.

Lista problemów zaproponowanych przez Thomse- na z pewnością nie jest wyczerpana. W sytuacji, gdy pisze o groźbie wojny o nowy podział świata, pominał on, być może ze względów taktycznych, problem NATO i baz wojskowych USA na świecie. Najbardziej agresywne grupy imperializmu amerykańskiego dążą do sukcesywnego rozszerzania NATO i zmuszenia innych członków do zwiększenia wydatków zbrojeniowych do 2 proc. PKB. Stany Zjednoczone posiadają od 736 do 843 jawnych baz w około 50 krajach. Waszyngton przyznaje się do 80 dużych baz wojskowych na całym świecie. Wszystko zależy od tego jaką przyjmujemy definicję bazy. Baz wojskowych może być więcej, gdyż Amerykanie odróżniają je od „instalacji wojskowych” (np. lotniska zdalnie sterowanych dronów). W Europie bazy znajdują się np. w Niemczech i we Włoszech, a instalacje w Rumunii i Bułgarii¹⁹. Ponadto Stany Zjednoczone mają jedenaście lotniskowców, na których jest po kilka tysięcy żołnierzy i dziewięć uniwersalnych okrętów desantowych, które mają możliwości działania jako lotniskowce.

Niektórzy rosyjscy analitycy prognozują, że w związku z wyczerpywaniem się surowców energetycznych, w ciągu 15 lat dojdzie do wojny Rosji z koalicją kilku państw pod przewodnictwem USA o tereny Arktyki, do posiadania których przed wielu laty Rosja zgłosiła już swoje prawne pretensje. Wiele faktów wskazuje na to, że realizowana jest polityka faktów dokonanych. Do NATO przyjmowane są państwa znajdujące się wcześniej w radzieckiej strefie wpływów, a nawet wchodzące w skład byłego ZSRR, aby mogły one posłużyć za niezatapialne lotniskowce i bazy wypadowe. Próbuje się realizować koncepcję Trójmorza, aby osłabić związki w łonie Unii Europejskiej oraz narzucić Europie Środkowo-Wschodniej sprzedaż droższego amerykańskiego gaz ziemnego. Aby osłabić związki gospodarcze Europy Zachodniej z Rosją i pozycję Rosji, niektóre państwa (na czele z Polską wspieraną przez USA) starają się zablokować budowę gazociągu Nord Stream 2. Rosja i USA przerzucały się odpowiedzialnością o złamanie postanowień traktatu o likwidacji pocisków rakietowych pośredniego i średniego zasięgu, aż Stany

Zjednoczone ogłosiły swoje wystąpienie z tego traktatu, co praktycznie otwiera nowy wyścig zbrojeń.

Analiza tych i jeszcze innych faktów w ich całości kształcie i rozwoju może prowadzić do wniosku, że są one przygotowywaniem się do wojny na dużą skalę.

„Co robić?”

Thomsen przywołał pracę Lenina *Co robić? Pałace zagadnienia naszego ruchu*, że przyczyniła się ona do przewyższenia woluntaryzmu w działalności ruchu robotniczego. Stwierdzenie to jest bardzo ogólne i w swej ogólności prawdziwe i nie wywołujące większych kontrowersji. W tym miejscu należy dodać, że Lenin występował w niej przeciwko „legalnemu marksizmowi”, przeciwko ograniczaniu działalności ówczesnych socjaldemokratów do ekonomicznych protestów, wierze w burzącą kapitalizm rolę strajków o charakterze ekonomicznym, przeciwko domagającym się pełnej demokracji wewnątrz partii socjaldemokratycznej. Powszechnie znane jest jego stwierdzenie z *Co robić?*, że „Bez rewolucyjnej teorii niemożliwy jest również ruch rewolucyjny”²⁰.

W tej pierwszej obszerniejszej publikacji Lenin wystąpił z miążdzącą krytyką „ekonomizmu”, w którym widział formę oportunistu w międzynarodowym ruchu robotniczym będącym pod wpływem ideologii burżuazji. Kierunek ten korzył się przed żywiołową walką ruchu robotniczego, nie doceniał roli świadomości rewolucyjnej. Podjął on próbę zdominowania ruchu robotniczego pod hasłem „wolności krytyki”. Zdaniem Lenina jasnym było, że „wolność krytyki» oznacza wolność oportunistycznego kierunku w socjaldemokracji, wolność przekształcania socjaldemokracji w demokratyczną partię reform, wolność wprowadzania do socjalizmu burżuazyjnych idei i burżuazyjnych pierwiastków. Wolność – to wielkie słowo, lecz pod sztandarem wolności przemysłowej prowadzono najbardziej zbrojeckie wojny, pod sztandarem wolności pracy – grabiono ludzi pracy”²¹.

W walce z ekonomizmem Lenin sformułował tezę o rozstrzygającym znaczeniu walki politycznej w rozwoju społeczeństwa i walce proletariatu o zdobycie władzy politycznej – „podstawowy interes ekonomiczny proletariatu może być zaspokojony jedynie przez rewolucję polityczną, która zastąpi dyktaturę burżuazji dyktaturą proletariatu”²². Chałupnictwo „ekonomistów” w sprawach politycznych polegało również na tym, że mieszała oni działalność związków zawodowych z działalnością partii politycznej będącej najwyższą formą organizacji klasy robotniczej. Lenin domagał się utworzenia ogólnorosyjskiej partii rewolucyjnej, związanej z masami pracującymi, zdolnej do kierowania rewolucyjną walką klasy robotniczej. Rewolucyjna świadomość musiała zostać wniesiona do proletariatu z zewnątrz. W związku z panującym absolutyzmem carskim w Rosji Lenin zalecał, aby była to partia złożona z zawodowych rewolucjonistów, łączących działalność legalną z nielegalną.

Lenin w *Co robić?* zawarł koncepcję *partii nowego typu*, stosującej w praktyce zasadę centralizmu demokratycznego. Rolę kolektywnego organizatora walki politycznej powinno spełniać powołane w tym celu ogólnorosyjskie czasopismo polityczne. Powołanie takiego pisma pozwoliłoby rozwiązać kilka problemów. „I gdyby rzeczywiście udało się nam osiągnąć to, że wszystkie lub znaczna większość lokalnych komitetów, lokalnych

grup i kółek zabierze się czynnie do wspólnej sprawy, to moglibyśmy w najbliższej przyszłości założyć pismo tygodniowe, regularnie rozpowszechniane w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy w całej Rosji. Pismo to stałoby się częścią olbrzymiego miecha kowalskiego, rozdmuchującego każdą iskrę walki klasowej i wzburzenia ludu do rozmiarów pożaru powszechnego. Wokół tej sprawy, samej przez się jeszcze bardzo niewinnej i jeszcze bardzo niewielkiej, lecz regularnie prowadzonej i w pełnym znaczeniu słowa *wspólnej*, skupiałaby się i szkoliła systematycznie stała armia wypróbowanych bojowników”²³.

Podniesiona w *Co robić?* kwestia centralizmu demokratycznego w historii ruchu robotniczego wywoływała wiele kontrowersji. Zasada ta była powszechnie krytykowana w partiach „eurokomunistycznych” w latach 70. minionego wieku, została obśmiana w latach 80 tegoż wieku przez przeciwników socjalizmu. Thomsen nie pisze o zasadach organizacyjnych, jakimi miałyby kierować się marksistowska partia. Dziś w partiach prawicowych poprzez SMS-sy rozsyła się obowiązkowe komentarze, którymi, należy się posługiwać w kontaktach z mediami i wyborcami, odbiera się poszczególnym politykom prawo do wypowiedzi publicznych – i nic niedemokratycznego i centralistycznego się w tym nie widzi...

Lenin broniąc konieczności łączenia działalności legalnej z konspiracyjną występował przeciwko postulowanej przez oportunistów „szerokiej zasadzie demokratycznej”, która zawiera w sobie dwa warunki: pierwszy – całkowitą jawność, i drugi – obieralność wszystkich funkcji. Zasady demokracji wewnątrzpartyjnej mogły być wprowadzone w krajach demokratycznych i zapewniały w miarę właściwą selekcję partyjnych kadr. Ale w samowładnej Rosji, w najlepszym wypadku, mogły być wyrazem głupoty i niedoświadczenia, ułatwieniem dla żandarmów wyłapywania oddanych rewolucji ludzi. „Jest to szkodliwa zabawka, bo próby stosowania w praktyce »szerokiej zasady demokratycznej« ułatwiają jedynie policji urządzenie wielkich wsep i uwieczniają panujące chałupnictwa, odciągają myśl praktyków od poważnego, pilnego zadania, jakim jest wyrabianie się zawodowych rewolucjonistów, ku układaniu drobniagowych »papierowych« ordynacji wyborczych. Jedynie za granicą, gdzie nieraz zbierają się ludzie nie mający możliwości znalezienia sobie prawdziwej, żywej roboty, mogła gdzieśgdzie, zwłaszcza w różnych drobnych grupach, rozwinąć się ta »zabawa w demokracizm«”²⁴.

Dalej zaś pisał: „Jedyną poważną zasadą organizacyjną dla działaczy naszego ruchu powinna być: najsurowsza konspiracja, najsurowszy dobór członków, przygotowywanie rewolucjonistów zawodowych. Skoro te warunki zostaną spełnione, to zagwarantowane będzie coś, co jest ważniejsze niż »demokracizm«, mianowicie: pełne zaufanie wśród rewolucjonistów jako towarzyszy wspólnej sprawy. A to jest dla nas bezwarunkowo konieczne, albowiem nie może być nawet mowy u nas w Rosji o zamianie tego zaufania na powszechną kontrolę demokratyczną. I byłoby wielkim błędem mniemać, że niemożliwość rzeczywiście »demokratycznej« kontroli uwalnia członków organizacji rewolucyjnej od kontroli: nie mają oni czasu, by myśleć o zabawie w demokracizm (demokracizm w ramach ściślego trzonu towarzyszy, cieszących się pełnym zaufa-

niem wzajemnym), ale swą *odpowiedzialność* pojmują bardzo głęboko, wiedząc przy tym z doświadczenia, że w celu pozbycia się niegodnego członka organizacja prawdziwych rewolucjonistów nie cofnie się przed żadnymi środkami. A jest też u nas dość ustalona, mająca za sobą całą historię, opinia publiczna rosyjskiego (i międzynarodowego) środowiska rewolucyjnego, która z bezlitosną surowością karze wszelkie odstępstwo od obowiązków towarzysza wspólnej sprawy (a przecież »demokracja« prawdziwa, nie zaś demokracja dla zabawy, zawiera się jak część w całości, w owym pojęciu towarzyszy wspólnej sprawy!)²⁵.

Sprawa utrzymania elementów pewnej konspiracji rewolucjonistów w warunkach totalitarnej wszechwładzy oligarchii finansowej jest jeszcze bardziej aktualna, niż w czasach Lenina. Niestety, w tym względzie neoliberalizm całkowicie rozbroił rewolucyjny ruch robotniczy. Zabroniono działalności partii politycznych na terenie zakładów pracy, a wiadomo, że w nich widziano główne twierdze rewolucyjnej działalności; zobowiązano do działalności zgodnej z prawem (które jest przeciwieństwem zorientowane klasowo), zmuszono do ujawniania danych personalnych założycieli partii; zobowiązano do prowadzenia jawnej gospodarki finansowej, ale dochody oligarchii wspierającej partię prawicową objęte są tajemnicą; dzięki wprowadzeniu obowiązku elektronicznego przekazywania pieniędzy służby specjalne mają pełny dostęp do danych osób wspierających partię finansowo, ale oligarchia posługuje się osobami podstawionymi, aby ukryć siebie i wielkości przekazywanych kwot; zabroniono używania komunistycznej symboliki – czyli zabroniono używania rewolucyjnych sztandarów, ale nie ma przeszkód, by prawica dla podsylenia nacjonalizmu posługiwała się symboliką narodową i religijną itd., itp. Partie musiały programowo wyrzec się przemocy w polityce, co nie przeszkadza burżuazyjnemu państwu tworzyć specjalne formacje zbrojne policji, szkolone do walki z wszelkimi demonstracjami, coraz lepiej wyposażone w środki obezwładniające i pozwalające na identyfikację osób manifestujących. Po zwykłych aresztantów wysyła się zamaskowanych specjalistów od walki z „terroryzmem”. Deindywidualizacja zamaskowanych policjantów w oczach aresztanta czy demonstranta zapewnia im anonimowość i redukuje poczucie osobistej odpowiedzialności, i ograniczenia nakładane przez własne sumienie. „Dehumanizacja odbiera człowieczeństwo potencjalnym ofiarom tak, że są one uważane za podobne do zwierząt lub za nic”²⁶.

Pozostawienie poza zainteresowaniem problemu przemocy w polityce partii komunistycznych sprawia, że nie mają one swego stosunku do żywiołowych demonstracji ulicznych i strajków. Z kolei rozwój elektroniki i internetu dał do ręki służb specjalnych burżuazyjnego państwa narzędzia inwigilacji społeczeństwa i urzędowania do prowokacji, o których dawni dyktatorzy nie mogli nawet marzyć. Poprzez tzw. profilowanie i mapowanie różnego rodzaju instytucje „marketingowe” oraz służby specjalne przystosowane są do zwalczania opozycji politycznej, mają możliwość sterowania dopływem informacji do poszczególnych grup społecznych – zarówno w celach marketingowych, jak i politycznych. W Polsce policja i prokuratura pod rządami Prawa i Sprawiedliwości już skontrolowały niektóre konferencje naukowe na uniwersytetach, pod pretek-

stem, że mogą na nich być wygłaszane poglądy rewolucyjne... Należy porzucić złudzenie, że internet stanie się narzędziem rewolucji – nad siecią panują ci, którzy kontrolują serwery... Trzeba dopiero wypracować zasady jej wykorzystania do pracy politycznej... Natomiast Thomsen tylko raz porusza problem internetu, ale w odniesieniu do rewolucji naukowo-technicznej, a nie w odniesieniu do działalności politycznej.

Demokrację neoliberalną cechuje więc wiele sprzeczności. W Polsce władze wprowadziły zakaz działalności partii politycznych na terenie zakładów pracy, ale mają specjalne względy dla politycznej działalności popierających ją związków zawodowych (NSZZ Solidarność). Wprowadzono zakaz finansowania partii i kampanii wyborczych przez osoby prawne. Darowizny na rzecz komitetów wyborczych mogą dokonywać tylko obywatele polscy mieszkający na terenie Polski. Wpłaty muszą być dokonywane tylko na specjalne konta bankowe, co z jednej strony daje władzom możliwość kontroli i zablokowania ich w razie potrzeby, a z drugiej udostępnia dla władz dane osób wspierających poszczególne partie. Ograniczenie wpłat do wysokości kilkunastu płac minimalnych z pozoru jest wyrazem związku darowizn z najuboższymi osobami, faktycznie zaś znaczące wpłaty dokonują ludzie związani z biznesem, którzy mają swoje udziały w zyskach wypracowanych przez załogi „odpolitycznionych” zakładów pracy. Menagerowie i biznesmeni mają płace nawet kilkadziesiąt razy większe niż zatrudniani przez nich pracownicy. Stanowiska w wielu firmach mają z partyjnych rekomendacji, za co odwdzięczają się wpłatami na konta partyjne. Firmy, którymi kierują oddani partii rządzącej menagerowie, mogą pośrednio wspierać określone partie i komitety wyborcze poprzez zamawianie reklam, ekspertyz i opinii różnego rodzaju *think-tanków*, kierowanie zamówień do określonych drukarni i wydawnictw. Mogą też zgodnie z prawem przekazywać znaczne sumy, pochodzące z zysków wypracowanych przez załogi przedsiębiorstw, na działalność różnego rodzaju fundacji.

W USA problem jest bardziej przejrzysty. Już w 1907 roku ustawa Tillman Act zakazywała korporacjom finansowania kampanii wyborczych na szczeblu federalnym. Ustawa Tafta-Hartleya z 1947 roku wprowadziła zakaz finansowania wyborów do Kongresu przez korporacje oraz związki zawodowe. Jednakże 30 stycznia 1976 roku Sąd Najwyższy unieważnił kilka ustaw ograniczających rolę pieniądza w kampaniach wyborczych (orzeczenie w sprawie Buckley przeciwko Valeo) uznając, że wydawanie pieniędzy z zamiarem wpływania na wynik wyborów jest korzystaniem z wolności słowa, która podlega ochronie konstytucyjnej. Próba regulowania takich wydatków uznana została za łamanie wolności słowa. W styczniu 2010 roku zezwolono firmom na wydatkowanie dowolnych sum w celu zwalczania lub promocji określonego kandydata. W ten sposób ograniczona została rola składki i ofiarności poszczególnych obywateli i członków partii na rzecz funduszy korporacji, które żądają ich „zwrotu” w okresie powyborczego udziału we władzy. Dokonała się transsubstancjacja wyborcy w ciało i krew oligarchii finansowej – pieniądź, i on rządzi kampanią wyborczą. Pieniądź, fundusze korporacji i ich zarządy stały się w ten sposób nowymi podmiotami wyborczymi przesądzającymi o losach kampanii wyborczych. 200 najbo-

gatszych obywateli może decydować o wynikach wyborów w czasie kilku kolejnych kampanii.

Skoro wybory w USA odzwierciedlają zasady rynkowe, to wpłaty na fundusze wyborcze traktuje się jak inwestycje, które powinny zapewnić odpowiednie „zwroty”. Drugą stroną tego procesu jest upowszechnianie się przekonania, że nie można podważyć panowania wielkich korporacji. Aby zachować pozory równowagi, Sąd Najwyższy zezwolił również na finansowanie kampanii wyborczych związkom zawodowym. Wiadomym jest jednak, że ekonomiczna siła koncernów naftowych, zbrojeniowych, chemicznych jest bez porównania większa, niż związków zawodowych.

W Stanach Zjednoczonych istnieje więc sprzeczność pomiędzy zakazem działalności partii politycznych na terenie zakładów pracy a polityczną działalnością kierownictwa korporacji, które wpływają na przebieg procesów politycznych, ale nie ponoszą żadnej politycznej odpowiedzialności. Mogą również ze względów „bezpieczeństwa” finansować kandydatów przeciwstawnych partii, stwarzając w ten sposób pozory pluralizmu politycznego i ideologicznego. Jest to specyficzny wraz z jedną z podstawowych sprzeczności kapitalizmu – sprzeczności między pracą i kapitałem.

Z pozoru jest to problem wewnętrzny Stanów Zjednoczonych, ale z uwagi na ich mocarstwowy charakter i wpływanie na wyniki wyborów w wielu państwach świata, sprzeczności te nabierają ostrości i powszechnego charakteru. Ruch komunistyczny musi mieć własne zdanie wobec tak zwanych wojen prewencyjnych oraz służących eksportowi „demokracji”...

W praktyce mamy więc do czynienia z formalną demokracją i opisanym przez Giorgio Agambena państwem stanu wyjątkowego²⁷. Są to rządy oligarchii finansowej, które z etymologią demokracji – ludem, stanowiącymi jego większość pracownikami najemnymi – nie mają nic wspólnego. Dlatego strategia i taktyka partii komunistycznych powinna być dostosowana do tych warunków.

Wiele ukazanych tu sprzeczności jest wynikiem uwzględnienia postulowanej przez Thomsena analizy procesu rewolucji naukowo-technicznej i informatycznej oraz globalizacji. Konieczne jest odczytanie myśli Lenina zawartych w *Co robić? Pałace zagadnienia naszego ruchu* przez pryzmat tych procesów.

* * *

Thomsen stawia pod dyskusję wiele ważnych problemów – tylko wymiana doświadczeń pomiędzy marksistami i demokratami Zachodu i Wschodu może służyć wypracowaniu właściwej strategii i taktyki w walce o demokrację, pokój i socjalizm (komunizm)! Międzyimperialne sprzeczności sprawiają, że przebieg procesów politycznych ulega przyspieszeniu. Zapewne jeszcze wiele czasu upłynie, zanim międzynarodowy ruch robotniczy otrząśnie się z klęski, jaką poniósł na przełomie lat 1989-1991 i przystąpi do ofensywy...

EDWARD KAROLCZUK

Poglądy, analizy i oceny obydwu Autorów: książki i jej obszernego omówienia reprezentują jeden z nurtów współczesnego marksizmu, nawiązujący do jego ortodoksyjnej tradycji. Zdecydowaliśmy się przybliżyć ten sposób myślenia czytelnikom „ZDANIA”, żeby uzupełnić obraz dzisiejszej lewicy w Polsce i w świecie.

Redakcja

Przypisy:

- 1 Lars Ulrik Thomsen, *Fighting for Peace and Socialism - an analysis of imperialism in the 20th and 21. century*, Populi Publishers, 2019, s. 147.
- 2 L.U. Thomsen urodził się w 1946 roku w Kopenhadze. Od 2004 roku zaczął publikować książki w Populi Publishers w Esbjergu; o społeczeństwie, ruchu robotniczym, filozofii, historii, literaturze itp. Od 2015 r. jest członkiem rady redakcyjnej *Przeglądu Komunistycznego* (Communist Review) w Wielkiej Brytanii.
- 3 G. Lukács, *Wprowadzenie do ontologii bytu społecznego. Część I. Współczesny stan problemu*, Warszawa 1982, s. 33-34.
- 4 *Ibidem*, s. 47.
- 5 É. Balibar, *Trwoga mas. Polityka i filozofia przed Marksem i po Marksie*, Warszawa 2007, s. 83.
- 6 por. G W F Hegel, *Nauka logiki*, t. 1-2, Warszawa 2011.
- 7 Валентин Фердинандович Асмус, *Иммануил Кант*, Издательство „Наука”, Москва 1973, s. 231.
- 8 Валентин Фердинандович Асмус, *Иммануил Кант*, Издательство „Наука”, Москва 1973, s. 237.
- 9 Redaktorzy *Dzieł Wszystkich Lenina* podają, że teksty robocze do *Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu* zawierają wypisy ze 148 książek (w tym 106 niemieckich, 23 francuskich, 17 angielskich i 2 w przekładzie na rosyjski) i z 232 artykułów (206 niemieckich, 13 francuskich i 13 angielskich), zamieszczonych 49 różnych wydawnictwach. t. 27, s. 486.
- 10 K. Marks, F. Engels, *Apel Komitetu do Związku Komunistów (marzec 1850)*, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 7, Warszawa 1963, s. 298.
- 11 Karol Marks, *Osiemnasty brumaire’a Ludwika Bonaparte*, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 8, Warszawa 1964, s. 129.
- 12 W.I. Lenin, *Ekonomia i polityka w epoce dyktatury proletariatu*, w: W.I. Lenin, *Dzieła Wszystkie*, t. 39, Warszawa 1988, s. 261.
- 13 W.I. Lenin, *Państwo a rewolucja. Nauka marksizmu o państwie a zadania proletariatu w czasie rewolucji*, w: W.I. Lenin, *Dzieła Wszystkie*, t. 33, Warszawa 1987, s. 93.
- 14 W.I. Lenin, *O związkach zawodowych, o chwili bieżącej i błędach tow. Trockiego. Przemówienie na wspólnym posiedzeniu delegatów na VIII Zjeździe Rad, członków WCRZZ i MRZZ – członków RKP(b)*, 30 grudnia 1920 r., w: W.I. Lenin, *Dzieła Wszystkie*, t. 42, Warszawa 1988, s. 200-201.
- 15 L. Althusser, *Ideologie i aparaty ideologiczne państwa*, http://www.nowakrytyka.pl/pl/Ksiazki/Ksiazki_on-line/?id=888, 5.08.2019.
- 16 Jerzy Kochan, *Socjalizm*, Warszawa 2013, s. 68.
- 17 *Ibidem*.
- 18 S. Kozyr-Kowalski, *Klasy i stany. Max Weber a współczesne teorie stratyfikacji społecznej*, Warszawa 1979, s. 88-89.
- 19 Małgorzata Schwarzgruber, *Pajęczyna ze stali - bazy wojsk USA oplatają glob*, „Polska Zbrojna”, <https://wiadomosci.wp.pl/pajeczyna-ze-stali-bazy-wojsk-usa-oplataja-glob-6027752845218945a>, 5.08.2019.
- 20 W.I. Lenin, *Co robić? Pałace zagadnienia naszego ruchu*, w: W.I. Lenin, *Dzieła Wszystkie*, t. 6, Warszawa 1985, s. 23.
- 21 *Ibidem*, s. 8-9.
- 22 *Ibidem*, s. 45.
- 23 *Ibidem*, s. 157-158.
- 24 *Ibidem*, s. 129.
- 25 *Ibidem*, s. 130-131.
- 26 Philip Zimbardo, *Efekt Lucyfera. Dlaczego dobrzy ludzie czynią zło?*, Warszawa 2008, s. 305.
- 27 por. G. Agamben, *Stan wyjątkowy*, Kraków 2008.

KRZYSZTOF KWAŚNIEWSKI

KOMPROMISY A RÓWNOWAGA SPOŁECZNA

*Idź na spacer, Alegorio,
Pozwól nam spokojnie żyć.
Nam przykazał Ojciec Goriot
Pieśni śpiewać, wino pić!*

Ziemowit Fedecki i Andrzej Jarecki na scenie STS-u wyrazili chyba kiedyś w ten sposób wielką i ciągle aktualną tęsknotę – za zrozumiałością, prostotą i realizmem codziennego życia, za tymi łatwymi rozumowaniami, przysparzającymi sukcesów populistom. Mimo nieszczerliwego rymowania do ojca Goriot, który w niczym nie mógł być kojarzony z zalecaną beztroską – to był bardzo mądry apel. I tamto pokolenie buntowało się przeciw swym losom (a były one przecież o wiele trudniejsze niż dziś) i wtedy, po październikowej odwilży nie chcieli starej alegorii zastępować nową i nie mieli złudzeń, że nowa nie będzie już tylko alegorią – po prawdziwie ciężkim wojennym i powojennym czasie chcieli odpocząć.

Ale wszystko jest przecież (według wielu zwykłych ludzi) albo dobre, albo złe, za każde świadczone dobro przysługuje nagroda, a za złe kara itp. A tymczasem i te bardziej perspektywiczne, i te proste pragnienia oraz teologiczne, filozoficzne, a także polityczne o nich rozważania pełne są nieskończonej liczby alegorii. Najczęściej mających spełniać takie proste pragnienia. I właśnie nieumiejętność odczytywania tych alegorii (a przecież alegorie z zasady bywają w dodatku wieloznaczne) – w Polsce tak w owych czasach przed Październikiem 1956 jak i obecnie – rodzi aporie-paradoksy, nie sprzyja rozsądnemu zachowywaniu zdrowej równowagi i zawieraniu niezbędnych kompromisów. Tym bardziej że tych, którzy już wówczas potrafili samodzielnie takie kompromisy wypracowywać, dziś się często gromko potępia jako kolaborantów, jakby owoce tych właśnie kompromisów nie były ważną, a nawet niezbędną podstawą społeczną, kulturalną i cywilizacyjną późniejszego „bohaterstwa” transformacji.

RÓWNOWAGA

Zacząć pragnę jednak nieco anegdotycznie. Gdy jako młody, początkujący asystent w latach 50. ubiegłego stulecia zostałem kiedyś poproszony przez mojego mistrza, Profesora Kazimierza Dobrowolskiego, o przyniesienie mu do domu jakichś materiałów, dostąpiłem zaszczytu nie tylko wypicia po raz pierwszy w życiu nieosiągalnej wówczas herbaty Earl Grey, ale i chwili towarzysko-naukowej rozmowy (nie była to wówczas, zwłaszcza w Krakowie, sytuacja częsta i banalna...). Nie pamiętam już o czym była mowa, gdy na jakies

moje próby uogólnień Profesor powiedział mimochodem i z wahaniem: „A mnie się wydaje, że może najważniejsza jest jakaś teoria równowagi...”.

Nie kontynuował ani nie rozwijał tej myśli, ale mnie utkwiła ona w pamięci. Było to także nawiązanie do innej ważnej inspiracji, gdy mówił i pisał o zderzeniu (nie konflikcie!) kultur, a potem o *désaccord* – i nie *des civilisations*, ale *de civilisation*. Widział zatem w takich konfrontacjach raczej nie walkę, dążenie do wyeliminowania albo podporządkowania przeciwnika? partnera?, ale właśnie zaburzenia równowagi. Jeżeli dalsze moje rozważania będą godne jakiegokolwiek uwagi – to w tej wypowiedzi jest ich załączek. Profesor z pewnością znał dobrze koncepcje zmarłego wówczas, w czasie wojny, Bronisława Malinowskiego i jego tezę o samonaprawiającej się równowadze kultury, rozwiniętą później przez Talcotta Parsonsa (ale bardziej jako teoretycznego układu odniesienia niż jako rzeczywistego systemu). A jego metoda integralna, z szerokim i głębokim uwzględnieniem uwarunkowań historycznych (odziedziczonym ze studiów pod kierunkiem Alfonsa Dopscha) znacznie pole tej równowagi poszerzała.

PRAWO CZY SRAWIEDLIWOŚĆ

Nauki społeczne – czy się do tego bardziej, czy mniej przyznają – zmierzają jednak zawsze do poznania, zrozumienia, opisanie zjawisk po to, by móc z tego wyciągać wnioski oceniające i dyrektywne. Oczywiście błędy są możliwe nie tylko na etapie opisu i rozumienia, ale także oceny, a następnie uznania pewnych postępowań za wynikające z nich. Te błędy są z kolei (zwłaszcza w polityce...) znów oceniane, określane jako **wina** osób lub grup, które je popełniły, a ich korekty, zwłaszcza represyjne, uważane są za wymiar **sprawiedliwości** (w sensie dystrybucyjnym – a przecież może wymiar sprawiedliwości, zwłaszcza przebaczenie, jest w ogóle, czy powinno być **darem** – bardziej niż „dochód obywatelski”?). Zresztą sprawiedliwość „w ogóle” jest tak samo ogólnym pojęciem, jak np. „dobro”, „prawda”, czy „ład”, jest absolutnym kwantyfikatorem dodatnim (jeżeli wyjdziemy poza relatywizację do życia ludzkiego – eudajmonią). Ale nad sprawiedliwością zastanawia się przeciętny człowiek (i nie tylko...) głównie wtedy, gdy trzeba kogoś ukarać, ewentualnie czasem wynagrodzić, a więc

„wymierzyć” sprawiedliwość. W społeczeństwie czyni się to obrazami, ocenami i działaniami grupy odniesienia, zwłaszcza dysponującej środkami przymusu (fizycznego, ekonomicznego, opinii), autorytetu, manipulacji¹. Introspekcyjna, indywidualna refleksja nad sprawiedliwością (sumienie) pozostaje najczęściej (jeżeli nie zawsze) nieujawniona, choć to w niej mieści się indywidualne poczucie krzywdy, zasługi, a zwłaszcza winy. A to do niej odnosi się w największej mierze refleksja etyki zarówno religijnej, jak i świeckiej, to owo indywidualne poczucie jest domeną moralności. Zbiorem reguł rozstrzygających te dylematy w skali społecznej, zwłaszcza organizacyjno-państwowej – ale jednak nie w skali globalnej, lecz lokalnej i kulturowej – jest **prawo**. Jednakże prawo, po odrzuceniu ze względów humanitarnych pierwotnych praktyk mechanicznie „wyrównawczych” (zemsty, odpłaty, wergeldu) przyjęło w cywilizacji zasadę represjonowania nie samego czynu albo jego skutków, ale zamiaru przestępczego. Byłaby to zasada doskonała, gdyby mogła być realizowana w oparciu o pełną wiedzę o somatycznych, psychicznych, kulturowych i historycznych uwarunkowaniach osobowości sprawcy/ów. Tak jednak, mimo ciągłych starań (np. ekspertyzy, zwłaszcza psychologiczne, testy prawdomówności) nie jest i raczej nigdy nie będzie. Dlatego, a także wobec licznych uzurpacji dotyczących statusu takich grup odniesienia, przyjmowana jest najogólniejsza grupa odniesienia, którą jest ludzkość (człowieczeństwo?). Jako że – mimo usiłowań – nie potrafiono stworzyć ludzkości jakiegoś wyrazu organizacyjnego, w imieniu ludzkości występuje sfera refleksji zwana **moralnością**, religijnie bądź świecko motywowana. Umowne narzędzie regulowania ładu globalnego, jakim chce być **prawo międzynarodowe**, zbyt jest podporządkowane ładowi traktatowemu, a obciążone politycznymi hegemonizmami, by ją choć w części zastąpić. Dlatego także **wolność** jest bardziej kategorią moralną niż prawną, choćby w związku z tym, że zasada nieczynienia tego co narusza sferę wolności innych, nie może być zrealizowana tylko w stosunku do formalnie wydzielonych kategorii ludzi – nawet tak zdawałoby się wyraźnych jak płeć czy wiek.

Punktem wyjścia musi być rozumienie i funkcjonowanie społeczne pojęcia sprawiedliwości. *Honeste vivere, alterum non laedere, suum cuique tribuere* (żyć uczciwie, drugiemu nie szkodzić, każdemu oddać co mu się należy) to do dziś poważana zasada, którą sformułował Gnaeus Domitius Annius Ulpianus (zm. 223 n.e.), a która mówi wszystko nie mówiąc konkretnie niczego. Nie jest pewne, jak uczciwe życie może być i bywa definiowane nawet w tych samych kulturach i czasach, ani czy np. czyjeś szkody oceniane są przez ich sprawców, czy poszkodowanych lub korzyści przez ich beneficjentów, czy konkurentów. Szkodzenie innym bywa inaczej widziane podmiotowo (wina), a inaczej przedmiotowo (krzywda), a kto wie, czy nie jest w jakimś aspekcie nieodłączne od współżycia społecznego w ogóle (współżycia skądinąd przecież konstytutywnego dla samego człowieka). Tych wątpliwości nie rozwiązuje też najnowocześniejsza, przyjmowana obecnie zasada bezstronności Johna Rawlsa², która stara się usunąć powyższe wątpliwości dając wiele subtelnych dyrektyw pozostających chyba jednak tylko wskazówkami dążeń moralnych, niemożliwymi do wprowadzenia ich jako w pełni możliwych do wymagalnej realizacji w skali spo-

łecznej. (Moralność, podobnie jak psychę i soma może być ogólnym przedmiotem refleksji społecznej, natomiast realizacja jej zasad zawsze następuje w pełni tylko w skali indywidualnej).

Ludzie i somatycznie, i psychicznie, i biograficznie, i kulturowo nie są jednakowi. Nikt nie był i nie jest w stanie ani obdarować, ani ukarać ludzi sprawiedliwie, czyli tak, żeby ich poczucie zadowolenia, dumy czy przykrości, krzywdy, a zwłaszcza winy i skrucy było jednakowe. W związku z tym należy wysunąć tezę, że dokładny wymiar sprawiedliwości po prostu nie jest nigdy możliwy jeżeli przyjmujemy cywilizowaną zasadę prawa karnego, że odpowiada się za powzięty zamiar, a nie za realne skutki działania, że kara ma być rehabilitacją, a nie zemstą tylko, odstraszaniem czy nawet zabezpieczeniem społecznym i samo jej podwyższanie albo sprzeczne z podstawowym humanitaryzmem znoszenie przedawnienia nic nie dają. Dlatego wprowadzono takie cywilizowane zasady prawne, jak np. ogólne zasady współżycia społecznego, rozstrzyganie wątpliwości na korzyść oskarżonego, obrona konieczna czy stan wyższej konieczności – wszystkie do dyspozycji niezależnego sądu. Przypomnijmy też nieśmiało, że przestępstwa naprawdę rzadko (jeżeli w ogóle?) popełniają ludzie szczęśliwi...

RÓWNOWAGA A KOMPROMISY

Jak można najogólniej określić równowagę? Chyba tak, że jest to stan, w którym dwa zjawiska jako że sobą powiązane działają w bezpośrednio lub pośrednio przeciwnych kierunkach z tak idealnie jednakową siłą, że nie wywołuje to zmian w położeniu żadnego z tych ciał. Wbrew pozorom jednak to nie ta relacja, ale owo powiązanie, ów układ odniesienia („punkt oparcia”?) jest tu najważniejszy, bo zależnie od niego to relacja dwóch ciężarów jest lub nie jest jednakowa – tak jak w dawnej wadze zwanej „bezmianem”.

Na równowagę składają się nie dwa, ale trzy elementy: potencjał jednego i drugiego zjawiska (równowaga jest zawsze tylko bipolarna), ale i układ odniesienia, wobec którego potencjał ten jest porównywany. Siła każdego z równoważonych potencjałów (określimy ją w uproszczeniu jako siłę ciężania, przez analogię do „wagi”, choć nie tylko o tę siłę tu chodzi) zmierza automatycznie do wyłączności własnego potencjału, a zatem do zniwelowania i unicestwienia przeciwnego, co jest jednak dążeniem do samozagłady, bo naruszając równowagę niszczy się zarazem ową równowagę, w której jedynie własny potencjał ma znaczenie. Powstały monocentryzm (jeżeli już jest to zjawisko społeczne) szuka zwykle (prześciowego) samopotwierdzenia w ostentacyjnej konsumpcji, ceremoniale, samoapoteozie, przewartościowaniach „polityki historycznej”. Heraklita z Efezu maksyma, że *Πόλεμος πάντων μὲν πατήρ ἐστι* – spór jest ojcem wszechrzeczy – rozumiana dosłownie sprowadza równowagę do konfliktu, w dodatku często w najprymitywniejszej, siłowej postaci nie bacząc, że udana eliminacja przeciwnika jest zawsze początkiem tworzenia się nowego, wewnętrznego podziału – i konfliktu. Na naszych oczach to na przykład nie „nowa klasa panująca” ze swymi zgrzebnymi przywilejami, ale właśnie eliminacja przeciwnika klasowego i wprowadzenie najwyższej możliwej równości społecznej spowodowały nowe antagonizmy i zburzenie tego ładu przez „aktywne mniejszości”, sterowane i organizowane zresztą zwykle

(czy to od zewnątrz, czy od wewnątrz) jak w filmie francuskim *Jak się robi rewolucje* Tani Rakhmanovej (2006).

Uważam, że co najmniej częściowe przewyciężenie tych trudności i pogodzenie nie zawsze racjonalnego *vox populi* (głos ludu) z rzeczywistością, racjonalną demokracją dokonywać się może poprzez federalizm, a nawet binarny system sprawowania władzy.

Tęsknota za władaniem binarnym zaczęła się przebijać i we współczesnej nam publicystyce: czymże innym jest westchnienie Pawła Kowala „by władza czuła, że jutro może być zastąpiona inną”³. A może nie jutro, może winna liczyć się z tą drugą już dziś, nie po prostu ją „przegłosowywać”? i to bez wsparcia małych ugrupowań starających się osiągać swoje jako „języczek u wagi”?

Papież Franciszek mówił, że „jedność to nie jedyność, to pojednana różnorodność”. A więc „wygraliśmy wybory” nie upoważnia do tego, by „zniszczyć przeciwnika” nie tylko aktualnego, ale nawet i tego z historycznej przeszłości...

A cóż to jest równowaga społeczna? Czy widzieć ją należy tylko poprzez teorię gier⁴? Jak się ona ma do *modus vivendi* (sposobu życia), kompromisu, „pata”, „trzymał kozak Tatarzyna...”, „wet za wet”, dylematu więźnia? Konflikt jest jej przeciwieństwem czy warunkiem koniecznym? A czy możliwa jest tylko równowaga kulturowa, ale i to jeżeli kultury rozumieć nie oceniająco, lecz jako równoprawne inności?

Właściwie można chyba powiedzieć, że historia ludzkości to (rzadko świadome i celowe, ale jednak) poszukiwanie równowagi. Nawet już najpierwotniejsze „prawo pięści” doprowadza często do wniosku, że sami nie musimy się poddawać, ale równocześnie nie opłacają się starania o podporządkowanie i unicestwienie przeciwnika. Wszystkie rewolucje są właściwie dążeniem do przywrócenia równowagi, choć często rozumianej bardzo egoistycznie, więc dążąc do podporządkowania lub unicestwienia przeciwnika, przez co powstać może tylko układ znów monocentryczny, który nieuchronnie rodzi kolejną nierównowagę.

TRADYCJE WŁADZY BINARNEJ

Najogólniej równowaga jest zawsze taką relacją dwóch ciał, zjawisk, układów, która powoduje ich równość względem jakiegoś układu odniesienia. Równość ta nie jest więc bezwzględna, gdy odniesienie jest dla obu zjawisk jednakowe, równowaga oznacza równość, ale gdy nie jest jednakowe, to i równowaga występuje przy odpowiednio niejednakowych odniesieniach. Próbuując przekładać to na język humanistyki można powiedzieć, że równowaga społeczna może być różna w zależności od tego, jaki układ odniesienia przyjmujemy za decydujący: moralny, prawny, ekonomiczny, militarny, polityczny itp. Chociaż nie, polityka sama w sobie nie jest chyba układem odniesienia dla równowagi społecznej, jest tylko sztuką takich działań, aby za pomocą jak najmniejszych ustępstw (kosztów, ofiar, strat fizycznych, ekonomicznych i prestiżowych itp.) uzyskać stan równowagi społecznej dający się zaakceptować przy przyjęciu któregoś z uprzednio wymienionych układów odniesienia tej równowagi, albo przynajmniej utrzymać napięcie konfliktu na tym tle na poziomie niezagrażającym *status quo*.

Wydaje się, że można postawić tezę, iż dążenie do równowagi jest właściwie najważniejszym zjawiskiem politycznym świata. Nie wkraczając na odległe remini-

scencje kosmiczne można zauważyć, że czynnik dążenia do równowagi mieści się we wszystkich najważniejszych przeciwstawieniach, poczynając od rozróżnienia materialności i duchowości, płci, pokoleń, klas (pracy i posiadania), etniczności (jako niepodległego wartościowaniu różnicowania kultur równoważącego się w odpowiednich parach) i innych. Jest ona właściwie fundamentem wszystkich procesów dialektycznych, rozumianych nie jako walka/konflikt (co imputuje dążenie do zwycięstwa tylko jednej z opcji i stworzenia tylko nowego typu nierównowagi), lecz jako dążenie do jej stworzenia/przywrócenia.

Niestety, można zaobserwować ciągłą dewaluację takiego spojrzenia. Dwóch było pierwotnie konsulów, edylów, kwestorów, cenzorów (*Ilex Publilia Philonis de censore credendo* z 339 r. p.n.e. stanowiła nawet, że jednym z cenzorów miał być zawsze plebejusz), trybunów. Starorzymskie *senatus consulta* (uchwały senatu) i senat konfrontowane były z *plebiscita* i *concilia plebis*, (uchwałami i naradami plebsu), a anglosaski parlamentaryzm powstał przeciw w wersji dwuizbowej, też reprezentującej przeciwstawne interesy, zanim manipulacje i korupcja nie doprowadziły izb niższych, a później sprzeciw społeczny odwrotnie, wyższych, do funkcji korekcyjnych („izba refleksji”) albo najwyższej reprezentacji regionalnych.

Ciągle daje się zauważyć tendencja do „przeważenia” zamiast zrównoważenia – tym trudniejsza do ograniczenia, że bez owej dążności do przeważenia także utrzymanie samej równowagi nie jest możliwe: nie ma więc miejsca nie tylko na nadmiar agresywności, ale i na nadmiar ustępstw... Istnieje jednak możliwość dążenia do przewagi zgubna także dla zwycięzców i dla całej relacji, jak i ustępliwości nie wobec interesu przeciwstawnego, lecz wobec zachowania układu. Myśl, że w jakiegokolwiek konfrontacji i przeciwstawieniu zwyciężający będzie dbał o to, aby nie zwyciężyć całkowicie, wydając się zupełnie utopijna, skoro „samoograniczająca się rewolucja” okazuje się tylko propagandowym rozbrajaniem antagonistów. A jednak, jeżeli można mówić o jakiegokolwiek winie zbiorowej, zwłaszcza narodowej, to z socjologicznego punktu widzenia jest nią właśnie wszelkie dążenie do zaburzenia równowagi społecznej przez podporządkowanie, zwłaszcza wyeliminowanie przeciwnika (w gruncie rzeczy zawsze będącego jakoś partnerem).

Równowaga jest właściwie przeciwstawna wolności, bo stanowi rezultat samoograniczenia się, rezygnację z ryzyka (i perspektywy całkowitej dominacji, ale i klęski) na rzecz utrzymania *status quo* (i nie całkiem pewnych wynikających zeń korzyści), a więc wolności rozumianej jako „wolność od, zamiast do konfliktu”. Dążenie do równowagi wiąże się także z bardziej całościowym kształtowaniem własnej pamięci historycznej i posługiwaniem się nią w rozważaniach np. o „winie narodowej”. Z utrzymywaniem równowagi wiąże się też bardzo rzadka tendencja do dbałości o zachowanie osiągnięć przeciwników i do eliminacji własnych błędów; zamiast w pogoni za wyborczą popularnością odwrotnie, eksponować tylko własne sukcesy i błędy przeciwników.

Jasne i wyczerpujące zestawienie prawno-konstytucyjnych form federalizmu dała Danuta Kabat-Rudnicka⁵. Nawiązując przede wszystkim do doświadczeń amerykańskich rozróżnia ona modele: dualistyczny, kooperatywny, konkurencyjny i asymetryczny. Wydaje się, że

(nie wchodząc w szczegóły), w europejskich warunkach powiązania ustroju federalnego z historyczno-kulturowymi odrębnościami regionalnymi najbardziej stosowny byłby model konkurencyjny choćby dlatego, by objawiające się (czasem nieoczekiwanie...) ambicje przywódcze mogły się sprawdzać nie od razu na szczeblu ogólnopaństwowym, a wszystkie centralne instytucje nie musiały być skupione w jednym regionie.

„Model ten charakteryzuje się:

1) istnieniem niezależnych rządów stanowych i lokalnych, które samodzielnie ponoszą odpowiedzialność za dobrobyt ludności żyjącej na ich terenie;

2) sytuacją, w której w każdej jednostce terytorialnej koszyk dóbr i usług publicznych są równe wpływom, uzyskanym od podatników; koszty te nie są transferowane na zewnątrz, ani też transferowane do centralnego rządu lub przenoszone na podatników w całym kraju;

3) znikomym przepływem kosztów i korzyści z jednego obszaru kompetencji do innego, i brakiem porozumień ograniczających konkurencję między władzami stanowymi a lokalnymi;

4) rzetelną informacją dostępną dla konsumentów podatników na temat usług i kosztów ponoszonych tak przez rządy stanowe, jak i władze lokalne;

5) możliwością swobodnego przemieszczania się konsumentów podatników i tendencją do uważania usług publicznych i kosztów za istotne kryteria decydujące o wyborze miejsca zamieszkania.”⁶

Dodajmy, że w ten sposób zwolennicy różnych opcji mają okazję dowieść w „swoich” regionach słuszności przyjętych założeń, a nawet zawierać umowy międzynarodowe tylko z zastrzeżeniem, że nie mogą one być sprzeczne z interesami całej federacji.

Ciekawe, ilu polskich zwolenników demokracji wolnorynkowej albo patriotów deklarujących (przed wyborami) sympatie do wszelkich polskich tradycji regionalnych zgodziłoby się bez zastrzeżeń z tymi dyrektywami. Także aporia?

„Prawdę mówiąc, aby walczyć z dyscypliną, [...] nie należy zwracać się w stronę starego prawa suwerenności, ale szukać nowego prawa, które miałoby charakter antydyscyplinarny, ale które byłoby zarazem wolne od zasady suwerenności”⁷.

„Chodziło [...] o to, by uchwycić władzę u jej granic, w jej najdalszych rozgałęzieniach, tam gdzie się staje włoskowata, to znaczy by ująć władzę w jej formach i instytucjach najbardziej regionalnych, najbardziej lokalnych”⁸.

Sprzeciwu wobec projektów federalnej organizacji państwa polskiego nie tylko obciążone są czarną legendą „rozbicia dzielnicowego” (nie bacząc, że o wiele większe rozdrobnienie np. Niemiec na około 100 państwewek jakoś im nie zaszkodziło), ale w gruncie rzeczy nie odbiegają znacznie od ludowego, rubasznego porzekadła „grunt w kupie się trzymać, w kupie siła, kupy nikt nie ruszy”. Praktyka patriotycznego pielęgnowania tradycji (ale także i interesów) regionalnych polega natomiast często na uczeniu śląskich dzieci o „dzięcielinie” i stepach akermanskich albo na informacjach, że „oprócz Warszawy Barbakan jest t a k ż e w Krakowie”, a odtworzony z miernym wprawdzie sukcesem, ale jednak starszy od warszawskiego zamek królewski

w Poznaniu to zawsze „Gargamel” (epitet powtarzany np. w „Polityce” kilkakrotnie w jednym artykule).

Nie chcę powtarzać własnych argumentów za federalizacją regionalną (choć nie aż wojewódzką) Polski⁹, ale dodam, że losy kilkakrotnie odrzucanego uznania *ślonskiej godki* za język regionalny odnoszą się nie tylko do Śląska i nie tylko do języka¹⁰.

Wypada jeszcze zająć się wspomnianymi perspektywami dochodzenia do równowagi przez binarną organizację przynajmniej kilku naczelnych stanowisk. Wymagałaby ona poważnej refleksji konstytucyjnej, ale najogólniej widzę taką możliwość przez powierzenie tych stanowisk nie jednej, ale dwom osobom reprezentującym nie jedno, ale dwa najsilniejsze ugrupowania polityczne; osoby te musiałyby każdą decyzję podejmować wspólnie, dochodząc w razie niezgodności do kompromisu i to np. pod sankcją utraty stanowisk, nawet z utratą biernego prawa wyborczego na jedną kadencję, w razie nieosiągnięcia go. Ale to może być dopiero dalsza perspektywa.

Natomiast zakończyć chciałbym znów tak dyskutowanym dziś populizmem. Niechęć do centralizmu, do nieusprawiedliwionej dominacji stolicy i zdzieranych haczców – to ostatni może populistyczny argument niestychanie nośny, tego typu, że dzisiejsi populiści, zmierzający do centralistycznego jedynowładztwa, nigdy go nie użyją. I znów aporia: wbrew praktyce wiodących demokracji dzisiejsza polska opozycja demokratyczna też jest temu przeciwna...

KRZYSZTOF KWAŚNIEWSKI

Przypisy:

- 1 Trzymam się terminologii Z. Baumana z pierwszego podręcznika socjologii jego autorstwa: *Zarys socjologii, zagadnienia i pojęcia*, Warszawa 1962, PWN.
- 2 J. Rawls, *Teoria sprawiedliwości*, Warszawa 2009, PWN.
- 3 „Polityka” 2019, nr 23
- 4 A. Wieczorek, M. Malawski, *Równowaga społeczna. Wszystko jest grą „ACADEMIA”*. Panorama. Teoria gier, Nr 1 (21) 2010, s. 24-27, http://www.portalwiedzy.pan.pl/images/stories/pliki/publikacje/acad_wer_full/01_10/str_24-27_wieczorek.pdf.
- 5 D. Kabat-Rudnicka, *Modele federalistyczne w perspektywie porównawczej*, Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, r. 2010, nr 843, s. 5-21.
- 6 R. A. Dahl, *Federalism and democratic process* [w:] NOMOS XXV: Liberal democracy, red. J.E. Pennock, J.W. Chapman, New York University Press, New York 1983, s. 95-108 (cyt. i tłum. wg Kabat-Rudnicka op. cit.)
- 7 M. Foucault, *Trzeba bronić społeczeństwa. Wykłady w Collège de France 1976*, Warszawa 1998, s. 48
- 8 Foucault op. cit. s. 37
- 9 Por. np. K. Kwaśniewski, *Regionalizacja i regionalizm a podział administracyjny*, [w:] M. Latoszek (red.), *Regionalizm jako folklorizm, ruch społeczny i formuła ideologiczno-polityczna*, Gdańsk 1993, s. 187-195; Tenże, *O potrzebie autonomii regionów i federalnej struktury Polski*, [w:] J. Damsz, M. Konopka (red.), *Regiony kulturowe a nowa regionalizacja kraju*, Ciechanów 1994, s. 222-226, Prace Krajowego Ośrodka Dokumentacji Regionalnych Towarzystw Kultury, t. 13.
- 10 <https://tuudi.net/jezyk-slaski-argumenty-naukowe-przemawiajace-za-uznaniem-za-jezyk-regionalny/>

LECH M. NIJAKOWSKI

LUDOBÓJSTWO KLIMATYCZNE

Wpływ globalnego ocieplenia na przemoc zbiorową

Przewidywanie pogody jest trudne, zmian klimatu jeszcze trudniejsze, ale najważniejsi uczeni są zgodni co do tego, że globalne ocieplenie postępuje. Ustalenia organu ONZ pod nazwą Międzyrządowy Panel ds. Zmiany Klimatycznej (The Intergovernmental Panel on Climate Change - IPCC) są alarmujące¹. Tych, którzy głoszą, że ocieplenie klimatu to wymysł ekologów, można śmiało określać negacjonistami (denialistami) klimatycznymi. Trudno powiedzieć, co przyniesie nam przyszłość, ale pesymizm się szerzy, znajdując odzwierciedlenie w coraz modniejszych postapokaliptycznych w kulturze popularnej². Jednocześnie coraz więcej rządów i korporacji opracowuje – jawne i tajne – ekspertyzy, które mają pozwolić reagować w sytuacji załamania się porządku społecznego.

Globalne ocieplenie wpłynie na życie społeczne wielowymiarowo, a temperatura powietrza jest tylko jednym z czynników, choć kolejne rekordy ciepła w lecie 2019 r. w Europie nakazują nam myśleć o zagrożeniach wynikających z upałów. Inne destrukcyjne czynniki to gwałtowne zjawiska pogodowe (huragany, trąby powietrzne, burze), pustoszczenie rozległych obszarów, deficyty wody pitnej czy pojawianie się chorób i szkodników w regionach, gdzie wcześniej

były nieobecne. Jeszcze trudniejsza do przewidzenia jest reakcja społeczeństw; niektóre – przynajmniej w krótkiej perspektywie – mogą skorzystać z podniesienia się globalnej temperatury. Efekty globalnego ocieplenia będą zróżnicowane regionalnie i społecznie – w zależności od siły poszczególnych państw i gospodarek. W tym sensie pogłębią globalne nierówności, pogarszając sytuację krajów rozwijających się. Nie można liczyć na „wielkie wyrównanie” w niedoli. Nie ulega jednak wątpliwości, że globalne ocieplenie podgrzeje także atmosferę społeczną, prowadząc do nowych konfliktów etnicznych, wojen, a nawet ludobójstw.

Nowe wyzwania społeczne

Globalne ocieplenie wpłynie na różnych poziomach na światowy nieporządek. Bez wątpienia, kluczowym czynnikiem jest zwiększenie deficytów w poszczególnych regionach. Dotyczy to przede wszystkim wody pitnej, ale także ziemi uprawnej i liczebności gatunków, które można hodować, odławiać lub na które można polować. Co gorsze, deficyty pogłębiają się w regionach już teraz cierpiących z powodu niedostatku wody pitnej lub erozji gleby oraz dotykanych konfliktami społecznymi. W regionach tych często mamy do czynienia ze słabymi państwami, które obecnie nie radzą sobie z kluczowymi

¹ <https://www.ipcc.ch> (dostęp: 16.09.2019).

² L.M. Nijakowski, *Świat po apokalipsie. Społeczeństwo w świetle postapokaliptycznych tekstów kultury popularnej*, wyd. 2, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2019.

problemami własnych populacji. Niewielkie pogorszenie warunków może zatem prowadzić do gwałtownych zmian społecznych.

Można uznać, że to nazbyt alarmistyczne podejście, ale w historii znaleźć można liczne przykłady „ekologicznych apokalips”. Do wyobraźni przemawia zwłaszcza historia Wyspy Wielkanocnej na południowym Oceanie Spokojnym. Rabunkowa gospodarka, oparta przede wszystkim na wylesianiu, której imponującym owocem są słynne wielkie kamienne posągi, doprowadziła do zniszczenia zasobów i wywołała wielką wojnę. Kultura upadła, a ocaleni uciekali się do kanibalizmu. „Ekologiczna klęska doprowadziła nie tylko do erozji gleby, ale także erozji kultury”³.

Przykładów nie trzeba szukać w odległej przeszłości. Współcześnie wiele konfliktów wynika z walki o dostęp do zdanej do picia wody. W 1998 roku talibowie zamknęli śluzy tamy na rzece Hilmand, odcinając dopływ wody do irańskiego jeziora Hamoun. Wykorzystanie rzeki Jordan (do celów energetycznych i irygacyjnych) sprawia, że do Jordanii dopływa jedynie niewielka część wody. Jezioro Czad utraciło około 95 procent pierwotnej powierzchni, co wywołało konflikty graniczne między krajami sąsiadującymi z jeziorem⁴. Na Bliskim Wschodzie dominują konflikty o wodę, w Afryce subsaharyjskiej spornym zasobem są woda i ziemia uprawna, w Ameryce Środkowej i Południowej – ziemia uprawna⁵.

Gdy szerzy się głód, ludzie są gotowi do radykalnych działań, które wcześniej jednoznacznie by potępili. Mogą to być strategie już teraz występujące w różnych regionach świata, jak sprzedaż dzieci czy ogałanie ekosystemu z roślin i zwierząt nadających się do spożycia. Ale racjonalną strategią – w oczach ofiar głodu – jest także przemoc wymierzona w tych, którzy mają więcej zasobów, nawet jeśli wedle kryteriów mieszkalców Globalnej Północy są to biedacy⁶.

Przekonanie, że Globalna Północ długo będzie bezpieczna jest tylko złudzeniem. Wojny i inne konflikty, ale także załamanie gospodarcze spotęgują uchodźstwo, które trudno będzie jednoznacznie zaklasyfikować jako klimatyczne, polityczne lub ekonomiczne. Ostatni kryzys migracyjny w Europie pokazał, w jakim stopniu Unia Europejska nie jest przygotowana do przyjęcia dużej liczby uchodźców, wśród których część uciekała z regionów, które ogarnęły wojny spowodowane także kryzysami klimatycznymi.

W poszczególnych regionach erozja gleby wymusza migrację ludności, poszukującej nowych ziem uprawnych i pastwisk. To prowadzi do konfliktu migrantów z ludnością osiadłą. Może to być walka rolników, ale także zderzenie różnych form gospodarowania, np. osiadłych rolników i koczowniczych pasterzy. Tym samym nawet lokalne załamanie gospodarcze szybko „rozlewa” się na nowe regiony.

Przemoc może się zatem zaognić na długo przed tym, zanim temperatura podniesie się do poziomu, który sprawi, że życie ludzi na danym obszarze bę-

dzie niemożliwe. Ocieplenie klimatu wywołuje interakcje między czynnikami środowiskowymi, których do tej pory nie potrafimy dokładnie zdefiniować. Pojawiają się sprzężenia zwrotne, które mogą przyspieszać pogarszanie się warunków życia. Podobnie z organizmami społecznymi – nowe wyzwania mogą przynieść szkody, o których wiemy już teraz, ale także otwierać nieoczekiwane szanse rozwoju. Przykładem może być topniejąca pokrywa lodowa Oceanu Arktycznego, co otwiera nowe szlaki komunikacyjne i dostęp do zasobów naturalnych. To wielka szansa dla państw takich, jak Federacja Rosyjska, ale zarazem pole sporu między innymi północnymi państwami, które także chcą wydobywać odsonięte zasoby, zwłaszcza Danią (która, przypomnijmy, kontroluje Grenlandię), Islandią, Kanadą, Norwegią i Stanami Zjednoczonymi.

W nowych warunkach – jak możemy przewidywać – dominować będą nie totalne wojny między państwami, ale konflikty przewlekłe, z udziałem najemników i różnych niepaństwowych formacji zbrojnych. Zwłaszcza powstawanie lokalnych grup zbrojnych, tworzonych w oparciu o więzi etniczne, może potęgować przemoc związaną z walką o zasoby. Wiele tego typu konfliktów od dawna występuje m.in. w Afryce subsaharyjskiej⁷. W słabych państwach, gdzie od dawna toczą się konflikty zbrojne (np. Demokratyczna Republika Konga), niewielkie pogorszenie warunków życiowych wywołane zmianą klimatyczną może prowadzić do poważnego zaostrzenia konfliktu.

Gorące ludobójstwa

Ludobójstwa są wyjątkową formą zbiorowej przemocy, w której eksterminacja wyróżnionej przez sprawców kategorii społecznej staje się głównym celem, a władza, bogactwo czy prestiż schodzą na dalszy plan. Ideologia ludobójców sprawia, że wielu normalnych – w świetle standardów psychologicznych – ludzi jest gotowych zaangażować się w ten wielki projekt społeczny. Wizja wspaniałej przyszłości kraju bez Ormian, Żydów czy Hutu oczywiście motywowała ich do działania. Ale chęć zdobycia zasobów nigdy nie była jedynym źródłem anihilacji całych narodów czy grup etnicznych.

Ludobójstwa różniły się pod tym względem. Za każdym razem – podobnie jak w czystce etnicznej – chodziło o „oczyszczenie” spornego terytorium z osób zdefiniowanych jako wrogowie. W tym sensie terytorium było zasobem, o który toczyła się walka. Tureckie ludobójstwo Ormian w Imperium Osmańskim (przede wszystkim w latach 1915-1916) miało na celu stworzenie narodowego państwa Turków bez rdzennej mniejszości ormiańskiej, posądzanej o separatyzm. Niemcy systematycznie grabili Żydów, finansując z tych źródeł m.in. nagrody dla lojalnych nazistów. Hutu mordując sąsiadów Tutsi rabowali ich dobra i przejmowali pola, a głód ziemi w Rwandzie w 1994 roku był ogromny. Ale to obłąkańcza ideologia wyzwała mobilizację ludobójczą, zaś masowa eksterminacja pociągała za sobą realne koszty – zarówno dla poszczególnych sprawców, jak i w skali całego państwa.

3 H. Welzer, *Wojny klimatyczne. Za co będziemy zabijać w XXI wieku?*, przeł. M. Sutowski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2010, s. 77.

4 Tamże, s. 98.

5 Tamże, s. 134.

6 M. Caparrós, *Głód*, przeł. M. Szafrńska-Brandt, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016.

7 H. Münkler, *Wojny naszych czasów*, przeł. K. Matuszek, Wydawnictwo WAM, Kraków 2004.

Historia jest także pełna przykładów, gdy mordowano społeczności broniące swojej ziemi, która była postrzegana jako ważny zasób dla rolnictwa czy hodowli lub skrywała dobra naturalne. Historia kolonizacji sphywa krwią, wystarczy przypomnieć ludobójstwa częściowe w Wolnym Państwie Kongo (1880–1908), gdy była to prywatna kolonia króla Belgów Leopolda II (zmarło i zostało zamordowanych, jak się szacuje, około 10 mln Kongijczyków)⁸ czy w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej (1904–1905), gdy eksterminowano grupy Herero (ok. 65 tys. ofiar) i Nama (ok. 10 tys. ofiar)⁹. Bogacenie się dzięki przemocy nie jest tylko praktyką przeszłości. Do eksterminacji Indian Aché w Paragwaju doszło w latach 1968–1972. Dziś obok tradycyjnych wojen i czystek etnicznych mamy także do czynienia z przemocą wymierzoną w społeczności, które stoją na drodze rabunkowej gospodarki prowadzonej przez międzynarodowe korporacje¹⁰. Wydobywanie ropy naftowej w Ekwadorze, Birmie i Nigerii, miedzi i złota w Papui Zachodniej, wycinka drzew w Malezji czy wydobywanie uranu w Australii – to procesy okupione mordowaniem rdzennej ludności. Tym większego znaczenia nabiera krytyczny osąd pozwalający dostrzec, że zbiorowa przemoc, w tym ludobójstwa, mogą się optacać i optacają się różnym kategoriom społecznym.

W ludobójstwach sprawcy stali często przed dylematem – zabić znienawidzone ofiary czy też wykorzystywać ich niewolniczą pracę. Generalnie, gdy mieszkańców postrzegano jako potencjalne źródło akumulacji kapitału (dzięki pracy niewolniczej), oszczędzano ich. Gdy byli postrzegani jako bezproduktywni konkurenci do dóbr (np. ziemi uprawnej i pastwisk) – mordowano. Nawet w III Rzeszy i na terytoriach okupowanych wielu nazistów nie chciało wydawać Żydów mordercom, doskonale żyjąc z ich przymusowej pracy.

Niektórzy za pierwsze ludobójstwo klimatyczne uznają konflikt w Darfurze. To część wojny, która ogarnęła cały Sudan, dziś podzielony na dwa państwa (Sudan i Sudan Południowy). W Sudanie w ciągu ostatnich czterdziestu lat pustynia przesunęła się o sto kilometrów na południe, zajmując żyzne kiedyś ziemie. W latach 1967–1973 oraz 1980–2000 Sudan nawiedziła seria katastrofalnych susz¹¹. Minimalne opady deszczu zbiegały się z intensyfikacją konfliktów zbrojnych¹². „Spojrzenie na Sudan to spojrzenie w przyszłość” – zauważył Harald Welzer¹³.

W 1898 roku Brytyjczycy pokonali mahdystów i opanowali Sudan. Powstało anglo-egipskie kondominium, które przetrwało do 1951 r. Darfur, początkowo cieszący się autonomią, został ostatecznie włączony do kolonii. Sudan – jako republika – stał się niepodległym krajem w 1956 r. Od początku Sudan rozrywany był konfliktem między Północą a Połu-

dnem. Północ była arabska i muzułmańska, Południe – chrześcijańsko-animistyczne, zamieszkiwane przede wszystkim przez czarnoskórą ludność. Szybko doszło do otwartej wojny. Konflikt, przechodząc przez fazy o różnej intensywności, trwał pół wieku i przyniósł ogromną liczbę ofiar¹⁴. Do tego w 1988 r. Sudan padł ofiarą wielkiej klęski głodu (obie strony traktowały go jako narzędzie wojny)¹⁵. Ostatecznie w 2005 r. zawarto pokój, który tym razem okazał się trwały. Konflikt pochłonął 2 miliony ofiar i zmusił do ucieczki 4 miliony mieszkańców¹⁶. Jednym z postanowień pokojowych było przeprowadzenie referendum niepodległościowego w 2011 r. W jego efekcie 9 lipca 2011 r. Sudan Południowy stał się nowym afrykańskim państwem. Napięcia między krajami trwały jednak nadal, co związane było ze sporem o przebieg granicy, zwłaszcza wzdłuż pół roponośnych.

Jednym ze źródeł tej krwawej wojny była dyskryminacja Południa przez arabską Północ. Dotyczyło to także Darfuru. Wcześniej bogate państwo, pod panowaniem brytyjskim stało się wykorzystywanym i zaniedbanym regionem peryferyjnym. Politykę tę kontynuowały władze niepodległego Sudanu po 1956 r.¹⁷ Na terytorium Darfuru znajdują się nie tylko pola uprawne, ale również bogate złoża ropy naftowej. Muzułmański lud Fur liczy około miliona osób. Zajmują się przede wszystkim uprawą ziemi i hodowlą bydła. Ponadto w prowincji zamieszkują koczownicze ludy, głównie pochodzenia arabskiego, a także ludy: Masalit i Zaghawa (każdy liczy po około 350 tys. osób). Napięcia między osiadłymi rolnikami a koczownikami mają długą tradycję (do poważnych zamieszek doszło w 1986 r.), przy czym nie mają one charakteru religijnego, ale związane są ze stylem życia oraz rozbieżnymi interesami społeczno-ekonomicznymi¹⁸.

Na początku 2003 r. ugrupowania zbrojne w Darfurze (Armia Wyzwolenia Sudanu oraz Ruch Sprawiedliwości i Równości) rozpoczęły powstanie przeciwko rządowi centralnemu. Postulaty miały charakter społeczno-ekonomiczny, ale i polityczny – żądano udziału we władzy. Chartum odpowiedział przemocą. Powołał m.in. zbrojne milicje džandżawidów (ang. Janjaweed), które zbroił i finansował. Te konne oddziały składały się przede wszystkim z członków arabskich plemion. Początkowo darfurskie ugrupowania odnosiły sukcesy (zdobyły m.in. rządowe lotnisko), ale siły rządowe szybko odzyskały przewagę. Rozpoczął się przewlekły konflikt, w którym kolejne porozumienia pokojowe były szybko łamane.

Konflikt doprowadził do przemocy na ogromną skalę. Lotnictwo bombardowało wioski, armia przeprowadzała krwawe kampanie używając broni maszynowej. Ludzie byli paleni żywcem. Zatrowano studnie. Dżandżawidzi napadali na ludność osiadłą, zabijali ją, gwałcili, rabowali, uprowadzali dzieci. Spalono setki wiosek. Doszło do exodusu ludności oraz

8 A. Hochschild, *Duch króla Leopolda. Opowieść o chciwości, terrarze i bohaterstwie w kolonialnej Afryce*, przeł. P. Tarczyński, Świat Książki, Warszawa 2012.

9 D. Olusoga, C. Erichsen, *Zbrodnia kajzera*, przeł. P. Tarczyński, Wydawnictwo Wielka Litera, Warszawa 2012.

10 A. Domostawski, *Śmierć w Amazonii. Nowe eldorado i jego ofiary*, Wielka Litera, Warszawa 2013.

11 H. Welzer, *Wojny klimatyczne...*, s. 30–31.

12 N. Karamalla-Gaiballa, *Sudan. Konflikt w Darfurze (2003–2011)*, Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2017, s. 61.

13 H. Welzer, *Wojny klimatyczne...*, s. 31.

14 M. Meredith, *Historia współczesnej Afryki. Pół wieku niepodległości*, przeł. S. Piłaszewicz, Wydawnictwo Akademickie Dialog, Warszawa 2011, s. 308–310, 319–324, 523–532.

15 Tamże, s. 322.

16 Tamże, s. 532.

17 K. Kopiasz, *Konflikt w Darfurze. Źródła, przebieg, rola społeczności międzynarodowej*, „Studia Politicae Universitatis Silesiensis” 2009, 4–5, s. 263.

18 Tamże, s. 264–265.

wielkiego kryzysu humanitarnego¹⁹. Do lutego 2004 r. milion ludzi uciekło z zagrożonego obszaru²⁰. Samuel Totten, znany badacz ludobójstw, określił te masowe mordy mianem pierwszego uznanego ludobójstwa XXI wieku²¹. Jak się szacuje, w konflikcie zginęło 300-400 tysięcy ludzi – bezpośrednio zamordowanych lub zmarłych w wyniku wywołanego głodu, braku dostępu do pitnej wody i obrażeń²².

Masowe mordy w Darfurze są wypadkową przemocy wojny domowej, terroru, mającego na celu zastraszenie zbuntowanej ludności oraz brutalnego konfliktu o zasoby (w tym ziemię i źródła wody pitnej). Trudno tu mówić o planie anihilacji ludów: Fur, Masalit i Zaghawa. Bez wątplenia jednak skala przemocy i jej kontynuacja niezależnie od osiągniętych celów politycznych może skłaniać do uznania tych mordów za ludobójstwo częściowe, ściśle związane z presją ekologiczną.

Zmiana klimatyczna może jednak doprowadzić do powstania zupełnie nowej sytuacji, gdy mordowanie ludzi będzie opłacalne samo przez się. Katastrofalny brak środków do życia tworzy sytuację gry o sumie zerowej, gdy jeden człowiek musi być pozbawiony wody i żywności, aby drugi przeżył. W takiej sytuacji zabicie konkurenta nie wymaga rozbudowanych ideologicznych uzasadnień. Dzięki eksterminacji jednej grupy, druga będzie mogła dłużej korzystać z zasobów naturalnych. Wypędzenie konkurentów może być albo trudniejsze, albo niemożliwe.

Tym bardziej że nasilająca się przemoc w pewnych regionach oraz problemy w bogatych krajach mogą ograniczyć – już teraz umiarkowaną – skłonność mocarstw do interwencji humanitarnych. W 1994 roku, mimo jednoznacznych informacji, mocarstwa nie interweniowały w Rwandzie, gdzie trwało ludobójstwo Tutsi. W przyszłości mogą znaleźć się podobne wymówki, zwłaszcza gdy rządy będą musiały tłumaczyć się swoim obywatelom z narastających problemów lokalnych, takich jak przerwy w dostawie prądu czy wody pitnej.

W skrajnych sytuacjach konkurent może sam stać się zasobem żywnościowym. Kanibalizm jest postrzegany jako patologiczny margines w dziejach ludzkości, ale źródła archeologiczne pokazują, że nie była to rzadka strategia (nie chodzi tylko o rytualny kanibalizm). Kanibalizm pojawiał się także w historii najnowszej, wystarczy przypomnieć wielki głód na Ukrainie (1932-1933) lub II wojnę światową i oblężenie Leningradu. Zdesperowani ludzie spożywali innych ludzi, najczęściej zmarłych, choć zdarzały się także morderstwa w tym celu. Pokazuje to, że nawet rozwinięte europejskie społeczeństwa w czasach kryzysu mogą uciekać się do tej, powszechnie potępianej, strategii.

Ludobójstwo klimatyczne nie jest apokaliptyczną fantazją, ale realnym scenariuszem, który może się zrealizować zwłaszcza w słabych państwach, które już teraz borykają się ze skutkami zmian klimatycznych.

Ludobójstwo zawsze wydawało się niewyobrażalne i odrzucano pierwsze sygnały o masowych rzeziach. Przekonanie, że „dziś to się nie może zdarzyć” powtarzało się, powstrzymując wczesne interwencje. Dlatego trzeba wyobrazić sobie nie tylko niebezpieczne scenariusze przyszłości, ale już teraz przygotowywać się do skutecznego przeciwdziałania zbrodniom. Będzie to możliwe, jeśli na regionalne konflikty będziemy patrzyli nie tylko przez pryzmat doraźnych celów politycznych walczących, ale także głębokich, ekologicznych źródeł walki.

Zakończenie

Można powiedzieć, że utrzymując obecny model gospodarczy popełniamy autoludobójstwo. Narastające globalne ocieplenie ostatecznie uderzy bowiem we wszystkich, także w bogaczy ukrytych w luksusowych schronach. Zanim jednak warunki życia pogorszą się tak radykalnie, nasili się przemoc w różnych regionach, przynosząc negatywne konsekwencje nawet bardzo oddalonym krajom.

Jednym z konsekwencji globalnego ocieplenia może być występowanie ludobójstw klimatycznych. Narastające deficyty wody pitnej, ziemi uprawnej i zwierząt hodowlanych będą prowadziły do głodu, a ten do walki o pozostałą żywność. Nie będzie trzeba tworzyć wizji wspaniałej przyszłości, jak często postępowali ideolodzy ludobójców. Obcy będzie konkurentem do środków zapewniających przeżycie, którego trzeba eksterminować, aby przeżyć. Pomijając przypadki, gdy konkurenci staną się pożywieniem dla zdesperowanych ludzi.

Czarne scenariusze przyszłości nie muszą się spełnić, ale powinny nas zmuszać do przeciwdziałania już dziś. Tym bardziej że kryzys klimatyczny stanowi poważne wyzwanie dla funkcjonowania społeczeństw demokratycznych²³. Nie wystarczą strategie indywidualne – unikanie plastikowych słomek, oszczędzanie wody w gospodarstwie domowym czy jazda komunikacją publiczną. Niezbędne są radykalne zbiorowe projekty społeczne, prowadzące do obniżenia globalnej emisji dwutlenku węgla, ale także przygotowujących społeczeństwa Globalnej Północy do przyjmowania uchodźców klimatycznych i przeciwdziałania przemocy w zdegradowanych obszarach. Bez tego postapokaliptyczne scenariusze, które znamy z kultury popularnej, mogą się szybko zrealizować.

LECH M. NIJAKOWSKI

19 A.S. Natsios, *Moving Beyond the Sense of Alarm*, w: S. Totten, E. Markusen (red.), *Genocide in Darfur. Investigating the Atrocities in the Sudan*, Routledge, New York, London 2006, s. 25-42.

20 M. Meredith, *Historia współczesnej Afryki...*, s. 533.

21 S. Totten, *An Oral and Documentary History of the Darfur Genocide*, t. 1, Praeger Security International, Santa Barbara, Denver, Oxford 2011, s. 1.

22 Tamże.

23 C. Leggewie, H. Welzer, *Koniec świata, jaki znaliśmy. Klimat, przyszłość i szanse demokracji*, przeł. P. Buras, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012, s. 126-158.

NINA KRAŚKO

JAK POWSTAWAŁ KULT ROMUALDA RAJSA „BUREGO”

1. Po klęsce listy krajowej w wyborach 4 sierpnia 1989 r. przeprowadzono drugą turę wyborów do sejmiku i obóz władzy otrzymał ustalony odsetek mandatów poselskich, więc miał przewagę w sejmie. Jednak w odczuciu społecznym posłowie obozu rządowego mieli mniejsze moralne prawo do decydowania o kierunku przemian ustrojowych niż przedstawiciele strony solidarnościowej, która wyrażała faktyczną postawę społeczeństwa. Obóz solidarnościowy liczył na usuwanie niesprawiedliwości ustrojowych.

Rozpoczęto od zadośćuczynienia krzywdom ludzi, przeciwnikom ustroju komunistycznego. Tego dotyczyła ustawa uchwalona przez sejm kontraktowy 23 lutego 1991 r. przygotowana przez senat: „o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego” oraz za działania podjęte w celu uniknięcia represji w stosunku do siebie lub innych za taką działalność, a także za opór przeciwko kolektywizacji i obowiązkowym dostawom. Sejm objął ustawą wyroki wydane od początku 1944 r. do końca 1956 r. oraz wyroki z późniejszych lat, jeśli dotyczyły one czynów popełnionych w tym okresie, który określono w art. 1 ust. 1. (Dz.U. 1991 nr 34 poz. 149). Propozycja

senatu, a także komisji mniejszości sejmowej obejmowała cały okres powojennego państwa, aż do końca roku 1989, czyli także wszystkie wyroki wobec osób represjonowanych „z powodu korzystania przez nie z praw i wolności człowieka”. Ta propozycja została odrzucona, głównie dlatego, że chodziło nie tylko o unieważnienie wyroków, ale również o materialną rekompensatę i sejm uznał, że takiego obciążenia nie wytrzyma gospodarka państwa. Do tej sprawy wrócono dopiero w 2018 r., kiedy 22 listopada osobom pokrzywdzonym po roku 1956 przyznano możliwość otrzymania rekompensaty pieniężnej¹ (Dz.U. 2018 poz. 2099).

Na posiedzeniu sejmiku w 1991 r. w ogóle nie podejmowano dyskusji, czy wszystkie osoby, które mogłyby obejmować nowa ustawa, są godne tego, żeby uznać je za niewinne. Prawdopodobnie pojawiła się ona w czasie prac senatu, ponieważ zgodnie z art. 1 ust. 3 ustawa nie dotyczyła sytuacji jeśli „dobro poświęcone pozostawało w rażącej dysproporcji do dobra, które uzyskano lub zamierzano uzyskać, albo sposób działania lub zastosowany środek były rażąco niewspółmierne do założonego lub do osiągniętego skutku”.

¹ Ustawa przyjęta 22 listopada 2018.

Zalecono przeprowadzenie rehabilitacji osób niesłusznie skazanych oraz naprawienie krzywd wyrządzonych ludziom w tym okresie. W czasie rozpatrywania projektu ustawy przez Sejm RP w Izbie Karnej oczekiwało około 300, a u ministra sprawiedliwości około 1200 wniosków, większość z nich stanowiły wnioski o rehabilitację.

Posłowie odrzucili wnioski, żeby przestać na symbolicznej kompensacie osobom represjonowanym w latach 1944-1956, ewentualnie przyznać im możliwość skorzystania z instytucji rewizji nadzwyczajnej i wznowienia postępowania, które otwierałoby możliwość odszkodowania w trybie przewidzianym w rozdziale 50 obowiązującego kodeksu postępowania karnego.

W ustawie z 1991 r. najistotniejsze rozwiązania zawiera art. 8. W ust. 1 przewidywał odszkodowanie i zadośćuczynienie nie tylko moralne, ale także materialne, które w razie śmierci osoby represjonowanej będzie przysługiwało w takim samym zakresie małżonkowi, dzieciom lub rodzicom. Poseł sprawozdawca zwracał uwagę, że zakres uprawnień dla rehabilitowanych był znacznie szerszy niż przewidywało prawo cywilne i szerszy niż odpowiednie regulacje obowiązującego kodeksu postępowania karnego. Posłowie uznali jednak, że nie należy na to zwracać uwagi, ponieważ chodziło o prawo, które naruszało zasady sprawiedliwości.

Zadbane także (ust. 4) o osoby, które zostały zrehabilitowane w latach pięćdziesiątych i uzyskały kompensatę w trybie art. 510 kodeksu postępowania karnego z 1928 r. czy w trybie artykułu 487 i obowiązującego kodeksu postępowania karnego i w takiej sytuacji ta osoba nie mogłaby uzyskać ponownie odszkodowania lub zadośćuczynienia. Przyjęto, że względy słuszności wymagają, żeby to było możliwe, ponieważ ówczesne sumy kompensacji były bardzo niskie.

2. Wiele wyroków wydanych w okresie stalinowskim zostało unieważnionych jeszcze w czasach PRL; ludzie zostali zrehabilitowani, niektórym przyznano pewne finansowe i innego rodzaju materialne zadośćuczynienie. Początkiem oficjalnej zmiany podejścia do powojennego zbrojnego podziemia stało się II Plenum ze stycznia 1955 r. Wówczas przyznano, że w poprzednich latach wystąpiły „wypadki poważnego naruszenia praworządności przez poszczególne ogniwa służby bezpieczeństwa”². Uznano, że obywatele, którzy padli ofiarą naruszeń praworządności, powinni zostać zwolnieni z więzień i otrzymać rekompensatę. Cel ten realizowano przede wszystkim w latach 1956-1957 r. Prokuratura i sądownictwo zostały zobowiązane do przeprowadzenia rehabilitacji osób niesłusznie skazanych oraz naprawienia krzywd wyrządzonych w minionym okresie.

Rehabilitacja mogła być przeprowadzona w formie abolicji, amnestii, rewizji nadzwyczajnej, czy też wznowienia postępowania zakończonego prawomocnym wyrokiem. Wkrótce stwierdzono, że nie można osób niewinnych po prostu zwolnić z odbywania kary, trzeba sprawdzić prawidłowość procesów: czy zastosowano właściwe przepisy prawa, procedury i czy materiał

dowodowy był prawdziwy. Zgodnie z obowiązującym prawem tylko uchylene wyroku skazującego w drodze wznowienia postępowania dawało skazanemu możliwość uzyskania odszkodowania materialnego za krzywdę.

Z liczb podanych komisji sejmowej wymiaru sprawiedliwości na posiedzeniu w dniu 9 lipca 1957 r. wynikało, że z ogólnej liczby rozpatrzonych 4400 spraw o rehabilitację w 900 przypadkach przeprowadzono rehabilitację, a w 1000 przypadkach dokonano korekty wyroku słusznego w zasadzie co do winy, ale wymierzającego np. nieproporcjonalnie wysoką karę. W wypadku 2500 wniosków uznano, że wyroki były prawidłowe. Zapewne wśród odrzuconych były te, które odrzucono niesłusznie, ale także tych z podziemia, którzy zabijali milicjantów, żołnierzy polskich i radzieckich oraz ludność cywilną. Wśród tych osób przyjęto, że niektóre przeszły skuteczną reedukację i mogły wyjść na przedterminowe zwolnienia, innym udzielano przerw odbywaniu kary.

Powołana przy Urzędzie Rady Ministrów międzyresortowa komisja do pomocy osobom zrehabilitowanym przyznała pomoc w różnych formach, m.in. zapomóg pieniężnych, mieszkań, opieki lekarskiej, renty (osobie pokrzywdzonej lub rodzinie) czy uzyskania pracy (w sumie niewiele ponad 1500 świadczeń różnego rodzaju).

Już wówczas z dwóch stron krytykowano przebieg procesu i jego skutki. Jedni krytykowali, że proces prowadzą często ci sami sędziowie, którzy wcześniej wydawali publiczne wyroki, zaliczając ich do wrogów Polski, a rewizje wyroków wydawane przez Sąd Najwyższy są prawie tajne. Druga strona zarzucała, że niektóre rehabilitacje dotyczą niewątpliwych wrogów ustroju, skazanych za przeciwstawienie się ustrojowi socjalistycznemu i występowanie zbrojnie przeciwko niemu.

Podejście sejmu w roku 1991 zdecydowanie różniło się od rehabilitacji z lat pięćdziesiątych. Przede wszystkim przyjęto, że władza ludowa była narzucona, obca, więc walka zbrojna przeciwko niej była rozumna, usprawiedliwiona i godna pochwały, nawet po zakończeniu wojny. Zatem zabijanie przedstawicieli organów samorządowych nowych władz, członków PPR, członków Milicji Obywatelskiej, żołnierzy KBW i innych rodzajów Ludowego Wojska Polskiego, a także zabijanie żołnierzy radzieckich, nawet tych, którzy wracali z wojny do domu było zrozumiałe i słuszne. Prześstępstwem było zabójstwo niewinnych nieuzbrojonych cywilnych mieszkańców. Ale jeśli z ich strony oddziało zbrojnym zagrażało niebezpieczeństwo (na przykład przekazanie informacji organom porządkowym), kara (nawet kara śmierci) była usprawiedliwiona. Tej sytuacji dotyczył p. 2 art. 1 w którym mówi się, że artykuł 1 stosuje się również „jeżeli czyn został popełniony w celu uniknięcia w stosunku do siebie lub innej osoby represji za działalność o której mowa w tym przepisie”.

3. W latach dziewięćdziesiątych sądy przeprowadziły rehabilitację żołnierzy zbrojnego podziemia antykomunistycznego. Zrehabilitowano m.in. Józefa Kurasia „Ognia”, co oznaczało, że nie było nikogo, o kim można stwierdzić, że nie zasługuje na uniewinnienie. Działalność tego bohatera była bowiem wielokrotnie

² Zob. Diana Maksimiuk, *Problem rehabilitacji w latach 1956-1957*. „Miscellanea Historico-juridica” 2009, Tom VIII. Wszystkie dane dotyczącej tamtej rehabilitacji podaję za tym artykułem..

opisywana, zajmował się nią słowacki IPN. Właśnie na wyroki tych sądów z lat dziewięćdziesiątych i ich uzasadnienie powołują się wszyscy zwolennicy i wyznawcy Żołnierzy Wyklętych, i organizatorzy wszelkich uroczystości ku ich czci.

Chlubiono się, że w Polsce po II wojnie działało podziemie antykomunistyczne, które nie zaakceptowało wyników konferencji jaltańskiej i podjęło walkę zbrojną z nowymi władzami, mimo minimalnej nadziei na realizację stawianych celów. Ogromne zasługi w tworzeniu legendy podziemia miało Prawo i Sprawiedliwość. Prezydent Lech Kaczyński odsłonił 13 sierpnia 2006 r. w Zakopanem pomnik Józefa Kurasia „Ognia” i jego podkomendnych. Pojawiały się tablice mówiące o ludziach, którzy „poświęcili swoje życie w walce o wolną Polskę”. Taką tablicę w Hajnówce w kościele rzymskokatolickim świętych Cyryla i Metodego ufundował Jarosław Kaczyński, ówczesny premier. Prezydent Kaczyński skierował także projekt ustawy o ustanowieniu Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych (wniosek dotarł do marszałka Sejmu 5 marca 2010 r.). Pod obrady Sejmu przekazał go już prezydent Bronisław Komorowski. Przez dwa dni (2 i 3 II 2011) projekt pokonał całą drogę legislacyjną w sejmie, 2 II 2011 r. został pozytywnie zaopiniowany przez komisję kultury i środków przekazu, następnego dnia odbyły się dwa czytania i Sejm uchwalił ustawę, kolejnego dnia bez poprawek przyjął senat, 9 lutego podpisał prezydent Bronisław Komorowski. Ustawa została opublikowana (Dz. U. 2011 nr 32 poz. 160) i weszła w życie 15 lutego, co umożliwiło świętowanie już 1 marca.

W kulcie żołnierzy wyklętych i ich gloryfikacji od początku uczestniczyły prawicowe organizacje kombatanckie, rodziny dowódców i uczestników zbrojnego podziemia antykomunistycznego, Kluby „Gazety Polskiej”, Obóz Narodowo-Radykalny, Młodzież Wszechpolska i mnóstwo innych grup. Ogromną i, moim zdaniem, bardzo szkodliwą rolę odgrywa Instytut Pamięci Narodowej. W pracach określanych jako naukowe i w publicystyce członków zbrojnego ruchu oporu przedstawiano jako rycerzy bez skazy, działających zgodnie z najwyższymi zasadami moralnymi. Nikt z nich nie był antysemitą, bo jeśli zabijali Żydów, to z powodu ich przekonań komunistycznych, a dowodem na to było z grupy 25 Żydów zastrzelono tylko 11, a 7 rannych przecież pozostawiono żywych³. Zabijano komunistycznych chłopów, agentów sowieckich, tych, którzy dystansowali się od „leśnych”, nie a to nie wina zabijających, że wszyscy byli Białorusinami.

4. Doskonale widać to zjawisko na przykładzie legendy Romualda Rajsza „Burego”: peanów na jego cześć i corocznych marszy wystawiających jego aktywność na terenach zamieszkałych przez ludność prawosławną. Członkowie skrajnych organizacji nacjonalistycznych (m.in. Młodzież Wszechpolska i ONR) co roku przyjeżdżają do Hajnówki, żeby przejść po jej ulicach krzycząc „Bury, Bury - nasz bohater!”, „Cześć i chwała bohaterom”, „Armio wyklęta - Hajnówka o was pamięta”, „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”,

„Nie czerwona, nie tęczowa lecz Hajnówka narodowa”, „Wielka Polska chrześcijańska”, „Cześć waszej pamięci - żołnierze wyklęci”.

Rajs był zawodowym wojskowym, od 1943 dowódcą 1 kompanii szturmowej w 3 Wileńskiej Brygadzie AK. Po zajęciu Litwy przez wojska radzieckie i terenów Polski po prawej stronie Wisły, w październiku 1944 roku przedostał się do Białegostoku i na przełomie listopada i grudnia zgłosił się do Ludowego Wojska Polskiego pod fałszywym nazwiskiem Jerzy Góral. Od stycznia 1945 roku dowodził plutonem w batalionie Ochrony Lasów Państwowych w Hajnówce.

Ale już maju tego 1945 roku wraz z 29 innymi dezertarami przyłączył się do Zygmunta Szyndzielarza „Łupaszki”, który tworzył na nowo 5 Wileńską Brygadę AK, 9 maja 1945 roku został dowódcą jej 2 szwadronu. Po kilku miesiącach Rajs nawiązał kontakt z komendantem Okręgu III Białostok Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, mjr. Janem Szklarkiem ps. „Kotwicz” i wraz ze swoim szwadronem przeszedł do tej organizacji. Został awansowany do stopnia kapitana i 16 września został szefem Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS) w Okręgu NZW Białostok (dotychczasowy dowódca Kazimierz Chmielowski został jego zastępcą). Oddział, nazywany odtąd 3. Wileńską Brygadą NZW (w sumie 228 żołnierzy), stanowił największe ugrupowanie NZW na Białostoczczyźnie. „Kotwicz” wydał rozkaz, aby między 20 a 30 września 1945 r. przygotować i przeprowadzić pacyfikację terenów południowo-wschodnich powiatu Bielsk Podlaski⁴, która „dotyczyć będzie jednostek UBP stacjonujących na terenie 8-mej kompanii, agend UBP (szpicle), zorganizowanie odwetu na wrogiej ludności do sprawy konspiracyjnej”. Początkowo „Bury” zablokował realizację rozkazu, wrócił do tej sprawy na początku 1946 r.

Na początku 1946 r. Rajs próbował zająć Hajnówkę, w której był posterunek MO. Kiedy po paru dniach przybyli żołnierze radzieccy wracający do domu, musiał się wycofać. Oddział „Burego” zakwaterował się we wsi Łozice, na skraju Puszczy Białowieskiej. W tym czasie gospodarze z różnych wsi południowo-wschodniej części powiatu przyjechali do Łozic po drzewo na opał dla urzędów i szkół oraz do własnego użytku. „Bury” wybrał wozaków, którzy mieli lepsze konie i na tych furmankach w dniu 29 I 1946 r. wyruszył do wsi Zaleszany, gdzie zwołał zebranie wszystkich mieszkańców. Przed zebraniem zastrzelono 2 członków PPR (jeden miał 16 lat!). Następnie „Bury” zapowiedział, że puści dom i ludzi tam zebranych z dymem, po czym budynek podpalono. Ludzie uciekali przez wejście kuchenne, żołnierze Burego strzelali na postrach.

Następnie partyzanci podłożyli ogień pod wszystkie pozostałe domostwa. Mieszkańcy, którzy nie poszli na zwołane zebranie, spalili się żywcem lub zostali zastrzeleni w czasie próby ucieczki. Tym razem bowiem strzelając do uciekających partyzanci nie pudłowali. W sumie było 16 ofiar śmiertelnych. Jeszcze w czasie podkładania ognia w Zaleszanych część oddziału wyruszyła do wsi Wólka Wygonowska, gdzie zastrzelono 2 osoby. W następnym dniu w Krasnej Wsi „Bury” częściowo wymienił podwozy, a 31 I 1946 r. w pobliżu miejscowości Puchały Stare jego oddział rozstrzelał wszystkich wozaków (co najmniej 30, udało się usta-

3 <https://wpolityce.pl/polityka/141783-krotka-refleksja-na-temat-kontrowersji-wokol-postaci-jozefa-kurasia-ognia-odpowiedniej-perspektywy-i-patriotyzmu-pejzazu>. 7 października 2012

4 W rozkazie „Kotwicza” powiat nazywano „Burza”

lić tyle imion i nazwisk), zarówno tych, którzy przez parę dni przewozili żołnierzy z miejsca na miejsce, jak i tych, którzy dołączyli poprzedniego dnia. W dniu 1 lutego bojownicy spalili wieś Szpaki, i zastrzelili 5 osób i postrzelili kilka, z których 2 zmarło. Drugiego lutego 1946 r. spalono wieś Zanie, życie straciły 24 osoby, część zastrzelono, inne spłonęły w swoich domach, jeszcze inne zmarły od poparzeń. W tym samym dniu została spalona wieś Końcowizna, mieszkańcy zdążyli uciec.

Wsie, w których przeprowadzano pacyfikacje, były zamieszkałe przez ludność prawosławną lub prawosławni stanowili tam zdecydowaną większość. Rajs pozwalał odejść furmanom-katolikom, pytał też o wyznanie przed egzekucją, katolików oszczędzał. Kiedy jego partyzanci palili Zanie, nie tylko omijali zabudowania katolików, ale nawet prawosławnych, jeśli mieli oni za sąsiadów katolików.

Mimo że „Bury” w Ludowym Wojsku Polskim służył jedynie kilka miesięcy, później często on i jego bojownicy udawali wojsko ludowe⁵, przez co miejscowi Białorusini nie byli pewni, czy oddziały karne stanowią wojska rządowe, czy to przeciwnicy nowej władzy. I jedno, i drugie było możliwe, bo ubierali się podobnie, mówili po polsku. Zwykle, ale nie zawsze, „leśni” zaczynali od zastrzelenia podejrzewanych o komunizm, a rządowi nie zabijali.

W drugiej połowie lutego 1946 r. oddział „Burego” został przerzucony na północne tereny województwa białostockiego i w starciach siłami rządowymi pod Orłowem w woj. suwalskim w okolicach Czochanie Góry i Sliwowo-Łopienite oraz koło Różyńska Wielkiego (powiat Ełk) odniósł znaczne straty nie tylko wśród bojowników, ale także dowódców plutonu i drużyn. Mimo karanie śmiercią dezertów liczbą oddziałów podziemnych zmniejszała się.

W październiku Rajs wziął urlop i osiedlił się w Karpaczu. Tam został zatrzymany przez UB i skazany 17 listopada 1948 r. przez sąd w Białymstoku na karę śmierci, którą wykonano miesiąc później. W dniu 13 XII 1948 r. zatrzymano zastępcę „Burego” K. Chmielowskiego „Rekina”. Jego również skazano na śmierć.

5. Obydwaj zostali zrehabilitowani w 1995 r. Rodziny otrzymały odszkodowania⁶. W uzasadnieniu postanowienia o unieważnieniu wyroków skazujących R. Rajsa i K. Chmielowskiego Remigiusz Chmielowski, sędzia Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego stwierdził, że wszystkie działania obu skazanych „zmierzały do realizacji celu nadrzędnego, jakim był dla nich niepodległy byt Państwa Polskiego”⁷.

Sąd przyjął, że celem działalności R. Rajsa i K. Chmielowskiego w NZW było: „wyzwolenie kraju spod dominacji ówczesnego związku sowieckiego, a także

rozbięcie aparatu państwowego ówczesnego Ludowego Państwa”, w ich przekonaniu „dobra poświęcone przedstawiały mniejszą wartość od dobra ratowanego, tj. niepodległości i niezależności kraju”. Sąd przyznał, że nie może obiektywnie stwierdzić, że „działania podejmowane przez Romualda Rajsa i Kazimierza Chmielowskiego pomimo poświęcenia najwyższego dobra, jakim było życie ludzkie, były rażąco niewspółmierne i pozostawały w rażącej dysproporcji do skutków, które tymi działaniami zamierzano uzyskać, lub dóbr, które chciano chronić”. Rozkazy wydawane przez R. Rajsa i K. Chmielowskiego zostały w uzasadnieniu tego postanowienia uznane za „stan wyższej konieczności, który zmusił ich do podjęcia działań nie zawsze jednoznacznych etycznie”.

6. Prawosławni Białorusini przez długie lata nie występował z jakimikolwiek żądaniami wobec władz państwowych. Nie chcieli i bali się wywoływać kolejne spory etniczne i wzajemne obrzucanie się winami. Dopiero rehabilitacja tych, których uważali za bandytów i zbrodniarzy spowodowała, że zaczęli się upominać o własne krzywdy i o własną pamięć. Teraz społeczność białoruska miała już własną wykształconą inteligencję, która mogła pomóc sformułować ocenę sytuacji i żądania.

W 1995 r. przed wyrokiem sądu w Warszawie w sprawie rehabilitacji Rajsa, Społeczny Komitet do spraw Ekshumacji Szczątków Osób Pomordowanych w Puchałach Starych wystąpił z pismem do działającej wówczas Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Białymstoku o zbadanie tych spraw. Wniosek uznano za zasadny i sprawie nadano bieg (25 III 1997). Po powstaniu Instytutu Pamięci Narodowej prace zostały zawieszono, ale w 2002 r. (4 IV) postępowanie wznowiono, tym razem przez Oddziałową Komisję Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Białymstoku i „zostało ono wstępnie zakwalifikowane do kategorii zbrodni przeciwko ludzkości, których wyjaśnienie należy do prokuratora IPN-u i które nie ulegają przedawnieniu”⁸. Opracowanie IPN w Białymstoku jest obszerne, ponieważ wykorzystano w nim dokumenty pozostałe po procesie z 1949 r., dokumenty archiwalne PPR i służb bezpieczeństwa (UB) z tego okresu, przeprowadzono rozmowy z 169 osobami, którzy byli świadkami wydarzenia lub słyszeli o nich od swoich bliskich i krytycznie je zinterretowano.

Wyniki badań przedstawiono 30 czerwca 2005 r. Oddziałowa Komisja potwierdziła postawiony wcześniej stawiany zarzut, że dążenie do pacyfikacji wsi białoruskich przez oddział Romualda Rajsa wynikały z jego przekonania, że ludność białoruska jest wrogo nastawiona do polskiego zbrojnego podziemia i stanowi zagrożenie w walce o wolną Polskę.

Prokuratura stwierdziła, że bezpośredni wpływ na to, co się stało, miały cechy charakteru Romualda Rajsa. „Bury” był bezwzględny w wymuszaniu postu-

5 A nawet Armię Czerwoną, naszywając na mundury radzieckie naszywki.

6 Wiadomo, że rodzina Rajsa otrzymała 180 tys. zł. rekompensaty. Por. Andrzej Zdanowicz: Romuald Rajs „Bury”. Żołnierz wyklęty i morderca, „Gazeta Współczesna” 12 marca 2011.

7 Wszystkie wyjaśnienia sądu z 1995 podają za: Komunikat dotyczący informacji zawartych w ustaleniach końcowych śledztwa S 28/02/Zi w sprawie pozbawienia życia 79 osób – mieszkańców powiatu Bielsk Podlaski, w tym 30 osób tzw. furmanów w lesie koło Puchał Starych, dokonanych w okresie od dnia 29 stycznia 1946 r. do dnia 2 lutego 1946 r.

8 Informacja o ustaleniach końcowych śledztwa S 28/02/Zi w sprawie pozbawienia życia 79 osób - mieszkańców powiatu Bielsk Podlaski w tym 30 osób tzw. furmanów w lesie koło Puchał Starych, dokonanych w okresie od dnia 29 stycznia 1946 r. do dnia 2 lutego 1946; <https://ipn.gov.pl/pl/dla-mediow/komunikaty/9989,Informacja-o-ustaleniach-koncowych-sledztwa-S-2802Zi-w-sprawie-pozbawienia-zycia.html>

szeństwa zarówno wobec podwładnych jak i wobec innych osób, w tym w stosunku do ludności cywilnej. W oddziale była wyjątkowa, surowa dyscyplina. Więc działania podziemnych jednostek zbrojnych wobec wsi białoruskich nie mogły być następstwem rozkazów zastępcy bądź niższych dowódców lub nawet samorzutnych akcji pododdziałów „Burego”. Przekonanie o zagrożeniu wolności Polski przez wiejskich białoruskich „komunistycznych agentów” było usprawiedliwieniem niszczenia przeciwników politycznych.

W podsumowaniu napisano: „Nie kwestionując idei walki o niepodległość Polski prowadzonej przez organizacje sprzeciwiające się narzuconej władzy, do których należy zaliczyć Narodowe Zjednoczenie Wojskowe należy stanowczo stwierdzić, iż zabójstwa furmanów i pacyfikacje wsi w styczniu lutym 1946 r. nie można utożsamiać z walką o niepodległy byt państwa, gdyż nosi znamiona ludobójstwa. W żadnym też wypadku nie można tego co się zdarzyło, usprawiedliwiać walką o niepodległy byt Państwa Polskiego. Wręcz przeciwnie akcje «Burego» przeprowadzone wobec mieszkańców podlaskich wsi, wspomagały komunistyczny aparat władzy i to przede wszystkim poprzez obniżenie prestiżu organizacji podziemnych, dostarczenie argumentów propagandowych o bandytyzmie oddziałów partyzanckich”. „Działania pacyfikacyjne przeprowadzone przez „Burego” w żadnym wypadku nie sprzyjały poprawie stosunków narodowych polsko – białoruskich i zrozumienia walki polskiego podziemia o niepodległość Polski. Przeciwnie tworzyły często nieprzejednanych wrogów lub też rodziły zwolenników dążeń oderwania Białostoczczyzny od Polski. Żadna zatem okoliczność nie pozwala na uznanie tego co się stało za słuszne”⁹.

Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Białymstoku umorzyła śledztwo (na podstawie art. 17 § 1 pkt 5 i 7 kpk, art. 322 § 1 kpk) nr S 28/02/Zi. Tłumaczono, że nie udało się ustalić imiennie, kto zabijał, kto podpalał (prócz jednej osoby); podkreślano, że wielu partyzantów zginęło podczas walk z wojskami rządowymi, inni (w tym Rajs i Chmielowski) otrzymali karę śmierci, którą wykonano.

Rodzina Rajsa zaskarżyła ustalenia prokuratury do sądu. Sąd Okręgowy w Białymstoku „ocenił uzasadnienia decyzji procesowej jako «nieprzeciętnie wnikliwe», a odnosząc się do zawartej w nich argumentacji stwierdził, że «traktuje je jako wręcz swoją»”¹⁰.

7. Ani ustalenia prokuratury białostockiego oddziału IPN, ani wyrok białostockiego sądu nie zatrzymały budowania kultu i rozprzestrzeniania legendy Romualda Rajsa „Burego”. Po zwycięstwie PiS w wyborach 2015 r. zaczął on pełnić rolę świętego męczennika za wolność i prawdę. Wybielanie tej postaci posunięto tak daleko, że usprawiedliwia się każdy jego czyn czy rozkaz, nawet najbardziej bezmyślny i niegodny. Bo albo okazuje się, że winni byli przełożeni, albo podwładni, a najczęściej same ofiary. O Rajsie „Bury” jest mnó-

stwo stron internetowych, a nawet ktoś w jego imieniu prowadzi facebook zamieszczając tam zdjęcia i złote myśli jego i o nim. Początkowo myślałam, że to syn, noszący to samo imię i nazwisko, ale on chyba by nie przypisywał sobie pseudonimu.

W 2016 r. w Hajnówce zorganizowano pierwszy marsz ku czci Żołnierzy Wyklętych. Każdego roku pod koniec lutego do Hajnówki przyjeżdżają i są zwożeni z Polski członkowie ONR, Młodzieży Wszechpolskiej i maszerują przez miasto, w którym mieszkają potomkowie ofiar i krewnych Burego, a większość mieszkańców stanowią prawosławni. Władze miasta zakazują marszów, organizatorzy odwołują się, sąd pozwala, burmistrz odwołuje się sąd oddala odwołanie... Bo nawet trudno ukarać za zakazane znaki np. swastykę czy hasła, bo zdaniem sądów swastyka jest dalekowschodnim symbolem szczęścia.

W prasie prawicowej i na prawicowych portalach internetowych każdą wypowiedź krytyczną wobec Burego ignorowano, jeśli wypowiadali ją ci, których prawicowi działacze uważają za obcych, niegodnych miana Polaka-patrioty. Tych, których wcześniej uznawało się za „swoich” odsądza się od czci i wiary, stają się kolaborantami, agentami itd. Doświadczył tego Paweł Kukiz, który napisał (18 II 2017 r. na swoim Facebooku): że: „takie postaci jak »Bury« czy »Ogień« są – mówiąc bardzo delikatnie – kontrowersyjne. Bóg jest Miłością a ten, który »w imię Ojczyzny« zionie nienawiścią tak, że morduje bezbronnych cywili (a szczególnie kobiety i dzieci) nie ma prawa odwoływać się do Honoru”. Te słowa wywołały falę poirytowania, rozdrażnienia i krytyki w kręgach prawicowych. Wypowiedź Kukiza (z własnym komentarzem) opublikował 19 lutego 2017 r. Jan Bodakowski na portalu Wolność 24.pl i Prawy.pl. Już na tym drugim portalu autor odwołuje się do kanonów etycznych przedstawionych w pracy prof. Józefa Marii Bocheńskiego OP („kapłana, etyka i żołnierza”) „*De virtute militari. Zarys etyki wojskowej*”, żeby stwierdzić, że Romuald Rajs owych kanonów przestrzegał, zamieszcza kilkanaście nazwisk, którzy popierają jego punkt widzenia.

Piotr Zychowicz w artykule *Nie pudrujemy żołnierzy wyklętych* opublikowanym w „Do Rzeczy” napisał, że o Żołnierzach Wyklętych należy rozmawiać, a nie tylko ich czcić. Oburzony Arkadiusz Rajs, wnuk „Burego” zarzucił redakcji opublikowanie „skandalicznego”, „poniżej pewnego poziomu” artykułu, który „jest częścią „konsekwentnie i z premedytacją” tworzonej czarnej legendy „jednego z najbardziej zasłużonych dowódców polskiego podziemia niepodległościowego”¹¹. Młody Rajs jest pewien, że ludność białoruska: „była gorącym zwolennikiem przyłączenia polskich ziem do Związku Sowieckiego”, tam „znajdowało się gros współpracowników i agentów komunistycznej bezpieki”. Winni byli też zamordowani wozacy, ponieważ jego dziadek „pewien czas służąc w Ochronie Lasów Państwowych, miał dostęp do list osób, które zajmowały się wywózką Polaków w 39. i 40. roku”¹². Młody Rajs odrzuca ustalenia prokuratury Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

9 Informacja o ustaleniach końcowych śledztwa S 28/02/Zi w sprawie pozbawienia życia 79 osób

10 Podaję za Żołnierze Wyklęci. Białostoczczyzna 1945-1947, Białystok 2019 Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrońskiego 2019. Postanowienie Sądu Okręgowego w Białymstoku z dnia 30.06.2005 roku, Sygn. 297/05

11 Wnuk kpt. Romualda Rajsa „Burego” broni dobrego imienia dziadka. 6.03 2017 .KRESY 24.pl

12 . Prokuratura w Białymstoku nie znalazła nikogo, kto z z donosu mieszkańców tych wsi zostałaby wysłany na Syberię, Zresztą przeważnie były to wsie czysto białoruskie.

w Białymstoku: „Kłamstwo – nie IPN a prok. Olszewski z białostockiego oddziału IPN”, a śledztwo „nie zostało ukończone (notabene prowadzone nierzetelnie)”. Tak jakby sam przeprowadził bardziej dogłębne badania, znalazł nieznaną źródła, które uprawniają go do takich sądów.

Głównymi obrońcami działań Romualda Rajsa stali się pracownicy i współpracownicy warszawskiego oddziału IPN, szczególnie Kazimierz Krajewski, Grzegorz Wąsowski i w części Leszek Żebrowski, którzy podtrzymują tezy Arkadiusza Rajsa, jednocześnie odmawiając Zychowiczowi znajomości faktów i nierozumienie zasad partyzantki. Tworzą przy tym ideologię walk oddziałów partyzanckich, którą propagują w wielu publikacjach, wywołując wrażenie, że to wiedza powszechnie uznawana.

Na stwierdzenie Zychowicza, że „wojnę prowadzi się przeciwko dorosłym, uzbrojonym mężczyznom. A nie przeciwko jeńcom wojennym, kobietom i dzieciom. [...] kapitan Romuald Rajs „Bury” niestety nie zawsze trzymał się tej zasady”. Krajewski i Wąsowski odpowiadają, że zasada ta nie odnosi się do wojny partyzanckiej, ponieważ inne są jej „podstawowe cele i zadania”, i „praktyczny wymiar prowadzonej przez nie walki”. „Oddziały leśne nie mają na celu wygranie zmagania wojennych, nie mają na to wystarczających sił ani środków”. Dlatego nie są dla nich najbardziej właściwe wystąpienia zbrojne przeciwko okupantowi, ale egzekwowanie „norm postępowania” i „podstawowej lojalności członków okupowanej wspólnoty wobec prawowitych władz”. „Realizacja tego ważnego w czasach zaniku normalnej państwowości zadania sprowadza się w praktyce do karania, w tym przede wszystkim likwidacji – najczęściej nieuzbrojonych – konfidentów i szkodliwych kolaborantów, także jeśli są nimi kobiety, oraz przestępców pospolitych stanowiących zagrożenie dla społeczeństwa”. Autorzy podkreślają, że „z punktu widzenia podtrzymania morale ludności akcje likwidacyjne wymierzone w konfidentów, kolaborantów czy bandytów z danego terenu, były dla społeczności lokalnej ważniejsze niż starcie partyzantów z taką czy inną grupą operacyjną”¹³.

Krajewski i Wasowski polemizują też z inną tezą Zychowicza: „pacyfikację białoruskich wsi, w których ludność była skomunizowana, najeżona agentami bezpieki i «wrogami Ojczyzny» oznacza niedopuszczalną aprobata dla stosowania odpowiedzialności zbiorowej”. Podkreślają, że w Zaleszanych na rozkaz „Burego”, zanim rozpoczęto podpalanie wsi, świadomie zastrzelono tylko kilka osób („prawdopodobnie dwóch, na pewno nie więcej niż pięciu”), o których partyzanci mieli informację, że to aktywiści komunistyczni. Poza nimi „miał nikt więcej nie zginąć!” (wykrzyknik autorów). „Bury” uważał, że mieszkańcy Zaleszan powinni zostać ukarani materialnie za jawnie wrogi stosunek do polskiego munduru. Spalenie ich zabudowań miało spowodować, że zajmą się odbudowywaniem swojego dobytku, a nie komunizowaniem.

Niektórzy mieszkańcy schowali się w zakamarkach własnych zabudowań, w tym dwie kobiety z kil-

korgiem małych dzieci. „Nie było to jednak intencją »Burego«, przecież nie kazał ich zabijać!” – podkreślają.

Nie wiem, czy autorzy zdają sprawę, że przedstawili typowe założenia terroryzmu. Wprawdzie istnieje mnóstwo jego definicji, ale podstawowe cechy powtarzają się w większości z nich, to przede wszystkim „metoda walki politycznej, w celu wpłynięcia na opinię publiczną, rząd, inne osoby, polegająca na stosowaniu przymusu, przemocy, powiązanych z łamaniem podstawowych norm społecznych, zastraszanie i manipulowanie; osiąganie politycznych celów, przez tworzenie atmosfery zagrożenia, utrudnianie funkcjonowania wrogiemu układu społecznego, wymuszanie decyzji i działań przeciwnika poprzez zastosowanie szantażu siłowego”. Podobną definicję przedstawia Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA): „terroryzm oznacza groźbę użycia przemocy lub użycie przemocy dla celów politycznych przez pojedyncze jednostki lub grupy ludzi, niezależnie od tego, czy działają na rzecz, czy w opozycji do władzy państwowej, w sytuacji, gdy działania te mają zastraszyć lub przerazić nie tylko bezpośrednie ofiary, ale także inne osoby”¹⁴.

Nie wiem dlaczego nie tylko „Bury”, ale Wąsowski i Krajewski uważają, że ludność Białostocczyzny powinna ochoczo popierać sposób walki o wolność Polski, jaki praktykował „Bury” wraz ze swoim oddziałem. Przecież powojenne pacyfikacje, przeszkadzały w jakiegokolwiek stabilizacji (m.in. w uruchomieniu szkół, co wymagało zapasów opału, przełom stycznia i lutego to zima!). Czy Bury o to starał się? Czy na to pozwalał? Nie! Jedynie na czym mu zależało, to przez zastraszanie i karanie ludności przyzwyczaił ją do myśli, że on reprezentuje prawdziwą władzę. To raczej zachowanie okupanta, a nie legalnej władzy.

8. Trzeba przyznać, że w jednej sprawie panowie Krajewski i Wąsowski mają rację: „egzekwowanie lojalności mieszkańców” było tak skuteczne, że ludzie przez lata starali się jak najmniej rozmawiać o tym co się zdarzyło. Ale w najmniejszym stopniu nie wynikało to z autorytetu Rajsa, ani z tego, że reprezentował on „legalną władzę”. Bardzo trudno było stwierdzić, czy Bury sam podejmował decyzje, czyli działał jak bandyta, na własny rachunek. Czy może był w zмовie z władzą ludową, a może władza ludowa przymykała oczy na jego aktywność, bo było to jej na rękę. I jedno i drugie było możliwe, bo chodziły pogłoski, że Białorusini powinni wyjechać do Związku Radzieckiego. Ale miejscowa ludność nie chciała opuszczać miejsca zamieszkania, gdzie rodzili się i umierali jej przodkowie, więc chodziły pogłoski, że władze wystąpiły przeciwko nim oddziały zastraszające, albo pozwoliły na pacyfikację oddziałom „Burego”¹⁵. IPN w Białymstoku potwierdził, że ówczesne władze w żadnej sprawie nie współpracowały, ani nie umawiały się z „Burem”, czy jego przełożonym „Kotwiczem”. Ale ta wątpliwość i niepewność trwała przez lata.

13 Por. Krótka refleksja na temat kontrowersji wokół postaci Józefa Kurasia „Ognia”, odpowiedniej perspektywy i patriotyzmu pejzaż. Ten tekst ukazał się pod innym nazwiskiem, ale później pod zebrałymi tekstami podpisał się G. Wąsowski.

14 Mateusz Zajda, Teoretyczne aspekty terroryzmu „Security, Economy & Law”, Nr 8, 2015 (64–72), s. 65.

15 Po nieudanej próbie zajęcia Hajnówki oddział Rajsa przez pewien czas był tropiony przez wojska wewnętrzne i UB. Ich członkowie jednak unikali spotkania z dobrze uzbrojonymi partyzantami NZW a ostatecznie zrezygnowali z próby podjęcia walki po pacyfikacji Zaleszan „z powodu braku benzyny i małej ilości wojska”.

Wątpliwości nie zniknęły po zmianie ustroju. Przez cały okres PRL społeczność prawosławna nie podejmowała tematu działań. Pod koniec lat 90. władze starały się nie wracać do sprawy zabójstw dokonanych przez bojowników „Burego” na ludności białoruskiej. Krystyna Łukaszuk, ówczesna prawicowa wojewoda oraz Andrzej Przewoźnik, sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa sprzeciwiali się ekshumacji ofiar. Również oni, a także wicepremier Janusz Tomaszewski przez kilka lat przeciwstawiali się przeniesieniu pozostałości na cmentarz w Bielsku Podlaskim, zgodnie z obyczajem prawosławnym i ustanowieniu pomnika upamiętniającego zamordowanych... Mimo wyroków Naczelnego Sądu Administracyjnego i interwencji rzecznika praw obywatelskich, wojewoda odmawiała, ponieważ jej zdaniem, projekt pomnika „nie odzwierciedlał faktów dotyczących tego konkretnego zdarzenia”, a później nie zgadzała się na napis. Rzecznik wojewody radził komitetowi, aby „dojrżeli i dostosowali się do pewnych standardów”¹⁶.

Kolejne pomniki pojawiły już w czasie kadencji SLD i później za czasów PO. W Zaleszanych postawiono krzyż i pomnik oraz otworzono niewielki monaster żeński, w Białymstoku na placu cerkwi Świętego Ducha stanął pomnik prawosławnych ofiar zbrojnego podziemia.

Po skazaniu Rajsa władze obiecały pokrzywdzonym pomoc, ale rekompensaty za cierpienie i krzywdy nie otrzymali nie tylko wówczas, ale przez cały PRL, a także w III RP. Mimo dwukrotnego zgłaszania projektów ustaw (w szóstej i siódmej kadencjach sejmiku), które pozwoliłyby przyznać materialne świadczenia rodzinom ofiar oddziału „Burego”, ówczesne władze sejmiku je odrzucały tłumacząc, że to nie są kombatanci, którzy walczyli o niepodległość, czy ryzykowali życiem dla ochrony tych osób, których działalność została uznana za równorzędną z kombatancą. Ponadto należałoby również dać odszkodowanie „za bratobójcze akty dokonane wobec ludności cywilnej i żołnierzy podziemia przez oddziały Gwardii i Armii Ludowej”, na to nie stać budżetu¹⁷.

9. Ktoś – władze IPN, redaktor Barbara Niedzielko albo osobiście Krajewski i Wąsowski widocznie uznali, że wspomniane prace tego duetu, mimo że publikowane w Instytucie Pamięci Narodowej nie są przyjmowane jako prawda ostateczna. Dlatego w 2019 r. pojawiło się oficjalne Sprostowanie wyników ustaleń przyjętych przez białostocki IPN w 2005 r.¹⁸. Pierwsze zdanie tego nowego opracowania: „W świetle najnowszych badań naukowych informacje z ustaleń końcowych śledztwa w sprawie „Burego” w wielu obszarach są wadliwe”. Sprostowanie nie zawierało odwołania się do jakichkolwiek nowych źródeł, było oparte prawie całkowicie o wcześniejsze prace wspomnianych dwóch autorów, szczególnie pracy: *Kpt. Romuald Rajs «Bury» w książce*

ce «Skazy na pancierzach...»¹⁹ oraz – Kapitan Romuald Rajs Bury” - dyskusji o wojnie partyzanckiej ciągnął dalej...²⁰.

Nowy był tylko jeden argument: To zbyt mała liczba ofiar: „Miał przecież możliwości, by puścić z dymem nie pięć, ale znacznie więcej wiosek białoruskich w powiecie Bielsk Podlaski”. Chyba zbyt skromnie ocenia się „sukcesy” Oddziału Rajsa. Spalenie pięciu wsi i 80 zabitych (w tym nieletnie dzieci) w ciągu pięciu dni, to nie tak mało, nie wiadomo co by się stało, gdyby bojownicy Burego bez przeszkód mogli działać dalej.

Autorzy Sprostowania mogli poprzestać na przywołaniu postanowienia Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego z 1995 r. unieważniającego wyroki śmierci wydane na dowódców 3. Wileńskiej Brygady NZW, ponieważ zgodnie w ustawą z 1991 r.: „Stwierdzenie nieważności orzeczenia uznaje się za równoznaczne z niewinnieniem”. Ale autorzy chcieli jeszcze raz dowiedzieć, że Bury był dowódcą bez skazy, zachowywał się w każdym momencie swojego życia nienagannie, zarówno jako człowiek, jak i dowódca.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych Białorusi poprosiło władze polskie o publiczny oficjalny komentarz „czy ta ocena działań »Burego« jest oficjalnym punktem widzenia”. Oficjalna odpowiedź IPN ukazała się 23 III.2019 r. Oto podsumowanie: „żadne interpretacje naukowe, nawet dalece różniące się z sentencją umorzenia śledztwa, nie mogą zmieniać decyzji prokuratora. Takiej ewentualnej zmiany dokonać może wyłącznie niezależny w swoich decyzjach od Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej prokurator, jedynie po ewentualnym wznowieniu śledztwa. Zawarte w poprzednim komunikacie sformułowania nie wyrażają intencji wznowienia śledztwa”²¹.

Okazało się, że można wydać jako oficjalne wydawnictwo Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (czyli pionu prokuratorskiego) IPN swoje widzenie problemu. Kierownictwo IPN stwierdzi, że była to wypowiedź w debacie dotyczącej sytuacji działalności tej komisji, przecież komunikat z 2019 r. był zamieszczony zakładce dla mediów. Krajewski pozostaje pracownikiem IPN.

NINA KRAŚKO

16 Za: Helena Kowalik, Ostatni wyjazd furmanów, Tygodnik „Przeгляд” 30 marca 2003.

17 Żołnierze Wyklęci, Białostoczczyzna...s. 160

18 Komunikat dotyczący informacji zawartych w ustaleniach końcowych śledztwa S 28/02/ZI w sprawie pozbawienia życia 79 osób – mieszkańców powiatu Bielsk Podlaski, w tym 30 osób tzw. furmanów w lesie koło Puchał Starych, dokonanych w okresie od dnia 29 stycznia 1946 r. do dnia 2 lutego 1946 r.

19 Kpt. Romuald Rajs «Bury» w książce «Skazy na pancierzach. Czarne karty epopei Żołnierzy Wyklętych» czyli prawda według Piotra Zychowicza „Glaukopis. Pismo społeczno-historyczne” 2016, nr 33.

20 Patrz: <http://podziemiezbrojne.blox.pl/2017/04/Kapitan-Romuald-Rajs-Bury-dyskusji-o-wojnie.html>.

21 Stanowisko IPN w związku z opublikowanym 19 marca 2019 komunikatem w sprawie informacji zawartych w ustaleniach końcowych śledztwa dotyczącego Romualda Rajsa „Burego”. <https://centrala.ipn.pl/aktualności/68221>

ANDRZEJ DE LAZARI

ROSJA

ANDRZEJA WALICKIEGO

Niełatwo być w Polsce Andrzejem Walickim. „Strzelają” do niego z prawa, z lewa i z centrum. Nie za rozprawy – te są cenione przez wszystkich, gdyż nie ma w dorobku ani jednej książki, która utraciłaby wartość naukową i poznawczą. Świadczą o tym wznowienia jego prac z lat 50.-70. (*Idea wolności u myślicieli rosyjskich. Studia z lat 1955-1959*, Kraków 2000 – rozwinęta „wersja” książki *Osobowość a historia* z 1959 r.; *W kręgu konserwatywnej utopii. Struktura i przemiany rosyjskiego słowianofilstwa*, Warszawa 2002 – rozprawa habilitacyjna z 1964 r., która stała się wzorcowym dziełem naukowej humanistyki; i wreszcie prawie tysiącstronicowy *Zarys myśli rosyjskiej od Oświecenia do renesansu religijno-filozoficznego*, Kraków 2005 – czyli rozwinięcie znanej na całym świecie *Rosyjskiej filozofii i myśli społecznej od Oświecenia do marksizmu* z 1973 roku).

Do uczonego od lat ostro „strzelają” za jego filozoficzno-politologiczne wypowiedzi publicystyczne, krytycznie oceniające intelektualną rzeczywistość polską oraz tłumaczące rzeczywistość rosyjską. W latach 80. w dyskusji o polityce i moralności Walicki nie znalazł zrozumienia m.in. u Waldemara Kuczyńskiego, Jana Józefa Lipskiego i Krzysztofa Pomiana¹, w latach 90. – u abp. Józefa Życińskiego, Zdzisława Krasnodębskiego i Marka Cichockiego².

Później lepiej nie było. Dla Pawła Śpiewaka Walicki to „zaciętrzewiony klasyk” (2008³), głoszący „ogólnikowy liberalizm”. Zdaniem Marka Beylina Walicki reprezentuje „stałą cechę polskiej mentalności [...] jedynie moja racja jest słuszna, kto stoi gdzie indziej niż ja, przeczy nie tylko mnie, lecz także wspólnym wartościom” (2018⁴). Nieco wcześniej Beylin ostro skrytykował profesora za „opiewanie Putina” i brak „elementarnej moralności” (2015⁵): „Szkoda, że wychwalając Wielkiego Filozofa Putina, Andrzej Walicki nie poszedł do końca i nie napisał wprost, że Rosja powinna była napaść na Ukrainę już ćwierć wieku temu”. Ta wypowiedź posłużyła niejakiemu Piotrowi Napierale (reprezentującemu jakoby „racjonalny punkt widzenia”) za pretekst, by nazwać uczonego

głupcem oraz trollem najprawdopodobniej opłacanym przez Putina⁶.

Jestem przekonany, że to nie Walicki reprezentuje „stałą cechę polskiej mentalności”. Tą przypadłością brutalnie i po chamsku grzeszy „partyjny” Napierala i jemu podobni. Profesor ignoruje wszelką „partyjność” współczesnej polityki, co nie znajduje uznania i zrozumienia ani po prawej stronie sceny, ani wśród jakoby liberalnych „nauczających” publicystów. Pozostaje niewzruszonym uczonym na przekór wszelkim koteriom politycznym. Można się z nim nie zgadzać, spierać, ale argumenty muszą być merytoryczne i świadczące o znajomości przedmiotu sporu. Lepiej, gdy o moralności wypowiadają się etycy. Na łamach „Znaku” zrobił to Andrzej Maciej Kaniowski, wspierając Walickiego w teście *Moralność na usługach polityki?*:

„Oddzielenie od siebie [jak to czyni Walicki – A.L.] teorii systemu politycznego oraz bieżącej diagnozy i oceny moralnej kondycji społeczeństwa (jako że ocena wybranych przez społeczeństwo reprezentantów jest w istocie oceną społeczeństwa) ma również tę przewagę nad podejściem mieszącym ze sobą obydwie wymiary, iż pozwala spełnić pewien wymóg stawiany zawsze przez racjonalistyczny nurt europejskiej filozofii. Ten nurt – śmiało twierdzić, przesądzający o rozwoju europejskiej cywilizacji – zawsze domagał się tego, by opowiadając się za jakąś koncepcją docierać do racji i uzasadnień, które – przynajmniej wedle najlepszych intencji filozofa – mają ważność nie jedynie lokalną, partykularną, lecz ponadpartykularną, ponadwspólnotową. Spełnienie tego wymogu chroni do pewnego stopnia przed typem rozumowania, jaki pobrzmiwa w wywodach Krasnodębskiego, że na przykład demokracja liberalna jest dobra w wypadku krajów Europy Zachodniej, ale jest zła dla Polski⁷”.

W książce *O Rosji inaczej* Walicki zebrał najważniejsze swoje teksty publicystyczne i ustosunkował się do wypowiedzi polemistów. Zdziwiła mnie banalna okładka – nie ma w niej nic z „inaczej”. Czerwona wieża kremłowska z czerwoną pięcioramienną gwiazdą powieli stereotypowe spojrzenie na Rosję i nijak się ma do tekstów profesora. Tytuł natomiast skojarzył mi się z doskonałą rozprawą Tadeusza Sucharskiego pt. *Polskie poszukiwanie „innej Rosji”. O nurcie rosyjskim w literaturze Drugiej Emigracji* (Gdańsk 2008), w której autor skupił

1 Zob. „Aneks” 1984, nr 35.

2 Zob. „Znak” 1997-1998, nr 506, 509, 517.

3 <https://wiadomosci.dziennik.pl/wydarzenia/artykuly/74952,zacie-trzewiony-klasyk.html>.

4 <http://wyborcza.pl/magazyn/7,124059,24096523,sekrety-polskiej-duchologii-politycznej-adam-michnik-poleca.html>.

5 <http://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,18376633,profesor-opiewa-putina.html?disableRedirects=true>.

6 <http://racjonalista.tv/troll-putina-andrzej-walicki-powtomnie-odczarowany/?print=pdf>.

7 „Znak” 1998, nr 517.

się na tekstach polskich zesańców i tagierników, odbiegających w ocenie Rosji i Rosjan od stereotypowego polskiego ujęcia. Wyławia teksty, w których narodowe uprzedzenia zostały przewyciężone. Sucharski analizuje je, aby uwypuklić zarówno próby przełamania „dziedzicznej” ksenofobii, jak i niechęci będącej konsekwencją polityki sowieckiego terroru wobec obywateli polskich (także polskich Żydów)⁸.

Bo nie ma jednej Rosji, jak chciałaby partia „Jedyną Rossija” i niejeden polski publicysta. Nie ma też jednej interpretacji rosyjskiej kultury, tożsamości i polityki. Walicki tym różni się od większości komentatorów spraw rosyjskich, że Rosję i wszystkie najważniejsze teksty jej poświęcone przestudiował „od deski do deski”. Jest jednym z najbardziej kompetentnych rosjoznawców na świecie. Jego książki publikowane są w USA, Anglii, we Włoszech, Hiszpanii, Japonii, Rosji, Ukrainie i w wielu innych krajach. Zapraszano go z wykładami na uniwersytety w Berkeley, Los Angeles, do Oxfordu, Londynu, Paryża, Sapporo, Chicago, Jerozolimy i na inne uczelnie. Nagradzany był m.in. przez Fundację Alfreda Jurzykowskiego (1983), Fundację J. S. Guggenheima (1991), International Society for Universalism (1993) i międzynarodową fundację imienia zmarłego w 1953 r. wydawcy „Corriere della Sera” – Premio Balzan (1998 – jedna z najbardziej prestiżowych nagród w świecie nauk humanistycznych). W uzasadnieniu ostatniej stwierdzono: „Za jego wyjątkowy wkład w badania nad kulturą i historią społeczną Rosji i Polski oraz kulturą europejską XIX wieku. Jego dorobek naukowy przoduje wśród wszystkich badań poświęconych myśli filozoficznej i politycznej tych społeczeństw, w których spór pomiędzy liberalizmem i marksizmem stał się szczególnie ważny w ostatnim wieku, spór, bez którego nie zrozumiemy dnia dzisiejszego”.

Książkę otwiera obszerny, ponad 50-stronicowy wywiad profesora Janusza Dobieszewskiego (filozofa-rosjoznawcy z Uniwersytetu Warszawskiego) z Autorem, zatytułowany *Moje sprawy rosyjskie*. Walicki przedstawił w nim historię swoich badań nad myślą rosyjską i książek jej poświęconych. Wyróżnił pierwsze dwie z czasów odwilży po 1956 roku: *Osobowość a historia*, będącą swoistym dialogiem z esejem Leszka Kołakowskiego *Odpowiedzialność i historia* oraz *W kręgu konserwatywnej utopii. Struktura i przemiany rosyjskiego słowianofilstwa*, której zawdzięczał „pozycję w środowisku warszawskiej szkoły historii idei, a także mocne wejście do nauki światowej” (w 1973 ukazało się tłumaczenie włoskie, w 1998 angielskie, w 1998 ukraińskie; rosyjskie dopiero w 2019). Niemniej ważną w dorobku Walickiego była *Rosyjska filozofia i myśl społeczna od Oświecenia do marksizmu* (1973, wydanie amerykańskie 1979, angielskie 1980, tureckie 2011, rosyjskie 2013). Książka ta stała się podręcznikiem akademickim na Zachodzie i „aż do roku 2005 dodrukowywano w miękkiej okładce jakąś liczbę jej egzemplarzy na potrzeby dydaktyczne”. W 2015 roku opublikowano po angielsku rozszerzoną wersję *Rosyjskiej filozofii* – wspomniany wyżej *Zarys myśli rosyjskiej od Oświecenia do renesansu religijno-filozoficznego*. Kolejne dwie ważne książki miały swój pierwodruk na Zachodzie: *Legal Philosophies of Russian Liberalism* (1987, wydanie polskie 1995, rosyjskie 2012) oraz *Marxism and the Leap to the Kingdom of*

Freedom. The Rise and Fall of the Communist Utopia (1995, wydanie polskie 1996, ukraińskie 1999). Po polsku w 2002 roku ukazała się *Rosja, katolicyzm i sprawa polska* (wydanie węgierskie 2006, rosyjskie 2012).

W wywiadzie mowa jest jedynie o książkach dotyczących Rosji. Nie zapominajmy jednak, że Walicki jest również wybitnym historykiem myśli polskiej, autorem chociażby czterotomowej *Kultury i myśli polskiej*, wydanej pod red. Andrzeja Mencwela w serii „Klasyki współczesnej myśli humanistycznej” (Universitas, Kraków 2009-2011) i wielu innych.

Następnie rozmówcy przeszli do kwestii poruszonych w książce: „duszy” i „idei rosyjskiej”, stosunków polsko-rosyjskich, światopoglądu Władimira Putina, „konserwatywnej odnowy” w Rosji, kontaktów Profesora z porewolucyjną emigracją, nurtu polonofilskiego w kulturze rosyjskiej, polskiego akademickiego środowiska badaczy filozofii i myśli rosyjskiej oraz niechęci polskiej opinii publicznej do Rosji. Na wszystkie pytania Walicki odpowiada jako filozof i historyk idei, a nie publicysta, reagujący na polityczny „przekaz dnia”. Także jego teksty zawarte w *O Rosji inaczej* nie są „zwykłą” publicystyką, choć w większości publikowane były wcześniej w „Przeglądzie”, „Polityce”, „Gazecie Wyborczej”, „Przeglądzie Politycznym”, paryskiej „Kulturze” i w innych nienaukowych czasopismach. Pisane są, jak to sam określa, „w konwencji akademickiej”. Profesor tłumaczy polskiemu czytelnikowi Rosję racjonalnie, bez uprzedzeń i emocji, korzystając ze swojej wiedzy o rosyjskim myśleniu i postrzeganiu świata. W tym zawiera się owo tytułowe „inaczej”. Teksty, które spotkały się z polemiką i niezrozumieniem, uzupełnia dodatkowymi wyjaśnieniami. Rosja w jego opinii nie jest ani tak straszna, ani tak niebezpieczna, jak to się wydaje wielu jej oponentom. Trzeba ją rozumieć i z nią rozmawiać. Dlatego zapewne książka spotka się w Polsce z nie mniej brutalną krytyką niż artykuły publikowane wcześniej; w najlepszym razie będzie przemilczana z szacunku do osoby Profesora. Rosja z jej prezydentem stała się przecież w Polsce wrogiem najważniejszym, co mało kogo dziwi.

Wszystkich tekstów zawartych w książce nie omówię – ogranicza mnie „liczba znaków”, skupię się zatem na najbardziej „kontrowersyjnym”. Takim bez wątpienia jest artykuł z „Przeglądu Politycznego” (2015) *Czy Władimir Putin może stać się ideowym przywódcą światowego konserwatyzmu?* To na ten tekst zareagował Mirosław Czech w „Gazecie Wyborczej” (*Profesor opiewa Putina*, 18.07.2015) przypisując Walickiemu „zapomnienie o elementarnej moralności” i uznając, że Profesor uczynił z Putina „Wielkiego Filozofa”. Faktem jest, że za najważniejszego filozofa, pisarza i proroka uznali Putina twórcy wystawy *Ruś prawosławna. Romanowowie*, którą pokazano w Petersburgu na początku 2014 roku. Putin figurował tam na zdjęciach pomiędzy dwoma słynnymi filozofami – Włodzimierzem Sołowjowem (1853-1900) i Aleksiejem Łosiewem (1893-1988), w innym miejscu – obok ukraińsko-rosyjskiego pisarza Nikołaja Gogola, a w jeszcze innym – obok Cyryla I, obecnego patriarchy Moskwy. Pisałem o tym na łamach „Liberte” w 2014 roku (*Idea rosyjska po putinowsku*⁹). Być może Czech czytał ten tekst i przypisał sądy twórców wystawy Walickiemu, skoro artykuł Profesora (jak i mój) traktuje m.in. o tym, że na noworoczne ferie zimowe 2014 roku

8 Zob. moją recenzję file:///C:/Users/De/Downloads/new_2_2010_160_bol_przewyciezony.pdf

9 <https://liberte.pl/idea-rosyjska-putinowsku/>.

gubernatorowie i działacze partyni Jedinoj Rossii otrzymali zadanie przestudiowania dzieł rosyjskich filozofów, na które Putin powołuje się w swoich przemówieniach, w prezencie zaś – trzy książki: *Filozofię nierówności* Nikołaja Bierdiajewa, *Apologię dobra* Władimira Sołowjowa i *Nasze zadania* Iwana Iljina.

Mój tekst jest prześmiewczy. Profesor potraktował problem bardzo poważnie. Wojciech Duda, redaktor naczelny „Przeglądu Politycznego” poprosił go o ustosunkowanie się do artykułu Witolda Rodkiewicza i Jadwigi Rogoży pt. *Potiomkinowski konserwatyzm. Ideologiczne narzędzie Kremla*¹⁰. Podeszedł więc do sprawy w sposób akademicki, „w przekonaniu, że może to uczynić w zobiektywizowanej konwencji opisowej, nie narzucając nikomu swoich własnych ocen, ale dążąc jednak do sprostowania wielu drastycznych nieraz nieporozumień na temat poglądów i działań prezydenta Rosji, od wielu lat gorliwie upowszechnianych u nas przez główny nurt publicystyki politycznej i masowych mediów”. Przyczyną tych nieporozumień, według Profesora, jest przede wszystkim „wyolbrzymianie ciągłości dziejowej i wynikających stąd podobieństw między trzema *Rosjami*: imperium Romanowów, Rosją radziecką i Rosją postkomunistyczną” (s. 202).

Walicki rozpoczął od scharakteryzowania trzech tradycji konserwatyizmu w Rosji: oświeconego autorytaryzmu, wspólnotowego konserwatyizmu rosyjskich słowianofilów oraz konserwatywnego liberalizmu, reprezentowanego przez prawnika-heglistę Borysa Cziczerina (1828-1904). Putin, zdaniem Profesora, wybrał „oświecony” konserwatyzm silnej władzy. Wzorem był dla niego Piotr Stofypin, premier i minister spraw wewnętrznych za czasów Mikołaja II, ceniony również przez Aleksandra Sołżenicyna, z którym Putin się spotykał i którego rad słuchał. Za „ideowego patrona” planowanej modernizacji kraju Putin wybrał natomiast emigracyjnego filozofa, teoretyka prawa Iwana Iljina, ideologa „sprzeciwiania się złu przemocą”, oskarżanego o ciągoty faszystowskie.

„Do zrozumienia głębokiego wrażenia, jakie wywarły na Putinie idee emigracyjnego filozofa, – pisze Walicki – ważny jest głównie dwutomowy zbiór artykułów politycznych Iljina, wydany w roku 1956 w Paryżu pt. *Nasze zadania*. Zawiera on między innymi rozważania na temat tego, co stanie się z Rosją w momencie nieuniknionego prędkiej lub później załamania się bolszewickiej dyktatury. Zdaniem Iljina, byłby to moment groźny, ujawniłby bowiem mnogość ukrywanych animozji i konfliktów, co w warunkach etniczno-religijnego różnicowania ludności państwa mogłoby zaowocować walką wszystkich ze wszystkimi i totalną katastrofą. Trzeba więc już teraz przygotować się do wielkiej próby obmyślając z góry różne scenariusze działania, zdolne ocalić istnienie rosyjskiej państwowości.

W ocenie Putina były to wskazania nadal aktualne, Federacja Rosyjska bowiem [...] nadal pogrążona była w głębokim kryzysie, grożącym rozpadem struktur ogólnopaństwowych na coraz większą ilość coraz bardziej skłóconych ze sobą jednostek terytorialnych. Sprzyjały temu katastrofalne skutki jelicynowskich reform...” (s.206).

Tym kryzysem, polityką Stanów Zjednoczonych oraz „programową” książką Zbigniewa Brzezińskiego pt. *Wielka szachownica* (1997), nawołującą do wsparcia idei podziału Rosji na trzy państwa (Rosję europejską, Republi-

kę Syberyjską i Republikę Dalekiego Wschodu), Walicki tłumaczy Putinowski program wzmocnienia „pionowych” struktur władzy i roli w niej prezydenta Federacji.

Następnie, wspierając się ekspertami z „Foreign Affairs” oraz tekstem Josepha E. Stigliza (laureata Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii) *Opodatkować oligarchów*¹¹, tłumaczy racje Putina w jego dążeniu do położenia kresu samowoli oligarchów (s. 208-209). Zdaniem Profesora „odbudowanie siły rosyjskiego państwa łączyło się wówczas u Putina z opcją zdecydowanie okcydentalistyczną, [...] proamerykańską”, czemu dał wyraz 11 września 2001 roku. Późniejsza polityka USA i NATO wobec Rosji, ale także wobec Iraku, Serbii, Kosowa, i wreszcie pomysł Andrewa Wilsona wciągnięcia Ukrainy do NATO i „odepchnięcia Rosji od Morza Czarnego” sprawiły, że podstawy Putinowskiego okcydentalizmu załamały się. Walicki nie usprawiedliwia zajęcia Krymu, przyznaje, że aneksja była naruszeniem prawa międzynarodowego, uważa jednak, że „należy pamiętać o przyczynach tego smutnego stanu rzeczy” (s. 214). Rosja została przez Zachód zepchnięta „na pozycję mało wyrafinowanych, tradycyjnie konserwatywnych metod reagowania na konflikty”. „Gdybym był Rosjaninem, – pisze – obwiniłbym o dopuszczenie do tego prezydenta Rosji. Jako intelektualista polski poczuwam się jednak do obowiązku solidaryzowania się z krytykami błędów Zachodu (takimi jak np. Henry Kissinger i socjaldemokratyczni politycy niemieccy), zwłaszcza zaś z krytykami tej części polityków polskich, którzy dużo zrobili, niestety, dla utrudnienia tak bardzo potrzebnego zbliżenia nowej Rosji z cywilizacją świata, do którego należymy i z którą Rosję tak wiele przecież łączy” (s. 215).

Zdaniem Walickiego, w ostatnich latach Putin „nawrócił się” „i zaczął głosić konieczność pogłębienia rosyjskiej świadomości narodowej o wymiar duchowy” – prawosławny. Stąd jego zainteresowanie „renesansem religijno-filozoficznym” przełomu XIX i XX wieku oraz zalecenie gubernatorom i działaczom partyjnym przestudiowania wspomnianych prac Sołowjowa, Bierdiajewa i Iljina. Profesor scharakteryzował treść tych książek. Fakt „zalecenia” ich przez Putina uznał za sympatyczną ciekawostkę, zwątpił jednak, by sugerowani czytelnicy byli dostatecznie intelektualnie przygotowani do ich przestudiowania. „Nie należy również obawiać się, – pisze – że ideowe wybory Putina pchną Rosję w kierunku totalitarnej ideokracji, nic bowiem nie wskazuje, aby chciał on odejść od uznawanej przez siebie zasady szanowania wolności obywateli w prywatnej sferze ich życia, obejmującej wolność od kontroli przez władzę państwową nad sumieniem i słowem” (s. 219).

Tę myśl zapewne mało kto w Polsce zaakceptuje. Dlatego, by wesprzeć Profesora, zacytuję wypowiedź cenionego w Polsce (w Rosji zaś przez wielu uznanego za rusofoba) pisarza Wiktora Jerofiejewa, który sympatią do Putina nie grzeszy:

„Czego dobrego dokonał Putin w ciągu ośmiu lat swych rządów? Dokąd dąży Miedwiediew? Bez zastanowienia odpowiedziałbym: za ich panowania Rosja otrzymała unikalną możliwość wolnego, prywatnego życia. Tu kryje się zagadka popularności władzy, której nie może zrozumieć Zachód. [...] Wreszcie możemy, w zależności od posiadanych pieniędzy, pojechać albo do Włoch, albo na Wyspy Wielkanocne. Zapewne właśnie to nazywa się

»autorytaryzmem z ludzką twarzą« [...] Życie prywatne jest ratunkiem dla Rosji. Dzięki niemu, dzięki stopniowemu rozwojowi wartości rodzinnych Rosja może wyjść na drogę oświecenia i modernizacji i znaleźć się we wspólnocie krajów demokratycznych” (*Rosyjska apokalipsa. Próba eschatologii artystycznej*)¹².

Na postawione w tytule artykułu pytanie: *Czy Władimir Putin może stać się ideowym przywódcą światowego konserwatyizmu?* – Walicki odpowiada negatywnie, jednak w *Postscriptum* z kwietnia 2019 przyznaje, że ta odpowiedź „może wydawać się dziś mylna, ponieważ prawicowy populizm [...] zabiega o poparcie Putinowskiej Rosji i często je znajduje” (s. 220).

Kiedyś w tygodniku „Przegląd” opublikowałem prześmiewczy tekst pt. *Utin nie Putin*. Teraz, obserwując naszą polską rzeczywistość, myślę sobie, że Jarosław Kaczyński zapewne ceni „narodowo-religijny” światopogląd Putina i go naśladuje, tylko głośno się do tego nie przyznaje. Skoro Jarosław Kaczyński ceni Matteo Salvi-

¹² Cyt. za A. de Lazari. *Car rosyjskich snów (Wizerunek Władimira Putina w twórczości Wiktora Jerofiejewa i Siergieja Jokina)*, <https://przepladdziennikarski.pl/car-rosyjskich-snow/>.

niego, Viktora Orbána i pewnie Marine Le Pen, a ci cenią Kaczyńskiego i Putina, dlaczego Kaczyński nie miałby Putina cenić?

Zagalopowałem się? Z tekstu Andrzeja Walickiego wynika, że rozumie on działalność Putina w postsowieckiej Rosji i w wielu sprawach usprawiedliwia. Wątpię natomiast, by usprawiedliwiać „zachodni” populizm Kaczyńskiego, Salvini, Orbana i Le Pen.

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę osób strzelających do Walickiego za jego „prorosyjskość” na fakt, że w Rosji rozprawa *W kręgu konserwatywnej utopii* ukazała się po 65 latach od jej pierwodruku, *Rosyjska filozofia i myśl społeczna* – po 40., jedynie *Rosja, katolicyzm i sprawa polska* – po 10., i to dzięki dofinansowaniu przez Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia.

ANDRZEJ DE LAZARI

Andrzej Walicki, *O Rosji inaczej*, Fundacja Otario Recta, Warszawa 2019, s.363

NATURA NIE JEST TOWAREM

Tytuł książki nawiązuje do sytuacji sprzed dwóch lat. Przypomnijmy: wiosną 2017 roku pracownicy Lasów Państwowych, na polecenie ministra, rozpoczęli wycinanie w Puszczy Białowieskiej. Miało to chronić przed ekspansją kornika drukarza. Działania te wywołały opór. Naukowcy wskazywali, że nie tędy droga, ludzie młodszy i starsi protestowali i własnymi ciałami chronili pnie, organizacje międzynarodowe (UNESCO i UE) wzywały państwo polskie, czyli rząd, do zaniechania wyrębu. Ale dopiero w listopadzie tamtego roku postanowienie Trybunału Sprawiedliwości nakazało zaprzestanie ogoławania starego lasu, będącego obszarem Natura 2000. Zagrożono wielkimi karami finansowymi. Władza państwowa ustąpiła, część lasu została jednak zdezastowana. Nowoczesne maszyny kierowane przez posiadaczy zamkniętych umysłów zmieniły fragment Ziemi. Na gorszy.

Kilka lat wcześniej spór, a właściwie bój toczył się o Dolinę Rospudy, później o masowe zabijanie dzików, które miało zahamować rozprzestrzenianie się afrykańskiego pomoru świń. Nie jest to zapewne ostatni akt owego dramatu. Projekt rządowy przekopania Mierzei Wiślanej (w rozwijających się szybko zmianach klimatu!) stanowi najnowszy akt.

W tym poważnym spektaklu zderzają się odmienne opinie, rozmaite światopoglądy, a także możliwości działania i interesy. Jedni na tym zarabiają pieniądze, inni tracą wolność. Dzieje się tak, bo „doszło do zderzenia trzech sił broniących trzech różnych wartości”. Razem, we wzajemnej konfrontacji, tworzą nasz dom dzisiejszy i przyszły. Autorzy identyfikują ten trójką głównych elementów. „Pierwszą z tych sił jest państwo, jego władze i formułowane przez nich prawo”. Zawiera

się w nim rozstrzygnięcie o odpowiedzialności i o granicach dowolności działania władzy, a właściwie przede wszystkim odróżnienie demokracji i autorytaryzmu.

„Drugą z sił wchodzących do gry o naturę [jest] rynek”. Jako ośrodek kapitalizmu manifestuje on „dążenie do przekształcenia natury w obszar systemowej produkcji”. Dodajmy: całej natury, bo cechą konstytutywną kapitalizmu jest nielimitowana ekspansja. Ewentualne granice wyznaczane są przez instytucje i ludzi będących na zewnątrz kapitalistycznego systemu. Może, a nawet powinno przede wszystkim należeć do nich państwo, ale nie zawsze kierujący nim politycy, urzędnicy, elity przewodzenia i tworzenia opinii chcą lub potrafią kapitalizm regulować i podporządkowywać.

Prócz tych dwóch przeciwnych sił „coraz wyraźniejszy staje się głos trzeciej strony – społecznej. Określa ona naturę jako wartość samoistną”.

Książka opisuje te trzy siły, koncentruje się na trzeciej, dla której drzewo, zwierzę, woda, ziemia, krajobraz i powietrze są wartościami autotelicznymi. Podstawowymi i ponadczasowymi, i coraz bardziej cennymi. Niestety, bo to oznacza, że stają się one rzadsze i nie dla wszystkich dostępne. Tom jest dziełem kilkudziesięciu autorów. Bezpośrednio odnosi się do lasu, ale w gruncie rzeczy dotyczy nie botaniki, lecz światopoglądu.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

Przemysław Czapliński, Joanna B. Bednarek, Dawid Gostyński (red.), *O jeden las za daleko. Demokracja, kapitalizm i nieposłuszeństwo ekologiczne w Polsce*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2019.

JACEK WOJCIECHOWSKI

LEKCJE UKRAIŃSKIE

Pytane o skojarzenia z Ukrainą, niektóre nasze matolaty mówią o ekspedientkach w krakowskich sklepach oraz o kolejkach do konsulatu w okolicy Ronda Mogilskiego. I te banalne sygnały są mikroszansą na uspokojenie wzajemnych odniesień. Z kolei wśród opiniodawców starszych standardowo sygnalizuje się Donbas i Krym, ale jeszcze częściej: UPA, Banderę oraz rzeź wołyńską. To pokolenie zapamiętało też *Łuny w Bieszczadach* Jana Gerharda.

MY, ONI I INNI

Nasze relacje wzajemne są silnie zainfekowane pamięcią o przeszłości, mocno zlegendaryzowaną, która po obu stronach budzi bardzo złe emocje. Jednak, być może, w wykonaniu generacji młodszych: zredukowane. Splot zdarzeń bieżących stanowi bowiem ewentualnie wentyl i tłumik dla odczuwania historycznych krzywd oraz tragedii. Po naszej stronie – i bardzo możliwe że również po tamtej, bo inaczej nie przyjeżdżałoby tutaj aż tak masowo.

Byłoby dobrze, gdyby rzeczywiście. Nie ma bowiem lepszego sposobu na umiarkowanie zgodną, a z czasem nawet przyjazną koegzystencję. W takim wszak pragmatycznym wariacie udało się przecież wspólnie zdać pomyślnie egzamin mitygujący z naszymi sąsiadami na Zachodzie.

Ograniczanie oraz tłumienie wzajemnych emocji w układzie Warszawa-Kijów wydaje się osiągalne właśnie w następstwie uzwyczajnienia bieżącej codzienności tutaj oraz tam. W powiązaniu z redukcją zerkania w lusterka wsteczne.

To w każdym razie wygląda na zdecydowanie łagodniejsze, aniżeli w relacji Kijów-Moskwa. Tam bowiem Rosjanie mają Ukraińców za krnąbrne i niewdzięczne dzieci, które nieustannie należy karać. A ci z kolei re-

agują wypominaniem 350 lat zniewolenia. Do wzajemnej zgodności zatem jest dalej niż daleko.

W dodatkowym kontekście mniej lub bardziej podobnych zarzutów także wobec innych. Polaków, Niemców, Słowaków, Węgrów i Rumunów. Z kolei rejestr naszych pretensji również jest bogaty i też kierowany do licznych adresatów: zresztą nie tylko tam. W tej części Europy często bowiem bywało dramatycznie i gorąco. Ślady pozostały.

A na innych obszarach to nie? I jednak praktyki wypominania przycichły, zatem *jakaś* odpowiedź jest. Żeby mianowicie te wypominki wzajemnie możliwie zredukować.

Jednak ten 42-milionowy naród, który dopiero niedawno i z trudem zdobył się na trwałą niepodległość, ma żal do połowy Europy, że nie dane mu to było wcześniej. Z kolei zaś urazobiorcy – przede wszystkim my oraz Rosjanie – również wylewają hektolitry złych emocji. To są rwące wodospady wielorakich obwinień zwrotnych, na razie chyba nie do powstrzymania. Lecz może przynajmniej do oddalenia od codzienności.

Na razie dokonuje się bolesna żonglerka faktami, które razem z emocjami są podgrzewane we wspólnym kotle, z niebywałą siłą. Ale fakty czym innym są, a co innego znaczą. Raz służą do eksponowania, innym razem do ukrywania; czasami do przekształcania, niekiedy do zniekształcania. Przy takich sprzecznościach, ważniejsze od faktów okazują się zatem efekty. Najprawdopodobniej chwilowo też nie do pogodzenia, nie do stonowania oraz nie do narzucenia żadnej ze stron.

Może wobec tego zachodzi potrzeba częściowych przemilczeń? Żeby mianowicie na razie nie mówić sobie i nie wypominać wszystkiego? Dopóki amplituda emocji nie opadnie znacząco, a na to konieczna jest zmiana pokoleń. Owszem: formuła *wiedzieć i milczeć* nigdy nikomu nie przychodzi łatwo. Lecz z kolei spór,

kiedy wciąż jeszcze eksplodują emocje, nie ma najmniejszego sensu.

W dekrete Juszczenki obwołano narodowymi bohaterami postacie nie tylko dla nas nie do przyjęcia, ale również tam na tyle kontrowersyjne, że ów dekret został anulowany. Jednak z kolei liczne przeświadczenia były z tym dekretem zgodne. Przedmiot kontrowersji jest więc zasadniczy.

Oto generał Roman Szuchewycz: naczelny dowódca UPA, który zginął w 1950 roku w walce z oddziałem NKWD. Ale wcześniej kapitan Szuchewycz (zresztą absolwent polskiej podchorążówki) dowodził niemiecko-ukraińskim batalionem *Nachtigal* (potem: policyjnym batalionem 201) i współinspirował pogrom lwowskich Żydów. A później zorganizował przecież wołyńską rzeź.

Albo główny ideolog ukraińskiego nacjonalizmu i koncepcji niepodległościowych, Stepan Bandera. W polskim więzieniu przesiedział 3 lata (skazany na dożywocie), w niemieckim kacecie 4 lata, potem skrytobójczo zastrzelony w Monachium w 1959 roku. To jednak on zorganizował zabójstwo ministra Pierackiego. Zaś w jego koncepcji ukraińskości zawierała się agresywna nienawiść do Rosjan, do Polaków i – z krótkim antraktem kolaboracyjnym – do Niemców.

W takich oraz w wielu podobnych kontekstach trudno myśleć choćby tylko o tonowaniu opinii, zaś wzajemne narzucanie sobie racji w ogóle nie wchodzi w grę. Owszem, to i owo zapewne należy wiedzieć, ale z utrzymaniem tej fundamentalnie różnicowanej wiedzy na odległych półkach świadomości.

Na marginesie bieżącej codzienności: tu i tam. Zatem jednak – zmilczeć: na ile to możliwe. Czas przecież nie musi zacierać faktów – zresztą zawsze można je odtworzyć, byle nie w jednostronnych interpretacjach – natomiast potrafi przytłumić emocje. I to byłoby pożyteczne.

Trzeba jednak dopowiedzieć, że te emocje również tam są rozmaicie ukierunkowane. Nie ma całkowicie wspólnych, jednolitych opinii ani poglądów. I to także jest wielkie tamtejsze nieszczęście. Owocujące wzajemnym skakaniem sobie do oczu oraz pokrętną, meandryczną polityką. Którą z kolei my odczuwamy i... odwzajemniamy.

UKRAINEC NIEZŁOMNY

Dla ilustracji przywołam jedno z dominujących na Ukrainie nastawień, charakterystyczne zwłaszcza dla części pokoleń najstarszych, ukierunkowane niepodległościowo i patriotycznie. Przeciwnicy sugerują wprawdzie, że *nacjonalistycznie*, ale to jest określenie tyleż ogólne, co i obelżywe. Nazwać tak lub inaczej można w gruncie rzeczy wszystko, więc namawiam do ostrożności.

Za świadectwo zaś niech posłuży mi książka, autorstwa Ukraińca niezłomnego, gorącego patrioty



z dramatycznym życiorysem^{1/}. To Wasil Noworin'skij (1934-2016), inżynier elektromechanik z Kramatorska, gdzie parał się też publicystyką. A pochodził ze wsi Koniuchy, koło Tarnopola, przed wojną polskiej; jego ojciec służył w polskiej artylerii. Autor w wieku 18 lat został aresztowany przez służby sowieckie za współpracę z UPA (dla partyzantów instalował urządzenia radiowe) i skazano go na 25 lat zsyłki – tak jak i rodziców. Wrócili wszyscy z Syberii po 4 latach, bo objęła ich poststalinowska amnestia.

Takie odbył więc *kształcenie* patriotyczne i w rezultacie do końca życia pozostał zdeklarowanym Ukraińcem, tak jak wielu podobnych mu rówieśników. I to oni mają nadal znaczny wpływ na

panujące tam nastroje.

Ukształtowanie poglądów niepodległościowych – w wersji, którą nazwałbym mimo wszystko agresywną – a rozpowszechnionych zwłaszcza na Ukrainie Zachodniej, to zdaniem autora scalony rezultat: atmosfery rodzinnej i domowego wychowania, wpływów Cerkwi (pomimo zróżnicowania) lub Kościoła, ludowych tradycji, oraz obiegowych przeświadczeń, dominujących zwłaszcza na wsi. Głównych prześladowców wylicza zaś w zbieżnej tonacji jednym tchem. To Rosjanie, Polacy i Niemcy – kolejni sprawcy okupacyjnych reżymów. Dorzucając też personalizację: Józef Stalin, Adolf Hitler i Józef Piłsudski. Oraz przypomina obiegowe hasła – *Śmierć moskiewskiej żydokomunie!! Śmierć Lachom!*

Owszem, najostrzej Noworin'skij traktuje Rosjan, zresztą unikając samej narodowościowej nazwy. W jego tekście to są bolszewicki okupanci, albo ugro-mogolowie, sprzymierzeni (to ekstremalny antysemityzm) z żydokomuną. Wylicza też stalinowskie *dokona-nia*: śmierć milionów z głodu, masowe rozstrzeliwania, tortury oraz ponad milion zesłanych na Sybir. Poza tym jest także przypomnienie skrytobójczych zamachów na Semena Petlurę, Stepana Banderę, Jewhena Kono-walca, Lwa Rebeta i innych.

Jednak ten syn artylerzysty bądź co bądź z polskiej formacji, do nas też nie odnosi się lepiej. Do listy prześladowców ukraińskiego społeczeństwa dopisuje Feliksa Dzierżyńskiego (jednak Polaka) i wypomina prześladowania Ukraińców w międzywojennej Polsce, włącznie z zakazami rozpowszechniania ukraińskiego piśmiennictwa. Natomiast o ukraińskich aktach terroru u nas nie ma w książce ani słowa.

No więc takie ukształtowały się nastroje wśród co starszych Ukraińców i częściowo pozostały bez większych zmian. Dawniej sygnalizowane też symbolicznie w ówczesnych, złośliwych trawestacjach naszego hymnu (w wolnym tłumaczeniu):

¹ Wasil Noworin'skij: *Na grani wicznego boliu. Galiczina – Donbas. Dwa polusi w borotbi za ukraińsku niezaleznist'*. Kijiw: TOW Wydawnictwo „Klio”, 2018, 302 s. ISBN 978-617-7023-69-1.

*Jeszcze Polska nie zginęła, ale się popsuje.
Jeszcze Polak Ukraińca w dupę pocałuje.*

W całej książce jest tylko jedno życzliwsze dla Polski zdanie – odniesione do Lecha Kaczyńskiego. Trudno tego nie zauważyć.

Podczas okupacji niemieckiej, a potem sowieckiej, bojownicy UPA przechodzili niekiedy do wsi w matych grupach, a potem wracali do lasu. To były odwiedziny także indoktrynacyjne. Nie mieli złudzeń co do swojej przyszłości, ale trzymali się do końca. Noworinskij, wówczas uczeń technikum, znał się już na technologii radiowej, więc pomagał w instalowaniu urządzeń i sieci.

Z jego relacji wynika, że byli doskonale zorganizowani; funkcjonowały nawet polowe szpitale. Autor nie pisze natomiast, czym się głównie zajmowali. Tylko raz pojawia się w tekście sugestia, że likwidacją renegatów i donosicieli, których jednak nie brakowało i to za ich sprawą UPA w końcu przestała istnieć. Ale sentymenty przetrwały.

Noworinskij pisze o tym w kategoriach bohaterstwa, gloryfikując zwłaszcza Szuchewycza. I przez ten pryzmat wysoko ocenia Wiktora Juszczenkę, który ustanowił upowsko-banderowskie insygnia niepodległościowe. Ale to mu nie wystarczyło, żeby wygrać kolejne wybory. Społeczeństwo bowiem, skołowane i biedne, oczekiwało korzystnych rozwiązań ekonomicznych, a tych akurat zabrakło. No i swoje zrobiła też infiltracja rosyjskich służb specjalnych.

Z kolei dla Wiktora Janukowycza autor rezerwuje same inwektywy: nieUkraińiec i zdrajca. Podpisał układ o stacjonowaniu rosyjskiej Floty Czarnomorskiej oraz anulował honory dla Bandery i UPA. Zaś inna, szerzej znana postać tamtejszej polityki, Julia Tymoszenko to – jego zdaniem – oszustka i lawirantka. Czasów Porosenki już ten tekst nie dotyczy.

Mieszkając i pracując przez wiele lat w donbaskim Kramatorsku wyrobił sobie (?) Noworinskij własną opinię na temat Donbasu. Dopełnioną doświadczeniem krótkotrwałego zajęcia miasta przez separatystów i *wiarołomnych agresorów z dzikiej Rosji*. Ale (jak widzę) jest to pogląd niespójny. W jednym miejscu pisze bowiem, że Donbas to obszar dominacji sowiecko-żydowskiej. Gdzie indziej natomiast twierdzi, że to oczywiście Ukraina, więc żadnej Noworosji ani Małorosji nigdy nie było i nie ma. Ta charakterystyczna rozbieżność sygnalizuje, jak bardzo skomplikowane są tamtejsze okoliczności.

DONBAS – INNE UJĘCIE

Ale to nie zmienia oceny ogólnej. Oto kraj ościenny, głównie dlatego że silniejszy militarnie i ekonomicznie, a przy tym chętny do panowania nad światem, dokonał zbójckiej napaści na niepodległy kraj sąsiedni i zajął część jego terytorium. Bajdurząc, że to jest separacja autonomiczna, uzasadniona historycznie. Nie ma po temu żadnego usprawiedliwienia. Bandytyzm, także państwowy, zawsze był i jest zbrodniczy. W dodatku uprawiany w warunkach recydywy – żeby wspomnieć Abchazję, Osetię, lub tzw. republikę naddniestrzańską.

Natomiast istnieją różnorodne okoliczności towarzyszące, rozmaite uwarunkowania oraz całkowicie odmienne punkty widzenia. Nic nie jest tak oczywiste,

proste i bezdyskusyjne, jak to usiłuje wmówić każda ze stron uwikłanych w konflikt.

Doniesienia o aneksji Krymu oraz separacji Doniecka i Ługańska są na ogół banalne i jednoznaczne. Wszędzie – poza Rosją. Dlatego ewentualnie warto zwrócić uwagę na ujęcie inne i na odmienne spojrzenie; właśnie rosyjskie. Tym bardziej że w wykonaniu nie byle kogo. Ale powtórzę: jest warte uwagi. Natomiast na pewno nie – bezkrytycznego przejęcia.

Otóż reportażowo-publicystyczną książkę (pokaźnych rozmiarów) na ten temat opublikował^{2/} wybitny rosyjski powieściopisarz **Zachar Prilepin** (właśc. Jewgienij Ławlinskij). To prozaik naprawdę świetny, z bogatym dorobkiem i szeroko znany, chociaż ma dopiero 40 lat. W Polsce wydano kilka jego powieści^{3/}.

Natomiast poglądy ma skrajnie nacjonalistyczne (choć niekoniecznie prymitywne). Był członkiem partii narodowo-bolszewickiej, kierowanej przez E. Limonowa, którą w końcu zdelegalizowano. W wojskach specjalnych doszedł do stopnia majora, angażując się w wojowanie tam, gdzie Rosja ostatnio wysyłała swoich wojskowych. Znalazł się więc i w Doniecku. Walczył, a potem został doradcą separatystycznego przywódcy Donbasu, co zapewniło mu rozległy, chociaż jednostronny, przegląd wydarzeń.

Zdaniem Prilepina, większość mieszkańców Donbasu zawsze (?) uważała się za Rosjan i mówiła wyłącznie po rosyjsku. Co pokrywa się z (pozaintencjonalną) wypowiedzią Noworinskiego. Generalnie spora ich część sprzyja Rosji i dlatego wszystkie tamtejsze ostatnie wydarzenia zostały tam nazwane *rosyjską wiosną*.

W przeprowadzonym referendum miejscowym, 89 procent respondentów opowiedziało się za niepodległym Donieckiem. Oczywiście – wszystko można zakwestionować, więc i takie głosowanie też. Tym bardziej że żadnych przedsięwzięć agresywnych nie da się w ten sposób uzasadnić ani usprawiedliwić. Jednak z drugiej strony nie wolno takich poglądów i postaw ignorować całkowicie, ponieważ one istnieją.

A już inna sprawa, że nawet zwolennicy przyłączenia Donbasu do Rosji nie mieli ochoty, żeby walczyć. Czy to jednak dziwne? Każdy przecież wszędzie chce po prostu normalnie żyć. W każdym razie – jak zauważył Prilepin – rdzennych donbasowców było w oddziałach separatystów niewiele. Pojawili się natomiast (po obu stronach) zaciężni najemnicy.

Z dużą ulgą zatem przyjęto tam rozejm i (nie zawsze przestrzegane) zawieszenie walk, tym bardziej że dzięki kontaktom z Rosją i tamtejszemu zaopatrzeniu (jakkolwiek odpłatnemu), Donieck znowu zaczął funkcjonować jak normalne miasto.

No i taki jest główny punkt widzenia przez autora zreferowany. Dopełniony szczegółową prezentacją kilku kobiet i mężczyzn, zaangażowanych w walki po stronie separatystów. To wszystko Rosjanie, poniekąd zawodowi bojownicy oraz ideowi fanatycy, jednoznacznie nastawieni na Rosję i na postsowiecizm. Wniosek – zapewne wbrew autorskim intencjom – nasuwa się

2 / Zachar Prilepin, *Pisma s Donbasa. Wsio, szto dolžno razreszitsia. Chronika iduszczej wojny*. Moskwa, Izdatielstwo AST, 2017, 534s. ISBN 978-5-17-103248-7. [Odrębną i pełną recenzję tej książki zamieściłem w kwartalniku *Czas Literatury* 2019 nr 2]

3 / *Patologie*. Wołowiec, Wyd. Czarne, 2010; *Czarna małpa*. Wołowiec, Wyd. Czarne, 2012; *Klasztor*. Poznań, Wyd. Poznańskie, 2016.

oczywisty. Z takimi ludźmi nie ma najmniejszych szans na żadne kompromisowe układy.

Szczególną estymą Prilepin obdarzył **Aleksandra Zacharczenkę**, przy którym pełnił funkcję doradcy. To *prezydent* separatystycznej republiki donieckiej, wybrany na to stanowisko przez 77 proc. głosujących. Zręczny zarządca, sprawny improwizator – ale zapewne typowy rosyjski watażka i sentymentalny sympatyk sowietyzmu. Według jego opinii dałoby się opanować (czyli zniewolić) całą Ukrainę, jednak straty ludzkie byłyby gigantyczne.

Przez całą książkę autor nie szczędził mu pochwalnych słów i aprobatywnych ocen. Jednak życie dopisało epilog tragiczny.

Ostatniego dnia sierpnia 2018 roku Zacharczenko zginął od ładunku wybuchowego, podłożonego w kawiarni, w której nieraz bywał.

O ile wojny zawsze były i bywają wynaturzeniami, to skrytobójstwa są nimi w wymiarze spotęgowanym. Jednak w tamtejszej rzeczywistości były i są praktykowane często, zarówno przez Rosjan, jak i przez Ukraińców. Rejestry ofiar (nie brakuje wśród nich Polaków) są przerażająco obfite.

Również w Donbasie zlikwidowano wcześniej w ten sposób wielu separatystów, w tym jednego z dowódców, pułkownika Arsenija Pawłowa, ksywa *Motorola* – o czym Prilepin pisze. Ale tym razem pojawiły się wątpliwości co do motywów, niekoniecznie politycznych. Mianowicie sama *czysta* symbolika pozbycia się takiego przywódcy, jak Zacharczenko, akurat podczas antraktu w zmaganiach zbrojnych, wygląda na mało logiczną. Wiadomo wszak, że zaraz znajdzie się następca, a ryzyko wznowienia walk mogło być ogromne.

Przygotowano więc (nie w książce – później) próby objaśnień odmiennych. Otóż, jak to napisał Prilepin, w dawnych latach Donieck zapewniał 20 proc. wpływów z całego ukraińskiego przemysłu. Po separatystycznym przewrocie właściciele uciekli z Donbasu, ale kopalnie oraz fabryki – także wille po tych właścicielach – zostały i doszło (jak napisano) do ich *usamorządowienia*. A mówiąc po ludzku – do przejścia przez separatystyczne władze.

To gigantyczny majątek, przynoszący niewyobrażalne dochody. Przeznaczone zapewne na utrzymanie separatystycznego wojska i administracji, a także na odbudowę i funkcjonowanie miasta, jednak można przyjąć, że tylko częściowo. Resztą – są takie sugestie – dzielili się oraz dzielą nowi *zarządcy*. Otóż kwoty z tego podziału mogłyby zachęcić nie do jednego, ale do wielu zamachów.

Niezależnie od poglądów, Prilepinowi wystarczyło natomiast wrażliwości, aby napisać, że oto w tym konflikcie na pewno przegrał humanitaryzm. Oraz że nie widać szans na realne zakończenie. Świat przestał już reagować na wydarzenia ukraińskie, bo świat całą tę Ukrainę, Donbas i Krym ma głęboko w dupie. Jakiekol-



wiek inicjatywy oraz pomysły racjonalnych rozwiązań mogą więc i muszą pojawić się wyłącznie tam. Ale na razie wszyscy jedynie czekają.

Polskie ślady w tej książce są tylko (właśnie) śladowe. Raz oto Prilepin relacjonuje, że wśród poległych żołnierzy w mundurach ukraińskiej armii, znajdowano również najemników z Polski: mieli przy sobie paszporty. A znów innym razem, przypominając Bohdana Chmielnickiego, sugeruje że Rosjanie obwołali go bohaterem, ponieważ uchronił Ukrainę przed Polską, natomiast wielu Ukraińców ma go za zdrajcę, bo sprzedał Ukrainę Rosji. No i to jest charakterystyczna symbolika. Tam wszystko oraz każdy może stać się i staje się przedmiotem skrajnych kontrowersji.

KRYMTATARIA

Rosyjska aneksja Krymu, tak ordynarna, że w żaden sposób nawet nie kamuflowana, wywołała na świecie szok intensywny, ale krótkotrwały. Krym leży bowiem daleko poza pępkiem globu, a *mitygująco* podziały też demagogiczne argumenty rosyjskie. Szczególnie sugestia, że Krym nigdy nie był ukraiński i Chruszczow włączył go do Ukrainy prawem kaduka. To powalająca logika. Wszak równie bezprawnie car sprzedał ongiś Alaskę Amerykanom, ale siłowych przedsięwzięć rewindykacyjnych jakoś nie widać.

Tymczasem okupacja półwyspu trwa już pięć lat i dla żyjących tam ludzi – a to wszak miliony – oznacza ogromne codzienne kłopoty, niezależnie od ich narodowo-politycznych poglądów. Ale to akurat, oprócz nich samych, mało kogo obchodzi. Niedawno jednak pojawiła się ukraińska próba opisanie sytuacji: jak to wygląda i jakie są skutki⁴. Wprawdzie ukierunkowana zdecydowanie antyrosyjsko, ale przez wybór zdarzeń i faktów, jak również przez pominięcia, a także przez sposób relacji i argumentacji, rzucająca przeciw szerokie światło na tamtejszą rzeczywistość. Bez wątpienia dramatyczną.

Zgodnie z tym, co w tekście napisano – a nie ma powodu, żeby akurat temu nie ufać – ekonomika Krymu doznała istotnego uszczerbku. Uległ zakłóceniu dotychczasowy rytm funkcjonowania przedsiębiorstw oraz ujawniły się skutki sankcji zagranicznych (skoro to ma być Rosja...), a także dało o sobie znać nałożone przez Ukrainę specjalne embargo. Szczególnie zaś dramatyczne okazało się załamanie turystyki, przedtem tam przeciw sztandarowej. Natomiast Ukraińcom udało się wywieźć w porę większość nowoczesnego taboru kolejowego oraz przerzucić obsługę portową z portów zajętych do portów własnych.

Kłopoty szczególnie dramatyczne dla mieszkańców Krymu wynikają z dewastacji systemu administra-

4 *Zielena kniga. Dierżawna politika szczodo Krimu*. Kijiw, TOW Agentstwo Ukraina, 2018, 85 s. ISBN 978-966-137-106-3.

cyjnego. Stosownych urzędów administracyjnych jest tam teraz niewiele, tworzą się gigantyczne kolejki, ale i tak wielu spraw podstawowych nie można załatwić normalnie, bowiem przepływ dokumentów pomiędzy Krymem a Ukrainą jest utrudniony lub w ogóle niemożliwy. Trudno uzyskać dokumenty potwierdzające narodziny lub zgodny, są kłopoty z wypłatą emerytur oraz różnych należności socjalnych, a nawet z wydawaniem osiemnastolatkom dowodów osobistych. A rekrutacja do służby wojskowej? Zakłócone są więc te aspekty codziennej egzystencji, które na całym świecie uchodzą za uregulowane.

W tekście sygnalizuje się rusyfikację całego systemu informacji publicznej: telewizji, radia, prasy – oraz blokadę internetu. Ukraińcy wzbogacili więc radiową ofertę kierowaną na Krym oraz zbudowali specjalną wieżę telewizyjną. Także oferta kulturalna jest teraz na Krymie głównie rosyjska. A przy tym są sygnały, że wywozi się do Rosji niektóre eksponaty z miejscowych muzeów.

Przy tej okazji pojawiają się jednak w tekście również informacje, które skłaniają do ostrożniejszego myślenia: powiedziałbym, że *uelastycznionego*. Otóż okazuje się, że językiem ukraińskim posługuje się tam teraz 0,2 proc. ludności, a tatarskim 3 proc. Pozostali mówią tylko po rosyjsku. Wszystkie te trzy języki są zresztą uznawane za urzędowe. I wprawdzie nie musi być tak, że każdy, kto używa wyłącznie rosyjskiego, jest automatycznie wrogiem Ukrainy, ale sygnalizowane proporcje ujawniają obraz raczej nieoczekiwany.

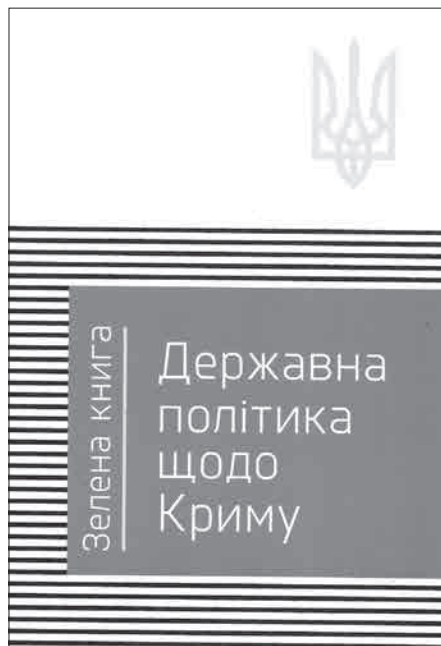
Wobec tego nie musi zaskakiwać wiadomość, że na całym Krymie funkcjonuje teraz tylko jedna szkoła z wykładowym językiem ukraińskim. Wcześniej było ich siedem. Ale generalnie tamtejsza młodzież nie zna ukraińskiego, toteż kierowana do niej z Ukrainy oferta zdalnego kształcenia po ukraińsku, a także ułatwień w dostępie do ukraińskich szkół średnich oraz uczelni spotyka się z minimalnym odzewem.

Władze Ukrainy próbują jakoś reagować na to wszystko, ale możliwości są śladowe. Wprowadzono sankcje w postaci zerwania kontaktów produkcyjno-handlowych oraz zakazu wjazdu na Ukrainę konkretnych osób, wymienionych z imienia i nazwiska. W tym, paradoksalnie, także wobec Dawida Berezickiego z Polski (stowarzyszenie Obóz Wielkiej Polski), ale dla niego to jest bardziej reklama, aniżeli restrykcja.

W tekście wyliczono 16 obszarów naruszenia praw człowieka na okupowanych terytoriach. To miała być forma protestu, ale nie bulwersuje nadmiernie. Niestety.

W tych okolicznościach została na światło dzienne wyciągnięta *karta tatarska*. Nie do mnie należy opinia czy potrzebnie oraz czy z pożytkiem.

Na Krymie Tatarzy pojawili się w XIII wieku i do połowy XIX stulecia stanowili tam nawet blisko 80 proc.



mieszkańców, ale ani wtedy, ani później, nikogo specjalnie nie interesowali. Zajął się nimi dopiero Stalin, w obawie – nie do końca bezpodstawnej! – że spróbują kolaborować z Niemcami. Dlatego w 1944 roku deportował ich do Uzbekistanu. Uznano to za zbrodniczy akt odpowiedzialności zbiorowej, ale kiedy później podobnie *oczyszczano* z Ukraińców i Łemków Bieszczady, takie określenia już nie padały.

Po wojnie wróciła na Krym tylko część wysiedlonych Tatarów. Doliczono się ich tam nie więcej, niż 250 000 i znowu nikt się nimi nie interesował; władze ukraińskie też nie. Bo zresztą główne skupisko Tatarów w Rosji – ok. 4 milionów osób – to autonomiczny Tatarstan ze stolicą w Kazaniu.

Ostatnio jednak krymscy Tatarzy byli przeciwni rosyjskiej aneksji półwyspu. Opowiedzieli się po stronie ukraińskiej i zignorowali okupacyjne referendum, narażając się na rozmaite restrykcje. Dopiero wtedy zwrócono na nich uwagę na Ukrainie. Uznano ich nawet za rdzennych mieszkańców Krymu i podniesiono larum z powodu rosyjskich prześladowań. Ale o rzeczywistych przedsięwzięciach ochronnych bądź wspomagających niewiele można powiedzieć.

KWESTIA TOŻSAMOŚCI

W tych skomplikowanych okolicznościach, w tygłu przeświadczeń, nieraz przecież skrajnie odmiennych, nie sposób uniknąć pytania o ukraińską narodową tożsamość. Co mianowicie spaja Ukraińców w naród, co jest im naprawdę wspólne, co zróżnicowane, a co – niemożliwe do wzajemnego pogodzenia. W warunkach rozbieżności wewnętrznych oraz zewnętrznej agresji, to zdaje się być kwestią fundamentalną. Wziętą tam pod uwagę w specjalnej publikacji⁵.

Problem główny Ukrainy polega na tym, że tamtejsze społeczeństwo jest wielorako i głęboko podzielone oraz zróżnicowane. Prawie nigdzie nie ma poglądów zbieżnych, a przyczyny odmierności są rozmaite i liczne. I wprawdzie z ukraińskością utożsamia się podobno 90 proc. obywateli, ale nie jest uświadamiana jednakowo.

Oczywiście: daje o sobie znać przeszłość, ze śladami wpływów rozmaitych państw, które sprawowały tam rządy, dłużej lub krócej – więc nie tylko Rosji, jakkolwiek głównie. W końcu dopiero niedawno Ukraińcy przestali być dostrzegalną wprawdzie lecz jednak mniejszością, w ogromnym moskiewskim imperium. Pozostały więc postsowieckie resentymenty, diametralnie sprzeczne z nastawieniem z kolei proeuropejskim, które też już tam jest. Paralelnie, zachowała się także opozycja pomiędzy przywiązaniem do paternalizmu (na Wschodzie) i apetytem na demokrację (na Zachodzie). Tym

⁵ *Polityka identyczności w Ukraini. Szczzo jedynaje suspilstwo?* Kijiw, TOW Agentstwo Ukraina, 2018, 84 s. ISBN 978-966-137-108-1.

bardziej że dekomunizacja świadomości postępuje opornie, a reformy ekonomiczne realizuje się śladowo.

Nic zatem dziwnego, że w poprzednich wyborach do parlamentu startowało ponad 80 partii i znalazło się tam aż dziewięć, z kolei zaś na prezydenta wybrano osobę w ogóle spoza tych partii. Rozległa niezgoda dotyczy więc również polityki i to we wszystkich zakresach. Z sondaży wynika, że przystąpienia Ukrainy do NATO życzy sobie 62 proc. obywateli, jednak przeciwnych jest 38 proc. Co do rozwoju zaś, to 51 proc. Sugeruje, żeby liczyć tylko na własne siły, ale 31 proc. wskazuje na wsparcie Europy, a 7 proc. – Rosji.

Wewnętrzny relacjom oraz łaadowi nie sprzyja obecnie nawet wspólne terytorium, częściowo zanektowane przecież przez interwentów. Agresja wymusiła exodus ok. 4 milionów osób – co wręcz trudno sobie wyobrazić. To jest jednak ogromna i odrębna masa ludzi, poszkodowanych oraz sfrustrowanych, którzy mają zupełnie inne oczekiwania i przeświadczenia, aniżeli pozostali.

Z całą pewnością zbieżnościom tożsamościowym nie sprzyja też sytuacja wyznaniowa na Ukrainie, zróżnicowana jak mało gdzie. Jako wierzące, deklaruje się 67 proc. mieszkających tam osób, ale to jest tylko wymiar ogólny. Konkretnie natomiast – wyznania są bardzo rozmaite. Grekokatolickie, rzymskokatolickie, protestanckie, unickie i są także islamiści – którym w kontekście zabiegów krymskotatarskich obiecano nawet budowę meczetu w Kijowie.

Oczywiście przeważy prawosławie, ale od jednolitości dalsze niż dalekie. Mianowicie z patriarchatem moskiewskim utożsamia się 1/4 cerkwi i parafii. Pozostałe, więc Ukraiński Kościół Prawosławny (patriarchatu kijowskiego), oraz – dotychczas odrębny! – Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny, w grudniu 2018 roku połączyły się w jeden Kościół Prawosławny Ukrainy. Ale ewentualne zespolenie świadomościowe wymaga znacznie dłuższego czasu.

Inaczej niż w wielu krajach, narodowościowym spoiwem mentalnym nie jest też wspólny język, chociaż prawie wszyscy sugerują, że takim powinien być. Językiem ukraińskim posługuje się 61 proc. mieszkańców, rosyjskim 33 proc., są jeszcze w użyciu języki mniejszościowe, mniej lub bardziej honorowane regionalnie. I wprawdzie sama rosyjskojęzyczność nie oznacza automatycznego nastawienia na Rosję, ale jednak ogólnonarodowego zlepiania społeczeństwa nie wspiera.

No i nie wszystkich potrafi integrować pamięć historyczna. Bardziej zgodna w odniesieniu do przeszłości dawnej, tyle że z kolei nafaszerowana niechęcią lub nawet wrogością, do wszystkich narodów ościennych. Za to historia najnowsza jest już przedmiotem agresywnych sporów oraz niezgody, zwłaszcza kiedy dotyczy wykluczającej się wzajemnie, przeciwstawnej afirmacji socjalizmu bądź UPA.



Władze (Janukowycz tego nie robi!) starają się lansować zmienione spojrzenia. Ustalają nowe rocznice i święta – jak stulecie pierwszej niepodległości lub osiemdziesięciolecie wielkiego terroru – likwidując postkomunistyczne obeliski oraz nadając niektórym ulicom inne nazwy. W intencji przeorania świadomości powołano też Instytut Pamięci Narodowej. Ale są to zabiegi zbyt świeże, żeby już przyniosły skutek, nawet jeżeli nie podlegają negacji opinii potocznej.

Natomiast dla niemal wszystkich wspólne jest oczekiwanie istotnych zmian. Które wciąż są rzadkością i z tego wynika też wspólna lub przynajmniej rozległa ocena krytyczna elit politycznych – oczywista w toku ostatnich wyborów prezydenckich. Społeczeń-

stwo chce przede wszystkim (sondaż) rozwiązania kryzysu w Donbasie (61 proc.) oraz ekonomicznego rozwoju (37 proc.) i współpracy z Unią Europejską. Wkrótce okaże się, czy z nowym prezydentem oraz świeżym parlamentem, są na to realne szanse.

W tekście, który tutaj przywołuję, są także opinie o relacjach z Polską. Jednoznacznie nieprzyjemne i niestety zgodne z rozległymi tam przeświadczeniami, z których biorą się czasem przejawy agresji oraz pełne złości hasła o dawnych *polских oraz węgierskich okupantach*. Z drugiej strony – Ukraińców przyjeżdżających do pracy w Polsce również jest niemało. Być może ci myślą inaczej.

Przyczyn wzajemnych niechęci i kontrowersji jest mnóstwo. To nie tylko stosunek do UPA i do Bandery – tam przecież także nie zawsze aprobatywny. A niepotrzebnie pojawiają się też nowe. Jak choćby absencja polskiego prezydenta na inauguracji prezydenta ukraińskiego, tak jakby działo się to gdzieś w Burkina Faso. Najwyraźniej nie wszyscy przerobili lekcje ukraińskie.

Ma również swoje uzasadnienie wyrażana tam opinia, że nie musimy – z tą korektą, że wzajemnie – nadmiernie upolityczniać wspólnej historii ani tym bardziej (znów: wzajemnie) narzucać drugiej stronie swoich ocen zdarzeń. Skoro udało się jakoś stonować niechęć wobec naszego sąsiada na Zachodzie, no to teraz może pora na powtórkę wschodnią.

* * *

W pobliskim spożywczaku pani ze śpiewną intonacją informuje, ile mam zapłacić. Nie rozmawiamy o Szuchewyczu ani o Świerczewskim, ale o pogodzie, która nawet w Krakowie zawsze jakaś bywa. Lekcje ukraińskie przerobiliśmy już oboje wcześniej.

ANDRZEJ WILK

BERTRAND RUSSELL

CIĄGŁE AKTUALNY

Bertrand Russell w ciągu swego długiego życia (1872-1970) wykazywał zdumiewającą wielostronność uzdolnień i zainteresowań. Matematyk z wykształcenia, filozof i historyk wnosił wybitny wkład do każdej z tych dziedzin. Był również, a może przede wszystkim publicystą o światowym rozgłosie oraz znakomitym popularyzatorem filozofii i fizyki.

Jego dzieła i artykuły naukowe były znane społecznościom akademickim w wielu krajach, przede wszystkim w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Natomiast popularne artykuły i książki – tłumaczone na wiele języków – trafiały do wielomilionowych rzesz czytelników.

Zainteresowanie tzw. żółtej prasy przyciągało arystokratyczne pochodzenie Russella, jego burzliwe życie osobiste (cztery małżeństwa, trzy rozwody) oraz ostre wystąpienia na temat spraw bieżących. Jego głośne protesty przeciwko wojnie wietnamskiej sprawiły, że zaczęto mu przypisywać postawę antyamerykańską. Zareagował na to z humorem. „Jak mogę być antyamerykański, skoro pięćdziesiąt procent moich żon to Amerykanki?”.

W porównaniu z twórczością naukową publicystyka z natury rzeczy jest bardziej powierzchowna. Powinna być jednak atrakcyjna dla czytelnika. Russell przyciągał uwagę swych licznych czytelników zdumiewającą erudycją, błyskotliwością i poczuciem humoru.

Russell uważany za mistrza prozy angielskiej w roku 1950 otrzymał literacką Nagrodę Nobla. Nagroda ta – jak podkreśliła Akademia Szwedzka – była dowodem uznania za jego liczne i różnorodne prace

poświęcone ideałom humanizmu i wolności myśli. Sekretarz Akademii Anders Oesterling wymienił *Historię zachodniej filozofii*, *Wiedzę ludzką*, *Szkice sceptyczne* oraz esej *Mój rozwój umysłowy*.

1. Russell i Whitehead – prekursorzy informatyki

Kiedy Russell studiował matematykę w Cambridge University, jego opiekunem naukowym był Alfred North Whitehead. Przedmiotem ich wspólnych dociekań była zależność pomiędzy logiką a matematyką. Sądził, że podstawowe koncepcje matematyki można wyprowadzić z zasad logiki.

Russell i Whitehead w ciągu dziesięciu lat napisali trzytomowe dzieło *Principia Mathematica* (wydawane w latach 1910, 1912 i 1913). Większa część pracy przypadała na Russella z dość prozaicznych powodów. Whitehead obarczony wykładami w Cambridge University i obowiązkami rodzinnymi dysponował ograniczonym czasem. Natomiast Russell korzystający z majątku odziedziczonego po babce był wolny od trosk materialnych i swój czas poświęcał całkowicie na pracę nad *Principia Mathematica*.

Bertrand Russell – wnuk premiera Wielkiej Brytanii lorda Johna Russella – od wczesnej młodości arystokratyczne przywileje uważał za niesprawiedliwe i miał skrupuły związane z korzystaniem z nich.

„W czasie pisania *Principia Mathematica* czułem się usprawiedliwiony z tego, że utrzymywałem się z odziedziczonych pieniędzy, chociaż nie sądziłem, że byłoby usprawiedliwione zatrzymanie dodatkowego kapitału, który odziedziczyłem po babce – pisał w swej

Autobiografii. – Sumę tę przekazałem w części uniwersytetowi w Cambridge, w części Newnham College, a resztę różnym instytucjom oświatowym”¹.

W latach 1950. Russell pisał, że o ile było mu wiadomo – *Principia* w całości przeczytało” trzech Polaków i trzech Tekszańczyków”². Dzieło to miało skutki dalekosiężne, niemożliwe do przewidzenia. Jak pisze Ray Monk „Russell i Whitehead nadali rozmach badaniom w dziedzinie logiki matematycznej. Wynajdując metody i sugerując kierunki dociekań zainspirowali późniejszych logików matematycznych, takich jak Alan Turing i John von Neumann, których praca stwarzająca podstawy teorii komputerowej zmieniła życie nas wszystkich”³.

W elitarnym gronie czytelników trzech tomów *Principia Mathematica* znalazł się przyszły twórca cybernetyki – Norbert Wiener. W wieku lat osiemnastu w Uniwersytecie Harvarda uzyskał on doktorat za *Studium porównawcze algebry względnych Schroedera oraz Whiteheada i Russella*.

2. Jak daleko ma sięgać interwencja państwa

Bezpośrednio po ukończeniu studiów w roku 1894 Russell zainteresował się problemami socjalizmu. Pierwsza książka dwudziestoczteroletniego matematyka miała tytuł *Niemiecka Socjaldemokracja*. Przygotowując się do pracy nad tą książką Russell podróżował po Niemczech, gdzie rozmawiał m.in. z Wilhelmem Liebknechtem i Augustem Beblem. Doszedł wówczas do przekonania, że socjaldemokraci w oczekiwaniu na rewolucję zaniedbali reformy, które mogłyby znacznie poprawić los robotników. Ideały socjalistyczne stały się Russellowi bliskie. Na rzecz ich urzeczywistnienia działał w brytyjskiej Partii Pracy.

W roku 1900 pod wpływem wiadomości o okrucieństwie wojny burskiej⁴ doszedł do przekonania, że imperium brytyjskie powinno być zastąpione przez federację państw. Wrogość wobec imperializmu stała się trwałym przekonaniem Russella, któremu wielokrotnie dawał wyraz w swych publikacjach.

Przeprowadzenie zmian proponowanych przez socjalistów było – zdaniem Russella – konieczne. Pisał o tym m.in. w książkach *Zasady przebudowy społecznej* i *Ideały polityczne*. Zmiany te powinny odbywać się drogą pokojową, bez rewolucyjnej przemocy. Wielu myślicieli lewicowych rozwiązanie problemów społecznych widziało w nacjonalizacji gospodarki i głęboko sięgającej interwencji państwa.

W niewielkiej książce *Ideały polityczne* wydanej w roku 1916 Russell w oparciu o doświadczenia niemieckich socjaldemokratów, francuskich socjalistów i brytyjskiej Partii Pracy przeanalizował „pułapki socjalizmu”. Należy do nich np. przeświadczenie, że „władza urzędników jest znacznie mniej niebezpieczna od wła-

dy kapitalistów, ponieważ urzędnicy nie mają interesów ekonomicznych, które byłyby sprzeczne z interesami najemnych pracowników, ale ten argument wywodzi się z uproszczonej teorii politycznej natury ludzkiej. Teorii, którą ortodoksyjny socjalizm przejął z klasycznej ekonomii politycznej i którą utrzymuje wbrew piętrzącym się dowodom jej fałszu. Ekonomiczny interes własny, a nawet klasowy interes ekonomiczny, to w żadnym przypadku nie jedyne ważne motywy polityczne. Urzędnicy, których pensje nie mają zazwyczaj związku z ich decyzjami w poszczególnych sprawach, prawdopodobnie, o ile są względnie uczciwi, będą decydować zgodnie ze swoim pojmowaniem interesu publicznego, ale to pojmowanie może być obarczone uprzedzeniami prowadzącymi do błędnych decyzji. Niezmiernie ważne jest zrozumienie tego rodzaju uprzedzeń, zanim powierzmy bez zastrzeżeń nasze losy departamentom rządowym”⁵.

W dalszym ciągu swych wywodów Russell zwraca uwagę na fakt, iż w każdej wielkiej organizacji decydenci dysponują niewielką wiedzą o warunkach życia tych, którzy będą ponosić skutki ich decyzji. Urzędnicy patrzą na rzeczywistość przez pryzmat statystyki, rutyny i obowiązujących reguł administracyjnych. Stąd ich tendencja do uniformizacji wszystkiego, bez względu na to czy ma to sens, czy nie”⁶.

Russell jest zdania, że występuje „ogromna potrzeba zwiększenia działań ze strony państwa w odniesieniu do znanych przejawów zła. We wszystkim co dotyczy życia gospodarczego społeczności, zarówno w odniesieniu do dystrybucji i warunków produkcji potrzebne jest zwiększenie, a nie ograniczenie kontroli publicznej. Nie pretenduję do wiedzy jak daleko miała by ta kontrola sięgać”⁷.

Wprowadzony po rewolucji bolszewickiej system gospodarowania polegający na konfiskowaniu i przejmowaniu przez państwo wszystkich zakładów, łącznie z warsztatami rzemieślniczymi doprowadził nieomal do katastrofy. Wyjściem okazała się tzw. nowa polityka gospodarcza (NEP) oznaczająca gospodarkę państwo-wo- prywatną. Była ona niezwykle efektywna. Odejście od niej przez Stalina sprawiło, że ukształtował się radziecki model przenoszony do wielu krajów, oznaczający niską wydajność pracy i ciągle braki rynkowe.

W czasie wizyty gen. Jaruzelskiego w Chinach (29 września 1986) Deng Xiaoping stwierdził: „Struktury polityczne w obydwu naszych krajach są wzorowane na modelu radzieckim. Wydaje się, że i w Związku Radzieckim nie przyniosły one zbyt wielu sukcesów. A nawet gdyby tam sprawdziły się w stu procentach, to czy mogą one odpowiadać rzeczywistej sytuacji w Chinach? Czy mogą odpowiadać rzeczywistej sytuacji w Polsce? Realia każdego kraju są odmienne od innych”⁸.

Ustalanie uniwersalnego zasięgu kontroli państwa, a zwłaszcza proporcji pomiędzy inicjatywą indywidualną a działalnością państwa nie jest racjonalne.

Rozpoczęte w 1978 roku chińskie reformy gospodarcze okazały się zdumiewająco skuteczne m.in. dlatego, że przywódcy chińscy zdołali ustalić w praktyce

1 Bertrand Russell, *Autobiography*, London 1975, s.326. Cyt.za: A.Wilk, *Bertrand Russell. Biografia polityczna*, Wrocław 1999, s.21.

2 Bertrand Russell, *My Philosophical Development*, London 1959, s.85.

3 Ray Monk, *Bertrand Russell, The Spirit of Solitude, 1872-1921*, N.Y. 1996, s.195.

4 Obozy koncentracyjne to „wynalazek” brytyjski z czasów wojny burskiej. „Pod koniec wojny istniało czterdzieści obozów koncentracyjnych, w których uwięziono 116 tys. ludności białej, kobiet i dzieci afrykańskich, oraz sześćdziesiąt oddzielnych obozów dla 115 tys. czarnej ludności. Warunki w utworzonych obozach koncentracyjnych były bardzo złe, szczególnie sanitarne. W połączeniu z niejednokrotnie głodowymi racjami żywiołowymi stały się przyczyną wysokiej śmiertelności wśród przetrzymywanych tam osób”.

5 Andrzej Gąsowski, RPA, Warszawa 2006, s.63.

6 J.w., s.82.

7 J.w., s.86.

8 Deng Xiaoping, *Chińska droga do socjalizmu*, Warszawa 1988, s.337-338.

w sposób optymalny powyżej wspomnianą proporcję zgodnie z chińską specyfiką kulturową.

3. „Praktyka i teoria bolszewizmu”

W roku 1920 Russell udał się do Rosji Radzieckiej jako jeden z siedmiu członków delegacji niezależnych obserwatorów wysłanej przez rząd Partii Pracy. Delegacja ta w okresie od 11 maja do 16 czerwca odwiedziła Piotrogród i Moskwę, a także – w trakcie podróży statkiem po Wołdze – Niżnyj Nowgorod, Saratow i Astrachań. Obserwatorzy brytyjscy w trakcie tej podróży zatrzymywali się w miejscach przez siebie wybranych i rozmawiali z mieszkańcami pobliskich miast i wsi. „Dla Brytyjczyków niemiłą niespodzianką był fakt, że w trakcie pobytu w Piotrogradzie i w Moskwie gospodarze zapewniali im luksusowe warunki rażąco kontrastujące z powszechną biedą, a równocześnie starali się ograniczać ich kontakty ze »zwykłymi« ludźmi. Pomimo stosunkowo krótkiego pobytu i wspomnianych ograniczeń Russell zdołał wyrobić sobie zdumiewająco trafny pogląd na sytuację w Rosji i jej przyszłe losy.

W artykułach napisanych po powrocie, które zostały wykorzystane w książce *The Practice and Theory of Bolshevism*, Russell zwrócił uwagę na niereprezentatywność rządu bolszewickiego. W państwie zamieszkałym w 85 procentach przez ludność wiejską rząd pozornie reprezentował interesy mieszkańców miast zatrudnionych w przemyśle. W rzeczywistości reprezentacja ta dotyczyła jedynie członków partii komunistycznej. Na ponad 120 milionów ludności komuniści stanowili ponad pół miliona. Russell nie miał wątpliwości, że w porewolucyjnej „ojczyźnie proletariatu” rząd utrzymuje się przy władzy jedynie dzięki formacjom policyjnym i armii. „Przeciętny człowiek pracy czuje się niewolnikiem rządu i nie ma poczucia, że został wyzwolony z tyranii”.

Jako „lekarstwo” na kapitalizm, reżim bolszewicki okazał się znacznie gorszy niż sama „choroba”. Szczególne znaczenie dla ewolucji postawy i poglądów Russella miała jego rozmowa z Leninem 19 maja 1920r. Russell odniósł wrażenie, że rozmawiał z człowiekiem stanowiącym „ucieleśnienie teorii”, z doktrynerem niezdołnym wyjść poza uznawane i głoszone przez siebie dogmaty.

Lenin wyśmiał koncepcję socjalizmu gildyjnego głoszoną przez G.D.H. Cole’a i Russella. Nie widział szans na pokojowe wprowadzenie gildii robotniczych. Przywiązanie Partii Pracy do parlamentaryzmu uznał za cechę „burżuazyjną”. Podkreślał konieczność stosowania przemocy i nieuchronność rewolucji.⁹

4. Drugi Konfucjusz

Wkrótce po powrocie z Rosji Russell otrzymał zaproszenie Stowarzyszenia Wykładowców Chińskich na roczny pobyt w Uniwersytecie Pekińskim w charakterze profesora wizytującego. W październiku 1920 r. po kilkutygodniowym rejsie był Russell przyjmowany z honorami na konferencji prasowej – wszystkie pisma chińskie informowały o przybyciu wielkiego filozofa. Zainteresowanie społecznymi i politycznymi koncepcjami Russella wzbudziły uprzednio tłumaczone i publikowane jego książki *Zasady przebudowy społecz-*

nej, Drogi do wolności i Problemy filozofii. Na bankiecie powitalnym w licznych przemówieniach brytyjski filozof określany był zaszczytnym mianem Drugiego Konfucjusza.

Przed przyjazdem do Pekinu Russell i towarzysząca mu narzeczona Dora Black odbyli podróż po Chinach, która stwarzała okazje do licznych wykładów i wywiadów prasowych. Przez cały czas pobytu w Chinach towarzyszył im znakomity tłumacz Chao Yuenren mający za sobą dziesięcioletni pobyt w USA. W czasie pobytu w Nankinie, w Chińskim Towarzystwie Naukowym Russell wygłosił wykład *Einsteina nowa teoria grawitacji*. W Narodowym Uniwersytecie w Pekinie wykładał podstawy filozofii i logiki matematycznej. Wygłosił też cykl wykładów na temat analizy umysłu.

Działalność akademicka Russella była połączona z jego pracą dziennikarską. Wykłady zawierające nowe przemyślenia udostępnione zostały japońskiemu miesięcznikowi *The Kazio*. Teksty wykładów opublikowano jako cykl artykułów. Zebrane artykuły zostały następnie przetłumaczone na chiński i opublikowane jako książka zatytułowana *Nauka o strukturze społecznej*. Zainteresowanie wykładami było tak wielkie, że powstało Towarzystwo Studiów nad Russellem, które wydawało „Miesięcznik Russella”.

Wśród studentów słuchających wykładów o teorii i praktyce bolszewizmu był 26-letni student Mao Zedong (Mao Tse-tung). W liście napisanym po wykładzie przyszły przywódca ChRL pisał, że „zgodnie z oczekiwaniami Russell wypowiadał się za komunizmem, ale przeciwko dyktaturze robotników i chłopów. Powiedział on, że należy zastosować edukację dla zmiany świadomości klas posiadających, że nie należy ograniczać wolności, ani też wywoływać wojny i krwawej rewolucji. Moje zastrzeżenia do punktu widzenia Russella – pisał Mao – można wyrazić w kilku słowach: Jest to dobre w teorii, ale nierealne w praktyce”.¹⁰

W czasie tego pobytu, skróconego z powodu choroby Russella – obydwójce zdobyli znaczną wiedzę o Chinach, którą wykorzystali m.in. do napisania wspólnej książki *The Prospects of Industrial Civilization*

Russell był oczarowany Chińczykami. „Chińczycy są delikatni, uprzejmi, pragnący jedynie sprawiedliwości i wolności. Ich cywilizacja przewyższa naszą we wszystkim, co przyczynia się do ludzkiego szczęścia... Sądzę, że są oni jedynym narodem na świecie, który autentycznie wierzy, że mądrość jest cenniejsza od klejnotów”.

Chińczycy – jak ich widział Russell – wykazywali wielkie umiłowanie literatury, sztuki i muzyki, zdrowy sceptycyzm w stosunku do religii, wyszukany kodeks postępowania, oraz sympatycznie złośliwe poczucie humoru.¹¹

Liczne artykuły Russella, zebrane następnie w książce *The Problem of China*, zwróciły uwagę polityków brytyjskich.

Po stłumieniu tzw. powstania bokserów (Yihequan) w roku 1900 mocarstwa zachodnie wymusiły na ówczesnych władzach Chin wysokie „odszkodowania”.¹²

W roku 1924 premier rządu Partii Pracy, Ramsay MacDonald postanowił wykorzystać przypadającą na

10 Ray Monk, *Bertrand Russell. The Spirit...* s.592.

11 J.w., s.610.

12 Wiesław Dobrzycki, *Historia stosunków międzynarodowych 1815-1945*, Warszawa 2006, s.277.

Wielką Brytanię część tych pieniędzy (Boxer Indemnity) z korzyścią zarówno dla Wielkiej Brytanii jak i Chin. Na wniosek premiera Russell został członkiem komitetu doradczego, który miał zaproponować sposób ich wykorzystania. Russell przygotował memorandum w tej sprawie proponując sfinansowanie poprawy edukacji w Chinach. Jednakże w wyborach w październiku 1924 r. Partia Pracy straciła władzę, a Russell członkostwo w komitecie doradczym. Nowy rząd konserwatywny postanowił wykorzystać narzucony Chinom haracz – jak dotychczas – w interesie przemysłu brytyjskiego.

W późniejszych latach Russell wielokrotnie wykazywał zainteresowanie Chinami¹³.

W końcu 1950 r. przywódca Partii Pracy premier Clement Attlee udał się do Białego Domu, gdzie od prezydenta Trumana uzyskał zapewnienie, że w konflikcie koreańskim nie użyje on broni atomowej. Natomiast bezskuteczne były sugestie brytyjskiego premiera dotyczące uznania przez USA rządu Chińskiej Republiki Ludowej za legalny rząd Chin i przyjęcia ChRL do ONZ. Russell w artykule *Dlaczego Ameryka traci swoich sojuszników* w pełni poparł stanowisko Attlee'ego.

W 1962 roku korespondencja Russella z premierem ChRL Zhou En laiem (Czou En-laiem) i premierem Indii Jawaharlalem Nehru oraz późniejsze rozmowy z następcą Nehru – Lalem Bahadurem Shastrim (odwiedził 93-letniego Russella w Północnej Walii) przyczyniły się do poprawy stosunków indyjsko-chińskich, a także indyjsko-pakistańskich.¹⁴

Bertrand Russell swe nadzieje dotyczące przyszłości Chin wiązał z międzynarodowym socjalizmem. Przeżywał jednakże okresy zwątpienia. W 1956 roku wspominając swego przyjaciela Josepha Conrada pisał: „W swych pesymistycznych spostrzeżeniach, jak wyczuwam, wykazał głębszą mądrość niż ta, którą ja zademonstrowałem w swoich cokolwiek czczących oświadczeniach nadziei na szczęśliwe rozwiązanie chińskich problemów. Muszę przyznać, iż jak dotąd wszystko wskazuje na to, że to on miał rację”.¹⁵

Obecnie, w XXI wieku problemy Chin zdumiewająco skutecznie są rozwiązywane w warunkach socjalizmu o specyfice chińskiej.

5. Russellowski pogląd na przyszłość Wielkiej Brytanii

Wiosną 1959 roku komentator telewizyjny Wodrow Wyatt przeprowadził z Russellem cykl wywiadów na różne tematy. Odpowiadając na pytania dotyczące Wielkiej Brytanii i jej przyszłości Russell za jedną z najważniejszych zalet Brytyjczyków uznał ich zdolność do kompromisu. Cecha ta umożliwiła m.in. rezygnację z arystokratycznych przywilejów bez rewolucji i ścinania głów. Russell sądził, że w Wielkiej Brytanii elementy kapitalizmu i socjalizmu występowały we właściwych proporcjach. Będąc przeciwnikiem brytyjskiego imperializmu Russell ze spokojem obserwował proces dekolonizacji i zmieniającą się pozycję Wielkiej Brytanii na forum międzynarodowym.

„Myślę, że przyszłość Wielkiej Brytanii będzie podobna do tego, co stało się z Holandią. Holandia była wielkim mocarstwem w siedemnastym wieku, ale później przestała być wielkim mocarstwem i nie było to nieszczęście. Przestała być bez jakiegokolwiek katastrofy i stała się bardzo cywilizowanym i bardzo szanowanym pomniejszym państwem. Sądzę, że tego samego i my powinniśmy się spodziewać”.¹⁶

W roku 1959 prawdopodobnie większość Brytyjczyków nie podzielała poglądu Russella. Uzyskanie niepodległości przez Indie w 1947 roku i wyłonienie się z nich Pakistanu było ciężkim przeżyciem dla zwolenników imperialnej misji Wielkiej Brytanii oznaczającej – ich zdaniem – cywilizacyjne „brzemie białego człowieka”. Istotne były jednak koszty prób siłowego utrzymania brytyjskiej dominacji. Jak pisał Brian Lapping „duch kanonierek niebezpiecznie często ożywił politykę brytyjską. Postępowanie Churchilla wobec Indii w latach 1940-45, wobec Iranu w latach 1952-53, Edena w okresie 1955-56 wobec Egiptu oraz niższych rangą ministrów wobec Cypru w 1955 i Adenu w 1956 – wszystkie spowodowały niepotrzebne ofiary śmiertelne”.¹⁷

Z kosztów utrzymywania imperium siłą zdawał sobie sprawę premier Harold Macmillan. W procesie dekolonizacji usiłował on siłą militarną zastępować dyplomacją i manipulacjami politycznymi. Doszedł też do wniosku, że przyszłość Wielkiej Brytanii znajduje się w Europie.

W roku 1973 Wielka Brytania stała się państwem członkowskim Wspólnot Europejskich. Jednakże nostalgia imperialna nie wymarła. W 1982 roku wojna brytyjsko-argentyńska o Falklandy-Malwinę ową nostalgię pobudziła.

W latach 2017-2019 konserwatywna retoryka skierowana przeciwko Unii Europejskiej, nacechowana nacjonalistycznym zadufaniem doprowadziła do procesu znanego jako Brexit. Zwolennicy wyjścia z Unii Europejskiej oskarżają „bruselską biurokrację” o naruszanie niepodległości Wielkiej Brytanii. Twierdzą też, że Wielka Brytania jest bardziej potrzebna Europie, niż Europa Wielkiej Brytanii. Jednakże historia Wielkiej Brytanii po roku 1959 potwierdziła słuszność przewidywań Russella.

* * *

Bertrand Russell to nie tylko wielki twórca, ale również człowiek czynu: polityk-parlamentarzysta, inicjator i przywódca ruchów społecznych. Z perspektywy naszych czasów szczególnie istotna była jego działalność na rzecz zapewnienia pokoju i eliminowania broni nuklearnej oraz obrony praw człowieka. Ta obszerna problematyka wymaga jednak odrębnego potraktowania.

ANDRZEJ WILK

13 Ray Monk, *Bertrand Russell, The Ghost of Madness 1921-1970*, N.Y. 2001, s.344.

14 Ronald W.Clark, *The Life of Bertrand Russell*, Middlesex 1978, s.762.

15 Bertrand Russell, *Portrety z pamięci. Wartość wolnej myśli*, Wrocław 1995, s.34.

16 *Bertrand Russell, Speaks His Mind*, N.Y.1960, s.104.

17 Brian Lapping, *End of Empire*, London 1985, s.537.

ADAM KOMOROWSKI

ESPRIT D'ESCALIER

O *Uchu igielnym* Wiesława Myśliwskiego

**„Gospodi!” – skazał ja po oszibkie,
Sam tego nie dumaja skazał’.**

**„Boże!” – powiedziałem przez pomyłkę,
Nie chcąc tego powiedzieć sam.**

Osip Mandelsztam

Wydaje się, że wiemy, że przeczytaliśmy ze zrozumieniem i udało się nam znaleźć klucz. Po kilku latach Wiesław Myśliwski wydaje nową powieść i zaczynamy wątpić w swoją przenikliwość. Nie pozostaje nic innego jak zacząć od początku. Czytamy *Ucho igielne* i dostrzegamy, jak wiele umykało nam podczas lektur poprzednich powieści. Twórczość ta jest swoim własnym środowiskiem literackim. W prozie polskiej podobny stopień suwerenności udało się osiągnąć Bruno Schulzowi.

Jeśli eksperymentuje, radykalizuje strategie narracyjne, to punktem odniesienia jest jego własne piśmiectwo. Pozostaje zadziwiająco immunizowany na modne idee czy hegemoniczne dyskursy. Najbardziej niepokoi go to, czego inni nie słyszą. Stąd źródłowy fundament głosu nie tylko wobec słowa pisanego, ale także mowy żywej. Mowa żywa jest zasobem piśmiectwa autora *Kamienia na kamieniu*, ale żywiołem, w którym się rodzi jest głos, głosy. Żywiołem malarza jest światło, zasobem koloru/farby. Żywiołem pisarza są głosy, zasobem język, mowa. Głosy są dźwiękami, ale domagającymi się odnalezienia i uznania ich podmiotowości. Muzyk wprowadza do świata dźwięków pewien ład. W przypadku szczególnych dźwięków, którymi są głosy, samo wprowadzenie ładu nie wystarcza. Potrzebne jest ich upodmiotowienie, adres.

Można powiedzieć, że ta twórczość jest próbą uobecnienia podmiotowości głosów marginalizowanych czy pomijanych w hegemonicznych dyskursach. I bynajmniej nie chodzi tutaj o jakichś „wykluczonych”, o których „poeta pamięta”. Można być niewykluczonym i niesłuchanym. Myśliwskiego mniej interesują społeczne, klasowe czy modne dziś genderowe przyczyny bycia niesłyszczanym. Istotne powody, dla których nie słyszymy, są w pierwszym rzędzie indywidualne. Nie słyszy się konkretnej osoby, a nie niewolników czy homoseksualistów. Doświadczaliśmy tego wszyscy już jako dzieci, doświadczamy tego jako starzy gdy mówimy, czego nasze dzieci nie słyszą.

Akustyczny wymiar prozy w *Uchu igielnym* został wyraźnie zaakcentowany. Piotr Biłos, wyjątkowo skrupulatny badacz jego twórczości, pisze: „*Ucho igielne*

oddziałuje, dźwięczy, bije niczym »dzwon« z rozdziału drugiego albo »zegar z wieży« z rozdziału piątego czy jeszcze »gwiazdy na niebie« »ocierające się o siebie« ze strony 77...”. Okazuje się, że piszemy nie tylko żeby być czytani, ale słyszani.

W pewnym sensie jest to logiczne. Jeśli w prozie mamy do czynienia nie z sądami ale quasi-sądami, wobec których kryterium prawdy jako zgodności z rzeczywistością musi zostać zawieszona, to pozostaje nam wiarygodność tonu wypowiedzi, pewna bliskość rozpoznanego mówiącego podmiotu. Większość z nas potrafi po samym tonie określić nie tylko wiarygodność, ale także jej wagę dla wypowiadającego podmiotu. Rzecz nie tyle w znaczeniu wypowiedzi, co w jej ważności dla podmiotu. Nieufność wobec pisma, która pojawia się już u Platona, ma swoje źródło w odpodmiotowieniu, mumifikacji głosu.

Myśliwskiemu udaje się przywrócić głosom podmiotowość na tyle atrakcyjną, że wsłuchujemy się w jego narratorów i bohaterów. Słuchając wchodzimy w bardziej intymną relację z opowiadającym aniżeli – czytając. Wielka literatura jest przywróceniem upodmiotowionego głosu. Dzięki niej okazuje się, że oczy mogą być uszami, wzrok słuchem. To moment, który uchwycił Francisco de Quevedo w sonecie *Desde la torre*: „oczami z umartwymi gadam”.

Czasy, w których wszyscy mówią, gdy „mówię, więc jestem”, sprawiają, że naturalnym odruchem staje się ucieczka, niesłuchanie. Kociokwik nieustannej gadaniny amplifikowany przez media sprawia, że wolimy czytać lub tylko oglądać (Andrzej Mencwel nazwał to skanowaniem). Jesteśmy przekonani, że czytanie i oglądanie pozostawia nam więcej wolności i zwalnia od obowiązku uwagi. Jak zauważył Józef Czapski: można patrzeć i nie widzieć. W przypadku słuchania pozostaje jedynie wybór: słuchać albo nie słuchać. Często wybieramy to drugie, wtedy głos staje się tylko dźwiękiem, zakłóceniem ciszy. Podmiot zostaje wymazany.

W dzisiejszym świecie filtrowanie i amplifikowanie głosów oddaliśmy w ręce instytucji, aparatów i algorytmów.

mów. Przystajemy sami wybierać, kogo chcemy słuchać. Pierwszym, który to analizował, był Karl Kraus: „Nie rejestruje niczego, co nie przeszło przez telegraf. Ci, co sporządzają o nim raport, zastępują mu fantazję. Albowiem czas, który nie słucha języka, może ocenić wyłącznie wartość informacji... Porannogazetowoleni kraczą nad cywilizowaną kupą gnoju, którą uformować w świat nie jest już sprawą sztuki”. (przeł. Łukasz Musiał) *Niewola dyskursu*, którą analizował Michel Foucault, to utrata zdolności słuchania języka, indywidualnych i upodmiotowionych głosów. Ideałem jest informacja, a więc głos instytucjonalnie potwierdzony i odpodmiotowiony. Pozostaje nam tylko hejtowanie lub polubienie. Postępujemy się językiem, ale przestajemy go słyszeć. Nam samym język zasycha w gardle. Wymieniamy informacje, lecz własny głos tracimy. Nie jest to od nas oczekiwane. Mamy jedynie przyłączyć się do takiej lub innej opinii.

Na szczęście jest jeszcze literatura. Zdarzają się pisarze, którym udaje się przywrócić tych, których nie słyszymy i to, czego nie słyszymy. W skrajnych przypadkach usłyszeć nawet milczenie. Wielka literatura to oddanie głosu tym i temu, czego nie słyszymy. Oko okazuje się lekarstwem na ucho.

Źródłowa pierwotność upodmiotowionego głosu w prozie Myśliwskiego zostaje zaakcentowana już w incipicie *Ucha igielnego*: „Było, jak mówię”. I nie jest istotnym, na co zwraca uwagę Andrzej Mencwel, że wcale nie jest jasnym kto mówi. Tożsamość tego kto mówi może być dookreślona tylko w trakcie mówienia. Píše Mencwel: „Musimy przyjąć, że tych którzy tu mówią, jest co najmniej dwóch, a wewnątrz ich wypowiedzi pojawia się całe mnóstwo głosów różnych postaci z różnych czasów i miejsc. Dominujący dwaj narratorzy są właściwie jednym lub rozdwojonym, w dwóch osobach do nas mówiących”.

Do kwestii rozdwojenia narratora jeszcze powrócę. Pozostaje przy incipicie. Można przyjąć, że *Ucho igielne* jest opowieścią o tym, w co wnikamy się, gdy wypowiadamy słowa „Było, jak mówię”. Takie rozważanie nie musi prowadzić do bagatelizowania warstwy fabularnej powieści. Pozwala dostrzec, że rozdwojenie następuje już na poziomie samego wypowiedzenia. Kiedy mówię „Było, jak mówię”, to można domniemywać, że jestem świadomy faktu możliwości czy istnienia innych narracji. Gdybym nie dopuszczał ich możliwości, takie podkreślenie byłoby zbędne. W tej wypowiedzi zwracam się do samego siebie i słuchającego. Potwierdzam w niej coś samemu sobie i innemu, ale najczęściej tym innym jestem ja sam. Proces scalania w opowieść, nawet drobnego zdarzenia, zakłada „przed” i „po”. „Przed” jestem kimś innym niż „po”.

„Było, jak mówię” to w zasadzie wypowiedź performatywna, ale w odróżnieniu od wypowiedzi: „Będę mówił prawdę i tylko prawdę” czy „Biorę sobie ciebie za żonę” do niczego nie zobowiązuje. Potwierdza jedynie mówiącemu i słuchającemu status faktyczności wypowiedzi, której fundamentem jest wskazanie jej podmiotu, związane głosu z konkretnym człowiekiem. Potwierdzenie faktyczności należy rozumieć szeroko. Może być potwierdzeniem faktyczności fikcji. Kiedy opowiadam komuś powieść czy film i ten ktoś powątpiewa, wypowiadam: „Było, jak mówię”.

„Było, jak mówię” jest wypowiedzią performatywną w tym sensie, że stwarza nową sytuację, określa mówią-

cego i słuchającego. Gdyby Myśliwski napisał: „Było, jak piszę” nadawałby swojej prozie walor dokumentu. Nie o dokument tu chodzi, nie o informację, ale opowieść o kimś, kto wypowiada słowa „Było, jak mówię”. Ten ktoś nie poddaje się opinii, że nie ma faktów i są tylko interpretacje. To ktoś anachroniczny w tym sensie, że odnosi się do świata jako obiektu dopuszczającego, przynajmniej we fragmentach osobiście doświadczonych, jednoznaczność. Bohater/narrator Myśliwskiego wierzy, że uwaga i pamięć pozwolą mu uniknąć arbitralności interpretacji, doszukiwania się znaczenia pod powierzchnią zdarzeń. Życie jako konfiguracja zdarzeń dopuszcza tragizm ludzkiego losu, ale uraza czy „wieczne pretensje” mogą być tylko domeną interpretacji.

Narrator jego prozy unika mówienia: „Dlatego, że...”. Pozostając skupiony na „Było, jak mówię”, akcentuje jedynność i wyjątkowość własnego życia poza historią czy polityką. W panoramie literatury polskiej jest, podobnie jak Schulz, pisarzem głęboko asocjologicznym. Ambicją jego prozy jest uobecnienie w opowieści jednostkowego życia, a nie jego usprawiedliwienie czy odkupienie. Opowieść jest „powtórzeniem” – w sensie, jaki nadaje temu pojęciu Soren Kierkegaard, pisząc: „Gdyby Pan Bóg nie chciał powtórzenia nie stworzyłby świata”. Oczywiście wiemy, że życia w wymiarze materialnym powtórzyć nie możemy. Ale skoro w dziele sztuki występuje jakaś forma powtórzenia, to czas naszego przebywania na ziemi też jest epizodem oczekującym jakiegoś powtórzenia?

Poniekąd jest jak w wierszu Władysława Iwanowa *Grudzień* (z „Dziennika rzymskiego. 1944”):

*Im bardziej zwierciadlanie się odtwarza
W kryształach sztuki ziemskich spraw odbicie,
Tym nas wyraźniej zdumiewa, poraża
Inna w nim światłość i inne w nim życie.*

(przeł. Seweryn Pollak)

Im bliżej jesteśmy konkretnemu, tym bliżej jesteśmy powtórzenia, a więc zmartwychwstania. Niemal ostantacyjna niechęć Myśliwskiego wobec wszelkich abstrakcji, polityki czy socjologizowania i maksymalne zbliżenie do konkretnego codziennego nadaje jego prozie wymiar metafizyczny. Konkretnie aktywizuje „prześwit Bycia”. W kulturze Zachodu, gdzie narodziła się powieść, początkiem (zwracał na to uwagę Luis Goytisolo w *La naturaleza de la novela*) są opowieści ewangelistów. Teolodzy sprowadzają je do eschatologii, zapoznając fakt, że Ewangelie są objawieniem codzienności jako fundamentu naszego przebywania na ziemi. Biblijne konotacje tytułu najnowszej powieści Myśliwskiego nie są przypadkowe.

W odróżnieniu od egzystencjalistów, dla których wyzolenie się od tyranii codzienności (heideggerowskiego „Sie”) w sytuacjach granicznych otwierało podmiot na metafizyczny wymiar rzeczywistości, Myśliwskiemu wystarczy maksymalne zbliżenie do tejże codzienności, penetracja jej zakamarków. Nie od rzeczy jest przypomnienie, że narracje egzystencjalistów często powtarzały hagiograficzny paradygmat. Oczywiście sytuacje graniczne egzystencjalistów najczęściej nie otwierały podmiotu na transcendencję, ale na absurd. Jednak wystarczy przypomnieć sobie żywoty św. Pawła czy św. Ignacego Loyoli, żeby uświadomić sobie, że warunkiem iluminacji (choćby absurdem) jest bycie wytraconym z tyranii codzienności.

Mamy tu do czynienia z elitarystyczną pretensją do wyłączności przeżyć metafizycznych. To dziedzictwo

Fryderyka Nietzschego, które uprawomocnione przez egzystencjalistów przesłoniło elementarny demokratyzm doświadczenia bezsensu, absurdu czy rozpacz. Ta odmowa wspólnoty doświadczenia metafizycznego wymiaru „Bycia”, to typowy przykład intelektualistycznego hybris. O przykład łatwo, oto Jacek Dukaj w wywiadzie w *Książkach*, stwierdza: „Rzadko otwierają się nam okienka, przez które wpada metafizyczny strach. To przypadku filozofów, artystów, pięknoduchów uwolnionych od presji codzienności” (podkr.AK)

Ta wyłączość wybranych do doświadczenia metafizycznego, deprecjacja codzienności jako zasłony, którą jedynie wybrani mogą zerwać, by zadać istotne pytania, zawsze budziła zastrzeżenia Myśliwskiego. Dotknięcie transcendencji czy doświadczenie jej braku, podobnie jak sensu i bezsensu jest udziałem nas wszystkich jako ludzi. W przypadku bohaterów jego prozy nabierają intensywności i autentyzmu, który u „pięknoduchów” jest pozą.

U Myśliwskiego rzeczywistość odślania nowy wymiar w prozaicznej sytuacji wspomnienia. Nie jest to, jak u Marcela Prousta, „pamięć mimowolna”, kiedy smak magdalenki przywołuje przeszłe zdarzenia. Praca pamięci jest świadomą aktywności jednostki, bez której scalenie tożsamości i zachowanie ciągłości osoby byłoby niemożliwe. Bohater *Ucha igielnego* pojawia się na schodach prowadzących do Ucha Igielnego w jasnym celu, pragnie ożywić wspomnienie młodzieńczego oczekiwania na spotkanie z dziewczyną. Dopiero w tym momencie pojawia się u narratora „pamięć mimowolna”. Tak to już bywa, że chcemy sobie przypomnieć coś, a pamięć podsuwa nam co innego (np. wróżbę Cyganki). „Pamięć mimowolna” pojawia się tam, gdzie zaistniała już praca pamięci. Gdy chcemy wspominać własną przeszłość, o niej mówić czy pisać wydobywając to, co dla nas ważne, wyjaśnić coś sobie o sobie lub komuś, zawsze występują zakłócenia. Pamięć przypomina się czymś innym niż byśmy chcieli.

Nie bez znaczenia jest też lokalizacja, w tym przypadku schody. Metaforyczne i alegoryczne konotacje schodów. Koniec z żartami, zaczynają się schody.

W tym miejscu musi nastąpić rozdwojenie. Bowiem jak czytamy: „Lecz tylko tak mogę pamiętać. Wymagać od własnej pamięci, aby była przeciw mnie, znaczyłoby, że ją zdradzam. A zdrada pamięci jest niewybaczalna, nie ma za nią kary ani pokuty.”

Budowanie tożsamości na pamięci, w odróżnieniu od budowania jej na projekcie, zamiast scalać rozdwa. W przypadku starego narratora budowanie na projekcie nie wchodzi w rachubę. Wtedy gdy chcę wspominać jako stary – pamięć podsuwa mi młodego. Ten młody, którym kiedyś byłem promieniuje z przeszłości, chce być ważniejszy od starego. Nadaje swojej projekcji zdarzeń walor niespełnienia. Stary chciałby bronić ciągłości, a młody nieustannie obarcza go winą, obarcza odpowiedzialnością za wszystko czego zaniechał, porzucił, nie dopełniał.

Gdy czytamy w *Poszukiwaniu straconego czasu* dostrzegamy, że aspekt rozdwojenia zostaje wyciszony. Można powiedzieć, że ominięcie rozdwojenia przez doświadczenie epifanii tożsamości jest celem. Za jej zakłócenia odpowiedzialny jest czas, historia, miejsce, inni, w ostateczności także biologia. Czas definitywnie utracony można poddawać jedynie estetycznemu liftingowi. W tej materii mistrzostwo Prousta nie ulega wątpliwości. Jest jednym z tych pisarzy, którzy otworzyli drogę epidemii nostalgii, tęsknoty za czasem minionym jako czymś

znany i udomowiony. To utopia przeszłości, o której rozwijając idee Svetlany Boym, swoją ostatnią książkę *Retropia* napisał Zygmunt Bauman. Retropie są odpowiedzią na płynność rzeczywistości, w której żyjemy. Te nostalgiczne penetracje przeszłości sprawiają, że poetyka „wspomnienia pośmiertnego” pozbawia narracje dramatycznego napięcia. Objawem jest nie tylko hipertrofia wspomnień, autobiografii i biografii, ale niezliczona ilość „wywiadów- rzek”. W tych ostatnich „ogawędzenie przeszłości” staje się celem samym w sobie.

Wywrotowość *Ucha igielnego* polega na zerwaniu z taką strategią. Eksperyment polega na odejściu od próby scalania na rzecz zgłębiania rozdwojenia, które jest kondycją starości. Ceną przywołania młodości jest rozdwojenie – młody musi być kimś innym niż stary. A jeśli tak, to jako stary jestem kimś winnym wobec siebie młodego. Choć młody czynił, stary odpowiada. Domknięcie tożsamości w starości to właściwie akt oskarżenia. Można przypuszczać, że na Sądzie Ostatecznym sędziami będą dzieci, niewiniątka, które poszły prosto do nieba.

Jeśli w tej powieści następuje odwrócenie i „ja” młody mogę oskarżać „ja” starego, jeśli następuje zachowanie rozdwojenia, to jest możliwe dzięki temu, że w przypadku indywidualnej, nie poddanej instytucjonalizacji pamięci następuje zawieszenie strzałki czasu. W indywidualnym wspomnianiu czas niezauważalnie przechodzi w zblokowaną czasoprzestrzeń, w której możemy poruszać się w głąb i ku powierzchni, wchodzić i schodzić. W *Uchu igielnym* modelem takiej czasoprzestrzeni są schody. Nasza wolność poruszania się w tej intymnej i prywatnej czasoprzestrzeni pamięci ma ograniczenie; schodząc tracimy sprawczość. Cofać się w czasie możemy dlatego, że nic tam już zdziałać nie możemy. Możemy jedynie powtórzyć: „Było, jak mówię.”

Przywoływanie młodości przypomina postępowanie sądowe. Postępowanie sądowe tylko z pozoru ma na celu wskazanie winnego i wymierzenie kary. W istocie jest obroną suwerenności tego co nieznanne.

Proza Myśliwskiego wytycza kierunek odwrotny aniżeli terapeutyczne utopie psychicznego dobrostanu „dobrze zintegrowanych osobowości”, którymi żyje świat. W jakimś stopniu za psychoterapeutyczne utopie odpowiedzialna jest literatura. Konkretnie – przekonanie, że strumień świadomości i jego rejestracja pozwalają nam dostrzec i ujawnić prawdziwą tożsamość, głębie psychicznych mechanizmów. Pisarz wie, że strumień świadomości jest uwikłany i wyznaczony przez czas opowiadania. Myśliwski nieustannie poszukuje sposobów ukazania tego uwikłania. Przeszłość ukazuje się zawsze w terażniejszości czasu narracji. I jest obojętnym czy mamy do czynienia z tzw. wszechwiedzącym narratorem, czy strumieniem świadomości.

Każde opowiadanie, każda opowieść implikuje rozdwojenie. Żyjemy, do kiedy możemy opowiadać coś sobie o sobie jako kimś teraz innym. Doskonale zintegrowanym opowiadanie nie jest do niczego potrzebne. Im wystarcza CV. Dobrze zintegrowany starzec to trup. Ktoś, kogo jego własna młodość w końcu przestała pytać.

ADAM KOMOROWSKI

Wiesław Myśliwski, *Ucho igielne*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2018, s. 426.

STANISŁAW GĘBALA

ZZOMBIFIKOWANI

Od razu wyjaśniam, że nie wymyśliłem tego słowa, tylko zapożyczyłem z powieści Jacka Dehnela *Ale z naszymi umarłymi* (Wydawnictwo Literackie 2019). Czarna okładka książki, przedstawiająca szkielet orła ułożony z kości-liter, zapowiada bardzo czarny humor ośmieszający przede wszystkim naszą hurapatryotyczną tromtadrację – koniecznie zwróćmy uwagę na dumną czaszkę z półotwartym dziobem i szeroko rozstawione łapy z potężnymi pazurami. Ten orzeł mógłby być najodpowiedniejszym godłem niezliczonych oddziałów naszych antenatów, którzy wyszli z grobów, żeby wreszcie odnieść ostateczne zwycięstwo nad odwiecznymi wrogami naszej ojczyzny i „nad złem całego świata”.

W tym ostatnim zdaniu zawarłem właściwie streszczenie fabuły książki, która ma 315 stron, nie licząc zamykającego ją jednostronicowego słowa *OD AUTORA*. Bo fabuła jest, rzecz oczywista, tylko pretekstem do prześmiewczego (czy wprost szyderczego) przedstawienia dzisiejszego stanu ducha mniej więcej połowy ludzi zamieszkujących środkowoeuropejski kraj o nazwie Polska. Ta połowa określa siebie dumnym mianem prawdziwych Polaków i patriotów, rzucając przedstawicielom drugiej połowy przez zaciśnięte zęby: „wypier...!”. To słowo ostatnio najchętniej kierowane jest do ludzi zaliczanych do grupy LGBT, którzy po dziesięcioleciach urzędowego represjonowania, wyszydzania, piętnowania, wykluczania ośmielają się coraz częściej manifestować pod tęczowymi flagami swoje żądanie pełni praw obywatelskich.

*

Ba! Posuwają się do niebywałych prowokacji – jak Jacek Dehnel już w pierwszym zdaniu swojego słowa *OD AUTORA*: „Książki tej by nie było, gdyby nie mój mąż, Piotr Tarczyński –”. „Mąż”?! Żeby choć napisał „partner” – to już nie byłoby tak prowokacyjne jak „mój mąż”; co sugeruje, że autor jest „żoną”, czyli że stanowią niemal normalną **rodzinę!** Więc pewnie zaraz zechcą adoptować dzieci!! Wara od naszych dzieci!!! „Tęczowa zaraza” – jak słusznie i odważnie powiedział jeden z najważniejszych hierarchów polskiego Kościoła katolickiego, niewątpliwie kierując się najważniejszym przykazaniem ewangelicznym: miłości bliźniego.

To tyle na temat dwóch słów arcybiskupa, bo cóż więcej można powiedzieć?

*

Czytając ostatnią powieść Jacka Dehnela nie mogłem opędzić się od wspomnień mojego jedyne go spotkania z autorem kilkanaście lat temu w Bielsku-Białej, gdzie przyjechał promować swoją pierwszą powieść *Lala*. Miałem ogromną przyjemność prowadzić to spotkanie – a książka zafascynowała mnie tak bardzo, że wybrałem ją jako temat całego cyklu zajęć dla jednej z grup studentów polonistyki. Te dwie powieści wyznaczają jakby dwa bieguny prozy Dehnela. *Lala* to biografia jego babci, czyli literatura *non-fiction* – określając najogól-

niej; natomiast *Ale z naszymi umarłymi* to fikcja zgoła piramidalna, ukazująca jakąś groteskową apokalipsę, która stanowi niespodziewane spełnienie profetycznych wizji naszych wieszczów – romantycznych i całkiem współczesnych. Obie łączy natomiast upodobanie autora do hiperbolizacji, otwierającej wręcz wymiar metafizyczny. Różni je natomiast intencja: w pierwszej jest to wynikająca z autentycznego uwielbienia apoteoza ukochanej babci (o której pisze np. tak: „moja babcia, pani na kolorowych szklanych górach”; „moja semiramidzka babka”; „babcia ikona”), a w drugiej jawne szyderstwo. Przykładów w nawiasie nie podaję, bo będzie ich dalej aż nadto.

*

Celów, w które wymierza swoje szyderstwo Dehnel, jest co najmniej kilka. Najważniejszy wskazują aż trzy motto. Pierwsze jest najkrótsze: *Do Europy – tak, ale razem z naszymi umarłymi*. To tytuł głośnej kiedyś (wyd. 2000) książki Marii Janion, z którego odkroił sobie tytuł powieści. Drugie to dwie strofki z *Księdza Marka Juliusza Słowackiego* – fragment *Pieśni konfederatów barskich*:

*Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,
Ale w grobowcach my jeszcze żoldacy
I hufiec Boży.*

*Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten de profundis z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie.*

I trzecie, najdłuższe, to urywek – również niegdyś (wyd. 1982) głośnej – książki Jarosława Marka Rymkiewicza *Juliusz Słowacki pyta o godzinę*:

Słowacki uważał, że ludzkość, cała ludzkość, aby się przeanielić, musi się wprzód spolszczyć. Polskość była dla niego jakby przedostatnim stopniem drabiny wiodącej ku anielstwu. Przewidywał – więcej: był pewien – że cała ziemia będzie kiedyś polska, będzie Polską. Nie wiem, czy tak się stanie, czy nam się to uda. Nie nam zresztą ma się to udać, lecz ludzkości. A ludzkość się opiera, wzbrania, chyba nie chce. Myślę jednak często o tej chwili, którą przepowiadał, którą umieszczał w niezbyt dalekiej przyszłości: o tej chwili, kiedy Goethego będzie się tłumaczył dla Niemców na polski, kiedy Byrona będzie się tłumaczył dla Anglików na polski.

*

Uff... Musiałem zrobić sobie dłuższą przerwę, żeby ochłonąć z patriotycznego samouwielbienia, które mi się udzieliło. A mówiąc serio – zawsze miałem kłopot z lekturą eseistycznych książek JMR, zbyt często przerywaną natrętnym pytaniem, od którego nie mogłem się uwolnić: kpi, czy o drogę pyta? Jacek Dehnel chyba sobie takiego pytania nie zadawał, bo pewnie wiedział już w dzieciństwie, że spory z wieszczami są daremne; ich profetyczne wizje po prostu muszą się spełniać – przynajmniej w literaturze. W dodatku okazał się odważniejszy od wieszczów i wizję Polski, zdobywającej cały glob, prze-

niósł z nieokreślonej przyszłości w nasz dzień dzisiejszy, wskazując nawet konkretną miejscowość (Cikowice pod Bochnią), gdzie wyszli z grobów pierwsi nasi antenaci. I tak wszystko się zaczęło.

*

Oczywiście od razu musiała się tam zjawić telewizja – ciągle wszechobecna w naszym dniu dzisiejszym, choć już nie wszechmocna. Dehnel jednego ze swoich głównych bohaterów czyni jej wieloletnim pracownikiem, który ma wiele przemyśleń (i żadnych złudzeń) na temat tej instytucji: „Telewizja, powtarzał często Kuba, powinna nadawać jak kiedyś, od południa, pomijając wszystkie bzdury, a całodobowych serwisów informacyjnych trzeba zakazać raz na zawsze, bo media są jak leukocyty: jeśli nie mają do załatwienia poważnych spraw, zaczynają się zajmować wszystkim, co się nawinie, i społeczeństwo zaczyna robaczywieć od jakiejś autoimmunologicznej choroby, od skupiania się na rzeczach pomijalnych. [...] Nade wszystko jednak nienawidził języka, który był z tymi historiami ściśle związany. Było to straszliwe narzecze dziennikarskie, mające swoje stałe figury, utarte zwroty, nawet intonację. Czuł, że przed kamerą z jego ust wydobywa się atrapa języka, którym opisuje atrapę świata”. (s. 19)

Warto zapamiętać: atrapa języka, która opisuje atrapę świata. Takich znakomitych aforyzmów znajdziemy w tej książce sporo – ale dominującym żywiołem jest w niej parodia, która obejmuje wszystkie żargony polityczne, jakie słyszemy choćby ze studiów telewizyjnych. Toczone tam „debaty” często wręcz prowokują do parodiowania w stylu kabaretowym – ale sztuka parodii, uprawiana przez Dehnela, wyznacza zupełnie inny poziom.

Zaraz na następnej stronie otrzymujemy zresztą próbkę żargonu tej instytucji, tworzonych przede wszystkim przez listy episkopatu, w których nie może zabraknąć słowa „ubogacać” i – oczywiście – zalecenia modlitwy. Dehnel jest szczególnie wyczulony na sztuczność języka; wszelkiego rodzaju językowe matryce i sztamperki. Nie poprzestając na parodii, wpisuje w narrację studium procesu psucia języka, który jest efektem zaostrzającego się konfliktu: „im bardziej jedna strona dokręcała śrubę patosu, chorągwi, staropolszczyzny i wernyhorzenia, tym druga goręcej odbijała w kpiny. Ci, którzy kiedyś starali się powściągliwie komentować te »dziwne, szczególnie wydarzenia«, teraz mieli dość i lecieli grubymi żartami, zupełnie jakby usiłovali złapać haust powietrza. Ta mieszanina trupiego odoru, narodowego kadzidla i zatęchłej wody święconej była nowym polskim smogiem. Jedni nauczyli się nim oddychać, ba, wręcz od niego rozkwitali, drudzy się dusili”. (s.140-141)

*

Na poprzedniej stronie toczył się znakomity dialog o języku biskupów, którego końcowej części nie mógłbym tu nie przytoczyć:

„– A zauważyłeś, że oni inaczej mówią? Mówią teraz: *nasi bracia zmartwychwstali. Otaczamy szczególną modlitwą naszych drogich braci zmartwychwstałych.* Już nie ma to tamto, po bandzie jadą. *Że szczególna chwila w dziejach polskiego narodu...*”

– Na pewno powiedzieli *wielkiego polskiego narodu.* Zawsze mówią sztucznym językiem, to jest jak kłocuszki, można by zrobić generator internetowy: *pokładamy nadzieję...*

– *Pokładamy szczególną nadzieję...*

– *Dobra, szczególną. Pokładamy szczególną nadzieję w miłosierdziu Pana...*

– *...naszego Pana, Jezusa Chrystusa...*

– *...który w swojej mądrości i łaskowości postanowił zwrócić nam naszych umiłowanych przodków.*

– Nie do końca. Inaczej bym to powiedziała. »Który w swojej...«, jak tam miałeś?

– *W swojej mądrości i łaskowości postanowił...*

– Nie, nie. *Który w swojej bezgranicznej mądrości obdarzył nas łaską powrotu naszych umiłowanych przodków. Widzisz? Z nas dwojga można by złożyć jednego całego biskupa*”. (s. 139-140)

*

Wspomniane trzy główne żargony mają jeszcze swoje „naukowe” czy raczej „eksperckie” odmiany, które można natychmiast rozpoznać po owych „kłocuszkach”, z jakich są zbudowane. Tym razem jednak oprę się pokusie i nie dam się porwać żywiołowi powieściowej parodii, poprzestając na krótszym cytacie zawierającym diagnozę, która budzi już zupełnie serio dreszcz grozy: „Psuł się ich wspólny język, psuła się mowa wspólnoty. Teraz, kiedy Polska zaczęła się rozlewać na cały świat, w jej dotychczasowych – i nieustannie zmieniających – granicach emocje uległy dalszemu podgrzaniu, aż osiągnęły punkt wrzenia. Wydawało się, że nie ma już słów, których nie dałoby się, czy choćby nie wypadało wypowiedzieć, tez, których nie sposób postawić, obelg i oskarżeń, które nie mają prawa paść publicznie”. (s. 188-189)

Tak zepsuty – skrajnie zwulgaryzowany i zbrutalizowany – język nie może być dłużej narzędziem porozumiewania się wspólnoty. Można nim tylko wyrażać swoje najgorsze emocje – nienawiść, wściekłość; ale do tego właściwie język jest już niepotrzebny – to samo może wyrazić wulgarny gest ręki, splunięcie czy nieartykułowany wrzask, przechodzący na koniec w zwierzęce wycie.

*

Parę miesięcy po ukazaniu się powieści *Ale z naszymi umarłymi* Jacek Dehnel napisał reportaż z pamiętnego – bo pierwszego, który przeszedł ulicami Białegostoku – marszu równości pod tęczowymi flagami. Zakończenie reportażu *Idziemy ciemną doliną* („Gazeta Wyborcza” z 22 lipca 2019) zapada głęboko w pamięć, gdyż ukazuje pierwszą chyba lekcję wychowania obywatelskiego, jaką w tym dniu otrzymało pewne dziecko:

„J., skądinąd hetero, wiozł mnie do Warszawy – przy wyjeździe z miasta minęliśmy autobus z oznaczeniem: **KLEPACKA. ZMIANA TRASY** – i co jakiś czas wracał do tego, co widział na marszu, co najbardziej utkwiło mu w pamięci. Kobieta z trzy-, czteroletnim może dzieckiem, któremu układała obie maleńkie rączki w faki, mówiąc: »Ucz się!«, po czym skandowała: »Wy-pier-da-lać! Wy-pier-da-lać!«.”

*

Żeby jednak nie kończyć tak ponuro – jeszcze jeden cytat z powieści:

„Stale przesuwały się nie tylko granice kraju, ale też granice euforii. Jeden z ekspertów tokował w radiu: *Niemcy są Polakami, Włosi są Polakami, Amerykanie są Polakami, Australijczycy są Polakami, Rosjanie aż do Kamczatki są Polakami, nawet większość Polaków jest prawdziwymi Polakami – a niedługo będą nimi wszyscy!*” (s. 212)

STANISŁAW GĘBALA

MARCIN KULA

BLIZNA CZY WCIAŻ RANA?

Roman Frister (1928-2015) był znanym dziennikarzem izraelskim. Wywodził się z Polski, przeżył okupację, podczas której stracił rodziców, wyjechał do Izraela po 1956 r. Był przedstawicielem Roberta Maxwella, gdy ten chciał rozwijać swoje imperium prasowe w Polsce i Europie Wschodniej. Miał kontakty w polskim świecie dziennikarskim, pisywał w „Polityce”. O swoim życiu opowiedział w tym pamiętniku – jednym z ciekawszych, jakie zdarzyło mi się czytać. Autor miał „po prostu” bardzo bogate (bardzo trudne!) życie. Opisuje świat swojego dzieciństwa w Bielsku-Białej, gdzie był niezłym łobuziakiem z tzw. dobrego domu. Píše o wrześniekiej ucieczce, życiu pod okupacją sowiecką, ukrywaniu się w Krakowie, o obozach koncentracyjnych, przez które przeszedł, o wyzwoleniu i powrocie do Polski przez Czechosłowację (ostatecznie z Mauthausen). Zajmuje się wczesnym okresem powojennym, głównie we Wrocławiu i jeszcze wieloma rzeczami.

Fristerem miotały większe i mniejsze wydarzenia historyczne, a jednocześnie sam był postacią daleką od spoczywania na kanapie nawet w momentach, gdy mógłby się do tego ograniczyć. Nie rysuje się jako dobrze ułożony, grzeczny młody człowiek. W wielu sprawach „jechał po bandzie”, lubił życie i korzystał z niego. Miał kłopoty z UB. W tle wspomnień przewija się wiele kobiet, niestety też dzieci. O wszystkim tym Frister opowiada w porządku niekoniecznie chronologicznym – co ożywia narrację. Opowiada nadzwyczajnie szczerze. Oczywiście, z natury rzeczy nie wiemy, czego nie opowiedział – ale to, co jest, jest opowiedziane tak szczerze, że najpewniej mało kto z nas by tak mówił niezależnie od audytorium i wagi spraw. Autor nie kryje nawet sytuacji obozowej, w której spowodował śmierć współwięźnia dla ratowania się samemu.

Uwaga o szczerości nie odnosi się tylko do życia w obozach koncentracyjnych, gdzie taki sposób referowania można by uznać za konieczny do zobrazowania pełni sytuacji i oskarżenia. Odnosi się do wszystkiego. Co ważne, autor był znakomitym obserwatorem, zaś obrazy zapamiętał. Może doświadczenie dziennikarskie ułatwiło mu ich przedstawienie. Każdy z fragmentów zarysowywanego życiorysu jest w gruncie rzeczy mini-reportażem. Nawet mówiąc o sobie autor patrzy jakby z boku, pokazuje większy czy mniejszy świat, w którym dany epizod się rozwił. Po przeczytaniu książki wiemy więcej o przedwojennym Bielsku-Białej, o Kresach za „pierwszego Sowietą”, o okupowanym Krakowie, o powojennym Wrocławiu i zwirowanym socjalizmie doby stalinowskiej... Niestety, więcej wiemy również o życiu – na pograniczu śmierci – w obozach koncentracyjnych.

Oczywiście sceny z kolejnych obozów dominują w książce. Zarówno te skrajnie straszne, jak obserwacje o życiu więźniów w tych warunkach – zresztą oczywiście też straszne. Czyta się te kartki trochę tak jak informacje o eksperymencie społecznym dokonywanym na żywych ludziach przez SS. Przypominają opis laboratorium, gdzie bada się wytrzymałość szczurów. Nie sposób zrozumieć, jak nawet esesmani mogli się tak zachowywać – i po co. Można oczywiście powiedzieć, że szło o panowanie nad społecznością więźniarską. Bardzo ciekawe są obserwacje autora o jej atomizacji w takich warunkach i przy takim terrorze. To jednak nie tłumaczy wszystkiego. Czy „tłumaczeniem” była odmowa Żydom miana ludzi? Oczywiście tak, ale nie tylko Żydzi (jeśli nie zostali błyskawicznie zgładzeni) byli przetrzymywani w fatalnych warunkach materialnych i poddani przerażającemu terrorowi. Logicznie do rzeczy podchodząc, nawet więcej pracy na rzecz Niemiec można było uzyskać od więźniów choć nieco lepiej ich traktując. Choćby zwierzęta robocze na ogół traktuje się rozsądnie. Swego czasu w wypadku niewolników plantacyjnych nieraz rozumiano, że ich praca i przetrwanie (zainwestowany kapitał!) były warunkowane życiem w choćby minimalnie znośnych warunkach. Hitleryzm dyskwalifikował Żydów jako ludzi. Tak działając, doprowadził jednak do tego, że to jego adherenci jakby przestali być ludźmi.

Nie dziwi, że w wypadku tego autora i w omawianym okresie sprawa żydowska w każdym możliwym aspekcie jest praktycznie osiłą książki. Smutnie ciekawe są wypadki antysemityzmu zbrodniczego w warunkach okupacji. Tak, autor napotyka też pomoc. Opowiada o rolniku, który wziął jego rodzinę na wieś i przechowywał ich, póki sytuacja nie stała się niebezpieczna na tyle, że musieli uciekać. Po wojnie autor odwiedził tego rolnika, chciał mu dokupić ziemi. Ten nie przyjął, a nawet po złożonej propozycji pozostała drzazga obrazy. W książce tego nie ma, ale mnie autor opowiadał (bowiem kiedyś go poznałem), że ów rolnik parsknął tylko, że gdyby chciał na nich zarobić, to miał wtedy „lepsze” możliwości. W książce opowiedziane są jednak też sytuacje odwrotne – niestety częstsze. W jakimś momencie autorowi, wraz z grupą więźniów, udało się uciec z obozu koncentracyjnego. Wszystko było niby umówione z partyzantami. Tymczasem partyzanci zabili uciekinierów. Fristerowi udało się przeżyć – ale nie znalazł żadnej pomocy, nie udało mu się nawet zdobyć od ludzi zwykłego ubrania. Kazano mu płacić (czym?), kazano mu zabierać się czym prędzej, postraszone widłami. W jakiś, zdumiewający zresztą sposób, udało mu się wrócić... do obozu.

Do opowieści o sobie jako o Żydzie autor wraca jednak też we fragmentach poświęconych innym wątkom życia – zarówno rozgrywającym się w okolicznościach dramatycznych, jak codziennych. Gdy z rodziną ucieka z Bielska, słyszy zdanie sąsiada, że „Żydy” uciekają. W strefie okupacji sowieckiej uczniowie w polskiej szkole nie znoszą go, szykanują jako Żyda, a nauczycielka proponuje jemu i drugiemu dziecku-Żydowi wstąpienie do radzieckich pionierów, bo w szkole musi powstać oddział pionierski. Gdy jako więzień obozu pracuje przy tokarce, drugi więzień, który zna się na tej maszynie, wręcz ratuje go swoją pomocą – ale jednocześnie nie ukrywa co myśli o Żydach. Gdy po wojnie autor przychodzi do mieszkania tego człowieka, który, jak się okazuje, nie przeżył obozu, jego matka ma za złe jemu – Żydowi – że przeżył, a jej syn nie. Gdy w swoim łóżku autor przyjmuje jakąś kobietę, która powinna być w innym, to słyszy od niej, że jak ma spać z Żydem, to woli z młodszym. Gdy chce pracować w jakiejś instytucji, do czego ma kwalifikacje, słyszy dyskretnie, że już mają za dużo Żydów i żałują, ale kazano im ograniczyć ich liczbę. Kumpie go traktują dobrze, ale jako tego, który wyzbył się cech żydowskich, jest jak oni. Tymczasem on nie chce takiego komplementu bowiem nie ma zamiaru negocjować samego siebie. Gdy z czasem nie życzy sobie, aby córka uczęszczała na katechizację (córka chce), odbywa rozmowę z księdzem. Ksiądz mówi: „Niech pan nie mści się na dziecku za to, że nie jest pan Polakiem”. Dalej rozmowa toczy się następująco:

– Na jakiej podstawie odbiera mi ksiądz prawo do bycia Polakiem? Urodziłem się na tej ziemi, a także moi przodkowie urodzili się na niej. Jestem takim samym ogniwem w łańcuchu polskiej historii jak ksiądz. Sutan nie czyni go lepszym obywatelem ode mnie.

– Nie miałem zamiaru urazić.

– Ale czuję się urażony, powiedziałem sztywno.

– W takim razie proszę o wybaczenie... Nie uważa wrażliwości, że jest pan obywatelem polskim. Posiada pan polski dowód osobisty i zapewne polską świadomość narodową. A jednak jest różnica.

– Różnica?

– Za nami tysiąc lat wspólnej historii. Nie kwestionuję wagi waszego wkładu w rozwój kraju. Mimo to jest różnica. Pańscy przodkowie wybrali ten kraj, wybrali jego obywatelstwo. Wybór jest wynikiem przemyślenia, czasem okoliczności. Wczoraj wybraliście Polskę, jutro, być może, wybieriecie Palestynę. Nie wysłaliście patriotyzmu z mlekiem matki. Wasza miłość do Polski pozbawiona jest głębokich korzeni, bo korzenie tego narodu wyrastają z chrześcijaństwa, a chrześcijaństwo jest wieczne, nie zmienia się nigdy. Nasz związek z Polską to ślub katolicki. Wy zawsze możecie się rozwieść. Moim zdaniem coś niezdrowego tkwi w tej możliwości wyboru ojczyzny, tak jak wybiera się utrzymankę. Mam nadzieję, że nie obraziłem. Nie znajdzie pan we mnie okrucu jakiegoś przesądu. Zawsze szanowałem Żydów. Nie zapominam nauki Chrystusowej, nie zapominam miłować bliźniego swego jak siebie samego” (s. 381-382, przytoczony fragment rozmowy).

Nie jestem pewien, na ile wiernie powyższe słowa zostały odtworzone przez autora. W końcu nie nagrywał rozmowy, a mnie wydaje mi się ona prowadzona

w mało realistycznym stylu. Argumenty są chyba zbyt przemyślane jak na przypadkową wymianę zdań. Nie wykluczałbym, że autor włączył do zapisu elementy treści, które słyszał w społecznym dyskursie. Musiał jednak znać takie rozumowanie. Wyciągnął też wnioski. Gdy stało się to możliwe, wyjechał do Izraela. „Wczoraj wybraliście Polskę, jutro, być może, wybieriecie Palestynę” – powiedział ksiądz. Czy jednak ten wybór był tylko wyrazem chęci? Czy to nie okoliczności, o których mówił ksiądz, myśląc o kierunku „do Polski”, nie zadziały w kierunku przeciwnym?

Jest w pamiętniku jeszcze jeden, w specyficzny sposób dramatyczny epizod. Po latach autor uczestniczył w Kilonii jako świadek w procesie oficera SS Wilhelma Kundego, który na jego oczach okrutnie i perfidnie (wszystkie słowa są tu za słabe!) zabił jego matkę. Cała podróż do Kilonii, przypadkowa rozmowa zarówno z byłym esesmanem jak z córką hitlerowców, która w okazaniu mu pomocy w poruszaniu się na miejscu widzi drogę naprawienia zbiorowych win, czy też posiadanie sądu, podczas którego strony, rzecz jasna, wysuwają różne argumenty, zaś oskarżony neguje winę, a prokurator żąda dla niego siedmiu lat, wydają mu się rozpaczliwie niewspółmierne do wszystkiego co zaszło. Nie odczuwa cienia satysfakcji, raczej nie wie, po co przyjechał. Wyjeżdża natychmiast, zaś pamiętnik tytułuje „Autoportret z bliźną”. Sam zastanawiałem się, czy jego rana rzeczywiście była już zablizniona, gdy pisał książkę. Może pisanie było tego wyrazem – skoro już mógł te wspomnienia spisać. Może było jednak środkiem zyskania uspokojenia? Może on wciąż przeżywał wspomnienia, podczas gdy świat już przestał? Ludzie kiedyś przechodzą do porządku dziennego nawet po najgorszych wydarzeniach – bowiem życie płynie.

W 1991 r. autor wyruszył w „sentymentalną podróż” trasą „marszu śmierci”, w jakim pędzono go wraz z innymi więźniami w ostatnich dniach Trzeciej Rzeszy. Droga jego marszu wiodła przez Austrię, on przeżył. Jakżeż ta „sentymentalna” podróż należała jednak już do innego świata! Jechał luksusowym samochodem, syty, elegancki. Stanął przed jakąś farmą, gdzie – jak pamiętał – zagoniono ich w tej dawnej drodze na noc. Otworzyła młoda osoba, zapytała czego potrzebuje. Trochę dalej zapytał jakiegoś barmana, czy pamięta, co się na tej drodze działo. Barman spojrział na niego zdziwiony i powiedział, że ma dopiero 29 lat. Gdy sam jeszcze trochę później spotkałem Romana Fristera, miałem więcej lat, o niejednym wiedziałem. Na pewno nie byłem tak księżycowy jak osoby spotykane przezeń na austriackiej drodze. Przez chwilę nie przyszło mi jednak do głowy patrzeć nań jako na człowieka, który miał wspomnienia, jakie mniej więcej wtedy spisywał. Rozmawiałem z nim raczej o współczesnym Izraelu, trochę o szkole dziennikarstwa, którą wtedy kierował. Był inteligentnym i dużo wiedzącym rozmówcą. Ot, normalny, ciekawy świeży znajomy. Ewentualna rana była niewidoczna.

MARCIN KULA

Roman Frister, *Autoportret z bliźną*, tłum. z hebrajskiego Elżbieta i Roman Frister, Oficyna Wydawnicza Przybylik&, Warszawa 2019, s. 460.

Prezentujemy materiały z konferencji Kuźnicy (11.05.2019 r.) zorganizowanej z okazji 70-lecia Nowej Huty. Genezę oraz pierwsze lata Kombinatu i miasta przedstawiła prof. Irena Paczyńska, odwołując się do swojego obszernego artykułu, opublikowanego w „Zdaniu” nr 1-2/2008.

Redakcja

MARIAN STĘPIEŃ

O POEMACIE DLA DOROSŁYCH

Motto:

*„Oprowadzający nas inżynier bardzo miły
chełpi się jednak głównie zieleńcami,
które przetykają nie tylko osiedle Nowej Huty,
ale i cały groźny teren Kombinatu. Powiada,
że nawet Amerykanie zwiedzający Hutę dziwią się zieleńcom. [...] Chełpi się najbardziej tym, że zieleńce nie są już niszczone,
ani jedna róża nie bywa zerwana czy złamana. [...] Podobno w Nowej Hucie zmniejszyła się też przestępczość
i te wszystkie złowrogie zjawiska,
którym dał wyraz Ważyk w swoim „Poemacie dla dorosłych”.
Wytworzył się pewnego rodzaju patriotyzm nowohuciański.
Partyjni mówią: <Niechby Ważyk teraz to zobaczy!>”¹*

W kilku kierunkach zwracały się moje myśli podczas słuchania referatów i wspomnień o Nowej Hucie i o jej teraźniejszości na sympozjum poświęconym jej siedemdziesięcioleciu w Nowohuckim Centrum Kultury 11 maja 2019 roku.¹

Przypominały się bardzo skromne, ale osobiste doświadczenia z początków Nowej Huty; a także te – z nieco późniejszego czasu – związane z Teatrem Ludowym kierowanym przez Krystynę Skuszanekę.

Inny nurt skojarzeń i wspomnień, ożywiony szczególnie przez wystąpienia dzisiejszych działaczy i obywateli Nowej Huty wywoływał nieuchronnie wspomnienie *Poematu dla dorosłych* Adama Ważyka, zwłaszcza tych jego fragmentów, które odnosiły się do budowniczych Nowej Huty.

* * *

To musiało być gdzieś w 1951 roku; chyba jesienią, bo pogoda była typowo jesienna, mokro, deszczowo, chłodno. My, to znaczy studenci pierwszych lat polonistyki, należący do Związku Młodzieży Polskiej, w dniu wolnym od zajęć, to znaczy w niedzielę (wówczas w soboty również były wykłady i ćwiczenia) kilkakrotnie

jeździliśmy na teren budowy Nowej Huty. Tam jeszcze nic nie było, tylko rozkopana ziemia pod przyszłe fundamenty kombinatu hutniczego. Nie odczuwaliśmy przymusu, górę brało zaciekawienie początkami wielkiej budowy. Była to interesująca przygoda. Tak przynajmniej ja to przyjmowałem.

Dano nam łopaty. Mieliliśmy nimi pogłębiać rozpoczęte już wykopy. Były to głębokie na kilka metrów rowy, z błotnistą ziemią na dnie. Wymagały jeszcze pogłębienia. Jeden z nas zszedł na dno wykopu i dużą szuflą wydobywał nasiąkniętą wodą glebę przerzucając ją na ziemną półkę na ścianie wykopu. Tam kolega odbierał tę ziemię i przerzucał ją wyżej na następną półkę, a stamtąd trzeci z nas zbierał ją i wyrzucał na powierzchnię. Tak pracowaliśmy kilka godzin w ciągu paru niedziel.

Opowiadałem o tym, jako o jednej z charakterystycznych przygód mojego pokolenia moim amerykańskim przyjaciółom, gdy po wielu latach znalazłem się w Stanach Zjednoczonych. – Dlaczego nie użyliście maszyn? – padło z ich strony zdziwione pytanie niepozbawione ironii. Cóż miałem na to odpowiedzieć? Maszyn po prostu nie było. Wiele razy stykałem się z brakiem wyobraźni u Amerykanów co do europejskich wojennych i powojennych doświadczeń. Dużo o tym pi-

¹ Maria Dąbrowska, *Dzienniki powojenne 1955-1959*. Warszawa 1996, tom 3, s. 404-405.

sał Czesław Miłosz w swym *Życiu w USA*, nadsyłałym i zamieszczanym w odcinkach na łamach „Kuźnicy”, „Przekroju” w końcu lat czterdziestych ub. wieku.

Wkrótce po tej rozmowie z Amerykanami miałem okazję za ich ironię się zrewanżować. Spacerowaliśmy po kampusie; zauważyłem dużą maszynę budowlaną uzbrojoną w wielką szuflę na przedzie. Operujący tą maszyną, siedząc w wysokiej kabinie chciał sprzątnąć z asfaltowej dróżki niewielką kupę gruzu, pozostawioną po prowadzonych tu pracach. Najeżdżał na nią swą maszyną; bezskutecznie, bo ta kupa stawiała zbyt mały opór, nie dała się wziąć na szuflę, była popychana przez maszynę. Operujący cofał się, ponownie najeżdżał na pozostawiony tu gruz, by dróżkę kampusową doprowadzić do porządku. Znowu bezskutecznie. Zamiast zebrać szuflą niepotrzebne pozostałości, popychał je za każdym razem. Powtarzał tę czynność kilkakrotnie, w końcu zrezygnował, wycofał się i gdzieś zniknął. Przystanąłem przy tej scenie, mówiąc do towarzyszących mi Amerykanów: polski robotnik sprzątnąłby to w kilka minut przy użyciu zwykłej łopaty. Wasz, z ciężką, wielką maszyną budowlaną, nie znalazł na to sposobu. Gdzieś zniknął, nie wykonał swego zadania. Być może, pojechał po zwykłą łopatę. Ale czy ją znajdzie? Przecież wy na wszystko macie maszyny.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, po przełomie październikowym 1956 roku, w latach wielkiego ożywienia kulturalnego Teatr Ludowy w Nowej Hucie pod kierunkiem Krystyny Skuszanki przeżywał swój najwspanialszy okres. Na jego premięry ciągnął do Nowej Huty cały kulturalny Kraków. Żywą reakcją przyjmowane były obfitujące w aktualne aluzje polityczne *Imiona Władzy* Jerzego Broszkiewicza. Wielkie sukcesy odnosiła sceniczna adaptacja powieści Johna Steinbecka *Myszy i ludzie* ze świetnymi kreacjami Franciszka Pieczki i Wojciecha Pyrkosza oraz Ilji Erenburga *Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwańca* z niezapomnianą rolą Edwarda Rączkowskiego. Ponadto: *Jacobowsky i pułkownik* Franza Werfla, *Radość z odzyskanego śmietnika* według powieści Juliusza Kadena Bandrowskiego *Generał Barcz* – to najtrwalej zapamiętane inscenizacje kojarzące się nowohuckim Teatrem Ludowym.

Kiedy słuchało się wystąpienia Sławomira Pietrzyka, wiceprzewodniczącego Rady Miasta Krakowa, mówiącego o dzielnych ludziach, którzy przewinęli się przez to miasto w ciągu siedemdziesięciu lat jego rozwoju i pozostawili w nim ślad swej twórczej obecności; kiedy Jerzy Fedorowicz mówił o teatrze w okresie transformacji ustrojowej, zespole złożonym z potomków tych, którzy budowali Nową Hutę u samych jej początków; kiedy czuło się energię i wolę dobrego działania w słowach Małgorzaty Szymczyk-Kornasiewicz, działaczki społecznej, jednej z aktywnych obywateli tego miasta mówiącej „dlaczego nam się chce” i wymieniającej liczne dowody istnienia nowohuckiej społeczności obywatelskiej troszczącej się o swoje miasto i dumnej z przynależności do niego – nie można było nie pomyśleć o słowach z *Poematu dla dorosłych* Adama Ważyka, odnoszącego się z pogardą do pierwszych budowniczych Nowej Huty:

„Ze wsi, z miasteczek wagonami jadą
zbudować hutę, wyczarować miasto,

wykopać z ziemi nowe Eldorado,
armią pionierską, zbieraną hałastrą
tłoczą się w szopach, barakach, hotelach,
człapią i gwizdzą w błotnistych ulicach:
Wielka migracja, skudlona ambicja,
[...]

macióra wódki i ambit na dziewczki,
dusza nieufna, spod miedzy wyrwana
wpół rozbudzona i wpół obłąkana
masa wędrowna, Polska nieczłowiecza
wyjąca z nudy w grudniowe wieczory”².

* * *

Pamiętam ten dzień podczas wakacji 1955 roku. Sierpniowy, słoneczny dzień, gdy wziąłem do ręki numer „Nowej Kultury” z zamieszczonym w niej na pierwszej stronie *Poematem dla dorosłych*. I moje zaskoczenie rosnące w miarę jego czytania³.

Adam Ważyk, jeden z bardziej utalentowanych autorów poetyckiej awangardy lat międzywojennych, w pierwszym po wojnie tomie wierszy *Serce granatu*, opublikowanym w Lublinie w 1944 roku żegnał się ze swą twórczością międzywojenną, odnosząc się do niej zdecydowanie negatywnie:

„Inkipo, to nieludzkie urojenie? Żegnaj,
miasto, które stawili mistyfikatory!

Ja także zachodziłem między nich onegdaj,
ale ja, brednio moja, zgryzł cię i otworzył
przez pół, pokrętną, stęchłą, jak wnętrze orzecha,
co wysechł. Jeśli o mnie spyta kto w Inkipo,
odpowiedzcie mu prawdę: nawet ten odjechał”⁴.

Jesienią 1939 roku w okupowanym przez Związek Radziecki Lwowie wyłonił się jako zupełnie inny człowiek. Takim zapamiętał go Gustaw Herling-Grudziński: „Lwów zżerany był przez raka terroru, wszyscy bali się wszystkich [...]. Od wczesnego ranka siadywało się w kawiarni Szkockiej; koło południa wkraçał do niej groźnie i majestatycznie Ważyk, jego obchód ucinął swobodniejszą nieco paplaninę przy stolikach”⁵.

„Uroczysty *ingres* Ważyka do kawiarni [...] ucinął wszelkie rozmowy. Groźny okaziciel <aktu opcji> włókł za sobą między stolikami, niby pawie ogon, mroźny podmuch strachu”⁶.

„Gdy się patrzyło na niego, nic nie pozwalało przypuszczać, że pod tą małą i niezbyt hojnie przez naturę obdarzoną powłoką cielesną kryje się takie kłębowisko snów o potędze. A przecież zaledwie znalazł się w roku 1939 we Lwowie okupowanym przez Armię Czerwoną, przeistoczył się natychmiast w miczurinowski skrzyżowanie Wielkiego Inkwizytora z mikroskopijnym i złośliwym insektem. Wystawiał świadectwa moralności komunistycznej, ferował nieodwołalne wyroki, gromił i groził [...]. Po wojnie Ważyk wrócił z Rosji do Polski w mundurze majora i z pistoletem sięgającym do kolan. Znowu ferował wyroki, gromił, groził i niby wyżeł

2 Adam Ważyk, *Poemat dla dorosłych i inne wiersze*. Warszawa 1956, s.10-11.

3 *Poemat dla dorosłych* Adama Ważyka ukazał się w tygodniku „Nowa Kultura”, w numerze 34 z 21 sierpnia 1955 roku.

4 Adam Ważyk, *Wiersze wybrane*. Warszawa 1947, s. 83.

5 Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą 1973-1979*. Warszawa 1990, s. 202.

6 Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia. Szkice*. Warszawa 1998, s. 425.

w skórze ratlerka węszył na każdym kroku <przemysłowo-ideologiczne>⁷.

I opinia Artura Sandauera o Adamie Ważyku: „Przez lat bez mała dziesięć był oficjalnym autorytetem artystycznym. Piszę dramaty, które – natychmiast wystawiane – niechybnie się kładą; scenariusze, które – natychmiast nakręcone – spotka los podobny, za drobnoślachecką ideologię gromi Norwida, za służenie śmierci atomowej – producentów coca-coli. Wygłasza programowy referat na V Zjeździe Związku Literatów Polskich, przenosi językoznawcze tezy Stalina do metodologii badań literackich [...]”.

W tuż powojennych miesiącach, dyktatura ta, którą świat literacki jest na poły przerażony, na poły ubawiony, oparta jest autorytetem kapitańskiego munduru oraz dyndającego u pasa rewolweru⁸.

Wspomniany tu referat Ważyka *Perspektywy rozwoju literatury polskiej* ukazał się w ósmym numerze „Twórczości” z 1950 roku⁹. Zaprezentował się w nim Ważyk jako gorliwy rzecznik wprowadzanego właśnie w drodze administracyjnego przymusu programu realizmu socjalistycznego w jego najbardziej wąskim, doktrynerskim, dogmatycznym kształcie. To w tym wystąpieniu Ważyk zaatakował Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego jako przykładowego, potępianego i ośmieszanego mieszczańskiego inteligenta uprawiającego „burżuazyjną poetykę z czasów imperializmu”. Sztywność z jego poezji: „Czego tam [w utworach poetyckich Gałczyńskiego] nie ma? Jest lamus szlacheckiego baroku z antycznymi bogami, pstrokaczna cudzoziemskich słówek, wyprzedaż całej neoromantycznej starzyny poetyckiej, cygańskie antyfilisterskie facecje, a spoza tych facecji naraz wyłania się z wierszy Gałczyńskiego filisterski kącik z koteczkiem i firankami¹⁰”.

Taka ocena wówczas oznaczała skazanie poety na śmierć cywilną. Gałczyńskiego otaczał rodzaj bojkotu, pisma literackie odmawiały drukowania jego utworów, wiersze jego w praktyce znikły z rynku księgarskiego¹¹.

Gałczyński zmarł w grudniu 1953 roku nie doczekawszy się odwilży, którą miał – rzekomo – rozpocząć (o ironio!) – Ważyk *Poematem dla dorosłych*. „Potrafił także z daleka wzęszyć słabnięcie ubóstwianej dotąd władzy¹²”.

Jarosław Iwaszkiewicz tak powitał utwór Adama Ważyka: „Dzisiaj w <Nowej Kulturze> ohydny poemat Ważyka. Jestem oburzony na człowieka, który brał taki udział w <budowie socjalizmu> i realizmu socjalistycznego w literaturze – a potem pisze takie okrutne rzeczy. Bardzo zresztą jednostronne. Wtedy kiedy go odsunięto od żłobu. Trochę mi jest wstyd. Ale najdziwniejsze jest to, że nagle znalazłem się na lewym flanku.

7 Tamże, s. 275-276.

8 Artur Sandauer, *O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku. (Rzecz, którą nie ja powinienem napisać...)*. Warszawa 1982, s. 60-61.

9 Miesięcznik literacki „Twórczość” od 1945 roku do 5 numeru z roku 1950 redagował Kazimierz Wyka, który nadał mu wysoka rangę. „Twórczość” odebrano Wyce, od 6 numeru 1950 roku redaktorem „Twórczości” został Adam Ważyk, który sprowadził ją do żenująco niskiego poziomu. Pismo odzyskało swą wysoką rangę, gdy w 1955 roku odebrano je Ważykowi i redaktorem został Jarosław Iwaszkiewicz.

10 Adam Ważyk, *Perspektywy rozwojowe literatury polskiej. Referat wygłoszony na V Zjeździe Literatów Polskich*. „Twórczość” 1950, nr 8, s. 87.

11 Por. Andrzej Stawar, *O Gałczyńskim*. Warszawa 1959, s. 347.

12 Gustaw Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia..* Jw., s. 275.

Ja pozycji nie zmieniam – to oni wszyscy przeszli [...], nagle się okazuje ten naiwniaczek, który wierzył w to wszystko. Najgorsze jest to, że jeszcze w to wierzę. Tak nie jest, jak to pisze Ważyk. To znaczy oczywiście tak jest, ale obok tego jest jeszcze bardzo wiele innych rzeczy. Ja już mam taką naturę, że nie mogę widzieć samego negatywu. Widzę znowu pozytyw – i za sanacji, i za okupacji (bohaterstwo AK), i teraz. Ja wiem, ja znam wieś i miasto. Wiem, co to jest Nowa Huta i co to są hotele robotnicze [...] ale równocześnie widzę dużo, dużo innych rzeczy. [...] Ręczę, że z chuliganów łatwo mogą wyrosnąć bohaterowie. Ja wierzę w mój naród – może to złudzenie, idealizm, naiwniactwo. Ale wolę być naiwniakiem niż cynikiem jak Ważyk¹³.

A w liście do Jeleńskich: „Nawet rozsądny Mieroszewski zdaje się być o sto mil od prawdy, zwłaszcza kiedy przypisuje takie znaczenie *Poematowi dla dorosłych*. Przecież u nas każdy, kto ten wiersz czyta, nieuchronnie ma w pamięci, że napisał go *donoszczyk* i ten, który nas trzymał w żelaznych rękawicach, który zniekształcił bez porozumienia ze mną drukowany w <Twórczości> rozdział *Sławy i chwały*, który był najgorszy z najgorszych. Cóż dziwnego, że w *Poemacie dla dorosłych* zbyt często widzimy pogardę dla polskiego robotnika – przeczytaj ten wiersz pod tym kątem widzenia¹⁴”.

Maria Dąbrowska zanotowała:

„Wczoraj cały dzień zebranie Zarządu Głównego ZLP zwołane przez Słonimskiego jako reakcja na usunięcie Hoffmana ze stanowiska redaktora „Nowej Kultury” za wydrukowanie wiersza Ważyka *Poemat dla dorosłych*. [...] Zebranie było niesmaczne, robiono dobrą minę do złej gry. Kruczkowski <rozdarł szaty> nad nieoczekiwaną przemianą Ważyka, który napisał był piękny wiersz *Lud wejdzie do śródmieścia*, a teraz zbezcześcił lud polski wierszem *Poemat dla dorosłych*. [...] Jestem bardzo daleka od sympatyzowania z Ważykiem i jego wierszami, i, oczywiście, każdy mówi rzeczy przykre w sposób zależny od jego temperamentu i kultury. Ważyk zrobił to niejako wymiotujący [...]. Inna rzecz – to już zachowałam przy sobie – jakie Ważyk ma prawo mówić gorzkie prawdy znękanemu, zabiedzonemu narodowi, po tym wszystkim, co dotąd na chwałę partii wypisywał¹⁵”.

Taki komentarz dał Ludwik Flaszen:

„Oto nadszedł czas Wielkich Torsji [...] Oto jest poeta, który chwalił. Chwalił partię, lud, Warszawę, i wszystko co nasze jest. Był jednolity, twardy, pryncypialny. Węszył wszędzie herezje i wyrokował nieomylnie co słuszne, a co niesłuszne, co służy nam, a co ma obiektywnie wrogą wymowę [...]. I oto ten sam poeta napisał poemat, w którym wszystko zgañił. Stał się rozdarty, po inteligentku miękki, zatracił rewolucyjny impet, zwątpił w trwałość zasad, boleśnie poszukując najprawdziwszej prawdy. Z piewcy stał się buntownikiem, heretykiem z inkwizytora. Oto skutek bezkrytycznego chwastwa fasady: Wielkie womitowanie [...]”.

13 Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911-1955*. Opracowanie i przypisy Agnieszka i Robert Papiescy. Wstępem opatrzył Andrzej Gronczewski. Warszawa 2007, s. 513-514.

14 Jarosław Iwaszkiewicz, Teresa Jeleńska, Konstanty A. Jeleński, *Korespondencja*. Opracował i przypisami opatrzył Radosław Romaniuk. Warszawa 2008, s. 105

15 Maria Dąbrowska, *Dzienniki powojenne 1955-1959*. Warszawa 1996, tom 3, s. 48, 50

Ważyk wierzył i chwalił. Był głosicielem oficjalnego frazesu – dziś fascynuje się gorzką rzeczywistością. A ponieważ z poety chwalczy wywiązywał się gorliwie i bez uchybień – tym gwałtowniej womituje [...]. Tak w ostawionym fragmencie o Nowej Hucie sielankowemu robotnikowi z plakatu przeciwstawia poeta – ponure zwierzę ludzkie. A rzeczywistej wiedzy w środku nie ma. To są womitane puste, chybione. [...]

Takim tonem może mówić ktoś, kto stał poza błędami, ktoś o sumieniu nie rozdwojonym przez współuczestnictwa w błędach, kto nigdy nie idealizował naiwnie lub nie postępował wbrew sobie. Kiedy cała prawda przez myślących ludzi w Polsce od lat została już przeżuta, kiedy nazwiska zdrajców padały z trybun zjazdowych, kiedy o niedomogach i błędach, skandalach i przestępstwach mówi głośno prasa – data 1955, postawiona pod utworem, nadwątlą myślową i moralną wagę czynu pisarskiego¹⁶.

Podobnej sprawy dotyka Sandauer:

„Gdyby zamiast <oni> było <ja> zmianie uległaby sama problematyka: należałoby wyjaśnić, dlaczego najpierw <wołałem>, dopóki byłem – do 1954 r. – naczelnym redaktorem <Twórczości>, <zwątpiłem> zaś w chwili, gdy mnie usunięto? Tak czy owak, postawione w osobie pierwszej, zagadnienie skomplikowałoby się niepomiarowo i pogłębiło.

Nie do tego jednak, by je pogłębiać, spieszo Ważykowi, lecz – by uwagę odwrócić od siebie, by uderzyć się – możliwie głośno – w cudze piersi. Znika eo ipso możliwość analizy psychologicznej dogmatyzmu, którą mógłby przeprowadzić tylko na sobie samym; znika rozróżnienie między zakłamaniami a świadomym łgarstwem. Słowem, zagadnienie praktyczne, jak dokonać określonego <posunięcia>, jak możliwie szybko przejść na drugą stronę, zaślania problematykę intelektualną, która dopiero tutaj mogłaby się rozpocząć¹⁷.

Sandauer zauważa, że opisane przez Ważyka „zepsucie obyczajów” jest nieuniknione przy tak masowej migracji, a poza tym: „Jak na <poemat dla dorosłych> (bo nie dla dorastających przecie), i to pisany przez człowieka obyczajowo wyzwolonego, sprawy tzw. demoralizacji wychodzą tu zanadto na plan pierwszy¹⁸.”

Tadeusz Hołuj tak określił spojrzenie Ważyka na robotników Nowej Huty:

„Patrzenie Ważyka na robotników czy chłopów jest patrzaniem burżuazji i nie ma żadnej sprzeczności pomiędzy wychwalanym wierszem o robotnikach, którzy weszli do śródmieścia, a ganionym – o zwierzęcym obrazie ich życia. Tu i tam patrzy Ważyk na lud z wysokości burżuazyjnego stanowiska, raz idealizując, raz plując. Natykał się gorzkich faktów, a potem wszystko zwiymiotował na robotników (określenie nie moje – Flaszena)¹⁹.”

Tadeusz Różewicz na *Poemat dla dorosłych* zareagował ironicznym wierszem zatytułowanym *Kryształowe wnętrze brudnego człowieka (Karykatura)*, datowanym: „Wrzesień – październik 1955”. Wspominał:

„Mnie np. ogarnęły wątpliwości po ukazaniu się *Poematu dla dorosłych*, napisałem wiersz pt. *Krysz-*

tałowe wnętrze brudnego człowieka, którego <bohaterem> był... Adam Ważyk. Był to poemat satyryczny i polemiczny. Długo czekał na druk, w różnych pismach, a kiedy został wreszcie opublikowany, nikt <nie zauważył> jego istnienia. Ta <karykatura> Ważyka, jego roli w socrealizmie (a także parodia *Poematu dla dorosłych*) została odnotowana dopiero przez <anonima> w tygodniku <Po prostu> w roku 1957. Pragnę przytoczyć ten głos z <Po prostu> jako <przyczynę> do legendy *Poematu dla dorosłych*; uczeni lubią <przyczynki>, może wykorzystają go w czasie uroczystości ku czci wydarzenia, jakim jest (w ich mniemaniu) poemat Ważyka”.

Tu Różewicz przytoczył wspomnianą opinię o jego wierszu. Oto jej fragmenty:

„*Kryształowe wnętrze* zrobiło na mnie wrażenie tak mocne, jak wielkie karykatury Goyi. Jeśli można mówić u nas o literaturze <antystalinowskiej> czy <antyberio-wskiej>, to mamy tu chyba do czynienia z najwybitniejszym utworem o tej tematyce, z tym, że jest to rzecz o wiele bardziej syntetyczna i przez to o wiele trwalsza niż wszystko inne, co w ostatnim okresie powstało [...]. *Poemat dla dorosłych* Ważyka, *Papierowa głowa* Andrzejewskiego, *Obrona Grenady* Brandysa zrobiły karierę – i to międzynarodową, o Różewiczu natomiast ani słycho, ani dychu. Nikt nie pokwapił się aby dziełu co najmniej równoważycielowemu tamtym (ja zaś osobiście sądzę, że pisarsko lepszemu) zrobić choć trochę reklamy. Duże wartości poetyckie w tym kraju nie popłacają, jak widać. Kto mi wytłumaczy osobliwy mechanizm giełdy literackiej naszej ojczyzny?²⁰”

W latach osiemdziesiątych ponownie dużo mówiło się i pisało o *Poemacie dla dorosłych*. Nie bez udziału w tym samego autora. W 1980 Adam Ważyk miał do wyboru niejedną datę, która by mogła być uznana za okazję do obchodów jubileuszowych. Sam zdecydował, że nie będzie obchodził siedemdziesięciolecie swych urodzin, lecz dwudziestopięciolecie *Poematu dla dorosłych*. Bo właśnie w ramach „solidarnościowej” odnowy zaczynał się sezon gwałtownego korygowania własnych biografii. Takie życzenie poety nie dziwi nikogo znającego jego życiorys. Ale to, że wylansowano wówczas Ważyka na jednego ze sztandarowych poetów odnowy życia w Polsce i jego pełnej demokracji, w dodatku z udziałem Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, który poświęcił *Poematowi*... sesję naukową – może wywoływać różne refleksje.

Dopiero w 1992 roku mogliśmy się zapoznać z przebiegiem spotkania 23 września 1955 roku w Pałacu Staszica, na którym Jakub Berman, Edward Ochab i Jerzy Morawski spotkali się z gronem pisarzy partyjnych w celu oceny *Poematu dla dorosłych* Adama Ważyka i redakcji „Nowej Kultury” za jego zamieszczenie, dzięki notatce sporządzonej przez Wandę Markowską, zastępczynią kierownika wydziału Kultury i Nauki KC PZPR, ze streszczeniami wystąpień uczestników spotkania²¹.

16 Ludwik Flaszen, *O trudnym kunszcie womitowania*. W: Cyrograf. Wydanie zmienione i poszerzone. Kraków 1996, s. 286-292.

17 Artur Sandauer, *O sytuacji pisarza polskiego...* Jw., s. 80.

18 Tamże, s. 81.

19 Tadeusz Hołuj, *Nie ludowy obraz Nowej Huty*. „Życie Literackie” 1955, nr 43.

20 Tadeusz Różewicz, *Różne oblicza cenzury*. „Odra” 1989, nr 4, s. 52.

21 Notatka zachowała się w Archiwum Akt Nowych pod sygnaturą 237/ XV/1107. Opublikowała ją „Polityka” w numerze 27 z 4 VII 1992 r. wraz z listem Wandy Wasilewskiej do N.S. Chruszczowa o Poemacie... Zob. również: Mieczysław Wojtczak, *Wielka i mniejsza litera*. Literatura i polityka w pierwszym ćwierćwieczu PRL. Warszawa 2014, s. 352-360.

Większość z nich, biorących Ważyka w obronę i odnoszących się do jego decyzji ze zrozumieniem, miała w swojej twórczości – naukowej czy literackiej – epizody mniej czy bardziej podobne do tych, w które obfitowała biografia Ważyka. Nie dziwi na przykład obecność na tym spotkaniu wyznanie autora książki *Partia i twórczość pisarza*: „Mnie poemat Ważyka bardzo zbudował i podziatał oczyszczająco”²².

Swoje samopoczucie podczas tego spotkania i powrotu z niego „w kilkoro Krakowskim Przedmieściem” opisał Jerzy Andrzejewski w liście do Czesława Miłosza²³. Motyw ten wprowadził do opowiadania *Msza za poetę* (w tomie *Nowe opowiadania* z 1980 r.), a także do *Miazgi*.

Po opublikowaniu informacji o przebiegu spotkania kierownictwa partii z partyjnymi pisarzami ukazała się tekst nadesłany przez Grzegorza Lasotę pt. *Patent na bezgrzeszność*: „Przedzierając się przez tony makulatury, gdzie w ostatnich latach pomyje zastępują farbę drukarską, łatwo zauważyć, iż z niepojętych względów np. Adam Ważyk wyrasta na moralnego herosa walczącego z komunizmem, a Jarosław Iwaszkiewicz na nędznego kolaboranta. Zabieg beatyfikacyjny w stosunku do Ważyka został zastosowany przez uznanie, iż *Poemat dla dorosłych* był w jego życiu wydarzeniem ważniejszym, niż rola komisarza ideologicznego, spełniana przezeń z wytrwałością przez lat dziesięć, bojownika z formalizmem w sztuce, pogromcy Gałczyńskiego etc [...]”.

Adam Ważyk nigdy nie rozliczył się z lat intelektualnego szkodnictwa, robiąc tylko wyznania od czasu do czasu, że w tym czasie po prostu zwariował. Stał się jednak nie tylko bohaterem sezonu, lecz i klasykiem politycznych fikołków, które z dnia na dzień, w dobrze wybranym momencie, bez żadnej istotnej szkody dla własnej kariery pozwoliły wielu artystom zamienić się we własne przeciwieństwo”.

Nadeszła również wypowiedź Tomasza Markiewicza: „Czytelnik, zwłaszcza młody mógłby odnieść mylne wrażenie, że Adam Ważyk odegrał przed 1955 r. jedynie pozytywną rolę w polskiej literaturze jako jej desocrealizator i destalinizator. Oczywiście było dokładnie odwrotnie, a apogeum gorliwości Ważyka to bezpardonowy atak na Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego na plenum ZG ZLP w lutym 1950 r., który zapoczątkował nagonkę na tego poetę”²⁴.

Tadeusz Różewicz w 1989 roku pisał:

„Jednym z fałszywych mitów naszej literatury jest *Poemat dla dorosłych*. Nad tworzeniem tego mitu pracował sam Adam Ważyk, liczni krytycy, historycy literatury, przeważnie krakowscy i warszawscy. <Znawcy przedmiotu> do dziś podkreślają nie tylko wartości polityczne i etyczne, ale także walory poetyckie tego utworu. Tymczasem poemat należy do najstarszych utworów Adama Ważyka”²⁵.

A w związku uwagą Lasoty, że Ważyk „nigdy nie rozliczył się z lat intelektualnego szkodnictwa, robiąc tylko wyznania od czasu do czasu, że w tym czasie po

prostu zwariował”, warto przypomnieć relację Gustawa Herlinga-Grudzińskiego:

„Na prośbę Aleksandra Wata skłoniłem Silonego do spotkania z Ważykiem w Rzymie. Ważykowi podobno zależało na tym bardzo, a i Silone był ciekaw, co ma do powiedzenia fanatyczny niegdyś komunista polski w okresie popularności (także we Włoszech) *Poematu dla dorosłych*. W kilka dni po owym spotkaniu wysoczyłem z Neapolu do Rzymu i jak zwykle odwiedziłem Silonego. Nie chciał z początku mówić na ten temat, a pytania zbywał z wyraźną irytacją. Uległ w końcu, ostatecznie to ja na nalegania Wata (którego znał) zaranżowałem rozmowę (co prawda bez entuzjazmu, pamiętając dość obrzydliwego Ważyka <lwowskiego>, właściwie politruka sowieckiego na odcinku literackich uciekinierów z tamtej strony Bugu), miałem więc prawo zapytać o jej przebieg.

Na dobrą sprawę ciągnęło mnie, by wstać od stołki i zostawić go w restauracji samego. Od pierwszej niemal chwili czułem się obrażony. Ten twój (?) Ważyk co parę minut przerywał swój potok wymowy formułką „kiedy byłem komunistą, czyli człowiekiem chorym umysłowo”, co dla mnie było absolutnie nie do zniesienia. Dla mnie moja komunistyczna przeszłość, mimo zerwania z partią, była ważnym rozdziałem mojej biografii, przez lata przeżywałem ją i analizowałem, stała się w dużym stopniu przedmiotem mojego pisarstwa. Przy całym poczuciu błędu nie wstydziłem się mojego młodzieńczego wyboru politycznego, był dla mnie czymś autentycznym i żywym [...]. I oto przychodzi ktoś o biografii podobnej zapewne do mojej i załatwia rzecz formułką <kiedy byłem komunistą, czyli człowiekiem chorym umysłowo>. Ja nie uważałem się za człowieka wyleczonego z choroby umysłowej. Dla mnie zerwanie z partią było dramatem”²⁶.

* * *

Gdy po konferencji poświęconej siedemdziesięcioleciu Nowej Huty opuszczałem gmach Nowohuckiego Centrum Kultury, mijałem grupki młodzieży gromadzącej się tu na różne zajęcia kulturalne, myślałem o ludziach z mojego pokolenia, a także nieco starszego i nieco młodszego, bez których wysiłku, podejmowanego w najtrudniejszych warunkach, nie było by dzisiaj tego słonecznego miasta pełnego zieleni; jego mieszkańców czujących z nim bliski związek, pamiętających o zasługach tych, którzy byli u jego początków i tych, dzięki którym ono rozkwitało; miasta dziś tak chętnie odwiedzanego przez polskich i zagranicznych turystów, którzy przyjeżdżają do niego zaciekawieni budzącą podziw dzielnicą Krakowa, która powstała w latach polskiego socjalizmu.

MARIAN STĘPIEŃ

22 „Polityka” 1992, nr 27.

23 Jerzy Andrzejewski, Czesław Miłosz, *listy 1944-1981*. Opracowała i przypisami opatrzyła Barbara Riss. Warszawa 2011, s. 312-313.

24 Obydwie wypowiedzi – Grzegorza Lasoty i Tomasza Markiewicza – ukazały się w „Polityce” nr 36 z 1992 roku.

25 Tadeusz Różewicz, *Różne oblicza cenzury*. „Odra” 1989, nr 4, s. 52.

26 Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą 1997-1999*. Warszawa 2009, s. 107-108.

BERNADETA STANO

PLASTYCY NOWEJ HUTY¹

Test ten stanowi refleksję historyka sztuki z odbywanej już od ponad dwudziestu lat wędrówki po Nowej Hucie, z notatnikiem i aparatem fotograficznym, w poszukiwaniu tematów do pracy naukowej, ważnych a zaniedbanych, wciąż żywych, mimo upływu czasu i odchodzenia ludzi.

Krok 1. Pracownie

Moje pierwsze kroki na drodze naukowej stawiałam właśnie w środowisku nowohuckim, pod kierunkiem profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Tomasza Gryglewicza, gromadząc materiały źródłowe do pracy magisterskiej o losach Grupy Nowohuckiej (zwanej też Grupą 5-ciu). Niezastąpionym i wdzięcznym źródłem informacji były wówczas spotkania z artystami w ich nowohuckich pracowniach oraz analiza obrazów, które wtedy, po kilku dekadach zapomnienia, ujrzały światło dzienne. Ze smutkiem dodam, że prawie wszyscy już odeszli: Danuta i Witold Urbanowicz, Julian Jończyk, Jerzy Wroński. Mam zatem ogromny żal, że nie rejestrowałam tych rozmów na taśmie, nie robiłam zdjęć w pracowniach, choć wielokrotnie tam wracałam, bo artyści ci i ich dorobek wciąż mnie inspirował do kolej-

nych recenzji z wystaw i artykułów. Dziś mam świadomość, że same pracownie były fenomenem tej dzielnicy i dziś kolejno znikają z jej krajobrazu. Zwieńczeniem tego etapu prac była wystawa Grupy w 2000 roku w Galerii Zderzak².

Następnie kontynuowałam ten wątek, wplatając go w szerszy kontekst geografii życia artystycznego w Małopolsce w okresie odwilży. Badałam na podstawie lokalnej i ogólnopolskiej prasy plastykę Rzeszowa, Zakopanego i Krakowa z kwitnącą w tej dekadzie Nową Hutą³. W maju 2015 roku zostałam zaproszona do udziału w międzynarodowej konferencji *Miasta nowego typu. Nowe miasta przemysłowe w demokracji ludowej po 1945 roku*, w której uczestniczyli historycy i historycy sztuki z kilkunastu europejskich środowisk zainteresowanych badaniem dziedzictwa kulturalnego, związanego z zakładaniem miast i dzielnic w oparciu o lokalny przemysł ciężki. Odbyła się ona w Dunaújváros, 70 kilometrów od Budapesztu. Miasto to było oficjalnie zaprzyjaźnione z Nową Hutą już w latach 50. W trakcie przygotowań do wystąpienia moją uwagę zwróciły relacje uczestników modnych,

¹ Tytuł artykułu zaczerpnęłam z hasła, które w latach 70. towarzyszyło wystawom w Galerii „Rytm” i w instytucjach zaprzyjaźnionych, goszczących artystów oraz recenzjom na łamach „Głosu Nowej Huty”.

² B. Stano, *Kłopoty z nazwą; Konteksty widzenia grupy, Destrukcyjność czy konstrukcyjność, [w:] Malarstwo materii 1958-1963. Grupa Nowohucka*, red. M. Tarabula, M. Branicka, Kraków 2000, s. 14-29.

³ B. Stano, *Wystawy zapamiętane, wystawy zapomniane, Życie artystyczne Krakowa, Nowej Huty, Rzeszowa i Zakopanego w okresie Odwilży*, Kraków 2007. Książka powstała w oparciu o rozprawę doktorską napisaną pod kierunkiem prof. T. Gryglewicza.

szczególnie w okresie odwilży, po 1956 roku, wizyt w zaprzyjaźnionych krajach demokracji ludowej. W ich skład wchodził lokalni działacze, członkowie załóg poszczególnych zakładów, a nawet ich rodziny. Tadeusz Czubała, członek takiej delegacji, rozpytywał się superlatywach na temat jakości życia w mieście Sztálinváros, infrastruktury dla młodych małżeństw z dziećmi – terenów rekreacyjnych i punktów handlowych, doceniał poziom usług i handlu: „Najbardziej zachwyciły mnie (...) - sklepy. Zacząć trzeba od tego, że sklepy te, ich towary i atrakcyjne artykuły widoczne są już ... na ulicy. Bo w przeciwieństwie do nas Węgrzy budując nowe socjalistyczne miasto wcale nie zrezygnowali z wystaw sklepowych i z nowoczesności (...). Co mnie jeszcze bardzo mile zaskoczyło, to bardzo duża ilość barwnych neonów, porządek i czystość na ulicach oraz pięknie, barwne, solidne i trwałe elewacje domów”⁴. Nowa Huta się w tym czasie nadal intensywnie rozbudowywała, ale wiele inwestycji polepszających jakość życia obywateli pozostało tylko na papierze, w eleganckich acz nielicznych sklepach towar był reglamentowany, „rzucany” nieregularnie, wydawany „spod lady” dla wybranych. W kolejnym numerze „Głosu Nowej Huty” natknęłam się na gorzkie refleksje o tym wiecznym stanie oczekiwania, którego doświadczali również plastycy czekający na swój przysłowiowy „kąt” do życia i pracy. To był moment, kiedy powtórnie spojrzałam na ich „ciche” malarstwo materii, już nie jak na obiekt estetycznej kontemplacji, lecz świadectwo niepewnego bytu⁵. Dodajmy, że podobne wątki „polskie” i „nowohuckie” przewijały się przez większość wystąpień, co potwierdzało, że wiedza o losach Nowej Huty i jej mieszkańców stanowi w ostatnich dekadach ważny punkt odniesienia dla badań o „nowych miastach” w krajach tzw. demokracji ludowej. Zatem moje osobiste zainteresowania skupiały się wtedy przede wszystkim na dorobku pierwszego pokolenia artystów, którzy przyciągani ciekawością, możliwością zarobkowania i zamieszkania, ścigali licznie do Nowej Huty.

Krok 2. Mecenat

Wróciłam do tematu w ostatnich latach na fali kwereń służących poznaniu zjawiska społecznego mecenatu przemysłowego w PRL. Mowa tu o okresie po 1965, a dla Nowej Huty o latach 70. i połowie lat 80., kiedy to zjawisko, w kontekście dzielnicy, przybrało na sile. Zanim przypomnę podstawowe jego przejawy na tym terenie, postaram się w kilku słowach scharakteryzować, czym był ów mecenat przemysłowy. Stanowił on reakcję na wady i niedostatki mecenatu państwowego, brak rynku prywatnego, ciężką sytuacją materialną artystów, szczególnie tych uprawiających tradycyjne dyscypliny oraz szukaniem płaszczyzny do dialogu artysty ze społeczeństwem po fali wygasających działań

grupowych bardzo popularnych w latach 50. Podtytuł opublikowanej w bieżącym roku książki: *Artysta w FABRYCE. Dwa oblicza mecenatu przemysłowego w PRL* sugeruje, że powołane przez partię i władze centralne zjawisko stanowiło źródło bezpośrednich korzyści dla środowiska plastyków (stypendia, akcja plenerowa, wystawy w nowo powołanych miejscach) oraz jego obowiązków względem mecenasów⁶. Misję tę, poza związkami zawodowymi różnych szczebli, wielkimi zjednoczeniami przemysłowymi, kombinatami i mniejszymi przedsiębiorstwami, sprawowały: wojsko, organizacje młodzieżowe, spółdzielnie produkcyjne i mieszkaniowe. Ich otwarcie na środowisko plastyków oznaczało przygotowanie stosownych form i ram działania (zasad finansowania i egzekwowania zobowiązań). Propozycja władzy nie miała znamion bezinteresowności, bo za ofertą instytucji społecznych stały interesy komunistycznej partii, a interesy plastyków spełniały rolę drugoplanową.

A jak sytuacja rysowała się w Nowej Hucie? Władze Huty im. Lenina wielokrotnie deklarowały współpracę nie tylko z plastykami, ale i z literatami czy muzykami, czego potwierdzeniem były umowy, na ogół w kooperacji z władzami dzielnicy. 22 maja 1973 roku podpisano pierwszą taką umowę stypendialną pomiędzy Hutą im. Lenina a Zarządem Okręgu ZPAP w Krakowie. Przyznano wówczas 6 stypendiów dla artystów. Stypendysta był zobowiązany do utrzymywania stałego kontaktu z przedstawicielami załogi Huty. Malarz lub grafik miał przekazać obraz lub trzy grafiki na rzecz mecenasa, projektant wnętrz lub form przemysłowych – projekt nadający się do realizacji dla potrzeb Huty, rzeźbiarz – projekt rzeźby. Ich tematu nie sprecyzowano. Poza stypendiami w umowie była mowa o wydawaniu teki prac graficznych Huty im. Lenina, oferowanie artystom zleceń na opracowanie wnętrz hal produkcyjnych w zakresie kolorystyki i humanizacji miejsca pracy, systemów informacji wizualnej, projektów wnętrz obiektów socjalnych i rekreacyjnych oraz finansowanie działalności galerii „Rytm” przy ZDK w Nowej Hucie. Huta zabezpieczała też środki na urządzenie indywidualnej wystawy stypendysty i wydanie katalogu. Tylko w okresie od 1974 do 1979 z takich stypendiów kombinatu korzystało trzydziestu artystów plastyków różnych profesji i różnych pokoleń. Ograniczenie akcji nastąpiło w 1982 roku, kiedy Huta zaofiarowała zaledwie 3 stypendia i zastrzegła sobie, żeby Związek wytypował tylko osoby młode, „szczególnie uzdolnione”. Dwa lata później, kiedy, jak wiemy, kombinat borykał się z wieloma ekonomicznymi problemami, zawarł kolejne porozumienie z władzami ZPAP i podpisał kolejną umowę na 5 lat. Stypendyści byli wówczas zobowiązani, by precyzyjnie określić swoje zamierzenia. Podczas plenerów na terenie ośrodków wypoczynkowych Huty wykonywali prace plastyczne, którymi dysponował fundator. Dekorowały one budynki kombinatu, ale też stanowiły przedmiot aukcji organizowanych na cele społeczne. Z rad plastyków mieli korzystać hutnicy budujący swoje domy jednorodzinne i artyści amatorzy hutnicy. Podsumowując ten wątek należy stwierdzić,

4 Tadeusz Czubała, *Ket jo barat*, „Głos Nowej Huty” 1958, nr 60, s. 10.

5 Tu ważną rolę odegrała praca nad artykułem o Lucjanie Mianowskim, który wielokrotnie wracał do tego etapu życia malując m. in. cykl: *Małe miasteczka nie są nudne* (1957 r.) oraz obrazy zatytułowane: *Przeprowadzka, Czarne wnętrza* (1958r.) czy *Ludziom bez mieszkań i pracowni* (1957-1991r.) por. B. Stano, *W kręgu pop-artu?*, „Znak” 2012, nr 5/684, s. 126-127.

6 B. Stano, *Artysta w FABRYCE. Dwa oblicza mecenatu przemysłowego w PRL*, Kraków 2019, s. 314-325; 332-335. Fragmenty te dotyczą konkretnie środowiska nowohuckiego.

że skala i charakter akcji stypendialnej Kombinatu stanowił fenomen dla tamtej epoki.

Krok 3. „Rytm” – Galeria Huta Sztuki

Wracając do swoich szczegółowych badań nad środowiskiem nowohuckich plastyków zatrzymam się jeszcze na moment przy losach wymienionej wyżej galerii „Rytm” przy Zakładowym Domu Kultury Huty im. Lenina, o której pamięć, dzięki powołaniu galerii Huta Sztuki powraca⁷. To w tym miejscu stypendyści zazwyczaj pokazywali swoje prace. Nie była to typowa galeria zakładowa, jakie licznie powstawały od lat 60. przy instytucjach związanych z przemysłem⁸. I nie prezentowała hołubionej w okresie PRL propagandy wizualnej. Była to sala wystawowa o ambicjach pokazywania sztuki profesjonalnej, nie tylko adresowanej dla robotników. Jej program porównywać by można z ówczesną ofertą Salonu TPSP przy Alei Róż i KMPiKu przy placu Centralnym.

Intensywna działalność Zakładowego Domu Kultury w zakresie promocji współczesnej lokalnej plastyki rozpoczyna się mniej więcej z końcem lat 60. W prasie krakowskiej pojawia się wówczas nazwa galerii „Rytm” oraz takie hasła: „Plastycy Nowej Huty”; „Nowohuckie prezentacje”. Program wystawienniczy Galerii „Rytm” zapoczątkowano w lutym 1965 roku wystawą Mariana Kruczka. Jej organizatorami byli Anna Siatkowska – kierownik Działu Kultury DRN, Jan Żabnicki – dyrektor Domu Kultury HiL i artysta-działacz społeczny Janusz Trzebiatowski, kurator także kolejnych wystaw. Wymieniam te nazwiska, ponieważ dzięki tym działaczom, co najmniej przez dwie kolejne dekady Nowa Huta przyciągała na wystawy ważnych gości, nie tylko z Krakowa.

Wystawom towarzyszyły spotkania z artystami i krytykami, przygotowywano katalogi i plakaty. Organizowano oprowadzania dla załogi kombinatu i młodzieży dzielnicy. W 1973 roku, po trzech dużych akcjach wystawowych z udziałem Galerii „Rytm” Stanisław Rodziński w ten sposób określił jej charakter: „Jej działalność – nie zawsze zauważana przez Wielki Kraków – ostatnio zasługuje na szczególną uwagę. Można bez wahania powiedzieć, że jest to galeria, która dysponuje – dzięki mądrym kierownictwu Stanisława Primusa – ‘własną twarzą’, własnym profilem i klimatem. (...) Jest to więc linia wyrazista – uzupełnia malarz – zakładająca dydaktyczne narastanie problematyki plastycznej w dziele, jego funkcje społeczne, jego miejsce w codzienności człowieka żyjącego w konkretnie socjologicznym, jakim jest Nowa Huta. Można zatem zaryzykować twierdzenie, że proces przyswajania nowej sztuki nowym ludziom i nowym środowiskom – gdy chodzi o plastykę – dopiero rozpoczęliśmy”⁹. Oceny Rodzińskiego wydają się szczere, choć wiadomo, że były równocześnie zgodne z pożądanym przez władze kierunkiem upowszechniania plastyki. Dodajmy, że

działalność galerii nie zakończyła się na tych akcjach. Gościły tam w drugiej połowie lat 70. także inne ekspozycje mniej lub bardziej znanych plastyków, powiązanych z dzielnicą.

Obecnie prowadzę badania nad stanem zachowania czterech kolekcji sztuki współczesnej gromadzonych w Nowej Hucie w latach 70. z inicjatywy Janusza Trzebiatowskiego ze środków Dzielnicowej Rady Narodowej i Huty im. Lenina (w Klubie Nauczyciela na osiedlu Kolorowym i w Szkole 1000-lecia na osiedlu Teatralnym, w Państwowej Szkole Muzycznej i w Zakładowym Domu Kultury). Na podjęcie tego tematu duży wpływ miało wspomniane otwarcie w 2018 roku Galerii Huta Sztuki w Ośrodku Kultury im. Norwida, czyli udostępnienie szerszej publiczności jednej z dwóch zachowanych kolekcji. Przypomnijmy, że instytucja ta posiada w swoich zbiorach wartościowe prace krakowskich artystów z lat 50., 60. i 70. XX w., należące do nurtu malarstwa materii (m. in. Mariana Kruczka, Eugeniusza Muchy, Walentego Gabrysiaka, Janusza Trzebiatowskiego, Józefa Szajny czy Lucjana Mianowskiego), a także najwybitniejszych przedstawicieli grafiki artystycznej lat 60. Jerzego Panka czy Stanisława Wójtowicza. Dokumentuje zatem okres, kiedy artyści ci eksperymentowali z fakturą obrazu, tłoczyli reliefy, w grubej warstwie farby zatapiali piasek, cement, do obrazu wklejali kawałki drewna, tkaniny, zardzewiałych blach¹⁰. Zapewniam, że w żadnej innej kolekcji w muzealnej w Krakowie badacz sztuki XX wieku nie odnajdzie tak bogatego zestawu prac z tego okresu, prac, które bez wstydu można porównywać z dokonaniem Francuzów, Włochów czy Hiszpanów działających w tym samym nurcie w analogicznym okresie.

W szkicu tym starałam się przedstawić zakres moich badań nad środowiskiem nowohuckich plastyków, licznych kwerend i rozmów z artystami i organizatorami życia artystycznego. Choć od ponad 20 lat wykładam historię sztuki na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Pedagogicznego, obserwacje te prowadzę niejako z zewnątrz, bo mieszkam na Śląsku. Fakt ten pozwala z jednej strony nabrać dystansu do przedmiotu badań, a z drugiej – dostrzec analogie między działaniami artystycznymi w miejscach naznaczonych obecnością przemysłu. W obu przypadkach mamy bowiem do czynienia z animowaniem nowych miejsc i poszukiwaniem owego zatartego przez lata zaniedbań *genius loci*¹¹.

BERNADETA STANO

7 Inicjatorką powstania stałej galerii sztuki artystów nowohuckich jest Barbara Solecka. Ona również jest autorką aranżacji przestrzeni galerii.

8 Por. B. Stano, *Artysta w fabryce. Misja galerii zakładowej w okresie PRL-u*, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia de Arte et Educatione” 2015, t. X, s. 119-138

9 S. Rodziński, *Piotr Dietrich. Malarz, któremu się nie spieszy*, „Tygodnik Powszechny” 1973, nr 34, s. 6.

10 Zestaw ten wzbogacają przykłady obrazów i plakatów, realizujących tematy i zasady socrealizmu. W ekspozycję włączony jest film dokumentalny pt. *Pionierzy nowohuckiej sztuki* o plastykach nowohuckich zrealizowany przez Zbigniewa Jarosza z muzyką Krzysztof Ridan (koncepcja B. Solecka).

11 B. Stano, *Artyści w postindustrialnej ruinie – działania site specific w krajobrazie skażonym cywilizacją przemysłową [w:] Architektura w krajobrazie. Harmonia – kompromis – konflikt*, red. W. Kobylińska-Bunsch, Warszawa: Instytut Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego, 2018, s. 425-437

JERZY FEDOROWICZ

MOJE DYREKTOROWANIE W TEATRZE LUDOWYM

Muszę chyba zacząć od tego, że dyrektorem Teatru Ludowego w Nowej Hucie zostałem mianowany przez Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej 25 maja 1989 roku, a 1 września miałem rozpocząć pracę. Oczywiście byłem bezpartyjny, rozlegały się więc głosy, że mogę dyskryminować pracowników członków PZPR. Ale Jerzy Trela wszystkich uspokoił, bo powiedział, że „Fedor jest normalny”.

Ale oto 4 września zawałił się system, a ja musiałem przygotować nowy sezon. Wtedy dobrałem sobie zgraną grupę twórców: kierownikiem literackim zgodziła się zostać Janina Olczak-Ronikerowa, głównym reżyserem być Krzysztof Orzechowski, a scenografem Elżbieta Krywsza. Długo zastanawialiśmy się nad pierwszą pozycją repertuarową, aż Andrzej Wajda, którego byłem uczniem i potem aktorem w Starym Teatrze poradził, byśmy przygotowali spektakl na podstawie filmu *Człowiek z marmuru*, aby w ten sposób podziękować ludziom Nowej Huty za wolność. „Ludziom Huty” – z Mietkiem Gilem, Staszkiem Handzlikiem, Maćkiem Machem i wieloma innymi.

Wajda rzucił hasło *Człowiek z marmuru*. i – poszedł. A dla nas zadanie było bardzo trudne, bo trzeba przebudować scenariusz filmowy tak, żeby wyraziście nawiązać do konkretnych, pamiętanych ciągle wówczas postaci i wydarzeń. Orzechowski z Olczak wzięli się za scenariusz, moja Ela za przygotowanie dekoracji i kostiumów, Jacek Tomasik za taniec i ruch sceniczny.

A doszła jeszcze jedna trudna, w rezultacie sprzyjająca nam okoliczność. Oto nowohucka młodzież, która w ostatnich latach „dymiała” konfrontując się zapałem na ulicach Nowej Huty z milicją, utraciła naturalnego przeciwnika i swego rodzaju „cel życiowy”, więc zaczęli demonstrować pod pomnikiem Lenina, domagając się jego usunięcia. I tak też się stało.

Te wydarzenia były obserwowane przez dziennikarzy prawie z całego świata, którzy relacjonowali upadek komunizmu. Ponieważ było potwornie zimno i głodno, więc przychodzili do teatralnego bufetu, by się ogrzać i wypić coś gorącego. I to oni przy okazji wypromowali nam przedstawienie.

Jednak już w styczniu okazało się, że ludzi zajętych swoimi codziennymi sprawami ta heroiczna historia już mniej interesuje. Byłem na to przygotowany, bo miałem obietnicę współpracy Jerzego Stuhra – profesora i rektora PWST, mojego przyjaciela, który zaczął tworzyć już w zupełnie innej tonacji przepiękne przedstawienia. Pierwsze to było *Iwona, księżniczka Burgunda*, w której sam zagrał rolę króla Ignacego. To dzięki niemu Teatr Ludowy wypłynął na szerokie wody – od Stanów Zjednoczonych po okolice jeziora Bajkał. Muszę też być wdzięczny mojej Elżuni, która wielokrotnie pracowała przy scenografii za darmo, albo przynajmniej za półdarmo. Nie jest problemem prowadzić teatr, gdy się ma pieniądze, ale gdy dramatycznie ich brakuje, to scena swoje trwanie zawdzięcza przyjaźni.

Nie da się ukryć, że w owym czasie teatr znalazł się w trudnym położeniu. Całe szczęście, że znaleźliśmy wsparcie wśród ludzi z kombinatu. Pomagali nam finansowo i rzeczowo, a my z kolei organizowaliśmy im różnego rodzaju uroczystości, prowadziliśmy także warsztaty dla ludzi, którzy odeszli z huty i chcieli się przekwalifikować. Takie to były czasy!

Gdy objąłem to stanowisko Adam Biegun, dyrektor Montinu – nowohuckiej firmy montażowej, wspaniały człowiek, wziął mnie na bok i mówi: „Fedor, synku, przytul się tutaj do »kapitału«, to może ci się jakoś uda”. Bardzo cenna była pomoc Jerzego Knapika, szefa Huty, potem dyrektorów Janeczka i Wolińskiego. Nawet kiedy HTS przejęli Hindusi, to czuliśmy opiekę hutniczych spółek-córek.

W 1991 roku prezydentem Krakowa został prof. Jacek Woźniakowski, a ja – ponieważ ukończyłem za granicą kursy marketingu i PR – otrzymałem stanowisko dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Miasta Krakowa. Trudno w to uwierzyć, ale byłem równocześnie dyrektorem dwóch poważnych instytucji. Dzisiaj jest to oczywiście, ale wtedy musiałem tak działać, aby osoby z legitymacją PZPR tylko z tego powodu były usuwane z kierowniczych stanowisk, bo mogłoby to pogrzyżać wiele instytucji. Tak było w przypadku próby usunięcia dyrektora Nowohuckiego Centrum Kultury, Ferdynanda

Nawratila. Uważam, że polityczne zmiany nie powinny dotyczyć fachowców.

„Zadymy” w hucie trwały jednak nadal. Tym razem agresywna młodzież z różnych subkultur nie tylko tłukła się między sobą, ale także atakowała widzów mojego teatru. Zaprosiłem więc ich na próbę musicalu o świętym Franciszku i zaproponowałem, że zrobimy razem przedstawienie. W ten sposób powstał projekt *Romea i Julii* z udziałem skinheadów i punków. Była sensacja! Rozeszło się w mediach na całym świecie! Objechaliśmy z tym spektaklem prawie całą Europę. Nawet w niemieckich przewodnikach po Polsce zachęcano, by obejrzeć Nową Hutę i Teatr Ludowy. Praca z tzw. trudną młodzieżą odmieniła moje życie zawodowe. Byłem nie tylko aktorem i reżyserem, ale zostałem też radnym, posłem na Sejm RP, a potem senatorem.

Jeszcze mała dygresja:

Dostałem w 2005 roku główną nagrodę Prezydenta RP za twórczość dla dzieci i młodzieży. To był wielki zaszczyt, bo wcześniej tę nagrodę dostali Joanna Kulmowa, Wanda Chotomska czy Władysław Kilian. Musiałem w Kancelarii Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego wygłosić krótkie przemówienie. Nawiązałem wtedy do konkretnego wydarzenia, które ma swoje zabawne tło. Mieliśmy wyjechać z grupą skinheadów i punków do Paryża. Nie miałem pieniędzy na transport. Dostałem obietnicę od dyrekcji Huty im. Sendzimira, ale sprawa była niejasna. Na spotkaniu, na którym był też dyrektor Huty Katowice, powiedziałem do dyrektora HTS Jerzego Knapika: „Jurek, przecież obiecałeś mi transport!” Na to odzywa się dyrektor z Katowic: „No jak, Fedor, nie masz transportu? To ja ci dam!” Wtedy Knapik podtrzymał obietnicę, ale zapomniał, że huta jest już „zdeglomerowana” i nie on zarządza pojazdami należącymi do niedawna do kombinatu. Jednak słowo się rzekło i wynajął dla nas autobus, chyba nawet na własny koszt.

Jechaliśmy więc do Paryża, ale po drodze nasz kierowca popełnił błąd i uderzył w nas samochód osobowy. Na szczęście nic się nikomu nie stało, natomiast autobus był niezdatny do dalszej jazdy. I wtedy z autobusu wysypali się bardzo wyraziście zróżnicowani przedstawiciele obu społeczności punków i skinheadów, i zaczęli zgodnie pchać nasz pojazd! Te podziały subkultur były w owym czasie głośne w całej Europie i Niemcy patrzyli na tę współpracę ze zdumieniem, a zszokowani policjanci odstąpili nawet od wymierzenia kary kierowcy, choć mu się słusznie należała. Nawet jakiś miejscowy warsztat naprawił nam samochód za darmo. Powiedzieli, że takiej wspaniałej młodzieży tam nie widzieli! Łatwo sobie wyobrazić, że opowieść zrobiła wrażenie na zebranych w Kancelarii Prezydenta.

Miałem mówić o Teatrze Ludowym na przełomie dziejów. Pracowaliśmy na dobrą sprawę przez długie lata w ogromnym kryzysie, aż do 1999 roku, z jednym wyjątkiem, kiedy było troszeczkę łżej. Zresztą ta pomoc miała wiele postaci i to huta – i jako kombinat, i jako dzielnica, i jako społeczność, i nawet jako miejsce na mapie, zdecydowała o tym, kim ja sam jestem dziś po tylu latach! I za to jestem hucie, Nowej Hucie ogromnie wdzięczny.

SŁAWOMIR PIETRZYK

NOWOHUCIANIE

Od pewnego czasu na łamach „Głosu Tygodnika Nowohuckiego” prezentowane są sylwetki ludzi, którzy odegrali istotną rolę w historii Nowej Huty. Okazją jest 70 rocznica powstania Nowej Huty oraz wydanie książki *Opowieści Nowohuckie* autorstwa Zdzisława Stanisława Furgała, zawierającej blisko 100 biografów budowniczych kombinatu metalurgicznego i miasta Nowa Huta. Ponadto znalazły się w tym albumie sylwetki ludzi, którzy odegrali istotną rolę w historii Polski, a związani byli z Nową Hutą pracą, bądź zamieszkaniem. Dlatego gdy otrzymałem propozycję udziału w sesji *70-lecie Nowej Huty*, odbywającej się w Nowohuckim Centrum Kultury, postanowiłem zaprezentować podczas niej wystąpienie pod hasłem *Ludzie 70-lecia Nowej Huty*. Mając świadomość dyscypliny czasowej swojego wystąpienia dokonałem subiektywnego wyboru kilkunastu postaci, które odegrały istotną rolę w życiu tej części Krakowa, a ja miałem okazję się z nimi spotkać, a nawet z większością współpracować.

JAN ANIOŁA był pierwszym dyrektorem budowanej huty w latach 1949-1954. Urodził się w 1908 roku w Laskach pod Poznaniem, a zmarł w 1997 r. w Krakowie. Był absolwentem Politechniki Gdańskiej. Do 1938 pracował jako inżynier mechanik przemysłu maszynowego i hutniczego. Uczestniczył w kampanii wrześniowej. Był żołnierzem Polskich Sił Zbrojnych we Francji i Wielkiej Brytanii (1940-1945).

Po wojnie jego działalność zawodowa i organizacyjna związana była z budową i rozwojem polskiego hutnictwa. Pracował m.in. w biurach projektów Biprohut, Biprostal oraz w kombinacie metalurgicznym (1946-1960). W AGH pracował od 1952 r. na Wydziale Metalurgicznym, od 1957 r. aż do emerytury był kierownikiem Katedry Maszyn Hutniczych na Wydziale Maszyn Górniczych. Był dziekanem Wydziału Maszyn Górniczych i Hutniczych w latach 1960-62 oraz prorektorem ds. nauczania w latach 1963-69, a rektorem uczelni w latach 1969-1972. Miałem szczęście spotkać się z profesorem, a efektem był artykuł w „Głosie Nowej Huty”. Poznałem także żonę Franciszkę z domu Sereżyńską, która dożyła sędziwego wieku ponad 100 lat.

TADEUSZ PTASZYCKI urodził się w Petersburgu w roku 1908, zm. 5 04 1980 r. w Krakowie. W roku 1920 razem z rodzicami powrócił do niepodległej Polski i zamieszkał w Warszawie. Tam w roku 1936 ukończył architekturę na Politechnice Warszawskiej. Do wybu-

chu wojny zaprojektował wiele budynków w stolicy, m.in. przy ul. Belwederskiej. Brał udział w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli i przebywał w oflagu niemieckim do kwietnia 1945 roku. Po wojnie powrócił do Warszawy, ale przeniósł się do Wrocławia i mając za patrona kolegę ze studiów Mariana Spychalskiego odegrał istotną rolę w odbudowie tego miasta będąc dyrektorem Biura Odbudowy Wrocławia. Na początku 1949 r. został przeniesiony do Krakowa jako delegat Zarządu Głównego Zakładu Osiedli Robotniczych (ZOR) w związku z projektowaniem i organizacją budowy miasta dla pracowników nowej huty metalurgicznej, określanej początkowo kryptonimem Gigant, późniejszej Huty im. Włodzimierza Lenina i Huty im. Tadeusza Sendzimira. Zdecydowano o budowie nowego, satelickiego w stosunku do Krakowa, miasta Nowa Huta, przeznaczonego dla budowniczych i pracowników kombinatu metalurgicznego.

Według początkowych przymiarek miało ono liczyć 60 tys. mieszkańców. Zadaniem opracowania dokumentacji projektowej dla Nowej Huty obarczono specjalnie utworzone w tym celu Centralne Biuro Projektowe ZOR w Warszawie. Jego dyrektor niezwłocznie zorganizował zespół projektowy, złożony głównie z młodych architektów, a generalnym projektantem miasta został on sam. Już w połowie 1949 r. plan urbanistyczny wraz z makietą Nowej Huty przedłożony został Prezydium Rządu do zatwierdzenia, co jednakże nie nastąpiło, gdyż władze centralne zdecydowały wówczas o powiększeniu miasta do 100 tys. mieszkańców. Ptaszycki sprawował funkcję generalnego projektanta Nowej Huty aż do końca realizacji pierwszego etapu budowy, objętego jego projektem, miasta dla 100 tys. mieszkańców, to jest do 1960. Doceniony – jedna z ważniejszych ulic Nowej Huty nosi jego imię.

STANISŁAW JUCHNOWICZ ur. 1923 r. w Lidzie. Działalność zawodową rozpoczął w Gdańsku po użyskaniu dyplomie (1948 r.) zakładając pracownię urbanistyczną w Centralnym Biurze Studiów i Projektów ZOR w celu przygotowania projektu odbudowy Miasta Głównego w Gdańsku. Następnie podjął pracę w Katedrze Planowania Krajowego i Regionalnego na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej, jako asystent-wolontariusz.

Na propozycję Tadeusza Ptaszyckiego Stanisław Juchnowicz, mający wtedy 27 lat, przeniesiony został do Krakowa i dołączył do organizowanego zespołu projektowego dla przygotowań związanych z decyzją budowy Nowej Huty. W zespole tym pracował przez 9 lat zajmując się ostatecznym kształtem koncepcji układu przestrzennego nowego miasta, będąc głównym projektantem kolejno realizowanych zespołów mieszkaniowych oraz dozorując budowę.

Prof. Juchnowicz w swojej autobiografii pisze: „Za najbardziej udane uważam osiedle B2 na około 6.000 mieszkań, które mimo zastosowania w znacznym procencie budynków typowych stwarza dobre warunki życia dla mieszkańców. Było to pierwsze osiedle projektowane przeze mnie w Nowej Hucie przed nasileniem presji w kierunku symetrii i monumentalności”. To on zaprojektował w 1958 r. osiedla w Bieńczycach. Przebywał za granicą w Filadelfii i Nigerii, związany był z Politechniką Krakowską i był dziekanem Wydziału Architektury PK. W roku 2014 został uhonorowany ty-

tułem Honorowego Obywatela Miasta Krakowa. Jako radny i członek Komisji Głównej podejmowałem w tej sprawie decyzję i brałem udział w uroczystej sesji podczas wręczenia tego tytułu.

ZBIGNIEW LORETH ur. 1918 r. w Stanisławowie, zm. 2009 r. w Krakowie. Długoletni dyrektor ds. inwestycji Państwowego Przedsiębiorstwa Wyodrębnionego Budowa Nowej Huty od roku 1952. Spędziłem wiele godzin w jego domu na Woli Justowskiej wysłuchując opowieści o budowie huty i miasta Nowa Huta – efektem były artykuły w „Głosie Tygodnika Nowohuckim”. Wspominał rozmowę z ministrem Hutnictwa Kiejstutem Żemajtisem o tym, jak doszło do decyzji o budowie huty w Polsce, a było to podczas wizyty Bieruta i wspomnianego ministra w Moskwie z wizytą u Stalina. Zawsze podkreślał wysoką jakość wykonywanych prac i znakomite funkcjonowanie huty, i opowiadał, jak woda z Dębni uratowała istnienie huty. Stworzył podwaliny sportu w Nowej Hucie. To on był inicjatorem i zbudował stadion Hutnika na Suchych Strawach do czego wykorzystał zwały ziemi wydobywane przy innych inwestycjach. Był pierwszym prezesem Stowarzyszenia na Rzecz Powstania Muzeum Dzielnicy Nowa Huta i Kombinatu Metalurgicznego. No cóż wyprzedził to, co się stało.

Płk rez. MIECZYŚLAW HEROD, ur. w lutym 1918 r. w Rzeplinie k/Skały, zm. w maju 2018 w Krakowie. Uczestnik kampanii wrześniowej, jako dowódca baterii zniszczył 3 czołgi w Ćwiklicach k/Pszczyny. Walczył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie – w obronie Tobruku i pod Monte Cassino.

Powrócił do Polski, ukończył studia na UJ i podjął pracę w 1950 roku w Przedsiębiorstwie Budownictwa Miejskiego w Nowej Hucie. Brał udział w słynnym biciu rekordu przez brygadę Ożańskiego (16 ludzi w ciągu 8 godzin ułożyło 66 tys. cegieł). Wielokrotnie spotykałem się z płk. Herodem, a mogę powiedzieć, że nawet przyjaźniliśmy się. Posiadam książki z jego wpisami i mogłem poznać bogate archiwum domowe zgromadzone w domu przy ul. Narciarskiej, gdzie przemieszkał większość życia, m.in. kalendarzyki zapisane starannie podczas wojny. Efektem spotkań były artykuły w „Głosie” i *Zeszyty Historyczne* wydane przez Muzeum Czynu Zbrojnego. Wybitna postać, w ub. roku obchodził jubileusz 100-lecia urodzin, podczas którego razem z Janem Franczykiem redaktorem naczelnym „Głosu Tygodnika Nowohuckiego” wręczałem mu tytuł Nowohucianina Roku. Podjąłem starania jako radny o przyznanie mu tytułu Honorowego Obywatela Krakowa, lecz jego śmierć w maju 2018 r. przerwała te procedury.

Gen. bryg. rezerwy TADEUSZ BIENKOWICZ, ps. „Rączy” (ur. 15 kwietnia 1923 r. w Lidzie), uczestnik II wojny światowej, podoficer Armii Krajowej, „żołnierz wyklęty”, ofiara represji stalinowskich. Skazany w 1950 r. na dożywocie, spędził w ciężkim więzieniu we Wronkach kilka lat. Zwolniony na fali odnowy po 1956 roku, ale zrehabilitowany dopiero po 1990 roku. Przeprowadziłem z nim wiele rozmów, a efektem były artykuły w „Głosie” i *Zeszyty Historyczne* m.in. o słynnej akcji odbicia więźniów w Lidzie z rąk Niemców, za co otrzymał Krzyż Virtuti Militari. Mieszkał wiele lat na os. Krakowiaków i jako prezes nowohuckiego Związku Inwalidów Wojennych brał udział w wielu imprezach w Domu

Kombatanta RP w os. Górali. Ostatnio spotkałem go w ubiegłym roku, gdy z ręki prezydenta RP Andrzeja Dudy odebrał nominację na stopień generała. W spotkaniu brał też udział jego przyjaciel, kpt. Franciszek Baryła, prezes nowohuckiego koła Światowego Związku Żołnierzy AK, który zmarł 11 11 2018 r. Jest to dla mnie Człowiek wielkiej klasy i bardzo obiektywnie podchodzi do życia. Z mojej inicjatywy wspierał kampanię wyborczą prezydenta Jacka Majchrowskiego.

JERZY RIDAN (ur. 28 marca 1943 w Bydgoszczy, zm. 2 października 2016 w Krakowie) – polski reżyser, scenarzysta, pedagog, publicysta. Nowohucianin Roku 2008. Autor 60 filmów dokumentalnych m.in. *Róg Marksa i Obrońców Krzyża* o walce o krzyż nowohucki, twórca *Sonaty Marymonckiej* wg Hłaski. Pomysłodawca i współtwórca *Kroniki Nowohuckiej*, dyrektor Maratonów Filmowych Nowohuckich. Ostatni film o Janie Pawle II ukończył jego syn Krzysztof, kontynuujący pasję filmowe ojca. Zналиśmy się od lat i na kilka miesięcy przed jego śmiercią spotkaliśmy się razem u prezydenta Jacka Majchrowskiego, gdzie wstępnie omówiliśmy projekt nakręcenia filmu dokumentalnego o rekordowo długo panującym prezydencie Krakowa, w którym miałem być konsultantem. Niespodziewana śmierć przeżywała te plany.

MIECZYŚLAW GIL ur. 9.01.1944 r w Gacach Stupieckich – polski działacz związkowy, opozycjonista w okresie PRL, poseł na Sejm X i I kadencji, senator VIII kadencji, przewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Od najmłodszych lat związany z Nową Hutą. Tu ukończył w 1963 roku Technikum Mechaniczno-Hutnicze i podjął pracę w hucie na stalowni.

Od 1977 współredagował „Głos Nowej Huty” i siłą rzeczy nasze losy musiały się zetknąć, gdy zostałem redaktorem naczelnym tej gazety. Jednak wtedy Mietek siedział w więzieniu jako działacz podziemnej wówczas Solidarności, ale w roku 1989 przyjmowałem go do pracy w redakcji, co na pewno pamięta. W 1980 roku został rzecznikiem prasowym strajkujących hutników. Prowadził działalność w podziemnej Solidarności, za co przesiedział kilka lat w więzieniu, jak mi opowiadał częściowo w celi śmierci z groźnymi przestępcami.

Uczestnik Okrągłego Stołu i prezes Komisji Robotniczej Hutników NSZZ Solidarność. Wpłynął na moje losy, gdy przy jego pomocy zakładaliśmy 1 kwietnia 1990 roku „Głos Tygodnik Nowohucki”. Wybrany Nowohucianinem Roku w 2012 roku. Senator wybrany z listy PiS w 2011 roku. Nie przedłużył swojego mandatu startując w Krakowie i chociaż wygrał w Nowej Hucie, to nieznacznie przegrał z Jerzym Fedorowiczem wybory w roku 2015 na kolejną IX kadencję.

JERZY FEDOROWICZ (ur. 29 października 1947 w Polanicy-Zdroju) – polski aktor teatralny i filmowy, reżyser teatralny, poeta, poseł na Sejm V, VI i VII kadencji, senator IX kadencji. Od 1989 roku dyrektor Teatru Ludowego. Przygotowany przez niego spektakl *Romeo i Julia* z udziałem nowohuckich punków i skinheadów przejdzie do historii. Opisywałem to niezwykle przedsięwzięcie na łamach „Głosu”. Założył Fundację Teatru Ludowego i zawsze podkreślał rolę Nowej Huty, która odegrała istotną rolę w jego życiu. Obecnie jego dzieło kontynuuje syn Jerzy Fedorowicz junior, zastępca dy-

rektora, a senator Jurek zawsze z sentymentem wraca do Nowej Huty.

DANUTA SZYMOŃSKA wieloletnia dyrektor Ośrodka Kultury im. C.K. Norwida w os. Górali, wcześniej Domu Kultury działającego przy kombinacie metalurgicznym. Nie sposób w krótkim tekście wymienić wszystkie jej zasługi dla Nowej Huty, wskażę trzy: po pierwsze, prowadząc Dom Kultury z filią na os. Złoty Wiek zrealizowała wiele projektów kulturalnych; po drugie, to w placówkach przez nią kierowanych bardzo dużo uwagi poświęcała ekologii i m.in. takie projekty jak Ogródki przez domem, czy Prącza Krakowa są do dzisiaj kontynuowane; po trzecie, potrafiła wykorzystać nowe szanse jaką dawały fundusze Unii Europejskiej. Ukoronowaniem była koordynacja projektu „Nowa Huta - Nowa Szansa”, która doprowadziła do budowy Ogrodu Doświadczeń im. Stanisława Lema przy al. Pokoju. Pamiętam jak ten projekt narodził się także w mojej głowie podczas wyjazdu do Norymbergi, gdzie oglądając taki ogród zamarzyło mi się, aby powstał w Krakowie i dzięki Danucie Szymońskiej i prezydentowi Jackowi Majchrowskiemu udało się ten projekt zrealizować.

STANISŁAWA URBANIAK, wieloletnia dyrektor placówki oświatowej Pracowników Służb Społecznych im. Brata Alberta w os. Stalowym w Nowej Hucie. Wykształciła tysiące absolwentów pracujących w placówkach opieki społecznej w Polsce. Byłem w tej szkole wykładowcą prawa i wspominam to pięknie.

Moja pani dyrektor od lat była związana z Nową Hutą i mieszkała w os. Niepodległości, gdzie byliśmy sąsiadami. W roku 2002 została wybrana radną Miasta Krakowa, ale prezydent Jacek Majchrowski zaproponował jej funkcję wiceprezydenta miasta ds. oświaty, którą wykonywała znakomicie przez cztery lata, a ja, zajmując za nią miejsce w wyborach do rady miasta, zostałem radnym miasta po raz pierwszy. Wybrana Nowohucianką Roku w 2004 roku.

JACEK MAJCHROWSKI, prezydent miasta Krakowa od 2002 roku, każde kolejne wybory wygrywał z wieloma godnymi rywalami. Jednak wtedy, w 2002, po raz pierwszy odbyły się wybory bezpośrednie, a jego rywalami w pierwszej turze byli Zbigniew Ziobro i Jan Maria Rokita, z którymi wygrał, ale przegrał w pierwszej turze z Józefem Lassotą stosunkiem głosów 46 546 do 42 377. W drugiej decydującej turze wygrał z Lassotą o niecały 1 proc. czyli uzyskując o 1421 więcej głosów. Zawdzięczał to w dużej mierze mieszkańcom Nowej Huty, gdzie zyskał wówczas wyjątkowo dobry wynik.

Do dzisiaj spląca dług wobec jej mieszkańców. To dzięki niemu w tej części Krakowa zrealizowano wiele inwestycji w oświacie, kulturze, sporcie, i infrastrukturze komunalnej. Hala Tauron Arena jest tego niepowtarzalnym przykładem. Powstała spółka Nowa Huta Przyszłości, która zamierza we wschodniej części Krakowa doprowadzić do utworzenia nowoczesnych firm dających miejsca pracy, terenów rekreacyjnych oraz mieszkań w niskiej zabudowie.

ANDRZEJ KURZ

JESTEM NIEPOPRAWNYM DZIECKIEM SZCZĘŚCIA

(70 lat obecności w życiu publicznym Krakowa)

Dziękuję Wam, Przyjaciele, że zechcieliście spędzić ze mną kilka chwil za przyczyną takiego dziwnego, ale prawdziwego jubileuszu.

Nasz prezes Paweł Sękowski, dokonał powitań. Pozwólcie teraz poczynić przed Wami parę wyznań intymnych o moich związkach z Krakowem, o moim dożywotnim związku z Krakowem.

Kiedy w 1938 r. zmarła nasza matka, wzięły nas (mnie i młodszą o 3 lata siostrę) oddzielnie na wychowanie dwie siostry matki – mieszkające od kilku lat w Krakowie. Mnie – siostra Jadwiga z mężem Michałem Wójcickim, profesorem UJ, bezdzietne małżeństwo, które traktowało mnie odtąd jak własnego jedynaka.

Ale matka nasza i jej siostry były rodowitymi lwowiankami. Lwowianką z dziada pradziada była też przybyła do Krakowa po wojnie najważniejsza i najpiękniejsza postać mojego życia – Zofia. Z nią jeszcze jako studenci polonistyki postanowiliśmy – pierwszego maja roku 1953 – iść razem przez życie. I szliśmy lat 50 i 3 dni. Aż do chwili, kiedy Moja Pani Profesor spoczęła na Rakowickim cmentarzu. Czeka tam na mnie już od 16 lat.

Sam zaś jestem krakowianinem od pierwszej klasy szkoły powszechnej – jeszcze przedwojennej „Ćwiczeńiówki”.

A świadomym obywatelem Krakowa poczułem się już w moim „Nowodworku”, do którego chodziłem od pierwszej, powojennej, klasy aż do matury. W tych też latach zbuntowany przeciw endekoidalnemu środowi-

sku przeżyłem moje niebo w płomieniach – stałem się socjalistą i ateistą na całe życie.

A przemądrzałem skłonny zawsze do przewodzenia byłem od maleńkości. Miałem cztery lata, kiedy śmiertelnie chora matka nauczyła mnie czytać – na gazecie. A w moim domu nauczycieli na poznańskiej wsi czytywało się krakowskiego IKaCa. I w tym domu moim światem stała się książka. Wtedy też poczułem się odpowiedzialny za drugiego człowieka – najpierw za matłą siostrę. Usiłowałem być opiekuńczy, ale już wtedy paskudnie autorytarny.

W „Nowodworku” już przewodziłem na całego: w harcerstwie, w gimnazjalnym klubie sportowym „Nałęcz”, który współzakładałem, w samorządzie szkolnym, któremu przewodniczyłem. Ale wbrew temu, co się opowiada i pisze – nie byłem tam przewodniczącym ZMP. Bowiem lider szkolnego OM TUR, socjalista – Jan Güntner uznawał mnie za niegodnego przyjęcia nie tylko do OM TUR, ale nawet, w 1948 r., do ZMP. Z powodu niewłaściwych poglądów.

A ja już w 1947 r. w ośrodku OM TUR byłem słuchaczem wykładów Juliana Hochfelda o polskiej drodze do socjalizmu, czytałem Adama Schaffa i kłóciłem się z księdzem. Więc wstąpiłem do ZMP dopiero w 1949 r. i to do miejskiego koła ZMP. Zostałem aktywistą zarządu miejskiego i wojewódzkiego – ale w dziedzinie sportu. Bo był im potrzebny facet, który znał się na sporcie, a ja byłem namiętym sportowcem i nawet raz wstawiono mnie do reprezentacji B

Krakowa w koszykówce na mecz z reprezentacją A. Zdobyłem nawet jeden punkt, co odnotowało „Echo Krakowa”.

Parę miesięcy przed maturą zacząłem (nielegalnie) pracować zarobkowo – też w sporcie, a od wakacji 1950 r. już legalnie, jako instruktor koszykówki w Młodzieżowym Domu Kultury, czyli dawnej YMCA na Krowoderskiej. Tam też wstąpiłem do partii.

Na drugim roku polonistyki, którą zacząłem w 1950 r., nasz wykładowca Marek Waldenberg zaproponował mi pracę zastępcy asystenta w Katerze Podstaw Marksizmu UJ. Przygotowywałem się i odbywałem zajęcia z marksizmu-leninizmu od rana do nocy, korzystając na mojej polonistyce z lektur już przeczytanych wcześniej. A na studia magisterskie Waldenberg przekazał mnie Andrzejowi Werblanowi na Wydział Historii na Uniwersytecie Warszawskim. Ten zaś następnie, na studia doktoranckie z historii powszechnej, oddał mnie (wtedy nazywano nas aspirantami) pod opiekę Schaffa, rektora Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR. Byłem tam najmłodszym doktorantem wśród Kołakowskich, Baczków, Brusów, Szackich, Łaskich, Madajczyków, Kuzińskich, Jagielskich i innych najzdolniejszych pretorian reżimu, popadłych wkrótce z reguły w rewizjonizm. W Październiku '56 wybrano mnie I na sekretarza Komitetu Partyjnego INS, a gardłowałem za Gomułką i polską drogą do socjalizmu.

Ponieważ byłem od zawsze związany z książką, więc Schaff umyślił sobie przygotować mnie do kierowania ruchem wydawniczym. Ale na staż zagraniczny wyprosiłem, aby nie posyłali mnie do Stanów Zjednoczonych, lecz do Francji, której język i kulturę znałem lepiej. I rok akademicki 1957/58 spędziłem na studiach europeistyki we Francji, gdzie zetknąłem się z najwybitniejszym socjologiem partii politycznych – Mauricem Duvergerem. Wtedy zacząłem szukać własnej odpowiedzi, czym jest naprawdę i jak funkcjonuje partia polityczna w Polsce.

Więc, kiedy wróciłem z Francji, Schaff powiedział mi w pierwszej minucie rozmowy: potrzebują cię do pracy przy nowym statucie i nowym programie partii. Będziesz pomocnikiem numeru dwa w partii – Romana Zambrowskiego, który przygotowuje nowe projekty dokumentów na III Zjazd.

I wpadłem, przemądrzały a kompletnie naiwny, w kotioł walk grupowych, znieprawdopodobny już na starcie przez przeciwników Października.

Ale moje i żony ciążenie ku Krakowowi spowodowało, że po trzech latach pracy w KC Zambrowski z Józefem Cyrankiewiczem zdecydowali postać mnie do pomocy Lucjanowi Motyce w Krakowie. To był wspaniały, mądry działacz socjalistyczny, robotnik z duszą i talentem artysty. Zostałem powołany na I sekretarza Krakowskiego Komitetu Miejskiego PZPR. Ale kiedy pod koniec roku 1964 Motykę z Krakowa odwołano na ministra kultury, komitet miejski został po prostu zlikwidowany – ku satysfakcji betonu w partii i bezpiece. Ale nikt już nie był w stanie odwołać Krakowa jako mojego domu.

Uratowali mnie od wykończenia przyjaciele z Wydziału Organizacyjnego KC, zabierając do Warszawy na uczonego interpretatora spraw statutowych, z misją stworzenia katedry teorii i funkcjonowania partii na



Fot. Andrzej Głuc

Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR. Ale na wszelki wypadek pozwolili mi także zatrudnić na drugim etapie, jako kierownika międzyuczelnianego studium nauk społecznych wyższych szkół artystycznych, w Warszawskiej Wyższej Szkole Teatralnej. Tam zostałem docentem.

Ci przyjaciele z KC, a nazywali się Edward Babiuch i Kazimierz Barcikowski, nie pozwolili też napaść na mnie w marcu 1968 jako na starego „Zambrowszcza-ka”. Mimo że dzielny partyzant, płk. Lipka z Krakowa wybadał pracowicie, że w parafii w Białej Krakowskiej jest moja metryka chrztu, w parafii w Oświęcimiu metryka mojego ojca – Stanisława, a w parafii w Żywcu mojego dziadka – Karola, to ujawnił też, że dziadek był „zapisany” w parafii jako von Kurz, a w dodatku moja matka była z domu Sas Terlecka. Co znaczyło, że raso-wo byłem w porządku, ale klasowo niedobrze.

Chwilowo miałem dosyć zawodowego zajmowania się polityką i poprosiłem o pozwolenie powrotu do domu, czyli Krakowa. Nie było jednak na to zgody ani krakowskiej władzy partyjnej, ani Zenona Kliszki – po Zambrowskim nowego numeru 2 w partii. Dopiero grudnia zmiana polityczna roku 1970 spowodowała, że Babiuch, już jako nowy członek Biura Politycznego i sekretarz KC, skierował mnie na nieobsadzone od pół roku stanowisko dyrektora i redaktora naczelnego Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. I tak wróciłem na dobre do miasta, a przy okazji i na krakowskie uczelnie artystyczne.

A Józef Klasa, nowy w Krakowie pierwszy sekretarz wciągnął mnie do zespołu kierującego sprawami krakowskiej kultury, nauki i oświaty, zaproponował

kandydowanie na miejskiego radnego i wiceprzewodniczącego Rady. Potem także polecił pomóc Tadeuszowi Hołujowi w tworzeniu „Kuźnicy”. A Barcikowski, który nastał w Krakowie jako I sekretarz i słuchał czasem moich rad, (ale tylko trochę) zaangażował mnie przy tworzeniu Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Potem jeszcze zostałem wybrany zupełnie niepapierowym przewodniczącym Rady Miasta – w okresie wielkiej zmiany lat 1980-81.

Jednak Stanisław Kania, nowy nr 1 w partii, umyślił sobie, że mu się nadam do współpracy z Mieczysławem Rakowskim, Barcikowskim i Hieronimem Kubiakiem w Warszawie przy wprowadzaniu w Polsce liberalnych zmian i zaproponował mi (in extremis) robotę prezesa Telewizji Polskiej, ale przy oficjalnym sprzeciwie szefa służb bezpieczeństwa, Milewskiego. Więc wraz z nastaniem stanu wojennego zaczęło się ze mną dziać źle. Byłem pół roku bez roboty, bo nowi krakowscy władcy nie chcieli mojego powrotu do domu. Ale jeszcze raz Barcikowski zadziałał i wróciłem do Krakowa, do Wydawnictwa Literackiego i Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej.

Mogłem kontynuować stare i podejmować nowe inicjatywy edytorskie – jak dawniej, bez niczych nakazów. Wiele z nich powstało z poczucia obowiązku wobec mojego miasta. Np. przy współpracy znakomitej redaktorki Marii Rydlowej podjąłem wielką serię Cracovianów, zainicjowałem i wydałem pierwsze cztery tomy *Dziejów Krakowa*, próbowałem z niemałym trudem dokumentować życie Krakowa coroczną *Kroniką* i dziesiątki innych. A już po odejściu z WL wydałem przy współpracy z profesorami Janem Mateckim i Jerzym Wyrozumskim obszerną *Kronikę Krakowa od prehistorii do r. 2000*. Nie udało mi się tylko do dziś, choć bardzo tego chciałem, doprowadzić do zbiorowego opracowania *Dziejów krakowskich Żydów*.

W sumie tych dwadzieścia kilka lat kierowania WL wraz z wyborem na przewodniczącego Polskiego Stowarzyszenia Polskich Wydawców Książek było najlepszym czasem mego życia. Podjąłem wtedy decyzję o publikacji ponad 3,5 tys. tytułów literatury polskiej i światowej. Wiele z nich uznano za edytorskie wydarzenie. Jakoś dawałem sobie radę z cenzurą, szukając sojuszników wśród mądrych polityków. Na przykład wydanie zebranych pism Gombrowicza kosztowało wiele lat zabiegów – ostateczną decyzję podjął Wojciech Jaruzelski za radą Hieronima Kubiaka. W tym właśnie momencie wydawcy wygrali wojnę z cenzurą. Stało się to jeszcze w latach PRL. Na majowych Targach Książki w r. 1989 wystawiono bez cenzury publikacje wydawców krajowych, emigracyjnych i „drugiego obiegu”. W najlepszych z moich lat wydawniczych ukazywało się 8 milionów egzemplarzy książek z sygnetem WL. Dziś o takich nakładach można tylko marzyć.

Moje przygody z władzą i z polską polityką kulturalną miały przedziwne zakończenie. W sierpniu 1989 r. wezwał mnie z urlopu – spędzanego razem w Panią Profesor na Podlasiu – sekretarz KC PZPR. Skąd inąd nasz stary od czasu studiów polonistycznych na UJ przyjaciel, prof. Marian Stępień. W trybie natychmiastowym (przystał samochód służbowy) zaproponował mi objęcie stanowiska ministra kultury i sztuki w rządzie z kandydatem-premierem Czesławem Kiszczakiem.

Zrozumiałem, że zapewne nadziei na sformowanie rządu nie ma powołany już na premiera sam Kiszczak, skoro nie zajmuje się rozmową z kandydatem, którego nigdy nie widział. Ale wyraziłem zgodę na propozycję mojej partii. Marian Stępień wyznał mi przy okazji, że pierwszym kandydatem na urząd ministra kultury (a równocześnie na stanowisko wicepremiera) był prof. Aleksander Gieysztor. Później złożono propozycję jeszcze kilku kandydatom bezpartyjnym, z którymi oczywiście rozmawiał sam wybrany na premiera.

Z telewizji dowiedzieliśmy się wkrótce o wyborze Tadeusza Mazowieckiego i z radością wyjechaliśmy z żoną na dodatkowe wakacje, zaproszeni przez czeskich literatów. To były najpiękniejsze dwa tygodnie w naszym życiu, spędzone na niekończących się wędrowkach po cudownych miastach i miasteczkach południowych Czech. Byliśmy jedynymi w tym ośrodku nie mającymi samochodu, a ponieważ nie zawsze zdążaliśmy na liniowe autobusy, więc wędrowaliśmy pieszo nieraz do późnej nocy. Jednej z takich nocy, z uchem przy słabo słyszalnym radyjku – z Polskiego Radia dowiedziałem się, że ministrem kultury została zaprzyjaźniona z „Kuźnicą” Iza Cywińska. I to ona pozwoliła mi wkrótce w spokoju odejść z pracy w WL i na PWST – na wcześniejszą emeryturę. A jeszcze przez kilka lat pełnił społecznie funkcję prezesa polskich wydawców i zajmowałem się ratowaniem pracy ludzi polskiego ruchu wydawniczego, tak podziwianego w całym świecie.

Żaś prezydent Rzeczypospolitej Aleksander Kwaśniewski powołał mnie jako rzeńskiego emeryta na swojego doradcę i do współkierowania Społecznym Komitetem Odnowy Zabytków Krakowa. A mieszkańcy Krakowa wybrali mnie na radnego do małopolskiego sejmiku na całą kadencję, którą otwierałem jako przewodniczący senior.

Moja „Kuźnica” przez 11 lat wybierała mnie na swojego wiceprezesa i przez 10 lat na prezesa. Miałem w niej szczęście współpracować z niezwykłymi ludźmi i z tak pięknymi indywidualnościami prezesów jak Hieronim Kubiak, Andrzej Urbańczyk i Jerzy Hausner, a Paweł Sękowski toleruje mnie do dziś jako osobliwość biologiczną – prezesa seniora. Mogę zaś funkcjonować tak długo tylko dzięki przyjaznej pomocy i ofiarności tej, której mądrość, przenikliwość i rola rosty wraz z „Kuźnicą” i dla „Kuźnicy” – Ewy Wasil.

I choć z zakończeniem 10-letniej kadencji Aleksandra Kwaśniewskiego „nowa zmiana” z trudem tolerowała moje w SKOZK działania, a pewien brzydki znawca Platona uznał wręcz, że trzeba się mnie z odnowy Krakowa siłą pozbyć, to Franciszek Ziejka znalazł dla mnie w SKOZK rolę cichego eksperta.

Okazuje się też, że mogę nadal w zdrowiu poruszać się na trasie Kraków – Warszawa (robię to już przez prawie 66 lat, w pociągu przesiedziłem prawie 2 lata) i nie muszę chronić się przed beznadzieją tylko w moim paryskim azylu wydawniczo-sentymentalnym.

A przede wszystkim mam w Krakowie Was, Przyjaciele. I dzięki temu wchodzę na ostatnią prostą z poczuciem, że choć jestem dzieckiem okrutnej wojny, które doznało niewoli i niedostatku, jestem także niepoprawnym dzieckiem szczęścia.

LECH MICHAŁ ROŚCISZEWSKI – LAUREATEM „KUŹNICY”

W dniu 28 marca b.r. w budynku Jewish Community Centre w Krakowie przy ul. Miodowej 24 odbyła się uroczystość wręczenia Honorowej Nagrody Kowadła „Kuźnicy” prof. Lechowi Michałowi Rościszewskiemu

- żołnierzowi Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, Kedywu AK, Batalionu Skała AK, odznaczonemu Krzyżem Walecznych i Medalem Wojska;
- Sprawiedliwemu Wśród Narodów Świata z posadzoną drzewkiem w Yad Vashem w Jerozolimie;
- człowiekowi lewicy, wiernemu jej ideałom i aktywnemu w życiu społeczno-politycznym Polski Ludowej, do dzisiaj aktywnemu członkowi „Kuźnicy”;
- człowiekowi nauki oraz praktykowi w dziedzinie architektury i urbanistyki.

W uroczystości uczestniczyli licznie członkowie i sympatycy „Kuźnicy”, członkowie i sympatycy JCC Kraków, grono Ocalonych z Zagłady. Była również obecna najbliższa rodzina Laureata, w tym jego siostra – Janina Rościszewska-Krawczyk, która także posiada odznaczenie Sprawiedliwej Wśród Narodów Świata.

Uroczystość otworzył gospodarz miejsca Jonathan Ornstein, dyrektor JCC Kraków, który powitał obecnych dostojnych gości oraz wszystkich zebranych. Następnie głos zabrał prezes „Kuźnicy”, dr Paweł Sękowski, który w paru słowach scharakteryzował „Kuźnicę” i przyznawaną przez Stowarzyszenie Nagrodę Kowadła oraz uzasadnił – słuszną w jedynomyślnym przekonaniu Rady „Kuźnicy” – uchwałę o nadaniu wyróżnienia prof. Lechowi Michałowi Rościszewskiemu. Prezes „Kuźnicy” zwrócił również uwagę na wymowę faktu, że uroczystość odbywa się w gmachu Jewish Community Centre – co symbolizuje nie tylko związek z dziedzictwem żydowskim, ale przede wszystkim związek z wciąż aktywnym życiem żydowskim w Krakowie.

Głos zabrali goście uroczystości:

- Anna Okońska-Walkowicz, pełnomocnik Prezydenta Miasta Krakowa – w imieniu prezydenta, prof. Jacka Majchrowskiego;



Fot. Andrzej Gluc

- Anna Wojtalik, przedstawicielka Biura Rzecznika Praw Obywatelskich – w imieniu rzecznika, dr. Adama Bodnara;

- dr Michael Groß, konsul generalny Republiki Federalnej Niemiec w Krakowie.

W uroczystości uczestniczył ponadto m.in. Frédéric de Touchet, konsul generalny Republiki Francuskiej w Krakowie.

Po oficjalnych powitaniach i gratulacjach nastąpiła część artystyczna wydarzenia: trzy utwory – dwa w ję-

zyku hebrajskim i jeden w jidysz – wykonał Chór JCC przy akompaniamencie Walentyna Dubrowskiego.

Laudację ku czci Laureata wygłosił Jan Güntner, wieloletni przyjaciel prof. Rościszewskiego, jeszcze z lat wspólnej działalności w młodzieżowej organizacji socjalistycznej OM TUR po drugiej wojnie światowej i aż po rok bieżący w „Kuźnicy”. Laudator tak rozpoczął swoje wystąpienie:

„Z dokumentów Koła Byłych Żołnierzy Armii Krajowej w Londynie [adres, liczba dzienna, data, wyciąg z akt personalnych]. ZAŚWIADCZENIE WERYFIKACYJNE: Rościszewski Lech ur. 11.08 1925 we wsi Smardzewo pow. Ciechanów, syn Lecha i Joanny; sierżant AK; pseudonim Janosik. Przydział Okręg AK Kraków – odbył służbę wojskową w szeregach ZWZ-AK; zaprzysiężony w Krakowie; Pprzydzielony do Placówki »Zbigniew« w Krakowie; ukończył Kurs Niższych Dowódców, prowadził »Mały Sabotaż«. Zagrożony aresztowaniem przeniesiony na prowincję – Grupa do Specjalnych Zadań: ŻELBET KEDYW; czynny udział w akcji »Burza«. Przydzielony do Samodzielnego Baonu Partyzanckiego »Skała«; brał udział we wszystkich walkach Batalionu aż do wkroczenia wojsk sowieckich. Odznaczenia: Krzyż Walecznych; Medal Wojska – (-) podpis, [pieczęć okrągła podpis nieczytelny] GŁÓWNA KOMISJA WERYFIKACYJNA AK”.

Lech Michał Rościszewski po wojnie podjął pracę zawodową. Zdał maturę, studiował równocześnie na Wydziale Architektury PK i socjologię na UJ. Architekt i urbanista, profesor Politechniki w Gliwicach, wykładowca wielu uczelni technicznych w kraju i zagranicą. Stary polski ród szlachecki herbu Junosza. Od wsi Rościszewo nad rzeką Skawą, prawobrzeżnym, dopływem Wisły wzięli nazwisko. Z tego rodu od XIII w. – do upadku Pierwszej Rzeczypospolitej wywodzi się siedmiu senatorów, kilkudziesięciu posłów na sejmy, liczni wojskowi, duchowni i co jest wśród polskich rodów szlacheckich rzadkie, ponad dwudziestu Rościszewskich posiadało akademickie wykształcenie”.

Jan Güntner kontynuował:

„Dr Janina Rościszewska-Krawczyk, siostra Laureata, kronikarka rodu wspomina: – Podlegaliśmy gminie Wielka Wieś. Nic dziwnego, że »Szaniec« wkrótce zapełnił się kolejnymi uciekinierami. Wszystko zaczęło się od dr. Bierzyńskiego, spolszczonego Żyda z Zabierzowa, który był rejonowym lekarzem. Latem czterdziestego roku zwrócił się do rodziców z prośbą o schronienie. Przyjęli go wraz z żoną i dwójką dzieci, i jego krewnymi braćmi Eichhorn z Poznania chroniącymi swoje najcenniejsze rzeczy. Jeden z nich był sędzią, towarzyszyła mu przyjaciółka Anna, drugi chwalił się swoją srebrną szablą, którą miał wręczyć mu osobiście cesarz Franciszek Józef. W »Szańcu« schronili się pani Wagnerowa z dwuletnim synkiem Pawłem, pani Schreiber z córką i pani Berggrün z dwiema córkami. Jedną z jej córek, pani Rederowa była wdową po właścicielu apteki na Karmelickiej w Krakowie. Pieszko z Rudawy przyszła młoda kobieta z córeczką Ewą, posiadająca dokumenty na nazwisko Dukat, ale faktycznie nazywająca się Schenberg – wylicza pani Janina.

„Rodzice uważali, że dopóki wszyscy się mieścimy, nasze drzwi dla każdego potrzebującego są otwarte. Dla

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

LECHOWI MICHAŁOWI ROŚCISZEWSKIEMU

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu:

- ▶ *Jego życiorysu, godnego szacunku niezależnie od bieżącej wykładni państwowej „polityki historycznej”;*
- ▶ *Jego walki o wolną Polskę z okupantem niemieckim w szeregach Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej;*
- ▶ *Jego odwagi w niesieniu pomocy ofiarom zbrodniczej polityki okupanta niemieckiego wobec Żydów, za którą został odznaczony tytułem Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata;*
- ▶ *Jego aktywnego uczestnictwa w życiu społeczno-politycznym i akademickim w Polsce Ludowej.*

Kraków, 28 marca 2019 r.



Fot. Andrzej Głuc

Prezes „Kuźnicy” Paweł Sękowski, Laureat oraz dyrektor JCC w Krakowie, Jonathan Ornstein

Rościszewskich pomoc bliźniemu w potrzebie, a szczególnie w sytuacji zagrożenia życia, była sprawą oczywistą, niepodlegającą dyskusji – niepisana umowa z miejscową ludnością i sołtysiem dawała lokatorom Rościszewskich czas na ucieczkę. Zawsze ktoś zdążył ich ostrzec.

– Dopóki Niemcy »meldowali« się najpierw w sołectwie, system działał dobrze. Kiedyś Niemcy ominęli sołtysa i ruszyli prosto do nas. Pan Bierzyński porwał syna i córkę do lasu, zdążyli uciec. Niektóre panie zostały, m.in. Wagnerowa z dwuletnim Pawłem. Nie ruszył się też jeden z braci Eichhorn, który uważał, że ponieważ posiada wysokie cesarskie odznaczenie, jest bezpieczny – opowiada Janina Rościszewska-Krawczyk. – Niemcy starannie przeszukali pokoje. Zabrali wszystko, a pozostałych, w tym matkę Pawła, aresztowali. Po latach okazało się, że nie wywieźli ich daleko. Zostali zamordowani w okolicach Krzeszowic i pochowani w zbiorowym grobie.

Tak było do zimy 1946 roku, gdy po małego Pawła Wagnera, który nadal nosił swoje nazwisko, zgłosili się przedstawiciele organizacji żydowskiej. Mieli upoważnienie Józefa Wagnera, ojca Pawła, który, jak się okazało, tuż przed wojną wyemigrował do Izraela. Dla obu stron rozstanie było bolesnym przeżyciem. Po pewnym czasie otrzymali wiadomość, że Paweł dotarł do ojca, ale aż do 1989 roku nie wiedzieli, co się z nim dalej działo. Paweł nie dostał ani jednego listu wysłanego przez nich z Polski. Dopiero po śmierci ojca jego druga żona przekazała swojemu pasierbowi listy i wszystko co, przysłano mu z Polski. Wtedy skontaktował się ze swoimi opiekunami i przyjechał. Jemu rodzina Rościszewskich zawdzięcza medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, który Lech Marian Rościszewski zdołał jeszcze osobiście odebrać w 1990 roku. Po śmierci rodziców w 1994 roku pani Janina i Michał Lech pojechali do Izraela, aby w ich i swoim imieniu zasadzić drzewko na jednym ze zboczy Jerozolimy.

Po laudacji nadszedł czas na wręczenie Kowadła prof. Lechowi Michałowi Rościszewskiemu. Prezes

„Kuźnicy” Paweł Sękowski, zgodnie z kuźniczańską tradycją, trzykrotnie uderzył młotem w kowadło, a następnie odczytał uzasadnienie nadania wyróżnienia Laureatowi (uzasadnienie na s. 121).

Prof. Rościszewski podziękował za wyróżnienie, a następnie we wzruszających, ale także bardzo konkretnych słowach opisał swoją drogę życiową i zasady, którymi się kierował kolejno jako potomek gorliwej katolickiej rodziny ziemiańskiej, następnie żołnierz antyhitlerowskiego podziemia, ratujący wraz ze swoimi rodzicami i rodzeństwem Żydów w mrocznych latach Zagłady, ponieważ „tak po prostu się godziło czynić”, wreszcie jako ukształtowany już człowiek wierzący w ideę socjalizmu i wartości lewicowe.

Na koniec tradycyjnie głos zabrać mógł każdy uczestnik uroczystości. Skorzystali z tej możliwości dwaj Kuźniczanie: prof. Marian Stępień oraz – świetnie puentując całą uroczystość – Jerzy Rościszewski, młodszy brat Laureata, który odwołał się do postaci z kolei swojego (i Laureata) młodszego brata, „Pawła Rościszewskiego”, czyli wspomnianego Pawła Wagnera.

Organizację wydarzenia wsparła finansowo Fundacja im. Róży Luksemburg. (P.S.)

*

„Kuźnica” zdążyła uhonorować Lecha Michała Rościszewskiego w ostatnim momencie. Dokładnie miesiąc później, 28 kwietnia 2019 r., Laureat zmarł w Krakowie w wieku 94 lat. Po raz ostatni uczestniczył w spotkaniu „Kuźnicy” 9 kwietnia, kiedy to podczas spotkania z dr hab. Michałem Bohunem na temat polskich badań nad myślą rosyjską zabrał głos w dyskusji i przedstawił imponującą, „autor-ską” syntezę historii stosunków polsko-rosyjskich od czasów nowożytnych aż do połowy XX wieku.

Żegnaj Profesorze!

KRYSTYN DĄBROWA

W SPRAWIE „PISMA”

(z mojego notatnika)*

9 kwietnia 1982 r. O godz. 12 przyszła, zapowiedziana wcześniej, delegacja w sprawie miesięcznika „Pismo”. W skład delegacji wchodził: Wisława Szymborska, Stanisław Lem, profesorowie Jan Błoński (prorektor UJ), Henryk Markiewicz (członek PAN, jedyny członek PZPR wśród gości) i Antoni Podraza (historyk, członek władz naczelnych ZSL i poseł na Sejm). Po moim powitaniu gości, zagała pani **Wisława Szymborska**. Wyrzuciła obawę czy Warszawa zechce >odwiesić< „Pismo”. Podejrzewamy – mówiła – że chce się je w ogóle zlikwidować. A przecież intelektualne środowisko Krakowa tak długo o nie walczyło. Prosiła o interwencję, bo jest to nadal periodyk potrzebny. – Słyszymy, że myśli się o daleko idących zmianach w składzie zespołu redakcyjnego. Być może, iż pewnych zmian można dokonać. Nie jest jednak obojętne, jakie to miałyby być zmiany. Bardzo liczymy na pomoc Komitetu Krakowskiego, który również był rzecznikiem powstania tego periodyku i który ma zrozumienie dla potrzeb środowiska.

Następnie zabrał głos **Stanisław Lem**. Przekonywał, że „Pismo” politycznie jest – jak się wyraził – >grysiem na mleczku<. Dotychczasowe numery były przyzwoite. Może niezbyt kwalifikowana była ekspertyza „Pisma”. **Prof. Antoni Podraza** potwierdzał, że „Pismo” jest potrzebne środowisku intelektualnemu. Sytuacja polityczna w kraju rzutowała na nie mniej niż na inne czasopisma. Dobór autorów był może nie

najszczęśliwszy, ale to nie było zamierzone. Jeśli konieczne byłyby zmiany personalne, to jest to wprawdzie sprawa niełatwa, ale proponowałby rozważyć rekonstrukcję redakcji w ten sposób, by do składu dotychczasowego dołączyć profesorów Krawczuka, Markiewicza i – jak proponowali w liście do mnie – jego samego. **Prof. Jan Błoński** przekazał poparcie dla tej inicjatywy rektora UJ, prof. Gierowskiego. Wiedział, że dla mnie jest to ważne poparcie. Zauważył, że pojawiający się zarzut o publikowanie w tym czasopiśmie autorów – jak się wyraził – „bezdebitowych”, to w skomplikowanych warunkach politycznych, jakie istniały, było praktyką znacznie szerszą, praktykowaną także w innych czasopismach. **Prof. Henryk Markiewicz** (jedyny członek PZPR wśród moich gości) potwierdził, że jego zdaniem, „Pismo” było ważnym, potrzebnym i dobrym wydawnictwem. Liczy na możliwie szybkie jego „odwieszenie”.

Pani Szymborska na zakończenie powiedziała, że nawet po zmianach personalnych nie może to być czasopismo zaściankowe, ale jednocześnie powinno pozostać krakowskie.

Byłem w bardzo trudnej sytuacji. „Pismo” znałem. Powstało w 1981 roku (pierwszy numer w marcu 1981 r.) z inicjatywy i na skutek starań środowiska kulturalnego Krakowa przy aktywnym wsparciu tej inicjatywy przez Komitet Krakowski PZPR (zajmowali się tym szczególnie kolejni sekretarze propagandy Komitetu: Jan Grzelak i Jan Broniek). Pomagali „nasi ludzie” w KC: Józef Klasa (wówczas kierownik Wydziału Prasy oraz Zbigniew Regucki, wówczas kierownik Kancelarii I Sekretarza KC. Po wydaniu siedmiu numerów „Pismo” zostało zawieszona, ale nie była to decyzja dotycząca jego indywidualnie, lecz skutek wprowadzenia 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego, który tak właśnie potraktował całą prasę poza „Trybuną Ludu” i „Żołnierzem

* Autor, I sekretarz Komitetu Krakowskiego PZPR w „karnawale Solidarności” i początkach stanu wojennego, prowadził zapiski w swoim „notatniku”. W związku z publikacjami na temat burzliwych dziejów krakowskiego miesięcznika „Pismo”, wychodzącego w tym czasie, przedstawiamy wersję Autora, reprezentującego wówczas dysponenta politycznego.

Wolności” oraz po jednym w województwie terenowym dzienniku partyjnym.

Z decyzjami o „zawieszeniu” i „odwieszaniu” czasopism i gazet partyjne władze województw nie miały nic wspólnego. To było w gestii warszawskiej centrali, a ściślej – decydował o tym członek Biura Politycznego, sekretarz KC Stefan Olszowski. Jest natomiast prawdą, że pod naciskiem środowisk, w tym przypadku środowiska kulturalnego Krakowa i kierując się chęcią przynajmniej lokalnego rozluźnienia rygorów stanu wojennego, sprzyjaliśmy i wspieraliśmy społeczne żądania „odwieszania” czasopism. Dotyczyło to także „Pisma”, w sprawie którego petycję skierowaną do I sekretarza Komitetu Krakowskiego wysłało około 60 najbardziej prominentnych ludzi kultury. Taką petycję otrzymałem w ostatnich dniach marca 1982 r. Sygnatariusze tej petycji wyrażali „zaniepokojenie środowisk literackich i humanistycznych Krakowa z powodu przeciągającego się zawieszenia funkcjonowania *PISMA*”. Pisali o walorach czasopisma, jego znaczeniu nie tylko dla Krakowa, ale dla kultury w ogóle. Podkreślając potrzebę utrzymania obecnego zespołu redakcyjnego nie wykluczali możliwości jego uzupełnienia i wskazywali, że nowymi członkami redakcji mogliby zostać profesorowie Aleksander Krawczuk, Henryk Markiewicz i Antoni Podraza. W końcówce zwracali się do mnie: „Prosimy Pana uprzejmie, licząc na Jego życzliwość, o podjęcie działań w tym kierunku i o powiadomienie o naszym stanowisku kompetentnych władz”. I następowały podpisy m.in. S.Lema, T.Kantora, M.Skwarnickiego, A.Zagajewskiego, J.Kurka, M.Porębskiego, M.Rostworowskiego i kilkudziesięciu niemniej znanych osób.

Znałem skład redakcji i sporo dowiedziałem się już o ludziach ją tworzących. Naczelnym redaktorem był Jan Pieszcachowicz, członek PZPR, zastępcami Kornel Filipowicz i Jerzy Kwiatkowski, sekretarzem Tadeusz Nyczek. W pierwszym numerze, który ukazał się w marcu 1981 roku, były pozycje autorstwa m.in. Miłosza, Lema, Barańczaka i żadnej tam, z mojego punktu widzenia kontrrewolucji. Jeszcze na długo przed tą „petycją” i wizytą znakomitych gości w Komitecie Krakowskim omawialiśmy na posiedzeniu Egzekutywy sprawy przyspieszenia zawieszonych niektórych krakowskich czasopism i poza jednym głosem sprzeciwu, wszyscy inni zabierający głos upoważnili mnie do podejmowania starań na rzecz „odwieszania” „Zdania”, „Pisma” i „Studenta”.

Tak „uzbrojony” zatelefonowałem do – delikatnie mówiąc – niezbyt mi przychylnego Stefana Olszowskiego, wówczas dyktatora jeśli idzie o dziennikarzy, prasę itp., i uzyskałem audiencję 5 lutego 1982 r. Była to chyba najtrudniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek przeprowadziłem z którymkolwiek przełożonym, a takim był dla mnie wówczas Olszowski. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że się nie lubimy, nie zgadzamy w wielu sprawach politycznych, w ocenach różnych sytuacji. Ale ja miałem do niego prośby, których realizacja zależała od niego, a od ich załatwienia zależała być niektórym ludzi. Musiałem z nim omówić np. sprawy zatrudnienia „najbardziej obciążonych politycznie” krakowskich dziennikarzy i o zgodę na zatrudnienie ich gdziekolwiek (chodziło o Kasprzyka, Szumowskiego, Surdykowskiego, Laza i Terakowską), i (o dziwo!) udało mi się to załatwić względnie pozytywnie choć nie bez trudu, wysłuchując

jąc pouczeń, ile jest w ich losie mojej winy i winy mojego liberalizmu. Uzyskałem zgodę na zatrudnienie ich w mniej ważnej, „czytelnikowskiej” prasie. Szczegóły do omówienia z właściwymi wydziałami KC: Prasy oraz Kultury. Również udało się – chociaż muszę przyznać, że za cenę mojej samokrytyki – wybronić Andrzeja Urbańczyka na stanowisku kierownika regionalnej telewizji. Uzyskałem również obietnicę wznowienia w niedługim czasie „Zdania” – pisma „Kuźnicy” i pod pewnymi warunkami także „Studenta”. Ale jeśli idzie o „Pismo” Stefan O. >zapał się<. Na wstępie rozmowy uważał, że w ogóle trzeba ze wznowienia „Pisma” zrezygnować, a jeśli nawet pozwolić na wznowienie, to w innej obsadzie personalnej. Chodziło przede wszystkim – jeśli idzie o personalia – o Tadeusza Nyczka, którego uważał za zdecydowanego politycznego przeciwnika i o naczelnego, Jana Pieszcachowicza, który według niego dawał „parasol ochronny” opozycyjnym intelektualistom. Na mój użytek wygłaszał ponadto np. opinie, że nie jest to wydawnictwo potrzebne, bo hermetyczne. Ja jego pogląd o „hermetyczności” wykorzystywałem jako argument za wznowieniem – bo, tłumaczyłem – oddziaływanie „Pisma” jest społecznie bardzo ograniczone. Argumentowałem także, że likwidacja tytułu będzie przyjęta jako sygnał, że partia wycofuje się z bardziej otwartej polityki kulturalnej lat 1980-81. Pod koniec rozmowy był już łagodniejszy w opinii na temat „odwieszania”, pozostał jednak stanowczy jeśli idzie o personalia („Nyczka wybij sobie z głowy” i „Przecież naczelnym nie musi być Pieszcachowicz”). No i że zaprasza mnie na następne spotkanie, gdy w Komitecie Krakowskim „wymyślimy” nowy skład kolegium redakcyjnego „Pisma”.

List intelektualistów i wizyta prominentnych osób w Komitecie Krakowskim, a także propozycja rozszerzenia zespołu o trzech profesorów o nieposzlakowanej również politycznej opinii, do których z mojej inicjatywy dopisaliśmy panią Wisławę Szyborską, nie przekonały Olszowskiego do zmiany stanowiska wobec „Pisma”.

Wizyta tak bardzo znanych osób w Komitecie i ich zgoda, potwierdzona zresztą listem, który otrzymałem z podpisami kilkudziesięciu znakomitych intelektualistów krakowskich znanych w całej Polsce, na przyjęcie rekonstrukcji personalnej redakcji, pozwoliła mi wznowić starania o odblokowanie „Pisma”. Podjąłem rozmowy na ten temat z M.F. Rakowskim (bezkutekcyjne, zasłonił się niechęcią wchodzenia na teren „zajęty” przez Olszowskiego), z kierownictwem Wydziału Kultury KC (Krzysztof Kostyrko) i z Wydziałem Prasy. Trwało to bardzo długo, ale na szczęście w lipcu Olszowski przestał być sekretarzem KC, a jego miejsce zajął Jan Głowczyk, dziennikarz z zawodu, z którym m.in. na temat „Pisma” rozmawiałem jeszcze w marcu, w czasie jego wizyty w Krakowie i któremu o tym przypomniałem, gdy został sekretarzem KC.

Nie twierdę, że Komitet Krakowski był jedynym ogniwem upominającym się o „Pismo” i że tylko dzięki nam zapadła decyzja jego „odwieszania”. Myślę, że miało więcej przyjaciół. Jednakże to nasze propozycje personalne (oprócz Tadeusza Nyczka) zostały wzięte pod uwagę. Pozytywną decyzję o wznowieniu „Pisma” otrzymał z KC już mój następca na stanowisku I sekretarza KK, Józef Gajewicz.

Nowy, 8 (9) numer „Pisma” ukazał się na początku stycznia 1983 roku, gdy szykowałem się do wyjazdu do pracy w ambasadzie w Bukareszcie. Ktoś przysłał mi ten numer na mój warszawski adres. W przedwyjazdowym bałaganie nie przeczytałem go i zapomniałem zabrać do Bukaresztu.

Minęły lata... 20 maja 2002 roku przeczytałem w „Gazecie Wyborczej” fragment wywiadu ze Stanisławem Lemem przeprowadzony przez Stanisława Beresia pt. *Tako rzeczce... Lem* (cały wywiad później opublikowany został w formie książkowej przez Wydawnictwo Literackie) W opublikowanym przez „Gazetę” fragmencie przeczytałem m.in.:

„– Wspomniał Pan kiedyś o eseju, który opublikował Pan w czasie pobytu za granicą w języku niemieckim pod tytułem Herr F. O ile wiem, chodzi w nim o Fausta. Dlaczego ten szkic nie ukazał się po polsku?

– A gdzie go miałem drukować? Jak nam zabrali w Krakowie „Pismo” zaraz poszliśmy z Szyborską, Błońskim i innymi do Krystyna Dąbrowy, który był wówczas sekretarzem KW, i mówimy: >Niczego trefnego w „Piśmie” nie ma, siedem numerów już wyszło, więc o co chodzi?< A on na to: >Nie wiecie w jakich czasach życie!< Wkrótce potem ukazał się pierwszy numer pod nową redakcją, pełen tekstów pornograficznych”.

Niedługo potem w rozmowie ze Stanisławem Fiałkowskim (Świat na krawędzi) Lem również wspomina tę wizytę w Komitecie Krakowskim na Solskiego i mówi:

„...przywoływałem przypadki zupełnie bezinteresownego zadawania zła w czasie funkcjonowania

w Polsce stanu wojennego – na przykład likwidację wartościowego miesięcznika „Pismo”. Poszliśmy wtedy – Szyborska, Błoński, Jerzy Kwiatkowski – do Krystyna Dąbrowy, ówczesnego wojewódzkiego sekretarza partii, on głową pokiwał, ale nic to nie pomogło i „Pismo” nam zabrano, a pierwszy numer, pod nową redakcją był po prostu antologią tekstów pornograficznych”.

Sięgnąłem po zapomniany numer „Pisma” i zdumiałem się: Co Lem miał na myśli mówiąc: „Wkrótce potem ukazał się pierwszy numer pod nową redakcją, pełen tekstów pornograficznych” (to u Stanisława Beresia) oraz „a pierwszy numer pod nową redakcją był po prostu antologią tekstów pornograficznych” (to u Stanisława Fiałkowskiego). Jak „nowy” był ten skład „odwieszony” redakcji pisałem wyżej. I na Boga! Gdzie Lem dostrzegł w nim pornografię? W numerze znalazły się przecież teksty Iwaszkiewicza, Woroszyńskiego, Mrożka, Śliwiaka, Szyborskiej (felieton), Bakulskiego i uwaga – również felieton Lema! A co jeszcze dziwniejsze – esej usuniętego z redakcji Nyczka.

No i skład redakcji – tak jak proponowaliśmy wspólnie z delegacją, która w Komitecie Krakowskim była: minus Nyczek plus Wisława Szyborska, Aleksander Krawczuk, Henryk Markiewicz, Antoni Podraza.

Coś się jednak musiało złego dziać w następnych latach lub miesiącach wokół „Pisma”, ale do Bukaresztu żadne echa tego nie dochodziły...

KRYSTYN DĄBROWA



Renata Bonczar, *Pałac zimowy*, olej

LANCZYK W WIEŻY GŁODOWEJ

Nie ukrywam, że impuls do napisania tego felietonu pojawił się w pewnym momencie zwiedzania lwowskiej cytadeli, fortecy wybudowanej przez Austaków po stłumieniu rewolucji Wiosny Ludów 1948 roku. Na wzgórzu w sercu miasta w malowniczym parku mieści się gmach koszarowy, otoczony czterema flankującymi ceglanyimi wieżami – basztami Maksymiliana. W cytadeli mieściły się najpierw austriackie, a w okresie międzywojennym polskie koszary wojskowe.

Cytadela nigdy nie była użytkowana zgodnie z przeznaczeniem i dopiero podczas ataku w listopadzie 1919 roku ukraińscy Strzelcy Siczowi strzelali z wieży nr 1 do Polaków. Potem wieża została zajęta przez wojsko polskie. W czasie II wojny Niemcy umieścili tam wielki obóz jeniecki, a po wojnie obiekt popadł w ruinę – aż do jego renowacji, o czym nieco dalej.

Niemal nieznane jest inne masowe ludobójstwo związane z tym miejscem. Najpierw niemiecką okupację poprzedza masakra więźniów politycznych, głównie Polaków, podczas wycofywania się z miasta w czerwcu 1941 roku wojsk radzieckich. Jedną z nich wykonano w budynku przy ul. Bandery 1 (poprzednio Sapiehy), gdzie mieściło się Więzienie Nr 1 (Тюрьма № 1). Tam NKWD pospiesznie rozstrzelało 924 więźniów, m.in. generała Tarnawę-Malczewskiego, Jana Nalborczyka i Rudolfa Regnera. Po wkroczeniu Niemców odnaleziono setki zwłok, które musieli wydobywać Żydzi, później likwidowani. Obecnie jest tam Muzeum Pamięci Narodowej Więzienie przy Łąckiego, utrzymywane ze środków fundacji Memoriał.

Mniej znana jest historia Stalagu 328, który w lipcu 1941 roku założył Wehrmacht jako obóz jeniecki (Stammlager, stalag) dla dziesiątków tysięcy pojmanych żołnierzy Armii Czerwonej. Podobnie jak obóz koncentracyjny KZ Janowska dla Żydów, mieścił się on w centrum miasta, na terenie cytadeli.

Stalag 328, jak się okazuje, to kolejny, szczególnie mroczny sekret Lwowa. Najstraszniejsza była wielka baszta Maksymiliana nr 2, nazywana wieżą głodową. Przez obóz koncentracyjny przeszło 280 000 więźniów, w zdecydowanej większości jeńców radzieckich, z czego 140 000 zmarło z głodu, zimna i chorób. Matematyk, profesor Steinhaus ukrywający się u przyjaciół we Lwowie, dowiedział się o obozie od znajomego, który pracował w firmie dezynfekcyjnej. „Chodził często na cytadelę, na dezynfekowanie koszar, i widział jeńców rosyjskich. Byli morzeni przez Niemców głodem tak, że codziennie kilkuset umierało. Było to jedno z najohydniejszych niemieckich okrucieństw. [...] Tak więc już w pierwszych miesiącach pobytu swego Niemcy dali się poznać jako brutalni mordercy ludności cywilnej i jeńców wojennych” – pisał w pamiętnikach.

Jednak los jeńców radzieckich jest w zasadzie przemilczany, upamiętniony jedynie małym krzyżem i niewielką tablicą. Był przemilczany także w czasach radzieckiej Ukrainy, bowiem wspomnienie byłoby przyznaniem się do błędów strategicznych Stalina z lata 1941 roku. Zamiast uznać niewolę jako honorowy areszt, nawet po

śmierci wodza postrzegano ją jako oznakę tchórzostwa, hańby, a nawet i zdrady ojczyzny.

Cytadelę okryto zasłoną milczenia, w bastionie nr 1 urządzono zbiornicę książek położonej nieopodal Lwowskiej Narodowej Naukowej Biblioteki Ukrainy im. Wasyla Stefanyka, dawnego słynnego Ossolineum, założonego w 1817 roku przez hrabiego Józefa Maksymiliana Ossolińskiego. Z nieznanых powodów zbiornica nadal jest używana, ale odwiedzić jej *Nie!z!z!*

Jednak prawdziwym zaskoczeniem, ba, wstrząsem, dla zwiedzającego jest wielka baszta Maksymiliana nr 2 – wieża głodowa. Grupa znających jej dzieje mieszkańców domagała się urządzenia w wieży miejsca pamięci albo muzeum, na to miasto nie znalazło funduszy. Znalazł się jednak inwestor i w 2008 roku przekształcono basztę w pięciogwiazdkowy hotel z taką restauracją. Choć w trakcie rozkopywania piwnic znaleziono liczne szkielety, administracja miejska wydała zezwolenie na budowę i cytadela stała się lwowskim miejscem zapomnienia. W luksusowym hotelu brak pamiątkowej tablicy czy choćby wzmianki na internetowej stronie o historii budowli, gdzie o Stalagu 328 nie wspomniano ani słowem. Zamiast tego możemy przeczytać: „Citadel Inn is the place where the exquisite interior and impeccable service are combined, and every guest feels himself the chosen one”. Wybraniec może wybrać apartament, pokój premium lub standard. Oczywiście do dyspozycji gości jest Spa-Center, a restauracja „Hramata” rekomenduje wspańlate menu, tylko palce lizać.

Nie skorzystałem z oferty ani spania, ani jedzenia. Nie sądzę, abym łatwo zasnął nawet na najwygodniejszym łóżku po spa, ani po najsmaczniejszym posiłku. Pamięć i wyobraźnia, wyobraźnia i pamięć. Ale pewnie jestem unikatem, sądząc po rezerwacjach pokoi i pełnej restauracji. Na ich gościach ani tablica, ani informacje historyczne zapewne nie wywarłyby wrażenia. Tak jak na turystach w Auschwitz, sportretowanych w opowiadaniu Tadeusza Różewicza *Wycieczka do muzeum*. Czuli się tam jak na pikniku, dziewczęta w kolorowych sweterkach i obcisłych spodniach, kobiety z małymi dziećmi. Nikt nie kupuje przewodnika po obozie, bo po co zaśmiecać sobie dom takimi bzdurami? Uczestnicy wycieczki śmieją się i dokazują. Są tak głośni, że trzeba ich upominać. Mamo, tu nic nie ma, takie muzeum, ja już chcę iść, kiedy pójdziemy? – pyta znudzona dziewczynka. Tato, a za co tych ludzi tu trzymali? – Cicho być. – Ale ich tu zamknęli w tym bunkrze za karę? – Jak byli niegrzeczni, to ich tu zamykali. I jak ty będziesz niegrzeczna, to też cię zamkną – mówi ojciec do małej córeczki.

Więc może lepiej, za Markiem Twainem, spuśćmy zasłonę miłosierdzia na tę rekonstrukcję. Albo jeszcze lepiej, potraktujmy ją jako symbol selektywnego gumkowania przeszłości.

TOMASZ GOBAN-KLAS

WITAJ, ŚCIANO!

W mediach opiniotwórczych coraz częściej pojawiają się uwagi świadczące o tym, że polityka jest powszechnie traktowana jako zbiór obrzydliwości. Nawet jeśli ktoś obstawia jedną ze stron tych „sporów”, to – jak powiedział ostatnio „Przeglądowi” Przemysław Sadura – jest to kibicowanie walkom w błocie bez zamiaru uczestniczenia samemu, czyli bez skłonności do tworzenia społeczeństwa obywatelskiego. Jest to więc światełko w tunelu (choć długim i ciemnym), bo znaczy tyle, że znakomita większość społeczeństwa nie identyfikuje się z tym stylem prowadzenia polityki (to dlaczego głosują ?). Źródłem obrzydliwości jest, zdaniem coraz większej liczby ludzi, mechanizm walki o władzę, uniemożliwiający sensowne i czasem niepopularne działania polityczne, i zmuszający polityków do koncentracji właśnie na walce o władzę, a nie na jej sprawowaniu.

Część ludzi wciąż wierzy, że to nie „nasi”, że to „ci drudzy” są źródłem zła. Ale coraz więcej jest takich, którzy to źródło lokalizują w systemie politycznym. W dodatku umiejętność zdobywania władzy i umiejętność jej sprawowania nie idą w parze, więc praktycznie awansują głównie ci od walki, po której nie ma już sił ani chęci, ani umiejętności, by mając tę władzę coś ważnego zrobić. W badaniach prestiżu zawodów polityk jest nieodmiennie i od dawna na ostatnim miejscu. W wielu krajach ten sam mechanizm walki o władzę nie doprowadził do aż takiej degeneracji języka, obyczajów, moralności i sposobów działania politycznego. Ale u nas doprowadził i coraz wyraźniej widać społeczną chęć wyciągnięcia z tego wniosków.

Cztery lata rządów PiS były dowodem nieakceptowania (a może jedynie niezrozumienia ?) przez tę partię zasad demokracji oraz tego, że ten ustrój nie może istnieć w atmosferze negacji wszelkich zasad kultury i przyzwoitości, przy akompaniamencie ciągłego wrzasku i wyzwisk, kłamstwa będącego zasadą działania, karczemności, często także zwykłej głupoty. Każdy wynik najbliższych wyborów utwali ten styl, być może w ostrzejszym wydaniu. A gdyby wygrał PiS, to prawo coraz bardziej będzie plastycznym narzędziem panowania nad społeczeństwem (prawda, jak bardzo marksistowska jest ta nasza prawica ?), a nie zbiorem reguł obowiązujących wszystkich obywateli. Innymi słowy, ta degeneracja będzie się w każdym razie pogłębiać.

Ostatnio Instytut Pollster ogłosił wyniki swoich badań ankietowych. Badano poparcie dla pięciu partii politycznych w trzech grupach wiekowych: młodych, średnich i starszych. W grupie młodych największe było poparcie dla PiS – 50 proc. Poparcie dla autokracji (czyli

PiS + Konfederacja) razem wynosiło wśród młodych 60 proc. Wśród starszych ten sam wskaźnik wynosił 45 proc. Zwolenników partii opowiadających się za demokracją (KO+Lewica+PSL/Kukiz) wśród młodych wynosił tylko 36 proc., wśród starszych – 52 proc.

Nie są to bardzo duże różnice. W dodatku możliwa jest jeszcze taka ich interpretacja, że rośnie w Polsce, i to głównie wśród młodych, liczba osób przewidujących tak czy inaczej koniec państwa polskiego i starających się wyrwać dla siebie, ile się da. A PiS obiecuje, obiecuje...

Ważne jest, że przewaga zwolenników autokracji i zakończenia ery pluralizmu politycznego w ogóle się zaznaczyła – w tak wyraźny sposób stało się to po raz pierwszy po 1989 roku (w wyborach 2015 nie było jeszcze powszechnie jasne, że PiS to autokracja). Dotychczas mówiło się, że PiS to królestwo moherów i nieudaczników, a demokracja miała być świetlaną przyszłością młodych. To już przeszłość.

Demokratyczne mechanizmy przekazywania i kontroli władzy tracą zaufanie. Faktem jest, że w latach 1989-2015 nie potrafiły przekonująco pokazać swej wyższości nad autokracją. Zwolenników demokracji robi się coraz mniej, bo nie działa ona tak, jak to sobie kiedyś opozycja demokratyczna wymarzyła. Solidarnościowy indywidualizm (czy to nie oksymoron ?) został zrealizowany brutalnie, szybko, obraźliwie, zniechęcająco i szkodliwie dla gospodarki. Wszystko wskazuje, że zbliżający się autokratyczny solidaryzm będzie taki sam. Niemile (mówiąc oględnie) skutki rządów autokratycznych pojawią się szybko, ale o tym teraz zwolennicy nowej ściany nie myślą. Przeciwnicy naszego chorego pluralizmu prą do autokracji, która będzie niemniej chora, ale oni tego jeszcze nie wiedzą. Zupełnie jak w 1989 roku zwolennicy nowego nie myślą o tym, że to nowe może zlikwidować zalety starego. Podobieństwo do czasów sprzed upadku PRL widać także w lokowaniu przyczyn zła w systemie politycznym, nie w ludziach – a jest to teza, moim zdaniem, mocno wątpliwa i politycznie szkodliwa, gdyż podstawową przyczyną naszych socjalistyczno-kapitalistycznych niepowodzeń jest brak odpowiedniej troski (od 30 lat: całkowity brak) o formowanie elit społecznych. Kolejno wszyscy rządzący boją się tego, że będzie ktoś, kto niezależnie myśli i popiera kraj, a nie tę czy ową ideologię (lub po prostu polityka).

Wygląda na to, że nie nadajemy się do demokracji. Ale do autokracji też nie. To do czego się nadajemy?

RATING NEGATYWNY, CZYLI KOGO SIĘ UDAŁO Z POLSKI WYGONIĆ

Nikt normalny w normalnym świecie nie uwierzy bez sprzeciwu, że parę milionów ludzi nawet średnio odczytanych czy średnio ogarniętych niemotą może postawić swój głos na siłę polityczną, która zafundowała w stężeniu absolutnie toksycznym tymże milionom:

1. obronę swego sojuszu z Kościołem, co zdeprawował był setki dzieci;
2. zniszczenie edukacji na szczeblu podstawowym i średnim;
3. transakcję premiera, na której zarobił 70 milionów złotych.

Zdanie to napisałem nazajutrz po wyborach do Parlamentu Europejskiego i dotąd czekało ono na upublicznienie. PiS-owska łapówka wyniosła kilkaset złotych na osobę i lud wyda ją na niemal ęnderowski socjal, czyli Nycz się nie stało, Polacy, Nycz się nie stało. Prymas Polak w swym liście pasterskim z 26 maja br. cipisał o „słowach wstydu, które trudno znaleźć”, zaś prezes problemu nie widzi i wali po oczach, mówiąc „o podnoszeniu ręki na Kościół i Polskę”, niczym Cyrankiewicz o obcinaniu ręki (Poznań '56) lub Gierek o gruchotaniu kości (Katowice 76). I, proszę Państwa, mimo iż nie mała jest ciżba, której wydaje się, że prezes ze swoimi wpadł po uszy w gówno, pozostałe miliony biorą udział w spektaklu milczenia owiec i karnie idą na rzeź.

Siedemdziesiąt kilometrów od Wójtowic miliony te prowadzone są przez byłą dyrektorkę szkoły ze Świebodzic, madame Zalewską, zwaną tu kobietą demolką, która będzie się teraz w Brukseli zajmować edukacją dorosłych. Po brukselskim catwalku drepcze z miną pawia (wymienia się na – „orangutana”) dyl sowizdrzał Czarnecki. Wygląda też na to, że 27:1, czyli wynik, jaki nasza Szydło z Bażni osiągnęła, starczy jej na wygraną z nadwyżką w PiS-owskich primaries z Dudą Andrzejem. Trudniej zapomnieć będzie w tej swoistej menażerii pary rodem z mapped show, Legutko i Bielana, która – wg słów tego ostatniego – spędziła niemal dwie kadencje europejskie na dyskusji o tym, „czym jest pederastia” (sic!). Bielana sprawił, że bardzo wątpliwe jest i będzie jakiegokolwiek porozumienie z nauczycielami pl. Oskarżył bowiem Broniarza, że chodzi po dyspozycje do szefa dawnego SLD; następnym razem pomylił Millera z Dymitrowem, no, ale nie będzie już nikogo, kto by nauczył go podstawowych faktów.

I z czystej złości, mieląc w zębach przekleństwo, obieramy wraz żoną w poniedziałek młode ziemniaczki i szparagi, łupy składając na plakacie europejskim, który dwa dni wcześniej czytelnikom przy nadziei dołączyła „Gazeta Wyborcza”. Obiecuję sobie nie oglądać

telewizji, nawet TVN, nie czytać gazet i periodyków, poza „Polityką”, na której się wychowałem.

Kolejne dwa wyborcze eventy: parlamentarny i prezydencki zostaną, naszym zdaniem, w cuglach wygrane przez PiS, zaś to co osiągniemy, to będzie ukaranie winnych hierarchów i reforma Kościoła, zmiana konstytucji i konkordatu – byle uniknąć rzezi kleru, palenia kościołów i klasztorów, gwałcenia zakonnic i powrotu franciszkanów bosych. Żal okrutny człowiekowi serce ściska, że te ostatnie lata i miesiące szalonych wysiłków, by pokazać, co kto jest naprawdę wart, co trzeba koniecznie zmienić i to jak najszybciej – poszły na marne. Dziś niektóre wstępniaki najpiękniejszego we wsi Lisa i sondaży „Newsweeka” czyta się jak ułożone w czasie gry w scrabble i na jedyną pozytywną postać wychodzi młodzieniec z „Liberte”.

W moich Wójtowicach czuję jakby zapach degren-golady oraz zgnilizny, więc nie będzie już z kim stawiać kos na sztorc. Objawił mi się duch Geremka, gdyż jest oczywiste, że wszyscy chłopi, a także emeryci wybrali tych, na których sobie zasłużyli. No i zaraz przyjdzie wielki dla nas moment w Brukseli, gdzie w hotelu nr 422 spał będzie sobie pocziwina Jurgiel (on na pewno Polsce krzywdy nie zrobi), Kempa za nim usiądzie i będzie jeździć po świecie, szukając obicia na parlamentarne fotele, a pani Szydło, czując wsparcie swego pół miliona wyborców, będzie mogła opowiadać najgorsze bzdury. I, drodzy przyjaciele, nie cieszcie się za bardzo, że będzie to leciało tylko po polsku. W związku z tym coraz częściej mówi się o negatywnym ratingu pod hasłem, kogo się udało z Polski wygonić.

Natomiast ci drudzy, czy raczej to co z nich zostało, proponują na premiera wdzięczną Kidawę-Błońską, niestety, chyba po ostatnim dzwonku. Gdyż to, że nie usłyszmy już o „mordach zdradzieckich...” z ust nigdy za to nie ukaranego kurdupla, jazgotu sprzedawczyń zieleniny, czyli Kempy i Wiśniewskiej, które buty mogłyby czyścić Timmermansowi, mądrości specjalistów od pederastii, analiz podawanych nam z miną orangutana (wymienia się na pawia) przez damskiego siatkarza Czarneckiego, to wszystko będzie już za późno i za mało. Został jeszcze kłamczuszek-premier, ale – jak mi Bóg mi miły – nie wiem, gdzie by go wstawić.

Mieszkańcy Wójtowic proponują, by uroczą kandydatkę na premiera wyposażać w 1000 zł przeznaczonych dla wszystkich CHORYCH NA RAKA i sprawić, by wydali je na tomograf i kawałek rezonansu, a nie na świnię, dziecko czy emeryturę. Ruszaj w Polskę, Pani Marszałek! Doczep się do cysterny...

KRZYSZTOF KOMORNICKI

więc
wątponie
jestem

CZEGO SIĘ NIE ROBI DLA SUWERENA?

W PRL-u sprawa była jasna. W konstytucji z 1952 roku napisano w pierwszym artykule, że Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem ludu pracującego miast i wsi. Panująca nam miłościwie od czterech lat przodująca siła narodu, która wygrała ponownie ostatnie wybory, nowej konstytucji jeszcze nie uchwaliła i w najbliższym czasie na to się nie zanosi, mimo że uzyskała poparcie przeszło 8 milionów obywateli III RP. Ale zarówno w propagandzie, w zawłaszczonych mediach publicznych, przekształconych dla niepoznaki w narodowe, a w rzeczywistości w partyjne, jak i w niemal każdym wystąpieniu swoich prominentnych przedstawicieli powołuje się zawsze na suwerena, kiedy trzeba uzasadnić konieczność wprowadzenia dobrej zmiany. To z jego wyboru i nadania PiS rządzi Najjaśniejszą Rzeczpospolitą, to w jego imieniu uczyniono z Trybunału Konstytucyjnego atrapę, a z Krajowej Rady Sądownictwa młot na niepokornych sędziów, przekazany w subtelne ręce ministra Ziobry. Dla dobra suwerena, a zwłaszcza jego dzieci pewna nauczycielka języka polskiego z Dolnego Śląska, awansowana na ministra edukacji, zdemolowała polską szkołę. W tym zbożnym dziele kierowała się następującym rozumowaniem, jeżeli z rozumem miało ono cokolwiek wspólnego: skoro Prezes chodził grzecznie przez osiem lat do szkoły podstawowej, a potem przez następne cztery (w jego przypadku to było pięć, bo rok repetował) do liceum i wyrósł z niego Wódz Narodu, to dziatwa w wieku szkolnym w III, a właściwie IV RP powinna kształcić się w ten sam sposób. No i zniknęły gimnazja, oczka w głowie większości samorządów, zwłaszcza w gminach i małych miastach, bo były symbolem awansu cywilizacyjnego, wrócił model kształcenia rodem z tak zniechęconego PRL-u, a nauka w wielu szkołach odbywa się teraz na trzy zmiany, z których żadna nie jest tą dobrą.

* * *

Długo by można wyliczać „dobre zmiany”, jakie PiS wprowadził w Polsce w ostatnich latach, dlatego uprawnione wydaje się być pytanie, kto jest owym suwerenem, na którego konto władza zapisuje zarówno 500 plus i 13. emeryturę, jak i podniebne loty marszałka Kuchcińskiego do Rzeszowa czy ambitne plany zbudowania w Warszawie dwóch wież przez Prezesa. W szkołach przed reformą ministerki Zalewskiej, niezależnie od tego, jakiej władzy one podlegały, uczono na lekcjach historii i wiedzy o społeczeństwie, że suweren potrzebuje do towarzystwa wasala. Jednak za rządów PiS-u nie bardzo wiadomo, kto jest kim. Nowy słownik języka polskiego ta partia pisze od jakiegoś czasu, przy walnym udziale samego Prezesa i premiera, lecz o who is who jakoś nie słyhać. A przydałaby się taka publi-

kacja, bo rozeznac się w pejzażu, jaki wykreował pi-sowski demiurg, coraz trudniej. Dla przykładu: kim jest niejaki Banaś? W PiS-ie tego też nie wiedzą. Miał być, według zapewnień marszałka Senatu, kryształowym człowiekiem, ale fakty temu przeczą. Na razie wiadomo z oficjalnych przekazów, że nie należy do rządzącej partii, więc można się od niego odciąć.

* * *

Od początku jednak to i owo wiemy. Między innymi o suwerenie. Ten znajduje się wszędzie tam, gdzie bywa Prezes podczas gospodarskich wizyt lub uczestniczy w konwencjach partyjnych, organizowanych przed wyborami w całej Polsce niemal co tydzień. Inaczej być nie może, bo według nowej definicji PiS-u suweren to jego żelazny elektorat. A co z resztą narodu, mówiącego tym samym językiem, wierzącego w Boga jedynego i Najświętszą Panią, albo i nie, ale pragnącego żyć w ojczyźnie suwerennej i wolnej, którą urzędujący prezydent myli z dojną. Nieprzypadkowo zresztą, bo kiedy na zaimprovizowanym wiecu bodaj w Płocku popisywał się swoją mądrością i przenikliwością, przyszła mu w sukurs pani premier, wykrzykując z trybuny sejmowej, że te ciska 50 baksów, które przyznała sobie i każdemu z ministrów z osobna jak najbardziej im się należały. Jak doić, to na całego – bez hamulców i skrupułów.

Okazuje się jednakowoż, że nie tylko miłość wszystko wybacza, suweren również! Kuchcińskiemu za jego podniebną miłość do Podkarpacia wyborcy z okolic Krosna odpłacili przyrostem 20 tysięcy głosów. Piotrowiczowi poszło gorzej, dlatego – jak sam twierdzi – że startował w tym samym okręgu i miał za dużo konkurentów, którzy się bardziej od niego zasłużyli w służbie Najjaśniejszej i Prezesowi. Ale nic straconego. Suweren, w większości po podstawówkach, zawodówkach, ewentualnie maturach mógł się przecież pomylić od święta, czyli w dniu wyborów, bo na co dzień wyznaje zasadę, że każda władza kradnie, ale ta, sprawowana przez Prezesa i jego partię przynajmniej się z nim dzieli. I tego suweren będzie się trzymać, dopóki w kasie państwa PiS nie zabraknie pieniędzy na dalsze finansowanie korupcji politycznej. Natomiast Piotrowiczowi, w wyniku łagodnej perswazji, mandat przekazuje ktoś mniej godny od niego, jakby nie było komuszego prokuratora, zaś w okręgach, gdzie totalna opozycja wygrała niewielką różnicą głosów, zarządzi się ponowne ich przeliczenie. I w ten sposób Senat zostanie odzyskany!

Nie po to minister Ziobro rozpirzył sądy, z Najwyższym na czele, żeby teraz przegrywać wybory.

SCEPTYK



Kraków: kultura, rozwój, innowacje, ekologia

Kraków to miasto pełne cennych zabytków, znane z bogatej i różnorodnej oferty kulturalnej. Miasto, które ponad czterdzieści lat temu, jako pierwsze w Europie, zostało wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Naturalnego UNESCO. Stolica Małopolski to jednocześnie ważny ośrodek akademicki i europejska metropolia skupiona na rozwoju przedsiębiorczości i innowacji – miasto kreatywne, wdrażające innowacyjne rozwiązania proekologiczne.

Kraków równie wysokie pozycje zajmuje w rankingach dotyczących oferty kulturalnej i popularności turystycznej, jak też przedsiębiorczości i innowacji. To jednocześnie pierwsze polskie miasto, które tak mocno skoncentrowało się na kwestiach ekologii, zwłaszcza w zakresie jakości powietrza.

Powietrze i zieleń

W Krakowie, jako jedynym mieście w Polsce, obowiązuje całkowity zakaz palenia węglem i drewnem poprzedzony programem dofinansowania wymiany pieców. Inwestycje miejskie powstają z uwzględnieniem kwestii

odnawialnych źródeł energii, wdrożony został program termomodernizacji domów jednorodzinnych, systematycznie ograniczany jest ruch samochodów na rzecz dobrze funkcjonującej komunikacji miejskiej. Stolica Małopolski uczestniczy też w programie, którego celem jest dążenie do zeroemisyjności CO₂. W Krakowie realizowanych jest wiele przedsięwzięć skupionych na zieleni. W ciągu ostatnich dwóch lat na inwestycje w zieleń miasto wydało ok. 300 mln złotych między innymi na rewitalizację starych parków, zakładanie nowych czy sadzenie roślin pyłochwytnych i łąk kwiatnych wzdłuż głównych ciągów komunikacyjnych. Zielone przestrzenie dostosowywane są do potrzeb i oczekiwań krakowian, a mieszkańcy korzystają z parków kieszonkowych tworzonych

blisko osiedli i uczestniczą w piknikach miejskich i seansach kinowych organizowanych w krakowskich parkach.



Fot. Paweł Krzan. Archiwum UMK.

Kompleksowe podejście

Troska o ekologię i zieleń wynika w Krakowie zarówno z potrzeby wdrożenia rozwiązań, które pomogą rozprawić się z problemem smogu, jak też ze sposobu myślenia o mieście, jego rozwoju i komforcie życia mieszkańców.

- Kompleksowa troska o miasto i jego mieszkańców to cały szereg działań, które wzajemnie się uzupełniają. Kultura, rozwój i innowacje, troska o powietrze, zieleń i jakość życia przenikają się w Krakowie, a działania podejmowane w każdym z tych obszarów skutkują zmianami i nowymi rozwiązaniami proponowanymi

- ocenia Jerzy Muzyk, zastępca prezydenta Krakowa ds. zrównoważonego rozwoju. W krakowską strategię rozwoju wpisane jest kształtowanie miasta jako miejsca przyjaznego do życia, jednocześnie zachowującego charakter otwartej i kreatywnej metropolii rozwijającej gospodarkę opartą na wiedzy i mocno korzystającej z bogatego dziedzictwa i potencjału kulturowego.
- Kraków jest jednym z najbardziej innowacyjnych centrów kultury o bezprecedensowej skali działań. Miasto uczestniczy w wielu międzynarodowych inicjatywach łączących kulturę, innowacje i sprawy społeczne, takich jak Sieć Miast Kreatywnych, N.I.C.E. (Network for Innovations In Culture and Creativity In Europe) czy Organizacja Miast Światowego Dziedzic-



Fot. ©Jan Graczyński

w innych dziedzinach. Sprawiają, że Kraków jest dziś tak chętnie wybierany jako miejsce do życia, edukacji i biznesu, do organizowania wydarzeń kulturalnych i sportowych – podkreśla Jacek Majchrowski, prezydent Krakowa.

Rozwój, dziedzictwo i kultura

Bogate zaplecze naukowo-badawcze, współpraca biznesu ze środowiskiem naukowym i samorządem przekładają się na atrakcyjne możliwości rozwoju oferowane przez stolicę Małopolski. – Kraków dynamicznie się rozwija i jednocześnie oferuje świetne warunki do rozwoju innowacji; przyciąga wielki i mały biznes: instytucje finansowe, firmy z sektora high-tech, start-upy. Krakowskie talenty tworzą produkty i usługi na światowym poziomie, a odważne pomysły i kreatywne projekty znajdują uznanie w świecie biznesu i nauki

twą OWHC, w której Kraków przewodzi 300 metropoliom świata i podejmuje ważny temat relacji: dziedzictwo – środowisko. Trzeba pamiętać, że to kultura jest nośnikiem zmian społecznych, inspiruje i inicjuje wiele innowacji. Nie jest przypadkiem, że pierwsze inicjatywy ekologiczne i narracje prośrodowiskowe pojawiły się w obrębie wydarzeń kulturalnych i festiwali. Tam narodziła się pogłębiona refleksja na ten temat, która weszła następnie do języka polityki, ruchów społecznych, wpłynęła na myślenie o miastach i kierunkach i rozwoju – podkreśla Robert Piaskowski, pełnomocnik prezydenta Krakowa ds. kultury. Kraków jest miastem, które łączy inicjatywy proekologiczne, troskę o rozwój i wdrażanie innowacji, pozostając jednocześnie polską stolicą kultury, edukacji, miastem historii i zabytków.

Przekazując 1% od podatku na „Zdanie” i „Kuźnicę”

KRS 0000300613

wspomagasz polską lewicę

Przypominamy, że „Zdanie” jest dostępne w sieci empik w 80. polskich miastach. Szukajcie nas w megastorach oraz salonach I i II kategorii. Informujcie o tym wszystkich, którzy są zainteresowani kupnem oraz lekturą naszego pisma. Egzemplarze archiwalne można otrzymać w sekretariacie Stowarzyszenia „Kuźnica” (30-018 Kraków, Al. Słowackiego 44) oraz w Klubie Księgarza (Warszawa, Rynek Starego Miasta 22/24).

„Zdanie” jest też w internecie: w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej (za lata 1994-2018) oraz w internetowym Katalogu Czasopism (okładki i spisy treści wszystkich numerów za ten sam okres). Bieżące informacje można znaleźć na stronie internetowej „Kuźnicy” oraz na facebooku.

REDAKCJA

**PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA**



ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski,
Paweł Kozłowski, Krzysztof Mroziewicz, Lech M. Nijakowski, Filip Ratkowski,
Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji), Paweł Sękowski.

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 30-018 Kraków, Al. Słowackiego 44

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Neurokwiat, 30-057 Kraków, ul. Chocimska 7/4

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.

1949-2019



Kraków

70 lat

NOWEJ
HUTY



Niech żyje

www.krakow.pl